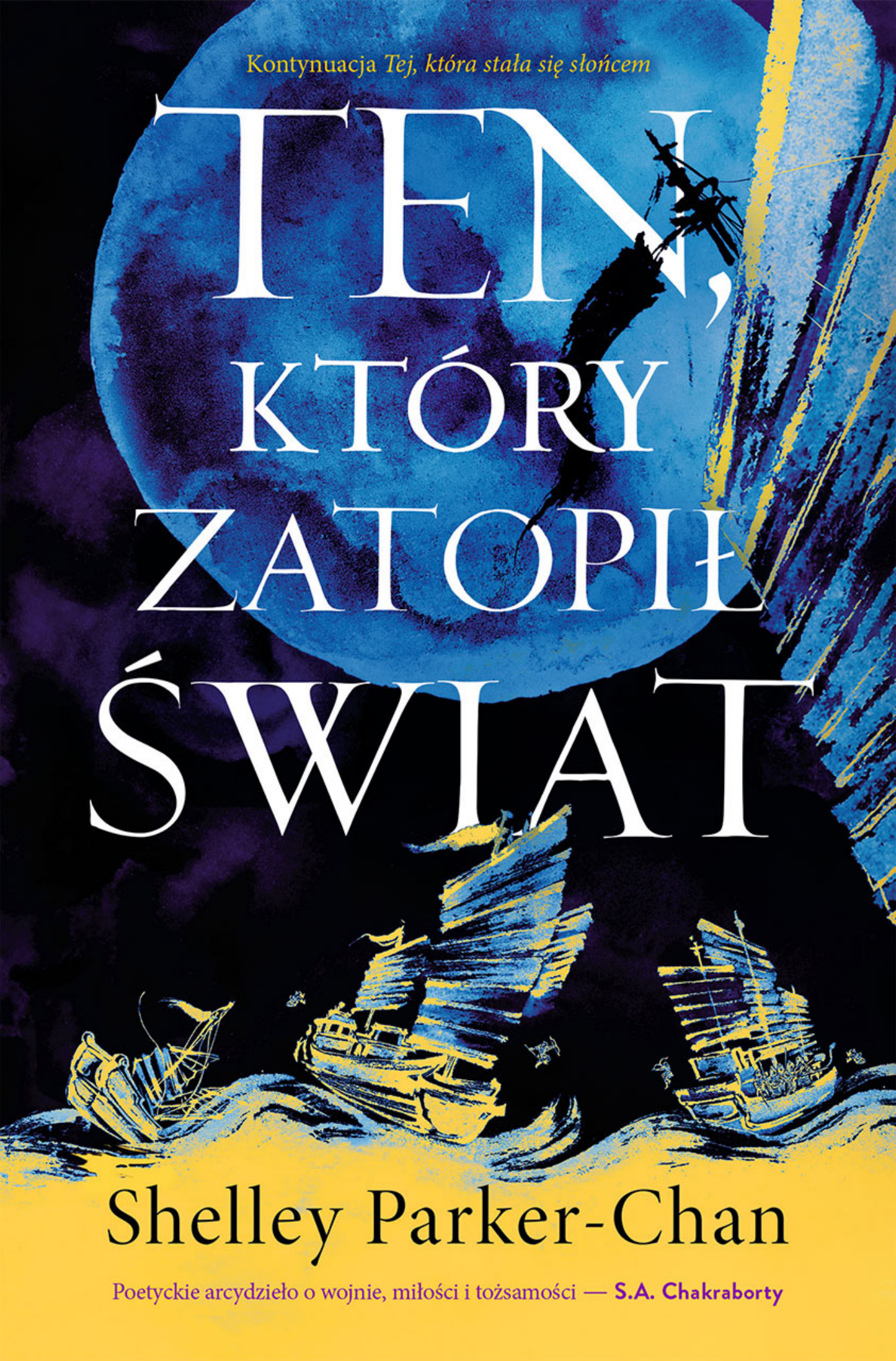


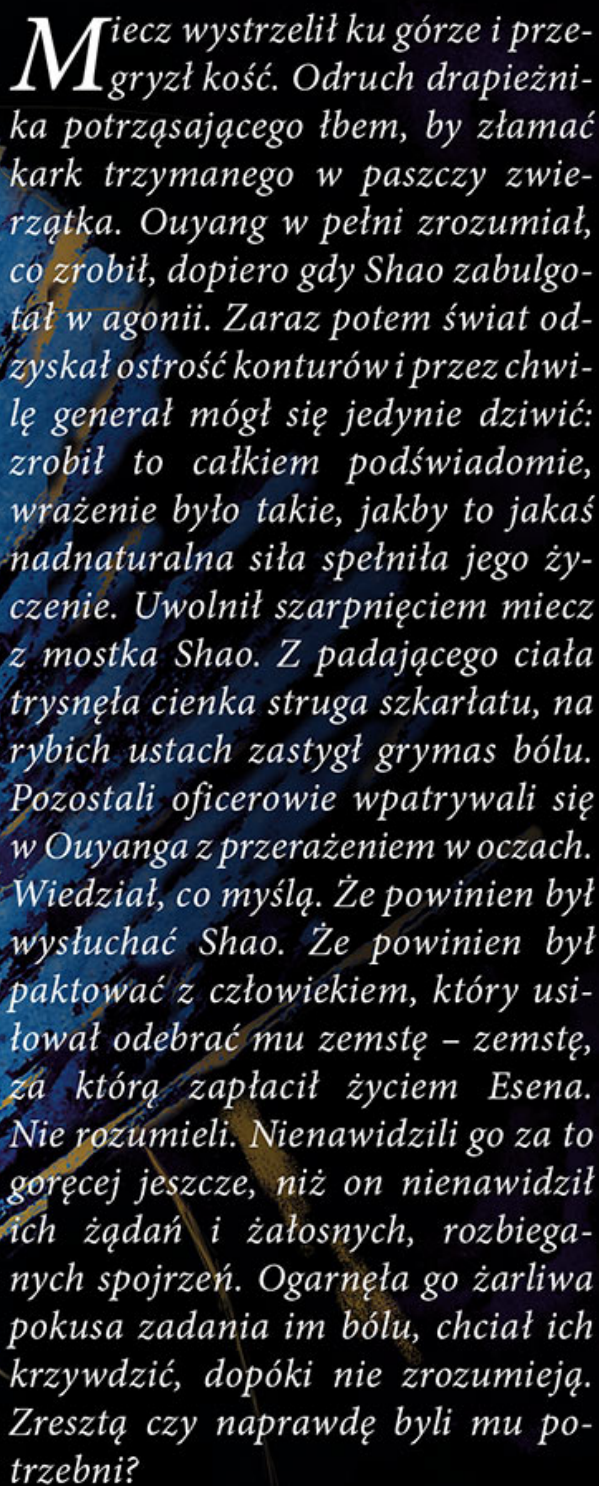
*Kontynuacja Tej, która stała się słońcem*

# TEJ, KTÓRY ZATOPIŁ ŚWIAT



Shelley Parker-Chan

Poetyckie arcydzieło o wojnie, miłości i tożsamości — S.A. Chakraborty



**M**iecz wystrzelił ku górze i przegryzł kość. Odruch drapieżnika potrząsającego łbem, by złamać kark trzymanego w paszczy zwierzątka. Ouyang w pełni zrozumiał, co zrobił, dopiero gdy Shao zabalgotał w agonii. Zaraz potem świat odzyskał ostrość konturów i przez chwilę generał mógł się jedynie dziwić: zrobił to całkiem podświadomie, wrażenie było takie, jakby to jakaś nadnaturalna siła spełniła jego życzenie. Uwolnił szarpnięciem miecz z mostka Shao. Z padającego ciała trysnęła cienka struga szkarłatu, na rybich ustach zastygł grymas bólu. Pozostali oficerowie wpatrywali się w Ouyanga z przerażeniem w oczach. Wiedział, co myślą. Że powinien był wysłuchać Shao. Że powinien był paktować z człowiekiem, który usiłował odebrać mu zemstę – zemstę, za którą zapłacił życiem Esena. Nie rozumieli. Nienawidzili go za to goręcej jeszcze, niż on nienawidził ich żądań i żalosnych, rozbieganych spojrzeń. Ogarnęła go żarliwa pokusa zadania im bólu, chciał ich krzywdzić, dopóki nie zrozumieją. Zresztą czy naprawdę byli mu potrzebni?

# Spis treści

Karta tytułowa

Spis cyklu. Świetlisty Cesarz

Chiny, 1356

Część pierwsza

1. Na granicy pomiędzy królestwami Zhu Yuanzhanga i rodziny Zhang, 1356, ósmy miesiąc
2. Bianliang
3. Chanbałyk (Dadu)
4. Bianliang

Część druga

5. Yingtian
6. Chanbałyk
7. Taizhou
8. Pingjiang
9. Granica królestw Zhu Yuanzhanga i rodziny Zhang
10. Pingjiang
11. Chanbałyk
12. Okolice Pingjiangu
13. Pingjiang
14. Chanbałyk
15. Yingtian
16. Chanbałyk
17. Jezioro Poyang, okolice Nanchangu
18. Pod Dadu

## Część trzecia

19. Yingtian

20. Miasto Pałacu, Dadu

21. Dadu

22. Dadu

23. Miasto Pałacu (Dadu)

24. Sala Wielkiej Światłości (Dadu)

Mapa Cesarstwa Wielkich Yuanów

Karta redakcyjna

Okładka

# TEN, KTÓRY ZATOPIŁ ŚWIAT



Shelley Parker-Chan

Przełożył Grzegorz Komerski  
Ilustracje Przemysław Truściński

fabryka słów®

Warszawa

SPIS CYKLU  
ŚWIETLISTY CESARZ:

---

TOM 1: Ta, która stała się słońcem

TOM 2: Ten, który zatopił świat

*Bohater to człowiek, który chce być sobą.*

JOSÉ ORTEGA Y GASSET



Chiny, 1356

**W** dwudziestym trzecim roku panowania Togon-Temura, piętnastego wielkiego chana mongolskiego Cesarstwa Wielkich Yuanów, Mongołowie doznali z rąk wewnętrznych wrogów kilku bardzo dotkliwych porażek, wskutek których utracili kontrolę nad południową częścią imperium.

Jednak wystarczył zaledwie rok, by zrodzony na wrzącym południu ruch powstańców znanych jako Czerwone Turbany znalazł się na krawędzi zagłady wskutek błyskotliwych kampanii militarnych prowadzonych przez nieustraszonych obrońców cesarstwa: mongolskiego arystokratę, wielmożnego Esen-Temura z prowincji Henan, i służącego mu eunucha, generała Ouyanga. Niemniej wojska buntowników, dowodzone przez młodego byłego mnicha Zhu Chongbę, nie tylko przetrwały, lecz także zdołały zadać przeciwnikom straty tak poważne, że Yuanowie zostali zmuszeni do odwrotu.

Podczas gdy Esen-Temur i generał Ouyang zajęli się odbudową armii i zabiegami o wsparcie ze strony potężnej, lojalnej wobec mongolskich władców rodziny Zhang – kontrolującego wschodnie

wybrzeże cesarstwa klanu kupców solnych – Zhu Chongba piął się w strukturach powstańczej armii coraz wyżej. W jej szeregach znalazł zarówno sprzymierzeńców – Xu Da, związanego z Zhu braterską przysięgą, oraz Ma Xiuying, którą poślubił – jak i wrogów, nawet w gronie najważniejszych przywódców. Buntownicy, ośmieleni sukcesami w walce przeciwko Yuanom, mimo wewnętrznych podziałów przeszli do kontrataku i zajęli kilka strategicznie istotnych miast południa. Kulminacją ofensywy stało się zdobycie dawnej stolicy cesarstwa, położonego na granicy północy z południem Bianliangu.

Esen-Temur, działający w porozumieniu z rodziną Zhang, oraz generał Ouyang opracowali plan odbicia Bianliangu. Esen-Temur nie miał jednak pojęcia, że jego zaufany wódz i przyjaciel z dzieciństwa generał Ouyang zawarł z Zhangami inne, potajemne przymierze. Przy wsparciu generała Zhanga i rodzzonego brata Esen-Temura, wielmożnego Wang Baoxianga, zdradziecki eunuch zamordował w Bianliangu Esen-Temura, po czym przejął dowodzenie nad jego armią, z którą zamierzał ruszyć na stolicę imperium, by zemścić się na zabójcy swojego ojca: wielkim chanie.

Zdrada generała Ouyanga stała się dla Zhu Chongby okazją do dokonania własnego przewrotu. Bezwzględnie pozbył się pierwszego ministra oraz Księcia Światłości Czerwonych Turbanów, a następnie stanął na czele ruchu.

Leżące nad rzeką Jangcy miasto Yingtian młody mnich uczynił swoją stolicą. Przybrał też świadczące o cesarskich aspiracjach imię Zhu Yuanzhang – Świetlisty Król – i ogłosił się posiadaczem mandatu niebios.

Rodzina Zhang wyrzekła się lojalności wobec Wielkich Yuanów i obwołała swoje zasobne, położone na wschodnim wybrzeżu tereny niezawisłym królestwem ze stolicą w otoczonym potężnymi fortyfikacjami mieście Pingjiang.

Ostatni z byłych przywódców Czerwonych Turbanów, wytworny i kulturalny, a zarazem okrutny Chen Youliang, umknął



cało z rzezi w Bianliangu i zajął Wuchang, miasto położone w górę rzeki od ziem kontrolowanych przez Zhu Yuanzhangą.

Tymczasem, niezauważony przez wielu, wielmożny Wang Baoxiang przejął po nieżyjącym bracie tytuł księcia Henanu, a wraz z nim władzę nad największą z prowincji imperium Wielkich Yuanów.

Tak właśnie przedstawiały się sprawy świata w osiemdziesiątym piątym roku panowania władców wywodzących się z dynastii Kubilaj-chana, pierwszego wielkiego chana i założyciela wiecznego mongolskiego Cesarstwa Wielkich Yuanów.



CZĘŚĆ  
PIERWSZA



Na granicy pomiędzy królestwami Zhu Yuanzhang  
i rodziny Zhang, 1356, ósmy miesiąc

**S**prawa z pewnością nie wymaga przeciągłych rozważań. – Kobięcy głos dolatywał zza falującej na wietrze delikatnej firanki w oknie powozu. – Może udzieli mi odpowiedzi już teraz, Zhu Yuanzhangu? Obojgu nam zaoszczędzisz w ten sposób wiele czasu.

Nawet tutaj, z dala od morza, rozciągająca się pod wzgórzem równina płonęła bielą soli, zupełnie jakby bogactwo pasażerki powozu rozlewało się prącą od wybrzeża, niepowstrzymaną falą. Dawniej tę część pogranicza obu terytoriów zajmowało płytkie jezioro, jakiś czas temu unicestwione przez skwar południowego lata. Ponad pozycjami obu stron migotały kolorowe chorągwie. Żółte oznaczały buntownicze oddziały Świetlistego Króla. Zielone należały do wojsk kupieckiej rodziny Zhang, której przywódcy zerwali tej wiosny więzi z mongolskimi władcami i ogłosili się samodzielnymi panami soli i morskich szlaków wschodniego wybrzeża.

Zhu Yuanzhang, w złotej królewskiej zbroi, z połączoną drewnianą protezą w barwie identycznej, jaką miała trawa pod

kopytami jej wierzchowca, przyglądała się generałom stojących naprzeciwko siebie armii, idącym ku sobie niespieszonym, kulturalnym krokiem dyplomatów. Rzucane przez nich krótkie o tej porze dnia cienie rozcinały splekane podłoże.

Postronny obserwator nie dostrzegłby pomiędzy oboma oficerami wielu różnic. Dwa tradycyjne dla wojowników z ludu nanrenów skrzydlate hełmy, dwie lamelkowe zbroje z ciemnej skóry, w której przeglądało się słońce, i metalowe naramienniki w kształcie lwich łbów, skrzące się pod jasnym niebem niczym zwierciadła. Z punktu widzenia Zhu, dla której generał był bratem niemal pod każdym względem z wyjątkiem płynącej w żyłach krwi, odległe sylwetki były jednak równie odmienne jak oblicza dwóch ludzi. Xu Da, wyższy, zupełnie nie przypominający mnicha chłopak, szedł pełnym radości krokiem młodzieńca pragnącego za wszelką cenę skosztować wszystkich smaków świata. Natomiast generał Zhang był mężczyzną niższym, drobniejszym, a otaczała go aura ostrożnej rezerwy i pewności siebie człowieka, który życiowe doświadczenia gromadził dłużej niż Zhu i jej wódz razem wzięci. Zhu wciąż dobrze pamiętała, jak błyskawicznie Zhang przeszedł do działania, kiedy jego ród wypowiedział posłuszeństwo Wielkim Yuanom. W ciągu kilku miesięcy zajął wszystkie miasta położone na południe od Wielkiego Kanału i przeniósł stolicę Zhangów do warownego Pingjiangu, leżącego na wschodnim brzegu jeziora Tai. Obecnie jedynym, co dzieliło wschodnie ziemie Zhangów od królestwa Zhu, były równiny objęte wielkim zakolem potężnej, sunącej ku morzu rzeki Jangcy.

– Poddaj się mnie, ulegnij – podjęła kobieta z za firanki. Mówiła głosem gardłowym, cichym i zalotnym. Tonem przynależnym zacisznej alkowie, spowitym w aksamitną sugestię: jesteśmy dwójką nieznanym, rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy, lecz bardzo możliwe, że tylko chwile dzieli nas od najgłębszej intymności, jaka tylko może złączyć dwa ludzkie ciała.

Wybieg należał do tych, które działają wyłącznie pod warunkiem, że pozostaną niezauważone. Zhu, która nie tylko

podstęp wyczuła, lecz także miała się zawsze za osobę odporną na podszepty cielesnej żądz, z zainteresowaniem odnotowała, że poczuła coś w odpowiedzi. Kobiecość nigdy nie była jej mocną stroną, więc nie sądziła, że można ją wykorzystywać w charakterze broni. To było coś nowego. Fakt, że ktoś posłużył się tym orężem akurat przeciwko niej, wydał jej się w równej mierze zabawny i godny podziwu.

Tymczasem stojący na równinie generałowie z szacunkiem wymienili się ukłonami i oficjalnymi prośbami o kapitulację drugiej strony, po czym wycofali się. Ich stopy zostawiły w podłożu sinoniebieskie ścieżki.

– Bądź pozdrowiona, czcigodna pani Zhang – Zhu nareszcie zwróciła się do rozmówcy.

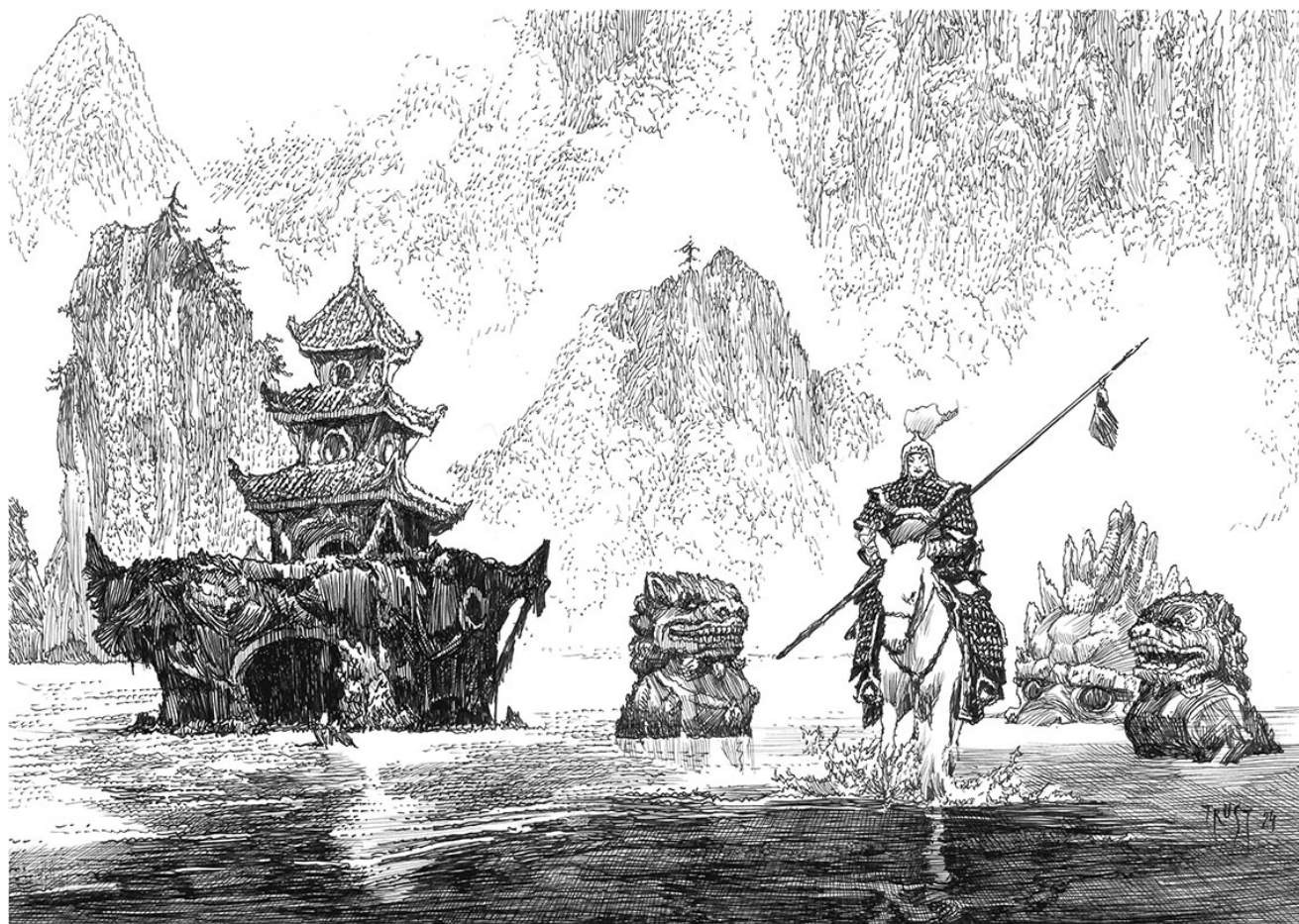
– Jak widzę, odmawiasz mi tytułu – rzuciła wyniośle kobieta.

– Dlaczego miałbym go stosować, skoro ty odmawiasz tego samego mnie? – odparła Zhu. Brzmienie tych słów sprawiło, że przeniknęła ją fala witalności. Radość poczucia władzy zmieszana z zabawą, równie pobudzająca jak słonawa woń w nosie i gorący dziki wiatr szarpiący sztandarami, szumiący wśród traw i spływający po zboczach wzgórza. – Być może powinienem skapitulować przed tym, kto naprawdę posiada ten tytuł – dodała po chwili tonem równie protekcyjnym jak pani Zhang. – Przed królem, twoim mężem. Wolałbym paktować z kimś równym sobie twarzą w twarz niż z jego czcigodną małżonką, której przyzwoitość każe kryć oblicze za zasłoną.

– Nie bój się. – Kobieta parsknęła sztucznym śmiechem. – Przede mną możesz skapitulować równie skutecznie. Wiem, jak znakomitą reputacją cieszy się mój mąż, ale największym atutem każdej kobiety jest męczyzna słaby, okiełznany i odpowiednio pokierowany. – Za cienką tkaniną poruszył się cień, jakby pani Zhang przysunęła się do okna. Jej obniżony głos zapraszał Zhu, by nachyliła się w siodle i przyłożyła ucho do szepczących warg tak blisko, by poczuć każdą wypowiedaną sylabę na skórze, jakby nie dzieliło ich nic. – Ciebie, Zhu Yuanzhangu, nie uważam za

mężczyznę słabego. Słaba jest jednak twoja pozycja. Jaką możesz mieć nadzieję na zwycięstwo? Dysponuję przeważającymi siłami i generałem, którego nawet budzący postrach mongolski wódz Ouyang uznał za równego sobie... Podдай się – ciągnęła. – Przekaż armię pod moje rozkazy. Zamiast czekać, aż Yuanowie pchną przeciwko nam wielkiego radcę i armię stołeczną, możemy pomaszerować na Dadu razem, ramię w ramię. Zdobędziemy ich stolicę i tron. A kiedy mój mąż zostanie cesarzem, obdarzy cię dowolnie wybranym tytułem. Chcesz być księciem? Proszę bardzo.

– Gdybym został księciem, autorzy przyszłych kronik z pewnością uznaliby mnie za wielkiego człowieka – odpowiedziała oschle Zhu.



Obie strony sprowadziły żołnierzy wyłącznie na pokaz. Przybyli tu na spotkanie, nie po to, by stoczyć bitwę. Zhu nie miała jednak

większych złudzeń co do swojego położenia. Jej armia, zdominowana przez oddziały piechoty odziedziczone po powstańczych siłach Czerwonych Turbanów, zasilona dodatkowo chłopskimi rekrutami, liczyła zaledwie połowę tego, co świetnie wyposażone, zawodowe wojsko Zhangów. A z wyłączeniem stołecznego Yingtianu żadne z miast, którymi władała na południu, nie mogło się równać z choćby najuboższym spośród powiązanych kanałami ośrodków gospodarczych Zhangów. Wynik ewentualnego starcia był jasny. Gdyby sytuacja się odwróciła, Zhu również uznałaby, że zwycięstwo ma w ręku, i domagałaby się kapitulacji dokładnie tak, jak czyniła to teraz rywalka.

– Czy nie tego właśnie pragniesz? – szepnęła pani Zhang. – Wielkości? – Brzmienie jej głosu pieściło niczym dotyk sunących po skórze palców. – Skoro tak, to przyjmij mnie, pozwól, że uczynię cię wielkim.

Wielkość. Zhu łaknęła jej przez całe życie. Z pewnością równie niezmacaną jak cień na solnej równinie wiedziała, że niczego innego nie zapragnie bardziej. Wyprostowała się w siodle i powiodła spojrzeniem na wschód, ponad rozległym królestwem Zhangów. Wiatr wiejący od strony dalekiego, płowego horyzontu zdawał się go przybliżać; podmuchy sprawiały, że ta abstrakcyjna linia stawała się namacalna, aż nazbyt konkretna. Osiągalna. Myśl ta przepełniła serce Zhu przenikliwą radością. Stojąc na tym wzgórzu, a jednocześnie szybując w przestworzach, odniosła dziwne wrażenie, że ogląda całą swoją przyszłość. Z perspektywy sunącego pod niebem orła nie dostrzegła na swojej drodze żadnych prawdziwych przeszkód, które zdołałyby ją powstrzymać, a jedynie niewielkie wyboje, na których w opętańczym pędzie do celu mogła się co najwyżej potknąć.

Czując wzbierający w duszy zachwyt, zwróciła się do pozbawionej twarzy kobiety za zasłonką:

– Nie chcę wielkości.

Z rozkoszą posmakowała chwilę milczenia, którą umysł pani Zhang wykorzystał na przetrwanie nowiny. Kobieta zastanawiała

się, jaki błąd popełniła w ocenie charakteru Zhu oraz z jakiej przyczyny nie powiodło się jej uwodzenie.

Zhu poczuła ból w kikucie, ciasna obręcz protezy uciskała zbyt mocno. Jednak ta niedogodność, podobnie jak codzienne reperkusje życia jednorękiego człowieka w świecie dwuręcznych, stanowiła po prostu cenę, jaką musiała zapłacić, by zrealizować swoje pragnienie, a Zhu była dość silna, by to wytrzymać. Była tak silna, że zniosłaby i zrobiła wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel.

– Zatem... – zaczęła pani Zhang.

– Nie chcę być wielki – powiedziała Zhu. Jej pragnieniem była świetlistość słońca, bezmiar przepelniający ją całą bez reszty. Czy ktoś poza nią w ogóle rozumiał, jak to jest poczuć coś tak potężnego, łaknąć czegoś całą swoją jaźnią i całym ciałem? – Chcę być największy.

Zerwał się wiatr. Po jałowej, martwej równinie przemknęły krystaliczne, skrzące się zmarszczki. Życiodajna sól w tak wielkich ilościach dławiła wszelkie przejawy życia.

– Rozumiem – odezwała się po chwili pani Zhang. W zalotnym tonie zabrzmiała nuta pogardy. Zhu ujrzała oczyma wyobraźni zatraskujące się drzwi prywatnej komnaty. – Zapomniałam, jak bardzo jesteś młody. Młodzi ludzie zawsze są nadmiernie ambitni. W twoim wieku człowiek nie zna jeszcze granic tego, co możliwe. – Pociągnięte lakierem paznokcie zastukały w wewnętrzną ściankę powozu, sygnał dla woźnicy. Kiedy koła drgnęły, pani Zhang dodała: – Jeszcze się spotkamy. Ale przedtem pozwól, że starsza kobieta coś ci poradzi. Przyjrzyj się mojemu generałowi, którego widzisz tam, w dole. Pomyśl o szacunku, jakim darzy go świat ze względu na sposób bycia, wygląd i zasługi. Naturalne miejsce człowieka takiego jak on znajduje się ponad głowami innych. Mądrze uczynisz, jeśli rozważysz, gdzie jest twoje naturalne miejsce, Zhu Yuanzhangu. Czy myślisz, że skoro świat ledwie może patrzeć na człowieka tak niedoskonałego jak ty, zaakceptuje cię na cesarskim tronie? Jedynie głupiec ryzykuje wszystko w imię tego, co niemożliwe.



Zhu odprowadziła spojrzeniem staczający się ze wzgórza powóz. Gdyby pani Zhang wiedziała, jak ogromna pod względem fizycznym jest niedoskonałość Zhu – w dziedzinie męskiej anatomii sięgająca znacznie dalej niż brak szerokich ramion i prawej dłoni – bez wątpienia uznałaby za niemożliwe to, czego dziewczyna dokonała już dotąd. Jednak człowiek zdeterminowany na tyle, by łąknąć niemożliwego, pomyślała na przekór kobiecie lekko rozbawiona Zhu, ma znacznie lepszy sposób na osiągnięcie celu: zmienić świat, sprawić, by niemożliwe stało się możliwym.

## Yingtian

Król i królowa bez przeszkód przechadzali się po otaczających pałac błoniach, gdyż wszyscy, którzy znaleźli się na ich drodze, ustępowali na bok i zginali się w ukłonach. Zajętych budową robotników była jednak taka obfitość, że Zhu przemknęło przez myśl, iż jest w tej chwili jak łódź przedzierająca się przez staw gęsto porośnięty wodorostami. Kiedy mijały kolejny budynek, którego ściany otaczało bambusowe rusztowanie, rzuciła z podziwem:

– Przecież nie wyjechałam na tak długo. Nie próżnowałaś.

– Oczywiście, że nie próżnowałam. – Ma Xiuying obdarzyła żonę głęboko urażonym spojrzeniem. – Kiedy zapowiedziałaś, że chcesz pałacu, który dorównywałby wspaniałością twojej wielkości, nie sądziłaś chyba, że zbuduje się sam?

Prace trwały nie tylko na terenie pałacu. Pierwszym, co Zhu ujrzała po powrocie do Yingtianu, były rosnące fundamenty nowych murów obronnych, a przejeżdżając spieczonymi słońcem alejami, oglądała długie szeregi młodych drzewek, które dadzą cień dopiero za kilkadziesiąt lat.

Ciepła letnia woń trocin i wiatr dokazujący swobodnie na placach budów; nieprzesłonięte niczym niebo, większe i bardziej błękitne niż wszędzie, gdzie dotąd przyszło Zhu mieszkać: atmosfera

nowości i zawartego w niej potencjału napawała ją radością sięgającą aż szpiku kości.

– Ty za to – dodała Ma – zapuściłaś się aż na granicę chyba tylko po to, żeby prężyć muskuły. – Mimo niewiarygodnej ilości haftowanego materiału zużytego na uszycie jej obszernej sukni dziewczyna szła żywym krokiem. Ponieważ jej przodkowie należeli do wiodących żywot nomadów semu, a stopy miała wielkie jak chłopka, poruszała się kilka razy szybciej od arystokratek nanrenów, drepcących po Yingtianie pod osłoną parasolek.

– Lepiej prężyć muskuły, niż doprowadzić do bezpośredniego starcia. – Zhu przyspieszyła, by nie zostać w tyle. – A pani Zhang rozumie to równie dobrze jak ja. Chciała, żebym się poddała.

– To rozwiązanie wcale nie byłoby od rzeczy. Dla was obu. Z którego to powodu, naturalnie, odmówiłaś – zauważyła cierpko Ma.

Było jasne, że dopóki będzie na świecie istniało cokolwiek większego niż to, co Zhu miała już teraz, właśnie tego musiała zapragnąć. I mogła się tego pragnienia wyrzec mniej więcej równie skutecznie jak oddychania.

– To ma sens w kontekście konkretnej sytuacji, obecnego stanu rzeczy. Wystarczy więc, że zmienię stan rzeczy.

– Och, tylko tyle? – zachnęła się Ma. – Skoro tak, to może przy okazji wymarzysz sobie dwakroć liczniejszą armię?

– Całkiem możliwe! – Zhu z błyskiem w oku spojrzała na żonę. – Ale do tego będzie mi potrzebna twoja pomoc.

– Moja pomoc? – Ma zatrzymała się w pół kroku i obrzuciła Zhu wymownym spojrzeniem.

– Cóż w tym dziwnego? Jesteś kobietą wielu talentów. – Dziewczyna wskazała na unoszące się i opadające młoty, na otaczający je chaos i pokrzykiwania. Zaraz potem przeszła na jeden z języków, których uczyła się w klasztorze (i których nigdy nie używała), i powiedziała bardzo niezgrabnie: – Znasz ujgurski, prawda?

Zdumiona Ma aż zdębiała.

– Z pewnością lepiej niż ty – odpowiedziała po chwili w tej samej mowie i parsknęła śmiechem.

Ujgurski był bliskim krewnym mongolskiego, przez co Zhu przypomniała sobie eunucha Ouyanga posługującego się językiem han'er. Jego wymowa z bezbarwnym obcym akcentem zawsze ją odstręczała. Jednak mówiącej po ujgursku Ma mogłaby słuchać całymi dniami: było coś zachwycającego w ciągłym odkrywaniu coraz to nowych twarzy dziewczyny, którą znała przecież tak dobrze.

– Minęło tyle lat, nawet nie wiedziałam, że jeszcze potrafię – Ma wróciła do han'er. Na jej twarzy odmalowała się nostalgia. – Kiedy dorastałam w Dadu, gdy ojciec był generałem armii stołecznej, w domu rozmawialiśmy po kipczacku. Z Mongołami mówiliśmy po mongolsku, a z innymi semu po ujgursku. Jeśli człowiek opanuje jeden język z tej trójki, nauka pozostałych przychodzi znacznie łatwiej. Ale han'er jest zupełnie inny. Kiedy ojciec przeniósł się do Anfengu i oddał mnie Guo, znałam może dwa słowa.

Ojciec dziewczyny zdradził Yuanów i przystąpił do powstania Czerwonych Turbanów. Potem jednak sam został zdradzony przez nowych towarzyszy i zginął z ręki generała Ouyanga. Zhu poczuła ukłucie smutku na myśl o życiu Ma z czasów sprzed ich spotkania. Tak wiele musiała wycierpieć. Niemniej nie potrafiła wykrzesać z siebie żalu z powodu śmierci ojca Ma ani obu Guo: Starego Guo i jego syna Małego Guo, pechowego narzeczonego Ma.

– Żaden z nich nie dostrzegł twoich zalet.

Widząc cień bólu przemykający przez twarz Ma, Zhu zdała sobie sprawę, że uwaga była zbyt bezduszna. Dziewczyna wciąż ich opłakiwała. Nie ze względu na to, kim dla niej byli ani jak ją traktowali, lecz po prostu dlatego, że byli ludźmi. Zhu nawet i teraz, okrągły rok po ślubie, nadal widziała w przepełniającym serce Ma współczuciu wielką tajemnicę. Czasami, gdy były razem, wydawało jej się, że zaczyna rozumieć – że zaczyna nawet podobnie czuć, jakby wibracje czułego serca dziewczyny rozbudzały w jej duszy empatię –

kiedy się jednak rozstawały, każdy taki moment okazywał się ulotny jak sen.

Zmieniła temat. Przez znakomitą część życia próbowała uciec przed własną przeszłością i wszystkie nieprzyjemnie lepkie emocje w rodzaju nostalgii i żałoby wciąż wzbudzały w niej niejasną chęć natychmiastowej rejterady.

– Czy mogłabyś wyszukać dla mnie kilkunastu semu, którzy mówią również po ujgursku? – rzuciła. – Chciałabym, żeby w miarę możliwości znalazły się między nimi kobiety. Aha, i jeszcze ze dwa wielbłądy.

Ku jej zadowoleniu prośba pozwoliła Ma otrząsnąć się z przykrych wspomnień. Dziewczyna obrzuciła Zhu zdumionym spojrzeniem.

– No co? Chyba każdy od czasu do czasu potrzebuje wielbłąda lub dwóch? Jestem pewna, że dzięki pochodzeniu poradzisz sobie z tymi bestiami bez trudu – dodała Zhu wesoło. – Potrzebuję też jedwabiu. Tyle bel, ile tylko zdołasz załatwić.

– A ja jestem pewna, że dzięki pochodzeniu świetnie radzisz sobie z żółwiami. Bo twoją matką musiała być stara żółwica! – odpowiedziała Ma z przekąsem. – Dobrze. Semu, wielbłądy, jedwab. Przy okazji zdobędę jeszcze słońce, księżyc i wszystkie sroki, które latają po Niebiańskiej Rzece. Kiedy wyruszasz?

– Tak szybko, jak to możliwe. Czeka nas długi marsz. Muszę poprosić Xu Da, żeby natychmiast rozpoczął przygotowania. Poza tym... – Zhu urwała. W pobliżu przemknęła gromadka pałacowych służek. Na widok Świetlistego Króla i jego małżonki dziewczęta padły na kolana i zgięły się w pełnych szacunku ukłonach. Zhu dobrotliwie pstryknęła na palcach, pozwalając im wstać. – Nie wyruszam, tylko wyruszamy.

Skonsternowana Ma ściągnęła brwi.

– Chyba nie masz mnie za równie głupią jak obaj Guo? Czy miałam przeoczyć fakt, że w moim własnym domu żyje kobieta rozlicznych talentów? – Własna śmiałość przyprawiła Zhu o dreszczyk emocji. – Zrobimy to razem.

Oczyrna duszy ujrzała przepiękne, chłodne niczym nefryt oblicze i wszystkie jej zmysły zareagowały, rozpoznając rysy człowieka, który nie był ani jednym, ani drugim. Kikut zaśpiewał wspomnieniem bólu.

– Zhu Yuanzhangu, co ty planujesz? – spytała Ma szeptem, uważając, by nikt postronny nie usłyszał, że zwraca się do Świetlistego Króla aż tak poufale.

– Potrzebuję jeszcze jednej armii – odpowiedziała Zhu z uśmiechem. – Ta, którą mam, to stanowczo za mało. Nową zdobędziemy w Bianliangu.

Na chwilę zapadła cisza.

– Ale eunuch... – zaczęła Ma.

– Nie martw się.

– Nie martwić się!?

– Nie mam zamiaru wmaszerować prosto w paszczę tygrysa. Wierz mi lub nie, ale doświadczenie tego i owego mnie nauczyło – zaśmiała się Zhu. – Ta misja obędzie się bez bitew. Musimy jednak działać szybko. Wyobraź sobie, że jesteś Ouyangiem. Całe dotychczasowe życie spędziłaś na wyczekiwaniu, udając lojalność wobec ludzi, którzy wymordowali całą twoją rodzinę. Ale teraz zabójcy już nie żyją, a przed tobą rysuje się realna możliwość wywarcia zemsty na człowieku osobiście odpowiedzialnym za wszystkie twoje cierpienia: na wielkim chanie. Spieszyloby ci się, czyż nie? Jedynym powodem – ciągnęła – dla którego generał Ouyang nie opuścił jeszcze Bianliangu, jest fakt, że wielki chan spędza lato w Shangdu, a do Dadu powróci dopiero w połowie jesieni. Ledwie eunuch usłyszy, że wielki chan wrócił do stolicy, wyruszy. Dlatego musimy dotrzeć do Bianliangu, zanim to nastąpi.

– Mówisz, że nie chcesz walczyć. Czyli co? Złożysz mu propozycję? – rzuciła nieufnie Ma. – Taką, jaką pani Zhang złożyła tobie?

– Niezupełnie. Ale zabawa będzie setna, obiecuję.

Zanim Ma zdążyła odpowiedzieć, coś potężnie huknęło i z miejsca, gdzie jeszcze przed momentem stał stary budynek,

podniosła się ku niebu chmura kurzu.

– Buddo, miej nas w opiece! Teraz wygląda gorzej niż poprzednio! – zawołała Ma, kiedy deszcz cegieł spadł na plac, na którym kiełkowały szkielety kilku nowych budowli. – Na pewno nie można było po prostu wszystkiego zostawić, jak było?

Powietrze zgęstniało od ceglanego pyłu zmieszanego z żółtym piachem. Wokół rozszedł się mroczny, znajomy, drażniący nozdrza aromat prochu ogniowego. Wpatrująca się w ten obłok Zhu ujrzała przelotną wizję Yingtianu przyszłości: lśniącej metropolii, miasta tak bezczelnie, tandetnie, wstrząsająco nowego, że wymazującego bez reszty wszystko, co istniało wcześniej.

Jej własna pieczęć odcisnięta na obliczu świata; namacalne potwierdzenie zmiany.

Ogarnęła ją upojna ekstaza prędkości: poczuła, że już teraz gna ile sił w nogach ku temu płowemu widnokręgowi.

– Nie trać wiary, Yingzi. Będzie wspaniale.



## 2

### Bianliang

Ciało Esena spoczęło wśród rozległych terenów zalewowych Żółtej Rzeki. Dzikie trawy, między którymi kołysały się jeszcze kwiaty z zeszłego lata, odzyskały dla siebie to, co przed wiekami stanowiło pola uprawne. Ze wszystkich miejsc, jakie Ouyang zdołał znaleźć, tutejszy pejzaż, nieskończone morze zieleni, najbardziej przypominał ojczysty step Esena. W oddali wznosił się nierówny, błękitnawy masyw: nie były to jednak góry, ale zniszczona skorupa dawnego pierścienia zewnętrznych murów Bianliangu. Generał Ouyang klęczał na podmokłej ziemi obok świeżej mogiły i czuł, że powoli tonie. Koniec końców wszystko dokoła miało zniknąć w podobny sposób: fortyfikacje miejskie, grób Esena, cały ten dziki krajobraz. A on sam miał zniknąć jeszcze wcześniej.

Wezbrał w nim ból. Od śmierci Esena nie zaznał ani jednej chwili wolnej od cierpienia. Każdemu oddechowi towarzyszył nieznośny impuls żałoby, pozbawiający go kolejnej porcji qi, energii wiążącej jego duszę z mięśniami, kośćmi i narządami wewnętrznymi. Czuł, jakby kawałek po kawałku zanikał najgłębszy

rdzeń jego jestestwa. Najgorszy jednak był ból pojawiający się falami, tak jak w tej chwili. Kiedy uderzał, Ouyang miał wrażenie, jakby wpadał w pułapkę pożaru – cierpienie wypalało do cna cały świat i pozostawiało jedynie stojący w ogniu umysł, wijący się kurczowo, szamoczący w niekończącej się, daremnej próbie ucieczki.

Generał klęczał, dygotał, płonął. Przez pewien czas był w stanie myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo pragnie, by wezbrały wokół niego żółte wody, by zalały i zagasiły jego ból, zmywając ciało do morza. To jednak było niemożliwe. Nawet unicestwiony przez cierpienie zdawał sobie sprawę, że otwiera się przed nim tylko jedna droga. Wiedział, że przetrwa – choć nie do końca rozumiał, jak to możliwe – po prostu dlatego, że przetrwać musiał. Lato dobiegnie końca, wielki chan powróci z letniego pałacu do stolicy, a Ouyang pomaszeruje na Dadu i zemści się na człowieku, który wplótł w osnowę świata przeznaczenie jego i Esena, który pozbawił ich możliwości samodzielnego wyboru drogi życia i śmierci. A zabójstwo wielkiego chana, ostatni, końcowy akt żywota generała, sprawi, że każda niegodziwość, jaką kiedykolwiek popełnił, i wszystkie udręki, jakie musiał znieść, nabiorą sensu i okażą się warte swojej ceny.

Wstał. Jego cień padł na trawę, która zatrzęsała się niczym wzruszona dreszczem, a gniazdujące w pobliżu skowronki poderwały się z łopotem do lotu. Nieco dalej, tam gdzie migotało na poły widoczne pasemko wody, kołysały się pałki wodne. Słońce wciąż grzało dość mocno, by wydobyć ich zapach, lecz czuć już było zbliżającą się zmianę pory roku. Lato miało się ku końcowi. Nadszedł już czas.

朱

Kiedy ujrzał przed sobą nietknięty wewnętrzny mur Bianliangu, słońce wisiało już znacznie niżej. Odnotował w duchu, przelotnie



i bez większej troski, że spędził poza miastem lwią część dnia.

– Generale Ouyang!

Czekający na niego jeździec zrównał wierzchowca z czarną klaczą Ouyanga tuż za bramą. Rozdrażniony nagłym wyrwaniem z zadumy generał rozejrzał się. Z szóstki wywodzących się z nanrenów oficerów, którzy wraz z nim zawiązali wymierzony przeciwko Mongołom spisek, pozostało jedynie trzech, z których komendant Geng był osobowością zdecydowanie najmniej wyrazistą. Nawet jego twarz, podobnie kwadratowa jak znak oznaczający „kraj”, zdawała się nie tyle zwierciadłem indywidualnej duszy, co świadectwem całkowitego oddania sprawie zwrócenia władzy w cesarstwie jego rdzennym mieszkańcom. Idąc za przykładem pozostałych oficerów, Geng nie splatał już włosów w mongolskie warkoczyki, ale z dumą wiązał je w tradycyjny dla nanrenów kok na czubku głowy. Ouyang zastanawiał się niekiedy, jak podkomendni oceniają fakt, że on sam nadal wiązał warkoczyki. Naturalnie, nawet gdyby okazało się, że patrzą na to krzywo, nie przejąłby się ani trochę. W przeciwieństwie do nich, nie mógł stać się na powrót prawdziwym nanrenem. Miał wrażenie, że ta tożsamość została mu odebrana, odcięta wraz ze wszystkim, co czyniło go mężczyzną.

– Generale, w sprawie komendanta Lina... – Oficer, podobnie jak wszyscy dowódcy armii, posługiwał się mową han'er, nie mongolskim. Jego błagalny wyraz twarzy dodatkowo pogłębił irytację Ouyanga. – Z całym szacunkiem, usilnie namawiam, żebyś się z nim w końcu spotkał i rozwiązał tę sytuację.

Bijące ze słów komendanta zniecierpliwienie nieco Ouyanga zaskoczyło. Osobiście nie był nawet pewien, który z oficerów to wymieniony Lin, a tym bardziej nie wiedział, dlaczego jego sytuacja domaga się osobistej interwencji wodza całej armii.

– Dlaczego zawracasz mi głowę? Niech zajmie się tym starszy komendant Shao.

Ouyang przypomniał sobie los dwóch z sześciu współspiskowców. Nie darzył Shao wielkim uwielbieniem, lecz

doceniał fakt, że kiedy pojawiał się problem z którymś z ludzi, jego zastępca zawsze potrafił go rozwiązać raz na zawsze.

Słuchając w tle nieustannych protestów Genga, generał dojechał przed dawną rezydencję mongolskiego gubernatora, gdzie urządzono kwaterę główną, i zeskoczył z konia. Gdy ruszył ku porysowanym drewnianym wrotom, bezpański pies podniósł łeb i cicho zawarczał.

Ouyang wiedział, co spowodowało reakcję zwierzaka. Wiedział też, dlaczego ptaki umykają przed jego cieniem, a płomienie przygasają, kiedy przechodzi obok.

Duchy.

W odróżnieniu od ludzi posiadających mandat niebios sam tych zjaw nie widział, lecz wiedział, że są realne. Nie odstępowały go nawet na chwilę. Od dnia śmierci Esena zaludniały jego sny: odziani w białe łachmany nieżyjący członkowie klanu Ouyangów wpatrywali się w niego pustymi, czarnymi oczyma, czekali, by ich wyzwolił.

Już wkrótce, pomyślał, ogarnięty świeżym płomieniem cierpienia.

朱

Kozia skóra gładko ustąpiła pod ostrzem noża. Ouyang wycinał pasek, który miał zastąpić przetarty element uzdy. Na niewielkim, ustawionym obok łóżka stoliku czekały narzędzia i świeca z pszczelego wosku. Naprawa uprząży należała do obowiązków koniuszego, lecz oczekujący wymarszu generał coraz częściej imał się prostych zajęć, z nadzieją, że dzięki temu czas upłynie mu szybciej.

Wsunął nóż w płomyk świecy. Rowki w skórze najłatwiej wycina się grzbietem nagrzanego ostrza. Zapatrzył się w nikły ognik i nagle, za sprawą jakiejś straszliwej alchemii, woń gorącego wosku, metalu i skóry zlały się we wspomnienie – nawet nie konkretny

obraz z przeszłości, co zrozumiał ze zgrozą, lecz w poczucie obecności Esena. Natychmiast obudził się ból.

Nie wiedział dlaczego. Ogarnął go desperacki instynkt, zwykły odruch wywołany bezmyślnym błaganiem o koniec cierpienia. Zanim w pełni uświadomił sobie, co robi, podwinął lewy rękaw i przyłożył płaz rozgrzanego noża do skóry.

Tak, zabolalo. Otępiały z bólu, wpatrywał się w przedramię. Rwało tak okrutnie, że wypaliło mu z głowy całą żalobę, pozostawiając po sobie jedynie rozżarzony do białości krzyk.

Ouyang znalazł tę odmianę bólu. To właśnie rozpalony nóż uczynił go tym, kim był, zanim jeszcze został żołnierzem, nawykłym do wszelkiej odmiany cielesnych przykrości. Generał wiedział, że taki ból – w odróżnieniu od tego innego – można przeżyć. Jęknął i oderwał stal od ciała. Na skórze pozostał wściekle czerwony pas, biegnący równolegle do bransoletki wykonanej ze złotych i nefrytowych koralików, które do niedawna zdobiły włosy Esena. Ouyang poczuł, że znika w tej świeżej ranie. Zamiast płonącego umysłu był teraz gorejącym ciałem, a wewnątrz tego ciała było wolne od wszystkiego, czym był i co kiedykolwiek czuł.

Nie miał pojęcia, jak wiele czasu tak po prostu trwał, szybował. Zapewne sporo.

– Generale...

Ouyang drgnął i odwrócił się. W drzwiach stał Shao. Czy długo tu czekał? Zapomniana uzda nadal leżała na kolanach generała. Skrępowany zsunął rękaw, zasłaniając oparzenie i bransoletkę. Rana wciąż paliła.

Shao wszedł głębiej. Widocznie uznał, że kilka razy powtórzone w plecy dowódcy słowo „generale” w pełni zastępuje zaproszenie. Za nim pojawili się Geng i komendant Chu, kolejny członek pierwotnej grupy spiskowców. Ouyang wstał z łóżka. Bez pancerza, przyćmiony bólem, odniósł wrażenie, że nie czeka go zwyczajna rozmowa, ale konfrontacja. Znienacka wyraźniej poczuł ciężar trzymanego w dłoni noża.

– Generale Ouyang! – podjął Shao. Nie zasalutował, a jego spojrzenie opadło na ostrze. Usta oficera, ironicznie wykrzywiona linia, skojarzyły się generałowi z cięciem miecza. Shao jednak zawsze tak wyglądał. Nic nie świadczyło o tym, że widział, co przed chwilą zrobił sobie dowódca. – Czy otrzymałeś moją wiadomość?

Ouyang przypomniał sobie nagle, że jakiś czas temu rzeczywiście ofuknął jakiegoś młodego żołnierza. Kiedy to było? Chyba rankiem. Teraz było już sporo po południu.

– Skoro już przyszedłeś, możesz powtórzyć – rzucił krótko. – O co chodzi?

– Komendant Lin i jego oddział inżynierów nie stawili się dzisiaj do raportu. – Shao nigdy nie domykał ust. Nawet kiedy milkł, jego wargi zawsze pozostawały nieznacznie rozchylone, jak u ryby gotowej chwycić zębami zdobycz.

Czy to Geng wspomniał któregoś dnia o komendancie Linie? Może raczej Chu.

– I?

– Komendant Lin, który przed trzema dniami prosił cię o rozmowę na temat swojego niezadowolenia, rozmowę, której się nie doczekał, zdezerterował.

– Czy nie mamy trzech innych kompanii inżynieryjnych? – Ouyang z niechęcią spojrział Shao prosto w oczy. Kwestie stanu osobowego nie interesowały go ani trochę. Tak bardzo chciał, by zostawili go już w spokoju. – Nie widzę problemu.

Geng i Chu niepewnie przestąpili z nogi na nogę, lecz Shao nie dało się zbyć ostrym tonem.

– Wyczekiwanie źle służy najlepszej nawet armii – stwierdził po chwili. – Twoja armia składa się z poborowych, którzy całkiem niedawno brali udział w dokonanym z zimną krwią mordzie własnych dowódców. Stracili wszelkie perspektywy na otrzymanie żołdu. A teraz zobaczyli, jak setka ludzi odchodzi jakby nigdy nic. Wierz mi, nie zostaną przy tobie z czystej lojalności. – Beznamiętne brzmienie wypowiedzi zgrabnie maskowało odczuwaną przez Shao wzdrgę. Oficer w oczywisty sposób był zdania, że eunuch, ktoś taki

jak Ouyang, nie ma szansy na zdobycie szacunku prawdziwych mężczyzn, co dopiero mówić o ich lojalności. – Jeżeli chcesz ich zatrzymać, musisz sprawić, żeby uznali, że to się opłaca.

– Powinna im wystarczyć idea wyzwolenia nanrenów spod mongolskiego jarzma – odparł sucho Ouyang.

Usta Shao wykrzywiły się jeszcze bardziej. Nie był człowiekiem ideowym.

– Nie zapominajmy, że nawet najbardziej oddani sprawie żołnierze są także zwyczajnymi ludźmi i mają na utrzymaniu rodziny – wtrącił Chu, człowiek, który od początku znajomości budził w Ouyangu niewysłowioną irytację. Jego okrągła, kojarząca się generałowi ze świstakiem twarz, przesadna łagodność, zbyt lekki i cichy chód, wszystko to drażniło generała w stopniu granicznym z żądzą krwi.

– Każdy pamięta chyba zeszłoroczne powodzie – dodał Geng. – Praktycznie wszyscy chłopcy w Henanie stracili całoroczne dochody. Dla tych z nas, którzy mają ziemie na włościach księcia Henanu, nie było to tak dotkliwe, bo wielmożny Wang odpuścił nam długi. Jednak gdzie indziej ludzie naprawdę cierpieli. Jeżeli wypłacisz żołnierzom cokolwiek, co będą mogli odesłać rodzinom, złoto, jedwab, sól, zostaną.

Ouyang wygrzebał z pamięci niewyraźne wspomnienie dnia, kiedy Wang Baoxiang pożyczył od niego żołnierzy do kopania rowów. Rzeczywiście, wielmożny Wang był obecnie księciem Henanu. Pozbywszy się Esena i Ouyanga, bez wątpienia spędzał czas na przeliczaniu złota i wychowywał swoich chłopów w duchu nieustannego zwiększania wydajności. Myśl o tym, że wielmożny Wang może z powodu wszystkiego, co zaszło, być teraz człowiekiem szczęśliwym, sprawiła, że generałowi żółć podeszła do gardła.

– To rozważania czysto teoretyczne. Nie mamy złota. Ani jedwabiu czy soli.

– Zawsze możemy je zdobyć – zauważył opryskliwe Shao. – Mamy w zasięgu kilka miast Zhu Yuanzhang. Kiedy przeniósł stolicę z Anfengu do Yingtianu, wydatnie osłabił pogranicze.

– Mielibyśmy opóźnić wymarsz na Dadu? – wyrzucił z siebie Ouyang. – Nie. – Myśl o jeszcze dłuższym oczekiwaniu wzbudziła w nim dławiącą wściekłość. – Dość! Stwórzcie oddział lekkiej jazdy. Dopadnijcie dezerterów, obedrzyjcie ich co do jednego ze skóry, a trupy wywieście na murach. Skoro żołnierze potrzebują zachęty, żeby zostać, może ta wyda im się przekonująca.

Odwrócił się do gości plecami i usiadł. Płomień dopalającej się świecy zakołysał się i przygasł. Generał ponownie zaczął ogrzewać nóż. Kiedy ostrze było dostatecznie gorące i Ouyang sięgnął znowu po uzdę, był już w pokoju sam.

朱

– Dlaczego tu wszędzie walają się potrzaskane dachówki? – warknął Ouyang, wchodząc do sali pełniącej rolę siedziby sztabu. Z jakiegoś powodu dziedzińce rezydencji gubernatora przypominały place miasta nawiedzonego przez trzęsienie ziemi.

Shao, Geng i Chu przerwali ściszoną rozmowę i podnieśli spojrzenia.

– Służę odpowiedzią – rzucił z fałszywą uprzejmością Shao. – Żołnierze okazują w ten sposób wdzięczność za najnowsze dekoracje, jakimi ozdobiłeś miasto. Wychodzi na to, że dachówki rzuca się łatwiej niż kamienie.

Gorący wiatr przywiał z zewnątrz kwaskowatą woń. Padlina, szambo i dym. Ouyang jednak miał mocny żołądek. Zmierzył Shao ostrym spojrzeniem.

– Natomiast do dalszych aktów dezercji nie doszło. Wiadomość, jak widać, dotarła.

– Nie inaczej – rzucił sardonicznie Shao, po czym podał generałowi tubę z wiadomością. – Najnowszy raport z północy. Będziesz zadowolony.

Serce Ouyanga przyspieszyło tak raptownie, że wyciągając list, niemal go upuścił. Z najwyższym trudem zdołał skupić się na tyle, by

odczytać znaki mongolskiego pisma. Z góry wiedział, co zawiera wiadomość.

– Wielki chan powrócił z letniego pałacu. Jest już w Dadu. – Emocje sprawiły, że jego głos wzbił się na ten okropny wysoki rejestr. Tym jednak przestał się przejmować już jakiś czas temu. Los sprawił, że stał się podobny do zafajdanych obłąkańców krążących po ulicach z całkowitą obojętnością na ludzką odrazę. – Nareszcie. W końcu możemy opuścić ten grajdół. Starszy komendancie Shao! Przygotuj wojsko do wymarszu.

Zostawił podkomendnych przy pracy. Ogarnęła go dziwna lekkość. Ruch nie sprawiał, że walka z bólem wymagała mniej wysiłku, lecz teraz mógł przynajmniej wierzyć, że cierpienie znajdzie wreszcie swój kres. Wystarczyło tylko jeszcze trochę wytrzymać. A potem nadejdzie ulga.

– Generale... – dopiero kiedy doleciało go to słowo, uświadomił sobie, że Shao wyszedł w ślad za nim.

Stał na pustym, długim korytarzu. Odwrócił się zaskoczony i spojrzał prosto w pełną nienawiści twarz zastępcy. Ta mina mocno Ouyanga zaskoczyła. Nigdy nie lubił Shao i niechęć ta posunięta była do tego stopnia, że wydawało się, iż wszystkie ich kontakty odbywały się w złej wierze, lecz zastępca zawsze dotąd udawał, że akceptuje generała jako swojego przełożonego. Tak śmiała demonstracja negatywnych odczuć była zjawiskiem nowym i niepokojącym.

– Posłuchaj mnie – zaczął chłodnym tonem Shao. – Wiem, że gównu cię obchodzi, czy wyjdiesz z Dadu żywy, ale nie możesz tego okazywać z taką beztroską. Jak sądzisz, jak zareagują żołnierze, kiedy zorientują się, że prowadzisz ich na samobójczą misję? Jeżeli morale pogorszy się jeszcze bardziej, nie zdołamy nawet dotrzeć do Dadu, a o spotkaniu z wielkim chanem będziesz mógł najwyżej pomarzyć. Chcesz się przekonać, jak bardzo jest źle? Wyjdź za bramę, a zobaczysz, jak cię podejmą. Jedno zdradzę ci już teraz. Nie spodziewaj się wiwatów.

– Nie chcę, żeby wiwatowali – odparł rozgnionym w okamgnieniu głosem Ouyang. – Wystarczy, że będą posłuszni. Już nie raz wymuszałem ich posłuszeństwo i zrobię to ponownie – dokończył.

Tym razem jednak Shao, zamiast z szacunkiem odwrócić wzrok, hardo spojrział mu w oczy. W obliczu tak jawnej buty Ouyanga ogarnęła nagle potrzeba zadania bólu. Korciło go, by okiełznać zastępcę w taki sam sposób, w jaki podporządkowywał sobie poborowych. Batem.

– Shao Ge, tak się niekiedy zastanawiam. Nie posiadasz jeszcze mandatu niebios, prawda? Wygląda na to, że nie spieszy się, żeby do ciebie przyjść. Czy powinienem uznać to za znak, że czas rozejrzeć się za innym partnerem w tym przedsięwzięciu?

Nigdy dotąd nie rozmawiali otwarcie o tym, co Shao miał dzięki ich współpracy zyskać. Lecz przecież, stwierdził w duchu zdjęty odrazą Ouyang, nie jest to żadna tajemnica.

– Nie zwiedzisz mnie blefem. – Wargi oficera zbieleły. – Wiem, jak bardzo zależy ci na dotarciu do Dadu. Nawet przez chwilę nie myśl, że dokonasz tego beze mnie i bez tej armii.

Spojrział na Ouyanga z góry. Teraz, kiedy nie siedzieli na końskich grzbietach, różnica wzrostu między nimi była jeszcze bardziej dobitna. Lodowate spojrzenie Shao skojarzyło się generałowi z tamtym deszczowym dniem spędzonym na grze w weiqi, kiedy po raz ostatni widział żywych komendantów Yana i Baia. Gdy wyrazili swoje wątpliwości co do planu, Ouyang chciał ich po prostu zwolnić, lecz Shao miał w tej kwestii odmienne zdanie. Nawet wtedy nie był lojalnym człowiekiem generała. Zawsze był wierny wyłącznie sobie.

Jedynym czynnikiem przeważającym nad wzajemną niechęcią był fakt zrozumiały dla nich obu: byli sobie po prostu potrzebni.

– W tej chwili to ja dowodzę – podjął Ouyang. – Bądź posłuszny, a obędzie się bez kłopotów. Przygotuj wojsko do wymarszu, choćbyś musiał w tym celu połowę ludzi zachłostać na śmierć na oczach drugiej połowy. – Nawet nie próbował ukrywać wyraźnej w głosie



wzgardy. – A kiedy dotrzemy do Dadu, osobiście przypilnuję, żebyś zasiadł na tronie.



**A** więc to ty zostałeś nowym księciem Henanu. Musimy przyznać, że twój brat pasował nam bardziej. Wang Baoxiang ostrożnie podniósł głowę i ujrzał ożywiający niemrawą twarz wielkiego chana znajomy wyraz obrzydzenia. Uznał to za swego rodzaju osiągnięcie. Wszystko w osobie władcy stawiało jeden wielki opór przed zmianą, jakby był głazem, który pod własnym ciężarem zapadał się z każdym rokiem głębiej w górskie zbocze. Ociężałe policzki syna niebios kierowały spojrzenie ku długim uszom, które z kolei zmuszały do zerknięcia na opadające pętle warkoczyków. Za głową wielkiego chana ziewały złote smoki, wijące się na pokrywających drewniany tron rzeźbieniach.

Po powrocie do Chanbałyku dwór zastał stolicę w uścisku zaskakująco upalnej jesieni. Nieznośnej sytuacji nie poprawiały nawet strzeliste dachy Sali Wielkiej Światłości. Baoxiang czuł na języku kwaśny smak pustyni. Smak północy. Wiedziony skłonnością do przekory, założył na pierwszą audiencję swoją ulubioną szatę w kolorze sałaty: ekstrawaganckie, krzykliwe dzieło sztuki

krawieckiej, które jego ojciec darzył niewiarygodną wręcz nienawiścią. Teraz, pocąc się w tym ciężkim, zimowym stroju, czuł silne zawroty głowy. Mdlejąc przed obliczem władcy, nie przybliżyłby się jednak do upragnionego celu. Wysunął więc z rękawa wachlarz i zamachał nim przed twarzą. Jakby w odpowiedzi, zafalowały pokryte srebrnymi panelami ściany. Nierówności kutego metalu rzucały stanowczo zbyt wiele refleksów, miało się wrażenie, że w cienistych zakamarkach sali snują się blade postacie.

Wielki chan śledził wzrokiem miękkość ruchów wachlującej ręki Baoxianga. Mina syna niebios skwaśniała jeszcze bardziej. Księżę Henanu widywał takie spojrzenia przez całe życie, jakby sama jego obecność stanowiła dla innych obrazę. Jakby jego uporczywa, zatwardziała zniewieściałość była plamą na ich honorze.

Wezbrała w nim furia. Ostatnio – od czasu wiadomych wypadków – postrzegał gniew na podobieństwo wypełniającego mu serce wiecznie rozkołysanego mrocznego morza. Wystarczało niewielkie wzburzenie, by cały ten oceaniczny potencjał przeradzał się w tsunami wściekłości i nienawiści. Trudno mu było wyobrazić sobie, że kiedyś był inny. Ubóstwiał te ogarniające go bez reszty czarne emocje. Ubóstwiał ich niszczycielską, pochłaniającą moc. Rozkoszował się świadomością, że będą płonąć w nim już zawsze, ponieważ w odróżnieniu od innych uczuć gniew jest niewyczerpany i nieskończony. Wyobraził sobie, że nasiąka pogardą wielkiego chana, któremu rzucił zachęcający szeroki uśmiech: bardzo proszę, napiętnuj mnie.

Pogarda tchnęła nie tylko od władcy. Z krzeseł ustawionych stopień niżej od smoczego tronu spoglądały ku Wangowi trzy inne nieprzyjazne twarze. Księżę Henanu rozpoznał w nich wielkiego radcę, głównodowodzącego stołecznej armii Wielkich Yuanów, i ulubioną małżonkę wielkiego chana, wielmożną Ki. Nie zaszczycali go swoją uwagą. Ale trzecia z nich? Ta była nim ogromnie zainteresowana. Ziejąca od kobiety nienawiść dosłownie

policzkowała Baoxianga. Na głowie cesarzowej kołysał się wysoki czerwony kapelusz mongolskiej arystokratki, a skryta w cieniu twarz o policzkach porcelanowej lalki obiecywała zemstę. Zemstę, w której nie będzie nic poetyckiego. Nienawiść kobiety domagała się rozszarpania obiektu uczuć na strzępy i wylania jego wnętrzości na ziemię.

Zdawał sobie sprawę, że na taką nienawiść zasłużył, choć jej przyczynę pamiętał mgliście. Och tak, wiedział, co zrobił: zniszczył Altana, młodszego brata cesarzowej, i okrył cały jej ród piętnem zdrady. Zostało mu po tym jedynie odległe wspomnienie doskonałej zabawy. Jednakże wszystko, co nastąpiło później, wyryło mu się w pamięci niczym wypalone żelazem znamię. Wydziedziczenie. Fałszywe pomówienie o zabójstwo ojca. Chwile, kiedy został wepchnięty, nieświadomy i bezwolny – przynajmniej początkowo – na ścieżkę wiodącą do śmierci brata.

Jego brat. To było coś więcej niż lekkie wzburzenie. Wybuch gniewu pochłonął go całego. Esen, ideał księcia wojownika. Człowiek, który ciałem, duchem i umysłem uosabiał mongolską kulturę i który aż do śmierci nie doświadczył ze strony świata pogardy, odtrącenia ani niczego innego niż miłość. Człowiek, który odwzajemniał się światu własną miłością, obejmującą nawet jego zabójcę, ogarniającą każdego z wyjątkiem osoby, w której nikczemność wierzył ponad wszelką wątpliwość.

Baoxiang nie był winny ojcobójstwa. Kiedy jednak dotarł na koniec tej drogi, stał się dokładnie tak nikczemny i niegodziwy, jak od zawsze uważał Esen. Dowiódł, że jest godzien nienawiści.

Dał znak ręką i naprzód wystąpił odziany w obszarpany strój sługa, na którego zaciśniętej pięści siedział złoty orzeł. Wang czuł się pijany gniewem. Był niemal pewien, że nikt tego nie widzi.

– Wielki chanie, twój nędzny sługa byłby zaszczycony, gdybyś przyjął ten oto mizerny dar! Tobie musi się jawić jako bezwartościowy, ale była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał mój brat Esen-Temur. Mój brat darzył Wielkich Yuanów niezmierną miłością i oddał w służbie cesarstwa własne życie. Ośmielam się

więc żywić nadzieję, że wspomnienie jego lojalności zadowoli Jego Wysokość.

– Chcesz wręczać wielkiemu chanowi śmiecie po umarłym? – rzuciła jadownicę cesarzowa. Wierzchołek jej strzelistego kapelusza nachylił się gwałtownie, podobny do atakującego rozjuszonego strusia. Mimo zajmowanej na dworze pozycji była zupełnie przeciętną Mongołką: okrągła twarz, różowe policzki, wargi pociągnięte wewnątrz szminką, przez co jej usta wydawały się jeszcze bardziej ściągnięte niż w rzeczywistości. Dla nikogo nie było tajemnicą, że cesarzową została dzięki wsparciu finansowemu, jakiego jej ojciec, gubernator wojskowy Shanxi, udzielał coraz bardziej pustemu skarbcowi stolicy. Wszyscy wiedzieli również, że wielki chan nie okazuje jej żadnych względów, wyraźnie faworyzując wielmożną Ki. – Książęta Henanu byli niegdyś wystarczająco zamożni, żeby fundować całe armie, a ciebie nie stać nawet na jeden stosowny podarek dla wielkiego chana? – Żmijowe oczy kobiety dokonały wiwisekcji bladego sługi Baoxianga. – Nie mów mi, że wraz z honorem straciłeś rodowy majątek.

W sali zaszła subtelna przemiana: ktoś zwrócił uwagę na potknięcie wroga. Wielmożna Ki nachyliła się w krześle i obdarzyła księcia ciepłym uśmiechem. Przeobrażenie było oszałamiające: z wyniosłego niesmaku w niezmacony wdzięk. Baoxiang jednak nie miał złudzeń, że przemiana ma jakikolwiek związek z jego osobą.

– Książę Henanu zaszczycił nas wspaniałym podarkiem – stwierdziła faworyta syna niebios. Wyraźny w jej mongolszczyźnie akcent Goryeo brzmiał ujmująco. Jako matka dorosłego księcia, od dawna nie cieszyła się już młodością, lecz jej wytworność natchnęła Baoxianga myślą, że gdyby odwrócił wzrok, mogłaby przybrać swoją prawdziwą postać: świetlistego klejnotu lub białego żurawia. Ukryty w uśmiechu sztylet jej uwagi skierował się ku cesarzowej. – Prezent kosztowny może przynieść byle zamożny prostak. Tu tymczasem widzimy podarek nieoceniony, prawdziwy dar serca.

– Lojalność Esen-Temura była zaiste niezmierną. – Głos młodego mężczyzny doleciał od drzwi. – Czy jednak można to samo

powiedzieć o jego rozsądku? – Do środka wmaszerował barczysty arystokrata w wymiętym jedwabnym stroju jeździeckim, obrzucając Baoxianga przelotnym, pełnym odrazy spojrzeniem. – Tylko idiota mógł zaufać temu podłemu eunuchowi, tej suce manji na tyle, żeby powierzyć mu dowództwo armii. W pełni zasłużył na swój los. – Zatrzymał się przed tronem i złożył władcy zdawkowy ukłon. – Bądź pozdrowiony, wielki chanie. Bądź pozdrowiony, wielki radco, i wy, cesarzowo i wielmożna Ki.

Syn niebios zmierzył młodzieńca niechętnym spojrzeniem. Cesarzowa zapomniała o Baoxiangu i odezwała się zjadliwym tonem:

– Jakąż to ważką sprawę miał trzeci książę, ciekawa jestem, że odważył się kazać wielkiemu chanowi czekać?

Trzeci książę, jedyny żyjący syn wielkiego chana i jego przypuszczalny następca, wyprostował się niezrażony i zwinnym ruchem odrzucił z zarośniętej twarzy warkocze. Wyraziste, podobne kształtem do łuku usta chłopaka kojarzyły się Baoxiangowi z dziwnymi, okrutnymi w wyrazie obliczami posągów Buddy z południowego wasalnego państwa Cham. Był w tej chwili znacznie wyższy, niż kiedy Baoxiang widział go ostatnim razem, półtora roku temu, na zwieńczonych katastrofą wiosennych łowach wielkiego chana. Zniknął chłopiec, ujawnił się mężczyzna. Aczkolwiek, zupełnie jak młody chłopiec, wciąż czekał w progu. Czekał na mandat niebios, na tytuł księcia koronnego. W przypadku trzeciego księcia mandat spóźniał się tak bardzo, iż nawet arystokraci z prowincji szeptali, że obdarzony łaską niebios potomek władcy dopiero musi się narodzić. Ostatecznie cesarzowa wciąż była młodą kobietą.

Wielmożna Ki prawie nie spojrzała na syna. Pieszcząc władcę oczyma, wyszeptwała:

– Słyszałam, że trzeci książę spędził poranek na polowaniu. Jestem pewna, że spóźnienie to jedynie skutek próby dorównania wielkiemu chanowi pod względem sukcesów łowieckich. Niestety,

osiągnięcia syna niebios są tak wielkie, że pozostali mają kłopot, żeby go doścignąć.

– Czyżby? – Mina władcy złagodniała. – Nie było naszym zamiarem utrudniać nikomu życia. A jego łowieckie wysiłki winniśmy wspierać – stwierdził i dodał już głośniejszym głosem: – Orła Esen-Temura przekazujemy synowi wielmożnej Ki, trzeciemu księciu!

Faworyta wielkiego chana wdzięcznie ukloniła się w krzesło, a trzeci książę uśmiechnął się pod nosem, podszedł do sługi i pogładził siedzącego na jego ręku zakapturzonego ptaka. Nie patrzył jednak na orła. Przyglądał się Baoxiangowi. Jego sylwetka tchnęła ledwie skrywaną agresją, która księciu Henanu przywiodła na myśl młodego jelenia demonstrującego światu pierwsze poroże. Przeszył go znajomy dreszczyk zagrożenia.

– Bądź pozdrowiony, trzeci książę – uklonił się.

– Książę Henanu! – Ociekający pogardą, przenikliwy wzrok arystokraty nie opuszczał Baoxianga nawet na moment. Młodzieniec z odrazą spoglądał na wszystko, co bodło jego poczucie dobrego smaku: włosy Baoxianga, związane na modłę nanrenów w koczek na głowie, długi, niemongolski nos i gładko ogolone, chude policzki. Elegancką szatę i miękkie dłonie uczonego.

Baoxiang przypominał sobie to spojrzenie. Poczul je na sobie w czasie wiosennych łowów. Niemal identycznie patrzyli na niego inni młodzi mężczyźni, tuż zanim zaczęli bić. Niemal, ale nie całkiem.

Okraszone chłopięco długimi rzęsami oczy trzeciego księcia podniosły się na powrót ku twarzy księcia Henanu i załśnił w nich wstręt.

– Pamiętam cię.

Nie wątpię, pomyślał zadowolony Baoxiang, czując w sercu falujące morze czerni. Ja ciebie też pamiętam.

Dłoń trzeciego księcia zastygła na orlim grzbiecie. Kształt palców chłopaka cechowała niezgrabność właściwa ludziom, których ciała nie osiągnęły jeszcze ostatecznego kształtu.

– Rzeczywiście nie przypominasz swojego brata. Niemniej jestem pewien, że nie możesz być aż tak bezwartościowy, jak wszyscy powtarzają. Mogę prosić cię o drobną przysługę, prawda? – Okrutne usta młodzieńca złożyły się w uśmiech spragnionego przemocy drapieżcy. – Przytrzymaj orła, żebym mógł założyć rękawicę.

Baoxiang cofnął się nagle do ojcowskiej stajni, gdzie dwunastoletni Esen posadził na jego drobnej, okrytej rękawicą pięści jastrzębia. W nosie czuł woń trocin i suchego, zwymiotowanego futra. Próbował zapanować nad strachem, lecz gwałtowne ruchy ptaka napawały go pierwotnym rodzajem przerażenia. A im bardziej się bał, tym bardziej gniewnie tańczył na jego rękę jastrzęb. Tańczył, aż wreszcie spadł i zawisł do góry nogami na rzemieniu, przeraźliwie przy tym skrzecząc. Mały Baoxiang tymczasem po prostu stał rozdygotany, kiedy nabrzmiały frustracją Esen uspokoił i wyplątał ptaka. Baoxiang najbardziej zawstydził się wtedy własnej głupoty. Tego, że śmiał mieć nadzieję, że brat uspokoi i jego. Że jego strach okaże się dla Esena równie istotny jak ptasi.

– Wyciągnij rękę – podjął półgłosem trzeci książę.

Baoxiang spuścił z szacunkiem wzrok i poczuł przypływ pogardy. Okrutna dziecinna zabawa, naznaczona podobnie dziecięcym brakiem świadomości, jak bardzo się przy tym odsłania, jak bezbronny się staje. Zadowolenie księcia Henanu weszło na wyższy poziom, wyostrzyło się, przystroiliło w okrucieństwo. Wiem, co robisz, pomyślał.

Wyprostował lewe ramię. Za jedyną ochronę miał jedwabny rękaw. Jednak sprzeciw nie miałby sensu. Nie ująłby się za nim nikt z obecnych. Wiedział, że wszyscy czekają na ten moment równie gorąco jak trzeci książę: chcieli zobaczyć, jak Baoxiang ponosi zasłużoną karę za własne istnienie.

Zaniepokojony ptak, posadzony znienacka na nowej, dziwnej grzędzie, zacisnął mocno szpony, grube jak ludzkie palce. Wszystkie przebiły delikatny rękaw. Nie skaleczyły skóry. Jeszcze nie. Baoxiang



wiedział jednak, co drapieżne ptaki potrafią zrobić swoim ofiarom. Mimo że naprawdę się starał, poczuł pierwsze przebłyski strachu.

Trzeci książę odebrał rękawicę od sługi i naciągnął ją powoli na rękę. Obserwował księcia Henanu bez skrępowania, uważnie, jakby wraz z obrzydzeniem rosła w nim ciekawość widowiska. Baoxiang próbował nie zwracać uwagi na drżenie ptasich pazurów, nie patrzył na rozchylony dziób. Czuł, jak zlewa go zimny pot. Trzeci książę chciał go tylko przerazić, nie okaleczyć – świadomość ta wcale jednak nie uśmierzała strachu. Był słaby i zalękniony, a co gorsza, wstydził się swojej słabości i lęku. Był dokładnie taki, za jakiego go mieli. Lecz pod powłoką strachu skrywał się czarny, niespokojny ocean gniewu. Falował, wzbierał.

Trzeci książę, już w rękawicy, pozwolił Baoxiangowi drzeć jeszcze przez chwilę, po czym zwinnym ruchem przejął ptaka.

– Wielkie dzięki – rzucił z nieprzyjemnym błyskiem w oku. – Podoba mi się ten dar. Ach, ale... – Udając zaskoczenie, spojrzął na podarty rękaw. – Twoja piękna szata... Cała zniszczona. Bardzo mi przykro. Może wybierając nową, powinieneś pomyśleć o kolorze, który pasuje do ciebie o wiele bardziej. O kolorze brzoskwini.



Nadgryziona brzoskwinia. Pedał. Skojarzenie zawisło w powietrzu, kiedy chłopak cofnął się z uśmiechem na twarzy,

unosząc na zamkniętej pięści orła Esena.

Baoxiang czuł na lewym przedramieniu osiem piekących punkcików. Wsunął dłonie w rękawy, czując powoli zwalniający puls. Gasnący strach sprawił, że to, co leżało pod jego powierzchnią, wydało się jeszcze bardziej mroczne i gęste.

– Książę Henanu! – Rdzawoczerwona szata wielkiego radcy, identyczna z tymi, jakie nosili urzędnicy wszystkich szczebli, mocno kontrastowała z jego swobodnym, władcym tonem. Wszyscy wiedzieli, że to właśnie ten człowiek sprawuje władzę zza tronu. – Twój dar został dobrze odebrany. Co sprowadza cię na dwór?

Baoxiang ucieszył się z powrotu na dobrze znany grunt. Ukłonił się ponad splecionymi rękoma i skromnie odchrząknął.

– Sługa uniżony ma śmiałość oczekiwać, że będzie mógł służyć w Chanbałyku w dowolnej roli, w jakiej tylko zdoła wesprzeć interesy naszego wspaniałego imperium. Aczkolwiek moje talenty są niegodne wzmianki, posiadam niejaki doświadczenie w kwestiach administracyjnych. Do śmierci brata piastowałem w Henanie funkcję zarządcy prowincji.

Takim stanowiskiem można się było szycić. Najwyższy urzędnik najważniejszej prowincji Wielkich Yuanów. Dziwić mogło jedynie, że zajmował się tym rodzony syn księcia krwi. Z drugiej strony, pomyślał gorzko Baoxiang, jako przygarnięte dziecko mam w sobie tej krwi bardzo niewiele.

– Jeśli stan majątku księcia Henanu przedstawia się tak marnie, jak sugeruje odzienie jego sługi, nie powinniśmy wierzyć w talenty tego człowieka – zasyczała cesarzowa. – Być może jego ignorancja dotyczy również faktu, że oficjalne stanowiska obsadzamy zawsze z początkiem roku. Czy może uznał, że wobec braku wakatu stworzymy posadę specjalnie z myślą o nim? – Karminowy uśmiech kobiety nie pozostawiał złudzeń co do prawdopodobieństwa takiego obrotu spraw.

– Czy jednak nie mamy wolnego miejsca w Ministerstwie Skarbu? – zauważył po chwili namysłu wielki radca. – Brakuje tam wiceministra.

Baoxiang uśmiechnął się w duchu niewesoło.

– Wielki radca raczej żartować – rzuciła cesarzowa, a jej spojrzenie rozpruło Baoxiangowi brzuch. – Ten tutaj hańbi nasz dwór samą swoją obecnością! Jak moglibyśmy dopuścić, żeby ktoś taki został wiceministrem?

– Wasza Wysokość, książę Henanu posiada znakomite kwalifikacje – wielmożna Ki z wdziękiem zwróciła się do wielkiego chana. Zdobiąca jej fryzurę szpilka z główką w kształcie złotego feniksa, świadectwo przychylności władcy, sypnęła refleksami światła. – Śmiem twierdzić, że gdyby przybył tutaj w odpowiednim momencie roku, mógłby się starać o wyższe nawet stanowiska. Ostatecznie jest księciem krwi.

Tak jawna próba wykorzystania sympatii syna niebios była czymś niespotykanym. Pozycja wielmożnej Ki umocniła się w momencie, gdy Wielcy Yuanowie utracili lojalność rodziny Zhang, a wraz z nią dostęp do soli. Obecnie głównym źródłem tej bezcennej przyprawy była rodzinna kraina faworyty, Goryeo.

– Z pewnością nie wolno odtrącać tych, którym na sercu leży potęga i chwała Wielkich Yuanów. – Uśmiech Ki dosięgnął cesarzowej.

Wielki radca rzucił okiem na władcę, który skinął przyzwalająco dłonią.

– Książę Henanu – odezwał się radca – niezachwiana lojalność i oddanie obronie imperium, jakimi wykazywał się twój ród, zasługują na mój szacunek i wdzięczność. Choć moje uczucia były zapewne jedynie cieniem twoich, wieść o śmierci Esen-Temura pograżyła mnie w głębokim smutku. Ponieważ nie jesteś zdolny podążyć jego śladem jako wojownika, możesz objąć posadę wiceministra i uczcić pamięć brata, służąc Wielkim Yuanom zgodnie ze swoimi przyrodzonymi talentami.

Płomień furii, jaki błyskawicznie rozgorzał w sercu Baoxianga, wypalił radość z sukcesu. Wielki radca miał czelność przypuszczać, że wie, co dla księcia Henanu znaczy śmierć Esena.

Drżąc z gniewu, uderzył czołem o ziemię na znak wdzięczności. Na krawędziach jego pola widzenia zamajaczyły białe, falujące kształty, być może skutek gry światła na wyłożonych kutym srebrem ścianach.

– Tysięczne dzięki wielkiemu radcy i wielkiemu chanowi!

Tak okrutnie żałował, że nie może pokazać im swojego gniewu: tej mrocznej, wrzącej siły wzbierającej w żeliwnym kotle jego duszy.

Gdybyście wiedzieli, co naprawdę czuję i czego pragnę, pomyślał, wasze współczucie zgasłoby jak zdmuchnięta świeca.

朱

– Czcigodny książę! – usłyszał Baoxiang, wychodząc z Sali Wielkiej Światłości, i spojrział na czekającego w cienistej kolumnadzie Seyhana, swojego osobistego sekretarza.

Nawet tutaj, gdzie słońce nie operowało bezpośrednio, upał był morderczy. Baoxiang miał wrażenie, że w zielonej szacie gotuje się żywcem. Spod wrót Sali Wielkiej Światłości, stanowiącej frontową część rezydencji wielkiego chana, roztaczał się widok na oszałamiająco białe marmurowe place i długie, prowadzące we wszystkich kierunkach schody. Bijący od nich blask przyprawił go o ból głowy. Skrzywił się. Seyhan tymczasem przymrużył blade jak lód oczy i dodał przebiegle w farsy:

– Czy może winieniem tytułować cię wiceministrem?

– Muszę ci podziękować – odparł Baoxiang w tej samej mowie. – Czy był to duży kłopot?

– Wiceminister? Drobiazg.

Myśl o nieżyjącym poprzedniku nie przysparzała Baoxiangowi dyskomfortu. Zwykły abstrakcyjny fakt, podobny do kolumny w księdze rachunkowej: życie zredukowane do skromnej sumy złotych taeli, które trzeba było zapłacić za jego ukrócenie.

– Nadal uważam, że stanowisko ministra byłoby równie łatwe do osiągnięcia, a przy tym bardziej stosowne dla księcia krwi –

stwierdził z nieskrywanym żalem Seyhan. Był semu pochodzącym z leżącego daleko na zachodzie Chorezmu. Czarna broda z powodzeniem zakrywała większą część jego brzydkiego oblicza, składającego się głównie z kątów i załamań. Ponad maską zarostu swobodnie szybował orli nos. Seyhan był prawą ręką Baoxianga od tak dawna, że zniewagi kierowane w stronę jego pana traktował niezwykle osobiście. – Wiceminister jest nikim.

Ruszyli przez kolumnadę ospałym krokiem. Żar wyostrzał dręczące Baoxianga wyczerpanie, budził mdłości. Palone słońcem dachy Miasta Pałacu skrzyły się chaosem koralowej czerwieni, jaspisowych zieleni i błękitu lapis-lazuli. Ponad dachówkami widać było wysoki, bielony wapnem mur. Chanbałyk, stolica wzniesiona przez Kubilaj-chana w celu upamiętnienia jego zwycięstw, był miastem nad miastami. Przybywający tu podróżny w pierwszej kolejności natykał się na rozległe przedmieścia, pełne eleganckich posiadłości, gospód i domów uciech. Następnie pojawiały się potężne fortyfikacje, opasujący Miasto Zewnętrzne mur z jedenastoma strzeżonymi przez wieże bramami. A sercem Miasta Zewnętrznego było Miasto Cesarskie – należący do rządzącej dynastii plac zabaw, składający się z pieczołowicie doglądanych parków i stawów. W centrum tego miasta z kolei, niczym rdzeń w pestce moreli, tkwiło otoczone białym murem Miasto Pałacu, gdzie z morza marmuru strzelała ku górze rezydencja wielkiego chana. Idąc w cieniu pałacu, największego gmachu wszystkich krain pomiędzy czterema oceanami, Baoxiang pomyślał, że właściwą w tym miejscu reakcją byłby oniemiały zachwyty. Jemu jednak nowość tego miejsca zdawała się odrażająca. Lazurowe chorągwie Wielkich Yuanów kołysały się lekko na szczycie bielejącego w dali muru. Na tle nieba były równie widoczne jak drzenie rozpalonego powietrza.

Gdy Baoxiang z Seyhanem zeszli na plac, minęła ich grupka służek maszerujących przed zadaszoną lektyką niesioną przez zatrudnionych w haremie eunuchów. Lektyka zrównała się z nimi, wyraźnie zwolniła, a z okna wyjrzała na Baoxianga cesarzowa. Jej

twarz, podświetlona blaskiem odbijającym się od marmurowych płyt, była równie biała jak oblicze żadnego zemsty ducha.

– Pozwól, że udzielenie ci rady, książę Henanu. Dwór chana rządzi się odmiennymi prawami niż twoja żalosna prowincja. Wracaj do domu, zanim pożałujesz, że tu przyjechałeś. – Umilkła i eunuchowie ponieśli ją dalej.

Pałacowi eunuchowie pochodzili z krain wasalnych, takich jak Goryeo, i nie było wśród nich nanrenów, lecz świeżo upieczonemu wiceministrowi przypomniał się generał Ouyang. Myśl o tym nikczemnym kundlu wzbudziła w nim płomień nienawiści. Niewdzięcznik, otrzymał tak wiele miłości i troski, a mimo to nie potrafił przestać uważać się nad własnym losem i w efekcie zniszczył Baoxiangowi całe życie.

– Niedobrze mieć wroga w cesarzowej. – Cień niepokoju dodatkowo wyostrzył tworzące twarz Seyhana kąty. – Nie jest wprawdzie ulubienicą chana, ale posiada znaczną władzę.

– Jak sądzisz – zaśmiał się ponuro Baoxiang – ile mam czasu na znalezienie obrońcy, zanim naśle na mnie zabójców? Kilka tygodni? Czy może parę dni?

– Czcigodny książę, co my tu właściwie robimy? – spytał Seyhan, blady i chmurny.

– Nie wierzysz, że przybyłem tu, żeby ocalić Wielkich Yuanów przed nimi samymi?

– Jestem pewien, że książę Henanu ma ku temu wszelkie zadatki. – Spojrzenie, jakie rzucił Baoxiangowi sekretarz, dobitnie mówiło, co na ten temat myśli.

– Można odnieść wrażenie, że wszyscy tu sądzą, że wystarczy po prostu złożyć pani Zhang wizytę i poprosić o zwrot jej ziem – rzucił z przekąsem Baoxiang.

Oczywiście, że wielki radca poczuł głęboki smutek na wieść o śmierci Esena. Bez niego i bez jego zdradzieckiego psa łańcuchowego Ouyanga – bez wojsk Henanu, trzymających w szachu buntownicze południe – jedynym, co strzegło imperium Wielkich Yuanów przed upadkiem, była stołeczna armia wielkiego

radcy: wojsko, które od ponad dekady nie zostało wysłane na południe kraju. Niewykluczone, że wielki radca przeczuwał, w jak poważnym niebezpieczeństwie znalazło się cesarstwo. Baoxiang przypomniał sobie bezwład wielkiego chana, jego zwaśnione małżonki i pomyślał, że wielki radca jest zapewne jedynym, który to rozumie.

– Tak, wiceminister jest nikim – przytaknął. – Pamiętaj jednak, że najbardziej niebezpiecznym graczem jest w każdej rozgrywce ten, którego udziału nikt się nie spodziewa.

– A w jakiej to rozgrywce bierzesz udział ty, czcigodny książę? – spytał Seyhan po chwili namysłu, bardzo ostrożnie.

Baoxiang ujrzał w duchu pełne pogardy, wpatrujące się weń z góry twarze, spojrzenia pewne, że ich niechęć wystarczy, by uwiądnął i zniknął. Gdyby wiedzieli, że każda kropla tej antypatii zasila i pogłębia falujący w nim czarny ocean...

– Oni wszyscy widzą we mnie najgorsze, co mogą sobie wyobrazić – wybuchnął nienawistnym tonem. – Przyczynę wstydu. Kpinę ze wszystkiego, co mongolskie. Nie mają jednak pojęcia, że wkrótce stanę się kimś jeszcze gorszym.

Zauważył, że serce bije mu jak młotem. Chciał jedynie uchylić rąbka, lecz sięgnął zbyt głęboko; wyciągnął na jaw pełnię swojej brzydoty. Twarz Seyhana przesłoniła dodatkowa warstwa rezerwy. Wewnątrz zapewne wzdrygnął się z odrazy. Baoxiang nie miał mu tego za złe. Kto przy zdrowych zmysłach ma ochotę dotykać cudzego bólu i ryzykować, że sam się nim skazi?

Książę Henanu, wściekły i zażenowany, odwrócił się gwałtownie na pięcie i ruszył energicznie w kierunku najbliższej bramy pozwalającej opuścić Miasto Pałacu.

– Skoro tak słono za to zapłaciłem, to chodźmy wreszcie do nowej pracy.



Ministerstwo Skarbu, podobnie jak pozostałe ministerstwa i sekretariaty, znajdowało się we właściwej części Chanbałyku. Budynek wznosił się przy Korytarzu Tysiąca Stóp, szerokiej alei łączącej główne wejście Miasta Cesarskiego – potężną bramę Chongtian – ze środkową bramą w południowym murze zewnętrznym. W Baoxiangu, którego zmęczenie pokrywało cały świat barwą jałowej irytacji, ministerialny gmach ze swoimi niebieskimi okapami i złożonymi dachami budził identyczne wrażenie świeżości i tandety jak cała stolica. Rosnące po obu stronach ulicy drzewa, podobne do pomarańczowych płomieni firmiany, zdawały się jedynym elementem tego miasta pamiętającym czasy sprzed przybycia Mongołów.

– Te drzewa nie będą długo cieszyć oka.

Baoxiang drgnął. Nie zauważył nawet, jak podszedł do niego sędziwy, przysadzisty Mongoł. Miał na sobie rdzawoczerwoną szatę urzędnika, a spod pociągniętego laka muślinowego kapelusza wystawały siwe warkocze. Podeszwy jego butów wykonane były z tkaniny.

– Za tydzień, idąc tą ulicą, będziemy brodzić w liściach po kolana – dodał mężczyzna po mongolsku, z wyraźnym stołecznym akcentem.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny ministrze. – Baoxiang odgadł, z kim ma do czynienia, i błyskawicznie się uklonił.

– Książę Henanu! – Minister skarbu omiótł spojrzeniem spleciony na modłę nanrenów koczek Baoxianga, zamknięty w delikatnej niczym chmurka srebrnej siateczce, przypiętej szpilkami o główkach z pereł; zwrócił uwagę na ziemistą cerę człowieka dręczonego śmiertelnym przypadkiem bezsenności, obejrzał zieloną jak liście sałaty szatę i identycznego koloru buty. Malujący się na twarzy urzędnika wyraz dobrotliwego zachwytu nie zmienił się ani trochę; kosmyki rzadkiej siwej brody nawet nie drgnęły. Można było pomyśleć, że ta mina nie opuszcza go nigdy, podobnie jak z twarzy Ouyanga nigdy nie znikał wyraz frasunku. – Nasz nowy wiceminister! Cóż za niespodzianka! Cóż, wejdźże. Jadłeś

co? Taki upał o tej porze roku to stanowcza przesada, nie sądzisz? Ostatnią tak gorącą jesień przeżyłem, kiedy miałem tyle lat, co ty teraz. Usiądźmy, zaraz każę dziewczynie, żeby przyniosła nam ten napój, który tak chętnie pija się na południu, wiesz, ten z miodem i czerwonymi daktylami. Wspaniale odświeża. Nanreni potrafią sobie radzić z gorącem...

Rozpaplany minister, utykając, wszedł do środka. Nieustanna gadanina natchnęła Baoxianga wrażeniem, że stołeczni urzędnicy poświęcają całe dnie plotkowaniu nad czarką herbaty, przez co zaskoczył go widok panującej w budynku krzątaniny. Minęli bibliotekę, biuro księgowo, dział skarg i zażaleń, pomieszczenie, w którym służący ścierali atrament, oraz kolejny gabinet pełen urzędników – wyłącznie semu, ponieważ nanreni mieli zakaz obejmowania stanowisk w służbie cywilnej. Pracownicy ministerstwa przesuwali koraliki liczydeł z takim wigorem, że falowały papierowe zasłony w oknach. Zupełnie tak samo jak we własnym biurze Baoxianga w Anyangu. Poczł bolesne ukłucie nostalgii. Czerń jednak zagościła w nim już na dobre i zdawał sobie sprawę, że na powrót nie ma nadziei.

Minister powiódł go zacienionym wewnętrznym chodnikiem, po czym weszli po kilku schodkach do budynku o okratowanym frontonie. W środku rozpościerało się obszerne prywatne biuro, gabinet z wielkim, zasłanym dokumentami biurkiem i przytłaczającą liczbą chybotliwych regałów.

– Odsapnij sobie chwilkę. – Minister sam nie usiadł. – Stary jestem, wypilem za dużo herbaty, a pęcherz już nie ten. – Pokuśtykał z powrotem do wyjścia. – Z doświadczenia wiem, że lepiej będzie, jeśli załatwię to od razu. Potem będziemy mogli posiedzieć do woli.

Baoxiang rozejrzał się dokoła. Przeciąg wiejący pomiędzy umieszczonymi w przeciwległych ścianach drzwiami łagodził nieco upał, lecz z drugiej strony zaganiał do wnętrza intensywną woń zwierzęcego łajna i podpiekanego chleba. Człowiekowi nawykłemu do spokoju i sielskiej wiejskiej rezydencji książąt Henanu miasto jawiło się niczym atakujący wszystkie zmysły naraz potwór.

Na szczycie zalegających na biurku papierów spoczywała księga rachunkowa. Leżała tak, jakby znalazła się tam przypadkiem, i również wskutek zwykłego zrządenia losu spoczęła przodem do niego. Baoxiang przerzucił kilka kartek i z tępym ukłuciem zdumienia stwierdził, że pierwsze strony zajmują przykłady rachunków do wykonania, a po nich następują strony puste, czekające na rozwiązanie. Pomyślał o rozbrajającej paplaninie ministra i zastanowił się, jak wielu urzędników siedziało na tym samym krześle, nie dotykając nawet tej księgi.

– Ha! Znalazłeś! Nie przejmuj się tym zanadto. Nikt tego testu nie zdaje, specjalnie tak go obmyślił. – Przy łokciu Baoxianga pojawiła się służąca. Przyniosła spocony dzbanek, czarki i tacę podzieloną na przegródki, w których czekały kandyzowane warzywa. Dziewczyna rzuciła księciu wesołe spojrzenie. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki świadczące, że widywała już tutaj niejednego ogarniętego paniką urzędnika. Zostawiła tacę na zabałaganionym stoliku i wyszła.

Baoxiang spojrział na zadania raz jeszcze i poczuł, że kącik jego ust unosi się w wyzutym z wesołości uśmiechu.

Minister wrócił bardzo szybko – zbyt szybko, by można nazwać egzamin uczciwym. Kuśtykając na swoje miejsce, rzucił po drodze okiem na rozwiązania Baoxianga, połyskujące wilgotnym czarnym atramentem. Księżę Henanu wychwycił moment, w którym odraza – bo mimo że minister skrywał ją lepiej niż większość, również ją czuł – przerodziła się w szacunek.

Szacunek, który zabolął niczym cios pięścią. Baoxiang przez całe życie pragnął, by jego talent zyskiwał mu respekt, nie pogardę. I dzisiaj nagle, z nienacka przyszło mu to tak łatwo? Niestety, za późno.

– Myślałeś, że zależało mi jedynie na stanowisku? Że chciałem wygodnej posady, bez wiążących się z nią obowiązków?

– To rzadkość, że arystokrata potrzebuje zarobku. – Minister popatrzył mu w oczy. – Co dopiero takiego, na który trzeba zapracować. Szczególnie jeśli chodzi o księcia Henanu, prowincji,

której bogactwa przez dziesięciolecia zasilają walkę obronną Wielkich Yuanów przeciwko buntującym się południowcom. Założyłem, że jesteś pozbawionym kompetencji trzpiotem, który roztrwonił cały majątek. Okazuje się jednak, że nie brak ci talentu. Dlaczego więc opuściłeś Henan, Wang Baoxiangu?

– Może po prostu nie chciałem tam zostać. – Czerń w duszy Baoxianga zafalowała, lecz jej powierzchnia pozostała wolna od bąbli, jak woda, tuż zanim zawrze.

– Ach... – Oblicze ministra złagodniało. – Twój ojciec i brat. Wielka strata.

Baoxiang poczuł odrazę. Nie chciał łagodnego traktowania. Nie chciał współczucia. Pozwolił, by obrzydzenie stężało we wzgardę. Minister okazał się empatycznym durniem. Dokładnie kogoś takiego potrzebował. Człowieka skłonного odłożyć na bok wstręt, docenić talent Baoxianga i znaleźć dla niego zastosowanie.

– Tak – powiedział. – Ogromna.

Wokół dzbanka powstała kałuża spływającej ze ścianek wody. Kiedy Baoxiang nalał napój do dwóch czarek, zmoczył sobie dłonie. Wiedział, że napój powinien być słodki w smaku, lecz zupełnie tego nie poczuł. Przełknął.

– Cóż, wielkie szczęście, że akurat tobie przypadło to stanowisko. – Minister dźwignął się z krzesła. – Dość miałem arystokratów, których jedyną zaletą był dekoracyjny wygląd. Będę musiał podziękować wielkiemu radcy, że dla odmiany przysłał mi człowieka, który wie, co robi. W cesarstwie Wielkich Yuanów wiele się dzieje i pomoc bardzo mi się przyda.

– Od tego tu jestem – odparł uprzejmie Baoxiang. Ale ściany pokoju na krótką chwilę zafalowały, w kącikach jego oczu zamajaczyło coś białego.

Kiedy wyszedł wreszcie z budynku, Seyhan wciąż czekał przy koniach. Słońce, wiszące w tej chwili tuż ponad zachodnim murem Chanbałyku, słało ukośne promienie, które przedzierały się przez rozpalone wierzchołki firmian i zalewały ulice miasta złotem.

– Nie chcesz wracać do domu? – zdziwił się sekretarz, kiedy Baoxiang pchnął wierzchowca Korytarzem Tysiąca Stóp w kierunku Miasta Cesarskiego.

– Czeka mnie dziś jeszcze jedno spotkanie. – Uczucie przepełniające księcia było zbyt mroczne, by nazwać je wyczekiwaniem.

– Z kimś z cesarskiego rodu? – Seyhan uniósł brwi. – Jesteś umówiony?

– Niezupełnie – odparł Baoxiang.

朱

Rezydencja znajdowała się na terenie leśnego rezerwatu łowieckiego, w zachodniej części Miasta Cesarskiego. Swoisty kontrast dla cienistego budynku stanowiła rosnąca na wewnętrznym dziedzińcu złocista morwa. Naczelny służący czekał na niego między słupami drewnianej bramy. Ledwie otworzył usta, Baoxiang rzucił:

– Jeśli nie ma go w domu, wpuść mnie do środka.

– Czyja to rezydencja? – Seyhan zmarszczył czoło.

– Pałac Obfitych Błogosławieństw jest miejscem zamieszkania Jego Wysokości trzeciego księcia – obwieścił sługa.

Po wschodniej stronie ciemniało jezioro, które księżę wraz z sekretarzem pokonali chwilę wcześniej przez marmurową groblę. Na skalistej wysepce pośrodku wznosiło się zwieńczone pagodą wzgórze. Na terenie Miasta Cesarskiego pełno było jezior, lasów i parków łowieckich, lecz nic z tego nie wydawało się prawdziwe. Zapewne dlatego, że takie nie było. Baoxiang zdawał sobie sprawę, że wszystko, co widzi dokoła, zostało przywiezione skądinąd i ukształtowane tak, by zadowolić gusta członków panującej dynastii. Wszystko, od ziemi, z której usypano wzgórze, po żyjące w jeziorze ryby. Powietrze wibrowało wrzaskami cykad.

Baoxiang wrócił myślą do miny, z jaką wielki chan spoglądał na swego syna. Ujrzał w niej coś, co znał najlepiej na całym świecie. Ojcowską nienawiść do własnego dziecka: nienawiść wynikającą nie z synowskich uczynków, lecz z tego, kim ów syn jest. Wyczekiwanie Baoxianga wzbogaciło się o element sadyzmu, skierowany tyleż przeciwko trzeciemu księciu, co przeciw samemu sobie. Widzę cię, pomyślał. Widzę i rozumiem.

– Zaczekaj tu – rzucił do Seyhana, którego spojrzenie wskazywało, że doszedł właśnie do jakiegoś mocno nieprzyjemnego wniosku.

Wszedł do salonu i słudzy rozpalili wokół niego lampy. Kiedy na zewnątrz wreszcie rozległy się głosy i do środka wszedł trzeci książę, było już ciemno.

Przez jedną straszliwą chwilę Baoxiang widział Esena. Nie Esena w chwili śmierci, lecz Esena przed kolejną kampanią: mężczyznę wciąż młodzieńczo chudego, poruszającego się z wdziękiem stanowiącym podarek dla każdego, kto na niego patrzył.

– Bądź pozdrowiony, trzeci książę. – Wstał i uklonił się.

Chłopak nie odwzajemnił uprzejmości. Rzucił się po prostu na krzesło. Odrazą, z jaką wykrzywił usta, nie przyćmiewała ciekawości, która drążyła Baoxianga tak zawzięcie, że książę poczuł w odpowiedzi swoisty wewnętrzny impuls, coś przypominającego pulsujące w siniaku tętno.

– Nie sądzisz, że wystarczy już na dzisiaj powitań, książę Henanu? Czy może przychodzisz ze skargą na sposób, w jaki przywitałem cię za pierwszym razem? – Uśmiezek majaczący na wygiętych niczym łuk wargach wskazywał, że trzeci książę wciąż rozkoszuje się rolą, jaką odegrał w upokorzeniu przybysza. – Nie cieszysz się, że ślady zostały jedynie na twoim rękawie, nie na ramieniu?

Tutaj, w tym okrutnym pałacu, spotkanie z kimś tak bezpośrednim i otwartym stanowiło prawdziwy skarb.

– Czy widok mojego strachu sprawił ci przyjemność? – spytał Baoxiang głosem miękkim jak dotyk.

Przez twarz trzeciego księcia przebiegł dreszcz. Tak przelotny, że sam arystokrata mógł nie być go świadom.

– Przyjemność? Widok mężczyzny, który zachowuje się jak ty, napawa mnie wstrętem. Niemniej jestem przynajmniej gotów dać ci to, na co zasługujesz.

– A zasługuję na to jedynie dlatego, że się boję? – Słowa zabrzmiały bardziej gorzko, niż Baoxiang planował. Trzeci książę gardził nim, ponieważ strach Baoxianga żył na powierzchni. Lecz sam chłopak w głębi swego szklanego serca, tam gdzie nie sądził, by ktokolwiek mógł sięgnąć wzrokiem, bał się znacznie bardziej niż Baoxiang.

– Nie zgrywaj głupca. – Oddech młodzieńca przyspieszył. Nie mógł się wprost doczekać rozkoszy przelania krwi, choćby jedynie za pomocą słów. – Każdy wie, kim jest drugi syn Chaghan-Temura. Tym, który podkłada się mężczyznom. Nieszczęsny Chaghan! Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego toleruje tę skazę na honorze swojego rodu. Według nas szpeciła i jego. – Wbił w Baoxianga przenikliwe spojrzenie, wypatrywał reakcji.

Godne politowania. Trzeci książę założył, że jego słowa zranią gościa, ponieważ jedyne, co potrafił sobie wyobrazić, to ból, jaki poczuli, gdyby ktoś skierował te same słowa do niego.

Jakże wszyscy nienawidzili Baoxianga za jego nikczemne żądze – za to, co jak sądzili, robi z mężczyznami – podczas gdy on wcale takich pragnień nie żywił.

– Widzę, że moja reputacja dotarła i do stolicy – rzucił.

– Zamierzasz tak stać i pozwalać, żebym cię obrażał? – Czoło chłopaka przecięła zmarszczka niedowierzania.

– Spodziewasz się, że wyzwę cię na pojedynek? Jeśli uważasz, że kiedykolwiek dbałem o honor rodziny lub własny, powinienes dowiedzieć się o mnie znacznie więcej – stwierdził Baoxiang, czując dreszcz złośliwej satysfakcji. Tak łatwo było być tym, kogo chcieli w nim widzieć. – Zresztą czemu miałbym zaprzeczać? To prawda.

Opalenizna na twarzy trzeciego księcia nie była tak ciemna jak na ogorzałym obliczu Esena. Pod krótko przyciętym zarostem rozlał się wyraźny rumieniec. Baoxiang podszedł krok bliżej.

– Jestem taki, jak wszyscy powtarzają. Zrozumiałeś to już w Hichetu w czasie wiosennych łowów, prawda? Kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy. Zanim jeszcze usłyszałeś, co na mój temat mówią.

– Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, jakich plugastw się dopuszczasz – syknął wściekle trzeci książę. – I że czerpiesz z nich rozkosz.

– Tak, zaiste jestem aż tak nikczemny. – Baoxiang miał wrażenie, że jego ustami przemawia tysiąc głosów z przeszłości. Pozwolił, by ich wspomnienie zasiliło płomień gniewu. – Pomyśl o wszystkich wstydliwych, niegodnych rzeczach, przed jakimi wzdrygnąłby się każdy normalny mężczyzna, i wyobraź sobie, ile rozkoszy musiałem z nich czerpać.

Oczy chłopaka nie odrywały się od niego nawet na moment. Czy przyspieszył mu puls? Serce Baoxianga biło równie spokojnie jak zawsze. Przepelniające go wyczekiwanie nie wiązało się z ekscytacją, jaka mogłaby pobudzić tętno. Miał w duszy wyłącznie czarny, zgęstniały gniew.

– Pomyśl, czego mogłem pragnąć, przychodząc tutaj – dodał jedwabistym tonem.

Nie czekając na reakcję, podszedł bardzo blisko młodzika i położył mu dłoń na udzie.

Trzeci książę zszokowany patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Własne ciało zdradziło go pod miękkim dotykiem Baoxianga. Książę Henanu poczuł sadystyczne upojenie zwycięstwem. Wstyd skierowany przeciwko zawstydzającemu. Trwało to jedynie chwilę. Zaraz potem trzeci książę poderwał się z krzesła i uderzył go pięścią w twarz.

Jakimś cudem Baoxiang utrzymał równowagę. Uszy zalała mu fala gorąca. Policzek zapłonął żywym ogniem. Najbardziej znajoma sytuacja na świecie: kolejny z długiego szeregu wojowników okazuje



obolałemu Baoxiangowi fizyczną przewagę. Każdy miał swoją kolej. Pierwszy był ojciec, a później pozostali wojownicy – wszyscy z wyjątkiem Esena. Co dość ironiczne. Esen przez całe życie szkolił się w zadawaniu bólu fizycznego, lecz aby zranić Baoxianga, nie musiał go bić.

Czy kiedy w końcu to ja ciebie skrzywdziłem, spisałem się równie dobrze jak ty, bracie? – pomyślał Baoxiang.

– Życie ci niemiłe? – syknął trzeci książę. Jego rumieniec przeistoczył się w plamy gniewu. Lecz ów gniew był równie przejrzysty jak cała reszta: brutalny odruch człowieka chcącego przekonać samego siebie, że to, co właśnie się dzieje, nie jest niczym więcej jak świadectwem perwersji Baoxianga, że on sam nie czuje zupełnie nic i niczego nie pragnie. Bo dopóki była to żądza Baoxianga i jego wstyd, dopóty nie musiało to być prawdziwe.

Jednakże to nie zmieniało faktów. Czy sam trzeci książę był świadom swoich skłonności czy nie, ojciec i tak zdążył dostrzec w nim coś, czego nienawidził.

Baoxiang opadł powoli na kolana. Trzeci książę nawet nie drgnął.

Ulubiona kurtyzana Baoxianga w Anyangu była wielce uzdolnioną poetką i zawsze potrafiła go rozweselić, lecz jej prawdziwy talent polegał na czymś innym. Do dziś pamiętał chłodne muśnięcia jej rękawów na skórze, gdy czekał zbolały. Pamiętał jej motyli dotyk i pochyloną głowę. Wydawało się, że od tamtej pory minęła cała wieczność: ot, fragment beztroskich dni życia, czasu sprzed rozpadu.

Lecz nawet wówczas nie było to przecież spokojne życie. Przez chwilę napawał się swoim smutkiem, po czym przelał go w czerń.

Pod plisowanym jeździeckim strojem młodzika czekała lniana bielizna, podtrzymywana prostym węzłem. A pod nią świadectwo pożądania. Osobliwość sytuacji sprawiła, że Baoxiang czuł się nie do końca obecny. Miał wrażenie, że obserwuje się z zewnątrz, że przygląda się sobie klęczącemu, stającemu się stopniowo tym, za kogo mieli go wszyscy.

– Spójrz tylko na siebie – warknął trzeci książę. – Aż błągasz o poniżenie. Naprawdę jesteś najgorszy. Gdybym spotkał na ulicy ciebie i psa, to ciebie kopnąłbym w pierwszej kolejności.

Baoxiang podniósł wzrok na okrutne oblicze wojownika, obręzione opadającymi na przód warkoczykami. Z najwyższym trudem zachował pogardę dla siebie. Wojownicy tak bardzo szcycili się odpornością na fizyczną odmianę bólu, lecz nie byli w stanie przetrzymać nawet sekundy wstydu, jaki z upodobaniem wywoływali u innych. I kto z nas jest silniejszy? – pomyślał Baoxiang.

– Masz rację – odpowiedział. Węzeł nie stawiał oporu. – Jestem najgorszy.

朱

Potem, już na zewnątrz, Seyhan podał mu chusteczkę. Baoxiang przycisnął ją do rozcięcia pod okiem i pojechali. Policzek pulsował w zgodnym rytmie z sinymi wargami. Sekretarz odezwał się, dopiero kiedy dotarli do zachodniej bramy Cesarskiego Miasta.

– A więc syn wroga mojego wroga jest moim przyjacielem – stwierdził z podziwu godną obojętnością. – Czy masz pewność, że on cię w zamian ochroni?

– W zamian za jednorazową grę na flecie? Nie. – Sam czyn nie rozbudził w Baoxiangu ekscytacji, lecz bolące usta i szczęką przysparzały mu wiele satysfakcji. – Ale w końcu owszem. Jest młody, a ja dam mu coś, czego nigdy nie spodziewał się dostać. Musi się po prostu oswoić.

– Jak długo to potrwa? – Wydawało się, że Seyhan próbuje obliczyć skalę morderczych zamiarów cesarzowej i porównać ją z szansami, jakie książę Henanu miał na przetrwanie bez wpływowego obrońcy przez tydzień, dwa tygodnie, miesiąc.

– Błędęgo pojęcia nie mam. – Baoxiang parsknął rwanym śmiechem.

Pokazali strzegącym bramy gwardzistom oficjalne drewniane przepustki i wjechali ponad fosą do właściwej części Chanbałyku. Mimo bezkresu miasta tutejsze aleje były tak proste i szerokie, że gdyby nie przeszkoda w postaci cesarskiego miasta, człowiek stojący pod murem z jednej strony mógłby zobaczyć w oddali mur przeciwległy. Nocą ulice tętniły życiem, wszędzie roiło się od pieszych, jeźdźców i pojazdów kołowych. Aczkolwiek jasne było, że zanim pani Zhang zamknęła Wielki Kanał, przelewające się przez stolicę tłumy musiały być dwa bądź trzy razy gęstsze niż w tej chwili. Niełatwo to sobie wyobrazić.

Nową rezydencją Baoxianga był skromny, wyposażony w jeden tylko dziedziniec budynek w dzielnicy urzędników, w pobliżu zewnętrznego muru po zachodniej stronie. Niezbyt przyjemny dla oka ceglany mur chronił wnętrza przed gwarnymi głosami sprzedawców jedzenia handlujących na ruchliwej ulicy przy bramie Pingzhe. Rosnące na pustym podwórzu persymony obrodziły ledwie kilkoma zielonkawymi owocami. Wewnątrz sytuacja przedstawiała się jeszcze bardziej surowo. Z wyjątkiem niezbędnych osobistych drobiazgów Baoxiang przywiózł ze sobą tylko zamknięte kufry, stojące teraz w salonie.

– Masz cały pokój złotych taeli, a każesz nam mieszkać w domu bardziej paskudnym niż pachy trędowatego. – Seyhan obrzucił skrzynie pełnym wyrzutu spojrzeniem.

Baoxiang doskonale rozumiał odczucia sekretarza. Jego rezydencja w Anyangu stanowiła prawdziwy pomnik ku czci osobistego smaku. Wypełniały ją kunsztownie wykonane meble, ceramika, malowidła. Wszystko to porzucił.

– Jeśli chcesz to miejsce umeblować w stylu, do jakiego przywykłeś, nikt ci nie broni wykorzystać własnych zarobków.

Seyhan odpowiedział cierpkim spojrzeniem i odszedł. Spotkanie z trzecim księciem na pewien czas Baoxianga pobudziło, lecz teraz, gdy stanął pośród wydestylowanego bogactwa, znużenie powróciło ze zdwojoną siłą. Wiedział, że kiedy położy się na obrzydliwym, wykonanym w północnym stylu łóżku, jakie zapewne

gdzieś tu czekało, i zdoła zapaść w sen, zbudzi się w ledwie kilka chwil potem. Marzył o porządnie przespanej nocy, nigdy w życiu nie pragnął niczego tak bardzo jak snu. Niekończące się bezsenne noce wyżywały go do sucha i obracały całe jego istnienie w jedną wielką udrękę.

Powietrze w pokoju ostygło. Mury odetchnęły znajomym chłodem, od którego zjeżyły mu się włoski na karku. Nagle zdał sobie sprawę, że jest przy nim Esen.

Odwrócił się. Raptownie przyspieszające tętno przyprawiło go o nudności. Obecność brata zawsze rozpoznawał bezbłędnie, była równie rzeczywista i dobitna jak wówczas, gdy jeszcze żył. Baoxiang zadrżał całym sobą.

Za jego plecami majaczyły duchy, kontury widmowych sylwetek ozdobione były jaśniejącymi aureolami kurzu. Niewidzące oczy spoglądały poprzez splątane kurtyny rozpuszczonych włosów; białe łańchmany zwisały nieruchomo jak rzeźbione stroje posągów. Tymi nie przejmował się wcale. Powiódł wzrokiem po martwych obliczach z jałową furią, chcąc wypatrzeć tę jedną twarz, którą znał – tę zjawę, która wciąż się przed nim chowała.

Przyprawiało go to o wściekłość równą tej, jaką budziła bezsenność. Miał ochotę płakać.

– Wiem, że tu jesteś! – wykrzyknął.

Własny głos wrócił do niego słabym echem. Tak właśnie traktował go teraz Esen. Ileż setek razy Baoxiang czuł już, jak jego ciało zaciska się mocniej na kościach, rozpoznając bliskość brata; ileż razy obracał się na pięcie z sercem ściśniętym niczym pułapka na ośmiornice, wypełnionym grozą i wyczekiwaniem – pewien, że Esen jest tuż za nim. Zawsze jednak duch mu się wymykał. Niezmiennie kusił i drwił z miejsca, którego Baoxiang nie widział.

Zjawy pozbawiły go resztek opanowania. Gniew eksplodował, wypierając wszystko inne, pozostawiając Baoxiangowi jedynie skórę opinającą czarny rdzeń. Ta czerń była jego nowym sercem, sercem rozkoszującym się wstydem i upokorzeniem. Zalała mu gardło i wylała się przez usta ochrypłym warkotem:

– Myślałeś, że to wszystko? Myślałeś, że ból, jaki ci sprawiłem, był wystarczającą zapłatą? O bracie, wyobraźni brakowało ci od urodzenia! Nie masz pojęcia, jak bardzo cię jeszcze skrzywdzę.

Jego wyciągnięta ręka, drżąca nieznacznie wskutek dręczącego go gniewu, była blada i chuda. Dłoń uczonego, której nie obawiał się nikt i nigdy.

– Pomyśl o wszystkim, czym jestem, o wszystkim, czego nienawidzisz i co potępiasz. Zastanów się nad tym, że moje niegodne, wstydlive istnienie kała wszystko, czego się tknę. A potem patrz, jak stanę się osobą otoczoną powszechną czcią, ucieleśnieniem twojego wspaniałego mongolskiego imperium. Patrz, jak staję się wielkim chanem i jak niszcę wszystkie wartości, w imię których żyłeś i umarłeś. Patrz, jak niszcę świat!

Kiedy rozwarł palce, mandat niebios wystrzelił z sykiem z jego dłoni, przepelniając Baoxianga czystą jadowitą rozkoszą. Czarny płomień nie był światłem, lecz ciemnością i wylewał się z niego szeroką strugą, która zatopiła w końcu cały salon.



## Bianliang

Jednostki oblężnicze były już niemal gotowe do drogi, ale okazało się, że przez niedopatrzenie część wozów ze sprzętem stacjonowała pod gołym niebem, przez co wymagają napraw. To zajmie kolejne trzy lub cztery dni. – Chu zawiesił głos. Stał ze splecionymi na plecach rękoma i z nerwowym błyskiem w oku. – Z szacunkiem proszą, żeby generał raczył zrozumieć tę sytuację.

– Mam zrozumieć błąd? – Ouyang chodził w tę i z powrotem po splekanych deskach sztabu. Każdy jego krok śledziły czujne spojrzenia komendantów. Niejasno zdawał sobie sprawę, że gdyby usiadł, zachowałby się bardziej normalnie. Przed laty, gdy składał w Shanxi wizytę wojskowemu gubernatorowi Boludowi, oglądał uwięzionego tygrysa. Zwierzę wydeptało w swojej klatce spore wgłębienie, a łapy miało pogryzione do krwi. Wówczas Ouyang nie poświęcił mu większej uwagi. Teraz jednak uświadomił sobie z goryczą, że doskonale tygrysa rozumie. Nawet zwierzęta wolą ból od rozpacz.

Pierwszy wymarsz armii po dłuższym postoju zawsze – nieuchronnie – wiązał się z potężnymi kłopotami i Ouyang, ze

swoim piętnastoletnim doświadczeniem w wojaczce, teoretycznie zdawał sobie z tego sprawę. Jednak obecnie każde, najzwyklejsze nawet opóźnienie doprowadzało go do morderczego szału.

– Znaleźć człowieka odpowiedzialnego za ten błąd. Niech go zawiną w dywan, a reszcie jego oddziału każcie go tłuc, dopóki nie zdechnie. A potem dajcie im znać, że na usunięcie problemu mają dwa dni. Jeśli się spóźnią, spotka ich taki sam los. Wszystkich.

Chu skrzywił się i wymienił ponad stołem wymowne spojrzenie z Gengiem. Mina Shao, siedzącego z boku ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i z lekko rozchyłonymi ustami, pozostała nieodgadniona. Był dość przystojny, miał gładką, opaloną skórę i te swoje okrągłe oczy, ale niechęć, jaką Ouyang do niego żywił, wykluczała postrzeganie go w sposób obiektywny. Generał miał wrażenie, że wpatruje się w niego olbrzymi karp.

Ku jego rosnącej irytacji po zakończeniu spotkania Shao wstał i wyszedł z nim z pokoju. Ouyang byłby zachwycony, gdyby nie musiał odbywać z zastępcą ani jednej rozmowy, dopóki nie dotrą do Dadu. Albo i dłużej.

– Czym mogę służyć, starszy komendancie? – Zatrzymał się w pół kroku.

Shao nie odpowiedział. Zmierzył go tylko przeciągłym spojrzeniem.

Ouyang odwrócił się na pięcie, gdy tylko usłyszał za sobą szelest. Zdążył dobyć miecza, lecz było już za późno. Sznur zacisnął mu się na szyi.

Ostatnim, co zobaczył, kiedy lina naparła mocniej, było oblicze Shao i malująca się na nim pogarda.

朱

Ouyang ocknął się w ruchu. Podnosił się chwiejnie, kierowany właściwym wszystkim rannym żołnierzom odruchem każącym wstać i uciec. Jego ciało nie było jednak gotowe. Głowę ścisnął

druzgocący ból. Generał zachwiał się i opadł na jedno kolano. Zwierzęca część jego duszy wzdrygnęła się przed cierpieniem. Wiedziała, że każdy ruch wszystko pogorszy; błagała, by znieruchomiał, by ukrócił mękę. Druga część jednak – ta, która uczyniłaby wszystko, byle przestać myśleć i czuć – gorąco ból powitała. Ouyang przeobraził się cały w rozpalony do białości wrzask i wstał.

Cela była nieużywana od tak dawna, że zatraciła nawet więzienny zapach. Na suchym klepisku widniały podłużne ślady. Wciągnęli go. Ze wszystkich stron otaczały generała zbite z desek ściany, a za żelazną kratą widać było wilgotny, wyryty w glinie korytarz. A więc podziemie. Kojarzył, że w rezydencji gubernatora znajdował się też areszt. Nigdy go nie odwiedził. Nie widział potrzeby. Shao tymczasem taką potrzebę dostrzegł. Naturalnie. Shao zawsze wiedział, gdzie można ukryć trupa.

Shao Ge, zdrajca. Emocje wreszcie przebiły się przez ból głowy. Czysta furia. Nawet jeżeli Shao nie pochwalał jego metod, generał nie mógł przecież z tego powodu ponieść klęski. Czy ktokolwiek może nie osiągnąć tego, co mu przeznaczone? Shao mógł go sobie nienawidzić, ale wystarczyło przecież, by zacisnął zęby i współpracował. Tymczasem z jakiegoś niepojętego powodu postanowił wszystko utrudnić. Targająca Ouyangiem wściekłość narastała, aż w końcu stała się nieodróżnialna od bólu. Nie wiedział, w jaki sposób wyrwie się z tej celi, wiedział za to, że kiedy odzyska już wolność, poczęstuje tym samym bólem Shao i upije się jego krzykami.

Oczekiwanie dłużyło się w nieskończoność. Ostatecznie jednak w korytarzu rozległy się kroki. Udręczony generał wstał z trudem. Na szczęście Shao nie odebrał mu zbroi. Kiedy Ouyang pomyślał o tym, że ktoś mógł go rozebrać czy dotknąć, gdy pozostawał nieprzytomny, jego furia zapłonęła jeszcze goręcej.

– Chciałem podarować ci tron! – wybuchnął, ledwie pokazał się zdrajca.



Shao odstawił tacę na ziemię. Jego nieskłonne do wesołości usta wykrzywił grymas.

– Właśnie w tym rzecz – odparł. – Ty nadal w to wierzysz. Ja jednak zacząłem się zastanawiać. Skoro mandat posiadają zbuntowani nanreni, to co oznacza fakt, że go nie otrzymałem, mimo że mam armię i obiecany tron? – Na wściekłość Ouyanga odpowiedział protekcyjnym spokojem. Człowiek racjonalny zniżający się do rozmowy z histerykiem. – Chciałbyś dać mi tron. Ale jedno rozumiem już jasno. Nie możesz. Spójrz na tę armię. Pod twoim dowództwem znalazła się na skraju rozpadu. Dla Esen-Temura byłbyś gotów zestrzelić z nieba dziewięć słońc, ale o ludzi, za których jesteś rzeczywiście odpowiedzialny, nie dbałeś nigdy. Im dłużej cię obserwuję, tym bardziej jest to oczywiste. Jeśli rzeczywiście chcesz tronu, muszę go zdobyć bez ciebie. Tak więc, generale... Przekaż wojsko pod moje rozkazy, a puszcze cię wolno.

Ouyang zauważył, że zaciska dłonie na prętach kraty. Przepęliło go gorącym gniewem, że Shao nawet nie mrugnął.

– Puścisz? Tak jak puściłeś Yana i Baia? – Generał zawsze mówił ochryple, ponieważ miał nawyk obniżania tonu do męskiego rejestru, lecz teraz, niedawno podduszony, chrypiał wręcz komicznie. – Pieprzę ciebie i osiemnaście pokoleń twoich przodków! Myślisz, że możesz mnie pozbawić mojej zemsty?

– Yana i Baia zabiłem dlatego, że musiałem. Nie zrobiłem tego dla przyjemności – odparł chłodno Shao. – Podobnie jak nie pozbawiam cię szansy na zemstę złośliwie. Zastanów się zresztą, może nie z twojej ręki, ale wielki chan zginie tak czy inaczej. Postaraj się więc spojrzeć na sytuację uczciwie. Daję ci możliwość, żebyś zostawił to wszystko za sobą. Możesz stąd wyjść. Możesz zachować życie.

Shao już dawno poznał Ouyanga na tyle dobrze, by umieć zadać mu ból, nie na tyle jednak, by go zrozumieć. Ból w głowie generała był zbyt słaby, by przyćmić znacznie gorszą udrękę. Cierpienie kończące cały świat. Jeżeli nie zabije wielkiego chana, jeżeli nie

doprowadzi planu zemsty do końca, to wszystko, co w jej imię poświęcił... wszystko, co zrobił...

– Jeżeli nie przekazesz mi dowództwa, będę zmuszony objąć je po twojej śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku. – Oblicze Shao było w tej chwili studium pogardy. – Naturalnie z głębokim żalem. Masz zatem dwie możliwości. – Pchnął stopą tacę, wsuwając ją pod kratę do celi. – To błyskawiczny sposób. Postaraj się nie zadławić własnym językiem jak ten nieborak komendant Bai. Lepiej, jeśli fakt, że to ja cię zabiłem, nie będzie zbyt oczywisty. Mogłoby to podważyć zaufanie w moje zdolności dowódcze. – Shao umilkł, zerknął na przegub Ouyanga i wykrzywił usta w nienawistnym grymasie. – Zastanawiałem się, czy nie dać ci noża, żebyś podciął sobie żyły. Wiem, jak bardzo lubisz się krzywdzić, ale podsuwanie ci ostrych przedmiotów uznałem za nie najlepszy pomysł.

Ouyangowi przemknęło przez myśl, że nigdy jeszcze nie nienawidził innego człowieka tak bardzo, jak nienawidził w tej chwili Shao. Podniósł tacę i cisnął ją wściekle o kratę. Dopiero kiedy drewniane miski znieruchomiały na ziemi, zdał sobie sprawę, że Shao od początku stał poza jego zasięgiem.

– A więc wolisz powoli. Cóż, mogę zaczekać. Jestem pewien, że to będzie kilka bardzo przykrych dni. Chociaż ty przecież całe życie rozkoszujesz się nieszczęściem, prawda? – Shao obrzucił generała jeszcze jednym przeciągłym spojrzeniem. – Po wszystkim odmówię za ciebie modlitwę. Nie umiem sobie wyobrazić, jak wielu eunuchów zostało uhonorowanych przez samego cesarza. – Odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. – Życzę, żeby następne wcielenie było ci miłsze, generale.

朱

– Co was tu sprowadza? – rzucił w han'er jeden z wartowników przy bramie, gdy Zhu i Ma podjechały na czele karawany wielbłądów do muru miejskiego.

Nad ich głowami wzbijały się pod brązowe południowe niebo bliźniacze iglice Bianliangu: Wieża Astronomów i Żelazna Pagoda. Jasne kamienie fortyfikacji falowały w rozgrzanym powietrzu. W promieniu dziesięciu li w każdym kierunku miasto opasane było pierścieniem zwierzęcych stad, nieodłącznie towarzyszących każdej mongolskiej armii. Konie, owce, kozy i bawoły skubały zakończone fioletowymi lub różowymi czubkami źdźbła trawy, pozostawiając jak okiem sięgnąć monotonną równinę. Pośród odległych trzcin połyskiwała złościście rzeka.

Zhu z rozbawieniem przyglądała się strażnikowi, który wyprostował się nieco bardziej, gdy Ma zsunęła z twarzy szal ochronny. Żona Zhu miała typową dla kobiet semu szeroką twarz, lecz w jej spojrzeniu krył się blask – nostalgiczny, świadomy siebie smutek na zbyt młodym dla takich uczuć obliczu. I to oblicze zdobywało serca mężczyzn, którzy mylili smutek z urodą.

Ma przedstawiła opracowaną zawczasu bajeczkę po ujgursku, a Zhu przełożyła jej słowa na han'er: byli pochodzącymi z Dadu handlarzami jedwabiem, a Bianliang stanowił ich tradycyjny przystanek na szlaku prowadzącym z północy ku słynącemu z produkcji jedwabiu południu, do należącego do pani Zhang Pingjiangu i ku podbitemu przez Zhu Yuanzhangą Yingtianowi. Następnie chcieli przekroczyć pustynię i odwiedzić zachodnie chanaty.

Przeniknięcie do miasta było zdecydowanie najtrudniejszym elementem planu. Reszta była tak prosta, że stwierdzenie Zhu, iż będzie to świetna zabawa, nie wydawało się wcale przesadą. Wystarczyło, że zanim wyruszą następnego dnia w dalszą drogę, rozrzucają po mieście swoje niewinnie wyglądające bele jedwabiu. Niewinne były jednak tylko z pozoru, gdyż ich wewnętrzne warstwy zostały nasączone wybuchową miksturą, wynalazkiem Jiao Yu, pracującego dla Zhu inżyniera. Kiedy płyn w odpowiednim stopniu odparuje – miało to nastąpić mniej więcej za dwa dni – tkanina sama z siebie zacznie się tlić, a w końcu zapłonie.

Warowne miasta stanowiły twarde orzechy do zgryzienia. Zhu nie posiadała machin oblężniczych i nie miała sześciu miesięcy, których wymagałoby zagłodzenie obrońców. Niemniej, o czym pomyślała z zadowoleniem, jeśli warunki życia za murami staną się wystarczająco trudne, nie trzeba będzie czekać tak długo.

Strażnik, który poświęcił chwilę na inspekcję wielbłądów oraz ich ładunku, powrócił.

– Uczciwym kupcom generał zezwala na jednodniowy pobyt. Eskorta odprowadzi was do wyznaczonych przez nas kwater, gdzie będziecie musieli pozostać do jutra. Jeśli po upływie doby nie opuścicie miasta, zostaniecie ukarani.

Kiedy ruszyli za gwardzistami w głąb miasta, Zhu zauważyła wiszące na murach skórzaste kształty. Chyba nie wszyscy byli nieuczciwymi kupcami? Cóż, pomyślała i skrzywiła się, czując rwanie w kikucie, w kwestii kar Ouyang był człowiekiem wyjątkowo pozbawionym poczucia humoru.

Prowadzone przez semu wielbłądy dostojnie maszerowały po przykurzonych ulicach Bianliangu, podzwaniając uwięzonymi do uprzęży dzwoneczkami. W ciągu stuleci, jakie upłynęły od upadku potężnej dynastii Song, wspaniałość i majestat ich niegdysiejszej stolicy prysły niemal bez śladu. Wypłowiałe na słońcu domy stały pośród pól uprawianych tam, gdzie dawniej znajdowało się tętniące życiem serce metropolii. Drzewa glediczyj rosiły ruiny świątyń łzami drobnutkich żółtych liści, a otoczone nadkruszonymi murami dziedzińce wystawnych rezydencji zastawione były skleconymi na słowo honoru straganami drobnych przekupniów. A wszędzie, jak okiem sięgnąć: wojsko.

Armia Ouyanga wypełniła całą możliwą do zajęcia przestrzeń w Bianliangu. Żołnierze wciskali się w każdą, najmniejszą nawet szparę, podobni do grzybów wyrastających ze szczelin powalonego pnia. Widok zapewne skojarzyłby się Zhu z Anfengiem, poprzednią stolicą Czerwonych Turbanów, gdyby nie konie. Dziewczyna miała już okazję zetrzeć się z kawalerią Ouyanga, lecz aż do dzisiaj nie miała pojęcia, jak wiele zwierząt jest potrzebnych do utrzymania

mongolskiej jazdy. Na każdego mijanego żołnierza przypadało przynajmniej pięć wierzchowców. Uwiązane rzemieniami do długich, rozciągniętych w powietrzu sznurów niskie, wytrzymałe koniki umaszczone były rozmaicie: gładkie, cętkowane i łaciate niczym koty. Skubały rozrzucone na ziemi siano, od czasu do czasu zadzierając ogony i pozostawiając po sobie miękkie pagórki łajna. Ich obecność sprawiała, że w całym mieście snuła się charakterystyczna woń stajni, tak skoncentrowana, że aż łzawiły oczy. Ouyang usunął wprawdzie ze swoich oddziałów rodowitych Mongołów, lecz wciąż było to wojsko na wskroś mongolskie.

– Stać! – Konny żołnierz raptownie zajechał im drogę, przez co Zhu, Ma i cała karawana niemal wpadli na plecy eskorty. – Generał przesyła pozdrowienia handlarzom jedwabiu z Dadu – podjął nieznajomy, omiatając Ma uważnym spojrzeniem od stóp do głów. – Kiedy usłyszał o waszym przybyciu, poczuł się zaciekawiony osobami tak znakomitych podróźnych. Byłby zaszczycony, gdybyście na czas pobytu w Bianliangu zechcieli skorzystać z jego gościnności.

Ma, która zapomniała, że w obecnej roli nie powinna rozumieć ani słowa w han'er, zerknęła z niepokojem na Zhu, a ta przetłumaczyła zaproszenie, czując jednocześnie prawdziwą gonitwę myśli. Ouyang zaprasza ich do siebie wiedziony ciekawością? Gdyby chodziło o innego człowieka, założyłaby, że poszukuje informacji: na temat Dadu bądź warunków panujących na północnych traktach. Znała jednak generała, tak przynajmniej sądziła. Znała i jeszcze kilka chwil temu byłaby gotowa założyć się, że jest zbyt zaprzątnięty własnymi troskami, by w ogóle odnotować ich wizytę, a co dopiero chcieć z nimi rozmawiać.

Dziwne. Co więcej, zaproszenie stanowiło problem. Jeżeli spędzą cały wieczór pod nosem generała, będą mieć poważny kłopot z wymknięciem się do miasta i rozrzuceniem jedwabiu. Poza tym choć Ouyang nie znał Ma i raczej nie mógł rozpoznać żadnego z semu, to w ich grupie znajdowała się przecież Zhu, a jej twarz z pewnością zapamiętał po kres swoich dni.

Zhu pochwyciła wzrok Ma i bez słowa wskazała jej wielbłąda idącego na czele pochodu.

– Jak to możliwe, że generał chce się zniżyć na tyle, żeby obcować z prostymi kupcami? – W głosie Ma słychać było jedynie nikłe echo zdenerwowania. – Proszę, przyjmijcie zamiast tego ten skromny dar, wyraz naszego najwyższego szacunku.

Po krótkiej, prowadzonej jedną ręką szamotaninie z klamrami wiszących przy siodle sakw Zhu wyciągnęła zwój bogato haftowanego jedwabiu, jeden z tych, które codziennie wymieniali na rozmaite niezbędne w drodze produkty. Zdawała sobie sprawę, że sporo ryzykuje. W każdej zdyscyplinowanej armii świata łapówkarstwo karano śmiercią. Zhu przypomniawszy sobie determinację, z jaką żołnierze Ouyanga rzucali się całymi falami wprost w objęcia jej zasadzek w dolinie Jiningu. Nawet jeżeli motywowało ich nie uwielbienie, ale strach, to byli wodzowi skrajnie posłuszni. I rzeczywiście, kiedy Ma zaprezentowała dar, w oczach wojownika dało się dostrzec chciwy błysk, lecz powiedział jedynie:

– Generał z przyjemnością przyjmie wasz hojny prezent osobiście.

Dalsze odmowy wydałyby się zbyt podejrzanym. Zhu zauważyła, że nagle zmiana planów mocno wytrąciła Ma z równowagi. Niemniej choć Zhu doskonale wiedziała, jak groźny może okazać się Ouyang – kikut i blizny, które pozostawił na jej ciele generalski miecz, stanowiły tego dobitne świadectwo – myśl o tym, że ujrzy go ponownie, i to wcześniej, niż się spodziewała, przepełniła ją pulsującym rytmem, niemalże tożsamym z ekscytacją. Takiego obrotu spraw nie przewidziała, lecz przecież jasne było jedno – wszystko będzie dobrze. Jeśli nie pozwoli, by generał ją rozpoznał – co dodatkowo komplikowało i tak wielowarstwową już sytuację – to najpierw zdołają jakoś przebrnąć przez spotkanie, a potem zajmą się kwestią rozprowadzenia po mieście spreparowanego jedwabiu.

W tej chwili Zhu nie miała pojęcia, jak ten problem rozwiązać, jednak wiedziała, że jakieś wyjście istnieje na pewno. Zawsze jakieś

było.

– Niegodni kupcy z wdzięcznością przyjmują zaproszenie czcigodnego generała – rzuciła swobodnie, nie czekając na reakcję Ma. – Prosimy, wskaż nam drogę.

朱

Zanim dotarli do celu, Zhu zdołała zamienić się miejscami z semu jadącym w ogonie karawany. Miała nadzieję, że skoro wszyscy podróżowali z chustami na twarzach, żaden z członków eskorty nie zauważy, że tłumacz Ma został tak nagle zdegradowany.

Zhu, czując ukłucie wyrzutów sumienia, przypomniała sobie, że obiecała Ma nie odstępować jej w czasie pobytu w Bianliangu nawet na chwilę. Niestety, nie miała teraz wyboru, a poza tym Ma była na tyle doświadczona, by samodzielnie poradzić sobie w czasie posiłku u Ouyanga. Co więcej, Ma przecież mieszkała kiedyś w Dadu, więc gdyby generał zaczął wypytywać o stolicę, to wystarczy, że dziewczyna zaspokoi jego ciekawość zgodnie z prawdą. Była bystra i dysponowała umysłem na tyle lotnym, że Zhu nie wątpiła, iż poradzi sobie także z innymi ewentualnymi tematami. A ponieważ Ouyang był Ouyangiem, Zhu nie zakładała, że wytrzyma on w towarzystwie przybyszów dłużej, niż to konieczne, by wydobyć z nich potrzebne informacje. Przewidywała, że spotkanie przebiegnie w dość niezręcznej atmosferze, ale za to nie przeciągnie się ponad rozsądną miarę.

Ouyang kwaterował w rozległej rezydencji, otoczonej pierścieniem przypominających długie włócznie drzew ozdobnej gruszy. Ich szeleszczące górne liście mieniły się już czerwienią i fioletem, podczas gdy dolna połowa koron wciąż pyszniła się letnią zielenią. Sądząc po rozmiarach gmachu, Zhu domyśliła się, że dawniej musiał w nim rezydować mongolski gubernator. Kiedy czekali przed bramą, w ekscytację dziewczyny wmieszało się delikatne drżenie w centrum jej qi. Od dawna czuła łączącą ją

z Ouyangiem osobliwą więź, która budziła się zawsze, gdy znajdowali się blisko siebie. Zjawisko to było specyficznym rezonansem dwóch podobnych do siebie bytów. Dwojga ludzi, którzy nie byli ani jednym, ani drugim. Miała wrażenie, że wypatruje generała, wyęzając nie tylko oczy i uszy, lecz także ów wewnętrzny zmysł, który bez przerwy badał świat w żarliwym poszukiwaniu czegoś podobnego do siebie samego.

W bramie pokazała się zakuta w pancerz postać. Zhu wyczuła, że coś jest nie tak, zanim jeszcze wypowiedział jej to wzrok. Zupełnie jakby trąciła strunę, lecz nie odpowiedziała jej wibracja podobieństwa, a jedynie martwy bezruch pustego pokoju. Wzrok tego człowieka, rozstaw barków, męskość rysów, wyraźna nawet z oddali: nic z tego nie należało do Ouyanga, którego charyzma przyćmiewała niski wzrost i skromną budowę i którego kobieca twarz tym bardziej traciła swoją kobiecość, im dłużej się na nią patrzyło. Idący ku nim człowiek był generałem, ale był też mężczyzną. Nieznajomym mężczyzną.

Nagle wszystko nabrało sensu. Ouyang za nic na świecie nie poświęciłby uwagi byle karawanie kupieckiej. Nie zrobił tego i dzisiaj. Skoro jednak to Ouyang początkowo stał na czele armii odebranej księciu Henanu, gdzie jest teraz i kim jest ten inny nanren mieniący się generałem?

Ma, aczkolwiek zapewne równie zaskoczona jak Zhu, przywitała się z godnym podziwu opanowaniem.

– Jak powinniśmy nazywać czcigodnego generała? Żyliśmy w przeświadczeniu, że okupującym Bianliang wojskiem dowodzi eunuch. Jak widzę, było to błędne przeświadczenie.

Nieznajomy oficer podniósł dłoń, powstrzymując tłumaczenie. Odpowiedział po mongolsku:

– Znam ujgurski, ale musisz wybaczyć, bo sam będę posługiwać się mową, z którą jestem bardziej zżyty. – Zakrzywione ku dołowi usta sprawiały, że wydawał się człowiekiem skrytym i skłonny do wybiegów. Patrząc na te wargi, Zhu poczuła na karku dreszcz nieufności. – Wasze przeświadczenie nie było błędne, ale generał



Ouyang został, niestety, złożony chorobą. I to właśnie mnie, jako swojemu zastępcy, polecił, żebym tymczasowo przejął dowództwo. Moje nazwisko brzmi Shao – przedstawił się, po czym dodał uprzejmym tonem: – Jak bez wątpienia słyszeliście, generał Ouyang zamierza poprowadzić nas wkrótce na Dadu. Zastanawiam się, czy nasi szacowni goście nie mogliby podzielić się wiadomościami dotyczącymi obecnej sytuacji w tym mieście.

Ten powód zaproszenia był oczywisty. Niemniej gdy wzrok Shao padł na obciążone ładunkiem wielbłądy, Zhu wychwyciła w jego oczach drapieżną iskrę i natychmiast z nieprzyjemnym przeczuciem zrozumiała, co interesuje oficera naprawdę. Ta armia, jak każda przebywająca miesiącami poza macierzystym terytorium, musiała cierpieć na poważne niedostatki finansowe, a karawana Zhu pojawiła się w ich bazie z jedwabiem wartym kilka tysięcy taeli. Ouyang w ogóle by o tym nie pomyślał. Shao jednak nawet przez mgnienie oka nie zamierzał podjąć kupców jak gości. Chciał ich obrabować.

Po chwili Zhu doznała drugiego olśnienia: Ouyang nie zaniemógł. Shao się go pozbył. Ouyang nie żyje. Zdrajca został zdradzony.

Na ukrytej pod chustą twarzy dziewczyny pojawił się grymas niepokoju. Kiedy rozstawała się z Ouyangiem po ich ostatnim spotkaniu w Bianliangu, gdy odjeżdżała, mając go za plecami, była pewna, że ich drogi jeszcze się kiedyś przetną. Miała wrażenie, że jest to nieuniknione: tak właśnie działała energia podobieństwa, naginała szlaki ich życia ku sobie. Fakt, że Ouyang zginął, nie realizując w Dadu swojego przeznaczenia, wydawał się w specyficzny sposób niewłaściwy, jakby znajoma dotąd osnowa świata uległa zaskakującemu przeobrażeniu w obraz, którego Zhu nie potrafiła rozpoznać.

Nie było jednak czasu na rozważania. Odsunęła niepokój i skupiła się na bieżącym problemie. Co do tego nowego generała Shao: nie miałyby nic przeciwko wydaniu mu jedwabiu, gdyby nie kłopot polegający na tym, że pozostawienie wszystkich bel w jego

rękach sprawi, że pożar wybuchnie w jednym, ograniczonym miejscu. A Zhu chciała podpalić całe miasto jednocześnie.

Było jeszcze jedno poważne pytanie: co Shao zechce zrobić z grupą wędrownych kupców, kiedy już pozbawi ich towaru? Ouyang puściłby ich wolno. A ten nowy generał? Tutaj pewności nie miała.

– Proszę, wejdźcie i odświeżcie się po podróży – zachęcił grzecznym tonem Shao. Uprzejmość nie sięgnęła jednak niezmiennie wykrzywionych ust. – Moi ludzie rozładują wasze wielbłądy, a następnie nakarmią je i napoją.

– Generał jest nazbyt uczynny – odparła Ma. Zhu zauważyła, że dziewczyna nie przeniknęła prawdziwego powodu zainteresowania Shao. Nie miała pojęcia, że czyha na nich nowe niebezpieczeństwo. – Proszę, pozwól, żeby mój parobek pomógł twoim żołnierzom zająć się zwierzętami. Wielbłądy bardzo się różnią od waszych koni, a potrafią paskudnie ugryźć. – Wskazała stojącą na końcu karawany Zhu. Drobną, chłopięcą Zhu, której owinięta twarz tylko przelotnie zwróciła uwagę generała.

Shao skinął głową.

Zhu odprowadziła spojrzeniem swoją żonę wchodzącą za generałem do gmachu. Dzięki zawiniętej na szyi chuście swojska, łagodna uroda dziewczyny zyskała świeży wymiar. Zhu poczuła głęboki niepokój na myśl o tym, z czym być może będzie musiała zmierzyć się jej ukochana, zanim uda się ją uratować. Zdawała sobie sprawę, że dziewczyna wzięła udział w tej wyprawie wyłącznie dlatego, że otrzymała zapewnienie, iż nic jej nie zagrozi. Nurzanie się w poczuciu winy nie miało jednak sensu. Zhu oczyściła umysł i ucieszyła się z tempa, w jakim zdołała pozbyć się zbędnych myśli. Miejsce obaw wypełnił rozedrgany zapach. W tej chwili najważniejsze było jak najszybciej usunąć wszystkie przeszkody i zrealizować plan.

朱

Nie ulegało wątpliwości, że Zhu jest takim samym więźniem jak pozostali. Pod czujnym okiem strażników została wraz z rozładowanymi wielbłędami odprowadzona na pole położone w pewnej odległości od rezydencji Shao. Okolica usiana była kopcami, rzucającymi długie cienie na zabarwioną promieniami zachodu trawę. Ruiny, uświadomiła sobie Zhu, kiedy dostrzegła skorodowaną belkę przebijającą w jednym miejscu ziemną skorupę wzniesienia. Wszędzie pomiędzy kopcami stały namioty, pośród których siedzieli bądź kucali spluwający raz po raz pod siebie żołnierze. A koni było tu tak wiele, że sznury, do których były uwiązane, przesłaniały niebo na podobieństwo gęstej, chaotycznie splecionej pajęczyny.

Wielbłądy wywalczyły dla siebie przestrzeń samą swoją obecnością. Ogromnie zadowolone, rozsiadły się niczym zadufany łańcuch górski i zajęły przeżuwaniami paszy. Zhu oparła się o ciepły zwierzęcy bok i zaczęła kontemplować sytuację. Słońce zaszło, zbijając namioty, konie i kopce w zwartą masę cienia. Pilnujący dziewczyny żołnierze zebrali się wokół pobliskiego ogniska, na którym przypiekali plastry chleba i nadziane na patyki kawałki mięsa o bardzo intensywnej woni. Mimo sprzyjającej ciemności byli na tyle blisko – oni oraz masa innych ludzi w obozie – że o ukradkowym zniknięciu mogła najwyżej pomarzyć.

Wtem coś świsnęło w powietrzu i wylądowało na ziemi tuż przy jej stopie.

– E! Ty, mały! Zjedz sobie.

Porcja chleba z wciśniętym do środka tłustym skrawkiem mięsa. Zhu wzięła poczęstunek do ręki, obejrzała i zjadła, nie zważając na wybuch szorstkiego śmiechu żołnierzy. Jedzenie było dobre. Przeżuwała skrzypiącą w zębach chrząstkę i rozmyślała. Musiała wracać do rezydencji Shao. Musiała odszukać i uratować Ma i pozostałych, znaleźć jedwab i umożliwić wszystkim ucieczkę. Kluczowym czynnikiem był czas. Nie istniała możliwość opóźnienia zapłonu spreparowanego jedwabiu. Poczowała ścisk w żołądku, powoli budziły się emocje. Wypluła chrząstkę i wstała. Skoro nie mogła

wymknąć się niepostrzeżenie, musiała zrobić to pod obserwacją. A resztę obmyślić w trakcie ucieczki.

Kiedy wartownicy podnieśli spojrzenia, wykonała w odpowiedzi wielce wymowny półprzysiad. Prychnęli i wrócili do przerwanego posiłku, a dziewczyna przeszła za wielbłądy. Wznoszący się w pobliżu kopiec był na tyle wysoki, by ukryć ją przed wścibskimi spojrzeniami z drugiej strony. Kilka kroków dalej rozpoczynał się istny las wbitych w ziemię tyczek, do których przymocowane były wiszące sznury. Zhu zgięła się wpół i podbiegła do najbliższej tyczki. Po krótkim rozeznaniu stwierdziła, że splątane sznury trzymają się na wyżłobieniach u podstawy kija i są tam mocno zawiązane. Dziewczynie brakowało palców, by poradzić sobie z supłami. Dysponowała jednak czymś innym.

Jej obecna, drewniana ręka – zwykła proteza, którą założyła w miejsce pozłacanej – wykonana została przez Jiao. Inżynier wyposażył stawy palców w małe ruchome pręciki z metalu i powiązał każdy z dłonią cienkim drucikiem. Za pomocą nieznacznych ruchów kikutu Zhu mogła w ograniczonym zakresie poruszać tymi sztucznymi palcami. Konstrukcję nosiło się niewygodnie i ani trochę nie przypominała prawdziwej kończyny. W wystarczającym stopniu jednak łagodziła ludzką odrazę wywołaną widokiem tego, czego obawiano się najbardziej: deformacji bezcennego, otrzymanego w spadku po przodkach ciała.

Zhu szarpnęła za sztuczną dłoń i zdjęła ją z metalowego trzpienia, który łączył ją z przegubem. Trzpień nie miał ostrej krawędzi ani nie kończył się szpikulcem, przypominał płaskie dłuto. Krawędź tego dłuta była jednak wystarczająco ostra. Zhu przepiłowała supły, a kiedy podniosła wzrok, zauważyła, że rozciągnięte powyżej sznury opadły bezwładnie. Zamontowała na powrót protezę, podeszła do pierwszego wielbłąda w karawanie, ujęła go za wodze i czekała.

– Czy to żółwiowe jajo ciągle tam sra? – Zirytowany żołnierz okrążył wielbłądy i drgnął na widok Zhu stojącej przy łbie przewodnika stada. – Ej, co ty...

Zhu ponagliła zwierzę kopniakiem i skoczyła.

Stopa dziewczyny w odpowiednim momencie trafiła na ugięte kolano wielbłąda. Wybiła się ku górze. Gdyby nie musiała tak bardzo skupiać się na usadowieniu między garbami, przerażony okrzyk strażnika zapewne by ją rozbawił. Dobrze wiedziała, jak niecodziennie wygląda podnoszący się wielbłąd: to przedziwne kołysanie rozrastającego się zwierzęcia, coraz wyższego i wyższego.

Wartownik zdołał się opanować i rzucił się naprzód, by chwycić uzdę. Ale w ten sposób zatrzymałby konia. Wielbłąd zaś jest zwierzęciem o zupełnie innym charakterze. Wierzchowiec Zhu splunął żołnierzowi prosto w twarz, zawył i rzucił się na niego z wyszczerzonymi zębami. Strażnik uskoczył wielbłądowi z drogi i zaczął nawoływać pomocy.

W ciemności rozpętał się chaos. Pozostałe wielbłądy zaczęły się podnosić, co spłoszyło drzemiące w pobliżu konie, które z miejsca odkryły, że jeśli szarpną za postronki, rzemienie nie stawią oporu, i tak oto pole zalała fala wystraszonych, splątanych, bardzo szybko przemieszczających się zwierząt. Zhu kurczowo trzymała się wielbłądniego garbu i usilnie starała się nie myśleć o tym, jak może się skończyć upadek. Przy każdym susie zwierzęcia podskakiwała tak energicznie, że traciła dech, a w pewnym momencie stwierdziła chmurnie, że zaczyna się zsuwać na bok. Rozkołatane serce podeszło jej do gardła.

Po bokach czworonożnej fali biegli żołnierze. Wymachiwali rękoma w daremnej próbie zapanowania nad stadami i jednoczesnego uniknięcia śmierci pod kopytami. Kilku najszybszych zdołało dosiąść wierzchowców, lecz wystarczyło im jedno spojrzenie na szarżujące wielbłądy, by podjęli słuszną decyzję o niezbliżaniu się. Zhu wiedziała, że jej drobnej, przygarbionej sylwetki nikt w tym chaosie nie zauważy – przynajmniej na pewien czas była bezpieczna. Pociągnęła za uzdę swojego wielbłąda i skierowała go na skraj stada, a kiedy biegnące zwierzę znalazło się w pobliżu wylotu wąskiej alejki, wyskoczyła w powietrze.

Z wielbłąda spada się znacznie dłużej niż z konia. Dziewczyna zderzyła się brutalnie z ziemią i potoczyła naprzód, aż wreszcie zatrzymała się gwałtownie na frontowej ścianie jakiegoś budynku. Zwierzęca fala wraz ze ścigającymi ją żołnierzami popłynęła naprzód główną aleją.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej skok. Zhu odetchnęła z ulgą i poczuła w żebrach po lewej stronie rwanie, które z jakiegoś powodu wywołało w prawym ramieniu ból tak intensywny, że aż syknęła. Lecz cóż, ból to tylko ból. Skoro taka była cena realizacji planu, to mogła z tego powodu czuć jedynie radość. Odwróciła się i z grymasem na twarzy pospieszyła cienistymi ulicami w kierunku rezydencji Shao.

朱

Zhu przeszukiwała trzeci już budynek rezydencji, lecz wciąż nie mogła trafić na żaden ślad swoich ludzi. Na teren dostała się bez większego trudu, a to dlatego, że wartowników odciągnęło spod bramy hałaśliwe widowisko, w którym główne role odgrywały cwałujące miejskimi alejami wielbłądy i konie. Jednak wkrótce okazało się, że dawna siedziba gubernatora jest rozleglejsza, niż wydawało się z ulicy. Dziesiątki zabudowań, prawdziwy labirynt korytarzy i dziedzińców. Co gorsza, obecnie stacjonowało tu wojsko w stanie przedmarszowego ożywienia: mimo późnej godziny wszędzie kręcili się zagonieni służący i żołnierze. Zhu, wciąż ubrana w rzucający się w oczy, barwny strój kupca, przemykała od jednej plamy cienia do drugiej. Jej trzewia mrowiły z bólu i ekscytacji. Uwielbiała takie momenty, kochała je całą sobą. Skok, po którym nie ma odwrotu. Dreszczyk świadomości, że wątki kolejnych decyzji wkrótce się spleją – że muszą się spleść – w ostateczny sukces, nawet jeśli sama jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób do tego dojdzie. Przypominało to modlitwę i była w tym wiara, lecz doznanie bardzo różniło się od oczyszczającego jaźń oddania światu, którego uczyła

się jako mnich. Płonęła żądzą. Pragnienie przepełniało ją po brzegi, a wiarę pokładała jedynie w sobie.

Sunęła właśnie zacienioną kolumnadą jednego z budynków, kiedy usłyszała ostry wybuch. Drgnęła, podniosła spojrzenie i ujrzała rozkwitające ponad dachami światło. W pierwszej chwili pomyślała, że to flara sygnałowa. Potem jednak dobiegł jeszcze jeden trzask i kolejny. Następowały po sobie coraz szybciej, aż wreszcie zlały się w ogłuszający jazgot. Skrzące się rozbłyśki lśniły na zalanych blaskiem księżycy dachówkach, a zaskoczeni ludzie wybiegali na dziedzińce. Powietrze zgęstniało od znajomego kwaśno-ziemistego zapachu, który sprawił, że Zhu pomyślała o swoich dłoniach, poczerniałych od prochu ogniowego...

Chwilę potem leżała już rozciągnięta pośrodku kolumnady, o długość ciała dalej, niż była przed momentem. W oczach miała oślepiającą biel, uszy wypełniał przenikliwy wizg. Stracone dachówki sypały się na dziedzińce, gdzieś z dalekiego zakątka rezydencji strzelał pod nocne niebo wysoki słup ognia.

Zdyszana Zhu dźwignęła się na równe nogi. Miała wrażenie, że wszystkie myśli wyższego rzędu zostały z niej wybite uderzeniem potężnego młota. Po drugiej stronie podwórza papierowe okna zwisały w strzępach, a ich drewniane kraty sterczały niczym połamane wykałaczki. W środku dwóch otumanionych żołnierzy pomagało sobie wzajemnie wstać. Tylko jedno mogło spowodować tak potężne zniszczenia. Jedwab. Zhu nie miała pojęcia, co wywołało przedwczesny zapłon. Być może ludzie Shao złożyli bele w pobliżu źródła ciepła, może zanadto je stłoczyli, a może po prostu upał sprawił, że wyschły wcześniej, niż obliczył Jiao.

Nocny wiatr roznosił ogień na wszystkie strony, szkarłatna płachta płomieni wyciągnęła się ponad mur rezydencji i sypnęła deszczem iskier podobnym do tego, jaki tryska z ostrzonego na kamieniu szlifierskim miecza. Drobinki pożogi padły na żyzny grunt. Porastające szpalerem ulicę, szeleszczące schnącymi liśćmi drzewa upstrzone zostały deseniem błyskawicznie rozrastających się czerwonych plamek. Kilka chwil potem gorzały już całe konary.

Macki ognia wyciągały się nieubłagane ku wierzchołkom, skąd kołysane porywami wiatru, spryskiwały kroplami niszczycielskiej mżawki drewniane zabudowania miasta. Zhu poczuła w piersi blask triumfu. Wszystko potoczyło się lepiej, niż mogła to sobie wymarzyć. Chciała pożaru, dostała apokalipsę. Bianliang płonął.

Na dziedzińcu zadudniły kroki nadbiegających żołnierzy. Otrząsnęła się. Nadal musiała odszukać Ma i pozostałych. Na szczęście chaos, jaki ogarnął całą rezydencję, wydatnie ułatwił jej przemieszczanie. Kiedy biegła kolejnymi korytarzami, ani jeden wojownik nie zwrócił na nią uwagi. Na ścianach pełgała upiorna pomarańczowa poświata, a rozgrzane arkusze papieru w oknach tchnęły przyjemnym tłustym aromatem, podobnym do tego, jaki rozchodzi się znad gorącego woka. Zhu otwierała jedne drzwi po drugich. Wiedziała, że w obecnej sytuacji nikt nie zwróci uwagi na ucieczkę grupki kupców. Zabawa była przednia, dokładnie tak wspaniała, jak obiecywała Ma, a niebezpieczeństwo stanowiło po prostu nieodzowny element tej zabawy. Życie intensywnie pulsowało w żyłach dziewczyny, przepełniając wszystkie jej nerwy bólem i porywami upajających emocji. Rozkoszowała się swoją energią i zdolnością przetrwania. W tej chwili, pędząc przez płonąca rezydencję, miała wrażenie, że jej życie nie skończy się nigdy.

Wyskoczyła z korytarza i znalazła się na jeszcze jednym podwórku. Wyglądało na to, że żołnierze opanowali już pożar wewnątrz budynku, lecz spoza murów rozlegał się narastający, nieprzerwany ryk żywiołu: odgłos ogarniętego pożarem miasta. Stulecia historii Bianliangu obracały się w biały popiół, który unoszony przez wiatr niknął w podniebnej ciemności, po czym opadał wirującymi płatkami na podobieństwo delikatnego śniegu. Gdzieś w oddali rżały przerażone konie.

Zhu ciaśniej okręciła chustą twarz, by osłonić ją przed drobinkami sadzy, i poczuła pierwsze ostrzegawcze ukłucie niepokoju. Nie, nie bała się, że nie znajdzie Ma. Bała się tylko, że zajmie jej to więcej czasu, niż przewidywała. Kompleks składał się z tak wielu budynków, a przeszukiwała je bez planu, na chybił trafił.



Myśl, przykazała sobie stanowczo.

Teraz, kiedy na kilka chwil znieruchomiała, szarpiący żebra ból przemieścił się w głąb żołądka, przez co nie mogła go już tak łatwo ignorować. Szamotał się w jej trzewiach, rozciągał je...

Nagle doznała olśnienia. Ten ból... To nie był ból złamanego żebra drażniącego narządy wewnętrzne, lecz znajome cierpienie, jakie ogarniało ją zawsze, gdy odzywały się trącone struny wszechświata. Ostatnio czuła się tak w czasie poprzedniej wizyty w Bianliangu, kiedy uciekała konno przed...

Odwróciła się i wbiła spojrzenie w niewielki budynek po drugiej stronie dziedzińca. Otwarte na oścież drzwi lekko się kołysały.

A wewnątrz w gęstym mroku majaczyły niewyraźne, blade kształty. Białe twarze, białe łachmany i pustka czarnych oczu.

Duchy Ouyanga.

朱

Zhu ostrożnie przestąpiła próg. Nie wiedziała, jaką pierwotnie rolę pełniło otwierające się za nim pomieszczenie, lecz teraz, podobnie jak wszystkie inne pokoje, sale i komnaty, stało się ono częścią koszar. Wszędzie leżały sienniki, pozostawione w nieładzie przez wybiegających żołnierzy. Wokół walały się hełmy i tykwy na wodę. Nie było tu żywej duszy – z naciskiem na żywej. Duchy czekały kilka kroków za drzwiami, zbite w ciasny kłęb, niczym ławica ryb stłoczona wewnątrz niewidzialnej sieci. Ku wielkiemu zdumieniu Zhu widma stojące na zewnątrz częściowo zanurzały się w podłodze i widać było jedynie ich jasne torsy.

Po chwili wybuchnęła śmiechem. To takie proste. Zjawy stały nad Ouyangiem. Miała przed sobą górny wycinek tworzonej przez nieziemskie postacie kuli. Uświadomiła sobie, że kiedy generał znieruchomiał we śnie, musiały zbijać się wokół niego niczym chmura. Zhu obeszła widmowe sylwetki i czując na plecach zimny

dreszcz, przeszła między rozrzuconym rynsztunkiem ku drzwiom po drugiej stronie pokoju. Znalazła za nimi kamienne schody wiodące w dół, skąd tchnęło pachnące podziemiem powietrze. Mocniej zaciągnęła chustę na twarzy i zeszła.

U podnóża schodów Zhu zastała niewielki przedsiónek z krzesłem i stojakiem, na którym czekały paskudnie wyglądające narzędzia tortur. Z ulgą zauważyła jednak, że wszystkie pokrywa gruba warstwa kurzu. Z głębi korytarza dobiegały podniesione głosy. Dziewczyna pospiesznie skryła się za krzesłem i wyjrzała zza oparcia. Zobaczyła przed sobą długi, ciągnący się w mrok szereg krat. Wnętrza samych cel nie widziała.

Ujrzała za to samotnego strażnika, który stał właśnie w końcu korytarza i prowadził z kimś burzliwą dyskusję w han'er.

– Nie będziesz wydawać generałowi Shao rozkazów! Teraz to on tutaj dowodzi. – Żołnierz był nieco skulony, jakby jakaś zwierzęca, wylękniona część jego umysłu zdawała sobie sprawę, że zewsząd otaczają go duchy.

– Skoro miasto stoi w ogniu, to chyba nie sprawdza się najlepiej, prawda?

Zhu zadrżała na całym ciele, z bliską zachwyty emocją rozpoznała charakterystyczny głos Ouyanga. Dzisiaj chrypiał jeszcze bardziej, niż pamiętała. Co więcej, tym razem zawarta w szorstkim tonie nienawiść nie była skierowana przeciw niej.

Schodami spłynęła kaskada nagłych okrzyków, zmieszanych z kwaśną, gryzącą wonią płonącego drewna.

– To właśnie miałeś na myśli, mówiąc „panuje nad sytuacją”!? – warknął Ouyang. – Uwolnij mnie, ty utyłany w gównie kłocu!

Wartownik zeszywniał i cofnął się o krok przed kraty.

– Nawet się nie... – zaczął morderczym szeptem Ouyang.

Jednak strażnik mijał już właśnie kryjówkę Zhu. Chwilę potem nieuprzejmą kropkę nad i postawiły trzaskające na górze drzwi.

Ouyang wypluł z siebie wulgarne mongolskie przekleństwo. Stojące przed jego celą widma zafalowały. Moc gniewu i frustracji generała poruszyła nimi niczym wiatr mącący taflę jeziora.

Zhu poczuła w oczach pieczenie. Woń dymu była z każdą chwilą bardziej intensywna, sylwetki wypełniających korytarz duchów traciły wyrazistość. Dziewczyna wyszła chyłkiem z przedsionka i pobięła wzdłuż krat. Pierwsza cela była pusta. W drugiej również zrazu nikogo nie zauważyła. Dopiero po chwili cofnęła się, zdjeta grozą. Wewnątrz stał duch – lecz w odróżnieniu od zwyczajnych widm, sylwetek o pustych, nieskupionych na niczym materialnym oczach, ten wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym głodu i nienawiści. Miał ostre zęby i patrząca mu w twarz Zhu poczuła mdlący dreszcz, skurcz towarzyszący fali dojmującego strachu.

Przypomniała sobie wszystkie nieprzyjemnie wyglądające przyrządy ze stojaka przy wejściu. Więźniowie w takich lochach nierzadko umierali w wyjątkowo okrutny sposób – śmiercią, która zostawia po sobie niekoniecznie kompletne, nietknięte zwłoki. Wyglądało na to, że ci właśnie nieszczęśnicy zostawiali po sobie takie duchy – głodne, wiecznie spragnione żeru. Stare podania pełne były tego rodzaju monstrów, lecz aż do teraz Zhu nie widziała ani jednej podobnej istoty. I wolałaby nie widzieć.

Raz jeszcze gwałtownie zadrżała, po czym żywym krokiem przeszła obok trzeciej i czwartej celi. Obie były puste, lecz krok później zobaczyła, kto zajmuje piątą. Serce zabiło jej mocniej.

Ma wyskoczyła spomiędzy stłoczonych semu i z krzykiem na ustach przywarła do kraty. Ulga, która zalała Zhu, była uczuciem tak osobliwie organicznym, że w pierwszym momencie uznała, iż znów odezwały się zebra. Wrażenie mocno ją zaskoczyło. Nie przypuszczała, że martwi się aż tak.

– Jesteś... – Piękną twarz Ma znaczyły strugi łez i smugi brudu.

– Oczywiście, że jestem! – odparła oburzona Zhu. Złapała wyciągniętą między prętami rękę Ma i gorąco ją uścisnęła. – Ma Xiuying, skoczyłem dla ciebie z grzbietu pędzącego wielbłąda. Z wielbłąda! Czy wiesz, jak wysokie stają się te bestie, kiedy trzeba z nich spaść? Ależ przygoda. Nasz jedwab wywołał pożar rezydencji, a od niej zajęło się miasto. Wszystko udało się wręcz wybornie!

Malująca się na twarzy Ma mina wskazywała, że dziewczyna nie podziela tego zachwytu.

– Mężu, wyciągnij nas stąd, proszę – rzuciła z naciskiem w głosie.

– No... Ten... – Zhu zawahała się i umilkła.

– Nie masz klucza – zrozumiała sfrustrowana, bliska łez Ma.

– Jeszcze nie – sprostowała Zhu.

Drzwi powyżej trzasnęły ponownie i Zhu czmychnęła z powrotem do swojej kryjówki. Zamiast samotnego strażnika sprzed chwili w areszcie pojawiło się dwóch żołnierzy, których jeszcze nie widziała: jeden o dziwnie kwadratowej głowie, drugi rosły, z zaróżowionymi policzkami, idący zaskakująco kobiecym krokiem. Obaj skierowali się prosto do celi Ouyanga.

– To ty powinienes dowodzić, nie Shao Ge. Zobacz, co się dzieje – rzucił zwięźle kwadratowa głowa. Zabrzęczały klucze.

– Byliśmy po twojej stronie, ale reszta nas przegłosowała. Masz, przynieśliśmy ci miecz – dodał jego towarzysz.

– Gdzie jest Shao Ge? – W głosie Ouyanga próżno było szukać ulgi czy wdzięczności. Wydawało się, że uznał uwolnienie za element naturalnego biegu wszechświata, pozbawiony wszelkich związków z ludźmi, którzy przybyli go zrealizować. Wyszedł z celi.

Poruszona Zhu otworzyła szeroko oczy. Przypuszczała, że generał nie będzie się prezentować najlepiej, i nie pomyliła się: pancerz miał przykurzony, a z zapętlonych warkoczyków sterczały luźne kosmyki. Ale jego twarz... Zimne, puste, piękne oblicze Ouyanga zawsze stanowiło ucieleśnienie ideału samokontroli, było maską, którą przeniknąć potrafiła jedynie ona. Dzisiaj energia podtrzymująca tę maskę w istnieniu gdzieś prysła. Generał, zawsze baczący na to, co myślą o nim inni, przestał się chyba przejmować. Gniew i ból usztywniły mu rysy, co przepełniło serce Zhu identyczną pierwotną grozą, jaką budzi widok drgających mięśni człowieka żywcem obdartego ze skóry. W tej chwili Ouyang niewiele się różnił od głodnego ducha z sąsiedniej celi.

Wyszedł z lochu. Miecz ścisnął w dłoni tak mocno, że opuszczone ostrze delikatnie drżało. Za generałem szli jego wybawcy, a za ich plecami sunął długi kondukt duchów.

Ledwie zniknęli, Zhu podbiegła do generalskiej celi. Porzucone klucze wciąż kołysały się w zamku.

– Ach, jak zwykle się przydał! – rzuciła promiennie, otwierając celę żony. Powitała wychodzącą dziewczynę przelotnym uściskiem.

Troska opuściła Zhu już dawno, więc szloch ulgi, jaki wylał się z Ma, przeppełnił ją czułym rozbawieniem. Rozkoszowała się chwilą. Słodczą i przyjemnym wyczekiwaniem. Świadomością, że zwycięstwo ma już w garści, że teraz wystarczy zaczekać, by łańcuch wypadków dobiegł naturalnego końca.

– Nie płacz, Yingzi. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Och, nie masz pojęcia, jak marzę, żeby zrzucić z siebie te szmaty. Cały cuchnę wielbłądem. Zupełnie jak wewnątrz starego bukłaka. Chodźmy.

朱

Ouyang przebijał się przez panujący w rezydencji chaos. Nie wiedział, czy idzie krokiem sprężystym, pełnym energii, czy może słania się i zatacza jak żołnierz z przebitym żołądkiem. Podłoże falowało pod stopami, grożąc, że lada moment zniknie, a w oczach generała wirowały rozkwitające jeden za drugim mroczki. Jak długo tkwił w tej celi bez jedzenia i wody? W zasadzie nieważne. Teraz musiał jedynie wytrwać. Cała jego jaźń skurczyła się do niewielkiego, zamkniętego w głowie ogniska bólu. Szedł, stawiając jedną nogę za drugą, krok za krokiem.

Miał niejasną świadomość, że gdzieś po drodze zgubił Genga i Chu. Świat był pełen osobliwości: strumienie taszczących cebrzyki z wodą żołnierzy; podmuchy gorącego wiatru, sypiącego mu w twarz piekącymi iskrami; dezorientujący szum, podobny do odgłosów wodospadu, wypełniający nie tylko uszy, lecz również nos

i przęłyk, zapierający dech w piersiach. Przyćmiony umysł generała wydał z siebie niepewną myśl – katastrofa, do której doszło pod wodzą Shao, mogła osłabić armię do tego stopnia, że nie zdołają dotrzeć do Dadu. Ale nie, to przecież niemożliwe. W coś takiego po prostu nie mógł uwierzyć.

Drzwi pokoju sztabowego stały otworem. Ouyang wszedł chwiejnie do środka i powitał go błysk bladych twarzy zwracających się ku niemu oficerów. Rozdziawione usta komendantów były tak czarne jak spojrzenia duchów, które oglądał w snach.

Miecz wystrzelił ku górze i przegryzł kość. Odruch drapieżnika potrząsającego łbem, by złamać kark trzymanego w paszczy zwierzątka. Ouyang w pełni zrozumiał, co zrobił, dopiero gdy Shao zabulgotał w agonii. Zaraz potem świat odzyskał ostrość konturów i przez chwilę generał mógł się jedynie dziwić: zrobił to całkiem podświadomie, wrażenie było takie, jakby to jakaś nadnaturalna siła spełniła jego życzenie. Uwolnił szarpnięciem miecz z mostka Shao. Z padającego ciała trysnęła cienka struga szkarłatu, na rybich ustach zastygł grymas bólu.

Pozostali oficerowie wpatrywali się w Ouyanga z przerażeniem w oczach. Wiedział, co myślą. Że powinien był wysłuchać Shao. Że powinien był paktować z człowiekiem usiłującym odebrać mu zemstę – zemstę, za którą zapłacił życiem Esena.

Nie rozumieli. Nienawidzili go za to goręcej jeszcze, niż on nienawidził ich żądań i żalosnych, rozbieganych spojrzeń. Ogarnęła go żarliwa pokusa zadania im bólu, chciał ich krzywdzić, dopóki nie zrozumieją. Zresztą czy naprawdę byli mu potrzebni? Oczyma duszy ujrzał siebie samego stojącego w pojedynkę przeciwko obrońcom Dadu. Walczącego z kolejnymi falami przeciwników, sieczonego ostrzami mieczy, obróconego do postaci surowego, wrzeszczącego kawałka mięsa, nieprzerwanie prącego naprzód, bez jednego przystanku, dopóki skrwawione palce nie dotkną tronu. Wyobraził sobie przerażone spojrzenie wielkiego chana patrzącego na niego: prosto w odartą ze skóry, nieludzką twarz przeznaczenia.

Przez chwilę wydawało się to całkowicie racjonalne, jakby sama siła pragnienia mogła zmienić mechanizmy i tryby świata i spowodować, by ta wizja się ziściła.

– Przekażcie żołnierzom, żeby przestali walczyć z pożarem – rzucił z determinacją.

Na dłuższy moment zapadło milczenie. Jako pierwszy przemówił Chu:

– Generale – odezwał się ostrożnie – ale miasto...

– Wiem. Niech spłonie.

Nie potrzebował Bianliangu. Potrzebował wyłącznie wojska. Żołnierzy, którzy mieli z woli własnej bądź przymuszonej ginąć w imię tego, czego musiał dokonać.

Zacisnął kurczowo palce na rękojeści miecza. Cienka warstewka krwi skrywała najzwyklejsze ostrze. Inni wojownicy ryli na klingach swoich mieczy imiona bądź wyrafinowane frazy. Ouyang nigdy tego nie robił. Jak mógłby, skoro ten miecz był od dawna narzędziem przyszłej zdrady? A teraz, kiedy nic nie stało na przeszkodzie, dekorowanie broni nie miało już sensu. Wszystko dobiegło końca, ciąg dalszy miał być zaledwie żalonym dopiskiem.

– Zgromadźcie oddziały pod miastem i dokończcie przygotowania do wymarszu – zadysponował. – Zabrać jedynie niezbędny sprzęt. O świcie ruszamy na Dadu.

朱

Ouyang wyprowadził armię z Bianliangu, zostawiając za sobą dogasające miasto. Wiatr, który nocą rozniecał płomienie, zdążył ucichnąć. Po niebie ciągnęła się długim łukiem kolumna dymu, jakby kreśląca trasę przelotu płonącej gwiazdy. Ostatecznie pożar strawił jedynie zajęte przez Yuanów serce miasta. Kiedy Ouyang się o tym dowiedział, przemknęło mu przez myśl, że zniszczony Bianliang został wypalony do kości, aż do starożytnego zewnętrznego muru, który stał tutaj, zanim pojawili się Mongołowie,

zanim nastąpiła dynastia Liao i Jin. Wszystko, co przywieźli bądź zbudowali przybysze ze stepów, zostało unicestwione i jedyną pamiątką po nich był w tej chwili pogrzebany głęboko pod zwęgloną trawą Esen. Nie zostanie tu nikt, kto mógłby doglądać jego mogiły, a kiedy Ouyang odejdzie z tego świata, nie będzie nawet człowieka, który pamiętałby, gdzie spoczął. W ten sposób ostatecznie porzucił tego, którego kochał.

– Generale! – Podjechał do niego Geng.

Mimo że obecnie Geng wraz z Chu wspólnie pełnili funkcję zastępcy głównodowodzącego, Ouyang wciąż miał jedynie mglistą świadomość ich obecności; żaden z nich nie żywił tak silnych osobistych pragnień jak te, które pozwalały Shao odciskać się wyraźnym piętnem na umyśle generała. I być może dobrze, że byli inni.

– Zostaliśmy zaatakowani! – rzucił Geng z przejęciem.

Zaskoczony Ouyang obrócił konia w miejscu. Ponieważ wciąż nie odzyskał pełni sił, gwałtowny ruch przyprawił go o zawrót głowy. W pierwszej chwili skonsternowany, w drugiej zdjęty przerażeniem, ujrzał falę piechoty sunącą prosto na odsłoniętą flankę jego wędrujących kolumn. Nad masą żołnierzy powiewały żółte chorągwie. Widząc tę barwę, generał poczuł w głowie osobliwą pustkę. Sztandary Yuanów były niebieskie; buntownicy spod znaku Czerwonych Turbanów wymachiwali czerwonymi flagami; armia generała Zhanga posługiwała się kolorem zielonym. Ewidentnie kiedy gnuśniał przez całe lato w swoim pokoju, w świecie zewnętrznym zaszły poważne zmiany. Nacierająca pod żółtymi chorągwiami armia wynurzyła się zza miasta. Zapewne podkradli się, wykorzystując nocny zamęt, i zaczęli, by Ouyang wyszedł poza mury. Wciąż jednak nie miał pojęcia, kim jest nowy przeciwnik.

Wykrzyczał kilka wściekłych rozkazów dowódcom jazdy. Wszystkie drążące go emocje zlały się w jednorodne ciśnienie, którego napór groził niekontrolowaną eksplozją. Oficerowie zareagowali na krzyki, lecz była to reakcja ludzi wycieńczonych miesiącami oczekiwania, karami, gwałtownym przebudzeniem



w środku nocy w płonącym mieście. Działali wolno, zbyt ospale. Klin wrogiej armii przebił się przez rachityczną tarczę wypuszczanych przez kawalerzystów strzał i uderzył w nich z impetem.

Generał wiedział, jak wygląda chwiejąca się, załamująca linia żołnierzy. Tutaj działo się jednak coś innego. Wojsko pod żółtymi sztandarami sunęło naprzód, a konni oficerowie wroga zaczęli wykrzykiwać komendy w kierunku ludzi Ouyanga. A ludzie Ouyanga odsuwali się od intruzów, umykali przed nimi niczym tłuszcz cofający się na powierzchni wody przed kroplą mydlin. Generał z niedowierzaniem patrzył na własne szeregi. Jego żołnierze zeskakiwali z siodła i ciskali łuki na ziemię. Poddawali się.

Rozpierające go ciśnienie wciąż narastało; był pewien, że lada moment pęknie. I nagle zrozumiał, czym jest ta wewnętrzna presja. Była to jego rozpacz, jego furia i cierpienie, wszystkie te uczucia zbite w jeden przemożny imperatyw: byle nie przegrać. Rzucił się w stronę kapitulujących kawalerzystów. Słyszając własne krzyki, zeskoczył z siodła i jednym cięciem ściął głowę najbliższemu żołnierzowi, a kolejnego chwycił za ramię i pchnął w kierunku wrogich szeregów.

– Do walki! Walczcie albo sam was wszystkich pozabijam!

Nie miał pojęcia, co wyraża jego twarz, lecz otaczający go wojownicy chwycili za miecze i ruszyli we właściwym kierunku. Żaden nie osiągnął zbyt wiele. Ouyang widział, jak padają, tratowani przez nacierające wojsko niczym źdźbła trawy. Chwilę potem wroga armia zalała i jego.

Walczył wściekle, panicznie, owładnięty czystą desperacją. Ciało miał osłabione, znękane gorączką. Zaledwie kilka godzin wcześniej groziła mu śmierć z pragnienia. Czymże jednak jest ból fizyczny w porównaniu z cierpieniem dręczącym umysł? Powalił jednego przeciwnika, moment później rozprawił się z drugim. Zaryzykował i obejrzał się przez ramię w poszukiwaniu wierzchowca. Daremnie. Kiedy ponownie spojrzął przed siebie, zrozumiał, iż popełnił błąd. Wrogowie zbliżali się ku niemu powoli, półkolem, mierząc go pełnymi rezerwy, czujnymi spojrzeniami. Boją

się, pomyślał i nabrał ochoty zaśmiać się im prosto w twarze. Powinni się bać. Ostatecznie ważyli się stanąć pomiędzy nim a tym, co mu przeznaczone.

– Brać go! – rzucił zwięźle młody, wymachujący włócznią oficer nanrenów.

Dwaj pierwsi padli prawie od razu. Pozostali zalali go niczym fala. Ouyanga powaliła sama ich masa, mimo że jego miecz raz po raz przebijał pancerze i ciała. Runął, grzmotnął twarzą o ziemię. Wojownik, którego miał tuż nad sobą, wył z bólu i przerażenia. Jego krew zalała kark Ouyanga, jakby wycisnęła ją waga kolejnych ludzkich warstw. Chłopak wrzeszczał tak, jak chciałby wrzeszczeć generał, lecz generał nie miał tchu w piersiach. Szarpnął się słabo, próbował nabrać powietrza, czując, jak wbijają mu się w boki krawędzie własnego pancerza. Przez cały czas był okrutnie świadomy, że wciąż żyje, a póki żyje, musi nie tylko trwać, lecz brnąć naprzód. Szamotał się i walczył, dopóki nie zawiodły go mięśnie. A tamci trzymali go mocno jeszcze długo potem. Tylko leżący na jego plecach chłopak nareszcie przestał się drzeć.

Młody oficer kucnął przy głowie Ouyanga i rzucił z zaprawioną żalem wściekłością:

– Ty dupku! Nie musiałeś ich zabijać. Mogłeś się po prostu poddać. – Nos chłopaka był tak wielki, że nie wydawało się możliwe, by właściciel kiedykolwiek do niego dorósł. Spod hełmu sterczały wydatne uszy.

Ouyang odwrócił spojrzenie i popatrzył na wilgotny od krwi, przewrócony na bok świat. Jak młody musi być ten chłystek, że wciąż dba o życie podkomendnych? Generał nie pamiętał, by kiedykolwiek troszczył się o szeregowych żołdaków. Po dłuższej chwili nanren stanął prosto i rzucił do kogoś stojącego poza polem widzenia Ouyanga:

– Przekaż mu, że zrobione.

Podciągnęli generała. Zawisł między nimi, wycieńczony. Twarz przesłoniła mu zasłona rozplątanych włosów, cały świat za nią poszarzał i zniknął.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że ktoś przed nim stoi. Znajoma drobna sylwetka; brzydka twarz szybująca ponad złotą zbroją. Wschodzące za nim słońce pokryło całą postać pozłotą.

Wyczerpanie nie pozwoliło Ouyangowi wykrzesać z serca nienawiści. Nie czuł jej, miał tylko jej świadomość.

– To ty! – rzucił i podtrzymujące go ręce uściśniły mocniej, ukarały go za brak szacunku.

– To ja – potaknął Świetlisty Król. – Wybacz, proszę, że kazałem cię obezwładnić, ale w tej sytuacji mądrzejsze wydaje się grzeszyć nadmierną zapobiegliwością niż na odwrót. – Jego młode oblicze nie było może łagodne, lecz próżno było też dopatrywać się w nim okrucieństwa. Twarz chłopaka tchnęła pogodą ducha, której Ouyang za nic nie potrafił pojąć. Sam nie doświadczył niczego podobnego przez całe życie. – Wolałbym nie stracić kolejnej kończyny.

Zhu Chongba, tak się nazywa, przypomniał sobie generała. To były mnich. Był dzień, kiedy klęczał zrozpaczony u stóp Ouyanga, a życie opuszczało go falami, wypływającymi z krwawiącego kikuta. Gdyby nie trzymający go strażnicy, rzuciłby się chłopakowi prosto do gardła. Skoczyłby, a zaraz potem padłby, tak jak wtedy padł Zhu, na kolana, w rozmokłe od krwi błoto. Uświadomił sobie, że każąc go obezwładnić, rywał wykonał gorzki, mimowolny akt miłosierdzia.

– Nie traktuj tego osobiście – podjął Zhu. – Zhangowie i ja staliśmy się nagle zbyt bliskimi sąsiadami, co nie podoba się żadnej ze stron. W pojedynkę nie mam dość sił, żeby ich pokonać. I pewnego dnia przyszła do mnie myśl: gdybym tak połączył swoje wojsko z twoim... – Wzruszył ramionami. – Stąd moja obecność.

Dopiero po chwili generał zrozumiał, co właśnie usłyszał, lecz nawet i wtedy nie dostrzegł w tych słowach sensu. Zabił już Shao, a to przecież miało całą sytuację naprawić.

– Odbierasz mi armię. – Przez pustkę w jego sercu zaczął się przebijać ból. – Kradniesz moje przeznaczenie.

Zhu zmierzył generała baczny wzrokiem. Mnich miał szerokie czoło, zacięte usta i ostro zakończony podbródek. Jego skóra, równie wolna od zarostu jak cera Ouyanga, była brązowa

niczym pancerzyk owada. Surowe oblicze chłopaka na moment złagodniało.

– Nie chcę twojego przeznaczenia. Mam własne. I nie odbieram ci armii. Pożyczam ją po prostu, żeby pokonać Zhangów. Kiedy tego dokonam, poprowadzę nas na Dadu, gdzie pobiję wielkiego radcę i jego stołeczną armię. Twój plan był przecież identyczny. A potem, gdy zdobędę i opanuję stolicę, pozwolę ci zabić wielkiego chana. – Słońce, które wspięło się już ponad hełm Zhu, zajrzało prosto w oczy Ouyanga. – Jak wiele lat czekałeś, żeby się zemścić? Zniesiesz chyba jeszcze chwilę?

Każdy dzień życia generała, każda godzina, każde uderzenie serca były nieznośne już teraz. Zastanowił się, jak potworny ból wywoła przedłużone oczekiwanie, i stwierdził, że nie potrafi sobie tego wyobrazić. Zhu za nic nie pojmie, na jak potężne cierpienie skazuje Ouyanga. Dlatego że takiej udręki nikt nie mógł objąć rozumem, nikt nie zdołałby uwierzyć w istnienie tak koszarnej męczarni, gdyby nie doświadczył jej osobiście. Generał znał to cierpienie z pierwszej ręki. Zanim zrobił Esenowi to, co musiał, obawiał się tego, przygotowywał się i choć tamto wyczekiwanie również zabijało go z każdą sekundą, okazało się jedynie cieniem pożogi, jaka trawiła go teraz.

Ouyang wiedział z pewnością, która redukowałą go do pojedynczej iskry wstydu, że w tej chwili zrobiłby wszystko, byle odzyskać wojsko. Gdyby tylko wierzył, że cokolwiek to da, rzuciłby się na kolana i błagał Zhu, by raczył go zrozumieć. Czołgałby się i poniżał na oczach obu stojących w pobliżu armii, ponieważ w porównaniu z drążącym go bólem godność nie miała żadnego znaczenia.

Nie miał jednak siły, nie miał nic do zaoferowania, a jego godność była bezwartościowym śmieciem dla wszystkich poza nim.

– Wiem, że mnie za to znienawidzisz – podjął Zhu. Wciąż nie był ani okrutny, ani życzliwy. Wolna od trosk młodzieńcza twarz Świetlistego Króla lśniła nadzieją i niecierpliwością człowieka, który nawet przez moment nie stracił wiary, że przyszłość przyniesie mu

wyłącznie wszystko, co dobre. – Wiem też, że nie potrafisz uwierzyć w moje zwycięstwo. Ale zwyciężę, ponieważ jestem gotów zrobić w tym celu wszystko, co będę musiał. Wystarczy, że poczekaś, generale, a przypilnuję, żebyś dostał, czego pragniesz. Przyrzekam.



CZEŚĆ  
DRUGA



**K**iedy Ma wniosła tacę do środka, zastała go stojącego pod oknem zabitym deskami. Tuż za dziewczyną pojawili się strażnicy z obnażonymi mieczami. W pustym, pogrążonym w mroku pokoju unosił się zapach świeżego drewna, woń tak intensywna, że nie przebijał się przez nią nawet ślad panującego na zewnątrz fetoru. Ma odniosła w pierwszej chwili wrażenie, że ma przed sobą drobną bosą kobietę z ludu nanrenów, odzianą jedynie w bieliznę. Miękkie, rozrzedzone światło, sączące się pomiędzy deskami i przez papierowe okno, kładło się na kobiecych dłoniach i luźno opadających włosach ciepłymi żółtymi pasami.

Dziwne to było, ten rozdźwięk pomiędzy wizerunkiem i rzeczywistością. Generał Ouyang nawiedzał Ma w sennych koszmarach – demoniczny Mongoł, generał eunuch zakuty w lśniącą zbroję. Rok do roku mordował dowodzonych przez jej ojca powstańców i co roku docierał bliżej Anfengu. Wszyscy wiedzieli, że nadciąga nieuchronne: że kiedy ten człowiek przekroczy szeroki

nurt rzeki Huai He, a potem przełamię wysokie na cztery zhangy ziemne wały Anfengu, zabije ich bez wyjątku.

Nikt nie mógł go powstrzymać, nikt nie potrafił spowolnić jego pochodu, nawet jej ojciec.

Nikt z wyjątkiem Zhu.

Jak mogła zatem powiązać tę legendę i grozę z postacią spod okna, która przypominała pozbawioną odzienia kobietę przygotowaną na sprzedaż wraz z resztą wojennych łupów? Jak bezbronna musiała się czuć, kiedy intymność nagich stóp i rozpuszczonych włosów została wystawiona na widok nieznajomych zamiast kochanka? Spojrzenie Ma musiało być dla niej jak gwałt.

Kobieta odwróciła się od okna, włosy ocieniły jej twarz. Ma poczuła dreszcz skrępowania. Sposób, w jaki tamta się poruszała – było w nim coś niepasującego do reszty, coś nie na miejscu. Nie potrafiąc tego nazwać, Ma poczuła lękliwy impuls, pokusę, by się wycofać, tak jak wycofałaby się w obliczu napotkanego na pustkowiu drapieżnika lub obcego człowieka wznoszącego na ulicy niezrozumiałe okrzyki. Wrażenie kobiecości nie prysło całkowicie, lecz mocno się zachwiało; zafalowało jak odbicie w zmaczonej wodzie. Ma wyciągnęła przed siebie tacę, na której czekała miska wypełniona ciepłą wodą, ręcznik i kulka mydła.

– Bądź pozdrowiony, czcigodny generale Ouyang.

– Grzebienia nie ma? Schlebia mi, że obawiają się dać mi do rąk tak niebezpieczne narzędzie. – Nawet ten charkot mógłby być głosem kobiety, zduszonym i zniekształconym przez dym bądź emocję płonąca tak gorąco, że nie zostawiała po sobie żadnego śladu. Mimo że Ma odezwała się po mongolsku, generał odpowiedział w mowie han'er. – Niemniej nie mam doświadczenia w walce grzebieniem. Nie jestem pewien, czy bardzo by mi się przysłużył.

Dopiero w tej chwili Ma zrozumiała, dlaczego odebrali generałowi pancerz, pas, wierzchnie ubranie, skarpety, a nawet



rzemienie, którymi splatał włosy. Nagle wyraźniej odczuła obecność trwających przy niej zbrojnych gwardzistów.

Kobieta wykonała kolejny szorstki gest i założyła sobie kosmyk za ucho. Gest tak surowy i irytujący – obłąkańczo wręcz bezwstydnym – ponieważ nie stanowił zniekształconej formy kobiecości, za co Ma odruchowo go wzięła, lecz przeciwnie, dlatego że nie był żadną miarą kobiecy. Tak zachowywali się mężczyźni.

Wtem podniósł głowę i Ma ujrzała jego twarz.

– Natomiast nóż do golenia byłby nie od rzeczy. Przypuszczam jednak, że niewielkie mam szanse, żeby przekonać kogoś, że jest mi potrzebny.

Generał Ouyang był bardzo piękny, niemal tak piękny jak w opowieściach, lecz jego oblicze nie było obliczem kobiety. Ma przypomniawszy sobie rozdwojenie, szczególną podwójność cechującą wizerunek Zhu, który nosiła w pamięci. Ouyang poruszał się i gestykulował po męsku, dysponował męskim umysłem oraz dowcipem, a wszystko to sprawiało, że delikatnie zaokrąglone brwi i pozbawiona cienia gładkość policzków wydawały się czymś pomiędzy. Nie przemijającym etapem pośrednim, jaki cechuje chłopców w tym okresie cudownej kruchości, zanim stają się mężczyznami, lecz pośredniością zacieklą i przerażającą swoją trwałością, innością, samodzielny, niewzruszalny bytem.

Nie przyjął tacy. Dziewczyna zauważyła, iż wypatrzył złote ozdoby w jej włosach i drogi, pobłyskujący na sukni brokat, który w zależności od ułożenia tkaniny przybierał barwę różową bądź stalową.

– Nie jesteś służką. Przyszłaś napawać się widokiem dziwadła? Czy powinienem oczekiwać pochodu kolejnych gości chcących obejrzeć egzotycznego jeńca? Może powinienem obmyślić dla nich jakieś występy? – Zerknął na towarzyszących Ma strażników. Sposób, w jaki błyskawicznie ich ocenił, sprawił, że dziewczynie zastygła krew w żyłach.

– Przyszłam, bo chciałam się z tobą spotkać – zebrała się w sobie. – Łączy nas osobista więź. Wiedziałaś o tym?

– Posługująca się mongolskim semu, bawiąca się w królową buntowników – rzucił afektowanym tonem Ouyang. – Przypominasz nieco ojca. Generał Ma, dobrze myślę? Trudno spamiętać wszystkich, których zabiłem. Mam nadzieję, że nie będziesz marnować oddechu, usiłując wydobyć ze mnie przeprosiny.

Zabolało, mimo że właśnie czegoś podobnego oczekiwała.

– Przychodzę ci wybaczyć – rzuciła.

– Wybaczyć? – W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony. – Skoro tak – podjął łagodnym tonem – powinienem ci powiedzieć, co zrobiłem twojemu ojcu, kiedy spotkaliśmy się na polu walki. Wbiłem mu miecz pod pachę, przeciągnąłem ostrze przez klatkę piersiową i rozplątałem go na pół. Potrafisz sobie wyobrazić, jak wtedy wyglądał? Jak półtusza świni, której widać wszystkie żebra. Był tak głęboko wstrząśnięty! Próbował zamknąć swoje ciało rękoma. Ale nie krzyczał. Dlatego że rozciąłem mu oba płuca. Zawartość tętnic wlała mu się do żołądka, więc jeszcze na stojąco zaczął wymiotować krwią. A potem, kiedy wypluł już całą krew, jaką w sobie nosił, umarł. W strachu i cierpieniu. Na moich oczach. I teraz przychodzisz do mnie ty – mówił dalej – jego córka, która wzięła na siebie rolę kurwy króla młodzika, przychodzi, nie żeby się zemścić, tylko żeby przebaczyć zabójcy ojca. – Łagodność zniknęła. Ma nigdy jeszcze nie słyszała w ludzkim głosie tak silnej dawki jadu. – Dlaczego? Litujesz się nade mną? Nad biednym eunuchem zmuszonym mordować pobratymców na rozkaz okrutnych mongolskich panów? Naprawdę musiałaś mnie pożałować, skoro możesz mi wybaczyć, kiedy duch twojego ojca wciąż jeszcze woła o pomstę! Czy jest ci tak bardzo żal, że posłałabyś mi kutasa, gdybym go miał? Na tyle, że rozłożyłabyś dla mnie nogi? Tak przecież zachowują się kobiety, o ile mordercy ich rodzin są odpowiednio przystojni, prawda? Dziwi mnie, że moje oblicze zdołało wzbudzić aż taki podziw w kobiecie, ale może kiedy ma się męża tak brzydkiego jak twój, nawet półmężczyzna zdaje się krokiem naprzód.

Równie dobrze mógłby ją uderzyć. Oczy Ma zapiekły od głupich łez. Jak mogła uwierzyć w tę iluzję bezbronnej kobiety? Naprawdę

miała przed sobą potwora, dokładnie takiego, jak sobie wyobrażała, monstrum patrzące na nią tak jak wielu mężczyzn: z nienawiścią. Jego spojrzenie zmuszało, by wstydziła się sama siebie, tego, że jest kimś według niego fundamentalnie pozbawionym honoru, niezdolnym do wypełniania obowiązków córki, do lojalności, miłości...

– Ty może żałujesz – powiedział. Stał z pięściami zaciśniętymi tak mocno jak wołowe ścięgno po wrzuceniu do wrzątku. – Ale ja nie. Nie żałuję niczego.

Kontrast pomiędzy jego wspaniałą postacią a grozą, jaka się w niej kryła, wywołał w umyśle Ma skojarzenie z opalizującym kokonem z jedwabnej nici: trumną ugotowanego żywcem robaka.

Zdołała utrzymać łzy na wodzy, nie popłynęły, lecz kiedy się odezwała, jej głos zaczął się upokarzająco łamać:

– Widzę, że wbrew temu, co podpowiadają oczy, generał jest jednak mężczyzną. Poznają to po żarliwości, z jaką wskazałeś mi moje miejsce. Miałam niegdyś narzeczonego, który zachowywał się tak samo. Być może powinnam opisać, co go spotkało, żebyś nie myślał, że nie znam się na rzeźnictwie. Domyślałam się jednak, że sama obserwacja rzezi to dla ciebie za mało. Uszanowałbyś jedynie przebaczenie z ust innego mężczyzny, który sam dopuszczał się krwawych czynów. Może to dlatego, że musicie sobie bezustannie nawzajem powtarzać, że tak po prostu trzeba – wysyczała mu w twarz.

– Wynoś się! – rzucił wściekle i w tej chwili nie było w nim nic pięknego.

朱

Najgorszym ze skutków ubocznych wyjazdów jest nieuchronne spiętrzenie pracy papierkowej. Zhu radziła sobie z tym nocami, na osobności. Nauczyła się pisać – w pewnym zakresie – lewą ręką, lecz zauważyła, że kiedy obserwowali ją przy tej czynności urzędnicy, na

ich obliczach odciskało się bolesne skrępowanie. Nieliczni tylko mieli śmiałość przyglądać jej się otwarcie, lecz to, co myśleli, unaoczniało się w ukłuciach i dźgnięciach ich ukradkowych spojrzeń: pełna odrazy fascynacja niekompletnym ciałem. Ciałem, które stanowiło potwarz dla przodków; ciałem, które było obrazą dla ich oczu. Zerkali, po czym odwracali błyskawicznie twarze, na których malował się wyraz jakże satysfakcjonującego potępienia. Sam fakt jej istnienia powodował korozję ich szacunku. Zwątpienie tych ludzi sprawiało, iż królowanie stawało się czymś, na co musiała u nich zarobić, na co musiała wciąż i wciąż zasługiwać.

Gdy pracowała, słudzy opuszczali przyprószone brokatem zasłony łoża, wymiatali popiół z podstawek pod kadzidełka i kręcili się po całym pokoju, wygaszając białe woskowe świece. Półmrok, rozpraszany już tylko światłem latarni, sprawiał, że pałacowe wnętrza zdawały się ciepłe i przytulne. Ma weszła i natychmiast odprawiła służbę, po czym podeszła do Zhu z umytą twarzą, jedynie w białej bieliźnie.

– Powinnaś odpocząć – powiedziała.

Zhu z westchnieniem odsunęła się od biurka, pozwalając żonie wyjąć sobie z włosów spinkę. W czasach mnisiego życia ogolona głowa zdawała się równie nieodzowną częścią Zhu jak czarne oczy, lecz ostatnio musiała przyznać, że w chłodnej porze roku posiadanie włosów bardzo się przydaje. Była w pełni zdolna rozebrać się samodzielnie, lecz przyjemnie było czuć pieśczętę dotyku Ma, która rozpięła pas Zhu i jej zewnętrzną szatę. Ma przez pewien czas zachowywała milczenie. Wreszcie jednak, z miną osoby, którą mocno coś gryzie, rzuciła:

– Generał Ouyang nie jest zanadto sympatycznym człowiekiem.

– Byłaś u niego? – Zhu nie do końca wiedziała, co tak właściwie jej żona spodziewała się wynieść z tego spotkania. Ona sama wciąż generała nie odwiedziła. Trzymała się silnego przeświadczenia, że byłoby to proszenie się o kłopoty. – Nie bierz tego do siebie. To gniewny i porywczy człowiek. Był taki, zanim jeszcze za moją sprawą rozpoczął się najgorszy okres w jego życiu. Nie to, że nie ma

powodu, ale podejrzewam, że nie był słoneczkiem nawet przed tą całą historią z wymordowaniem jego rodziny i kastracją. Natomiast – dodała z jakimś oburzeniem – to zaskakujące, że nie zdołałaś podbić jego serca. Przecież ciebie wszyscy lubią.

– Ty mnie lubisz. – Ma zdjęła z Zhu szatę i zarzuciła ją na wyciągnięte ramiona manekina, gdzie miała wisieć przez całą noc i straszyć Ma (ale nie Zhu, która rozwinęła w sobie znaczną tolerancję na widmowe postacie) przy każdej wycieczce do nocnika. – Wielu innych po prostu chciało mnie mieć.

Zhu przeliczyła w duchu wszystkich ludzi w życiu Ma, którzy chcieli ją mieć: nieżyjący narzeczony, nieżyjący ojciec, nieżyjący przyjaciele. Wskazywanie na to, co ich ze sobą łączyło, wydało się nadmiernym okrucieństwem. Zamiast tego uciekła się do żartu:

– Kiedy zostanę cesarzem, będzie to mój pierwszy dekret. Zaprowadzę prawo, w myśl którego wszyscy będą zobowiązani cię lubić.

Ma nie zareagowała uśmiechem.

– Uważaj na niego, Yuanzhang.

Zhu odniosła wrażenie, że od Bianliangu Ma nie jest w pełni sobą, jakby pozostał w niej tamten strach, mimo że wszystko skończyło się przecież dobrze. Dziwiła się temu, że dziewczyna tak kurczowo trzyma się emocji, których czas już przeminął. Sama Zhu bała się od czasu do czasu, jak każdy, lecz jej lęk zawsze ostatecznie przekształcał się w inne, następujące po nim doznania, zadowolenie, przyjemność, satysfakcję z zemsty. O obawach zapominała niemal na dobre. Czasami myślała o sobie, że prześlizguje się przez życie równie czysta jak regularnie zrzucający skórę wąż.

– Ty zapewne o tym nie wiesz – podjęła Ma, kiedy ułożyły się w łóżku – ale istnieje szczególnego rodzaju spojrzenie, jakim obdarzają cię mężczyźni dlatego, że jesteś kobietą, a oni cię nienawidzą. Co najczęściej nie przeszkadza im równocześnie cię pożądać. Ale w spojrzeniu generała Ouyanga zobaczyłam jedynie nienawiść. Czułam się, jakby mnie unicestwiał samym wzrokiem.

Zhu nigdy nie była kobietą, lecz była w pewnym momencie dziewczyną. Aż nazbyt dobrze знаła gniew i wstyd, jakie czuła, kiedy patrzył na nią z nienawiścią ktoś, kto uważał ją za nic tylko dlatego, że była tym, kim była.

– Jestem głęboko przekonana, że nawet gdybym się przed nim obnażyła, nie znienawidziłby mnie bardziej niż w tej chwili. Ale dajmy spokój. Nie masz się czym przejmować. Choćby płomień jego gniewu strzelał na dziesięć tysięcy zhangów, to dopóki nie dopuszczę go do jego armii, nic nam nie zrobi. Przypilnuję, żeby pozostał bezsilny, dopóki nie stanie przed jedynym człowiekiem na świecie, którego nienawidzi bardziej ode mnie.

Przez zasłony sączyło się bardzo niewiele światła. Oblana miękkimi cieniami Ma wyglądała przepięknie. Czując przypływ inspiracji, Zhu przysunęła się do niej pod kołdrą i dodała:

– Poza tym tylko jedna osoba ma prawo wiedzieć, co mam pod ubraniem. Ty.

– No! Mam nadzieję. – W głosie Ma pojawiła się niespodziewana nuta oburzenia, lecz zaraz potem na jej usta wypłynął uśmiech.

Zhu ucieszyła się na jego widok.

– Postaraj się, żeby już nikt nie przebił cię na wylot, bo Jiao Yu musiałby znowu zerknąć – dodała Ma.

Myśl o Jiao jak zwykle wywołała w Zhu głęboką niechęć: nie tyle dlatego, że inżynier oglądał jej nieprzytomne ciało – ostatecznie ocalił jej życie – lecz dlatego, że kiedy patrzył na nią potem, w jego oczach zawsze pojawiał się specyficzny błysk: świadomość przewagi.

– Cóż – rzuciła z niesmakiem – żadnej nowej tajemnicy już nie odkryje. – Umilkła i wyciągnęła rękę do żony.

Kiedy zajęły się sobą, a Jiao całkowicie wyparował im z głów, od strony drzwi doleciało chrząknięcie.

– Świetlisty Królu, po tysiącokroć przepraszam. Jest tu starszy komendant Chang. Twierdzi, że musi z tobą pilnie pomówić.

Zhu usiadła na posłaniu i otarła usta.

– Och, Chang Yuchun, mistrz wizyt w nieodpowiednim momencie. Cóż, Yingzi, będziesz musiała dokończyć sama.

– Jak śmiesz...!

– Albo zaczekaj, aż wrócę. – Zhu nachyliła się, by pocałować żonę. – Też dobrze.

Narzuciła szlafrok i wyszła na korytarz.

Chang Yuchun powitał ją ukłonem, który choć należycie uniżony, był również na tyle poufały, by przypomnieć jej, że poznali się, na długo zanim została królem. Odkąd Zhu spotkała go w Anfengu, gdzie wiódł żywot drobnego złodziejaska, chłopak rozkwitł, zmieniając się w zręcznego, krzepkiego młodego wojownika. Dorósł nawet do swojego nosa, do złudzenia przypominającego orli dziób, co uczyniło go jeśli nie przystojnym, to przynajmniej intrygująco nieprzeciętnym.

– Przepraszam za najście. – Yuchun uśmiechnął się w taki sposób, że Zhu nabrała podejrzeń, iż musiał usłyszeć przynajmniej głośniejsze z jęków Ma. – Chciałeś, żeby o ważnych nowinach informować cię od razu. Dotarła do nas właśnie wieść, że pani Zhang zakazała sprzedaży towarów poza własne terytorium. Odcięła nas w ten sposób od wszystkich dotychczasowych źródeł zboża i innych dóbr. Większość potrzebnych rzeczy możemy sprowadzić skądinąd, ale pozostaje problem z...

– Z solą – dokończyła Zhu. Była niezadowolona, lecz nie zaskoczona. Decyzja pani Zhang, zmierzająca do pozbawienia Zhu zasobów podtrzymujących przy życiu jej miasta, wsie i żołnierzy, stanowiła następny logiczny krok narastającego między nimi konfliktu.

– Ponieważ zanim nas odcięła, wydatnie podniosła cenę soli, nie mamy zapasów, które pozwoliłyby naszej armii przeprowadzić kilkumiesięczną kampanię. Myślę, że właśnie na tym jej zależało. Może jednak teraz, kiedy mamy po swojej stronie wojsko eunucha, bylibyśmy w stanie osiągnąć zwycięstwo szybko, tak żeby niedobór soli nie zdążył stać się problemem?

– Nawet gdybyśmy zdołali w tak błyskawicznym tempie pobić generała Zhanga w polu, pozostanie jeszcze kwestia zdobycia Pingjiangu. Jeżeli zainwestujemy całe miesiące w oblężenie po to tylko, żeby w ostatniej chwili zabrakło nam zaopatrzenia, a jednocześnie w moich miastach skończy się sól... – Tak, to byłaby katastrofa, ponieważ z tych tarapatów nie byłoby już wyjścia. Istniały jednak rozwiązania inne niż to, do skorzystania z którego starała się ich przymusić pani Zhang. Zhu musiała po prostu znaleźć w sobie odwagę. – Pomyślę o tym – obiecała, czując na plecach dreszcz emocji. – Najpierw jednak pozwól, że zadowolę żonę.

朱

– No proszę. – Zhu wsunęła głowę do kajuty zacumowanej przy brzegu barki, po czym weszła do środka i usiadła przy stole. – Przyjemnie, prawda?

Dalej na jeziorze migotały światła latarni oświetlające pokłady innych barek, które odbiły już wcześniej. Nie było ich wiele. Zhu bardzo się to podobało. Zawsze napawały ją zachwytem chwile, kiedy bezkresna czerń jeziora otwierała się w blasku gwiazd, ukazując tajemniczy świat szaroniebieskich wysepek, połączonych białymi, zalanymi księżycowym blaskiem drogami. Uwielbiała słuchać sunących tuż nad wodą nikłych dźwięków muzyki, zdających się melodią samego wszechświata.

Siedzący przy stole przerwali grę. Wszyscy czworo byli już zaróżowieni i rozluźnieni od wina, przy łokciach leżały stosiki wygranych: spinki do włosów, srebrne taele i rzeźbione ozdoby z nefrytu. Xu Da obrzucił Zhu wzrokiem, w którym lśniła wesoła ciekawość, a szczerze, oceniające spojrzenia trójki kurtyzan bezlitośnie omiotły jej proste ubranie, zwyczajną torbę, pozbawione ozdób włosy. Sądząc po strojach, kobiety należały do wysokiej klasy specjalistek od uprzyjemniania czasu, lecz w tej chwili ich zwykła wytworność należała już do przeszłości: rękawy miały podwinięte



wysoko i niedbale, a w krzesłach siedziały wygodnie rozparte. Xu Da był ewidentnie ulubionym klientem ich pływającego przybytku.

– Starszy bracie! – rzuciła jedna z kobiet tonem zalotnego napomnienia, na co Xu Da parsknął śmiechem i rozdał żetony wszystkim obecnym, w tym Zhu.

– Widzisz, jak się rządzą? Żeby zagrać, potrzebujesz pieniędzy – zauważył.

– Wszystkie oddałem tobie. Jak widać, po to, żebyś mógł zaprzyjaźnić się z bardzo kosztownymi damami – odparła Zhu. Wyciągnęła z torby kilka taeli i cisnęła je niedbale na blat.

– Starszy bracie, kto to jest? – spytała jedna z kurtyzan.

– Jego prawdziwy brat – wyjaśniła Zhu, rozkoszując się wyraźnym niezadowoleniem kobiet z powodu jej wizyty. – Co? Nie widzicie podobieństwa?

– Okrutnym zrzędzeniem niebios uroda przypadła tylko jednemu z synów naszej matki – ogłosił wyniośle Xu Da i skinął na kobiety, by zaczęły rozgrywkę. – Na pewno wskutek moich zasług z poprzedniego wcielenia.

– Jeśli będziesz ten kredyt trwonić w dotychczasowym tempie, w przyszłym życiu urodzisz się paskudny jak ja – skwitowała Zhu. Xu Da istotnie znakomicie się prezentował w granatowej szacie arystokraty. Być może kluczowym elementem tego wrażenia był fakt, że nieczęsto widywała go bez pancerza. Dziwnie było pomyśleć, jak daleką drogę przeszli, odkąd byli parą szeregowych mnichów. – Aczkolwiek tutaj marnotrawisz nie tylko dawne zasługi, prawda? – Uniosła znacząco brew. – Tak wiele kobiet, starszy bracie. Generał, który nie zachowa w sobie odpowiednio wiele yang, na niewiele przyda się na polu walki.

Przyszła kolej na nią i ułożyła swoje żetony, pilnując przy tym, by proteza nie wyrzała spod rękawa. Jednoręcy mężczyźni nie stanowili częstego widoku, a pozostawanie anonimową we własnym mieście setnie ją bawiło.

– Lubię myśleć, że moje nasienie tryska z niewyczerpanego źródła – odparł Xu Da, mrugając do kobiet w sposób, który

natychmiast przypomniał Zhu czasy, gdy chłopak radośnie zalecał się do każdej dziewczyny, jaką znalazł w promieniu pięciu li od klasztoru. – Poza tym weźmy takiego eunucha. On nie ma nasienia w ogóle, a w polu radzi sobie lepiej niż my wszyscy. Dlatego nie jestem pewien, czy to tak istotne, jak wszyscy twierdzą.

– Cóż, skoro rzeczywiście masz na zbyciu takie ilości... – Zhu zmierzyła go żartobliwie chłodnym spojrzeniem. – Aż żal, że nie jesteś w guście mojej żony. Przydałoby mi się potomstwo. – Dostrzegła szansę i przyklepała swoje żetony, uprzedzając wyciągnięte dłonie Xu Da i dwóch kobiet. Zaśmiała się, widząc ich zakłopotane spojrzenia.

– Jeżeli zależy ci na przystojnych synach, pozostają do usług – oświadczył uczynnie Xu Da. – Masz jednak rację. Twoja żona woli mężczyzn nikczemnego wzrostu, bardzo kobiecych z wyglądu... – urwał na moment, po czym odchylił się w krześle i donośnie zarechotał. – Ach, czyżby wpadł jej w oko eunuch? Na pewno!

– I co z tego? – rzuciła zniecierpliwiona Zhu. – Nie jest w tych sprawach ani trochę lepszy ode mnie. Poza tym jest też inna drobna kwestia. On nas serdecznie nienawidzi.

– Ciebie nienawidzi. – Xu Da rozciągnął usta w chytrym uśmiešku. – Uczucia, jakie żywi wobec mnie, można względem tego nazwać pozytywnymi.

– Względem tego. Ale gdybyś zechciał na moment tego uwzględniania zaprzestać, to proponuję, żebyś złożył mu wizytę. Zobaczysz, że wychodząc, krwawiłbyś ze wszystkich otworów. – Zhu przyklepała żetony i zagarnęła wygraną ku sobie. Pozostali pokonani pokręcili tylko głowami i zniechęceni odrzucili na stół pozostałe żetony.

Zhu i Xu Da zostawili kobiety w kajucie i wyszli na pokład, na którym pojawił się sternik, by zebrać liny i przygotować barcę do rejsu.

– Słyszałeś? – zagaiła Zhu. – Pani Zhang odcięła nas od soli. Generał Zhang i tak byłby niezwykle groźnym przeciwnikiem, a teraz, wiedząc, w jak opłakanym stanie jest nasze zaopatrzenie,

zacznie rozmyślnie odwlekać starcie, żeby zwiększyć na nas presję. Jeżeli chcemy zwyciężyć, musimy znaleźć inne źródło. Chcę ruszyć na Taizhou.

To miasto było jednym z ostatnich południowych bastionów Yuanów, najbliższym z dostępnych producentów soli; leżało trzysta li na wschód od najdalej na południe wysuniętego miasta Zhu.

– Zamierzasz otworzyć drugi front na południu po to tylko, żeby zdobyć Taizhou? – Swobodne zachowanie i wyraz twarzy Xu Da mogły zwieść większość, lecz Zhu znała chłopaka jak samą siebie: nawet w ciemności zauważyła, jak nagle wyostrzyła się jego uwaga.

– Walcząc na dwóch frontach, nie przetrwam zbyt długo – oceniła rzeczowo. – Nie. Planuję uderzyć błyskawicznie i odebrać Yuanom zapasy soli. Tyle, żeby wystarczyło do czasu, kiedy pokonamy panią Zhang. Potem będziemy mieć własne źródła. Pojedziemy razem. Możesz wytypować kilkunastu swoich najlepszych ludzi, żeby wybrali się z nami?

– Dobrze – powiedział Xu Da, po czym szelmowsko się uśmiechnął. – Ale rano.

– Nie przemęcz się tylko – zaśmiała się Zhu i widząc, że sternik odpycha już barkę, zeskoczyła na brzeg. – Czeka nas długa droga.

朱

Po wizycie córki generała Ma Ouyang nie przyjmował już gości. Pokój, w którym go przetrzymywano, był przestronniejszy od celi w Bianliangu i nikt też nie zamierzał tu doprowadzić go do śmierci z pragnienia, lecz pod każdym rzeczywiście istotnym względem – a prawdę powiedziawszy, istotny był tylko jeden – nowa niewola nie różniła się od poprzedniej niczym. Odebrano mu armię. Okazało się, że jest zupełnie możliwe dławić się własnym gniewem i bólem bez końca, nie umierając. Naturalnie Ouyang nie mógł umrzeć. Nie mógł, ponieważ musiał się wydostać i odzyskać wojsko. W dodatku musiał

to zrobić, zanim ten pieprzony mnich zmierzy się w polu z generałem Zhangiem i przegra.

Jak wiele czasu mogła zająć Zhu mobilizacja dwóch armii i przygotowanie ich do zakrojonej na szeroką skalę kampanii? Prawdopodobnie około miesiąca. Tyle wystarczy, tyle musiało wystarczyć. Ouyangowi stanęły przed oczyma rozdziawione, rybie usta i zaskoczone spojrzenie, z jakim Shao patrzył na odbierającego swoją własność Ouyanga. Już raz to zrobiłem, pomyślał z tak przenikliwym doznaniem, że nie był to już ból, ale czyste doświadczenie przeznaczenia. Zrobię to ponownie.

Niemniej trudno było nie ulegać panice, kiedy mijały kolejne dni, a on wciąż nie znalazł żadnego możliwego do wykorzystania słabego punktu ani w konstrukcji samego więzienia, ani w charakterach przypisanych mu wartowników. Niekiedy, w najgorszych momentach, przychodziło generałowi do głowy, że Zhu już dawno mógł wyprowadzić jego armię z Yingtianu, tylko po prostu nie raczył go o tym poinformować. Co będzie, jeśli jego przeznaczenie umierało właśnie w tej chwili na jakimś odległym polu bitwy, wraz z daremnymi ambicjami mnicha? Zawsze jednak w takich chwilach ogarniała Ouyanga przedziwna pewność: gdyby coś takiego rzeczywiście się stało, wiedziałyby o tym.

Nawet w najgłębszej otchłani zwątpienia nie potrafił zmusić się do myślenia o tym, co mogło go spotkać, gdyby okazało się, że zrobił to wszystko na nic.

Siedział właśnie pod ścianą, kiedy uderzenie serca przed otwarciem się drzwi przebiegł go osobliwy i znajomy zarazem dreszcz. Zupełnie jakby ktoś trącił zamkniętą w nim strunę. To, że poderwał się na równe nogi i przebiegł na drugą stronę celi, zrozumiał, dopiero kiedy tuż przed jego twarzą wyrosły zjeżone ostrza mieczy. Znieruchomiał, ciężko dysząc. Czuł się jak pies szarpiący się na rzemieniu, próbujący chwycić zębami niewielkie zwierzę, by rozerwać je na strzępy.

– Mogłem kazać cię zabić w dowolnym momencie – zauważył ten, który go pojmał. Okazał się na tyle mądry, że otoczył się kilka

razy liczniejszym oddziałem strażników niż jego żona. Miał na sobie sięgającą podłogi złotą szatę i identycznej barwy spinę we włosach. Z prawego rękawa sterczała pozłacana proteza. Gdyby prezentował się tak ktokolwiek inny, widok byłby zaiste królewski. – Nie uczyniłem tego, bo wcale tego nie chcę. Prawda jednak wygląda tak, że nie potrzebuję ciebie, tylko twojej armii. Nie zmuszaj mnie więc, żebym zmienił zdanie.

– Zhu Chongba – wypluł z siebie Ouyang.

– Dawno nie słyszałem tego imienia. Prosiłem, żebyś je zapamiętał, czyż nie? Tuż zanim zrobiłeś mi to. – Zhu podniósł złotą protezę. Na jego twarzy, o dziwo, nie było gniewu. – Teraz jednak nazywamy się Zhu Yuanzhang – dodał, jakby od niechcienia przechodząc do należytnej królom liczby mnogiej.

Odrza wręcz Ouyanga przytłaczała. Zhu był tak drobny, miał tak cienką szyję, tak wąskie barki, tak słaby głos, był tak obrzydliwie niekompletny – jak to możliwe, by taki człowiek odziewał się w złoto i nazywał królem? Zhu w niczym nie przypominał przywódcy. Nie był władcą. Był przedmiotem pogardy, który jakimś niezrozumiałym zrządzeniem losu nie wiedział, gdzie jego miejsce; który wyłącznie z powodu głupiej wiary w siebie miał się za kogoś godnego.

– Nazywaj się, jak chcesz – syknął Ouyang. – Niczego to nie zmieni. Generała Zhanga nie pokonasz.

Nie licząc rezydującego w Dadu wielkiego radcy, Zhang był ostatnim z wielkich generałów. To on był urodzonym przywódcą – mężczyzną, na którego inni mężczyźni mogli spoglądać z podziwem, przed którym chcieli klękać i dla którego byli gotowi umierać. Gdyby to on zasiadł na tronie, stałby się uosobieniem honoru i godności wszystkich nanrenów. Taki scenariusz Ouyang potrafił sobie wyobrazić bez trudu. W odróżnieniu od tego, w którym tron obejmował Zhu.

– Skąd ta pewność? – zainteresował się Zhu. Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, małą i brązową.

Generał znał ten gest. Już dawniej doszły go słuchy, że Zhu posiada mandat, lecz widok białego, niemal przejrzystego płomienia

i tak stanowił zaskoczenie. Ledwie świeci, pomyślał ze wzgardą. Ognik jaśniał mniej więcej tak intensywnie jak zwykła świeczka.

– Czy trzeba ci dodatkowego dowodu, że mogę zrealizować obietnicę? – kontynuował Zhu.

– Głupcze. – Ouyang zauważył, że stracił zdolność reagowania nawet najbardziej gorzkim śmiechem. Z jego ust popłynęło coś znacznie bliższego warknięciu. – Myślisz, że to coś znaczy? Zhangowie też mają mandat.

Widząc nieskrywane zdumienie mnicha, poczuł w sercu tępą satysfakcję.

– Bardzo ciekawe. – Zhu zamknął palce wokół płomienia. – Syty Zhang posiada mandat, powiadasz? Nie spodziewałem się, zwłaszcza że wiem, co o nim mówią. Ale cóż, ma przy sobie panią Zhang, która kieruje go we właściwą stronę. Ale nic to, nieważne. Czymże jest mandat, jeśli nie zaledwie możliwością, potencjałem do zrealizowania? Zwycięży pierwszy posiadacz mandatu, który zasiądzie na tronie. I będę to ja.

Wrzący gniewem Ouyang zrozumiał, że chociaż zdołał chłopaka zaskoczyć, to nie nadkruszył nawet jego niedorzecznej wiary we własne siły.

– Myślę, że błędnie mnie oceniasz, generale – podjął Zhu. – Wierzę w swój talent, ale daleki jestem od lekceważenia generała Zhanga. Dlatego właśnie szykuję niewielki wypad, dzięki któremu upewnię się, że stanę do starcia z nim przygotowany tak dobrze, jak tylko mogę. – Zmierzył Ouyanga spojrzeniem od stóp do głów, dostrzegł nieporządek stroju, zobaczył desperację. – Z jakiegoś powodu, kiedy ów wypad planowałem, przyszło mi do głowy, że możesz pod moją nieobecność zrobić coś bardzo nierozsądnego. Nie mam ochoty po powrocie stwierdzić, że spaliłeś miasto i umknąłeś, uprowadzając ze sobą armię. W takim wypadku musiałbym za tobą ruszyć, a to byłoby mi bardzo nie na rękę. Dlatego zabiorę cię ze sobą – zakończył.

Zhu chciał jeszcze bardziej oddalić go od armii. Nieważne, powiedział sobie w duchu Ouyang, choć nagle sposepniał. Po drodze

na pewno pojawi się okazja do ucieczki. Nawet jeśli wywiozą go do ujścia Diyu, i tak znajdzie sposób, żeby wrócić i zrobić to, co musi. To na pewno możliwe. Ponieważ w przeciwnym wypadku z jakiego powodu wciąż pozostawałby przy życiu? Dlaczego tak okrutnie by cierpiał? I wtem generał poczuł, że nie może już tego znieść. Udając, że wsuwa po prostu dłonie w rękawy, przeciągnął palcami po siateczce oparzeń pokrywających wewnątrz lewego przedramienia. Odszukał najświeższą bliznę i wbił w nią paznokiec.

– Słudzy przyniosą świeży strój i pomogą ci doprowadzić się do porządku. Spróbuj, z łaski swojej, ich nie pozabijać. Obawiam się, że Ma Xiuying bardzo by za nimi tęskniła. – Co znaczy to przenikliwe, wścibskie spojrzenie na ohydnej gębie Zhu? Nie zobaczy przecież w Ouyangu niczego, co zdołałby zrozumieć. Nikt nie miał nawet szansy pojąć, jak wiele poświęcił i ile jeszcze poświęci, by zrealizować swój cel. – Nie jestem twoim wrogiem, generale. Nie robię tego, żeby cię dręczyć. Im szybciej zrobię, co muszę, tym szybciej obaj dostaniemy wszystko, czego pragniemy.

朱

Oddział, który wyruszył na południe, składał się z Zhu, jego drużyny boleśnie młodych mężczyzn, odzianych w szare stroje podróżne, jadących wierzchem w stylu, jakiego można się spodziewać po chłopach, którzy po raz pierwszy zobaczyli z bliska konia trzy tygodnie temu, nieco bardziej od nich doświadczonego generała Xu Da oraz Ouyanga. Poza wyznaczeniem do pilnowania jeńca zmienianych regularnie par żołnierzy zabezpieczyli się, wiążąc mu ręce w przegubach i wsadzając go na cherlawą chabetę, którą prowadził jeden z jego opiekunów. Nie pozwolili mu nawet złapać za lejce. Zapewne była to bardzo roztropna decyzja, stwierdził ziewający w duchu jadem generał. Cierpiał, nie mogąc sięgnąć po miecz. W wyobraźni dobywał go raz po raz, jakby próbował chwycić cząstkę siebie, której został nieodwracalnie pozbawiony.

Według planu mieli przemierzyć równiny rozciągające się na południe od Yingtianu, a następnie przekroczyć łańcuch Gór Żółtych i znaleźć się w należącym do Zhu południowym rejonie Jinhua, słynącym z konfucjańskich uczelni i leżącej w dolinie miejscowości Lishui. Potem zamierzali skręcić na wschód i wkroczyć na tereny kontrolowane przez Yuanów, by ostatecznie dotrzeć na wybrzeże, do opływającego w sól Taizhou. Tysiąc li w dziesięć dni. Ludzie Zhu byli do tego stopnia bezużyteczni, że nie zdawali sobie sprawy, jakie to żenujące. Nawet dysponując jednym tylko wierzchowcem, Ouyang pokonałby ten dystans dwakroć szybciej.

Zhu jechał na czele grupy, ramię w ramię z generałem Xu. Ouyang świdrował plecy mnicha nienawistnym spojrzeniem. Nie potrafił oderwać wzroku. Pokusa była równie silna jak ta, która każe rozdrapywać bolesny strup. Z każdym kolejnym li czuł coraz większe pragnienie: chwycić chłopaka za tę chudą szyję i wetrzeć go w ziemię, dopóki nie zmieni się w krwawą plamę. Łaknął tego tak usilnie, że gdyby Zhu padł nagle trupem, generał uwierzyłby, że zabił go siłą woli. Jednak Zhu jechał naprzód z beztroską nieświadomością. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że zupełnie o obecności Ouyanga zapomniał.

Jedli w siodle. Ouyang był do tego nawykły, nie był za to nawykły do tego, co nanreni uważali za podróżną strawę: zawinięte w liście lotosu rolki z rozgotowanego ryżu (po wystygnięciu nieprzyjemnie ciągnące się w ustach) oraz małe, twarde okrągłe placki, wypełnione nieznośnie słodką pastą z fasoli. Wskutek tego posiłku generała rozboleł brzuch, a wczesnym popołudniem – mimo że wiedziony rozsądkiem odmówił wody – jeszcze bardziej rozboleł go pęcherz. Znał te niedogodności. W ciągu pierwszych kilku dni kampanii, zanim ciało zdążyło się przystosować, zawsze cierpiał na skurcze podbrzusza, wynikający z odwodnienia ból głowy i żarliwą niechęć wobec każdego mężczyzny, który mógł wyciągnąć fiuta i wysikać się na poboczu, podczas gdy on musiał czekać na zapewniający odrobinę prywatności wieczór. Nie był to nawet dający moment wytchnienia ból, jakim paliły blizny na przegubie,



lecz ćmiąca udręka, która tym razem zagnieździła się w jego obolałym ciele głębiej niż kiedykolwiek.

Kiedy położone na południe od Yingtianu płaskie pola ustąpiły bardziej suchemu, lekko zalesionemu krajobrazowi, Zhu ku wielkiemu zdziwieniu Ouyanga zwolnił i zrównał się z nim na końcu kawalkady. Wziął do ręki wodze generalskiego konia i ruchem głowy odesłał obu strażników naprzód. Kiedy żołnierze zniknęli, chłopak zatrzymał zwierzęta na poboczu i uniwersalnym gestem wydał Ouyangowi polecenie: zsiadaj.

Generał z miejsca zapomniał o bólu głowy i pełnym pęcherzu. Dlaczego Zhu oddzielił go od pozostałych? Czyżby zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że utrzymywanie jeńca przy życiu stanowi za duże obciążenie? Mnich miał przy prawym boku krótką szablę – zapewne łatwiej mu było posługiwać się taką bronią niż mieczem, jakim potykał się kiedyś z Ouyangiem – lecz wciąż jej nie dobył. Jak sprawnie mógł tą szablą walczyć lewą ręką? Bez wątpienia zdołałby celnie dźgnąć związanego, bezbronnoego więźnia. Ouyang naprężył mięśnie przegubów, sprawdził, czy sznury mocno trzymają. Trzymały. Gdyby udało mu się zablokować ostrze szabli ramieniem, miałyby przynajmniej szansę uderzyć Zhu głową bądź zdzielić go w twarz złączonymi pięściami.

– Zejdź z konia i stań tam – rozkazał Zhu, gdy generał się nie poruszył, po czym wydał mniej zrozumiałe polecenie: – Zdejmij buty i skarpety i rzuć je do mnie.

Widząc, że Ouyanga zdjęło osłupienie, Zhu westchnął.

– Nie chcę, żebyś uciekł, gdy tylko spuszczę cię z oka. Nie słyszałeś, że wstrzymywanie się przez cały dzień źle robi na nerki? Oddaj mi buty. Tam są drzewa. Idź i załatw, co musisz.

Na kilka chwil ogarnął Ouyanga wstyd tak okrutny, że świat zawęził się w jego oczach do niewielkiej szczeliny. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że Zhu domyślił się niedogodności jego sytuacji, lecz sam wniosek, iż chłopak w ogóle myślał o jego ciele – o jego potrzebach i niedostatkach – był nieskończenie gorszy niż cierpienie

przy nieświadomości innych. Gwałt na jego prywatności, jakiego dopuścił się Zhu, sprawił, że generałem zatrzęsło od stóp do głów.

Zsunął się z konia, po chwili zmagania zsuł buty i skarpety, po czym rzucił to wszystko z rozmachem w stronę Zhu. Niestety, nie trafił. Jeszcze bardziej żałował, że mnich podjął w sprawie butów słuszną decyzję. Ouyang nie był jakimś zapluty nanrenem drepcącym po wsi w słomianych łapciach. Wychowano go na Mongoła. Kwestią honoru było dla niego, by częściej jeździć konno, niż chodzić, i nigdy w życiu nie stanął boso poza domem. Ledwie znalazł się między drzewami, poczuł wbijające się we wrażliwe podeszwy kamienie i ostre patyki. Stopy odruchowo się kurczyły, by uniknąć ran i zminimalizować ból. Z wysiłkiem utrzymał palce prosto.

Kiedy wszedł w zagajnik dostatecznie głęboko, przykucnął i wysikał się, czując w sobie zwykłą w tej sytuacji falę nienawiści do własnego ciała, które nie potrafiło wykonać nawet tej najprostszej z męskich czynności. Wyprostował się i poprawił ubranie. Rozwiązał sobie ręce.

I pobiegł.

朱

Potyając się co chwila, Ouyang biegł przez niewielki las i potem, kiedy wypadł na porośnięty krzakami bezmiar nicości otwierający się po drugiej stronie, nie był już człowiekiem, ale płomieniem. Pochodnią cierpienia. Jakaś odległa część umysłu generała zdawała sobie sprawę, jak nienaturalnie pracuje wycieńczone wysiłkiem, odwodnione serce, i rozumiała, że odarte ze skóry stopy zostawiają w pyłe krwawy trop. Wszystko to było jednak po prostu nieważne. Ból pozbawił go ciała. To nie ono pędziło po równinie, ale bezcielesna wola, gnająca go niczym upiora z powrotem ku armii.

Otoczająca Ouyanga fizyczna rzeczywistość przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ta jasność z przodu mogła być niebem,

rozmigotaną taflą jeziora bądź refleksiem promieni późnopołudniowego słońca odbitych od wapiennej skały. Wszystko stało się jednym. Wszystko zlało się w niewyraźną plamę. Plamę, która w pewnym momencie zaczęła wirować wokół brnącego przed siebie generała. To również nie miało znaczenia, przynajmniej do chwili, w której ów wir porwał go ze sobą. Ouyang zaczął się obracać, a świat stał się zrazu jednolitą, rozmytą smugą, po czym zniknął. Zniknęło wszystko.

Kiedy się ocknął, było ciemno. Świat wrócił do swojej nieruchomej postaci, podobnie nieruchomy był on sam. W rozgwieżdżonym polu widniała czarna wyrwa w kształcie pochylonej nad nim ludzkiej głowy.

– Pytam wyłącznie z ciekawości – odezwał się dobrotliwym tonem generał Xu. – Czy naprawdę zamierzałeś dobiec aż do Yingtianu?

Pokonany Ouyang nie był w stanie nawet obrócić głowy. Teraz, kiedy napędzająca go przedtem transcendencja bólu zniknęła, jego ciało przyjęło funkcję ołowianej klatki. Był zanadto wycieńczony, by się ruszyć bądź o czymkolwiek pomyśleć. Nie potrafił zdobyć się na jakąkolwiek emocjonalną odpowiedź. Po prostu leżał i od czasu do czasu mrugał.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale zaszedłeś dalej, niż wydawało się nam możliwe. Minusem tej sytuacji jest fakt, że trzeba będzie jechać kawał drogi z powrotem. Ale najpierw masz, napij się. – Xu uniósł głowę Ouyanga, pozwalając mu bez zakrztuszenia się przełknąć łyk letniej wody. Po chwili na powrót związał jeńcowi ręce. – Gdybym tego nie zrobił, a ty jakimś cudem odzyskałbyś siły i skradł mi konia, okazałbym się takim samym idiotą, jakiego zrobiłeś z Zhu – powiedział i pokrzepiającym, przyjacielskim gestem poklepał Ouyanga po ramieniu. Gest ten wydał się wymęczonemu generałowi całkowicie obcy, ponieważ ludzie, wśród których przebywał, zwykli cenić swoje życie. Zaraz potem bez najmniejszego kłopotu Xu podniósł jeńca z ziemi.

Ouyang spodziewał się nieuchronnego komentarza dotyczącego jego drobnej budowy, lecz generał Xu powiedział jedynie:

– Kiedy przebiłeś go mieczem i odrąbałeś mu rękę, też go tak niosłem. Wiesz? Mało brakowało, a wyzionąłby ducha.

– Szkoda, że nie zdechł – zdołał wykrztusić Ouyang.

– To nie słyszałeś, że nawet jeśli wrzucisz karalucha w ognisko, bestia i tak wyżyje? – zaśmiał się cicho generał Xu. Był wysokim mężczyzną, przerastał Ouyanga niemal o głowę, a mocna, solidna budowa ciała odróżniała go od obdarzonych taliami cienkimi jak u osy chłopców tworzących resztę drużyny Zhu. Ze swojego nowego, niecodziennego punktu widzenia Ouyang przyjrzał się wydatnemu nosowi i wyrazistym kościom policzkowym. Xu, młodzieniec przystojny i obdarzony przyjemną odmianą charyzmy, był w oczywisty sposób dziesięciokrotnie bardziej męski od Zhu Yuanzhang. Zawiesił Ouyanga twarzą w dół tuż za siodłem swojego konia, zupełnie jak upolowanego jelenia, przytroczył go i wsiadł. – Mojego brata niełatwo zabić. Nie ty pierwszy próbowałeś.

Mimo że jesień wciąż była młoda, noc okazała się zimna i bezwietrzna. Zalany blaskiem gwiazd trakt mienił się pod końskimi kopytami odcieniami granatu. Z każdym krokiem zwierzęcia Ouyang tracił dech w piersi, a do głowy nabiegło mu tyle krwi, że miał wrażenie, iż lada moment pęknie mu czaszka. Niemniej nie potrafił się tym przejmować.

– Wiesz, gdzie go poznałem? – podjął po dłuższej chwili generał Xu. – Obaj byliśmy nowicjuszami w klasztorze Wuhuang. Tak, tym samym klasztorze, który kazałeś spalić. Kiedy się u nas pojawił, miałem za sobą już kilka lat nowicjatu. Rodzina go odtrąciła. Chcieli, żeby zginął, ale ostatecznie to oni pomarli, nie on. Mnisi również nie mieli ochoty go przyjąć, na początku. W naszych stronach głodujące dzieciaki to żadna nowina. Całymi stadami ściągały do klasztoru i błagały, żebyśmy je wpuścili. Mnisi czekali cierpliwie, aż umrą bądź znużą się i odejdą. Mój brat był jedynym, który nie poszedł żadną z tych dróg. Zmęczył mnichów swoją obecnością wyłącznie dzięki determinacji. Był w pełni gotów walczyć, cierpieć, zrobić

i przetrzymać wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel. A wiesz, czego chciał? Chciał jedynie, żeby pozwolono mu przeżyć. Chciał być kimś, a nie nikim. Nie umrzeć za to tylko, że jest po prostu sobą.

Przebywanie z drugim człowiekiem w ciemności budziło wrażenie pewnej intymności; mimo że człowiek ten był obcy, jego myśli, dotyk jego głosu przeznaczone były wyłącznie dla Ouyanga.

– Idę za nim dlatego, że spośród wszystkich ludzi, z jakimi się zetknąłem, Zhu jest jedynym, który nie pogodził się z tym ani nie zmienił, kiedy świat nie znalazł miejsca dla niego takiego, jakim jest, tylko poprzysiągł zmienić świat. Wiem, że go nienawidzisz, uważasz, że odebrał ci przeznaczenie. Nienawidzisz go, bo jesteś przekonany, że przegra. Albo tutaj, w Taizhou, albo walcząc przeciwko generałowi Zhangowi, albo w starciu z wielkim radcą. Ja jednak wierzę, że Zhu Yuanzhang zdoła dotrzymać obietnicy. – Generał Xu nie wyglądał jak mnich, lecz przemawiał z tak spokojną pewnością w głosie, że przynajmniej w tej chwili mógł z powodzeniem za mnicha uchodzić. – On zwycięży. Nie pomimo tego, kim jest, tylko dzięki temu.

朱

Taizhou było raczej rozrośniętą ponad miarę wsią niż miastem z prawdziwego zdarzenia. Szare, burzowe niebo wisiało nisko nad wilgotnymi ulicami, na których wyraźnymi wgłębieniami odcisnęły się trasy mongolskich konnych patroli. Wiatr tarmosił rozwieszzone na fortyfikacjach błękitne flagi. Mimo że osada leżała na brzegu szerokiej brązowej rzeki, było w niej coś zupełnie nierzecznego: powietrze miało tu gęsty, mineralny posmak, który przepełnił serce Zhu niewytlumaczalną tęsknotą za czymś, czego nie znała i z czym nigdy się jeszcze nie zetknęła.

Podszywając się pod trupę zamaskowanych wędrownych artystów, Zhu wraz z oddziałem wkroczyła bez trudu do miasta, nie ujawniając swojej obecności Yuanom. Kiedy młodszy członekowie

grupy rozpoczęli płąsy na przykurzonej ulicy ku uciechu żywiołowo reagującej miejscowej publiczności, Zhu obserwowała Ouyanga, stojącego sztywno na uboczu, w masce przedstawiającej wykrzywione oblicze demona, którą sama wybrała specjalnie dla niego. Obdarte ze skóry stopy miał już oczyszczone i opatrzone – Zhu poświęciła na to zapas bandażu, który zabrała ze sobą do obwiązywania piersi i kikuta – lecz fakt, że był w stanie utrzymać się w pionie, a chodząc, nie utykał, i tak budził najwyższe zdumienie. Nie jest przecież trędowaty, musi czuć ból, przemknęło jej przez myśl. Każdy fragment jego ciała promieniował cierpieniem. Zamiast jednak unikać tego doznania jak zwyczajny człowiek, Ouyang wydawał się go szukać, tulił się do bólu tak żarliwie, że pomiędzy nim a udręką nie zostawał nawet skrawek przestrzeni.

Pomyślała o tym, jak daleko zdołał uciec – o tym, co był gotów sobie zrobić – i poczuła dreszcz. Od dawna zdawała sobie sprawę, że generał pragnie spotkać się ze swoim przeznaczeniem. To stwierdzenie jednak było zaledwie bladym cieniem prawdy. Przepęniał ją rezonans tak intensywny, że czuła się jak gong, z którego po raz pierwszy wydobyto dźwięk. Oto znalazła drugiego człowieka świadomego, jak to jest pragnąć całym sobą; człowieka płonącego własnym pożądaniem; dla którego nie było na całym świecie nic ważniejszego.

Utrzymywanie Ouyanga przy życiu od początku stanowiło zbędne ryzyko. Któż mógł przewidzieć, co jeszcze mógłby zrobić, gdyby popełniła kolejny błąd? Lub nawet jeśli go nie popełni? Niemniej nie umiała wyrzucić z pamięci dotkliwego poczucia niesłuszności, jakie ogarnęło ją, gdy pomyślała, że generał zginął. Poczwała wówczas, że w świecie powstała wyrwa, którą coś powinno wypełniać. Kanion, który nie odpowiadał na jej krzyki najcichszym nawet echem. A teraz, kiedy Ouyang był przy niej, jego obecność wypełniała ją rozdygotanym zachwytem: nad człowiekiem takim jak ona, który tak samo jak ona pragnął i chciał.

Widowisko dobiegło powoli końca. Kiedy widzowie się rozeszli, Zhu podniosła z ziemi wypełnioną zebranych miedzianymi miskami

i wręczyła ją Yuchunowi.

– Zabierz wszystkich do tej gospody, którą minęliśmy po drodze. Trzy przecznice wcześniej, przy drzewie z fioletowymi kwiatkami. Zjedzcie coś. Generałowie i ja rozejrzemy się i spróbujemy się dowiedzieć, gdzie składują sól.

– Nie jestem pewien, czy to wystarczy na jedną porządną porcję, a co dopiero trzynaście – mruknął Yuchun z powątpiewaniem. Obrzucił nieufnym spojrzeniem Ouyanga, jego związane ręce i maskę przesłaniającą charakterystyczne rysy. – Jesteś pewna, że chcecie kręcić się po mieście razem? Ludzie pomyślą, że odgrywacie jeden z tych głupich buddyjskich dowcipów. Wiesz, dwóch mnichów spotyka demona...

– To nie są dowcipy! – rzuciła Zhu z udawanym oburzeniem. – To niezwykle pouczające koany!

– I widzisz? Na tym właśnie polega twój problem. Ludzie szybciej się uczą, kiedy nauczyciele mają poczucie humoru...

– Zapamiętam i dam mnichom znać, że człowiek, który nie umie pisać ani czytać, uważa, że edukacja byłaby bardziej skuteczna, gdyby prowadzono ją z uśmiechem...

Nie przestając chichotać, dziewczyna powiodła Xu Da i milczącego, posępnego, niekulejącego Ouyanga w głąb ulicy. Zabudowania Taizhou, domy pokryte sypiącymi się dachami ze skorup omułek, stopniowo rzedły i kuliły się pod pasmami atramentowych chmur. Drzewa zmieniły się w krzewy, a następnie w falujące łąny traw, aż wreszcie wyszli na piaszczystą wydnię i ujrzeli kres lądu. Ziemia się skończyła, lecz świat ciągnął się dalej przestworem tak olbrzymim, jakiego dziewczyna nie widziała nigdy w życiu. Rzeka wlewała swoje wody do mlecznozielonego morza, które z powodzeniem wchłonęłoby tysiąc takich rzek, a ponad nim szybowало niebo większe jeszcze niż potężny nieboskłon jej rodzinnych równin. Było wręcz niewyobrażalnie gigantyczne. Tego nieba nie dałoby się zmierzyć żadną skalą. Maleńkie znaczące je kropeczki mogły równie dobrze być ptakami, jak smokami. Wyspy mogły wyłaniać się z fal na wyciągnięcie ręki bądź w dali, której

ledwo sięgało spojrzenie. Serce Zhu przepełnił dreszcz emocji człowieka porównującego siebie z ogromem niebios.

– Morze! – Zhu wymieniła się zachwyconym spojrzeniem z Xu Da. Czując bliskość chłopaka, przypomniała sobie chwile, kiedy jako mali chłopcy przesiadywali na klasztornym dachu i podziwiali rozciągający się w dole świat. Tym razem jednak towarzysz nie zostawi jej ukrywającej się samotnie przed przeznaczeniem i nie ruszy ku przygodzie w pojedynkę. Wszystkiego, co ich czeka, tego, co mieli przed sobą już niebawem, i wszystkich innych rewelacji, jakie szykowała z myślą o nich przyszłość, mieli doświadczyć wspólnie.

Brzeg w pobliżu ujścia rzeki zajęty był przez nędzne jadłodajnie na otwartym powietrzu. Ludzie siedzieli na niskich pieńkach i jedli wprost z półmisek, zupełnie niewzruszeni fetorem bijącym od wznoszących się nieopodal kopców krabich pancerzy. Przed jednym z takich przybytków jakiś mężczyzna wlewał wino i sosy do beczki wypełnionej żywymi jeszcze krabami. Kiedy przechodzili obok, nieznajomy obrzucił spętanego demona niepewnym spojrzeniem.

– Trudno mu wyjść z roli. Prawdziwy artysta! – wyjaśniła Zhu, mrugając porozumiewawczo.

Nieco dalej minęli cumujące przy brzegu wszelkich rozmiarów i kształtów łodzie rybackie, a jeszcze potem kolorowy budynek świątyni, która ewidentnie była jedyną na całym nabrzeżu konstrukcją regularnie odmalowywaną. Przed wejściem pałętał się tradycyjny w takich miejscach tłumek żałosnych postaci, którym wzbroniono wstępu ze względu na choroby bądź deformacje ciała.

– Zapytajmy mnichów. Może oni wiedzą, gdzie są te magazyny – zaproponował Xu Da. Mgnienie potem przypomniał sobie, do kogo się zwraca, i dodał pospiesznie: – Ja zapytam. Wy zaczekajcie tutaj. – Wbiegł po schodach i zniknął w świątyni.

Zhu usiadła. Po chwili poszedł za jej przykładem Ouyang, z pewnością wyłącznie dlatego, że bolały go stopy. Dziewczyna nie miała pojęcia, czy nadal drażni go fakt, że ze względu na swoje kalectwo nie może wchodzić do świątyni. Jej samej zupełnie to nie przeszkadzało. Naoglądała się już świętych przybytków na całe



życie. Przy schodach stał sporych rozmiarów posąg Guanyin, pełniącej obowiązki opiekuńczej bodhisattwy rybaków. Zhu zastanowiła się, czy Ouyang zdaje sobie sprawę, że zanim stała się kobietą, Guanyin była bodhisattwą męskim. Niewykluczone, że historię tę znali jedynie duchowni.

Obok przemaszerowała energicznie grupa postaci o wyjątkowo bandyckim wyglądzie. Było w nich coś szczególnego, choć Zhu nie od razu zrozumiała. W końcu wszystko stało się jasne:

– Kobiety!

– Piratki – zaskoczył ją ochrypy głos Ouyanga. W tym jednym jedynym słowie zawarł taką dawkę odrazy, iż Zhu była gotowa uwierzyć, że piratki te nasikały mu kiedyś do wina i zmusiły go, żeby wypił. – Przewodzi im ten degenerat Fang Guozhen. – Zhu słyszała o Fangu, był niezależnym watażką, kontrolującym część wybrzeża na północ od Taizhou. – Jest gorszy nawet od Sytego Zhanga. Otacza się kobietami. I to nie tylko w haremie. Kobiety prowadzą jego interesy i zajmują się wszystkimi innymi sprawami. – Mało brakowało, żeby Ouyang splunął. – Tworzy z nich także załogi swoich statków.

„W spojrzeniu generała Ouyanga zobaczyłam jedynie nienawiść” – powiedziała Ma. Zhu zrozumiała, co sprowokowało jego wybuch. To nie piratów nienawidził. Nienawidził kobiet.

Zhu kobiety lubiła, choć sama się za kobietę nie uważała. I bardzo nie podobał jej się sposób, w jaki Ouyang potraktował Ma. Kiedy jednak myślała o zacieklej, bolesnej dumie, z jaką generał mierzył się ze światem – o daremnej walce o to, by świat spojrzął pod powłokę pozorów i dostrzegł w nim mężczyznę – czuła impuls współczucia. Dostatecznie wiele czasu poświęcała na odrzucanie żeńskich cech swojego ciała, by zrozumieć, jak strach i pogarda mogły się w Ouyangu przerodzić w całościowe odtrącenie kobiecości.

Kiedy piratki zniknęły, Zhu zaczęła się przyglądać ludziom kręcącym się pod świątynią. Wzrok dziewczyny padł na grupkę obdartych kalek. Każdemu brakowało jakiejś kończyny. Kucali

w kręgu i obstawiali wyniki walk świerszczy, czekając na swoich towarzyszy rybaków, którzy modlili się wewnątrz o spokojne morze. Nie tylko mnisi lubią plotkować, stwierdziła w duchu.

– Czy jeśli cię tu na chwilę zostawię, spróbujesz wrócić do Yingtianu wpływ tylko po to, żeby mnie rozdrażnić?

– Nie chcę cię drażnić – rzucił nienawistnym tonem Ouyang. Wychwyciła w otworze jego maski błysk obnażonych zębów. Były znacznie bielsze i równiejsze niż zęby jakiegokolwiek nanrena. Może wynikało to ze specyfiki mongolskiej diety. – Chcę cię wypatroszyć, odzyskać swoją armię i ruszyć na Dadu.

– Wielką zagadką jest dla mnie, w jaki sposób udało ci się zrealizować tę swoją historyczną zdradę, skoro zawsze mówisz wprost, co myślisz – rzuciła Zhu. Na szczęście Xu Da już wracał. Mina chłopaka nie pozwalała stwierdzić, czy czegokolwiek się dowiedział. – Cóż, zostańcie tu z generałem Xu, a ja zaprzyjaźnię się z tymi gburowatymi rybakami. Tak czy inaczej. I tak już wystarczająco pomogłeś. Nie znam się na morzu ani na rybach, ale – zamachała mu przed twarzą drewnianą protezą – zobacz, jak wiele mamy ze sobą wspólnego.

朱

– Nazywają ją Wyspą Forteczną. – Ukryty pod maską Ouyang obojętnie przysłuchiwał się Zhu, przemawiającemu do swoich ludzi w głównej sali gospody. Mnich na moment zamilkł, kiedy pojawił się sługa i ustawił na stole miski pełne przejrzystej, oleistej zupy z plastrami pędów bambusa i czerwonymi jagodami goji. – To jedna z tych skalistych wysepek, które widać z plaży. Yuanowie wysiedlili zamieszkujących ją rybaków i pobudowali magazyny soli. Wszystkie dogodne podejścia od strony morza zablokowane są gładkimi murami, więc dostać się na wyspę można jedynie przez strzeżony port, w którym kotwiczą ich statki handlowe.

– Wyspa? – Generał Xu podniósł miskę do ust, skrzywił się i odstawił ją na blat z żalną miną człowieka, który z góry wiedział, że trzeba będzie jeszcze poczekać, aż wywar ostygnie. – Nie na to się szykowaliśmy.

– Niestety – potaknął Zhu. – Moi zwiadowcy nie dotarli aż tutaj, więc ich informacje nie pochodziły od mieszkańców Taizhou. Kiedy słyszałem o „magazynie na brzegu” i „w pobliżu portu”, uznałem, że chodzi o port i brzeg na stałym lądzie.

Cóż za niespodzianka, pomyślał z dzikim zadowoleniem Ouyang, czując, jak pokryte pęcherzami, piekące stopy pulsują w zgodnym rytmie z uderzeniami serca. Niedorzeczna eskapada Zhu dobiegła końca, zanim się jeszcze zaczęła. Wróć do Yingtianu z pustymi rękoma, a niedobór soli doprowadzi mnicha do nieuchronnej klęski w starciu z generałem Zhangiem.

Ouyang zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak wyrwać się z tego zamkniętego pokoju. Nie miał pojęcia, w jaki sposób tego dokona – nie śmiał się nad tym zastanawiać, ponieważ kiedy wspominał ostrożnych strażników i zabite deskami okna, panika chwytła go za gardło. Wiedział jedynie, że musi.

– Maski ci nie pomaga. Wiem, z jaką niechęcią na mnie patrzysz – zwrócił się do niego Zhu. – Aj, to naprawdę nieprzyjemne! Przypominają mi się czasy, kiedy w jednej z klasztornych sal siadywaliś przed posągami demonów. Wyrabialiś w ten sposób świadomość nieuchronności śmierci.

Zhu i generał Xu wymienili się spojrzeniami i wyrecytowali upiornym chórem:

– Moje ciało zjedzone przez robactwo, moje ciało, krwawy szkielet bez mięśni, trwa jedynie dzięki ścięgnom...

Ouyang doznał chwilowej wizji ciała żywego i oddychającego, ciała, które kochał i znał, obróconego w krwawe kości pogrzebane w podmokłej ziemi. Jego ból zapłonął niczym rozgrzany olej, na który ktoś chlusnął wodą z chochli. Zrozumiał, że tym razem udręka rannych stóp już nie pomoże. Chwycił do ręki miskę z zupą, podsunął maskę na czoło i wypił potężny haust.

Żar. Zupełnie jakby wyciągnął z brzucha piekącej się kozy gorący kamień i położył go sobie wprost na języku. Cienka skóra we wnętrzu ust zaczęła odchodzić płatami. Nagła fala wewnętrznego ciśnienia wyparła z niego wszystko. Poczuł, że głowa zaraz wystrzeli mu z ramion. Wspomnienia zniknęły. Nieszczęście zniknęło. Nie zostało w nim nic poza tym jednym, konkretnym, błogosławionym cierpieniem.

Kiedy doszedł do siebie, zauważył, że Zhu przygląda mu się ponad stołem z wyraźnym namysłem. Jakby wiedział, co Ouyang zrobił, i starał się zrozumieć dlaczego. Dopiero kiedy generał nasunął maskę z powrotem, mnich powiódł spojrzeniem po twarzach obecnych.

– Rybacy, z którymi rozmawiałem, mieszkali dawniej na tej wyspie, więc znają ją całkiem dobrze. Podobno cała składa się z wapienia i jest zryta licznymi tunelami. Niektóre łączą powierzchnię z samym morzem. Jeśli odpowiednio zapłacimy, rybacy zawiozą nas łodziami do wylotu któregoś z tych tuneli.

– A gdzie tu haczyk? – zainteresował się generał Xu. Siorbnął ostrożnie łyk zupy.

– Ach, zbyt dobrze mnie znasz – rzucił Zhu. – Owszem, jest pewien haczyk. Yuanowie nie przejmują się istnieniem tych wapiennych tuneli, ponieważ uznali, że nikt ich nie wykorzysta. Ich wyloty znajdują się pod wodą.

– Być może bardzo się mylę – podjął po dłuższej chwili milczenia generał Xu – ale słyszałem, że morze bywa dosyć głębokie. Osobiście nigdy nie wszedłem do wody na tyle głębokiej, żeby przykryła mnie z głową, i myślę, że nie jestem w tym osamotniony. Ponadto wiem z niezbitą pewnością, że ty również nie umiesz pływać. W dzieciństwie nie chciałeś się nawet zamoczyć.

Ani Xu, ani Zhu się nie uśmiechnęli, lecz w spojrzeniach, które wymienili między sobą, pojawiło się coś bardzo uśmiech przypominającego.

– Wiem, że wyzwanie może wydawać się trudne, ale zapewniam, że to wykonalne.

Oślupiały Ouyang zauważył, że żaden z członków oddziału nie skrzywił się ani nie zaczął protestować. Wszyscy jedynie nachylili się nad stołem, jakby na przekór jawnej niewykonalności zadania wierzyli, że mnich ma w zanadrzu gotowe rozwiązanie.

– Jestem tego pewien, ponieważ pomoże nam generał Ouyang – dokończył spokojnie Zhu.



Chanbatyk

Jesienne upały były już tylko wspomnieniem. Ponad dachami ministerstwa świt szklął się tak, jakby zalegający w niebiosach szron, który nie zdążył jeszcze opaść na ziemię, rozpałił powłokę nieba i uwidoczniał ją tak, jak piec wydobywa gładź porcelany. Wyzwolony z resztek kolejnej nieprzespanej nocy Baoxiang poczuł się nieco lepiej, jakby naprawdę przybyło mu sił. Nadejście świtu oznaczało wprowadzić porażkę snu, lecz podobnie jak każdy poranek, niosło ze sobą obietnicę: że ten dzień ma szansę być lepszym. Najczęściej udawało mu się wytrwać w tym optymizmie do wczesnego popołudnia, kiedy dobry nastrój ulegał perspektywie zbliżającej się nocy.

W długich korytarzach ministerstwa panowała cisza. W poszczególnych pomieszczeniach niewidzialne ręce rozpałiły już koksowniki i starły świeży atrament, który czekał na biurkach. Gabinet Baoxianga znajdował się w tym samym gmachu, co położone kilka drzwi dalej biuro ministra. Oddał się pracy. Takie kojące doznanie: liczby, sumy, stukot koralików liczydła, szmer pędzelka na papierze...

Zasnął, co zrozumiał, dopiero kiedy zbudził go jakiś dźwięk. Usiadł prosto, tak gwałtownie, że zagrzechotały mu zęby. Mimo że ten sam wyśniony odgłos wyrывał go ze snu setki razy każdej nocy, po przebudzeniu nigdy nie pamiętał go na tyle, by zrozumieć, czym jest. Jasne było tylko towarzyszące hałasowi uczucie: groza sprawiająca, że zaczynał dygotać na całym ciele, wysuszające usta przerażenie.

– Aj, przestraszyłeś mnie! – zawołała służąca.

Przyjrzał się jej. Fakt, że ktoś inny zobaczył go w objęciach grozy, doprowadził go do szału.

– Ja ciebie? – wydukał. – Widzę, że w stolicy naprawdę panują odmienne obyczaje niż na prowincji! Okazuje się, że tutaj księżę winien zważać na nastroje służby!

Wracając do roli, zaczął też wracać do siebie. Z ulgą stwierdził, że rozkołatanе serce zaczyna się uspokajać. Wciąż jednak tak mocno ścisnął w dłoni pędzelek, że dostał skurczu palców.

– Księżę Henanu wystraszył niegodną służkę tak bardzo, że ośmieliła się zapomnieć, że jest księciem Henanu – odparła wesoło kobieta. Dopiero teraz, ponieważ, Baoxiang rozpoznał w niej tę radosną, obdarzoną dołeczkami w policzkach służącą, którą spotkał w dzień egzaminu. – Po tyśiąckroć przepraszam, że zbudziłam szacownego księcia, którego mylnie uznałam za oddanego ciężkiej pracy urzędnika Ministerstwa Skarbu.

Oburzająca impertynencja. Miała czelność natrętnym zachowaniem zwrócić na siebie jego uwagę, a następnie oskarżyć go o to, że to on ją przestraszył. Również przeprosiła go w taki sposób, by nie przeprosić w ogóle. Ustawiła przyniesioną przez siebie tacę na jego biurku i pochyliła się, by podnieść upuszczoną czarękę. Kiedy kucnęła, tkanina jej obrębianego różową tasiemką stroju naprężyła się na biodrach, a na wysokości talii pojawiły się zmarszczki przypominające kocie wąsy. Baoxiang z niejakim zdziwieniem stwierdził, że bacznie ogląda jej profil, że śledzi gest, jakim założyła kosmyk włosów za drobnutkie ucho. Uświadomił sobie, że bezczelna służąca należy do tego rodzaju pogodnych kobiet, jakie

zawsze cenił sobie najbardziej. Myśl ta jednak wywarła taki wyłącznie skutek, iż poczuł się jeszcze bardziej zmęczony.

– Nie prosiłem o herbatę – rzucił zwięźle.

Wyprostowała się z czarką w dłoni. Kiedy ogarniała ją wesołość, jej twarz reagowała nie tylko pogłębieniem zmarszczek i uroczych dołeczków. Przy każdym uśmiechu wysoko uniesione policzki zaokrąglały się w stopniu wręcz niewiarygodnym.

– Przebacz, proszę, czcigodny książe. Odniosłam wrażenie, że napój bardzo ci się przyda. – Szerokie oblicze wyróżniało ją spośród tłumu innych służek. Musiała pochodzić z jakiegoś regionu na północnym wschodzie. Może z Goryeo. – Przyniosę czystą czarkę – zapowiedziała łagodnie, po czym zniknęła.

Korytarz przed jego biurem tętnił codzienną krzątaniną urzędników, służby i kurierów. Minęło już południe i kiedy Baoxiang popijał siódmą dziś czarkę herbaty, doleciał go czyjś głos:

– Ach, ileż bym dał za młodzieńczą zdolność skupienia!

Poczuł na sobie dobrotliwy wzrok ministra. Szata przełożonego była wymięta, jakby przespał w niej całą noc, co wprowadziło Baoxianga w niejakie zażenowanie.

– I za młody wzrok! Ciesz się tymi rzeczami, dopóki je posiadasz. Ja w tej chwili ledwie pamiętam czasy, kiedy nie musiałem przytwierdzać nosa do ksiąg klejem – powiedział minister, składając na biurku stertę dokumentów finansowych. Dla zaoszczędzenia materiałów piśmiennych nie zostały opisane rozwlekłym pismem mongolskim, ale znakami. Baoxiang rozpoznał w nich główne ministerialne księgi rachunkowe, te, nad którymi ze względu na kwestie bezpieczeństwa zawsze sprawował pieczę sam minister. – Oderwij się od tego raportu. Zdążysz go dokończyć bez najmniejszego kłopotu. Wykorzystaj młodzieńczą siłę i ponieś to brzemie za mnie.

– Minister raczy być pierwszą osobą – odparł po chwili milczenia Baoxiang – która zakłada, że dysponuję jakąkolwiek siłą. – Zaskoczony uświadomił sobie, że uwaga przełożonego nie była zawołaną uszczypliwością, ale zwykłym stwierdzeniem faktu.



Poczuł się w szczególnie sposób odsłonięty, jakby miał na sobie pancerz, w którego najważniejszych punktach ziały dziury, a minister nie wraził w nie sztyletu, tylko poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Uczni dysponują siłą wyjątkowego rodzaju – zauważył minister. – Zdarzyło ci się może uczyć młodych wojowników? Kazalesz takiemu studiować cokolwiek dłużej niż godzinę? O, jak narzekają, jak płaczą! A potem są bardziej wyczerpani, niż bylibyśmy my, gdyby ktoś zmusił nas do udziału w bitwie. – W oczach staruszka zapłonęły iskierki. – Jestem pewien, że nanosiłeś się już w życiu ksiąg, więc ramię ci nie odpadnie. Chodźmy. Muszę wraz z pozostałymi ministrami wziąć udział w audiencji u wielkiego chana. Jeśli wyjdziemy od razu, zdążymy jeszcze zażyć chwili spaceru. – Na wąsatej twarzy rozkwitł uśmiech spiskowca. – To najlepsza pora na świeże orzechy i persymony, a ty jesteś w Chanbałyku nowy. Kosztowałeś już może tutejszych persymon? Musisz koniecznie!

I ta właśnie rozmowa zaprowadziła Baoxianga w ślad za ministrem aż na Barani Targ, położony po wschodniej stronie Chanbałyku, nieco przed Miastem Cesarskim. Szedł, w jednej ręce niosąc parasol, drugą podtrzymując pod pachą potwornie ciężki stos ksiąg.

– Bylesz nie upuścić! – powiedział w pewnej chwili staruszek.

Bezchmurne niebo pokrywała biel, jaką Baoxiang nauczył się kojarzyć z północą: można było pomyśleć, że słońce świeci tutaj przez niewidzialną zasłonę, która pozbawia jego promienie wszelkiej barwy. Zalany tym ostrym, jasnym światłem targ okazał się miejscem pełnym życia. Poza zwierzętami, od których zaczerpnął nazwę, pełno tu było straganów z książkami, dewocjonaliami, błyskotkami, owocami przeznaczonymi do zjedzenia i tymi na ofiarę, pornografią, uroczo śpiewającymi ptakami w wiklinowych klatkach, suszonymi tykwami, w których hodowano świerszcze, kogutami bojowymi, miniaturowymi drzewkami i skałkami w oryginalnych kształtach, którymi dekorowano ogrody. Zwierzęcy

fetor mieszał się z aromatami bardziej apetycznymi: pieczonych kasztanów, gotowanych na parze bułeczek, chleba z rusztu, a także wielkiej różnorodności innych potraw, podpiekanych bądź smażonych w głębokim tłuszczu.

Minister przemykał od stoiska do stoiska. Wykazywał przy tym entuzjazm równie krępujący jak jego pogniecione ubranie. Baoxiang, osłaniając się rozłożonym parasolem przed łokciami napierających zewsząd kupujących, obserwował przełożonego z należytej odległości. W pewnym momencie poczuł nagłe ukłucie żalu. Już tak dawno zgasła w nim iskra ciekawości pozwalająca znajdować radość w pięknie i nowości. Nie pamiętał nawet, jakie to było uczucie – wiedział jedynie, że prysło na dobre.

Nagle tuż pod jego nosem zmaterializował się patyk, na który nanizane były brązowe pecyny.

– Specjalność mojego rodzinnego miasta! – zawołał minister. – Kurze wątróbki z rusztu. Ach, tu naprawdę można znaleźć dosłownie wszystko!

Minister jadł jak prosty chłop, nawet nie przystanął. Strużka przezroczyściego soku spłynęła mu po wąsach. Wtem ruchem tak gwałtownym, że Baoxiang aż się wzdrygnął, zatrzymał się i ponownie wcisnął patyk pod usta podwładnego.

– Przepyszne! Musisz spróbować.

– Ja nie...

– Skosztuj! – Staruszek uśmiechnął się szeroko.

Baoxiang, dźwigający parasol i księgi, nie miał wolnej ręki. Niechętnie pochylił więc głowę i zsunął wątróbkę z patyka zębami. Smakowała jak ostatnio wszystko – jak popiół, lecz udał, że jest zachwycony.

Minister nie odrywał od niego wzroku.

– Wbrew temu, co myślą ludzie – stwierdził po chwili – jesteś niezwykle utalentowanym młodzieńcem. Wykorzystując mnie, zajdziesz bardzo daleko.

Baoxiang zeszywniał, przeszył go dreszcz. Poczuł się jak przyłapany na gorącym uczynku.

– Nie udawaj zdziwionego! – dodał minister. – Wiem, co ci chodzi po głowie.

Ten człowiek zachowywał się wprawdzie jak kretyn, lecz z pewnością kretynem nie był. Ktoś taki nie utrzymałby się przy życiu dostatecznie długo, by zostać ministrem. Oczywiście, że musiał mieć baczenie na ludzi, którzy wkraczali w jego orbitę, goniąc za własnymi, ukrytymi celami. Kretyn, zwymyślał się w duchu Baoxiang. Sam jesteś kretyn.

– To normalne, że młodzi wykorzystują wszelkie nadarzające się okazje. – Staruszek nie pozwolił mu wygłosić nawet słowa protestu. Baoxiang znów nieco za późno zauważył, że przełożony mówi łagodnie. – Wiem, że mnie przewyższysz. – Ruszył w dalszą drogę. – I nie żywię za to urazy. Czas takich starców jak ja dobiegł już końca. Tak więc wiem, co zamierzasz, i pomogę ci.

Baoxiang podbiegł za przełożonym. Miał wrażenie, że został nadziany na szpikulec, zupełnie jak te kurze wątróbki na patyk. Był przekonany, że coś kradnie, a tymczasem otrzymał to w podarku. Ogarnął go nagi wstyd.

– Bądź ambitny, Wang Baoxiangu – podjął minister. Przystając to tu, to tam, zostawili wreszcie Barani Targ za sobą i weszli w chłodny cień murów Miasta Cesarskiego. – Lecz bądź również ostrożny. Nie stawaj po żadnej ze stron w wewnętrznych swarach dworu. Zbyt często widziałem, jak kończą biurokraci zaplątani w pałacową politykę. Źle kończą.

Nagi wstyd był uczuciem bolesnym, lecz nieistotnym. Baoxiang chwycił swoje przeznaczenie oburącz, na długo zanim spotkał na swojej drodze tego uprzejmego starca. W tej chwili nic nie mogło go już odmienić.

Przekroczyli fosę, a przy czerwonej bramie Miasta Cesarskiego wartownik przepuścił ich machnięciem ręki.

– Co jednak po ambicji człowiekowi, który nie dba o zdrowie? – ciągnął wywód minister. – Pokonałem wielu znacznie bardziej utalentowanych rywali wyłącznie dlatego, że mądrze się odżywiam i zawsze chodzę wyspany. To pozwoliło mi dożyć sędziwego wieku.

Pamiętaj, żeby czasami odpocząć. Posłuchaj muzyki w towarzystwie pięknych kobiet. Utnij sobie drzemkę. Zastanów się nad jakąś pasją!

– Bardzo bym chciał się zdrzemnąć – rzucił chmurnie Baoxiang. Obecnie już sama tylko myśl o śnie wpędzała go w depresję. – Nie pracuję bez przerwy. Zdarza mi się malować. – Jego myśli uleciały do rozpoczętego niedawno dzieła, czekającego w okropnym wynajętym domu przy bramie Pingzhe. – Ostatnio zacząłem eksperymentować z drzeworytem. Próbuję swoich sił w portrecie. Staram się odwzorować rysy człowieka, które widziałem tylko kilka razy w życiu. Miał bardzo intrygującą twarz.

– Godne pochwały! Jakże często zdarza mi się żałować, że natura poskąpiła mi talentu artysty. Niestety. Kiedy malowałem, konie wyglądały jak króliki, a króliki przypominały bażanty. Jestem natomiast w posiadaniu kilku cudownych drzeworytów autorstwa pewnego młodzika z Tianjinu. Pokażę ci...

Przekroczyli ostatnią bramę i weszli na drogę biegnącą przez Miasto Pałacu. Co kilka zhangów stali dwójkami prężący się na baczność strażnicy. Wysokie, gładkie mury po obu stronach alei wywoływały wrażenie, że znajdują się w wąwozie, i rzucały na drobny biały piasek pod ich stopami uparty niebieskawy cień.

– Z drogi! – rozległo się za nimi. Baoxiang i minister odskoczyli na bok, ustępując rozpędzonej lektyce.

Wielmożna Ki, otoczona rozwianymi na wietrze złotymi ozdobami. Na jej twarzy malowało się brutalne skupienie, całkowicie odmienne od zalotnej swobody, jaką tchnęła w towarzystwie wielkiego chana. Przemiana była wstrząsająca. Zupełnie jakby nagle zamiast czyjejs twarzy ujrzeć ukrytą pod skórą trupa czaszkę. Lecz oczywiście: kobiety zawsze coś odgrywają, kiedy pada na nie męski wzrok. Baoxiang pomyślał o pani Zhang i jej nieskazitelnym, nieodgadnionym obliczu. Nawet jego ulubiona kurtyzana w Anyangu mocno go zaskoczyła, kiedy za pierwszym razem pokazała mu prawdziwą twarz. Wcześniej, mimo iż byli blisko, nie miał bladego pojęcia, o czym myślała, co czuła, czego i jak mocno pragnęła.

– Przygotuj się – poradził w zadumie minister, kiedy ruszyli za lektyką w stronę Sali Wielkiej Światłości. – Wielmożna Ki ma ochotę utoczyć świeżej krwi.

朱

Wielmożna Ki wyróżniała się w tłumie urzędników zebranych w Sali Wielkiej Światłości niczym perła rzucona między kamienie. Nawet za młodu nie była piękną. Miała zbyt długi nos, uszy wystawały spod starannie wyrzeźbionej masy włosów, zwieńczonych szpilką ozdobioną podobizną feniksa. Surowe brwi, pomalowane prosto na męską modłę, sprawiały, że jej powieki zdawały się luźne i ociężałe. Jednak mimo braku młodzieńczej miękkości, która mogłaby ukryć architekturę jej kości i długie ścięgnię na szyi, stanowiła ideał zimnej elegancji. Po naturalnej świeżości, jaką Baoxiang dostrzegł w niej wcześniej, nie było dziś śladu.

– Wasza Wysokość, niegodna kobieta ośmieli się przemówić w sprawie wagi państwowej. – Uśmiech faworyty musnął siedzącego na tronie wielkiego chana. – Zdrajca Zhang Shicheng i jego tak zwane królestwo to za ledwie przejściowa niedogodność. Proszę, nie myśl posyłać do Pingjiangu armii stołecznej. Karmić go twoją uwagą byłoby nadmiernym zaszczytem. Niech on i pozostali zdrazińcy manji wykrwawią się, walcząc między sobą, a wkrótce w Cesarstwie Wielkich Yuanów na powrót zapanuje naturalna harmonia. Nie może być przecież inaczej, skoro Wasza Wysokość posiada mandat niebios.

– Czy ona naprawdę namawia, żeby nie próbował odzyskać ziem utraconych na rzecz Zhangów? – spytał szeptem Baoxiang. Sugestia wielmożnej zdawała się stać w sprzeczności z nakazami rozumu. Imperium Wielkich Yuanów, jego część północna i południowa wraz z całą konstelacją państw wasalnych, przypominało obracające się z dużym impetem koło. Utrata jednej

szprychy zwiastowała rychły rozpad całości. Rozumiał to nawet Esen, który całe życie poświęcił tłumieniu rebelii na południu kraju.

– Z jej perspektywy ma to sens – odpowiedział minister. – Zastanów się. Cesarzowa spędza z wielkim chanem jedną noc w miesiącu. I taka noc wypada właśnie dzisiaj. Kto zagwarantuje, że teraz bądź następnym razem nie poczną syna? Jeżeli powije lepszego następcę niż obecny, ciążyąca na jej rodzie niełaska pójdzie w zapomnienie. Ale wielmożna Ki wie, że dopóki Zhangowie będą odmawiać ugięcia karku przed Wielkimi Yuanami, a stolica pozostanie uzależniona od soli z Goryeo, jej pozycja pozostanie niezagrożona. – Urwał, po czym dodał z namysłem: – Widzisz, wielmożna Ki nie zawsze była jego faworytą. Dawniej wolał towarzystwo matki pierwszego i drugiego księcia.

Obaj książęta zmarli bardzo młodo i choć dzieciom przydarza się to dość często, fakt ten był godny uwagi. Baoxiang pamiętał determinację, jaką zobaczył na twarzy wielmożnej Ki. Wiedział, że kobiety pożądamy równie żarliwie jak mężczyźni, choć ich świat jest węższy, a pragnienia przykrojone odpowiednio do jego rozmiarów. Faworyta nie uwzględniała w swoich planach przeznaczenia Wielkich Yuanów. Całym jej światem był pałac. Wiedziała jedynie, że musi zażegnać niebezpieczeństwo grożące jej ze strony cesarzowej.

W morzu czarnych kapeluszy urzędników łatwo było przeoczyć trzeciego księcia, ubranego w wierzchnią szatę z czarnego adamaszku. Pokrywające ją haftowane srebrną nicią smoki sprawiały, że strój jawił się jako nocne odbicie złocistej szaty jego ojca, jakby chłopak naprawdę był księciem koronnym czekającym na objęcie władzy. Ojcowska niechęć nijak nie osłabiała swobodnej arogancji w jego postawie.

– Wasza Wysokość! – W głosie wielkiego radcy zabrzmiało głębokie niedowierzanie. – Nie możemy przecież dłużej tolerować zachowania Zhang Shichenga i całej tej sytuacji! Należy go ukarać błyskawiczną i zdecydowaną operacją wojskową. Nie do pomyslenia byłoby, gdyby władca całego świata pozostał bezczynny wobec jawnej obrazy, jaką ci ludzie dopuszczają się wobec jego osoby

i samych niebios. – Umilkł na moment i nagle rzucił się na klęczki. Pochylił nisko głowę i uniósł błagalnym gestem złożone dłonie. – Wielki chanie – krzyknął – zechciej, proszę, rozważyć radę starego wojownika!

– Rozważ, prosimy! – zawołali stentorowym echem ministrowie wraz z towarzyszącymi im urzędnikami.

Z pękających koksowników buchnęły chmury dymu, który niemal przesłonił ściągnięte czoło siedzącego na tronie władcy. Baoxiang rozpoznał woń drewna sandałowego. Nawet ten drobny luksus miał już niebawem stać się nieosiągalny: drewno to było kolejnym towarem z południa, który docierał do Chanbałyku wyłącznie dzięki łasce pani Zhang.

Wielki radca nawet na kolanach zdołał utrzymać na sobie uwagę całej sali. Postronnemu gościowi wystarczyłoby spojrzenie, by zrozumieć, kto sprawuje prawdziwą władzę. Wielmożna Ki uśmiechnęła się wielkodusznie, a jej oczy zwiastowały mord. Ona również doskonale to rozumiała. Ponieważ za wielkim radcą opowiadali się wszyscy ministrowie, nie miała szansy doprowadzić do jego odwołania.

Ale teraz masz mnie, przemknęło Baoxiangowi przez myśl.

Trzeci książę stał w milczeniu i spoglądał na wielkiego chana, zerkającego to na jego matkę, to na wielkiego radcę. Chłopak wydawał się równie obojętny jak zawsze, lecz w miarę jak szepty ministrów wzmagaly napięcie, jego zaciśnięte pięści bieleły od narastającego wstydu. Mimo otaczającej trzeciego księcia aury arogancji i uprzywilejowania zdawał sobie sprawę, że matka urządziła tę scenę ze względu na niego. Dlatego, że nie był księciem koronnym. Dlatego, że nie był taki, jak powinien.

– Wielki chanie, wydaj, proszę, rozkaz! – podjął wielki radca, na co ciężkie powieki władcy zatrzepotały gwałtownie, jak u siedzącego nad planszą człowieka, który przypominał sobie właśnie, że partner czeka na jego ruch.

Dał gestem znać, by radca podniósł się z klęczek.

– W słowach wielkiego radcy jak zawsze słycać rozsądek. Jak moglibyśmy..

Wielmożna Ki zakrzyknęła i padła na podłogę. W sali zapanowała poruszająca cisza. Ministrowie przez chwilę chłonęli widowisko, patrzyli na leżącą, jęczącą faworytę. Zaraz potem rozpętało się pandemonium. Baoxiang odnotował mimochodem, iż wielmożna z premedytacją przewróciła się w taki sposób, by suknia podkreśliła wszystkie jej atuty: leżała wśród fałd jedwabiu niczym dziewczica na usianej nagietkami polanie.

Trzeci książę rzucił się matce na pomoc, lecz niemal natychmiast cofnął się, popielaty na twarzy, w reakcji na jakąś reprimendę. Wielmożna Ki, pochlipując, podniosła się, usiadła na podłodze i wyciągnęła ręce ku wielkiemu chanowi, który zeskoczył z tronu i ruszył w jej stronę.

– Wezwać medyka! – zawołał władca, ujmując białe dłonie faworyty. Gdy eunuchowie i urzędnicy rozbiegli się na wszystkie strony, wielki radca wstał, dwoma zirytowanymi ruchami ręki wygładził szatę i wyszedł z sali. W głębi ducha nie był mocno rozgniewany. Wielmożna Ki nie mogła odwlekać decyzji w nieskończoność. Wiedział, że w końcu postawi na swoim.

Cesarski medyk przybył do sali w asyście licznej świty asystentów. Trzeci książę popatrzył na otaczający jego matkę tłumek z dziwną, chorobliwą tęsknotą. Było to spojrzenie zranionego dziecka dostrzegającego, że najważniejsza istota jego świata przelewa uwagę na kogoś innego; wzrok chłopca nieprzerwanie łaknącego matczynej miłości, mimo że mężczyzna, na jakiego wyrósł, wiedział, że nigdy jej nie otrzyma.

朱

– Czy to przypadkiem nie książę Henanu! Dlaczego idziesz piechotą? Nie mogłeś wsiąść na konia?



Baoxiang odwrócił się ku jeźdźcom. Z miejsca pożałował, że zostawił pochłoniętego rozmową z kimś ministra i ruszył w drogę powrotną sam. W czasie audiencji u wielkiego chana słońce zeszło nieco niżej i lśniło teraz, białe i chłodne, nad skrzącym się drobinkami kwarcu szerokim placem prowadzącym ku bramie Chongtian i znajdującemu się za nią ministerstwu. Tu i ówdzie stały w donicach sprowadzone z gór drzewa, spętane drutami w taki sposób, że nie wyrastały Baoxiangowi powyżej pasa. Nawet w tej miniaturowej odmianie budziły w nim wspomnienia o suchym pogórzcu, na którym odbyły się wiosenne łowy wielkiego chana. Skojarzenia te znakomicie uzupełniał najnowszy element scenerii: sfera młodych mongolskich wojowników tropiących konno upatrzoną ofiarę. Smoki zdobiące obrębianą futerkiem wydry szatę trzeciego księcia połyskiwały identycznie jałowym blaskiem jak północne słońce.

Baoxiang znał ten taniec. W jakim to był wieku tamtego lata? Włosy wciąż splatał w warkocze, więc być może miał lat czternaście. Albo piętnaście. Myśliwi jego ojca rozjechali się już po lesie, ich nawoływania dolatywały ze wszystkich stron. On został z tyłu, obrażony i nadąsany, ponieważ oderwali go od ksiązek. Dopiero kiedy zsiadł z konia, by zabrać upolowanego zająca, uświadomił sobie, że nie słyszy już głosów. Ciszę mącił jedynie szelest roztrącanych jego krokami ścielących się na ziemi igieł.

I właśnie wtedy z zarośli wyłonili się przyjaciele Esena. Czterech młodzików zeskoczyło zwinnie z koni, wymieniając się rozpalonymi spojrzeniami. Ich zamszowe buty miękko stąpały po suchym igliwiu. Baoxiang natychmiast zrozumiał, co się stanie. Gorsza jednak od świadomości nadchodzącego bólu była bezradność wobec strachu, który sprawił, że spociły mu się dłonie i dygotały nogi. Większość życia Baoxiang spędził w przekonaniu, że Esen i inni mężczyźni potrafią w jakiś sposób panować nad lękiem, któremu on zawsze, chcąc nie chcąc, ulegał. Prawdę odkrył dopiero niedawno: oni nie odczuwali strachu tak samo jak on. Och, bali się, oczywiście, że się bali. Po prostu nie byli tego świadomi.

Przypominali pływaków niesionych silnym prądem, którego nie zauważali i z którym nie walczyli, mimo że targał nimi to w jedną, to w drugą stronę.

Baoxiang odrzucił zająca i podniósł łuk. Broń zadrżała mu w rękach, lecz gniew sprawił, że to, co zrobił zaraz potem, przyszło z łatwością.

Strzelił.

Trafienie nie ma nic wspólnego z właściwym naprężeniem cięciwy czy umiejętnym jej zwolnieniem. Zależy od pragnienia. To nie łucznik strzela – strzał dzieje się sam, kiedy człowiek skoncentruje wolę na celu i pozwoli ciału ją skanalizować. A w tamtej chwili poza strachem Baoxiang czuł zaprawioną gniewem siłę czystego pragnienia. Chciał trafić. Zadać ból.

Chciał i strzała go posłuchała. Lecz wojownik, w odróżnieniu od słomianej tarczy czy zająca, nie czeka w bezruchu. Pocisk rozciął powietrze tam, gdzie młodzik stał przed chwilą. Wbił się w drzewo.

Zapadła cisza. Stojąca wciąż trójka wojowników oraz ten, który rzucił się na ziemię, w głębokim poruszeniu spoglądali na drgającą w pniu strzałę. Zupełnie jakby nie potrafili uwierzyć, że Baoxiang zareagował w sposób tak niewspółmierny do sytuacji. On jednak, trzęsąc się ze strachu, wiedział, że zareagował proporcjonalnie. To po prostu oni nie wiedzieli, czym jest strach.

A dzisiaj, dziesięć lat później, gdy kolejna sfora wojowników zeskoczyła z koni i ruszyła w jego stronę, pozwolił, by dostrzegli w nim strach. Był to tyleż teatr, co szczerą prawdą: drżał, a księgi w jego rękach zawilgły od potu. Wiedział, że kiedy to zauważą, poczują iluzję kontroli nad sytuacją. Nie mieli za to pojęcia, że wyzwiska, jakimi go obrzucają – objaw ekscytacji łowami – stanowią nowość wyłącznie dla nich. Baoxiang już to wszystko przećwiczył. To on panował nad sytuacją, ponieważ wiedział, jak się skończy.

Najbliższy z młodych arystokratów pchnął go w pierś. Lekko, swobodnie, gestem igrającego z posiłkiem drapieżcy.

– Książki! Po co mężczyźnie tyle książek! Czytasz je sobie pod księżycem?

Do prowodyra dołączyli pozostali. Zaczęli lekko szturchać Baoxianga, odkrywali zasady gry w miarę postępów partii. Struchlał, potknął się. Kiedy odzyskał równowagę, jego oczy odnalazły trzeciego księcia. Na młodej, brodatej twarzy chłopaka malowało się podniecenie człowieka rozkoszującego się władzą: był łowcą, który wiedział, że może odwołać psy w dowolnym momencie, lecz oczywiście nie zamierzał tego robić. Chciał ukarać Baoxianga za swoje własne żądze.

Roześmiani wojownicy napierali coraz odważniej. Popychali go coraz bardziej szorstko i w pewnym momencie Baoxiang znów stracił równowagę. Tym razem krzyknął i padł na plac. Książki rozsypały się wachlarzem, który sięgnął czubka buta trzeciego księcia.

Młodzieniec kucnął i przyjrzał się jednemu z tomów. Mimo wciąż widocznej w jego ciele chudości nastolatka ruchy chłopaka cechowała pewność dojrzałego wojownika. W oczach zajaśniała ciekawość. Baoxiang zdawał sobie jednak sprawę, iż jest to ciekawość, która w obecności przyjaciół bez trudu przerodzi się w przemoc.

– Ha! Toż to nawet nie poezja! – Trzeci książę powiódł palcami po znakach na okładce. – Rachunki! Co za nuda!

Baoxiang zdusił cisnący mu się odruchowo na usta komentarz: „O, czyli jednak umiesz czytać? Gratulacje!”.

– Nie powinno cię to tak zaskakiwać. Jestem księgowym – odpowiedział na głos.

Policzki chłopaka barwił coraz bardziej intensywny rumieniec. Oddech miał przyspieszony. Bez wątpienia tłumaczył sobie, że to skutki odrazy.

– Księgowym, ale nie tylko księgowym.

Baoxiang był głęboko świadomy swojej bezbronności. Dotarło do niego, że trzeci książę wymazał własną żądze ze wspomnień o tym, co między nimi zaszło, i pamiętał już wyłącznie perwersję Baoxianga. W jego wersji wydarzeń to Baoxiang narzucił mu własne zboczenie, przez co chłopak poczuł się zagrożony i skonsternowany.

Teraz chciał skrzywdzić winnego tych nieprzyjemnych emocji. Baoxiang doskonale rozumiał, co oznacza wyraz twarzy księcia. Oznaczał pragnienie wymazania z istnienia tej obrzydliwej istoty, która nie pasowała do stworzonego przez niego i jemu podobnych obrazu świata.

Trzeci księżę miał na palcu onyksowy pierścień łuczniczy. Jego wielkie, obdarzone długimi palcami dłonie pokryte były licznymi odciskami, śladami po mieczu i łuku. Były to ręce stworzone do zadawania bólu.

Lecz ku zaskoczeniu Baoxianga ból nie nadszedł. Chłopak odwrócił się, by spojrzeć tam, gdzie trzeci księżę, i ujrzał zbliżającą się lektykę.

Cesarzowa popatrzyła na nich z góry. Jej drobne usta wykrzywił grymas okrutnego zadowolenia.

– Trzeci księżę! Z jakiego powodu blokujecie drogę? Usuńcie się, proszę. Dziś wypada noc mojej wizyty u wielkiego chana i muszę zdążyć odpowiednio się przygotować. Nie chciałabym go rozczarować. Wiadomo wszak, że człowiek, który od dawna żuje tylko stare kości, najbardziej na świecie marzy o smaku soczystego mięsa.

Trzeci księżę mocno pobladł, choć na jego wykrzywionych wargach Buddy nadal malowało się przede wszystkim obrzydzenie. Nie wypuszczając książki Baoxianga z ręki, wstał, ukłonił się i wskoczył z powrotem na siodło.

Kiedy młodzi arystokraci odjechali, cesarzowa skupiła wzrok na Baoxiangu. Powtarzał sobie w duchu, że przecież nie może go zamordować tutaj, w środku dnia, w sercu Miasta Cesarskiego. Niestety, jego ciało nie chciało w te zapewnienia uwierzyć. Zadrżał.

– Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłaś – powiedział.

Uśmiezek cesarzowej zniknął bez śladu. W tym, co chciała zrobić Baoxiangowi, nie szukała rozkoszy, w sercu miała tylko czystą nienawiść.

– Zdążę. Na razie z przyjemnością obserwuję, jak inni zmieniają twoje życie w udrękę, mam czas – powiedziała.

Urzędowy kapelusz Baoxianga, tak szeroki, że ocierający się niemal rondem o ściany korytarza, rzucał w świetle rozwieszonych z rzadka latarni bezkształtne cienie. Tutaj, na tyłach prywatnego skrzydła rezydencji trzeciego księcia, długie przejścia, pełne otwierających się po bokach, przesłoniętych papierowymi ściankami drzwi, rozgałęziały się dosłownie co chwila. Kolejne skrzyżowania otwierały drogę w identyczną ciemność. Gościa prowadził naczelny sługa arystokraty. We wnętrzu było zimno, nawet jak na późną jesień. Baoxiang przeszedł pod jeszcze jedną latarnią, która wypełniła mu oczy rażącą bielą, lecz kiedy odzyskał wzrok, coś zobaczył. Znikającą za zakrętem postać. Rozpoznał sylwetkę i poczuł żywsze bicie serca.

To przecież były warkoczyki jego brata, upstrzone koralikami z nefrytu i złota; to jego szerokie ramiona obleczone ulubionym strojem jeździeckim, błękitnym jak skrzydła zimorodka; to jego poły rozwiewały się przy każdym kroku, odsłaniając spodnią warstwę stroju, niczym sekretne ptasie pióra, demonstrowane światu jedynie w locie.

Baoxiang nie zastanawiał się nawet chwili. Pognał za duchem Esena, miękkie buty zaszemrały na parkiecie. Zadławił się gniewem. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy wreszcie dogoni brata...

Wypadł z za rogu zdyszany i zderzył się z osobliwym spojrzeniem sługi. Zatrzymał się. Nie było tu nikogo innego. Tak raptowna utrata przedmiotu uczuć bolała jak brak kończyny.

– Pokój kryształowy – rzucił półgłosem służący i wskazał drzwi.

Trzeci książę energicznie podniósł wzrok. Na biurku przed nim leżała książka. Kształtna górna warga chłopaka wygięła się w markowanym zdziwieniu.

O zaskoczeniu jednak nie było mowy. Kiedy Baoxiang stawił się w rezydencji, po rozbawionych młodzikach z popołudnia nie było

już śladu. Arystokrata musiał ich wyprosić, z księgą rachunkową w rękę. I od tamtej pory czekał już tylko na Baoxianga.

Baoxiang przestąpił bez słowa ponad podwyższonym progiem. Oto jestem. W ostrym kontraście do tonących w mroku korytarzy pokój kryształowy zalany był jasnym światłem. Baoxiang miał wrażenie, że przekroczył przed momentem jakąś barierę, membranę, przez którą nie potrafił przedrzeć się duch. Niemniej wniósł w tę jaskrawość swój gniew, który nagle znalazł sobie nowy cel.

Światła pokoju kryształowego zagrały na odsłoniętym gardle trzeciego księcia, mieniły się w srebrnych koralikach wplecionych w warkoczyki chłopaka. Dosłownie każda powierzchnia w pomieszczeniu zastawiona była ozdobami wykonanymi z najrzadszego z surowców – szkła. Wazy i dzbany stworzone z substancji przypominającej mlecznozieloną porcelanę cieszyły oko przejrzystością, sprawiającą, iż wydawały się nadnaturalnie kruche. Krwawe głębiny kryształowego relikwiarza jarzyły się, jakby tliło się w nich jakieś tajemne życie. Baoxiang ujrzał szkło pokryte znajomymi wzorami smoków i feniksów oraz szkła nieskończenie wręcz obce: emaliowane, wysadzone klejnotami, połyskujące niczym olej na wodzie, opisane złożonymi znakami pisma zachodnich chanatów. Patrzył na przedmioty, które wyrabiano i którymi handlowano przez wiele pokoleń, zanim mongolskie podboje położyły kres tej tradycji na zawsze.

A pośród wszystkich tych bezcennych ozdób: trzeci książę ze swoim ukrytym przed światem szklanym sercem. Trzeci książę udający, że nie chce tego, czego chce. Udający, że nie ubodło go matczyne odtrącenie, że nie dotykają go docinki cesarzowej, ukrywający za pomocą arogancji strach przed tym, że następcą tronu pozostanie jedynie do chwili, gdy zastąpi go w tej roli ktoś nowy.

Chłopak udawał, lecz Baoxiang także tkął własną iluzję. Ogarnęło go identycznie wyraźne poczucie kontroli, jakiego doznał,

patrząc w twarze wojowników na placu. Spośród obecnych w tym pokoju osób jedynie on wiedział, czym się to wszystko skończy.

Parkiet z orzechowego drewna wypolerowany był tak doskonale, że kiedy Baoxiang pochylił głowę w ukłonie, ujrzał własne odbicie, jakby zawieszony na nocnym niebie.

– Sługa niegodny przybywa z pytaniem, czy trzeci książę skończył już lekturę książki, którą raczył pożyczyć?

Uwaga chłopaka była napięta niczym postronek. Zapewne zdołał sobie wmówić, że fakt, iż wszedł w posiadanie tej księgi, jest jedynie prostą kontynuacją południowych zabaw. Niemniej jego ciało i tak dygotało w nadziei na to, co gość mógł z nim zrobić.

– Zostaw nas – rzucił do służącego.

– Zaczekaj za drzwiami – dodał bez zająknięcia Baoxiang. – Nie śmiałybym zabierać księciu zbyt wiele czasu.

Na twarz trzeciego księcia wypełził rumieniec upokorzenia. Wstyd jednak nie ugasił jego wyczekiwania. Przeciwnie, rozniecił je tym bardziej. Myśl o kimś stojącym w korytarzu, kimś nasłuchującym nie dawała się oddzielić od tego, ku czemu nieuchronnie prowadziła: tego, co mogło się wydarzyć w tym pokoju pełnym szkła, ryzykownie pobrzękującego szkła.

Kiedy za sługą zamknęły się drzwi, Baoxiang nawet nie drgnął. Mógłby ulżyć napięciu arystokraty, mógłby podejść i zrobić to samo, co wcześniej. Być może tym razem książę nawet by go nie uderzył. Nie miał jednak zamiaru stać się anonimowymi ustami, które można odtrącić przy pierwszym odruchu wyparcia.

Niemal parsknął śmiechem, kiedy w spojrzeniu chłopaka pojawiła się świadomość, że gość niczego sam z siebie nie zaoferuje. Och, jak bardzo musiał go nienawidzić, nie mając w tej chwili innego wyjścia, niż przyznać się do swoich wstydliwych pragnień! Baoxiang nabrał pewności tak silnej, że nikt nie mógł w niej wszelki strach, że arystokrata odpowie na jego okrucieństwo własnym.

Trzeci książę wstał i wyszedł żywym krokiem z za biurka. Ich buty zaszurały na posadzce, chłopak napierał, Baoxiang się cofał. Wreszcie uderzył barkami o ścianę.



Baoxiang nie był mężczyzną niskim. Trzeci książę miał szansę przerosnąć go za rok, może dwa. Na razie jednak byli równi



wzrostem. Oczy arystokraty lśniły żądzą zadania bólu. Zdjął Baoxiangowi kapelusz i lekko złożył dłoń na jego koczku.

– Dlaczego tak się czesziesz?

Baoxiang splatał włosy w warkoczyki jeszcze długo po tym, jak zaczął nosić swoje krzykliwe, ekstrawaganckie stroje. Nie myślał nawet o fryzurze jak o czymś, co w ogóle można zmienić. Dopiero kiedy osiągnął pełnoletność, uświadomił sobie, że prawo działa tylko w jedną stronę: to nanreni nie mogli nosić warkoczyków. Choć nawet i wtedy zebrał się na odwagę, by związać włosy w koczek, dopiero podczas jednego z wyjazdów ojca. Bardzo dobrze pamiętał towarzyszący temu wstyd. Kiedy jednak wyszedł między ludzi i poczuł, jak kaleczą go pełne pogardy, wstrząśnięte spojrzenia, zauważył, że zażenowanie przeradza się w perwersyjną odmianę dumy. Inni mężczyźni od dawna uważali, że nosząc warkoczyki jak wojownik, przynosi im ujmę. Myśl jednak, że nie pragnął ich pozycji, że ich sposobu życia ani nie szanował, ani nie łaknął, rozjuszała ich o wiele bardziej.

– Po co ukrywać przystojne rysy za zasłoną włosów? – odparł chłodnym tonem.

Chłopak odpowiedział pozbawionym humoru uśmiechem. Nawet gdy Baoxiang pozostawał w pełni sił i wyspany, jego twarz była zbyt mongolska, jak na gusta nanrenów, i zbyt nanreńska, jak na upodobania Mongołów. Obaj jednak wiedzieli, że teraz, tutaj to nie jego wygląd jest ważny. Trzeci książę zacisnął palce na koczku. Zaraz potem jednym zdecydowanym ruchem wykręcił głowę Baoxianga na bok i przycisnął do ściany. Baoxiang jęknął, czując preżące się mięśnie szyi, wspiął się na palce.

– Spójrz tylko na siebie – odezwał się szeptem chłopak. Nie był prawdziwym wojownikiem, takim jak Esen, był zaledwie miękkim książątkiem, lecz podobne wyczyny przychodziły mu łatwo. Wbił głębiej palce pod spinkę Baoxianga i podciągnął go jeszcze wyżej. – Taki słaby i przestraszony. Nawet bić się nie umiesz. Popychali cię, jak chcieli, a ty po prostu upadłeś. – Omiótł spojrzeniem szyję Baoxianga, wydatną grdykę i cień wieczornego zarostu. – Ciekawy

jestem, jak często upadałeś tak nisko, że mężczyźni chwalili potem twoje usta?

Baoxiang miał wrażenie, iż lada moment straci skalp. Niemniej świadomość, że to on kontroluje reakcje trzeciego księcia, przekształcała ból w zadowolenie tak dzikie, że bliskie przyjemności.

Nie potrafił się bić, lecz to nie czyniło go najsłabszym człowiekiem w tym pokoju. Ani najbardziej przestraszonym.

– Chciałbyś usłyszeć, o czym myślałem, kiedy upadłem? – szepnął chłopakowi prosto do ucha. Wspomnienie i tak krążyło już blisko powierzchni. Teraz je poruszył i nieco zmienił, z gorzką świadomością, że w wypaczoną wersję słuchacz uwierzy bardziej ochocho niż w prawdziwą. – Mój brat też miał przyjaciół, takich samych jak twoi. Kiedy byłem młody, bardzo mnie fascynowali. Bez przerwy za nimi chodziłem. Patrzyłem, jak walczą, jak się pocą, jak zdejmują potem ubrania, żeby się obmyć. Nie byli jeszcze mężczyznami, ale mieli męskie ciała. A kiedy byłem sam, myślałem o tym, jak bardzo odmienne są ich ciała od mojego, i o uczuciach, jakie we mnie budziły. Kiedy więc ci chłopcy zdybali mnie pewnego dnia w lesie, dobrze już wiedziałem, czego chcę.

Chwył trzeciego księcia zelżał, Baoxiang opadł na stopy. Za sprawą sadystycznego impulsu jego głos brzmiał w tej chwili tak samo jak wówczas, kiedy rozmawiał ze swoimi prawdziwymi kochankami, jakby pragnienie okrucieństwa zastąpiło żądzę.

– Oni również wiedzieli, czego chcę – podjął. – Nie musiałem nawet prosić. Rozchylili szaty. A ja dla nich ukląknęłam.

Wspomnienie odzyskało na chwilę prawdziwy kształt. Przypomniawszy sobie, jak leżał skulony na wilgotnej ziemi, jak jego wrzaski i błagania podlegały im jedynie do mocniejszych ciosów, kopnięć. A jeszcze bardziej wyraziście niż sam ból pamiętał wstyd: bezsilność i upokorzenie. Teraz gdy przekształcił wspomnienie w sączoną do uszu arystokraty fantazję, odniósł wrażenie, że przekazuje wraz z nim również tamte emocje. Otaczające ich

kryształy mieniły się w świetle lamp, rozsnuwając po całym pokoju rozedrgane tęcze.

Trzeci książę głośno przełknął ślinę. Jego dłoń ześliznęła się po włosach na kark Baoxianga i chwyciła mocno, wydając bezgłośnie polecenie. „Na kolana”.

Tak przyjemnie było odmówić. Baoxiang wsunął wężowym ruchem dłoń między ich ciała i rozpiął inkrustowany turkusami pas podtrzymujący pozbawiony rękawów wierzchni kaftan arystokraty. Stali tak blisko siebie, że wyraźnie widział fakturę paseczków posrebrzanego papieru, które składały się na zdobiące ciężki adamaszek sylwetki cesarskich smoków. Pod kaftanem trzeci książę miał srebrną, błyszczącą brokatem szatę, przewiazaną w pasie czarną wstążką i zapiętą z boku na trzy guziki.

Kiedy Baoxiang go dotknął, chłopak zadrżał i odwrócił twarz.

Baoxiang wiedział, jak to jest być młodzieńcem nawiedzanym udręką pożądania. Kiedy sam był w tym wieku, realizował popędy na liczne sposoby, a ich zaspokajanie stanowiło zwyczajną, przyjemną część życia. Mógł więc sobie jedynie wyobrazić, jak intensywna żądza musiała drążyć kogoś, kto nie miał żadnej możliwości jej zaspokojenia. Poruszał dłonią miarowo. Może trochę nierówno, zapewne frustrująco, jak zawsze, kiedy robi to ktoś inny. Lecz to właśnie owa frustracja rozpałała w niedoświadczonym, młodym ciele ekstatyczne zdumienie: to się dzieje naprawdę.

Baoxiang widział jedynie ucho i brodaty policzek trzeciego księcia. Skóra na policzku była jednak ciemna, a szyja naprężona. Chłopak zdawał się przytłoczony poczuciem upokorzenia: faktem, że musi czuć niemożliwy do przeoczenia dotyk męskości Baoxianga; świadomością, że sługa stoi za drzwiami i nasłuchuje odgłosów jego upadku. Niepokój i stres księcia przepełniały Baoxianga okrutną radością. Aktualnie to stanowiło źródło jego przyjemności: okrucieństwo przymuszania innych do odsłaniania najwrażliwszych stron duszy po to, by tym łatwiej ich zniszczyć.

Kiedy był jeszcze patykowatym, niezgrabnym wyrostkiem, Esen od czasu do czasu prowadził go do jednego z działających

w Anyangu domów uciech. Sam Esen nigdy nie przepadał za towarzystwem kurtyzan – twierdził, że brak mu cierpliwości i jest za słabo wykształcony, by cieszyć się ich zalotnymi gierkami – wiedział jednak, co lubi Baoxiang. To dla Esena typowe, myślał gniewnie Baoxiang, czując, że gdzieś za drzwiami, w ciemności, wciąż krąży ten duch, krąży i nasłuchuje. Esen znał upodobania Baoxianga, lecz nigdy nie zdobył się na odwagę, by przyznać się przed sobą do własnych.

Głupcy i ich ukryte pragnienia. Wyparcie skutkowało jedynie tym, że w końcu otwierali drzwi przed człowiekiem, który rozumiał ich lepiej, niż oni rozumieli siebie. Przed kimś, kto wykorzystywał tę wiedzę, by ich skrzywdzić.

Trzeci książę doszedł w milczeniu. Baoxiang poczuł dreszcz triumfu i przelotną pokusę, by pognębić go jeszcze bardziej. Niemniej wytarł rękę o lnianą bieliznę chłopaka i odsunął się od ściany. Bardzo chciał jak najszybciej zapewnić sobie ochronę przed zakusami cesarzowej, lecz uznał, że lepiej będzie, jeśli arystokrata należycie przetrawi wspomnienie tego spotkania, by rozgrzane kontury zastygły w coś uchwytnego. A potem będzie można bezpiecznie to powtórzyć. I za każdym razem trzeci książę zapamięta jedno: jeśli tylko zapewni Baoxiangowi bezpieczeństwo, zawsze dostanie to, czego pragnie.

Na tym właśnie polegała największa wada obranej strategii. Plan nie mógł się posuwać szybciej od przemian zachodzących w ludzkim sercu. Baoxiang zabrał leżącą na biurku książkę i wyszedł.

朱

Papier w okrągłym oknie pokoju Baoxianga był tak stary i zbrązowiały, że zamiast jasno odbijać światło lampy, jarzył się ponuro niczym plaster brzoskwini, przez który ogląda się słońce. Deszcz zaczął padać już po powrocie Baoxianga z pałacu trzeciego

księcia, przed kilkoma godzinami. Miarowe bębnienie kropel o dach przyprawiało go o specyficzne poczucie oddzielenia, separacji od śpiącego miasta na zewnątrz.

Spod dłuta wyszła skręcona strużyna lipowego drewna. To, czym się zajmował, było raczej rzemiosłem niż sztuką – przynajmniej na jego amatorskim poziomie – i nie przynosiło takiej radości, jaką znajdował niegdyś w kaligrafii i malarstwie. Obserwowanie procesu przemiany wizji w konkretną formę sprawiało mu jednak niejaką satysfakcję. Kawałek drewna z wolna nabierał w jego rękach kształtu, do wtóru pulsującego rytmu deszczu. Pod ścianami stały pełne złotych taeli kufry, nad którymi unosiły się białe, rozmyte sylwetki duchów.

Baoxiang strząsnął trociny z gotowej płyty, po czym odłożył młotek i dłuto obok sterty bambusowych tub z listami. Był tak wyczerpany, że czuł pod powiekami coś jak drobinki piasku. Jednak myśl o powrocie do łóżka po to tylko, by znów zbudził go ten dźwięk, przepełniła go rozpaczą. Cierpiał, ale kiedy pracował, cierpiał przynajmniej z pożytkiem.

Powierzchnia płyty dobrze przyjęła ryżowy kleik, a następnie atrament. Rozpostarł na niej arkusz papieru, wygładził, a kiedy go oderwał, z karty spojrziała znajoma twarz zadowolonego z siebie człowieka. Całkiem podobny, stwierdził posepnie w duchu Baoxiang.

Z miejskiej Wieży Bębnow popłynęło dudnienie obwieszczające czwartą wartę. Seyhan pojawił się niedługo potem. W tym miesiącu wstawał przed świtem i jadł, a następnie pościł aż do zachodu słońca, wymogi wiary.

– Nawet nie zmrużyłeś oka? – spytał sekretarz, po czym zauważył plakat i dodał z chichotem: – Syty Zhang?! Po co ci to?

Tuby z wiadomościami posegregowane były w grupy opisane nazwiskami. Zhang. Zhu. Chen. Baoxiang sięgnął po pierwszą z czwartej grupy, „Ouyang”, i rzucił sekretarzowi.

– Jest już w drodze? – Seyhan przebiegł treść listu spojrzeniem. Szpiedzy Baoxianga chronili komunikaty szyfrem, lecz zapisał

odcyfrowaną treść na dole kartki. Bezbarwne oczy Seyhana rozszerzyły się w zdumieniu. – Nie jest.

Baoxiang miał w ustach smak krwi. Przypomnił sobie chwilę, gdy Ouyang wszedł na zniszczoną groblę, skąpany w czerwieni.

– Nie – rzucił. – Ledwie wyruszył z Bianliangu, zaskoczył go ten buntownik mieniący się Świetlistym Królem. Zhu Yuanzhang.

Ouyang od zawsze uważał się za znacznie lepszego od Baoxianga! Wyłącznie ze względu na swój talent do wymachiwania mieczem został wydobyty z otchłani niewolnictwa i postawiony w blasku Esena. A Esen spojrział na niego jak w przepiękne zwierciadło i dostrzegł w nim to, co cenił najbardziej w sobie samym. Wszystkie wojownicze cechy, jakich nigdy nie posiadał Baoxiang, cechy, jakich Baoxiang nigdy nie chciał posiadać. Lecz teraz Ouyang został pokonany. Upokorzony, uwięziony, raczył się taką samą bezradnością, jaką Baoxiang czuł przez całe życie. No proszę, co to się stało z twoim cudownym generałem?

Ze wszystkich ludzi, których mógł pokochać, Esen wybrał tego jednego, który nie mógł mu przynieść nic poza śmiercią. A jednak zdrada Ouyanga była dlań tak wielkim zaskoczeniem. Krwawy posmak w ustach Baoxianga przemienił się w bezduszny gniew. Chciał gryźć i gryźć, aż do kości. Ból, jaki poczuł w tamtej chwili Esen, był wspaniały. Po raz pierwszy w swoim zaczarowanym życiu jego brat nareszcie poznał, jak głęboko kaleczy zdrada.

Ouyang był bronią, za pomocą której Baoxiang ugodził Esena prosto w serce. A teraz Baoxiang mógł posłużyć się tym orężem ponownie. Generał brata nadawał się do jednego – tylko do jednego – i był przy tym przewidywalny jak lot gołębia pocztowego. Baoxiang wykorzysta go, a potem, po wszystkim...

O bracie, nie odwracaj wzroku! Patrz, gdyż będzie to najwspanialsze widowisko ze wszystkich!

– Zhu Yuanzhang pokonał generała Ouyanga? – Spojrzenie Seyhana nagle się wyostrzyło. – Ty wiedziałeś, że do tego dojdzie.

– Czyż taki wynik nie był oczywisty? Zhu Yuanzhang nie miałby szans w starciu z generałem Zhangiem. Jego własna armia była za

mała. Rozejrzał się więc dokoła i dostrzegł okupującego Bianliang Ouyanga. Pamiętaj, że ci dwaj już się kiedyś spotkali. Zhu wiedział, na czym zależy eunuchowi, i rozumiał, że drążąca go desperacja stanie się przyczyną określonych słabości.

– Zatem teraz Zhu Yuanzhang pospołu z generałem Ouyangiem ruszą przeciwko Zhangom... – Przez papierowe okno sączyło się coraz więcej światła, blask przegnał duchy. – Ale biorąc pod uwagę zdolności i talent generała Zhanga... – Sekretarz wyraźnie się zafrasował. – Bardzo możliwe, że zdoła się oprzeć nawet ich połączonym siłom.

Baoxiang wstał i strzepnął z urzędniczego stroju trociny. Dopiero po chwili uświadomił sobie, czym jest to dziwne uczucie, delikatny nacisk w uszach. Cisza. Nareszcie przestało lać.

– Nie inaczej. I właśnie z tego powodu, mój drogi sekretarzu, wydrukujesz tyle egzemplarzy tego plakatu, żebyśmy mogli nakryć nimi cały Pingjiang. Przekaż naszym ludziom, żeby rozwiesili je na każdym skrzyżowaniu. Chcę, żeby Syty Zhang za każdym zakrętem natykał się na swoją twarz.

Bezmiar Cesarstwa Wielkich Yuanów, usianego armiami licznych pretendentów do tronu, był dla Baoxianga równie czytelny jak dla spoglądającego z wysokości niebios Nefrytowego Cesarza. Wszyscy pozostali gracze widzieli jedynie najbliższy sobie wycinek planszy. Tylko on, Baoxiang, dysponujący siecią agentów stworzoną, na długo zanim został księciem Henanu, obejmował wzrokiem całość. Sprawował nad wszystkim kontrolę tak precyzyjną jak cięcie świeżo odjętego od kamienia szlifierskiego ostrza.

– Następny etap będzie niezwykle zabawny – rzucił z dzikim błyskiem w oku.

朱

Deszcz przeobraził niebrukowane ulice dzielnicy Baoxianga w bajora cuchnącego żółtego blocka tryskającego spod kół i kopyt.

Poranna mgła ukryła końce ulicy za upiornym błękitnym oparem, w który miejscami wdzierały się podobne do płonących żagwi drzewa topoli. Umorusani błotem słudzy i szarzy ludzie rozstępowali się przed wierzchowcem jadącego do ministerstwa Baoxianga, nie zerkając nawet ku górze.

Droga wiodła z dala od głównych arterii, wzdłuż wyniesionego ponad publiczne strumienie i rynsztoki marmurowego kanału, który dostarczał wodę do Miasta Cesarskiego. Im bliżej centrum, tym węższa stawała się biegnąca obok akweduktu ścieżka, a z obu stron coraz śmieiej napierały na jeźdźca korony wierzb płaczących. Ponad drzewami wyznaczającymi linię otaczających Miasto Cesarskie murów sunęły ciemne chmury, dławiące powoli cienkie pasmo błękitnego nieba.

W pewnym momencie Baoxiang drgnął. Niemal tuż przed nim pojawiła się jakaś dziewczyna. Zerknęła przez ramię, ujrzała sunącego na nią konia i z krzykiem upuściła trzymany w ręku koszyk. Persymony rozsypały się na ścieżce.

Baoxiang, który w normalnych okolicznościach przejechałby po prostu po owocach, musiał ściągnąć cugle, ponieważ ta idiotka z melonem zamiast głowy rzuciła się z przeraźliwym wołaniem wprost pod kopyta i zaczęła zbierać persymony.

– Czy mógłbym? – rzucił cierpko.

Dziewczyna zadarła głowę i obdarzyła go oszałamiającym znajomym uśmiechem. Wstrząśnięty Baoxiang dopiero po chwili zrozumiał, że nie ma do czynienia z kimś obcym. Znał ją. To służąca z ministerstwa.

– Och! Bądź pozdrowiony, książę Henanu, któryś ze straszenia niegodnej służki uczynił nawyk. Błagam, żeby książę raczył zaczekać. Owoców jest tak wiele, a ja mam tylko dwie ręce. – Na jej uśmiechniętej twarzy pojawiły się urocze dołeczki. – Chyba że sam książę zniżyłby się do tego, żeby udzielić mi pomocy.

Myśl o tym, że on, książę krwi, mógłby zsiąść z wierzchowca i ubrudzić sobie ręce, pomagając zwykłej służącej, wzbudziła w nim niespodziewany przypływ dobrego humoru.



Dziewczyna zauważyła zmianę na jego twarzy i zaśmiała się głośno. Obrzuciła go całego ciepłym spojrzeniem i dołeczki stały się jeszcze bardziej wyraźne.

– No tak, szkoda by było, gdyby księżę ubrudził sobie ten piękny strój.

Zanim Baoxiang zdołał obmyślić odpowiednio ciętą ripostę, niebo znów chlusnęło deszczem. Dziewczyna chwyciła swój koszyk i czmychnęła pod wierzbę.

– Wystarczy tu miejsca dla dwojga – zawołała, patrząc na niego spoza zasłony opadających gałązek.

Baoxiang zawahał się na moment. Zastanawiał się, czy nie zdąży dojechać do ministerstwa, zanim ulewa rozszaleje się na dobre. Decyzję jednak podjął za niego szybko przemakający szeroki kapelusz. Kurtyna gałęzi sięgała tak nisko, że aby pod nią przejść, musiał zeskoczyć z siodła i w dodatku się pochylić.

Wzmagający się deszcz otoczył ich ze wszystkich stron, kreśląc w warstwie opadłych listków ciemną linię. W powietrzu snuła się intensywna woń żywicy, przywodząca na myśl zapach nowego łąku.

– Nogi ma księżę suche – zauważyła wesoło dziewczyna. – Ale obawiam się, że siedzenie zawilgnie mu od mokrego siodła. Przykra sprawa, zwłaszcza dla kogoś, kto w pracy tak długo siedzi. Ponieważ to z mojej winy złapała księcia ulewa, powinnam chyba zaproponować swój płaszcz, żeby miał na czym usiąść.

Przytknęła dłoń do kołnierza płaszcza i podniosła na Baoxianga wzrok, trzepocząc długimi rękami. Z pewną obojętnością zdał sobie sprawę, że dziewczyna po prostu z nim flirtuje.

Była od niego znacznie niższa. Patrzył z góry na jej uśmiechnięte, naznaczone dołeczkami policzki i krągłości, które zagrażały bezpieczeństwu szwów jej stroju. Czekala na niego z rozchyłonymi wargami, wstrzymanym oddechem. Zamiast podniecenia zalało go jednak poczucie daremności. W innym świecie, w świecie umarłym, do którego nie miał powrotu, pochyliłby się i ją pocałował. Skryci pod osłoną wierzbowych gałęzi, padliby ze śmiechem na ziemię i zażyli rozkoszy własnych ciał.

Pamiętał jeszcze radość i szczodrość tego rodzaju zabaw. Obecnie jednak tam, gdzie niegdyś rozpalały się podobne emocje, falowała jedynie czerń. Stał mu przed oczyma wyrazisty obraz – naprężona szyja odwracającego twarz trzeciego księcia. To Baoxiang doprowadził go do tego stanu. Lecz zamiast poczuć budzący się w odpowiedzi żar własnego ciała, czuł w tamtej chwili wyłącznie żądzę zniszczenia. Była to ostatnia odmiana międzyludzkiej więzi, do jakiej był jeszcze zdolny: więź wynikająca z okrucieństwa, z otrzymywanego i zadawanego bólu. Ta bystra, pełna życia dziewczyna naprawdę miała na niego ochotę, a jedynym, co mogła w zamian otrzymać, było zniszczenie.

Odsunął się. Zgodnie ze swoją drugą naturą wykrzywił usta z pogardą.

– Naprawdę sądzisz, że jesteś dość ładna, żeby zatrzymać uwagę księcia? Jeśli chcesz się puścić, żeby zyskać szczególne względy, powinnaś się rozejrzeć za urzędnikiem niższej rangi! Nawet gdybym lubił kobiety, nie skalałbym się zbliżeniem do kogoś równie taniego i prostego jak ty.

Zostawił ją. Nie spoglądając za siebie, odszedł spod drzewa. Może kiedy wszystko się skończy, dziewczyna zrozumie, że w istocie wyświadczył jej przysługę.

Dopiero kiedy dotarł do biura, uświadomił sobie, że spotkanie z dziewczyną w tamtej akurat okolicy było dość dziwnym przypadkiem. Żadna służąca nie mieszkała w dzielnicy urzędników, a Barani Targ, rynek położony najbliżej ministerstwa, leżał zupełnie gdzie indziej.

朱

Dzień dobrnął już do ponurego, spłowiałego popołudnia, lecz w ministerialnym gabinecie panowała przytulna atmosfera, podtrzymywana przez lampy i koksowniki. Rozwieszane na ścianach dywany sprawiały, że można było poczuć się jak w ciasnej

od nadmiaru książek jurcie. Wszystko to przepełniało Baoxianga ambiwalentnymi uczuciami. Tutaj, tysiące li od miejsca, w którym jego zainteresowania skazały go na los wyrzutka, mongolska kultura, kultura jego ojca, zgodnie współistniała z naukowymi wartościami pokonanej przez siebie cywilizacji. Nigdy za taką mieszanką nawet nie tęsknił. Jakże można tęsknić za czymś, czego nie sposób sobie wyobrazić?

Minister przejrzał wpisy poczynione przez Baoxianga w aktualnej głównej księdze rachunkowej cesarstwa. Kiedy sięgnął po czekającą na biurku pieczęć, Baoxiang nie zdołał się powstrzymać:

– Być może minister zechce poświęcić na sprawdzenie wyników mojej pracy nieco więcej czasu. Jeżeli gdzieś tutaj wkradł się błąd, a twoja pieczęć go zatwierdzi...

Staruszek odpowiedział mu uśmiechem, od którego pogłębiły się zmarszczki, zanurzył pieczęć w cynobrze i przycisnął ją do odpowiedniej strony.

– Nie martw się o moją głowę, Wang Baoxiangu! Jak dotąd nie natknąłem się w twoich dokumentach na ani jeden błąd. A nawet gdybym jakiś znalazł, obawiałbym się raczej, że to ja sam go popełniłem, nie ty.

Byłoby znacznie łatwiej, gdyby minister nie był tak sympatycznym człowiekiem. Ambiwalentne, słodko-gorzkie odczucia Baoxianga nabrały nieprzyjemnego posmaku, zupełnie jak cukier w garnku, który wskutek niedopatrzenia zbyt długo wisiał nad ogniem.

– Jeśli minister nie ma dla mnie dalszych zadań... – Podniósł się.  
– Chciałbym się zająć rachunkami biura spraw wojskowych.

– Ach, kolejny, który niemądrze uznał, że nie może wyjść do domu, póki nie wyjdę ja. Czy naprawdę chcesz ślęczeć przy biurku i czekać, aż twoja młodość zwiędnie na dobre? Jeżeli skończyłeś wszystko, co na dziś zaplanowałeś, idź. I niech ci to wejdzie w krew. Tym bardziej że i ja niebawem wychodzę.

Pamiętając o niebezpieczeństwie grożącym ze strony cesarzowej, Baoxiang z przyjemnością skorzystał z szansy na powrót do domu przed zmrokiem.

– Skoro tak, rzeczywiście już pójdę. – Ukłonił się z wdzięcznością.

Wyszedł. Tej pory dnia nienawidził najbardziej: kiedy wydłużające się cienie nie pozwalały dłużej ignorować perspektywy kolejnej bezsennej nocy. Niebo rozciągające się ponad koronami cedrów miało barwę rozpacz. Na gwiazdy było jeszcze za wcześnie. Kiedy Niebiańska Rzeka nie służyła za powałę, Baoxiangowi zawsze towarzyszyło mdlące uczucie wpadania w pustkę, gdy patrzył w górę. Nie miał się czego uczepić, nic nie mogło zatrzymać jego wiecznego upadku.

Przy bramie Pingzhe pchnął konia w stronę domu. Nagle serce zabiło mu mocniej. Tuż za nim przejechał przez bramę jeszcze jeden jeździec. Wciąż jednak nie zapadł mrok, a w pobliżu kręcili się potencjalni świadkowie. Cesarzowa nie zabiłaby go tak, by mógł paść na nią choć cień podejrzenia. W przeciwnym wypadku wielmożna Ki z rozkoszą wykorzystałaby śmierć Baoxianga przeciw rywalce. Tak, przyjemny, pokrzepiający wniosek: cesarzowa wprawdzie nienawidziła go serdecznie, lecz jeszcze goręcej nienawidziła wielmożnej Ki.

Jeździec podążał za nim szybko i wkrótce się zrównali. Baoxiang zerknął w bok. Nieznajomy sprawiał wrażenie zwykłego, skupionego na drodze człowieka. Z jakiegoś powodu jednak serce Baoxianga zadrgało raz jeszcze.

I nie miało szansy się uspokoić: czyjeś dłonie pochwyciły go z tyłu i szarpnęły.

Wedle mongolskich standardów Baoxiang był jeźdźcem zaledwie przeciętnym. Jednak nawet on nie pamiętał, kiedy ostatnio spadł z konia. Uderzenie w błoto okazało się bolesne, lecz głównym źródłem cierpienia było niedowierzanie. Nie potrafił uwierzyć, że cesarzowa okazała się na tyle głupia, by uderzyć tak otwarcie. Nie wierzył również, że sam okazał się tak głupi, by uznać, że ona się na

to nie zdobędzie. Wykręcił się na ziemi niczym rozdeptany robak. Dwaj napastnicy zsiadli z koni i podeszli.

Jeden siadł mu okrakiem na piersi. Strach Baoxianga natychmiast przybrał na sile, przynosząc ze sobą wspomnienia. Policzek przyciśnięty do usłanej suchym igliwem ziemi, jego własne żalosne okrzyki, wtórujące kolejnym zadawanym przez wyrostków ciosom. Tamta chwila nie miała końca, raz po raz rodziła się w nim nadzieja i raz po raz spotykało go rozczarowanie. Koszmar trwał i trwał... aż wreszcie ustał.

Esen poderwał go na nogi. Oblicze miał tak chmurne, że Baoxiang z trudem go rozpoznał. Twarz stojącego nieco z tyłu generała Ouyanga tchnęła identyczną pogardą jak spojrzenia tych, którzy go przed chwilą katowali.

Zapłakany Baoxiang zawisł w objęciach brata. Cierpiał z upokorzenia; nie umiał powstrzymać łez. I był również świadomy, że w jakimś nikczemnym zakątku serca postrzega te łzy jako rzucone Esenowi wyzwanie. Pokazywał za ich pomocą idealnemu bratu nagą prawdę o swoim bólu i cierpieniu. Jak Esen mógł sądzić, że życie odmienne, życie, które nie spełnia niczyich oczekiwań, przychodzi mu łatwo, skoro musiał za nie płacić aż tak wysoką cenę?

Esen milczał. Baoxiang pozwolił sobie na mgnienie uwierzyć, że tym razem – ponieważ o to poprosił, ponieważ tego potrzebował – brat go zrozumie.

– Weź się w garść – wycedził Esen ściśniętym z gniewu głosem.

Oczywiście, stwierdził w duchu Baoxiang. To dlatego Esen był tak szorstki. Jego gniewu nie wywołał postępki przyjaciół. Rozgniewał go on, Baoxiang, pozwalając się w ten sposób potraktować. Ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, że brat milczał tak długo wyłącznie po to, by móc się opanować i nie uderzyć Baoxianga.

Esen nie był jego obrońcą. Był młodym wojownikiem, takim samym jak tamci. I czuł to samo, co czuli oni. Oszołomiony Baoxiang zrozumiał coś jeszcze: ty też mnie nienawidzisz.

A dzisiaj, wciśnięty w błoto Chanbałyku przez bezimiennego zabójcę, sparaliżowany strachem i bólem, Baoxiang wyczuł bliskość Esena. Oczyma wyobraźni ujrzał stojącego na ulicy ducha, niewidzialnego dla wszystkich poza nim, wpatrującego się weń z zimną, twardą jak kamień nienawiścią. Ciężar na piersi przygniatał. Baoxiang był słaby, bezradny i wylękniony. Tym razem nikt nie mógł mu pomóc. Słuchał własnych jęków i wiedział, że za moment umrze.

Zadowolony jesteś, bracie? Zawsze chciałeś, żebym przestał istnieć. Twoje życzenie nareszcie się spełni, a nie musiałeś kiwnąć nawet palcem. Wyręczył cię świat. Pokazał mi, gdzie moje miejsce, obdarzył mnie tym, na co zasługuję.

Dłonie wyciągnęły się ku jego gardłu i wrażenie obecności ducha dodatkowo się wzmogło. Zupełnie jakby Esen przykucnął tuż obok. Ruch, który wyłowił kącikiem oka, mógł być cieniem kołyszących się warkoczyków. Nagle zobojętnienie Baoxianga dało za wygraną. Przebił lodową tafłę i wpadł w czający się pod powierzchnią bezmiar. Jakie uczucie może być tak straszliwe i jednocześnie tak bezkresne? Tak, to musiał być gniew. Jednak zamiast przepęłnić go znajomą dziką rozkoszą, ten gniew okazał się straszliwy i pulsujący. Baoxiang czuł się, jakby ktoś rozcinał go piłą. Zdjęty cierpieniem, był w stanie myśleć jedynie o tym, że nigdy nie dostał tego, czego chciał. Nigdy nie skrzywdził Esena tak bardzo, jak Esen skrzywdził jego.

Nie zginął jednak uduszony. Obce palce wcisnęły mu się do ust, poczuł smak brudnej skóry. Zanim mnie zabiją, pomyślał, wyrwą mi język. Zawył, wyrzucając z siebie czystą, nieartykułowaną grozę.

– Bądź bardzo ostrożny, mały książe. – Przez gąszcz paniki przedarła się świadomość, że ktoś do niego mówi. – W przeciwnym wypadku utniemy ci to razem z... – Nieznajomy uwolnił język Baoxianga i zacisnął dłoń między jego nogami. Zrobił to mocno, zmuszając do krzyku. – Z tą ptaszyną.

Napastnik uwolnił go i wstał. Baoxiang skulił się niczym krewetka. Dyszał i trząsł się. Tamci odeszli. Miał poważny kłopot

z przywołaniem myśli do porządku. Nie rozumiał, co właśnie zaszło. Skoro cesarzowa chciała jego śmierci, dlaczego go wypuścili? Czyżby chciała się z nim po prostu pobawić? A może...

Podobnie jak większość mieszkańców Chanbałyku, napastnik posługiwał się wyuczoną mongolszczyzną, w której znać było silne naleciałości innej mowy. Baoxiang po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że tym innym językiem nie był ani han'er, ani żadne inne narzecze środkowych równin, wybrzeża, ani nawet dalekiego południa, gdzie ludzie mówili z akcentem upodabniającym ich bardziej do mieszkańców Cham niż Henanu. Baoxiang nie znał rodzimej mowy napastnika. Znał jednak kogoś, kto mówił w tym języku.

Zamachu nie dokonali ludzie cesarzowej. Nasłala ich wielmożna Ki.

Taki sam akcent z Goryeo słyszał też gdzie indziej. Ujrzał urocze dołeczki w policzkach, kosz persymon.

Nagle wszystko ułożyło się w sensowną całość. Trzeci książę wciąż jeszcze nie wiedział, czego chce – jego matka jednak wiedziała. Zauważyła spojrzenia, jakie posyłał Baoxiangowi. Zapewne doniesiono jej o odwiedzinach wiceministra w książęcym pałacu. Wykorzystała więc służkę, by sprawdzić, czy plotki o jego preferencjach są prawdziwe, czy może jedynie udaje w ramach podstępu mającego na celu poniżenie bądź szantażowanie jej syna.

Mrożąca krew w żyłach Baoxianga groza osiągnęła nowy poziom. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak niewiele brakowało. Gdyby odpowiedział na zaloty dziewczyny – a mógł, ponieważ naprawdę udawał – wielmożna Ki nie ograniczyłaby się zapewne do ostrzeżenia. Kazałaby go zamordować. Uprzedziłaby nawet cesarzową.

Przeżył i ten fakt powinien przynieść mu choć odrobinę zadowolenia. Promieniujący z jąder ból zaczynał już słabnąć, a w porównaniu z innymi napaściami, jakich zaznał, ta nie była nawet specjalnie brutalna. Niemniej koszmarny, pulsujący gniew,

jaki wywołała zjawą Esena, sprawił, że czuł się wyczerpany i brudny, jak po długim płaczu.

Kiedy się wreszcie podźwignął, zapadł już zmierzch. Duch zniknął. Księga rachunkowa nadal leżała w błocie tam, gdzie upadła. Była zniszczona. Efekty kilkudniowej pracy poszły na marne. Nie mógł jednak porzucić księgi. Uznał, że spali ją w dyskretnym miejscu.

Konia odnalazł w alejce, zwierzę skryło się w cieniu murów. Baoxiang wskoczył obolały na siodło i pojechał do domu.





Taizhou

**L**ódź kołysała się w ciemności. W skąpym, chybotliwym świetle przysłoniętej latarni stojącego na dziobie pilota Ouyang widział niewyraźne sylwetki uzbrojonych, opancerzonych ludzi Zhu. Druga łódź, zredukowana w tej chwili do niewielkiej iskierki, która mogła znajdować się na wyciągnięcie ręki lub całe li od nich, wiozła resztę oddziału. Osaczająca czerń przyprawiała generała o poczucie zawieszenia w sercu bezkresnej otchłani. Przed nimi nadmorski wał Wyspy Fortecznej wznosił się na tle zachmurzonego nieba bezkształtną masą; poniżej rozciągała się atramentowej barwy woda, w której nie migotał ani jeden refleks.

Wcześniej, jeszcze w gospodzie, Zhu wyłożył swój plan takim tonem, jakby rzecz była najzupełniej rozsądna:

– Żeby dostać się do tuneli, będziemy potrzebować dwóch rzeczy. – Zhu nachylił się nad miską zupy i wszyscy poza Ouyangiem odruchowo poszli za jego przykładem. – Po pierwsze, skoro chcemy uderzyć nocą, kiedy morze jest czarne jak smoła, musimy mieć sposób na znalezienie drogi. Na szczęście potrafię stworzyć źródło światła, które nie zgaśnie nawet pod wodą. Co więcej, jestem

przekonany, że żadnemu Mongołowi taka możliwość nie przyszła do głowy. Po drugie, potrzebny nam ktoś, kto potrafi pływać.

Wypowiadając ostatnie zdanie, miał czelność spojrzeć na Ouyanga. I chociaż na podkomendnych mordercze spojrzenia generała działały mrożąco, Zhu okazał się na nie z jakiegoś powodu odporny. Być może to maska osłabiła efekt.

– Gdybym chciał przeprowadzić armię przez rzekę głębszą niż wzrost dorosłego mężczyzny, potrzebowałbym barek. Ale ty nie, prawda? Walczyłeś kiedyś z Czerwonymi Turbanami nad rzeką Ying. Zamiast posłać wojsko przez most, skierowałeś ich w dół rzeki, żeby pokonali nurt wpław i zaatakowali naszą flankę.

Ouyangowi stanęła przed oczyma spieniona czarna woda, wezbrane fale pędzące ku niemu przez przełom.

– Ja tylko planowałem tak zrobić – wykrztusił z najwyższym trudem przez zaciśnięte gardło.

– Tak czy inaczej, mam światło, a ty umiesz pływać. – Jeżeli Zhu poczuł w tej chwili satysfakcję, to miał dość przyzwoitości, by ją ukryć. – Jeżeli mnie przeciągniesz, a ja będę oświetlać drogę, przepłyniemy do suchej części tunelu i rozciągniemy pod wodą linę, dzięki której dołączą do nas pozostali.

Ouyang nie był z natury człowiekiem zachowawczym. Swoją generalską karierę budował na licznych ryzykownych eskapadach. Niemniej propozycja chłopaka dalece wykraczała poza zasięg jego ewentualnej akceptacji. A poza tym...

– Zabrałeś mi armię. Trzymasz mnie pod kluczem. A teraz prosisz, żebym ci pomógł?

– Weź pod uwagę – odpowiedział spokojnie Zhu – że jeśli ja poniosę tu klęskę, poniesiesz ją i ty.

Ouyang przypomniał sobie głęboko zakorzenioną, płynącą ze szpiku kości desperację, która kazała mu rzucić się do ucieczki. Wiedział przecież, że wszystko przemawia przeciw niemu. Niemniej choć szanse miał niewielkie, były i tak większe niż te, które oferowało pozostanie u boku mnicha. A teraz? Mogła przecież nadarzyć się kolejna okazja. Być może zdoła pokonać Zhu i jego

ludzi, ukradnie konia i wróci do Yingtianu. A w razie potrzeby mógł przecież skoczyć po prostu do morza i umknąć w pław.

– Czy myślisz, że wtedy będziesz mieć większe szanse niż ze mną, generale? – spytał nagle Zhu, jakby wiedział, w jakim kierunku podążają myśli Ouyanga.

Generał z zaskoczeniem zauważył, że stoi przed prawdziwym dylematem. Ogarnęła go nagła, przeraźliwa świadomość, że nigdy w życiu nie musiał wybierać. Zawsze miał przed sobą tylko jedną, jasno wytyczoną ścieżkę. Dzisiaj jednak otrzymał możliwość dokonania wyboru – wyboru pomiędzy dwiema okrutnie marnymi szansami powodzenia – i od tego wyboru zależały sukces bądź klęska tego, czego pragnął najbardziej na świecie. Przedsięwzięcia, któremu podporządkował wszystko, co robił.

Myśl, która nasunęła mu się zaraz potem, z jednej strony była straszliwa, z drugiej pomogła rozjaśnić sytuację: żeby osiągnąć swój cel, był gotów na wszystko. Nawet na współpracę z człowiekiem tak znienawidzonym jak Zhu. Skoro największe szanse na powrót do czekającej w Yingtianie armii daje wsparcie Zhu tutaj, w Taizhou, to rzeczywiście powinien go wesprzeć.

Generał wiedział, że jest gotów zrobić wszystko, lecz wciąż nie mógł tego z siebie wykrztusić. Zamiast tego powiedział:

– Być może nie masz świadomości, jak bezlitosnym środowiskiem jest głębina. Pod powierzchnią wody każdy błąd oznacza śmierć. Fatalnie może się skończyć nawet krótki moment paniki. Nie będziemy mieć odwrotu, a jeśli coś pójdzie nie tak, nikt nie zdoła przyjść nam z pomocą.

Gdyby to Ouyang złamał kark pokonanemu przeciwnikowi, nie zawahałby się i chełpił tym dla czystej przyjemności upokorzenia wroga. Był przekonany, że inni w takiej sytuacji również pyszniliby się triumfem bądź – co gorsza – bezdusznie uznaliby gotowość jeńca do współpracy jako coś, co im się po prostu należy. Zhu jednak nie pysznił się ani nie zachowywał okrutnie. Wpatrywał się w Ouyanga spojrzeniem poważnym, w którym dało się, o dziwo, wychwycić coś

bliskiego szacunku. Po chwili podjął tym swoim irytująco lekkim tonem, który powinien przysporzyć mu jedynie śmieszności:

– Jestem w pełni świadomy ryzyka. Gdybym nie był gotów ryzykować, czy mógłbym mieć nadzieję, że osiągnę swój cel? Jeśli wiesz o mnie cokolwiek, generale, to wiesz zapewne, że jestem gotów zrobić wszystko, co trzeba.

Tak więc Ouyang stał teraz w łodzi i spoglądał w czarną wodę pluskającą cicho o mur. Chwilę temu, nareszcie, rozpętali mu ręce. Zawiązana wokół pasa lina łączyła go z Zhu, a druga, znacznie dłuższa, mocowała ich obu do łodzi. Czuł się, jakby lada moment miał zostać złożony w ofierze. Mimo że pozornie współpracował z własnej, nieprzymuszonej woli, sytuacja była jasna: gdyby się rozmyślił i nie zechciał skoczyć w głębinę, po prostu go zepchną. A wtedy jedyna droga ku zemście wiodłaby naprzód.

Zhu stanął obok generała. Na jego ciemny pancerz padł nagle upiorny całun migotliwego, bladego światła. Zupełnie jakby ktoś odsłonił lampę. Mandat. W nieziemskiej poświacie determinacja Zhu sprawiała wrażenie całkowicie niehumanitarnej. Coś w twarzy chłopaka wydało się Ouyangowi osobliwie znajome.

– Ostatnia szansa na zmianę zdania – rzucił ostro, patrząc na mnicha.

Odpowiedział mu głośny chłupot. Łódź wściekle zakołysała się na boki, a pod wodą pojawiła się jaśniejąca, oddalająca się od powierzchni sylwetka Zhu. Zaraz potem lina się napięła, szarpnęło i Ouyang skoczył w głębinę.

朱

Lodowata woda parzyła jak ukrop. Ból sprawił, że ciało Ouyanga zareagowało kłamliwymi doznaniem ożywienia i gorąca. Podobnie miała się sprawa z nieszczęśnikami, którzy na kilka chwil przed śmiercią w śnieżycy zaczęli zdierać z siebie odzienie. Drobne mięśnie pomiędzy żebrami spinały się i dygotały. Oczy koszmarnie

piekły. Zhu wisiał za nim w sercu widmowej, wykrojonej w czerni kuli światła. Jasność wyławiała z ciemności wyłącznie pionową skałę, ciągnącą się w nieodgadnione odmęty poniżej.

Ouyang uczył się pływać w dławionych szlamem rzekach położonego z dala od mórz Henanu. Tam sytuacja była jasna i prosta. Woda chciała człowieka utopić. Ku jego nieprzyjemnemu zdziwieniu morze okazało się stworzeniem umięśnionym i dynamicznym, puchnącym i kurczącym się pod wpływem wewnętrznych impulsów, unoszących ich to w jedną, to w drugą stronę. Słona woda opierała się generałowi, który kopiąc i wymachując ramionami, starał się nurkować coraz głębiej, ciągnąc za sobą Zhu, połączonego z nim pępowiną sznura. Poczul w uszach ostry, świdrujący ból. Bez przerwy mimowolnie wracał myślami do egzekucji, której kiedyś był świadkiem. Skazańca zgładzono, zaciskając mu na głowie pas tkaniny. Czy i jego czaszka trzaśnie, jeżeli zejda zbyt głęboko? Istnieje punkt, w którym ciało nawet tak zahartowane jak Ouyanga zaczyna wydawać ostrzeżenia: że porusza się zbyt szybko, że osuwa się za daleko. W tej chwili przestrzegało panicznym wrzaskiem, gdyż zmuszał je, by pokonało instynktownie wyczuwalną granicę, spoza której nie było powrotu. Zanurzali się głębiej i głębiej.

Wtem, nareszcie, ujrzeli wylot tunelu: plamę jeszcze głębszej czerni, której nie zdołało rozproszyć nawet światło mandatu. Nie mieli czasu na wahanie. Ouyang odbił się mocno nogami, by powstrzymać opadanie, przestraszył się, czując, jakiego wysiłku wymaga powstrzymanie osuwającego się bezwładnie w dół Zhu, i wpłynął do środka.

Białe, wapienne ściany były jednolicie gładkie, brakowało nierówności, których mógłby się chwycić i podciągnąć. Pamiętając instrukcje, Ouyang trzymał się prawej strony. Po każdym wymachu nóg miał wrażenie, że trzymająca go w pasie lina szarpie do tyłu. Płuca wypełnił mu ogień. Przedzierał się przez wodę tak mozolnie, jakby czołgał się przez skałę.

Na białym dnie tunelu widział przed sobą własny cień. Gdyby nie ilość energii, jaką kosztował go każdy ruch, czułby się jak w locie. Padające od tyłu światło Zhu rozkwitało co chwila dalej, oświetlając zakręty i podrywające się z podłoża chmury wzruszonego osadu.

W pewnym momencie ściana po lewej zniknęła i Ouyang odniósł wrażenie, że zastąpiła ją przepastna pustka. Wystarczyło stracić kontakt z prawą ścianą, a obaj podryfowaliby w otchłań. Prosto w objęcia śmierci. „Moje ciało zjedzone przez robactwo” – Ouyang przypomniał sobie mnichów nieziemskimi głosami wywołujących nie tylko ducha własnej przeszłości, lecz widmo przyszłości każdego z żyjących. Taka przyszłość czekała i jego; tak wyglądał odpoczynek i nagroda za wszystko, co zrobił i robi. Na chwilę ogarnęła go tęsknota za tym stanem, równie dotkliwa jak rozdzierający płuca ból.

Ta przyszłość czekała jednak gdzie indziej. Nadal uparcie młócił wodę nogami.

Nagle światło przygasło. Ouyang odwrócił się gwałtownie i znowu rozbłysło. Zhu wciąż tam był: drobna ciemna sylwetka szybująca w kuli światła ponad obłokami białego osadu.

Lecz światło zamigotało ponownie, tym razem wyraźniej; na mgnienie zawładnęła nimi niczym niezmacona czerń.

Ouyang ruszył naprzód w zdwojonym tempie, nie chciał nawet myśleć, co się stanie, jeżeli stracą to światło. Z doświadczenia wiedział, że bolesna potrzeba zaczerpnięcia oddechu jest jedynie przedwczesnym sygnałem ciała niechętnie zbliżającego się do granic własnych możliwości. U ludzi pozbawionych podobnych doświadczeń ból ten mógł jednak łatwo wywołać panikę. Zaczynali się bać, że umierają, na długo nim śmierć naprawdę mogła zajrzeć im w oczy. Wbrew własnej woli poczuł wobec Zhu cień niechętnego podziwu. Chłopak wytrzymał już naprawdę długo. Trudno było jednak stwierdzić, jak daleka droga czeka ich jeszcze.

Blask mandatu pulsował teraz regularnie, każdy okres ciemności trwał dłużej od poprzedniego. Ouyang pracował

ramionami, czując drżenie mięśni wokół żeber. Powoli przestawał odróżniać migotanie światła Zhu od jasnych plamek, jakie wskutek braku powietrza pojawiały mu się w oczach.

Wreszcie światło zgasło i już nie wróciło.

Płuca Ouyanga zadziały poza jego kontrolą: wessały w siebie potężny haust nieprzeniknionej ciemności. I dopiero kiedy usłyszał dźwięk, zrozumiał, że odetchnął powietrzem, nie wodą. Był na powierzchni, co jego ciało uświadomiło sobie jako pierwsze. I jakimś cudem w tej ślepej, zdyszanej chwili zdołał pomyśleć o tym, by szarpnąć za linę.

Czy Zhu też się wynurzył? Ouyang słyszał jedynie własne sapanie i łoskot serca.

I naraz: ból.

Światło.

Ouyang raptownie zamrugał, jakby chciał samą tylko siłą woli zmusić oczy, by się skupiły, ignorując piekącą sól i brutalny atak jasności. Z wolna zmaterializował się przy nim falujący kształt: ciemny zarys głowy.

Zhu z zaciśniętymi oczyma wsysał powietrze. Ouyang nie miał pojęcia, jak to możliwe, że ten chłopak czuje w tej chwili cokolwiek innego niż ulgę. A jednak na twarzy mnicha malowała się zwycięska mina człowieka, który bez lęku posunął się do granic własnych możliwości, ponieważ wiedział, że jest dość silny, by przetrwać i przeżyć.

朱

Wycieńczona Zhu zawisała w objęciach Ouyanga. Przemoczona do suchej nitki kotka, którą ktoś chwycił pod pachy, przeciągnął przez jaskinię i bezceremonialnie cisnął na niewielki spłachetek plaży. Nieziemska poświata mandatu spływała na biały piasek.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z moich usług – powiedział Ouyang i zmierzył ją posępnym wzrokiem.

Był tak mokry i tak absolutnie niezadowolony z sytuacji, że gdyby Zhu miała dość powietrza w płucach, z pewnością by się zaśmiała. Bez większego wysiłku mógł pozwolić jej odpłynąć w czarną pustkę. Prawdę powiedziawszy, z równą łatwością mógłby teraz przyklęknąć i wcisnąć jej twarz w miękki piach. Błysk ledwie hamowanego pragnienia mordy w jego oczach przyprawił ją o dreszcze. Mógł ją zabić, lecz nie zrobił tego, ponieważ splótł własny los z jej losem. Przynajmniej dopóki byli razem na tej wyspie, pozostawał mieczem w jej ręku.

– Każde nasze spotkanie jest wielką przygodą – powiedziała z trudem, starając się nie odgryźć sobie języka. Zęby dzwoniły jej z zimna. Nigdy jeszcze nie czuła na twarzy tak wielu odmian bólu równocześnie. Miała wrażenie, że jej rozedrgane spazmatycznie mięśnie lada chwila odejdą od kości. – Jak dotąd prawie zginąłem rozplątany mieczem, prawie spłonąłem i prawie utonąłem. Nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

Naprawdę przy każdym spotkaniu z generałem ocierała się o śmierć. Lecz to nie te krytyczne momenty pamiętała najwyraźniej, ważniejsza była ekstaza, jaka następowała zaraz potem: upojenie czystą esencją życia, które przez chwilę niosło ze sobą obietnicę, iż Zhu nigdy nie przegra, nigdy się nie zestarzeje, nie umrze. Ekstaza taka jak teraz. Wiedziała, że jest wyziębiona i wyczerpana, lecz rozgrzewała ją ekscytacja zwycięstwem, które było tak bliskie, że czuła już jego smak.

Usiadła, przez co przygasło jej światło, i pociągnęła za znikającą pod wodą linę. Naprężyła się. Dobry znak, oznaczało to, że wciąż jest przywiązana do łodzi.

– Myślisz, że rozgrzejesz się, ciskając z oczu gromy? Siadaj – powiedziała.

Jadowite spojrzenie Ouyanga straciło nieco ze swojej groźnej wymowy, kiedy usiadł i rozległo się głośnie mlaśnięcie jego przemoczonego stroju. Nieznaczone drzenie zuchwy generała wskazywało, że jedynym powodem, dla którego jego zęby nie dzwonią równie głośno jak Zhu, jest fakt, że im na to nie pozwala.



W klasztorze dziewczyna często cierpiała chłód, ponieważ nie miała aż tak wielkiej masy mięśniowej jak Xu Da i pozostali nowicjusze, dlatego też poczuła pewną więź z Ouyangiem, którego drobne ciało musiało być w tej chwili równie wyziębione jak jej.

– Na pewno nie chcesz wyjąć ubrania? – rzuciła zaczepnie. – Wiesz, co mówią. Jak ktoś siedzi z mokrymi włosami, kurczy mu się qi.

Ouyang zmierzył ją morderczym spojrzeniem. Nie zniżył się na tyle, by odpowiedzieć.

– No co? Przecież widziałem cię już w samej bieliźnie. Nie namawiam, żebyś się rozebrał do naga...

Wtem uwagę Zhu zwróciło poruszenie w wodzie. Coś zafalowało pod powierzchnią, choć ciemna tafla pozostała nieporuszona. Tak, mogła się tego spodziewać, lecz mimo wszystko poczuła na plecach dreszcz. Duchy Ouyanga bezszelestnie wyłoniły się spod powierzchni, biała armia unosząca się ponad czarną otchłanią. Sunąc stopami tuż nad piaskiem, wyszły na plażę i ustawiły się wokół generała w tradycyjnym szyku. W przepełnionym yin otoczeniu, w ciemnej, wilgotnej podziemnej jaskini, oświetlonej jedynie nadnaturalnym blaskiem mandatu, wydawały się równie namacalne jak żywi ludzie. Zhu po raz pierwszy obserwowała je z tak niewielkiej odległości, nigdy wcześniej nie dostrzegła aż tylu szczegółów. Ujrzała widma stare i młode, puste spojrzenia skupiały się na Ouyangu, jakby był księżycem ich nocnego nieba. Otoczyły generała tak ciasno, że jego sztywna, nieruchoma postać niemal zniknęła za zasłoną ich sylwetek.

– Są tutaj, prawda? – powiedział bezbarwnie. Nie patrzył na nią. – Wyczuwam je czasami. Kiedy zbierają się wokół mnie. – Woda powoli, miarowo kapała z długich kamiennych sztyletów wiszących pod sufitem jaskini. Przypominały smocze zęby. – Czekają, żebym dokończył to, co zaczęło się w przeszłości.

Wpatrzonej w twarze umarłych Zhu przyszło do głowy, że generał nie ma na myśli dnia, w którym zabił księcia Henanu

i przejął jego wojska. Mówił o przeszłości bardziej odległej. Ile Ouyang mógł mieć lat, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, co jest mu przeznaczone? Kobięcy wygląd wskazywał, że musiał zostać okaleczony w dzieciństwie. Czy był wtedy w identycznym wieku, w którym i ona pojęła, dokąd prowadzi ją los? Ponownie wyczuła w sobie znajomy rezonans. Przez długi czas drogi ich życia biegły równoległe, lecz były od siebie bardzo oddalone. Teraz wreszcie moc ich pragnienia przywiodła ich ku sobie, siła dążenia ku przeznaczeniu, które czekało na nich oboje w odległym Dadu.

Na powierzchni wody zatańczyły bąbelki powietrza. Zhu spojrzała w toń. Lina szarpnęła i zaraz potem spod powierzchni wystrzelił zdyszany, zasapany cień. Refleksy, okruchy światła wściekle zatańczyły na ścianach pieczary. Zhu rozpoznała młodego Lin Ruilina. Komendant wygrzebał się z wody i chwytając łapczywie powietrze, padł obok niej na kolana. Kilka chwil potem zdołał unieść głowę i skierować ją ku światłu mandatu, był jak szukająca słońca roślina.

Wtem malująca się na twarzy oficera ulga prysła bez śladu.

– A gdzie generał Xu?

朱

– Co? – Zhu poczuła w sobie specyficzny rodzaj zawieszenia; doznanie rozgościło się gdzieś za jej mostkiem.

Lodowata woda pokryła twarz Lina fioletem. Wyglądał w tej chwili jak noworodek, który nie zaczerpnął jeszcze pierwszego oddechu. A noworodek, który nie odetchnął jeszcze nigdy, jest...

Martwy – podpowiedział jakby z wielkiej oddali umysł Zhu.

– Generał popłynął jako pierwszy – rzucił roztrzęsionym głosem Lin. – Mamy tylko jedną linę. Jak to możliwe, że dotarłem tu przed nim?

Powiedli wzrokiem wzdłuż sznura i spojrzeli na wodę. Ciemnego lustra nie mącił ani jeden bąbelek.

– Pewnie wypuścił linę – stwierdził bez większego zainteresowania Ouyang. – A ten... – miał na myśli Lina, ponieważ naturalnie nie zapamiętał imion i nazwisk żadnego z ludzi Zhu – po prostu minął go po drodze.

Zhu przypomniała sobie podwodny tunel. Zaznała już w życiu momentów egzystencjalnej grozy, lecz to, co poczuła dzisiaj w tej czarnej otchłani, było emocją zwierzęcą i niemal nieopanowaną: potworna bezradność człowieka odliczającego ostatnie chwile życia.

Lecz Xu Da był przecież silny. Żył, czekał na nią tam, na dole. Dziewczyna sięgnęła do węzła zaplecionej na pasie liny. Zmagając się z mokrym sznurem, po raz pierwszy przekłęła swoją jednoręczność, swoją nieporadność i powolność. Liczył się każdy moment.

– Tylko ja mogę go znaleźć. Mam światło. Niech ktoś przejmie linę!

– A co chcesz zrobić, konkretnie? – rzucił obcesowo Ouyang. – Utopić się, próbując wyłowić trupa? Powinieneś mówić o szczęściu, jeśli stracisz tylko tego jednego. Szkoda jedynie, że padło akurat na twojego najlepszego człowieka. Lepiej, gdybyś to ty utonął.

– Nie straciłem go! – warknęła wściekle Zhu, czując pewność głęboko w kościach.

Ledwie generał otworzył usta do odpowiedzi, woda zafalowała i wystrzeliła z niej czyjaś postać. Zhu od razu wiedziała, jakby była to wiedza przekazywana wprost z ciała do ciała, bez pośrednictwa ospałych zmysłów w rodzaju wzroku, że to również nie jest Xu Da. Moment później rozpoznała sapanie Yuchuna. A zaraz potem poznała mroczną masę, którą taszczył za sobą.

Nie mogła się ruszyć; nadal stanowiła kotwicę dla sznura. Na szczęście był z nimi Lin. Pomógł Yuchunowi wynieść bezwładne ciało Xu Da na plażę.

– Znalazłem... – wykrztusił Yuchun pomiędzy oddechami. – W wodzie...

W ostrym, białym świetle mandatu znajoma przystojna twarz Xu Da zdawała się szara jak niewypalona glina. Zhu, nie przestając

naprężyć sznura, przykucnęła obok nieprzytomnego towarzysza. Doznanie zawieszenia rozrosło się w przemożny bezruch, który uciskał wszystkie jej organy wewnętrzne i utrudniał oddychanie. Lin wydał z siebie stłumiony szloch. Bez powodu jednak, ponieważ Xu Da nie umarł. Zhu przysunęła twarz do jego twarzy, znaleźli się tak blisko siebie jak wtedy, gdy jako chłopcy sypiali razem w klasztorze. Już za chwilę otworzy oczy, podniesie powieki jak zawsze. Ona przeżyła przebicie na wylot mieczem, przetrwała stratę kończyny, a jego spotkało przecież coś znacznie gorszego. Wylizę się.

Czyjś bark odtrącił ją na bok. Ouyang. Ukląkł nad Xu Da z odcisniętym na twarzy wyrazem głębokiego niesmaku. Zaraz potem ku niepomierzniemu zdumieniu dziewczyny chwycił nieczule, oburącz głowę nieprzytomnego, nachylił się i pocałował go.

Już po chwili uświadomiła sobie, że źle odebrała ten gest. To nie był pocałunek. Sparaliżowała ją groza. Kredowa cera Ouyanga, pozbawione iskry oczy nie należały przecież do człowieka, ale do głodnego ducha, który pochylał się nad bezbronnym, śpiącym człowiekiem, by pożreć mu wargi i wątrobę, by nakarmić się jego ciałem...

Ouyang wypuścił Xu Da i wyprostował się, z napięciem wpatrzony w leżącego.

Przez chwilę nie działo się nic.

Wtem Xu Da gwałtownie się szarpnął i wydał z siebie paskudny bulgot. Ouyang odwrócił go na bok i targany spazmami chłopak wymiotował na piach. Przy kolejnej torsji Xu Da już sam zdołał stanąć na czworakach i w tej pozycji zastygł, dysząc i wymiotując ze zwieszoną głową.

Zhu ledwie odnotowała szarpnięcie liny towarzyszące wynurzeniu się kolejnej grupy. Ciężki bezruch zniknął z jej wnętrza bez śladu, zastąpiony radosną lekkością. Xu Da był zdrow. Od początku wiedziała, że tak się to skończy. Poklepała rozkaślanego chłopaka po plecach, rozkoszując się solidnym, pełnym życia dotykiem jego znajomego wielkiego ciała.

– O ile człowiek nie spędzi w bardzo zimnej wodzie czasu dłuższego, niż potrzeba na zagotowanie imbryczka wody na herbatę, zazwyczaj można go ożywić. Wystarczy wdmuchnąć mu do środka powietrze. – Ouyang wstał. – Potem nie zadziała nawet i ten zabieg.

Wciąż można było wyczuć w nim niesmak. Jakby zniżył się do czegoś równie niegodnego swojej pozycji jak kopanie latryny. Być może wśród Mongołów, którzy szkolili swoich żołnierzy do pokonywania rzek także zimą, karą było właśnie ożywanie topielców.

W końcu Xu Da otrząsnął się i przysiadł na piętach.

– Mamy spory kłopot – zachrypiał, odgarniając włosy z oczu.

– Kłopot? – Zhu natychmiast zaczęła przebiegać w myślach rozmaite scenariusze. Jeżeli był zbyt słaby, by walczyć, mogła tymczasowo zostawić go tutaj, choć wtedy straciłaby ważny atut w walce przeciwko garnizonowi wyspy.

– Jestem tak przystojny, że nawet eunuch nie potrafi mi się oprzeć – rzucił z wielkim przejęciem Xu Da.

Nie zwracając uwagi na wściekłe spojrzenia Ouyanga, zaśmiał się donośnie, aż wreszcie śmiech przeszedł w kaszel. Kiedy umilkł, wstał na równe nogi, uśmierzając wszelkie troski Zhu.

– Dość tych smutków, młodszy bracie. Nic mi nie jest. Idziemy.

朱

Grupa śmiałków – Ouyang idący pomiędzy Lin Ruilinem i wciąż okazjonalnie pokasłującym generałem Xu – wyszła z tunelu i znalazła się w zniszczonej wiosce. Gęsta, ciężka roślinność pokryła grubą warstwą pozostałości chat, które wyglądały w tej chwili jak czyraki bądź grzyby.

Ludzie Zhu wciąż nie robili na Ouyangu najlepszego wrażenia, lecz w duchu przyznał niechętnie, że przerośli jego oczekiwania. Nie wierzył, że pójdą za swoim przywódcą, że zdecydują się wykonać tę

samobójczą misję, a jednak zanurkowali wraz z nim. W tej chwili posuwali się naprzód szybko i cicho – zupełnie jakby rzeczywiście byli oddziałem doborowych wojowników, za jakich uważał ich mnich. Ouyang przypomniał sobie deklarację wiary w Zhu, jaką złożył generał Xu. Ewidentnie oni wszyscy wierzyli w swojego przywódcę. Za nic nie potrafił tego pojąć.

Ruiny wioski, położonej nieco wyżej niż pozostałe części wyspy, okazały się znakomitym punktem obserwacyjnym. Bezdrzewna wysepka była na tyle niewielka – przybrzeżne umocnienia otaczały skrawek terenu o średnicy nie większej niż trzy li – że ze swojej pozycji bez trudu wypatrzyli wszystkie ważniejsze miejsca. Czarne, masywne kształty na samym środku były magazynami soli, a światełko szybujące na przeciwległym krańcu musiało być strzegącym portu posterunkiem straży. Gęste nadmorskie powietrze sprawiało, że iskierka migotała i falowała. Ouyang, który całą karierę spędził na stałym lądzie, poczuł się z tego powodu mocno nieswojo.

– Zostańcie tu – polecił Zhu, a kiedy generał Xu zaprotestował ochrypłym głosem, powiedział z naciskiem: – Odpocznijcie, póki możecie. Rozejrzę się na dole i zobaczę, jak wygląda sytuacja na posterunku. Akcję powinniśmy rozpocząć, zanim wstanie słońce, więc zostało nam tylko kilka godzin. Dlatego musicie być w pełni gotowi zaraz po naszym powrocie. – Światło mandatu wygasił zaraz po wynurzeniu się z tunelu, a w ciemności Ouyang widział jedynie kontur jego głowy. W jakiś nie do końca zrozumiały sposób poczuł jednak na sobie dotyk spojrzenia Zhu, który moment później dodał: – Chodźmy, generale.

„Szczęśliwy” byłoby zbyt mocnym określeniem, lecz Ouyang byłby z pewnością bardzo zadowolony, gdyby choć na chwilę mógł się uwolnić od towarzystwa chłopaka. Co gorsza, słona woda sprawiła, że poranione stopy paliły żywym ogniem.

– Martwisz się, że kiedy cię nie będzie, skaptuję twoich żołnierzy? – rzucił cierpko.

– Gdybyś był odrobinę bardziej zręczny w obejściu z ludźmi, faktycznie mógłbym się martwić. Tymczasem pomyślałem, że możesz wnieść jakieś ciekawe spostrzeżenia co do poczynąń garnizonu. Nigdy w życiu nie atakowałem mongolskiego posterunku. Nie mam pojęcia, w jaki sposób jest zorganizowany. – Zhu był do tego stopnia żalonym przywódcą, że nie kłopotał się nawet faktem, iż przyznaje się do ignorancji w obecności podkomendnych.

– Żadna szczególna zręczność nie będzie mi potrzebna, żeby wydać cię w ręce Yuanów – zauważył ociekającym pogardą tonem Ouyang.

Ponownie wyczuł na sobie zamyślane spojrzenie Zhu, który odparł po chwili:

– Gdybyś planował coś takiego, nie ocaliłbyś Xu Da i nie martwiłbyś się, że bez niego przegram. – W jego łagodnym tonie próżno było szukać wdzięczności. – Idziemy.

Tej części wyspy nikt nie odwiedzał od lat. Porastający stare ścieżki roślinny dywan ustępował miękko pod ciężarem Ouyanga, który przy każdym kroku zanurzał się w zieleni prawie po uda. Przemoczone opatrunki na stopach ponownie drażniły rany. Jedyłą pociechę czerpał z faktu, iż Zhu – którego pośledni wzrost wynikał ewidentnie z niedożywienia w dzieciństwie – również przedziera się przez zarośla z wielkim trudem. Chłopak posuwał się naprzód skokami, przez co kojarzył się generałowi z brodzącym w wysokiej trawie psem myśliwskim. Drobną głową byłego mnicha co kilka kroków unosiła się ponad gałęzie, kiedy rozglądał się w otoczeniu.

Gdy wyszli wreszcie na bardziej tradycyjną, twardą ścieżynę, Zhu poczuł zapewne równie wielką ulgę jak Ouyang.

– Jest – szepnął chłopak, kiedy wyminęli magazyny i ukazał im się posterunek. Budynek był znacznie większy, niż można się było spodziewać na tak niewielkiej wysepce. Po zastanowieniu generał doszedł do wniosku, że przynajmniej częściowym rozwiązaniem zagadki mogły być ataki piratów. Z nachmurzonym czołem przyjrzał się bardziej uważnie. Stali na tyłach dwupiętrowej wieży, osadzonej

na otaczającym wyspę murze. Pochodnie rozmieszczone na szerokim placu od frontu i latarnie migocące za papierowymi oknami powyżej zalewały posterunek jasną czerwoną poświatą, przy której bladło światło gwiazd. Iskra mrugająca na murze, jak też jej bardziej odległa bliźniaczka musiały wskazywać położenie patroli: żagwie obchodzących wyspę dokoła strażników znikwały co chwila za kolejnymi blankami.

– Powiedz mi, z czym mamy do czynienia – rzucił półgłosem Zhu. – Ilu tu może być ludzi?

Chłopak miał trzynastu żołnierzy, plus generała Xu. Garnizon mongolski musiał liczyć trzy do czterech drużyn. Rozpacz zacisnęła palce na gardle Ouyanga. A gdyby jednak wydał Zhu? Yuanowie nienawidzili zdrajców jeszcze bardziej, niż nienawidzili Zhu. Pojmaliby ich obu, a generała odprawiliby do Dadu, gdzie zostałyby rychło stracony. Ale przynajmniej, zaświtała mu obłąkańcza myśl, miałbym okazję spotkać się z wielkim chanem. Niemniej trafić do stolicy... w roli więźnia... bez broni... Czy myślisz, że wtedy będziesz mieć większe szanse niż ze mną, generale? – usłyszał w duchu.

– Trzydziestu do czterdziestu ludzi – wycedził przez zęby. – Wejście od zaplecza powinno być niestrzeżone. Yuanowie spodziewają się ewentualnego ataku jedynie od strony portu. Natomiast światła w oknach sugerują, że posterunku pilnują w systemie zmianowym. Być może piraci próbowali również nocnych rajdów. To oznacza, że służbę pełni w tej chwili przynajmniej jedna drużyna. A kiedy ogłoszą alarm, błyskawicznie pobudzą pozostałych.

– Jakie mielibyśmy szanse, gdybyśmy po prostu uderzyli z marszu? – spytał zupełnie nieprzejęty Zhu.

– Pytasz o moje zdanie? – spytał Ouyang. Czerpać od wroga informacje to jedno, ale...

– Czemu nie? Jesteś doświadczonym oficerem. A ja...

– Bezwstydną plamą na obliczu tego świata, bez krztyny honoru i umiejętności ani jakiegokolwiek obycia z prawdziwym polem walki – nie zdołał się pohamować Ouyang.



Przez chwilę wydawało się, że mógł trafić we wrażliwy punkt. Lecz Zhu odparł:

– Dlaczego miałbym się wstydzić braku doświadczenia, skoro mogę je zaczerpnąć z innego źródła? Mam zwyczaj korzystać ze wszystkich dostępnych narzędzi i nie dbam o to, co myślą o tym inni. Weź moich ludzi. Dobrze wiem, co pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś ich po raz pierwszy. Uznałeś ich za zgraję bezwartościowych wiejskich parobków. I tacy rzeczywiście byli, ale dostrzegłem ich potencjał. Zobaczyłem go i dałem im możliwość jego realizacji. Pozwoliłem im rozkwitnąć i stać się tym, kim przy nikim innym by się nie stali. – Zhu zerknął na Ouyanga z ukosa, błyskając w promiennym uśmiechu białymi zębami. – To dobrzy żołnierze, generale. I ja również, choć nie potrafisz tego uszanować, jestem dobry.

– Niewystarczająco dobry – syknął Ouyang.

– Nie? A to dlaczego, powiedz?

Ouyang ujrzał w wyobraźni przebieg ataku.

– Czynniki zaskoczenia da wam przewagę, ale nie na tak długo, jak potrzebujecie. Walka rozegra się w ciasnych pomieszczeniach, co sprzyja im, nie wam. Co więcej, Yuanowie będą się bronić z przewagą wysokości. To wy będziecie musieli wdzierać się po schodach na górę. Ostatecznie twoi ludzie ulegną liczniejszemu przeciwnikowi i zostaną wycięci w pień – ocenił ze złośliwą satysfakcją. – Lepiej obmyśl inny plan.

– A gdybyśmy wywabili ich z wieży i zaskoczyli tutaj, na dziedzińcu? – Coś cicho brzęknęło. Zhu otworzył swój worek z natłuszczonej skóry i wyciągnął niewielki okrągły przedmiot. W półmroku błysnął metal. – Pamiętasz je?

Ouyang rzeczywiście pamiętał. Bardzo dobrze pamiętał dzień, kiedy te niepozorne bomby doprowadziły do załamania się szyku jego oddziałów. Ogarnęło go bardzo nietypowe uczucie, był zarazem wściekły i zadowolony, że Zhu miał w zanadrzu w miarę rozsądny plan.

– Jeśli zdetonujesz te ładunki na zewnątrz, a tamci wybiegną zwarci i gotowi do walki, niewiele ci z tego przyjdzie – rzucił jadowicie. – Żeby podstęp się udał, musiałbyś umieścić taką bombę wewnątrz.

Zhu zadarł głowę, przyjrzał się oknom wieży, po czym zmienił zdanie i popatrzył jeszcze wyżej.

– Co powiesz o dachu?

– Dorzucisz tak wysoko? Ja na pewno nie. A w odróżnieniu od ciebie nadal mam swoją lepszą rękę.

– Hm. Do strzały tej bomby raczej nie umocujemy. – Zhu zamyślił się. – Poza tym nie mamy łuku. Co gorsza, dach jest pochyły, więc nawet gdybyśmy ją jakoś wrzucili, po prostu się stoczy. A musi tam zostać. No cóż, generale. – W mroku ponownie błysnął irytujący uśmiezek Zhu. – Mam nadzieję, że założyłeś dzisiaj odpowiednią bieliznę.

朱

– Teraz – syknęła Zhu, kiedy sylwetki patrolujących umocnienia mongolskich strażników zaczęły maleć w oddali.

Xu Da i Yuchun pociągnęli za przerzuconą przez mur linę i stojąca po drugiej stronie dziewczyna zaczęła się wspinać. Dzieciństwo spędzone na uganianiu się po zagubionych wśród chmur klasztornych dachach sprawiło, że nie cierpiała na lęk wysokości. Niemniej to właśnie znajome poczucie zawieszenia w powietrzu sprawiło, że wyraźnie zdała sobie sprawę ze swojej słabości: teraz do podtrzymywania własnego ciężaru i nieporęcznego przedmiotu, który ze sobą niosła, miała tylko jedną rękę.

Xu Da, jakby na przekór swojej sławetnej niezdarności w dziedzinie wszelakich rzemiosł i rękodzieła, wykonał kawał dobrej roboty. Bieliźniana koszula Ouyanga okazała się wykonana ze słynnej odpornej na strzały mongolskiej odmiany jedwabiu, na co

liczyła Zhu. W charakterze materiału konstrukcyjnego ta lekka i wytrzymała tkanina sprawdzała się nieskończenie lepiej od delikatnego, podatnego na uszkodzenia papieru, z którego mnisi wykonywali latawce uświetniające obchody nowego roku.

Lina, nadal wilgotna po podwodnej przeprawie, prężyła się i rozciągała z jękiem na kamieniu. Zhu wspięła się na dwa, potem trzy zhangy ku górze. Wreszcie ujrzała przed sobą blanki. Precisnęła się przez wąską szczelinę, dała Xu Da znak, by zwolnił sznur, który wciągnęła i uwiązała do muru, by po wszystkim móc zjechać bez pomocy z zewnątrz. Raz jeszcze machnęła ręką i Xu Da odbiegł chyłkiem, by dołączyć do towarzyszy czekających w zasadzce na dziedzińcu.

Na murze wiatr wiał znacznie mocniej niż w dole. Dziewczyna dopiero po chwili zmagania zdołała ustabilizować latawiec na tyle, by za pomocą tłącego się kadzidelka podpalić lonty zawieszonych pod nim bomb. Wreszcie, zamiast wyrzucić latawiec z całej siły w powietrze, jak to robiła w klasztorze, po prostu go puściła.

Morski wiatr pochwycił jedwabne skrzydło tak szybko, że sznurek, na którym był uwiązany latawiec, boleśnie otarł dłoń dziewczyny. Ogarnął ją zachwyt: miała wrażenie, że trzyma na uwięzi silne żywe zwierzę. Tak solidnym latawcem nigdy się jeszcze nie bawiła. Kilka chwil później szybował już na wysokości dachu, podobny do białej zjawy unoszącej się pod czarnym niebem.

Mimo że rozmyślnie dobrała moment tak, by patrole Yuanów znalazły się w najdalszym punkcie swoich tras, gdy oczekiwanie zaczęło się dłużyć, poczuła na plecach dreszcz emocji. Do wybuchu pozostawała na murze całkowicie odsłonięta. Ramię, którym utrzymywała w ryzach wrywający się latawiec, zaczęło boleć. Jak to możliwe, że lonty jeszcze się nie dopaliły? Nagle ogarnęło ją zwątpienie. A może woda morska przeniknęła do bomb i zmoczyła proch? Czy na pewno zadziałają? Przecież nie mogła chyba stracić wszystkich naraz? Im dłużej czekała, tym wyraźniejszym głosem przemawiała niepewność. Mrowienie na grzbiecie stawało się z każdą chwilą bardziej dotkliwie.

Nagle szarpiąca jej dłoń siła zniknęła. Zniknęło wszystko: pozostała jedynie biel.

Świadomość Zhu została rozcięta i zszyta na powrót bez żadnego momentu pośredniego. Ledwie zdała sobie sprawę, że leży kilkanaście zhangów od miejsca, w którym dopiero co stała, musiała skulić się w kabląk, by uchronić głowę przed deszczem kawałków drewna i okruchów kamienia. Grzechot bijącego o mur gruzu zniknął w wypełniającym jej uszy trzasku. Z otwartego przemocą dachu wieży podniosła się jasna chmura. Blask oświetlających wewnątrz posterunku lamp strzelił ku górze rozdygotaną kolumną światła.

Zhu poderwała się na równe nogi i cisnęła na bok zbędny już sznurek latawca. Wojownicy Yuanów wylewali się chaotycznym strumieniem na dziedziniec. Niektórzy mieli na sobie pancerze, lecz większość była wyraźnie świeżo wyrwana ze snu i ogarnięta paniką. Dziewczyna odczekała chwilę, by zobaczyć początek ataku swoich ludzi. W porównaniu z Mongołami było ich niewielu, lecz po swojej stronie mieli zaskoczenie oraz fakt, że otaczali plac pod wieżą ze wszystkich stron. To musiało wystarczyć.

Zhu chwyciła zaplecioną wokół pasa linę i przygotowała się do ucieczki. Wcześniej patrole były wprawdzie daleko, lecz teraz strażnicy zapewne biegli już w jej stronę. Musiała zniknąć z muru. Tylko... Lina wydała się dziwnie luźna. Czując przypływ strachu, dziewczyna zaczęła ją zbierać i nagle zamarła. Jej oczom ukazał się wystrzępiony koniec sznura. Nagle przypomniała sobie chwilę, kiedy zwróciła uwagę na dziwny dźwięk i rozciąganie się liny. Osłabiony powróż musiał się zerwać, gdy wybuch wyrzucił Zhu w powietrze. Fragment liny, który jej pozostał, był za krótki, zjechałaby tylko niewielki kawałek.

Zerknęła ponuro w dół. Trzy zhangi, ponad sześć razy tyle, ile wynosił jej wzrost. A dziedziniec wyłożony był kamiennymi płytami. Co się stanie, jeżeli po prostu skoczy? Bólem się nie przejmowała – nie bała się cierpieć. Pytanie jednak, czy mogła w ogóle przeżyć upadek z takiej wysokości? W czasie bitew widywała żołnierzy,

którzy wykrwawiali się z powodu niewielkich draśnień, widziała ludzi przygniatanych ciałami własnych wierzchowców. Perspektywa skoku nie była zbyt atrakcyjna.

Po drugiej stronie pionowy mur oblizywały spienione fale. Mogła rzucić się do morza. Zaraz jednak po zderzeniu z czarną powierzchnią zaczęłaby tonąć, a tym razem nie miała przy sobie Ouyanga, który mógłby ją prowadzić. Ta ewentualność była jeszcze gorsza od poprzedniej.

Zhu podniosła wzrok i ujrzała migocące na murze światło pochodni. Nadbiegał patrol.

朱

Ouyang, nieuzbrojony, niepilnowany, stał nieco z tyłu i z gniewnym, bezradnym zaangażowaniem obserwował szalejący na dziedzińcu chaos.

Żołnierze Zhu rzucili się do walki. Pochodnie padały na bruk, odrzucane przez Yuanów, którzy szykowali się do boju z niespodziewanym przeciwnikiem. Starcie błyskawicznie przerodziło się w płataninę roztańczonych cieni. Ocalenie Xu Da okazało się słuszną decyzją: młodzież Zhu pod niewzruszonym kierownictwem swojego generała z podziwu godną skutecznością dawała sobie radę w zmaganiach z liczniejszym wrogiem.

Wtem Ouyang zwrócił uwagę na jakieś poruszenie na murze. Z zaskoczeniem ujrzał dwóch mongolskich strażników zbliżających się do Zhu z obnażonymi mieczami. Co on tam robi? Zgodnie z planem powinien zjechać na dół tuż po wybuchu. Mnich wciąż miał swoją szablę. Zanosiło się jednak na potyczkę dwa do jednego i Ouyang nie potrafił wyobrazić sobie scenariusza, w którym chłopak wyszedłby z niej zwycięsko.

Wbiegł na dziedziniec, zanim jeszcze sam zrozumiał, co robi. Skoczył w wir walki, pochwyił od tyłu najbliższego mongolskiego strzelca i skręcił mu kark, po czym poderwał z ziemi porzucony łuk

i dwie strzały. Po krótkim namyśle ułożył na cięciwie oba pociski naraz. Taki strzał zakrawał na niedorzeczność. Pędzący ku Zhu wojownicy poruszali się tak szybko, że przypominali niewyraźne plamki ukazujące się co chwila między blankami. Ouyang śledził ich spojrzeniem, koncentrował się, czując, jak zwalnia mu tętno. Od Zhu dzieliło Yuanów pięć blanek. Cztery, trzy...

Zhu skoczył.

Chłopak spadł, a nadnaturalne skupienie Ouyanga pozwoliło mu dostrzec każdy szczegół tego upadku: wymachujące jak u szmacianej lalki kończyny i cienką białą smugę ciągnącą się za Zhu w powietrzu. To drugie go zaskoczyło. Nie była to lina, na której się wspiał. Zanim generał odgadł, czym jest ta dziwna taśma i jaka jest jej rola, Zhu gwałtownie wyhamował. Chłopak zawisł i kilka razy podskoczył, drapiąc rękoma o mur, by się ustabilizować. Sznur, czy cokolwiek to było – Ouyang z jakiegoś powodu pomyślał o swoich bandażach, lecz to było przecież wykluczone – groźnie się rozciągnął. Niemniej mnicha wciąż dzieliła od ziemi odległość co najmniej dwukrotnie większa, niż wynosił jego wzrost.

Strażnicy dopadli do miejsca, z którego chłopak skoczył, i szykowali się właśnie, by wciągnąć go z powrotem, kiedy powróż nagle zniknął.

Zhu runął jak kamień.

Mongołowie z rozdziawionymi ustami patrzyli w dół. Wolny koniec wstęgi podleciał wysoko i opadł z powrotem. Ouyang zrozumiał, że Zhu się odciął. W tej chwili chłopak był jedynie cieniem u stóp muru. Nagle poderwał się z ziemi, cały i zdrów jak mrówka, która spadła ze stołu, dobył szabli i skoczył prosto między walczących.

Ouyang śledził Zhu spojrzeniem, przytłoczony niewiarygodną wręcz siłą gnającej go determinacji. Czy bał się, skacząc z wysokiego muru, za jedyną ochronę przed śmiercią mając tę dziwną wąską taśmę? Przypomniał sobie malujące się na drobnej twarzy zacięcie, z jakim Zhu skoczył z łodzi do wody, w pełni świadom, że nie potrafi

pływać. Możliwe, że się bał, lecz po prostu to zrobił. Dlatego, że tak gorąco pragnął osiągnąć swój cel.

Generał przez mgnienie oka poczuł w sercu iskrę uczucia, którego nawet on sam nie mógł nazwać nienawiścią.

Od tej nieznannej emocji uwolniła go śpiewająca obok w powietrzu strzała. Zzymając się w duchu, stwierdził, że chce uratować Zhu, lecz po to jedynie, by chłopak nie przegrał. Potem wszystko będzie jak dawniej. Dlatego że nawet dysponując w pełni zaopatrzoną armią, mnich i tak nie miał cienia szansy w starciu z generałem Zhangiem. Wojen nie wygrywa się czystą determinacją.

Jednak skoro już Ouyang miał w dłoniach łuk, zastrzelił mongolskich strażników – zadanie było teraz trywialne, mimo że strzelał do obu jednocześnie, ponieważ stali jak kretyni z melonami zamiast głów. A potem, ponieważ na ziemi wałało się znacznie więcej strzał, zaczął je zbierać i dbać o to, by Zhu nie przegrał.

朱

Zhu stała na szczycie wieży i syciła oczy zwycięstwem. Dziedziniec posterunku usłany był ciałami poległych Yuanów. Wraz ze swoim niewielkim oddziałem pokonała czterdziestoosobowy garnizon wyspy i miała teraz tyle soli, ile tylko mogła pomieścić na pokładach zarekwirowanych łodzi: zapas w zupełności wystarczający na czas dzielący ją od rozgromienia Zhangów.

A wszystko to za cenę życia zaledwie dwóch młodych ludzi. Uczucie było niezbyt przyjemne, lecz pociągało za sobą dreszcz świadomości, że potrafi znieść coś takiego bez zmrużenia oka. Nawet gdyby z góry wiedziała, że będzie musiała okupić sukces śmiercią tych dwóch, dokonałaby tych samych wyborów. Ochoczo oddałaby kolejnych. Za ostateczne zwycięstwo była gotowa zapłacić dowolną cenę.

Ktoś wszedł na górę. Ouyang, wymijający trupy z malującym się na twarzy upartym niesmakiem. Nie miał przy sobie broni, lecz Zhu

przypomniała sobie nagle naszpikowane strzałami ciała Mongołów walające się na dziedzińcu. Któż inny mógł to zrobić, jeśli nie on? Myśl o tym, że wsparł ją z własnej woli, sprawiła jej niejaką satysfakcję. To, co powiedziała mu jeszcze w Yingtianie, było wówczas prawdą: nie był jej potrzebny on, tylko jego wojsko. Lecz teraz, kiedy należał już do niej, generał okazał się całkiem cennym nabytkiem.

– Wygląda na to, że masz, czego chciałeś – rzucił kwaśno, po czym zmarszczył czoło. – Wyglądasz jakoś inaczej...

Nagle Zhu zawstydziała się swoich piersi. Tam, na murze, okrutnie się męczyła, zmagając się ze sznurówkami koszuli i bielizny, a potem także z oplatającym jej biust bandażem, który raz po raz uporczywie zamieniał się w supeł. Przez cały czas tej nierównej walki dręczyła ją frustracja. Z jedną ręką była wolna, koszmarnie wolna. Nawet kiedy wreszcie ściągnęła z siebie ten bandaż, nie miała pewności, czy ją uratuje. Nie wiedziała, czy wytrzyma jej ciężar. Nie miała pojęcia, czy nieporadnie zaciągnięty węzeł łączący bandaż z resztkami liny nie puści zbyt wcześnie...

Skacząc, po prostu nie wiedziała, co będzie.

A teraz stała w jednym kawałku przed Ouyangiem z nieowiniętymi piersiami. Wątpiła, by je zauważył. Nie były wydatne, a ponadto ginęły pod warstwami pokrytych warstewką soli ubrań. Niemniej to ciekawe, że zauważył w niej zmianę. Był wyczulony na męskie ciała w sposób niedostępny innym. Czy krocząc przez świat, katalogował wszystkie napotymane ciała, czy dzielił je na te, do których tęsknił, i te, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego?

Zhu poczuła więź wspólnoty z generałem. Przez cały chłopięcy okres życia postępowała dokładnie tak samo.

– Kto by pomyślał, że morska woda tak świetnie działa na włosy! – rzuciła lekko. – Gdybyś zrezygnował wreszcie z tych warkoczyków, zobaczyłbyś różnicę też u siebie...

Kiedy wykrzywił usta i się odwrócił, niemal parsknęła śmiechem.



Poprzez wychodzące na port otwory strzelnicze Zhu zobaczyła rozmigotane w promieniach wschodzącego słońca fale. Morze miało mlecznozieloną barwę gorących źródeł mineralnych i nefrytowych chmur. Szereg unoszących się na wodzie wysp ciągnął się aż po widnokrąg i dziewczyna ujrzała oczyma duszy, jak przeskakuje z jednej na drugą w drodze ku dalekiej przyszłości.

– Wiem, że nie wierzysz – przemówiła do wąskich pleców Ouyanga. – Ale mam, czego chciałem, bo ja zawsze zdobywam to, czego chcę. Tak jak teraz, kiedy zaatakuję Zhangów. Zaatakuję i pokonam.



## Pingjiang

**K**rólowa Soli siedziała w ogrodowej pagodzie z szyją wykreconą w taki sposób, by obecni mężczyźni mogli podziwiać jej najbardziej urodziwy profil. Ciągająca znad jeziora bryza, pachnąca zielenią trzcin i wodorostów, przemykała ponad miejskimi fortyfikacjami i zaglądała do rodowego pałacu Zhangów, gdzie kołysała ozdobionymi perłami wstążkami we włosach królowej i płała w skrzących się złotem liściach drzew pistacjowych. W tym wypadku kolor nie był zaledwie metaforą. Niezadowolony z dokonań natury Syty Zhang kazał pomalować wszystkie pistacje złotą farbą. Gości otumaniało najpierw migotanie złożonych koron, a następnie wywołany jaskrawymi rozbłyskami ból głowy. Mrużące oczy pawie z trudem przedzierały się przez zaspy opadłych liści. Królowa Soli pomyślała, że drzewa wyglądają, jakby spływał z nich deszcz taeli, i przywołała na usta wymuszony uśmiech. Realizacja kaprysu Zhanga była zresztą mniej więcej tak właśnie kosztowna.

Król, jej małżonek, wylegiwał się wygodnie na miękkich poduchach, nie odrywając wzroku od zabawiającej się południową partyjką zhenga kurtyzany. Tutaj, w położonym nad jeziorem

Pingjiangu, było jaśniej niż w Yangzhou, ich poprzedniej stolicy, mieście głębokich kanałów i uliczek, przy których tłoczyły się słynne czarno-zielone domy uciech. Tutejsze światło nie tolerowało tajemnic. Wyraźnie ukazywało światu cienkie czarne włoski wyglądające spod rękawów kurtyzany oraz płatki wysuszonego pudru kruszące się tuż przy jej uchu. Można by się spodziewać, że dziewczyna obdarzona tak przeciętnym wyglądem i talentem będzie bardziej starannie maskować niedoskonałości.

Poirytowana Królowa Soli zdecydowała w duchu, że odeśle dziewczę do właściciela domu i złoży na nią skargę. Opłacała rozrywki męża na tyle sownie, iż nie miała zamiaru przymykać oka na poślednią jakoś usług. Aczkolwiek jemu samemu ewidentnie nie przeszkadzało nic. Syty Zhang wypiłby męty z dna beczki wina, gdyby tylko ktoś mu powiedział, że to kosztowny napój. Uśmiech królowej nie gasł nawet na moment. Pamiętała czas, kiedy ta cecha małżonka bywała przydatna. Dzisiaj jednak królowa nie mogła się już doczekać przyszłości i niecierpliwość sprawiała, że niesmak, jaki budził w niej mąż, urastał do nieznośnego poziomu.

Gdy w pobliżu pojawiło się stadko służek z tacami i paterami, królowa przeniosła spojrzenie na siedzącego po drugiej stronie stołu generała Zhanga. Na twarzy oficera jak zawsze malowało się uprzejme zainteresowanie. Ich oczy spotkały się niczym ściskające się w powitaniu dłonie. Nie uśmiechnął się wprawdzie, lecz żałobne skrzydła jego brwi nieco złagodniały.

Tymczasem Syty Zhang powiódł po poczęstunku niepewnym wzrokiem. Sterty rzecznych krabów o fioletowych szczypcach musiały mu się wydać daniem nędznym i prostackim. Królowa zwróciła uwagę małżonka, muskając jego rękę koniuszkami długich paznokci. Połowa sztuki zadowalania niedokształconych mężczyzn polegała na dyskretnym objaśnianiu im wartości podarunków, dzięki czemu wiedzieli, kiedy i z czego powinni się cieszyć.

– Niegodna kobieta uznała, że Jego Wysokość doceni możliwość skosztowania tutejszej odmiany słodkowodnych krabów. Sezon na nie trwa nie dłużej niż żywot kwiatu jednej nocy. Rok w rok

najzamożniejsi mieszkańcy Pingjiangu dokładają wszelkich starań, żeby zdobyć dwie lub trzy sztuki. – Poczula, jak pomada ściąga jej wydłużone w uśmiechu wargi. – Nawet jednak najbogatsi rzadko zdobywają więcej niż jedną.

Odczytywanie jego myśli i dobieranie do nich odpowiednich reakcji nie przysparzało jej większego trudu niż oddychanie. Królowa była naraz marionetką i lalkarzem, jej umysł delektował się pustym działaniem ciała, które mówiło, dotykało i było dotykane. Nadnaturalny spokój generała Zhanga pozwolił mu ukryć niezadowolenie, jakie budził w nim widok kobiety pieszczącej męża. Świadomość własnej mocy przepełniła ją dreszczem ekstazy: za sprawą jednego dotyku mogła zapanować nad nimi oboma.

Syty natychmiast zapomniał o partnerce do zhenga. Obrzucił królową zadowolonym z siebie spojrzeniem, jakby żona była jego własną, przyrodzoną cechą, dzięki której osiągnął zasłużoną wielkość.

– A więc mam przed sobą zaiste królewską ucztę – skwitował z głęboką satysfakcją w głosie.

– Jakże przenikliwe spostrzeżenie, mężu! – rzuciła królowa i przyzwała skinieniem jedyne go wśród służby chłopaka. – Ty. Wykonaj swój obowiązek.

– Zezwól niegodnemu, Wasza Wysokość – powiedział sługa. Sięgnął po krabowe szczypce i otworzył je. Mięso spłynęło nefrytowo-białymi sokami. Syty Zhang łapczywym wzrokiem obserwował ruchy młodzika, sprawdzającego, czy posiłek nie został zatruty. Uwielbiał ten rytuał, gdyż stanowił on potwierdzenie jego życiowego sukcesu. Uwielbiał go tym bardziej, że nie wiązał się dla niego z żadną odpowiedzialnością.

Królowa raz jeszcze zerknęła ukradkiem na generała Zhanga. Ten człowiek z kolei był ogromnie znużony ciężarem odpowiedzialności, choć nigdy nie miał bratu za złe, że nie pomagał mu dźwigać tego brzemienia. Ostatnio oficer prawie nie miał czasu na spotkania z królową, był zajęty szykowaniem armii na spotkanie z Zhu Yuanzhangiem.

Królowa była rozjuszona nie na żarty. Zhu Yuanzhang. Świetlisty Król, który mimo niedoboru soli w niewytłumaczalny sposób wciąż utrzymywał się przy władzy. Który odtrącił jej propozycję, ponieważ sądził, że zdoła ujarzmić to żalosne wściekłe zwierzę, generała Ouyanga. Cóż, ona знаła Ouyanga. A mimo wszelkich dotychczasowych osiągnięć Zhu wciąż był zaledwie chłopcem. Przypomniała sobie chwilę, gdy z beztroską w oczach stał na szczycie wzgórza, przesiąknięty nadmierną młodzieńczą pewnością, że wystarczy jedynie pragnąć, a cały świat nagnie się do jego żądań. „Chcę być największy” – usłyszała w duchu.

Z rozkoszą zobaczyłaby jego klęskę.

Służący pokłonił się i odszedł, a pani Zhang podwinęła rękaw, po czym posługując się pałeczkami, z wdziękiem nałożyła Sytemu najbardziej tłuste kęski krabowego mięsa.

– Bardzo proszę, mężu.

Syty wziął do ust przełamane szczypce i zaczął wysysać z nich aromatyczne soki, ponownie przyglądając się złoconemu ogrodowi. Znów ogarnęło go niezadowolenie, jakby był to stan naturalny, do którego powracał zawsze, bez względu na rozkosze, jakie jeszcze przed chwilą wynosiły go ku niebiosom.

– Yue nie daje mi spokoju. Narzeka na opóźnienie w rozbudowie rezydencji. – Odrzucił puste szczypce na ziemię. – Powiedziałaś jej podobno, że będzie musiała zaczekać?

Yue, najnowsza konkubina Sytego, okazała się bardziej wymagająca, niż miała prawo jakakolwiek dziewczyna na jej miejscu. Ponadto Syty nie miał pojęcia, że pieniądze umożliwiające realizację jego kaprysów musiały skądś się wziąć i miały bardziej sensowne zastosowania niż pozłacanie drzew oraz zadowalanie jego konkubin.

Tak, Yue stanowiła problem. Jej obecność była dla królowej niczym rysa na gładkiej lodowej tafli jej małżeństwa. Z tym kłopotem jednak mogła uporać się później. Spróbowała ocenić poziom niezadowolenia Sytego. Oszacowała napięcie jego szerokich i miękkich barków, zerknęła na rozдутą poczuciem własnej wartości

pierś. Z męskich ciał czytało się tak łatwo. Rozdrażnienie małżonka nie było poważne, więc spuściła wzrok. Skromnie wycofana.

– Wybacz, proszę, niegodnej tę zwłokę. Zaszła potrzeba wyposażenia armii generała Zhanga, która wkrótce zetrze się z siłami Zhu Yuanzhanga. Kiedy jednak chłopiec zostanie już pokonany, uczynię naszym priorytetem rezydencję twojej konkubiny. Zaplanowałam nawet specjalną, wielce ozdobną mozaikę, która uświetni jej nowe pokoje.

Sekwencja jego reakcji okazała się przyjemnie przewidywalna: świadczące o postępującym udobruchaniu zwiotczenie, po którym natychmiast nastąpiła buńczuczna refleksja:

– Młodszy bracie, bez przerwy mało ci środków! Jak trudne może być rozgromienie chłopczyka i jego pozbawionej jaj dziwki? – powiedział żartobliwym tonem, choć, rzecz jasna, wcale w tej chwili nie żartował. Skierowana do brata wypowiedź była zbyt agresywna, choć generał przyjął ją tak, jak chłonął wszystko inne.

Królowa z zimną obojętnością pomyślała o tym, czym skończyłaby się ta wojna, gdyby to Syty musiał potykać się w polu z dowolnym z wymienionych przeciwników. Jej mąż sięgnął po kolejne szczypce i wycelował nimi w generała Zhanga.

– Przyłóż się bardziej do pracy, młodszy bracie. Postaraj się, żebym otrzymał wreszcie należny mi mandat. – W jego spojrzeniu zagościł na moment wyraz zadumy i królowa zjeżyła się, czując muśnięcie prawdziwego zagrożenia. – Nuży mnie to wieczne oczekiwanie.

Z króciutkiego opóźnienia, z jakim odpowiedział oficer, odczytała poczucie winy drażące go z siłą podziemnej rzeki. Rzeki lub podziemnego pożaru, tego pomarańczowego ognia, który – przebiegł ją dreszcz – należał się jemu, nie jego bratu. Należał do generała od momentu, gdy po raz pierwszy zdradził Sytego w jej łóżku. Wówczas wyrzuty sumienia kochanka były dla królowej czymś ekscytującym i przyjemnym, stanowiły wyraźną oznakę jej zwycięstwa. Emocje jednak zdążyły już przygasnąć i zmienić się w kwaśne zniecierpliwienie.

Generał Zhang ukrył poczucie winy za maską uśmiechu, choć smutek niemal od razu odcisnął się na jego czole. To również ją złościło. Dlaczego tak uparcie trwasz przy tym, co zbędne? Do czego go jeszcze potrzebujesz?

– Mam nadzieję, że te wydatki nie stanowią dla ciebie zbyt wielkiego kłopotu – zwrócił się do brata generał. – Twoja żona drobiazgowo wszystko przemyślała.

– Chwalisz ją bardziej, niż na to zasługuje! – fuknął Syty. – Te moje kobiety i ich wieczne irytujące żądania. Żono, wydziel odpowiednie fundusze, żeby ta rezydencja mogła zostać wkrótce ukończona i żeby konkubina przestała mnie wreszcie dręczyć. I nie znieważ jej przy tym. Wiem, jakie wy, kobiety, jesteście. Niech nowe pokoje będą równie piękne jak twoje, nie szcędź wydatków.

– Niegodna wypełni wolę męża. – Królowa pochyliła głowę.

Męża, który niedługo już przestanie być mężem, pomyślała. Kiedy generał Zhang rozbije w puch Zhu Yuanzhanga, nadejdzie czas, żeby pozbyć się ostatecznie wyrzutów sumienia i zrobić to, co zrobić musieli.

– Niegodna kobieta prosi o przebaczenie, ale chciałaby kłopotać męża jeszcze jedną sprawą. Odwiedzi nas gość z górnego biegu rzeki. Proszę, przyjmij go stosownie. Pozwól, żeby zaznajomił się z twoją gościnnością i zrozumiał, jak wysoką cieszysz się pozycją i jak wielki sukces osiągnęłaś. Cały ten wysiłek będzie dla nas znakomitą inwestycją. – Złote liście pistacji zaszeleściły na wietrze z dźwiękiem przypominającym drapanie gołębic pazurków na ołowianym dachu. Królowa pozwoliła, by jej uśmiech omiół generała Zhanga, niosąc obietnicę intymności, w czasie gdy jej małżonek zajmie się gościem. – I nie spiesz się.

朱

Generał Zhang wszedł do apartamentu królowej drzwiami od strony dziedzińca. Za jego plecami ujrzała czarny prostokąt wieczornego

ogrodu. W listkach odbijało się światło latarni uświetniających Święto Środka Jesieni.

Z łagodnym wyrazem twarzy usiadł swobodnie na kanapie, nad którą wisiały klatki z jej ulubionymi ptaszkami. Zhang Shide nie był wybitnie roslym mężczyzną, lecz z każdego jego ruchu było zdecydowanie, przydające mu szlachetności niezależnie od tego, czy ruszał akurat do boju, czy wybierał się na potajemną schadzkę. Wyłącznie dlatego, iż dobrze go znała, wychwyciła pod powierzchnią cień zmęczenia. Bez względu na to, jaką rozkoszą starała się go zabawić, to specyficzne znużenie nie znikало nigdy. Tak działo się zawsze, gdy mężczyzna honorowy stawał się mężczyzną bez honoru. Przyjemnie było pomyśleć, że to ona przyprawiła go o ten dyskomfort. A jeszcze większą rozkosz sprawiała jej myśl, że generał godzi się ten ciężar nieść dlatego, że ją kocha.

– Lepiej by było, gdybym przyszedł później – zauważył, kiedy zajęła się nalewaniem herbaty. – O tak wczesnej porze to ryzykowne. Nawet jeśli bawi właśnie gościa.

Poczuła się dotknięta krytyką. Odstawiła czajniczek i rzuciła ze złością:

– Naturalnie to ty jesteś wybitnym generałem, ale myślę, że jeszcze potrafię przechytryć tego głupiego wieprza.

Natychmiast pożałowała tych słów. Czuła się wprawdzie śmiertelnie swoim mężem zmęczona, lecz ujawnianie frustracji było zwyczajną głupotą. Generał Zhang usilnie chciał wierzyć, że może czynić z brata rogakza i wciąż pozostawać wobec niego lojalnym, więc otwarta krytyka Sytego zawsze rozniecała w nim wyrzuty sumienia. Pani Zhang odwróciła się i natychmiast wytłumaczyła sobie, że gest ma jedynie nakłonić kochanka do prób ukojenia jej i wcale nie wynika z niechęci ujrzenia jego karcącego wzroku. Poczucie winy! Cóż za bezsensowne uczucie. To właśnie wina uniemożliwiała generałowi dokonanie tego, co zrobić musiał, by zadbać o ich wspólną przyszłość. Czyżby mimo wszystko próbował sobie wmówić, że szczęśliwe zakończenie wciąż jest możliwe? Czy



sądził, że jej płytki, egoistyczny mąż, tak wrażliwy na najlżejszy nawet dyshonor, dobrowolnie, z zadowoleniem nawet ustąpi z tronu na rzecz posiadającego mandat niebios brata? Chwilami miała ochotę wrzeszczeć.

– I pomyśleć, że w początkach byłaś dla mnie tak słodka – dobiegł z za jej pleców smutny głos generała. Nie zareagowała, więc podjął: – Wiem, że męczy cię frustracja. Ale to już nie potrwa długo, przyrzekam. Kiedy pokonam Zhu Yuanzhangą...

„Już niebawem”. „Bądź cierpliwa”. „Wkrótce”. Słyszała te słowa tysiące razy. I zawsze wypowiadał je ze szczerą skruchą. Co jednak ani trochę nie łagodziło udręki czekania. Zagniewana pomyślała, że gdyby go nie przymusiła, za nic nie uczyniłby z brata rogakza i nie zyskałby mandatu. Przez tyle długich lat rzucał jej tęskne spojrzenia ponad stołem jej męża! Inny mężczyzna po prostu dostrzegłby jej ochotę i skorzystał. Lecz Zhang Shide po prostu patrzył bez końca. Zadowalał się cierpieniem i przekonaniem o dobroci swojego charakteru.

Gdybyż tylko zdołała przymusić go raz jeszcze! Naturalnie mogła własnoręcznie zabić Sytego i nie pozostawić kochankowi wyboru. Wtedy musiałby zrealizować swój potencjał. Wiedziała jednak, że czegoś takiego nie umiałby jej wybaczyć. Ogarnięty żalobą, ujrzałby całą przeszłość na opak. Przypomniałby sobie, że to jego energiczny brat nauczył go przemytniczego fachu i że to on umożliwił mu pierwsze sukcesy. Zapomniałby o tym, że potem Syty raz za razem okazywał się niegodny podziwu. Obwiniłby ją za unicestwienie szczęśliwej przyszłości, która w rzeczywistości i tak nie mogła nastąpić. Uciekając przed wyrzutami sumienia, uznalby ją za jedyną odpowiedzialną.

A gdyby straciła i jego, zostałaby z niczym.

Odwróciła się, uklękła u jego stóp i wzięła go za rękę.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wybacz mi te pochopne i nierozsądne słowa. – Lepiej byłoby mieć problem z głowy już teraz, lecz mogła przecież poczekać, aż wróci po rozprawie z Zhu. Zaczeka, a potem uczyni generała swoim nowym królem. A następnie, kiedy

podbije Dadu i stanie przed tronem, nie zagrozi mu drogi ani brat, ani sumienie.

Jej mąż nigdy nie poniżał się do odwiedzin w jej pokojach, więc zamiast uwielbianych przez niego luksusowych dywanów – na których tak łatwo można się było potknąć – miała nagą podłogę. Twardy nacisk na kolana nie wydawał jej się bólem. Z zadowoleniem pomyślała, że tworzy piękny obrazek, jeden z tych, jakie uwielbiają podziwiać mężczyźni uważający się za szlachetnych i rycerskich: kobiece spódnice rozłożone miękkimi falami na połyskującym parkiecie niczym opadły z drzewa kwiat wiśni, kwiat, którego łodyżkę stanowiło jej kornie pochylone ciało.

Generał Zhang zmrużył lekko oczy, w których zagościł wesoły błysk. Wydawało się, że doskonale wie, co robi królowa, lecz jednocześnie nie mógł się oprzeć urodzie sceny.

– Dlaczego mam wrażenie, że to ja powinienem prosić ciebie o wybaczenie? – Po chwili wciągnął ją sobie na kolana. Ciężki jedwab jego szaty był zimny i tchnął rześką wonią nocnego powietrza. Nawet w takich chwilach, kiedy dochodziło między nimi do tarć, dotykał jej tak, jakby mogła się w każdej chwili stłuc. Łagodnie. Z czcią. Poczowała lekkie ukłucie pogardy. Co takiego było w niej godne czci? Jej pomalowana twarz, oblicze lalki, nie była przecież bardziej prawdziwa od udawanego pożądania. Łagodność, z jaką obchodził się z nią generał, w pewien sposób negowała wszystko, co osiągnęła, zanim go poznała. Gdyby można ją było złamać dotykiem niedelikatnym, zostałaby złamana już dawno temu.

Generał Zhang przez chwilę po prostu tulił ją do siebie. Zauważyła trzymające się jego koczka drobne czerwone listki. Musiały się przyczepić, kiedy szedł przez ogród. Świeże włosy na skroniach miał zbyt krótkie, by dały się związać, i sterczały po bokach. Jedwabna szata ogrzała się już ciepłem ich ciał. Kiedy królowa poczuła wreszcie drgnienie jego zainteresowania, cofnęła się. Dokładnie w chwili, w której obrócił twarz, by ją pocałować. Nagła męska frustracja przepełniła ją przyjemnością. Uwielbiała

wstrzymywać, wiedząc, jak bardzo wzmaga to pożądanie. Rozumiała też jednak, że nie może zwlekać zbyt długo. Z cichym śmiechem zsunęła się z kolan kochanka i pociągnęła go za sobą do sypialni.

W sprawach deszczu i chmur generał Zhang nigdy się nie spieszył. Gdyby był kimś innym, królowa zapewne narzekałaby na ospałość i konieczność komplementowania każdego z jego wysiłków. Niczym się nie wyróżniał. Był zwyczajnym mężczyzną, miał zwyczajne potrzeby, a jej ciało przyjmowało go z tą samą nikłą świadomością doznań, jaka je ogarniała, kiedy klękała na twardej podłodze, kiedy chodziła lub kiedy jadła bardzo zimne bądź gorące potrawy. Z nim jednak wszystko było łatwiejsze. Z czasem przestał z jakiegoś powodu być jednym z długiego szeregu i stał się szczególny. Nie musiała wyławiać z jego słów drobnych poszlak, nie musiała ich potem składać w obraz tego, co czuje. Po prostu rozumiała go od razu, w całości. Znała kochanka, jak ogrodnik zna roślinę, którą pielęgnuje od nasienia. Każdy element tego spektaklu odgrywała tak instynktownie, że nie miała nawet poczucia, iż jest to wysiłek. Obejmowała jego żylaste ciało nad sobą, obejmowała go w sobie i czuła miękkie zadowolenie, równie kojące jak ciepła kąpiel. Tutaj nie było powodu do pośpiechu. Dbała o swoją inwestycję i każda chwila stanowiła racjonalny wydatek.

Potem zalegli obok siebie, spleceni palcami.

– Przyjdź jutro na festiwal, obejrzymy razem księżyc – rzuciła pod wpływem impulsu, wciąż rozgrzana. – Dopilnuję, żeby był zajęty.

Łoże pani Zhang, ustawione w tylnej części pokoju, z trzech stron otoczone było ściankami z wonnego sandałowego drewna, a z przodu przesłaniały je zasłonki z gazy i adamaszku. Tym razem zaciągnęli jedynie tę lżejszą. Oglądany przez migotliwą tkaninę pokój zdawał się pomarańczowy, jakby patrzyli na świat przez płomień.

– Nie mogę. – Przepraszającym gestem ścisnął jej dłoń.

– Jak to? – rzuciła urażona. – Dlaczego?

– Obiecałem, że pojedę z rodziną na wzgórze. Odkąd przybyliśmy do Pingjiangu, nie miałem dla nich wiele czasu. A chciałbym, żeby syn mnie zapamiętał.

Rodzina. Jego żona i jego syn. Nie poznała ich. Przez cały czas starannie dbał o utrzymanie ścisłego rozdziału dwóch stron swojego życia. Teraz jednak tamta rodzina dopuściła się najazdu na jej ciepłą, wygodną przestrzeń. Odniosła wrażenie, że próbują jej coś wykraść. Nie, nie wykraść – zepsuć. Zniszczyć to, co z takim wysiłkiem i wytrwałością z tym mężczyzną budowała. Dobrze, że trzyma ich z dala ode mnie, pomyślała zjadliwie. Gdyby nie to, mogłabym się ich pozbyć już dawno temu. Zapewne zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy uświadomiła sobie, że ta jej cecha nie stanowi dla niego tajemnicy i podjął nawet odpowiednie kroki zaradcze, poczuła dziwny, przelotny dyskomfort.

– Dobrze – rzuciła chłodno.

Powinien zmienić temat. Pustka, jaka po orgazmie wypełniała męską głowę, zazwyczaj była królowej na rękę. Jednak generał ku jej niezadowoleniu powiedział:

– Jest już prawie dorosły. Przyjemnie mi spędzać z nim czas. Lubię go. – Miał taki łagodny wyraz twarzy; był skromnym, zaskoczonym mężczyzną, który nie spodziewał się aż takiej pomyślności, jaką obdarzył go świat.

– Przyjemniej ci z nim niż ze mną – syknęła.

Zamilkł. Dopiero po chwili zastanowienia odparł, z bólem i szczerze:

– Możesz mnie prosić o wszystko, wiesz o tym. Ale nie proś, żebym nie kochał własnego dziecka.

Uczciwość generała ugodziła ją z siłą zaciśniętej pięści. Jak dotąd robiła wszystko, co w jej mocy, żeby był zadowolony. Stawała się wszystkim, czego pragnął. Kochał ją. Czyż nie przysługiwało jej za to prawo zmuszenia go, by z kolei on zaspokoił jej pragnienia? Myśl, że miłość, którą ją darzył, ma swoje granice, przepełniła ją desperacką furją. Nawet na moment nie zapomniała, jak długo każe jej czekać, jak długo zwleka, zamiast zacząć wreszcie działać.

– Wszystko? – Z premedytacją zaakcentowała to słowo tak, by zawarte w tonie niedowierzanie zabrzmiało ostro, by go zraniło. – Mówisz: wszystko, a przecież nie pozwalasz mi obdarzyć się tym, co chciałabym ci dać. Ja również mogłabym dać ci syna, którego byś pokochał.

Królowa w odróżnieniu od tabunów kurtyzan zawsze pieczołowicie dbała, by nie zejść w przypadkową ciążę. Za młodu wydawała na środki antykoncepcyjne i specyfiki wywołujące poronienie dużo więcej, niż powinna. Już wówczas zdawała sobie sprawę z tego, jak ważna jest wolność. Przeznaczane na rozmaite mikstury pieniądze traktowała jak inwestycję w przyszłość. I dopięła swego: to właśnie dzięki wolności zdołała złowić Sytego.

To były jednak dawne czasy i wolność nie była jej dłużej potrzebna. Nastąpiła pora, by narzucić sobie pęta. Kiedy generał Zhang zasiądzie na cesarskim tronie, to jej syn zostanie jego następcą. Nie bachor jego żony. Mężczyźni zawsze z ochotą powtarzają, jak bardzo kochają swoje dzieci, lecz uczucie, jakim je darzą, to nic innego jak duma posiadacza. Rozkoszują się poważaniem, jakie zapewnia im posiadanie syna; cieszą się świadomością, że ich nazwisko przetrwa, a oni sami staną się po śmierci czcigodnymi przodkami. Niemniej, pomyślała chłodno, jednego syna zawsze można zastąpić drugim, a ojciec nie zauważy żadnej różnicy.

– To nie takie proste. – Przez twarz generała przemknął grymas poczucia winy.

Królowa poczuła wzbierającą w duszy przepastną przemoc. Miała ochotę wydrzeć z niego wyrzuty sumienia choćby zębami. Wygryźć je i wypluć tę miękką, krwawą masę na stertę odpadków. Tylko mężczyzna mógł całymi latami roztrząsać moralne aspekty jednej prostej decyzji. Mężczyźni mieli gwarancję, że okazja będzie na nich czekać, że pojawi się także, kiedy będą gotowi. Wiedzieli, że ich potencjał nie zblednie, nawet jeśli poza potencjałem nie mieli nic więcej. Kobiety jednak podobnego luksusu nie posiadały.

– Nie rozumiem dlaczego – odparła zagniewana. Cofnęła dłoń, ciesząc się zranionym milczeniem kochanka. Dobrze, niech wreszcie poczuje się niezręcznie. Niech podziwiając księżyc, myśli o niej, z wątrową przebitą nieszczęściem. – Ale cóż, jedź. Spędź czas ze swoją drogą małżonką i synem.

Uszy wypełnił jej wściekły, donośny szum. Dopiero po dłuższym zastanowieniu rozpoznała w nim szmer własnej krwi. Generał Zhang ubrał się i wyszedł bez słowa.

朱

Królowa kołysała się w palankinie przemierzającym zatopiony w mroku dziedzińiec. Nad jej głową lśnił księżyc w pełni. Niedawne rozstanie z generałem Zhangiem pozostawiło w jej duszy gorycz. Myśl o tym, że kochanek ogląda ten sam księżyc u boku własnej rodziny, przyprawiła ją o ciężące głęboko w trzewiach przygnębienie. Tylko on potrafił obudzić w niej podobną niechęć i rozdrażnienie. On dysponował przywilejem trwania przy swoich zasadach, przy swoim honorze i poczuciu winy, jakby mogły w jakiś sposób przynieść mu odkupienie, kiedy w końcu postąpi im wbrew. Jakby to ona była tą złą, wyłącznie dlatego, że działała w zgodzie ze swoimi przekonaniem i pragnieniami. Stopy bolały ją w tej chwili bardziej niż zwykle, cała stała się bardziej wrażliwa.

Na dziedzińcu zauważyła zbliżającą się postać. Yue, najnowsza konkubina jej męża, w towarzystwie gromadki służek. Szyję dziewczyny ozdobił krzykliwy, kosztowny naszyjnik, prezent od Sytego. Jej fałszywa skromność domagała się uwagi z butą właściwą kobietom, które nie zdają sobie sprawy, że waluta ich urody i młodości straci kiedyś wartość. Konkubiny u boku męża królowej pojawiały się i znikwały. Było jasne, że Yue nie okaże się wyjątkiem, lecz tym razem pani Zhang poczuła nietypowe ukłucie złości. Nie umiała pogodzić się z faktem, że ta dziewczucha ma czelność patrzeć na nią z lekceważeniem i właściwą młodemu wiekowi pogardą,

myśląc, że jej nigdy taki los nie spotka. Królowa miała ogromną ochotę ją unicestwić, wskazać jej właściwe miejsce, pokazać, jak będzie wyglądać przyszłość.

Yue niosła jakąś miseczkę. Władczyni zatrzymała palankin.

– Cóż tam masz, młodsza siostrze?

Dziewczyna podniosła wzrok. Przez jej twarz przemknął cień: rywalizacja, chęć natychmiastowego podjęcia walki. Jednak odpowiedziała grzecznie:

– Bądź pozdrowiona, królowo. Niegodna konkubina pozwoliła sobie sporządzić z myślą o naszym małżonku najskuteczniejszy ze znanych ludziom specyfików wzmagających męskość. Jak bowiem z pewnością wiesz, żądza naszego męża przerasta niekiedy jego możliwości. – Pod powierzchnią fałszywej skromności krył się złośliwy uśmieszek niewypowiedzianej sugestii: „A może jednak nie wiesz, ponieważ ciebie Syty nie pożąda tak bardzo jak mnie!”.

– Jakże rezolutnie! – Królowa obdarzyła dziewczynę dobrotliwym uśmiechem. – Widzę, że bardzo dbasz o zadowolenie naszego małżonka. Czy nie miałaś kłopotów ze zgromadzeniem składników?

Z mściwą satysfakcją zauważyła, iż Yue uznała pochwałę za szczerą, a w dodatku pomyślała, że pani Zhang nie dostrzegła zawołanego przytyku. Była tak młoda i głupia, tak przesadnie pewna swoich możliwości i nieświadoma siły, przeciwko której stanęła. Naprawdę sądziła, że może zwyciężyć. Królowa, tłumiąc śmiech, wpatrywała się w konkubinę, z zadęciem wyliczającą składniki mikstury, z których każdy był droższy i trudniejszy do znalezienia od poprzedniego.

– Kości tygrysa? – powtórzyła władczyni z niegasnącym uśmiechem, gdy Yue umilkła. – Nie szcędzisz wydatków.

– Przynajmniej tyle mogę uczynić, niegodna – odpowiedziała dziewczyna, wciąż rozkosznie nieświadoma.

– Tygrysie kości pełne są gorącej energii. Powiadają, że na męskość nie ma nic lepszego – podjęła królowa z zadumą, doprawiając słowa słodyczą. Skinęła dłonią i Yue podeszła do

palankinu. Pani Zhang pogładziła zaokrąglony policzek konkubiny, czując pod palcami sprężystą soczystość młodości, kojarzącą się z najbardziej delikatnymi porcjami mięsa. Cieszyła się dziko pogardliwie zadartą brodą Yue, która w tej chwili nie udawała już nawet skromności. Przyjemnie było dziewczynie gardzić kobietą, która tak czule ją pieściła. – Ale, młodsza siostrzyczko, jakże mogłaś zapomnieć, że nasz małżonek cierpi na podagrę? I chcesz mu podać medykament, który rozgrzeje go jeszcze bardziej? – Królowa z całej siły uszczypnęła Yue w ucho. – Krzywdę chcesz mu zrobić? Beztraska, durna dziewczucho?

Usłyszała nikły, ogromnie satysfakcjonujący dźwięk. Mimo że długie, lakierowane paznokcie pani Zhang nie przebiły skóry, gniecione między palcami ciało cicho mlasnęło. Yue wrzasnęła i wypuściła miskę, która roztrzaskała się na płytach dziedzińca. Królowa ścisnęła jeszcze mocniej, karmiąc się elektryzującym bólem dziewczyny. Bezradność Yue doprowadziła ją niemal do śmiechu; konkubina Sytego nie miała wyjścia, musiała to znosić. Pani Zhang trzymała, dopóki nie rozboleły jej palce. Kiedy w końcu uwolniła dziewczynę, poczuła spełnienie. Spełnienie, dzięki któremu jej uśmiech przybrał prawdziwą, jadowitą postać.

Yue chwyciła się za ucho i odskoczyła chwiejnie do tyłu. Królowa z wyższością odnotowała, iż stopy dziewczyny wcale nie są takie małe. Nie chodziła drobnymi kroczkami, zataczała się i stąpała ciężko jak chłopka. Po świeżych policzkach spłynęły łzy. Pani Zhang z satysfakcją zauważyła, że oczy i nos konkubiny zaczynają czerwienieć. Tego wieczora nie będzie już piękna.

– Powinnaś mi dziękować, młodsza siostrzyczko – mruknęła niczym nasycona kotka. – Lepiej, że zauważyłam twoje niedopatrzenie ja niż sługa naszego męża przy próbie trucizny. Na szczęście dla ciebie nie sędzę, żeby ktokolwiek musiał o tym wiedzieć – stwierdziła, po czym przeniosła spojrzenie na służki konkubiny. – Wasza pani była nieostrożna. Uprzątnijcie to.

Służące rzuciły się do zbierania kawałków miski.



– Nie dziękujesz? – podjęła królowa. – Nasz małżonek zna pewniejsze w działaniu środki niż jakaś szarlatańska mikstura – dodała ze wzgardą. – Być może nie jesteś na tyle piękna, żeby zechciał zademonstrować ci ich działanie.

To królowa sprowadziła srebrny pierścień pozwalający Sytemu nadal rozkoszować się konkubunami mimo nieuchronnie zgubnego wpływu, jaki na jego wydolność wywierał postępujący wiek w powiązaniu z niezdrowym trybem życia. To głupie, że mężczyźni oceniają swoją wartość miarą zdolności odbycia tego jednego aktu. Niemniej jeśli kurtyzany w ogóle na czymkolwiek się znały, to właśnie na zadowalaniu klientów.

– Myślisz, że zaspokajasz go tak świetnie, że będzie przymykać oczy na wszystko, co robisz? – rzuciła gorzko, buńczucznie Yue.

– Zawdzięcza mi wszystko, co ma. Jestem jego żoną, a ty, biedne dziecko, jesteś jedynie nędzną konkubiną. Czy naprawdę nie rozumiesz, że za trzy miesiące będziesz przebrzmiałym wspomnieniem? Osobiście wybiorę ładniejszą, która cię zastąpi. Ja dalej będę robić wszystko, co zechcę, a on twojego zniknięcia nawet nie zauważy. Ruszajmy – powiedziała królowa do tragarzy niosących palankin.

朱

Pani Zhang, czekająca w swoim ustronnym apartamencie, przeznaczonym wyłącznie do omawiania interesów, nie wstała na widok wchodzącego gościa. W parkiecie z tekowego drewna odbijały się brzoskwiniowe światła latarni, podobne do legendarnych dziewięciu księżyców. Na kanapie leżały rozrzucone w zmysłowym zaproszeniu ciężkie, zdobione narzuty. Gdyby nie brak muzyki i dolatujących z korytarza stłumionych głosów, można by pomyśleć, że znajdują się w jednym z pokoi w zielono-czarnym domu uciech w Yangzhou, gdzie królowa poznawała tajniki fachu.

Wtedy to, lata temu, Syty Zhang, młody i stawiający dopiero pierwsze kroki w nielegalnym handlu solą, wszedł do tego przybytku, nie mając pojęcia, co może w życiu osiągnąć. Niedługo potem okazał się tak doskonale użyteczny, że niemal jej się spodobał. To było jednak dawno temu i obecnie zużył już niemal cały swój potencjał. Przez chwilę zastanawiała się, jak potoczyłoby się wszystko, gdyby tamtego wieczora odwiedził ją młody generał Zhang, nieśmiały i zarumieniony. Stało się jednak inaczej. Poczwała budzącą się w duszy dzikość. Zhang Shide od płatnych rozkoszy wolał romanse lub przynajmniej ich ułudę. A przy tym nigdy nie dorównywał bratu pod względem rozbuchanej pewności siebie i ambicji. Jako taki, byłby zdecydowanie mniej użyteczny.

Jej gość, Chen Youliang, ani się nie zarumienił, ani nie wtargnął bez oglądy. Królową uderzył monumentalny bezruch jego sylwetki. Stanął tuż za progiem z dłońmi wsuniętymi w rękawy czarnej szaty uczonego i potoczył spojrzeniem po jej królestwie. Spojrzał też uważnie na to, co znajdowało się w jego centrum: na nią, drogocenny klejnot na wystawie. Pani Zhang zobaczyła siebie jego oczyma. Pobłyskujące, ułożone w skomplikowaną fryzurę włosy, głowa obrócona tak, by eksponować kształt szyi, splecione palce, smukłe niczym białe łądźki cebuli, oraz wyglądające spod fałdów szaty, niczym perły w ostrydze, maleńkie, sekretne buciki.

– Bądź pozdrowiona, Wasza Wysokość – przywitał się Chen spokojnym, wyważonym tonem człowieka ani szczególnie kulturalnego, ani też wyjątkowo prostego. Zaskakujące. Spodziewała się raczej prymitywnego draba, biorąc pod uwagę jego reputację zdobywcy miast: Anfengu, który stał się bazą zbuntowanych Czerwonych Turbanów, oraz nieco później Wuchangu, leżącego w górę Yangzi od stolicy należącej do Zhu Yuanzhang. – Gościnnieść twojego męża była dla mnie olbrzymim zaszczytem, ale większą jeszcze przyjemnością jest móc poznać ciebie.

Typowe dla uczonych odzienie sugerowało, że krwawą przeszłość Chen ma już za sobą, lecz królowa zauważyła, że jego masywne ciało wciąż grozi zmiażdżeniem. Jego ciężar stanowił

broń: jego miękkość była niebezpieczną potęgą. Nie potrafiła jeszcze stwierdzić, czy gość stanowi zagrożenie, czy może okazję. Wyraźnie poczuła wagę jego obecności i przyjęła ją na siebie z łapczywą, niespokojną ciekawością.

– Witam szacownego gościa! – Uśmiechnęła się. – Wuchang leży daleko, a podróż musiała być nużąca. Proszę, nie krępuj się.

Służąca ustawiła na dzielącym ich stoliku wino i przekąski, po czym z cichym szelestem zniknęła za drzwiami. Poczęstunek składał się z kaczych języczków, duszonej na słodko rzodkwi i królika w przyprawach. Unoszący się nad pieczenią aromat cebuli i mięsa zmieszał się z ciepłą wonią płonącego w lampach oleju. Całe pomieszczenie nabrało zapachu ludzkiej skóry.

– Uczta na osobności z nieznanym! – zauważył Chen, częstując się skromnymi kęsami. – Wasza Wysokość niezmiernie schlebia mnie, pokornemu.

– Ależ po cóż ta pokora? Mężczyzna powinien umieć opowiadać o swoich zasługach i dokonaniach. A z tego, co słyszę, mój gość jest wielce zasłużonym człowiekiem.

Już teraz zaczynała rozumieć jego naturę, więc nie zaskoczyło jej to, że usłyszawszy komplement, nie nadał się jak indor. Czarne, skrzące się oczy Chena nadal mierzyły ją spokojnym spojrzeniem. Odniosła dziwne wrażenie, że podobnie jak ona chłonie w siebie jego ciało, tak on chłonie ją. Wyczuła oczekiwany płomyk pożądania, lecz był to ogień kontrolowany. Zimny.

– Nic szczególnie wybitnego. Ale... – powiedział skromnie i urwał. – Być może gość o mizernych osiągnięciach i niewielkich pragnieniach mógłby okazać się przydatny tym, których ambicje sięgają znacznie dalej. Jak Wasza Wysokość niewątpliwie wie, twojego niegodnego gościa łączą z Zhu Yuanzhangiem pewne... zaszłości. Z ogromną przyjemnością rozprawiłbym się w twoim imieniu z nim i z generałem eunuchem.

Przebywając na odległym od wydarzeń wybrzeżu, nigdy nie poznała szczegółów ich przebiegu. Wiedziała jednak dostatecznie wiele: Zhu wykradł Czerwonym Turbanom marionetkowego władcę,

Księcia Światłości, i pokonał Chena w walce o przywództwo. Przypomniała sobie tego aroganckiego, mieniącego się królem chłopca, z którym spotkała się niegdyś na szczycie wzgórza. Młodziak był tak pewny siebie jak wszyscy ludzie, którzy nie zaznali jeszcze smaku porażki, którym świat nie pokazał, gdzie leżą granice ich możliwości. Zostać pobitym przez kogoś takiego zaiste było poważnym upokorzeniem.

Być może Chen rzeczywiście szukał zemsty. W jego spokojnej powierzchowności i samokontroli, jaką musiała być podszyta, kryła się sugestia okrucieństwa. Opanowanie gościa wskazywało na tę cechę, podobnie jak cień wskazuje kształt przedmiotu. Ten człowiek chciał Zhu pokonać, lecz gdyby pojawiła się ku temu okazja, chętnie wyrządziłby mu również cielesną krzywdę.

Co jednak nie oznaczało, iż zemsta stanowiła jego jedyną motywację.

– Oczywiście – dodał swobodnie Chen – w pełni wierzę, że Wasza Wysokość może samodzielnie okiełznać Zhu Yuanzhangą. Odnoszę natomiast wrażenie, że wolałabyś poświęcić energię na zdobycie stolicy, a nie borykanie się z drobnymi przeciwnościami. Może więc pozwolisz, żebym uprzątnął za ciebie obejście z gnoju? I może kiedy twój mąż zostanie cesarzem, spojrzysz przychylnie na pokornego sługę i obdarzy go władzą na południu.

Sprawnie malował obraz samego siebie jako silnego człowieka, pragnącego wyłącznie zemsty i lokalnych rządów. Propozycja była rozsądna. Przekonująca. Wykorzystaj mnie. W żaden sposób ci nie zagrażam. Królowa pamiętała jednak, że Chen uciekł po klęsce Bianliangu praktycznie z pustymi rękoma. Fakt, iż odbudował armię w stopniu pozwalającym rzucić wyzwanie Zhu i eunuchowi – nawet jeśli potrzebował w tym celu jej pieniędzy – dowodził jego niebywałych kompetencji i determinacji. A ludzie kompetentni i zdeterminowani byli zazwyczaj ludźmi ambitnymi.

Naturalnie nie zamierzał pokazać jej prawdziwej skali tej ambicji. Jego opanowanie kojarzyło się pani Zhang z zalegającą na wodzie warstwą gęstego, czarnego oleju, wygładzającego fale

i uniemożliwiającego przeniknięcie wzrokiem w głębinę. Z drugiej strony, cóż, znała inne sposoby poznawania męskiego charakteru.

Zmierzyła gościa ciepłym spojrzeniem, jakby podjęła już pomyślną dla niego decyzję. Pozwoliła mu wierzyć, że zaufała w szczerść jego słów. Mężczyźni często zabiegali o jej wsparcie, lecz doświadczenie wskazywało, że rozmawiając z nią, zawsze spodziewają się pomyślnego rezultatu. Jakby nie miała powodu, by głębiej się zastanowić, jakby nie miała dość mocy, by odmówić.

– Rzecz jasna, muszę przedstawić tę sprawę mężowi i dopiero wtedy podejmiemy ostateczną decyzję. Jednak w kwestiach strategii najczęściej pozostajemy jednomyślni.

– Rzecz jasna. – Długie pionowe zmarszczki na policzkach Chena pogłębiły się w uśmiechu. Uśmiechu przywołującym na myśl tygrysią paszczę.

– Jednak ponieważ – podjęła – małżonek udał się już na spoczynek, obawiam się, że musimy poczekać. Niemniej mamy dla siebie całą resztę nocy. Może zechcesz posłuchać muzyki? Zatrudniam artystów, których talent, co zapewne potwierdzisz, znacznie wykracza ponad przeciętność. – Cielista poświata latarni była równie intymna jak światło oglądane poprzez palce wyciągniętej dłoni kochanka. Królową ogarnęło zmysłowe wyczekiwanie. Ale przyjemność dotykała wyłącznie jej umysłu, ciało jak zwykle pozostało nieporuszone. – Chyba że mój gość zechciałby zażyć innych rozrywek?

Chen odpowiedział spojrzeniem spod przymkniętych powiek. Przez chwilę wydawało się, że odmówi. Odmowa, oczywiście, również powiedziałałaby królowej coś na temat jego charakteru, chociaż nie tyle, co aprobata. Wreszcie jednak wstał, podszedł i usiadł obok niej. Była przy nim tak drobna. Ponownie pomyślała o tygrysie i jego masywnym, cierpliwym bezruchu. Nie objął jej od razu. Najpierw rozkołysał palcem jej wiszący pod uchem kolczyk.

– Okazałbym się skończonym niewdzięcznikiem, gdybym odmówił – powiedział z wielkim spokojem.

Mimowolnie pomyślała o generale Zhangu. Czy on był odpowiednio wdzięczny za wszystko, czym go darzyła? Czy wdzięcznością było odtrącanie jej za każdym razem, kiedy miał na to ochotę? W jej duszy rozległ się syk. Nie ucichł, nawet kiedy skierowała swój porcelanowy uśmiech w stronę Chena i pociągnęła go za sobą na kanapę.

Tak wiele można powiedzieć o mężczyźnie na podstawie tej najbardziej intymnej formy obcowania. Umiała stwierdzić, czego się boi i jakie ma słabości, co według niego jest mu należne oraz za czym tęskni, sądząc, że nigdy tego nie dostanie. Kim usiłował się stać. Kim był. Poznała już Sytego, poznała generała Zhanga, a teraz, obserwując ich stapiające się ciała, poznawała Chena.

Chen znacznie goręcej niż generał Zhang chciał dać jej rozkosz. Obracał i kierował jej ciałem precyzyjnie, odnajdując na nim i wewnątrz miejsca, których pobudzenie wywoływało jęki, wilgoć i skurcze. Znał jednak jej ciało tak, jak mógłby je znać rzeźnik. W jego mięśniach nie było szczodrości, nie były łagodne ani kuszące. Doszła do wniosku, iż nie pomyliła się, podejrzewając go o skryte okrucieństwo. Czerpał przyjemność z narzucania innemu człowiekowi doznań, bez względu na to, czy były rozkoszne, czy bolesne. Zimne opanowanie Chena służyło jednemu fundamentalnemu celowi: kontroli.

Chciał, by uwierzyła, że zadowolili się władzą na prowincji. Kiedy jednak ją pieprzył, pani Zhang poczuła krwawe piekło jego ambicji. Chętnie przyjąłby jej pieniądze i wzmocnił za ich pomocą siebie, podczas gdy ona wykrwawiałaby się w zmaganiach ze stołeczną armią wielkiego radcy. A potem, kiedy byłaby już wycieńczona, cierpliwy tygrys powróciłby, gotów sięgnąć po tron.

Sytego kontrolowała, wykorzystując jego chciwość, w przypadku generała Zhanga posługiwała się miłością. Chen tymczasem pragnął kontroli, a to znaczyło, że ona nie mogła kontrolować jego. Nie posiadał wprawdzie mandatu niebios i nadal potrzebował funduszy, by posłać w bój zgromadzoną przez siebie armię. Był jednak groźny. Niewykluczone, że był najbardziej

niebezpiecznym spośród jej przeciwników. Zrozumiała, że jeśli pomoże tygrysowi urosnąć w siłę jeszcze bardziej, bestia pożre cały świat.

Popatrzył na nią z góry.

– Zawsze zamyślona, Wasza Wysokość – szepnął, jakby przeniknął ją równie doskonale, jak ona przeniknęła jego.

朱

Generał Zhang klęczał na łóżku za plecami królowej i czesał jej włosy. On był nagi, a ona miała na sobie jedynie nocne buciki. Po festiwalu wrócił prosto do niej, oczywiście. Właśnie dlatego miłość była najpotężniejszym narzędziem, silniejszym nawet od chciwości jej męża. Generał zawsze wracał. Między cienkimi zasłonkami łoża widniała szczelina. Zerknęła przez nią w stojące po drugiej stronie pokoju lustro z brązu. Ujrzała niewyraźne, niedoskonałe zarysy dwóch ciał złączonych w jeden kształt. Kiedy czesały ją służki, doświadczenie było nijakie i bezbarwne. Generał Zhang czesał starannie, lecz od czasu do czasu czuła mimowolne szarpnięcia jego szorstkich rąk. Znajomy dotyk, znajome dłonie. Pielęgnowała w sobie ich obraz, jakby należały do niej. Odciski od miecza u podstawy palców; schludnie utrzymane prostokątne paznokcie; żylasta kośćistość, która zastąpiła już młodzieńczy tłuszcz.

– Lubisz to – zauważył.

Absurdalna uwaga. Z nią i jej upodobaniami nie miało to nic wspólnego. Skoro był dzięki temu szczęśliwy, mógł ją sobie czesać. Potem zawsze mogła poprosić służki, by naprawiły, co zepsuł.

– Czuję, jak się odprężasz – mówił dalej. – Twój kark mięknie, o tutaj... – Poczowała jego wargi. Po chwili powrócił miarowy rytm grzebienia. – Czuję, jak nastawiasz głowę, jak mi pomagasz. Twoje ciało samo mi mówi, że jest ci przyjemnie.

To jest moje ciało, ale moje ciało nie jest mną, pomyślała. To nie ja czuję twoje dłonie, to nie ja cię zaspokajam. Moje ciało jest dla

ciebie, nie dla mnie. Zamieszkiwała własne ciało, kryła się cał pod powierzchnią, nosiła je jak marionetkę, z poczuciem własności i dumy, lecz nigdy się z nim w pełni nie identyfikowała. Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się, dała mu to, czego chciał.

W kącikach oczu generała pojawiły się smutne zmarszczki. Łagodnie odwrócił ją szorstkimi dłońmi z powrotem i kontynuował czesanie.

– To nasze ostatnie spotkanie przed moim wyjazdem – szepnęła, kiedy niemal już skończył.

Tym ją zaskoczył.

– Sądziłam, że ruszasz dopiero pojutrze – rzuciła. Nagle zrozumiała. – Ach! – wypluła z siebie ze złością. – Spędzisz ten czas z żoną.

– Nie wzbraniaj jej kilku chwil w towarzystwie męża i syna, którzy ruszają na wojnę. Zhenjiang jest niedaleko, ale kto wie jak długo nas nie będzie.

Umiała sobie wyobrazić jego zboląłą, łagodną twarz. Poczwała w duchu impuls dzikości. Czyżby to ona była tą irracjonalną? Czy rzeczywiście to ona wszystko utrudnia? Miała ochotę uciec przed jego rękoma. Pokonywanie naturalnych odruchów przychodziło jej jeszcze łatwiej niż uleganie im.

– Proszę, żebyś odniósł dla mnie błyskawiczne i bezproblemowe zwycięstwo – powiedziała. – Zachowaj energię na rywalizację z Chen Youliangiem. Z nim trzeba się będzie rozprawić najszybciej, jak to możliwe. – Zawiesiła głos, po czym dodała złośliwie: – A jeżeli armią włada równie sprawnie jak swoim innym orężem, starcie z nim może się dla ciebie okazać większym wyzwaniem niż pokonanie tego chłystka Zhu Yuanzhanga.

W pokoju zapadła satysfakcjonująca cisza. Milczenie tak głębokie, że wyłowiała w nim przypominający brzęk szkła odgłos rozsypujących się w popiół węgielków w koksowniku.

– Spałaś z Chen Youliangiem?

Dłonie oderwały się od jej włosów. Królowa zwróciła się ku niemu i przeciągnęła, prezentując swoje ciało. To samo ciało, które



tak niedawno obracały na wszystkie strony rzeźnicze łapska Chena. Czy tak naprawdę różniły się czymkolwiek od rąk generała Zhanga?

– No proszę, czyżbyś był zazdrosny? Załatwiałam po prostu interes.

– Nie wątpię. – Wycofał się. – Ale mówisz mi o tym, bo chcesz sprawić mi ból.

Motywacja, którą jej zarzucał, zakładała zbyt głębokie zaangażowanie. Krzywdzić się chcieli prawdziwi kochankowie, związani romantycznym uczuciem. Ludzie młodzi, jakimi oni nigdy nie mogli się już stać.

– Niektórym mężczyznom myśl o tym, że kobieta była z innymi, sprawia wiele rozkoszy – odparła okrutnie. – Bywa, że dodatkowo płacą, żeby oglądać upatrzoną kobietę z obcym.

– Nie musisz mówić takich rzeczy. – Z zadowoleniem usłyszała w jego głosie niesmak. Był romantykiem, więc musiał ją kochać prawdziwie i mocno, by zapomnieć o tym, skąd się wzięła, kim była dawniej i kim nigdy być nie przestała.

– Skąd możesz wiedzieć, że to nieprzyjemne? Nie próbowałeś – mruknęła.

Przez mgnienie była przekonana, że zdołała rozbudzić w nim gniew. Mężczyzna siedzący ze skrzyżowanymi nogami nago na posłaniu, demonstrujący miękkie, odsłonięte ciało, które najlepszy czas miało już za sobą, z cienką skórą zapadającą się pomiędzy silne wciąż mięśnie i kości w sposób, jakiego nie znają ciała młodzieńców, powinien wyglądać komicznie. W postaci generała kryło się jednak swoiste dostojeństwo. A spojrzenie, jakim ją obdarzył, naprawdę przeszło ją na wylot.

– Przepraszam, że cię zraniłem – powiedział.

Wzdrygnęła się. Uznał, że to on sprawił jej przykrość. Jakby zależało jej na nim tak bardzo, że coś takiego mogłoby ją zabołec, jakby nie był po prostu narzędziem. Dlaczego? Ogarnął ją przedziwny gorący bezwład, niezrozumiały paraliż. Chciała, by ją kochał, było jej to potrzebne. Chciała, by myślał, że i ona go kocha,

ale dlaczego w relacjach z nim wszystko okazywało się tak drażniaco nieznosne?

Cokolwiek dostrzegł na jej twarzy, sprawiło, że ujął ją za rękę i podjął łagodnie:

– Nie rozstawajmy się w ten sposób.

Cóż to za palące uczucie? Nienawiść, stwierdziła w duchu. Nienawidziła go. Nienawidziła go za tę jego troskę, nienawidziła jego spojrzeń, pełnych współczucia, smutku i zrozumienia, uczuć, które nie miały z prawdą o niej nic wspólnego.

– W jaki? – zaśmiała się szorstko i odebrała mu swoją dłoń. W innym miejscu i czasie identyczny gest mógłby stanowić zaproszenie do zabawy, lecz teraz był równie dziki jak jej serce. – Nie zraniłeś mnie.

Musnęła lekko jego policzek, mimo że w duszy czuła rozkołyszany tumult złości i gniewu. Czy kiedy na nią patrzył, wyobrażał sobie, że rozumie? Widzisz tylko to, co chcę ci pokazać, pomyślała gwałtownie.

Dłonie ich wszystkich na jej ciele, wszystkich przekonanych, że kładą te dłonie na niej. Nie różnili się między sobą zupełnie niczym: Syty, generał Zhang i Chen Youliang. Każdy był jedynie figurą, którą mogła w odpowiednim momencie wykonać ruch, by zrealizować jakiś swój cel. A kiedy przestawali być użyteczni, po prostu ich odrzucała. Jednych wcześniej, innych później. Tak postępowała przez całe życie i metoda ta nigdy nie zawodziła. Była kurtyzaną i królową, a pewnego dnia miała stać się cesarzową.

Nie poświęcając mu nawet spojrzenia, wstała i narzuciła szlafrok.

– Powinieneś iść. Ktoś może cię zobaczyć.

朱

Defilada dobiegła końca. Generał Zhang wyruszył na czele maszerującej pod furkocącymi sztandarami armii w kierunku

Zhenjiangu. Królowa była ledwie świadoma obecności siedzącego obok w powozie męża. W duchu wciąż spoglądała na malejące chorągwie, przesłaniane z wolna rosnącymi kolumnami kurzu. Czowała się dziwnie, jakby między nią a oddalającym się wojskiem rozciągała się napięta struna. Dziwna emocja, nieprzyjemna, rozpalająca coś bliskiego wściekłości. Nie, to nie było przywiązanie. Po prostu troska o to, by on na pewno zwyciężył, dzięki czemu ona mogłaby zrealizować kolejny punkt planu.

Powóz zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. Zęby pani Zhang zadzwoniły, ozdoby w jej włosach zakołysały się w przód i w tył, po czym znieruchomiały. Niezadowolenie ze sług zatliło się w niej tuż pod powierzchnią niczym rozżarzony węgielek. To, jak się sprawowali, świadczyło przecież o niej. Wykonując obowiązki niewłaściwie, czynili jej krzywdę, lecz wiedziała, że aby skrzywdzić ich w odwecie, musi poczekać.

Niezadowolenie Sytego nie znało podobnych ograniczeń. Był tak drażliwy, że najdrobniejszy nawet powód do frustracji stawał się okrutnie irytującym cierniem. Odsunął zasłonkę, wychylił głowę za okno powozu. Z niezadowoleniem zauważyła, że jego ciało sztywnieje.

– Mężu...

Zupełnie jakby nie istniała. Pchnął drzwiczki i wyskoczył.

Królowa przywołała ostrym tonem służkę, by pomógł jej wysiąść. Nie była pewna, co pobudziło do tak zdecydowanego działania jej małżonka niedojdę. Zazwyczaj trzeba było w tym celu zatrudnić kilka pięknych kobiet. Ruszyła niepewnymi kroczkami po zrytej koleinami bitej drodze. Oczy dotarły do celu szybciej niż stopy. Spojrzała na ścianę i to, na co z rozdziawionymi ustami gapił się Syty.

W pierwszej chwili nie do końca zrozumiała, co ma przed sobą, widok był zgoła niespodziewany.

Drzeworyt, dzieło zaskakująco wysokiej jakości, dwukolorowa, wykonana przez utalentowanego artystę karykatura Sytego. Sytego, na którego głowie tkwił zielony kapelusz, symbol rogakca.

Kapelusz bił z plakatu jaskrawym, brutalnym odcieniem zieleni. Przyprawiająca o mdłości barwa zeskakiwała z arkusza, sięgała ku niej i przepełniała ją świadomością bliskiego śmiertelnego niebezpieczeństwa. Tak wielu ludzi wiedziało. Zaufani słudzy i osoby, które wtajemniczyła, mając ku temu dobre powody. Lecz nie Syty, on nigdy. Osobiście nigdy się tym przesadnie nie przejmowała. Przecież nie zależało mu na tyle, by mógł cokolwiek zauważyć. Nie miał prawa zauważyć, o ile ktoś nie wskazałby mu tego palcem. O ile nie zostałby z tego powodu publicznie upokorzony. O ile ktoś nie zadbał o to, by nagle zaczęło mu zależeć.

Bezruch trwał tylko przez chwilę. Zaraz potem jej ciało – ciało, które nie było nią – zaczęło dygotać z napięcia niczym u przerażonego zwierzaka. Lecz to ciało zapomniało, że nie potrafi biegać.

Syty spróbował zerwać plakat, lecz klej trzymał mocno. Mąż pani Zhang wydał z siebie wściekły ryk i zaczął drapać. Na pewno łamał sobie przy tym paznokcie. Wreszcie po chwili udało mu się zedrzyć ze ściany pas papieru, fragment, na którym widniał środek twarzy.

Wymachując tym strzępem rysunku, odwrócił się. Jego wykrzywiona, poczerwieniała twarz przypominała oblicze demona. Przez moment wpatrywał się w królową nienawistnym, spopielającym spojrzeniem, lecz za moment skupił je na czymś za jej plecami.

Obejrzała się i dostrzegła w oddali kolejny plakat. A potem jeszcze jeden i następny. Wszystkie radośnie zdobiły mury całego miasta, głównych ulic i bocznych alejek, zieleniały na ścianach urzędów, pyszniły się wysoko na pniach drzew; jaskrawa, nienaturalna zieleń była niczym świetlisty porost zebrany w najbardziej odrażających zakamarkach świata, rozpowiadający wszem wobec o upokorzeniu, jakie spotkało Sytego.

Obok wyszczerzonego oblicza jej męża na każdym plakacie widniała kolumna eleganckich znaków tworzących napis: „Bratu ufam całym sercem”.

## 朱

– Ty kurwo! – Syty pochylił się nad klęczącą królową, niewygodnie zgiętą wśród gęstych fałdów pięknej szaty, której nie szyto z myślą o klękaniu.

Nie wyciągnął jej z powozu przemocą i nie zaciągnął do swoich komnat, pozwolił jej iść samodzielnie, w asyście trzymającego ją za łokieć sługi. Jego zamiary wyczuwała jednak w każdym wściekłym kroku. Przerażone zwierzątko w jej sercu zastygło, nareszcie pogodziło się z faktem, że nie potrafi biegać.

Jego emocje, podobnie jak uwaga, były krótkotrwałe. Lecz bardzo przy tym intensywne. Pomyślała w oderwaniu, że mąż zapewne skrzywdzi głęboko jej ciało, ale potem pozwoli się mimo wszystko udobruchać. Patrząc na niego w tej chwili, nie miała pojęcia, co będzie musiała zrobić, by go zadowolić. Wystąpiły mu żyły na szyi i czole, zaczerwienione miał nawet oczy.

– Z moim własnym bratem? – warknął na nią z góry. – Tym się właśnie zajmowaliście za moimi plecami? Myślałaś, że się nie dowiem? Że się nie przejmę?

Wiedziała, że się przejął. Z wyjątkiem bezpośredniej rozkoszy Syty cenił na świecie tylko jedną rzecz, a była nią własna reputacja. Chciał, by go szanowano, a plakat uczynił go pośmiewiskiem i tego nie mógł zignorować.

Generał Zhang był w tej chwili daleko. Lecz nawet gdyby został w mieście, czy cokolwiek by to zmieniło? Wściekła się na siebie, nie chciała o nim myśleć.

– To nieprawda! – zapłakała. – Niegodna kobieta nigdy nie przyniosłaby swojemu mężowi wstydu!

– I ja mam w to uwierzyć? – Syty trzasnął ją przez plecy bambusowym kijem. Ogarnięta emocjami i rozgorączkowana, nawet nie zauważyła ciosu, jakby odbił się od powierzchni jej ciała. – Byłaś kurwą i zawsze nią będziesz! A mój brat, wiecznie przekonany o własnej wyższości... Czy i on rechoce za moimi plecami?

Uderzył ją znowu i raz jeszcze. Ciosy przepęłniały jej ciało osobliwym doznaniem, coś podpowiadało królowej, że czuje ból, i coś kazało jej ciału krzyczeć, lecz umysł pozostawał daleko.

– Nie, mój mężu, błagam cię! Jesteśmy niewinni! To pomówienie! Ktoś stara się nam zaszkodzić!

Osloniła się dłońmi, które były niemal równie drobne i bezużyteczne jak jej stopy. Kij świstał w powietrzu, wgryzał się w nią. Słuchała własnych wrzasków, równie dziwnych i obcych, jak kiedy odgrywała przedstawienie rozkoszy.

– Kto zrobiłby coś takiego, gdyby nie była to prawda? – Z wysiłku Syty aż się zasapał. Lecz była w tym również przyjemność, cieszył się każdym wymachem ramienia, każdym trzaskiem bambusa. Posiadał ją, kontrolował i pławił się w poczuciu władzy. Kolejne smagnięcia przynosiły mu katharsis szału. Tak uczciwie nie spracował się jeszcze nigdy w życiu.

– To Yue! – wykrzyknęła. – Mężu mój, ona chce przepęłnić twoje serce zazdrością. Chce nas poróżnić. Chce, żebyśmy oboje cierpieli, pragnie mieć to, co mam ja. – Królowa rzuciła się naprzód i objęła go w pasie. Przycisnęła twarz do jego brzucha, do krocza, poczuła wilgoć przeпоconego ubrania, woń furii. Umysł miała jasny i czysty. Ciało stanowiło jej zbroję, chłonoło uderzenia, nie pozwalając poczuć bólu. – Ona wie, że nie ma wprawy w sprawianiu ci przyjemności. Wie, że nie może konkurować z latami, przez które dawałam ci szczęście. Nie ulegaj jej wybiegom, mężu! Wiesz, jakie jesteśmy, wiesz, jakie są kobiety!

Przyjrzał się jej. Jego brzuch falował tuż pod jej twarzą, którą się o niego ocierała, rozmazując makijaż, korna jak zbity pies.

– Czyli brak w tym oskarżeniu prawdy? – Głos Sytego ociekał wściekłym niedowierzaniem.

– Nie ma jej ani ziarna!

Od początku miała go za głupca, lecz był przy tym zajadły niczym dzik; wiedziała, że może ją zabić. Chwycił ją za gardło i rzucił głosem pełnym miękkiej, jadowitej nienawiści:

– Kto mógłby uwierzyć słowom kurwy?

Dławił ją, dusił. W pewnym momencie uświadomiła sobie mgliście, że się zsikała. Syty burknął ze wstrętem i pchnął ją na podłogę. Wyciągnął z sakiewki srebrny pierścień i rozpiął pas. Kiedy jego szata rozchyliła się na boki, rzucił się na królową: dźgał ją gąbczastym penisem, dopóki nie stwardniał na tyle, by mógł nasunąć pierścień. Skuteczniejszą metodą byłoby dalsze bicie, lecz postanowił skrzywdzić ją w ten sposób z rozmysłem: chciał pokazać, gdzie jest jej miejsce, zrobić to, czego nieuchronnie pragnęli wszyscy mężczyźni.

Skręcił jej ucho tak mocno, że wygięła plecy w łuk i wrzasnęła. Dopiero wtedy zdołał się w nią wbić. Oczywiście, że nie chciał, by leżała bezwładnie, to by nie bolało.

– Jak on śmie brać coś, co należy do mnie? Jestem od niego starszy! Dałem mu wszystko, co ma. Kim byłby, gdyby nie ja?

Próbowała uciec spojrzeniem, lecz przytrzymał jej głowę twardymi palcami i ścisnął, zmuszając ją do krzyku.

– Patrz na męża, dziwko!

Patrzyła na pulsujące na jego twarzy żyły. Pozwalała mu się pieprzyć, pozwalała mu dyrygować swoim spojrzeniem, nie mógł jej jednak zmusić, by cokolwiek poczuła. Trwała zawieszona w głębi siebie, podobna do otoczonej mięszem pestki moreli. Bezpieczna, mimo że ciało tryskało moczem i krwią. Chciała go opluć. Myślisz, że coś takiego mnie zniszczy? Gdyby tak było, nie istniałabym już w dniu naszego spotkania i nie mogłabym cię uczynić tym, kim jesteś teraz.

Kiedy skończył, zostawił ją na podłodze, bezwładną niczym zepsuta zabawka. Królowa jednak wciąż przebywała poza swoim ciałem. Miała po prostu świadomość tego, jak rozrzucone są jej kończyny, gdzie leży zwrócona na bok głowa, jak posiniaczone ma policzki. Jeden z jej bucików spadł, odsłaniając trójkątną stopę, która wydała się czymś całkowicie obcym, czymś, co nie ma prawa stanowić części ludzkiego ciała. Nie czuła bólu ani wstydu, nawet kiedy w pokoju pojawiły się jej służki – zupełnym przypadkiem nadeszły, dopiero kiedy Syty już zniknął – i podniosły krzyk.

Cóż, pomyślała pestka, tkwiąc w głębi swego owocu, to on jest głupcem. General Zhang zwycięży i wróci. Już wkrótce, mój mężu, zabraknie tu dla ciebie miejsca.





## Granica królestw Zhu Yuanzhang i rodziny Zhang

**C**hang, młody komendant Zhu, wszedł do namiotu, w którym więziony był Ouyang, i rzucił:  
– Świetlisty Król chce z tobą mówić.

Za sprawą jakiegoś enigmatycznego procesu konwergencji z wodzem Chang był niemal tak samo mikry i brzydki jak Zhu. Sprowadził ze sobą kilku strażników i wszyscy oni zaczekali w wymownym milczeniu, dopóki Ouyang nie podniósł się niezgrabnie z miejsca. Całe jego ciało skrzypiało niczym naprężona lina. Bezradność przeciągającego się uwięzienia nie tylko przepełniała serce generała furią i rozpaczą, lecz przyprawiała go o nieustanne napięcie, od którego zdawały się pękać kości.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – dodał z nieprzyjemnym grymasem Chang.

Wyszli prosto w świt zakradający się powoli na równinę dzielącą stojące naprzeciwko siebie armie Zhu i Ouyanga oraz generała Zhang. Wskutek stoczonych w ciągu kilku poprzednich dni bitew bujne dawniej morze różowej trawy zostało niemal

zupełnie stratowane, a dzisiejszy jesienny przymrozek przeobraził zdeptane źdźbła w bezkres srebrzystych fal.

Po powrocie z wyprawy na Wyspę Forteczną Zhu nie zabawił w Yingtianie na tyle długo, by generał zdążył opracować i wcielić w życie kolejny plan ucieczki.

Mnich z bezwzględną sprawnością zebrał żołnierzy swoich i Ouyanga, po czym skierował ich na wschód, ku granicy jego ziem z terytorium rodziny Zhang. Celem kampanii był Zhenjiang, miasto dla Zhangów kluczowe, leżące po drugiej stronie porośniętej różową trawą równiny, u zbiegu Wielkiego Kanału i rzeki Jangcy. Gdyby Zhu zdołał zająć Zhenjiang, pani Zhang, przebywająca w stołecznym Pingjiangu – na południe od Jangcy – zostałaby odcięta od swoich miast położonych na północnym brzegu rzeki. A bez nich jej upadek byłby praktycznie przesądzony.

A jednak, co Ouyang przepowiedział już dawno, Zhu nie wygrywał. Wszystkie jego wcześniejsze zwycięstwa stanowiły efekt gwałtownych, zaskakujących akcji i miał, jak się wydaje, nadzieję, że tym razem będzie podobnie. Generał Zhang miał jednak doświadczenie w rywalizacji z młodymi, aroganckimi karierowiczami. Okopał się i zmuszał chłopaka do trwonienia żołnierzy – w tym ludzi Ouyanga – w niemal codziennych potyczkach, które nie przynosiły właściwie żadnych postępów. Zdaniem Ouyanga generał Zhang mógł opierać się do momentu, gdy Zhu najprościej w świecie straci większość oddziałów. A potem jedynym pytaniem będzie, czy mnich postanowi się wycofać – odstupując wschodnią część swego królestwa Zhangom – czy zechce się bronić i zostanie w efekcie unicestwiony.

Gdy tylko Ouyang zrozumiał, co się dzieje, jego fantazje o ucieczce osiągnęły jeszcze wyższy rejestr desperacji. Jednak nawet gdyby zdołał wyrwać się z więziennego namiotu, co dalej? Jeszcze w Yingtianie jego armia obozowała pod miastem, wraz z końmi i niezbędnymi do jej funkcjonowania stadami zwierząt. Gdyby zdołał umknąć wtedy, mógłby przekonać swoich komendantów do

pozbycia się kadry oficerskiej Zhu i odzyskałby w ten sposób kontrolę.

Tutaj jednak, na porośniętej różową trawą równinie, zniknęło rozróżnienie na armię jego i chłopaka. Zarówno pod względem zaopatrzenia, logistyki, jak i tego, gdzie żołnierze nocowali. Oba kontyngenty zlały się w jeden. Namioty i jurty stały obok siebie, a ciągnący się za wojskiem niczym ogon komety szlak zwierząt i koni Ouyanga sięgał aż terytorium Zhu. Tutaj po prostu nie istniała fizyczna możliwość wyprowadzenia jednej armii i skierowania jej na Dadu. Myśląc o tym, generał czuł coraz silniejsze mdłości.

Z tyczki sterczącej ponad namiotem sztabowym Zhu zwisał złoty proporzec, jego frędzle smętnie trwały w nieruchomym powietrzu poranka. Chang wszedł do środka i uniósł klapę dla Ouyanga, który rzucił okiem do środka i zamarł wstrząśnięty. Nie opuścił nawet ręki, którą chciał podtrzymać klapę. Jego serce gwałtownie przyspieszyło i zadrżało. Zakaszłał.

Zakuty w złotą zbroję Zhu stał plecami do generała Xu, zajętego czesaniem mu włosów. Być może rozmawiali – Ouyang nie miał pojęcia. Mógł jedynie patrzeć. Generał Xu miał wielkie dłonie, proporcjonalne do reszty sylwetki. W kontraście z nimi głowa Zhu zdawała się śmiesznie mała. Zbierał włosy króla tak zwinnie i sprawnie, jak pozostali mężczyźni zajmowali się innymi drobnymi, zwykłymi męskimi zajęciami, nieodłącznie towarzyszącymi nadrzędnemu dziełu wojny: czyszczeniem zbroi, naprawą uprzęży, reperacją strzał.

Lecz czym innym były tamte czynności, a czym innym ta, przy której Xu musiał dotykać intymnie innego mężczyzny, zaspokajając jego cielesną potrzebę, jakby nie był generałem, tylko...

Policzki Ouyanga zapłonęły ze wstydu takim żarem, że przestraszył się, iż oślepie. Prawdę powiedziawszy, chętnie by oślepl. Włosy Zhu wciąż jeszcze nie odrosły i były krótsze niż u większości dorosłych mężczyzn, a przy tym dziwnie przycięte na końcach. Generał Xu zakręcił je, zaplótł w podwójny węzeł, po czym umocował złotą spinką i poprawił szpilką z tego samego kruszcu.

Widok był znacznie gorszy, niż gdyby zastał dwójkę ludzi na pieprzeniu. Mężczyźni tak się nie zachowują. Mężczyźni nie usługują jeden drugiemu, nie dotykają się. A jednak Zhu i generał Xu pozwalali się przy tym oglądać bez cienia zażenowania. Zupełnie jakby nie przyszło im nawet do głowy, że może ich za to spotkać pogarda.

Kiedy Ouyang wciąż nie chwycił uniesionej kłapy, Chang obejrzał się przez ramię, po czym popatrzył za jego spojrzeniem na Zhu i generała Xu.

– Coś się stało?

On również nie miał pojęcia, jak bardzo jest to niewłaściwe. Żaden z nich o tym nie wiedział. Zhu rzucił generałowi Xu swobodny uśmiech i odsunął się. Taka zażyłość nie miałyby prawa zaistnieć w świecie Ouyanga. Lecz tutaj, w świecie tego mnicha, świecie kierowanym przez mężczyznę niczym nieprzypominającego przywódcy, wszystko było odmienne. I wszystko było godne najwyżej pogardy. Niemniej kiedy Ouyang patrzył na uśmiechniętego chłopaka klepiącego z wdzięcznością Xu po ramieniu, nie poczuł w sercu odrazy, ale narastający smutek. Zanim zdołał wreszcie wejść za Changiem do namiotu, musiał kilka razy głęboko odetchnąć, a dłonie zacisnął tak mocno, że paznokcie boleśnie wbiły się w skórę.

– Dziękuję za przybycie, generale – rzucił uprzejmie Zhu, spoglądając na przybysza. Jakby Ouyang miał możliwość odmówić. Owadzi wzrok chłopaka, dziwaczny, nieosądzający, spoczął na moment na zbiegających kłykciach generała. – Chciałem zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie. Jak zapewne zauważyłeś, nie odnoszę w starciu z generałem Zhangiem tak znacznych sukcesów, na jakie liczyłem. – Słyszając to, Ouyang pomyślał z pełną pogardą rozpaczą, że Zhu jest przynajmniej na tyle przytomny, by to dostrzec. – Nie istnieje możliwość, żebym w najbliższym czasie otrzymał posiłki. Ty natomiast walczyłeś kiedyś u boku generała Zhanga, znasz jego talent i możliwości. Powiedz mi zatem. Jakie są szanse, żebym w tej sytuacji odniósł jeszcze zwycięstwo?

Zhu, podobnie jak komendant Chang i nawet generał Xu, byli w oczach Ouyanga zaledwie dziećmi. I podobnie jak dzieci, sami nie mieli jeszcze pojęcia, na co ich stać. Z tego samego powodu jednak nie wiedzieli również, na co ich nie stać.

– Nie zwyciężysz – rzucił beznamiętnie Ouyang.

Na zewnątrz zagrały bębny, pchające piechurów do dzisiejszej, bezcelowej bitwy. To ciekawe, iż Zhu nie tylko zapytał Ouyanga o zdanie, lecz jak się wydaje, uważnie go wysłuchał. Z drugiej strony wypowiedź starszego oficera nie wywarła na chłopaku tak miażdżącego wrażenia, jak powinna, ponieważ podjął beztrzesko:

– A gdybym poprosił, żebyś opracował dla mnie nową taktykę? Jeżeli ja nie mogę z nim wygrać, może ty tego dokonasz?

Bezbrzeżna naiwność propozycji była wręcz nie do wyobrażenia. Ouyang potrzebował chwili, by zebrać myśli.

– Ty idioto z melonem zamiast głowy. Naprawdę sądzisz, że pani Zhang odniosłaby tak ogromne sukcesy, gdyby jej wojskami dowodził ktoś inny niż Zhang Shide? Nic dziwnego, że przewyższa ciebie i twoich komendantów. Ale prawda jest taka, że przewyższa także mnie.

Była to prawda i tylko prawda. Ouyang przez długi czas rozprawiał się ze wszystkimi militarnymi problemami dzięki gotowości zarzucania ich niekończącymi się falami poborowych. W pewnym jednak momencie podejście to przestało się sprawdzać. Nigdy przedtem nie próbował stać się dowódcą tak dobrym jak generał Zhang. Zhang nie musiał przymuszać wojska do posłuchu smagnieniami batoga. Znał swoich żołnierzy i ufał im, a oni oddawali mu swój pot i swoją krew, ponieważ wiedzieli, że nie roztrwoni ich życia.

– Zdołałbym pokonać generała Zhanga w pojedynku – dodał Ouyang z goryczą. – Lecz od dawna wiem, że gdybym zmierzył się z nim jak wódz z wodzem, przegram z kretelem.

Nie rozpamiętywał tego faktu, ponieważ nie sądził, że do takiego starcia może kiedykolwiek dojść. Teraz jednak jego armia zjednoczyła się z armią Zhu. Obie te siły miały się skruszyć

i szczeznąć w konfrontacji z Zhangiem. Nie zostanie nikt, kogo mógłby poprowadzić na Dadu. Z tym wszak Ouyang nie potrafił się pogodzić. Po prostu nie mógł.

Spędził w towarzystwie Zhanga wiele przyjemnych chwil. Pomijając jedną zagadkową decyzję, by oddać się przebiegłej, ambitnej kurwie, Ouyang darzył tego człowieka szacunkiem. Ba, lubił go nawet. Teraz jednak zrozumiał, że szacunek ten przypomina płomyk świecy wystawiony na wyjący wicher jego desperacji. Ouyang był gotów zrobić wszystko. Nie ograniczało go już nic.

– Jeżeli chcesz pokonać człowieka o sercu tak dobrym i szlachetnym jak serce generała Zhanga, nie walcz przeciwko jego armii – poradził. – Uderz w niego samego. Zaatakuj coś, co kocha bardziej niż ludzi, w których imieniu walczy.

– A cóż to takiego, generale? – Na drobnej twarzy Zhu pojawiła się obca mina: nie wyglądał w tej chwili jak sympatyczny, przyjazny świerszcz, a raczej jak modliszka gotowa zabić ofiarę nawet tak dużą, szybką i piękną jak koliber.

Mężczyźni tylko jedną rzecz kochają bardziej od swoich braci i kochanek. Tę rzecz, w której zawierają się wszystkie ich marzenia i pragnienia, ich nadzieje i honor. Tę, której utrata niweczy nie tylko ich przyszłość, lecz także ród.

Gorące ciarki w dłoniach Ouyanga były równie niepowstrzymane jak wzbierające w nim emocje.

– Jego syn.

朱

– Jak wielką masz pewność, że jego syn rzeczywiście będzie w Zhenjiangu? – spytała Zhu Ouyanga. Mówiła niewyraźnie, ponieważ za pomocą zębów, dłoni, stopy i łokcia drugiej ręki upychała właśnie sprzęt do torby. Po chwili rzuciła zwycięsko. – Ha!

– Żadnej.

Ouyang obserwował jej wysiłki z niesmakiem. Przygotowując się do podróży, generał przebrał się w strój przeciętnego nanrena. Jego twarz niknęła w cieniu nasuniętego głęboko na czoło trójkątnego kapelusza. Zhu wcale nie musiała być jedynym jednorękim człowiekiem w okolicy, ale istniała zupełnie realna możliwość, że Ouyang jest jedynym eunuchem. Gdyby ludzie generała Zhanga zorientowali się, kto włóczy się w okolicach Zhenjiangu, przyszłość planu, a także ich własna rysowałyby się w bardzo ciemnych barwach.

– Zapytałeś o moje zdanie. I to jest moje zdanie. Generał Zhang chętnie znajduje synowi kwatery nieopodal frontu. W miejscu bezpiecznym, ale na tyle blisko, żeby w określonych momentach mógł go wezwać i pozwolić obserwować przebieg działań. Niewykluczone, że za rok lub dwa, kiedy chłopak będzie mieć już więcej, zacznie go trzymać przy sobie przez całe kampanie. Póki co dzieciak jest na to za młody. Ostatniej wiosny, kiedy byłem w Yangzhou, miał najwyżej trzynaście, czternaście lat. Na ile potrafię te rzeczy ocenić. – W głosie generała zabrzmiała nuta wrogości, jakby samo pojęcie dojrzewającego nastolatka stanowiło dla niego osobistą zniewagę.

Zhu potrafiła to zrozumieć. Wiedziała, jak czuje się ktoś obcy otoczony zmieniającymi się chłopięcymi ciałami. Ona sama, mimo że nigdy nie interesowała się tym, co młodzi nowicjusze mają innego od niej, zniecierliła własne ciało za to, że zmienia się w całkiem odmienny sposób. Ciało Ouyanga tymczasem w ogóle nie przeszło przemiany. Jakże musiał cierpieć, patrząc na rówieśników, którzy bez najmniejszego wysiłku osiągnęli to, co jemu zostało odebrane na zawsze.

– Wyglądasz jak mrówka niosąca ziarno ryżu – zauważył wzgardliwie Ouyang, patrząc na Zhu dźwigającą wypchaną torbę. – Może zamiast konia powinieneś zabrać wóz i osła. Byłoby to świetne uzupełnienie chłopskiego wyglądu.

– Ach, skoro już wspomniałeś. – Powinna była domyślić się z góry, jakiego środka lokomocji oczekiwał. – Ponieważ na

wszystkich głównych traktach do Zhenjiangu generał Zhang rozmieścił posterunki, nie możemy z nich skorzystać. Na szczęście w górach jest wiele szlaków, którymi wieśniacy chadzają do miasta na targ.

– Nie – rzucił Ouyang, domyślając się, do czego zmierza Zhu, która w tej samej chwili potwierdziła jego obawy:

– Idziemy piechotą.

Kilka godzin później, niemal w połowie drogi do Zhenjiangu, Zhu przystanęła i obejrzała się za siebie. Wyglądający w swoim kapeluszu niecodziennie Ouyang z mazołem wspinał się po zalanym blaskiem księżyca zboczu. Stopy musiały mu już ozdrowieć po pamiętnej próbie ucieczki, lecz nie przestały być miękkimi, wrażliwymi stopami człowieka, który nigdy w życiu nie odbył ani jednej dłuższej pieszej wędrówki. Zhu zobaczyła je przelotnie w jego celi w Yingtianie i pamiętała, jak są wąskie i blade. Pomimo tego, ponieważ stopy wszystkich nanreńskich arystokratek były deformowane wiązaniem, doszła do wniosku, że te wąskie i blade stopy muszą być najbardziej męską częścią jego ciała.

– Boli? – spytała.

– A bolało, kiedy odciąłem ci rękę? – syknął Ouyang i wyminął ją, z wyraźnym wysiłkiem powstrzymując się od utykania.

– Nie jestem pewien, czy to najlepsze porównanie. – Dogoniła generała. – Odciski to nie do końca to samo, co zagrażająca życiu amputacja kończyny. – Strata ręki bolała. Obiektywnie rzecz biorąc, był to najgorszy ból, jakiego zaznała, lecz aby zdobyć to, czego pragnęła, byłaby gotowa oddać nie jedną dłoń, ale kilka.

– Powyżej pewnego progu każdy ból jest jednaki – zauważył Ouyang. – Nieważne, czy to odcisk, czy niebezpieczna dla życia strata części ciała, o czym, swoją drogą, też wiem co nieco. W bólu nie kryje się nic ciekawego. Różne rodzaje różnią się jedynie intensywnością. Im wyższy stopień, tym skuteczniej wymazuje z istnienia świadomość cierpiącego. W pewnym momencie boli tak bardzo, że człowiek znika bez reszty. – Zamilkł i po chwili namysłu dodał: – Co niekoniecznie zawsze jest złe.



Bardzo szczególna refleksja. Zhu nie mieściło się w głowie, by kiedykolwiek mogła zapragnąć niebytu. Jej myśli uleciały na mgnienie ku dawno nieżyjącemu chłopcu, który jako pierwszy nosił miano Zhu Chongba. Leżał na łóżku i z każdym oddechem wyzbywał się życia oraz przeznaczonej mu wielkości. Pozwolił, by jego los przejęła ona. Nie był dość silny, by znieść cierpienie, jakie się z tym pragnieniem wiązało. W przeciwieństwie do Zhu.

– Cóż, może to ja jestem zmęczony. Być może mnie bolą nogi. Myślę, że powinniśmy odpocząć – obwieściła. Nieopodal ścieżki stało samotne drzewo, osłaniające ziemię przed rosą. – Spójrz, bardzo przyjemne miejsce!

Rozejrzała się, czy w trawie nie ma krowich placków, po czym usiadła. Ouyang, którego sylwetkę widziała na tle wzgórza dzięki światłu księżyca i upiornej poświacie zjaw, wyglądał przez chwilę jak uosobienie przekory, lecz ostatecznie cofnął się i zajął miejsce obok niej.

Księżyc oglądany poprzez ciała duchów, które zbiły się wokół generała, wyglądał inaczej. Zhu zrzuciła buty i zdjęła skarpety, jakby chciała jedynie rozprostować palce. Zaraz jednak wciągnęła buty z powrotem, a skarpety zostawiła. Ouyang, nie patrząc na nią, zabrał jej skarpety i wsunął na własne.

Odpoczywali, nasłuchując nocnego pokrzykiwania zmierzających ku rzece czapli. Spowijające generała przezroczyste zjawy sprawiały, iż wydawał się bardzo odległy, jakby przebywał w tej chwili znacznie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Zhu przypomniła sobie kilka pierwszych spotkań z Ouyangiem. Był wówczas daleki jak piękna gwiazda, choć łącząca ich więź przyciągała ich równie nieustępliwie jak siła grawitacji. Dziwnie, lecz właściwie było siedzieć teraz u jego boku, jakby od dawna staczała się z górskiego zbocza i dopiero teraz znieruchomiła na odpowiednim miejscu.

– Duchy – zaskoczył ją, przerywając milczenie. – Te, które za mną chodzą. Czy przypominają ludzi, którymi niegdyś były?



Zhu oglądała kiedyś swojego ojca i brata przeobrażonych w pośmiertne widma stojące po drugiej stronie opromienionego

blaskiem księżycy grobu. Bardzo długo czuła się przywiązana do brata za sprawą strachu i przeznaczenia. Teraz, kiedy stała się obecną wersją siebie, dawna więź osłabła, a pamięć o tamtych zjawach zdawała się opowiastką o zupełnie obcych osobach.

– Twoje wyglądają jak ludzie – odpowiedziała. Być może lepiej było nie wspominać mu o zdeformowanych, nikczemnych monstrach, które nie mogąc zaznać spoczynku, krążą wygłodniałe po ciemnych zakamarkach świata.

Siedział z głową odwróconą w inną stronę, niewidoczny w cieniu kapelusza. Milczał tak długo, że uznała, iż nie chce wiedzieć nic więcej. Wtem, głosem tak straszliwie ochrypłym, jakby nie do końca chciał wiedzieć, spytał:

– A czy jest z nimi Esen-Temur?

Esen-Temur, książę Henanu. Ponad dziesięć lat wcześniej Zhu siedziała na rozłożystym zielonym dachu klasztoru i podziwiała młodego mongolskiego arystokratę, którego warkoczykami wiatr szarpał niczym grzywą rwącego się do biegu rumaka. Wówczas jego tożsamość nie znaczyła dla niej zupełnie nic. Dopiero teraz dostrzegła w nim syna człowieka, który zgładził rodzinę Ouyanga. Człowieka, który stał się panem i władcą Ouyanga, aż po ten dzień w Bianliangu, kiedy generał zdradził go i zabił.

Gdyby Zhu brała pod uwagę jedynie okoliczności, uznałaby, że Ouyang przez całe życie widział w Esen-Temurze wroga, że unizona postawa służyła mu jako maska nienawiści. Dzisiaj jednak, kiedy zdążyła już trochę generała poznać, wiedziała, że to byłoby wykluczone. Ouyang nie potrafił udawać niczego nawet przez chwilę, co dopiero całymi latami. A u boku Esen-Temura spędził całe życie. Razem jeździli, walczyli, zawierzali sobie wzajemnie własne życie. Ouyang nie mógł tego pozorować. Jego lojalność aż po ostatnią chwilę musiała być szczera.

Usłyszała w duchu echo słów, które dawno temu na tamtym dachu wypowiedział Xu Da: mnisi opowiadają, że wielmożny Esen posiada eunucha, którego ceni wyżej niż własnego brata.

Najbardziej wyraziście wrył się wtedy w jej pamięć wcale nie Esen-Temur. Znacznie lepiej zapamiętała fakt, że mistrz wzbronił Ouyangowi, jako eunuchowi, wstępu do świątyni. Esen-Temur wygłosił krótki protest. Może Ouyang rzeczywiście był mu drogi. Ostatecznie jednak porzucił go samotnego i zawstydzonego.

Zhu spojrzała na duchy. Krążyły wokół siedzącego z podciągniętymi do piersi kolanami generała. Ouyang przypominał czarne oko cyklonu. Śmierć zarówno książąt, jak chłopów zmieniała w białe, falujące sylwetki. Wszystkim zjawom rozpuszczone włosy plątały się na ramionach, jakby widma same nosiły po sobie żalobę. Niemniej wśród dziesiątek martwych oblicz w tym upiornym tłumie nie dostrzegła nawet jednego mongolskiego.

– Nie ma go – rzuciła dziewczyna. Odpowiedź nawet jej wydała się niezadowolająca, więc zaraz dodała: – Ale jeden może być chyba twoim ojcem. Gdybyś mi go opisał...

W wyrazie twarzy Ouyanga nie zmieniło się nic, lecz Zhu odniosła nieodparte wrażenie, że na mgnienie zastygł. Moment później podniósł się z trawy.

– Nie – powiedział przez ściśnięte gardło. – Niczego więcej nie chcę wiedzieć.

Popatrzyła za nim, kiedy ruszył sztywnym krokiem pod górę, prowadząc za sobą leniwą procesję duchów. Pomyślała o krwi, którą zobaczyła między palcami zaciśniętych pięści generała, gdy odwiedził ją wcześniej w namiocie.

To niekoniecznie jest złe. Czuć ból tak silny, że wymazujący cierpiącego człowieka z istnienia.

## **Zhenjiang**

W gwarnym, zamożnym nadrzecznym Zhenjiangu można było odnieść wrażenie, że na świecie nie toczy się żadna wojna.

Szli główną ulicą. Zhu paradowała spacerowym krokiem, Ouyang na przemian utykał i maszerował. Chłonęli widoki bogatych rezydencji, zatłoczonych sklepów i herbaciarni. Twarz generała wciąż skrywał kapelusz, lecz sylwetkę miał tak sztywną, jakby nosił na sobie pancerz. Zhu zapewne mniej rzucałaby się w oczy, gdyby zabrała ze sobą Xu Da bądź Yuchuna, lecz jedynie Ouyang widział na własne oczy syna generała Zhanga. Przypadkowe porwanie innego trzynastolatka skończyłoby się niefortunnie dla wszystkich zainteresowanych.

– Ciekaw jestem twojego planu – rzucił cierpko Ouyang, jakby czytał jej w myślach. – Uważam za bardzo interesujące, jak zamierzasz odszukać chłopaka w mieście, w którym nikogo nie znamy i w którym nigdy wcześniej nie byliśmy.

– No więc tak... – Rozpromieniona Zhu odwróciła spojrzenie od straganu z mięsem, przy którym na oko trzynastoletni chłopczyk (ale nie ten, co trzeba) bez większego entuzjazmu zganiał muchy z pokrytych srebrzystymi błonami płatów wołowiny.

– Żartowałem. Wcale mnie to nie interesuje. – Generał poszedł już dalej. – Po prostu zrobmy coś wreszcie.

Dziewczyna sięgnęła do torby, lecz w tej samej chwili jej uwagę zwrócił przyklejony do pobliskiej ściany drzeworyt. Plakat przedstawiał karykaturę mężczyzny w zielonym kapeluszu rogacza. Mongołowie rzeczywiście mieli zwyczaj rozwieszania podobizn poszukiwanych przestępców, lecz na południu zostało w ich rękach bardzo niewiele miast, a z pewnością nie zaliczał się do nich Zhenjiang.

– Co to?

– Ten artysta ma spory talent. – Ouyang wrócił i spojrzał ponad jej ramieniem. – Bardzo wierna podobizna. To portret Sytego Zhanga.

– Nie miałem okazji poznać go osobiście – przyznała Zhu, starając się zapamiętać rysy. – Ale może powinienem! Mówi się, że najlepszym sposobem na urodę jest stanąć obok kogoś brzydkiego.

– Jesteś pewien, że to ty lepiej byś na tym wyszedł?

– Cóż – rzuciła Zhu z udawaną urazą w głosie – będę się chyba musiał zadowolić myślą, że jestem od niego bardziej kompetentny i mam bardziej lojalną żonę. – Odczytała drobne znaki z plakatu i parsknęła radosnym śmiechem. – Czyli to generał Zhang pieprzy panią Zhang? Nie wspominałeś przypadkiem, że to człowiek o dobrym i szlachetnym sercu? A może ta kobieta jest naprawdę aż tak urodziwa, że nawet najszlachetniejsi ulegają pokusie? Trzeba było lepiej się przyjrzeć, kiedy z nią rozmawiałem.

– Nawet najbrzydsze kurwy mają swoje sztuczki. – W głosie Ouyanga zabrzmiała niezwykła nawet jak na niego odraza. – Za to mężczyźni...

– ...to głupcy, którzy nie potrafią przewidzieć konsekwencji własnego postępowania. Podczas gdy wszystkie kobiety, jakie znałem, kwestię konsekwencji rozumiały akurat bardzo dobrze – dopowiedziała Zhu z namysłem. – Niemniej generał Zhang sprawiał na mnie zawsze wrażenie rozsądnego człowieka. A pani Zhang nie wydała mi się osobą skłoną ryzykować gniew zazdrosnego męża w imię czegoś tak bezużytecznego jak pożądanie czy miłość... Ach! – Prawda zaświtała jej w głowie. – Powiedziałeś kiedyś, że nie tylko ja posiadam mandat. Nie mówiłeś wtedy o Sytym. Miałeś na myśli generała Zhanga. – Zmierzyła nieprzyjemnym spojrzeniem ukrytego pod kapeluszem Ouyanga. – Nie wyjaśniłeś mi. Kazałeś snuć domysły.

Odkryła, że z ramion generała można czytać równie łatwo jak z sylwetki rozjuszonego kocura. „Zrobiłem to, ponieważ przetrzymywałeś mnie wbrew mojej woli. Poza tym nienawidzę cię!”

To całkiem sensowne, że pani Zhang postanowiła spleść swój los z losem najsilniejszego mężczyzny rodu, mimo że nie był tego rodu głową. Ani jej małżonkiem.

– Czy Syty o tym wiedział? Nie wiedział, prawda? – Żaloszny zazdrośnik mógłby pozwolić bratu odwalać całą robotę i wykazywać się w polu, lecz za nic nie pozwoliby rzeczonemu bratu odebrać sobie tronu. – Cóż za skandal! Co tam armia czy królestwo! Syty

Zhang, nieborak, nie dowodzi nawet we własnym łóżku! Najbardziej dziwi mnie jednak, że pani Zhang wciąż się go nie pozbyła. Mając generała u boku, mogłaby przecież przejąć władzę.

– Nie wątpię, że do tego właśnie dąży. Pamiętaj jednak, że generał Zhang naprawdę jest człowiekiem honoru. A znalazł się w niełatwym położeniu. Kocha brata, a jednocześnie kocha jego żonę.

– Mimo że ma brata takiego, jakiego ma – skwitowała ironicznie Zhu. Sama bez większych rozterek pozwoliła umrzeć prawdziwemu Zhu Chongbie, lecz z drugiej strony nie uważała się za wyjątkowo honorową osobę. – Myślisz, że za tym plakatem stoją Yuanowie? Publiczne upokorzenie wroga... Bardzo twórcze podejście, jak na nich.

– Nie jest to w stylu wielkiego radcy, ale nawet starzy wojownicy uczą się czasem nowości. – Ouyang wzruszył ramionami. – Któż inny mógłby to zrobić?

– No tak... – Zhu ściągnęła brwi. Rzeczywiście najbardziej zainteresowani klęską rodziny Zhang byli Mongołowie i ona sama, lecz kiedy się nad tym zastanawiała, zbudziło się w niej dziwne przecucie. – Pewnie masz rację.

Nastał ten leniwy moment poranka, kiedy domowi służący uporali się już z najpilniejszymi obowiązkami nowego dnia i rozważali, czy przed zajęciem się przygotowaniami do obiadu nie warto zasiąść na chwilę z czarką herbaty w dłoni. Zhu odsunęła na bok sprawę plakatu, otworzyła torbę i zamachała pod kapeluszem Ouyanga niewielką suszoną tykwą. W tykwie rozległo się wściekłe bzyczenie.

– Pora zająć się interesami!

– Chcesz sprzedawać... świerszcze do walk!?! – rzucił generał z bezgraniczną pogardą w głosie.

– Nie bratałeś się zbyt często ze swoimi żołnierzami, co? – zaśmiała się dziewczyna. A potem zaśmiała się jeszcze głośniej, bo chociaż nie widziała jego twarzy, była pewna, że przewrócił oczyma. – Generał Zhang musiał zostawić synalkowi do towarzystwa kilku

strażników, parę sług, może nawet jakiegoś nauczyciela. Założę się, że całe to towarzystwo odchodzi od zmysłów z nudy. – Podeszła energicznie do najbliższej rezydencji i zapukała do bramy. – Walki świerszczy to znakomity sposób na zabicie czasu. Aczkolwiek Ma Xiuying za tą rozrywką nie przepada. Powiada, że to okrutne. Namawia, żebym po zwycięstwie zakazał tej formy hazardu. Twierdzi, że ponieważ w następnym życiu wcielę się w robala, wyświadczę sobie w ten sposób przysługę... Świerszczyki? – Zakołysała tykwą, kiedy zza bramy wyjrzała służąca.

– Ile domów chcesz w ten sposób obejść? – rzucił groźnie Ouyang.

– Tyle, ile będzie trzeba – odparła wesoło Zhu i podbiegła do służki opuszczającego właśnie sąsiednią posesję. – Może świerszczyka?

朱

Z nastaniem popołudnia cierpiący na dotkliwy ból nóg Ouyang snuł już fantazje o splądrowaniu całego Zhenjiangu w pojedynkę, co wydawało mu się bardziej przyjemnym i skutecznym sposobem wypłoszenia zwierzyny z kryjóWKi. Nigdy w życiu nie zastanawiał się nad tym, ile domów może znajdować się w jednym (dużym) mieście. Okazało się, że odpowiedź brzmi: zdecydowanie zbyt wiele. Jego od początku niezbyt imponująca wiara w plan Zhu skurczyła się do rozmiarów tak mizernych, że kiedy chłopak zapukał do niepozornej rezydencji w centrum miasta i z bramy wybiegło kilku umundurowanych żołnierzy, którzy z miejsca wykupili wszystkie świerszcze, dopiero po chwili zrozumiał, co właśnie zaszło.

– Nawet jeżeli to rzeczywiście tutaj... – wycedził przez zęby generał, spoglądając na rozpromienionego Zhu, który niemal w podskokach szedł na drugą stronę ulicy.

– Nawet!



– ...czy nie sądzisz, że generał Zhang rozkazał dzieciakowi siedzieć w środku?

– Widzę, że już jako dziecko musiałeś być duszą towarzystwa. – Zhu przystanął przed dwiema herbaciarniami działającymi naprzeciwko wytypowanej rezydencji.

– Jako dziecko byłem niewolnikiem – odparł Ouyang z surowością, która dawniej przerażała całe bataliony.

Jednakże chłopak nie tylko nie pozwalał się zastraszyć, lecz wykazywał irytującą skłonność do odbierania mu ostatniego słowa.

– Nikt nie może oskarżyć klasztornych władz o niedociągnięcia w dziedzinie dyscypliny, ale nawet mnisi wiedzą, że próba utrzymania pełnych werwy młodych mężczyzn za murami to daremny trud. Chłopak wyjdzie. Wcześniej czy później. Musimy po prostu poczekać. Znajdźmy wolny stolik.

Ledwie jednak Zhu wszedł do jednej z dwu herbaciarni, właściciel spojrzął na jego drewnianą rękę, po czym nie zauważając nawet na człowieka, do którego proteza była zamocowana, nie mówiąc ani słowa, splunął mu prosto na but.

Ouyanga zaskoczył bezmiar wściekłości, jaka ogarnęła go na ten widok. Znał takie spojrzenia. Czuł je na sobie przez całe życie: wzrok mówiący wyraźnie, że w oczach innych ludzi nie jest nawet osobą, ale zwykłym przedmiotem. Gdyby nie ukrywał w tej chwili twarzy w cieniu kapelusza, twarzy, która obrażała wszystkich upartym trwaniem w dwuznaczności, spotkałby się z identyczną odrazą. Ouyang okaleczył Zhu właśnie dlatego, że chciał, by chłopak poczuł, czym jest wzgarda i odtrącenie. Chciał, by poznał smak cierpienia wywoływanego przez obrzydzenie całego świata. Z tego jednak, że ruszył groźnym krokiem na właściciela, zdał sobie sprawę, dopiero kiedy Zhu chwycił go za przegub i wyprowadził z powrotem na ulicę.

– Nie róbmy zamieszania! Nie ma powodu! – Ku wściekłemu zdumieniu Ouyanga Zhu najwyraźniej ani trochę nie przejął się świeżą plamą na honorze, która znaczyła także jego obuwie. Zaciągnął generała do sąsiedniej herbaciarni, gdzie zawołał wesoło:

– O, patrz! Tu i tak jest lepiej. Stąd nas nie wykopią, nawet kiedy zrobi się późno, i będziemy mogli przespać się przy stole aż do jutra.

Ouyang nie miał pojęcia, jakim cudem chłopak wywnioskował to wszystko z jednego pobieżnego spojrzenia. Z jego punktu widzenia oba lokale nie różniły się od siebie absolutnie niczym. Usiedli przy stoliku zapewniającym wyśmienity widok na ulicę i przeciwległą rezydencję. Nieskora do uśmiechu, lecz bardzo grzeczna właścicielka przyniosła im talerz pełen całkiem znośnych w smaku plastrów pijanego kurczaka. Generał dopiero po długiej chwili zwrócił uwagę, że klientelę herbaciarni stanowią poza nimi wyłącznie kobiety. Siedziały grupkami, choć dostrzegł też kilka samotnych, a przed każdą stała na stole latarnia. Jedna wygrywała na flecie rzewną melodię, inne zabawiały się grami towarzyskimi i rozmową. W pewnym momencie Ouyang zauważył podchodzącego do grupki kobiet mężczyznę. Wywiązała się krótka rozmowa, po czym jedna z dziewczyn sięgnęła po swoją latarnię i wyprowadziła nieznanego w noc. Nagle generał doznał olśnienia. Już wiedział, skąd Zhu miał pewność, że przybytek nie zamknie podwojów aż do rana.

– To kurwy!

Zhu oderwał wzrok od dwóch strażników, którzy weszli właśnie do rezydencji ze świeżo zakupionym dzbanem wina, i spojrzał na generała.

– To przeurocze dziewczęta. Pomyśl, odkąd tu weszliśmy, nie zostałem opluty ani razu. Będzie trzeba zostawić napiwek.

Nawiązanie do wcześniejszego incydentu na powrót rozjuszyło generała. Przyłapał się na tym, że próbuje obliczyć, ile razy widział ludzi odwracających wzrok od Zhu tutaj i w Taizhou. Nawet uliczni sprzedawcy obsługiwali chłopaka z niejakim wahaniem, przez cały czas rzucając mu ukradkowe spojrzenia. A mimo to cały ten bezkres obrazy spływał po Zhu niczym woda po słomianej pelerynie.

– Jak to możliwe, że wszyscy traktują cię w ten sposób, a ty się tym nie przejmujesz? Przecież on nawet nie przywitał cię jak człowiek człowieka! Widziałem to po nim wyraźnie: gdyby wraz

z tobą do tamtej herbaciarni wlaź parszywy kundel, ciebie wykopałby pierwszego.

Żartobliwy sposób bycia Zhu pozwalał mu zazwyczaj wiele ukrywać, stanowił coś w rodzaju parawanu przesłaniającego wewnętrzne życie. Teraz jednak na krótką chwilę zasłona opadła.

– Ja się przejmuję. Naprawdę sądziłeś, że nie? W obliczu nienawiści nikt nie czuje się dobrze. Lecz cóż, taki już po prostu jestem. Wiele czasu musiało upłynąć, żebym stał się takim człowiekiem. Kimś, kto nie tylko może, ale zdobywa wszystko, czego chce. A teraz, kiedy jestem już, kim chciałem, nie zamierzam się ukrywać po to tylko, żeby inni się ode mnie nie odwracali lub żeby na mnie nie pluli. Jeżeli za to, czego pragnę, muszę zapłacić takim właśnie osądem świata, chętnie na to przystaję.

Piskliwe, dziwnie zduszone brzmienie fletu jednej z kurew mocno działało Ouyangowi na nerwy.

– Naprawdę chętnie – dodał półgłosem Zhu. – I jestem dość silny, żeby to znieść. Choć oczywiście bywa to trudne. Przymykanie oczu na obelgi, znoszenie pogardy wszystkich dokoła. Podejrzewam, że dobrze wiesz, jakie to uczucie, generale.

Patrząc w tę drobną, brzydką, znienawidzoną twarz, Ouyang doznał nieprzyjemnego, drażniącego uczucia, iż widzi coś znajomego. Zupełnie jakby zajrzał w głąb brązowego zwierciadła i odkrył, że odbicie nie przedstawia ciała, lecz tylko duszę. Niedobrze. Niczego nie pragnął bardziej, niż uwolnić się od Zhu, lecz ta emocja spinała ich ze sobą, jakby byli dwoma wijącymi się ciałami nadzianymi na jedną włócznię. Odsunął się gwałtownie od stolika i syknął:

– Dlaczego to beztalencie tak rzępoli? Czy ta kurwa myśli, że grając na flecie, zrobi lepsze wrażenie na klientach?

Zmiana tematu miała bardzo oczywistą przyczynę, lecz Zhu ku wielkiej uldze generała nie wrócił do poprzedniego.

– Wydaje mi się, że wielu mężczyzn uznaje grę na flecie za talent godny pożądania.

Powiedział to tonem tak poważnym, że Ouyang nie zrozumiał od razu. Skojarzył dopiero po chwili. Umysł w pierwszej kolejności podsunął mu wizję generała Xu z dłońmi we włosach Zhu, a potem mutację tego obrazu, wskutek której ciało Ouyanga zalała tak gorąca fala wstydu, że jedynie cudem nie stanął w płomieniach.

– Czy generał Xu jest zdolnym flecistą? – wycedził.

Wychwycił w spojrzeniu Zhu nagły błysk zainteresowania i uświadomił sobie, że zadając to pytanie, odsłonił jedynie sam siebie. Chłopak zareagował jednak spokojnie.

– Prawdę mówiąc – powiedział – Ah-Da nie jest ani trochę muzyczny. Proszę, zjedz jeszcze kurczaka. Jest znakomity. – Popatrzył w zadumie na drugą stronę ulicy. – Zauważyłeś służących, którzy chodzili jakiś czas temu do stajni? Założę się, że jutro chłopiec wybierze się na przejażdżkę.

Zhu wstał i podszedł do zajętej grą na flecie kurwy.

Skonsternowany Ouyang siedział przy stoliku i obserwował rozmawiającego z kobietą towarzysza. Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Zhu wrócił i położył na blacie flet oraz dwa niewielkie puzderka.

– Przemiała dziewczyna! I bardzo pomocna. – Otworzył jedno z puzderek, powąchał i skrzywił się. – Miałeś pojęcie, że jeżeli zmieszasz ze sobą te dwa kosmetyki, twarz obsypią ci wrzody i umrzesz straszliwą śmiercią?

– Nie miałem – odparł generał.

Zhu obdarzył go zagadkowym uśmiechem Buddy.

– Ja wiem od żony. Kobiety posiadają bardzo rozległą i zróżnicowaną wiedzę – stwierdził, po czym wręczył Ouyangowi pałeczkę i nóż. – Zaostrz to, proszę.

Kiedy generał spełnił prośbę, Zhu wsunął zaostrzoną pałeczkę do fletu, przytknął wargi do ustnika i dmuchnął na próbę. Drewniany patyczek wystrzelił i wbił się w najbliższe lniane przepierzenie.

– Chyba mam wrodzony talent do fletu. – Chłopak zaśmiał się do siebie.

Poszedł po pałeczkę i wysmarował jej szpic zawartością obu puzderek.

– Wydaje ci się to okrutne? Wiem przecież, że wy, Mongołowie, darzycie konie gorącą miłością.

– Szczęśliwie dla ciebie – rzucił Ouyang – nie jestem Mongołem.

– I dobrze – odparł Zhu z błyskiem w owadzich oczach.

朱

Niewielka grupka jeźdźców, która na oczach Ouyanga zebrała się chwilę temu przed bramą, znikła już w głębi ulicy. Zhu pojawił się z powrotem przed herbaciarnią, prowadząc mocno przygnębionego konia i dwukólkę z zasłoniętymi oknami.

– Udało ci się?

– Nie – syknął generał, wkładając w to słowo tyle sarkazmu i pogardy, ile tylko mógł. – Chybiłem wielkiego konia z niecałych dwudziestu kroków. Ale nie przejmuj się. Poszedłem tam osobiście i na oczach twojej przyszłej ofiary i obu strażników wbiłem chabcie zatrutą pałeczkę prosto w zad. Oburącz. – Po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji przy stoliku herbaciarni generał czuł się nieprzyjemnie brudny i miał wrażenie, że pod powiekami zebrał mu się drażniący piasek. Odciski na stopach pulsowały bólem. – Mam nadzieję, że nie zapłaciłeś za to stworzenie zbyt wiele?

– Przeplaciłem, i to bezdyskusyjnie – odparł rozweselony Zhu. – Ale kiedy człowiek zostaje królem, jego szczodrość powinna być bezdena jak samo morze. Jedziemy.

Jeźdźców dogonili, kiedy tamci zatrzymali się na skraju miasta. Wszyscy trzej stali na ziemi i z przerażeniem wpatrywali się w spienionego, cierpiącego konia. Zhu podprowadził dwukólkę, a Ouyang wyskoczył i gładkim ruchem skreślił kark pierwszemu strażnikowi. Kiedy jego towarzysz odwrócił się zaskoczony i wziął zamach, generał uchylił się pod sunącym w powietrzu ramieniem i zdzielił przeciwnika łokciem w twarz. Żołnierz padł na drogę,

a Ouyang szybkim ruchem klęknął i także jemu skręcił kark. Zaraz potem wstał i ruszył na chłopca, który wydając z siebie stłumione, bezradne okrzyki, próbował się cofnąć. Dwa szybkie uderzenia w punkty vitalne i dzieciak stracił przytomność.

Zhu pojawił się obok w okamgnieniu. Otworzył drzwi powozu, by Ouyang mógł wrzucić porwanego do środka.

– Dobra robota, generale! – pochwalił, po czym zanurkował do swojej torby i wyłowił z niej jakiś kłęb tkaniny. – Teraz musimy już tylko...

Chłopak wciąż mówił. Ledwie jednak Ouyang zrozumiał, że Zhu trzyma w ręku sukienkę, świat pociemniał i zniknął. Pozostał jedynie puls furii i wstyd. Dlaczego w ogóle spodziewał się czegoś innego? Powinien być mądrzejszy, a tymczasem dał się w jakiś sposób omamić. Całe życie uczyło go jednego, powtarzał tę samą lekcję raz po raz. Czy to Mongołowie, czy nanreni, wszyscy ludzie są identyczni: wszyscy chcą go poniżyć, upokarzać i wykorzystywać.

– Generale. Generale! To nie dla ciebie. To dla mnie. Ja założę tę sukienkę!

Z mgły otępienia wyrwał go wyczuwalny w głosie Zhu niepokój, jakby chłopak naprawdę zrozumiał, co Ouyang w tej chwili poczuł. Co więcej, Zhu podszedł krok bliżej, być może planując ująć generała za rękę w geście... Czego właściwie? Pokrzepienia? Solidarności? Ouyang przypomniał sobie nagle chwilę, kiedy chłopak zadbał o to, by więzień mógł się wysikać na osobności. Mnich nie tylko rozumiał wyjątkowe kalectwo Ouyanga, on nawet (bardzo niemądrze) zaryzykował i wyszedł mu naprzeciw. Generał pomyślał z niechęcią, że żaden inny mężczyzna, jakiego w życiu poznał, nie miał pojęcia, co znaczy być odmiennym. Żaden nie wiedział, jak to jest zмагаć się z czymś, co dla pozostałych jest tak proste i oczywiste, co przychodzi naturalnie. Jak to jest być opluwanym przez obcych za sam tylko wygląd.

Ouyang otworzył z wysiłkiem mimowolnie zaciśnięte pięści. Nie musiał nawet patrzeć, wiedział, że dłonie spłynęły krwią.

– Ja mogę nas przeprowadzić przez posterunek. Nikt nie musi się... poniżać.

– Drogi strzeże ponad tuzin piechurów. – Zhu rozebrał się już do bielizny. – Wiem, generale, że jesteś w tym dobry, ale tylu przeciwników mogłoby sprawić kłopot nawet tobie. Poza tym – uśmiechnął się krzywo – mnie to nie przeszkadza. Wiem, kim jestem. Kobięcy strój mnie nie zmieni. – Owinął się sukienką, pochylił głowę, przytrzymał jeden z troczków zębami i przywiązał drugi ręką... Następnie rozpiął włosy, które spłynęły mu luźno na ramiona. Kiedy jednak wyciągnął z torby wstążkę, jego czoło przecięła zmarszczka. – Jedną ręką niełatwo mi będzie uporać się z fryzurą. – Podał wstążkę generałowi. – Mógłbyś mnie uczesać? W koczek z tyłu głowy, taki, jakie noszą mężatki.

Ouyang się wzdrygnął. Spróbował – bez powodzenia – nie myśleć o silnych palcach generała Xu błędzących po głowie Zhu, zbierających jego włosy...

– Nie będę ci usługiwać.

– Nie każę, żebyś mi służył – rzucił chłopak zniecierpliwionym tonem. – Proszę tylko, żebyś mi pomógł. Zresztą czyja to wina to wszystko? Nie migaj się od odpowiedzialności. Mogłeś przecież wyłupić mi oko, wyciąć na czole sprośności, ale nie. Musiałeś akurat odciąć mi rękę!

– Kiedy sprawdzą nasz powóz, to nie twoja fryzura będzie problemem – odwarknął Ouyang. – Naprawdę myślisz, że uwierzą, że ktoś tak brzydki jak ty jest kobietą?

Zhu wzniósł oczy do nieba.

– Na świecie są także brzydkie kobiety. Widocznie wiodłeś dotąd wyjątkowe życie, skoro spotykałeś wyłącznie piękności. Pewnie tak to jest, kiedy człowiek wychowuje się w pałacu. Wiedz jednak, że jestem bardzo wiarygodną kobietą. Poza tym szkoda czasu na dyskusje. – Wskoczył do dwukółki i wciągnął sobie nieprzytomnego chłopca na kolana, ułożył go tak, jak niespokojna matka ułożyłaby chore dziecko, po czym zaciągnął zasłonki. – Naprzód!

Posterunek okazał się grodzącą trakt niewielką drewnianą barykadą. Zgodnie z zapowiedzią Zhu strzegła go okazała grupa zbrojnych. Generał Zhang ewidentnie nie chciał pozwolić, by pomiędzy frontem a ziemiemi jego rodu swobodnie krążyli wrodzy szpiedzy, sabotażyści i prowokatorzy.

– Stać! Podaj cel podróży! – Wartownik wyszedł na spotkanie prowadzącemu powóz Ouyangowi.

– Wracam z żoną od lekarza. Chore dziecko wiozę – rzucił sztywno generał, starając się jak najlepiej naśladować południowy akcent Zhu.

Żołnierz, jakby zbity z tropu, zamrugał, przez co Ouyang zmieszał się, niepewny, czy ze swoją nieudolną wymową wypadł na chłopca, mnicha, czy kogoś jeszcze innego. Niemniej strażnik powiedział tylko:

– Sprawdzimy pojazd i możecie jechać.

Kiedy wartownik podszedł do powozu, generał zaczął się denerwować. Uświadomił sobie, że gdy jego podkomendni pełnili tego rodzaju służbę, wykazywali skłonność do dokładniejszego badania kobiecych piersi, niż uzasadniały to okoliczności. Jak duża była szansa, że strażnik zauważy płaską pierś Zhu? Usłyszał dolatujące z dwukółki słowa chłopaka. Z płynącą wprost z trzewi odrazą zdał sobie sprawę, iż Zhu podniósł głos do wysokiego, naprawdę kobiecego tonu. To jednak musiało uczynić całą maskaradę jeszcze bardziej żalostną. Kto przy zdrowych zmysłach mógł uwierzyć w istnienie kobiety o tak mikrym, żyłastym ciele, o tak brązowej cerze, tak spiczastym podbródku i tak kościstych, wydatnych skroniach?

Niemniej ku niepomiernemu zdumieniu generała żołnierz wrócił i powiedział:

– Jedźcie.

Kiedy jego towarzysze zaczęli rozsuwać barykadę, wartownik dodał jeszcze:

– Masz bardzo młodą żonę. Nie myślałem, że takie mogą już rodzić. Ale cóż, pewnie kiedy we wsi mało kobiet, człowiek musi się



ogłądać za dziesięć latkami. Inaczej zostają krowy i suki...

Ouyang poczuł, że chce jak najszybciej zostawić tę ohydę za sobą. Droga wreszcie stanęła otworem.

– Będziemy jechać. – Ukłonił się sztywno.

Zbyt późno zrozumiał, że zapomniał zmienić akcent. Przez twarz wartownika przemknął cień nieufności.

– Mówiłeś, że skąd jesteście?

Od tego momentu wypadki zdawały się toczyć bardzo powoli: strażnik dobył miecza i uniósł czubkiem ostrza kapelusz Ouyanga.

Spotkali się spojrzeniami.

– Ty jesteś... – Żołnierz aż się cofnął.

Zhu miał w herbaciarni rację. Generał bardzo dobrze wiedział, jak to jest przymykać oczy na zniewagi. Robił to bez przerwy, mimo że czuł się wtedy, jakby przełykał rozżarzone węgle. Dzisiaj jednak po raz pierwszy w życiu zrobił to, na co zawsze miał ochotę, kiedy nieznajomi wzdrygali się na widok jego twarzy.

Wyrwał żołnierzowi miecz i rozplątał mu brzuch.

Pozostali strażnicy rzucili się na niego natychmiast. Generał Zhang utrzymywał w swoim wojsku całkiem porządne standardy, więc wszyscy otrzymali przyzwoite wyszkolenie. Byli jednak przy tym zwyczajnymi ludźmi. Ouyang tymczasem całe życie poświęcił treningowi jednej umiejętności.

Nie potrzebował wiele czasu.

Po wszystkim cisnął miecz na stertę trupów i wrócił do dwukółki. Zhu wysiadł. W łopocącej na wietrze sukience, z otwartymi w niedowierzaniu ustami wyglądał wprost nedorzecznie. Generał dopiero teraz zrozumiał, że chłopak nigdy jeszcze nie widział go w akcji z tak niewielkiej odległości. Kiedy nadarzała się ku temu okazja, był albo półżywy z pragnienia, albo Ouyang rozmyślnie przeciągał starcie, chcąc przeciwnika tylko okaleczyć. Poczuł w duchu specyficzną makabryczną wesołość. Nawet Zhu, który rozumiał go w sposób wręcz niepokojący, nie miał dotąd pojęcia, do czego generał jest zdolny.

Ouyang otarł zakrwawione dłonie o zachlapane krwią ubranie i sięgnął po wodze.

– Mogliśmy tak od razu – rzucił. – Byłoby znacznie szybciej. W drogę.

朱

– Największym skarbem każdego mężczyzny są jego synowie – Zhu zwróciła się oschle do chłopca, który siedział przywiązany do krzesła ustawionego pośrodku jej namiotu sztabowego. Dzieciak wyglądał zupełnie zwyczajnie. Włosy miał związane wstążką, a jego ciało zaczęło już nabierać właściwych dojrzewającym wyrostkom kształtów kielkującej fasoli. – A ty, paniczu Zhang, jesteś skarbem zaiste ogromnym! Chcę cię od razu zapewnić: nie widzę powodu, żeby bezsensownie przeciągać tę sytuację. Zakładam, że również twój ojciec będzie zadowolony z jej szybkiego rozwiązania. Słowem, wrócisz do domu, zanim się obejrzysz. – Poklepała drżące ramię porwanego, po czym wyciągnęła mu wstążkę z włosów.

– Czy wysłać ją generałowi Zhangowi od razu? – Stojący obok Xu Da wyciągnął rękę po tasiemkę.

W tej samej chwili do namiotu wpakował się, bezceremonialnie jak zwykle, Jiao Yu. Miał przy sobie wąski skórzany futerał na narzędzia i dwie różnych rozmiarów miski.

Xu Da zeszytniał. Odciągnął Zhu od Jiao i chłopca.

– Czy wstążka naprawdę nie wystarczy?

Xu Da wprawdzie nie posunął się do wyrażenia otwartego sprzeciwu, lecz jego wahanie nie było bezpodstawne. Pomysł Zhu istotnie był nieprzyjemny, niemniej uzasadniony.

– Jeżeli przysporzymy generałowi Zhangowi jedynie kilku godzin niepokoju, nie zmotywujemy go do kapitulacji, tylko do bardziej zacieklej walki. Nie na tym nam zależy. Rzuciliśmy go na ruszt, ale teraz trzeba rozniecić ogień. – Zhu wzięła przyjaciela za rękę i lekko ją ścisnęła, dając znać, że chociaż nie zmieni zdania, to

rozumie jego wstrzemięźliwość. – Gdyby to nie było konieczne, nie zrobiłbym tego. Obiecuję, że nie będzie gorzej, niż musi być.

– Silny i zdrowy młody człowiek! – zawołał Jiao Yu, który klęczał już i mierzył młodemu Zhangowi tętno w lewym, przywiązany do krzesła przegubie.

Xu Da nigdy by się na nic podobnego nie zdobył. Nawet gdyby wiedział, że innej drogi do zwycięstwa po prostu nie ma. Fakt, iż Zhu była do tego zdolna, nie wynikał z braku współczucia dla przerażonego dziecka. Wówczas, stwierdziła cierpko w duchu, byłoby łatwiej. W odróżnieniu od dawnego rywala dziewczyny Chen Youlianga, który obdzierał ludzi ze skóry dla przyjemności, nie interesowało jej bezcelowe okrucieństwo. Oglądanie cierpienia nie sprawiało jej satysfakcji. Wręcz przeciwnie. Zhu została jednak królem – a pewnego dnia miała zostać cesarzem – dlatego, że miała dość siły, by znosić konsekwencje swoich uczynków.

– Rób swoje – zwróciła się do Jiao.

Młody Zhang pobladł z przerażenia. Gdy inżynier zacisnął mu na przedramieniu opaskę, przygryzł wargę do krwi, lecz nie zapłakał.

Zhu zauważyła, na co patrzy dzieciak. Potrząsnęła rękawem, by zakryć protezę, i rzuciła więźniowi uspokajający uśmiech.

– Nie martw się, młodszy braciszku. Niczego ci nie odetniemy. – Jeszcze nie, dodała w duchu. – Nie będzie nawet bolało.

Jiao wyciągnął z futerału igłę. Na jego twarzy malowało się chłodne, rzeczowe skupienie, identyczne jak wtedy, gdy obrabiał w warsztacie kawałek metalu. Zhu przemknęło przez myśl, iż ta postawa mogła go czynić jeszcze gorszym człowiekiem niż Chen. Inżynier wkłuł igłę w łokieć chłopaka, podsunął pod nią miseczkę i poluzował opaskę.

– Nie patrz – poradził pojmanemu Xu Da.

Chłopczyk jednak nie słyszał: ze zgrozą wpatrywał się w cienki strumień krwi tryskający z igły prosto do naczynka.

Kiedy miseczka była już pełna, Jiao podał ją Xu Da, po czym zacisnął opaskę na powrót i krew zaczęła kapać znacznie

wolniejszym rytmem do większej miski. Wewnętrzne ścianki naczynia oznaczone były poziomymi liniami. Na ich oczach krew powoli zbliżała się ku najniższej. Z ust młodego Zhanga popłynęło ciche kwilenie. Natychmiast jednak się opanował.

Zhu przypomniała sobie zachwyty i podziw, jaki poczuła, kiedy po raz pierwszy oglądała klepsydry Jiao. Ten zegar jednak nie działał na wodę, ale na krew, i odmierzał nie upływający czas, ale dobiegające końca życie. Z determinacją odsunęła od siebie narastającą w sercu grozę. To była najlepsza strategia, gwarantująca najlepszy możliwy skutek. Nie miała zamiaru z niej zrezygnować w imię banalnej słabości ducha.

– Jiao Yu powiada, że przeciętny młody człowiek może znieść utratę nawet ćwierci krwi bez poważniejszego uszczerbku na zdrowiu – wyjaśniła, spoglądając na Xu Da. – To mniej więcej tyle, ile mieści większa miska. Poślij gońca ze wstążką i tą mniejszą miseczką. Niech przekaże generałowi Zhangowi, że jeżeli podda się na czas, chłopiec nie dozna trwałej krzywdy. Ile to będzie czasu? – zwróciła się do Jiao.

Inżynier rzucił okiem na oznaczenia w misce.

– Do godziny węża – ocenił, po czym dodał bez emocji: – Naturalnie wszystko zależy od fizjologii konkretnego osobnika.

– Idź! – rzuciła Zhu do Xu Da.

朱

Na równinie nie pozostało już nawet jedno różowe źdźbło. Trawę zastąpiła świeżo wzruszona ziemia. Zhu w złotej zbroi wyjechała triumfalnie pomiędzy swoich kolumn, prowadząc za sobą Xu Da i Ouyanga. Nisko zawieszona ostre jesienne słońce wypalało nocny szron. W powietrzu podnosiła się sięgająca końskich piersi biała mgła, w której falującej pokrywie jaskrawo odbijały się złociste promienie.

Generał Zhang przybył złożyć kapitulację sam jeden. Rozciągający się za jego plecami szereg żołnierzy przypominał flotę kołyszącą się na morzu chmur, słońce rozpalało zbroje feerią brązu i złota.

Zhu po raz pierwszy oglądała generała Zhanga z tak niedużej odległości. Kształt tworzony na czole przez jego zaczesane do tyłu i splecione w koczek włosy kojarzył jej się z lecącą gęsią; zawierał się w nim identyczny smutek jak w ciężkich brwiach, które sprawiały, że czarne oczy oficera tchnęły specyficzną zmęczoną godnością.

– Bądź pozdrowiony, Świetlisty Królu, mój szacowny przeciwniku – powiedział generał Zhang. Nie był mężczyzną przystojnym, lecz widoczna w nim głębia uczuć, nieskrywanych, a jednocześnie niewzruszenie prywatnych w szczegółach, wabiła oko równie silnie jak symetria. Zhu od razu wychwyciła, że rywal nie jest zły ani zawstydzony sytuacją, w jakiej go postawiła. Był po prostu zrezygnowany. I pełen żalu. Kierując głos ponad jej ramię, dodał: – Ty również bądź pozdrowiony, stary przyjacielu. Nie sądziłem, że kiedykolwiek spotkamy się w podobnych okolicznościach.

– Proszę cię o przebaczenie, Zhang Shide – rzucił Ouyang ku wielkiemu zdziwieniu Zhu.

– Każdy ma jakiś obowiązek do wypełnienia. – Generał Zhang pochylił głowę na znak zrozumienia. – Któż z nas tego nie pojmuje? Od zawsze wiedziałem, że jesteś gotów wypełnić własny do końca. Nie winię cię za to.

W miarę jak słońce wygrzewało mgłę, kończyła się cisza. W koronach drzew stojących na skraju równiny, tam, gdzie łagodnie łączyła się ze wzgórzami Zhenjiangu, zaczęły nawoływać ptaki.

– Mój syn... Co z nim?

– Zdrow i cały – odpowiedziała Zhu. – Zatrzymaliśmy zegar od razu, gdy dotarła do nas wieść o twojej kapitulacji. Jego męstwo świadczy o zaletach ojca – dodała jeszcze, sądząc, iż generał usłyszy to z przyjemnością.

Rzeczywiście zrobiło mu się miło.

– Zlekceważyłem cię, Zhu Yuanzhangu. Oczywiście, kiedy pokonałeś generała Ouyanga, przypisałem ci pewien stopień kompetencji wojskowych. Jednak teraz dostrzegam, że posiadasz także cechy, które najmocniej kojarzę z własną królową.

– Niecne cechy, jak sądzę? – rzuciła Zhu z przekąsem.

– Nie zamierzałem cię urazić. – Zhang przyjął uwagę z poczuciem humoru. – Miałem na myśli umiejętność dostrzegania szans tam, gdzie inni wodzowie mogliby się zawahać.

– Przypuszczam, że twoja królowa i ja mamy ze sobą zaskakująco wiele wspólnego – zauważyła Zhu. – Wielka szkoda, że nasza znajomość rozpoczyna się w taki sposób.

– Ależ...

Koń Zhu szarpnął się spłoszony czymś, co wyfrunęło niespodziewanie zza jej pleców. Zhu zobaczyła na tle nieba opadającą strzałę. W tej samej chwili Ouyang wybił się z siodła i własnym ciężarem strącił generała Zhanga na ziemię.

Xu Da pędził już w kierunku drzew. Kolejnych strzał nie było. Jedna wystarczyła. Zhu opanowała wierzchowca i podjechała naprzód.

Ouyang siedział otoczony kręgiem zjaw. Generał Zhang leżał na jego kolanach. Krew zalewająca mu podbródek była tak jasna, że w ogóle nie przypominała krwi. Zhu pomyślała o czerwonych dziewczęcych szminkach, o błysku czerwonego pierza na szyi dzięcioła. Grot i długi na dłoń fragment drewnianej strzały sterczały z przebitej szyi.

– No cóż – rzuciła z westchnieniem – tym razem to naprawdę nie my.

– Robota Sytego – oznajmił Ouyang z beznamiętnym przekonaniem i Zhu przypomniała sobie drwiący plakat: brat rogacz. – Tego wstydu nie mógł przełknąć. To jego zemsta.

Zhu pomyślała, że kto jak kto, lecz generał naprawdę zna się na sprawach wstydu i zemsty. Obrzuciła zwłoki uważnym spojrzeniem. Ciało już w tej chwili zdawało się skurczone, zupełnie jakby opuszczające Zhanga z ostatnim tchnieniem dusza i energia qi

pozostawiły po sobie pustkę, w którą opadła zwiotczała skóra. Na twarzy wciąż jednak malował się wyraz zmęczenia i smutku.

– Wygląda jak człowiek pamiętający tragedie każdego z poprzednich wcieleń. Niestety, w tym życiu również nie zdołał ich uniknąć. Powinien był pozbyć się Sytego zawczasu.

Zdaniem Zhu generał Zhang nie był wcale tym posągowym uosobieniem cnót wszelakich, za jakie ewidentnie uważał go Ouyang. Być może jego serce rzeczywiście nie biło żywiej na myśl o dopuszczeniu się zdrady wobec brata, lecz reszta ciała miała na to wielką ochotę. Już za pierwszym razem, kiedy generał Zhang zerznął żonę rodzonego brata, pchnął ich obu na ścieżkę, która musiała doprowadzić do śmierci jednej ze stron. Od tamtego dnia poczynszy wszelkie wahanie z jego strony nie czyniło go dobrym. Dowodziło jedynie niechęci do wzięcia na siebie odpowiedzialności i winy, nie chciał być tym, który przejdzie do działania jako pierwszy.

Pożądał i pragnął, lecz brakowało mu siły pozwalającej znieść wynikające z tej żądz cierpienie. A ceną za niedostatek tej siły okazało się jego własne życie.

Po chwili wrócił zziębnięty Xu Da. Zhu zauważyła na wardze przyjaciela smużkę krwi i pomyślała, że musi poszukać lanoliny.

– Nie dałem rady go złapać. A...

Zhu rzuciła okiem w kierunku armii generała Zhanga i zrozumiała, co przyjaciel miał na myśli. Tamci żołnierze ze swoich pozycji widzieli jedynie padającego wodza. Oczywiście, że musieli dojść do wniosku, że to Zhu złamała reguły pertraktacji i dopuściła się morderstwa.

Swoją drogą, stwierdziła w duchu, nie było to wnioskiem pozbawionym racjonalnych podstaw. Zarówno ona, jak i Ouyang uchodzili przecież za ludzi zdolnych wbić wrogowi sztylet w plecy.

– Nie udało się uzyskać kapitulacji, ale coś jednak ugraliśmy. Teraz, kiedy na ich czele nie stoi już generał Zhang, powinniśmy zwyciężyć. Poprowadź naszych do ataku – zwróciła się do Xu Da. – Jeżeli zdołasz wykorzystać zamęt i bezhołowie, pójdą w rozsypkę i zmusisz ich do odwrotu. Ruszaj natychmiast!

Ouyang złożył zwłoki generała Zhanga na ziemi. Zanim się podniósł, położył jeszcze dłoń na opancerzonym ramieniu i szepnął:  
– Cieszę się, że nie musiałeś poznać prawdy o swoim zabójcy.

Czy to naprawdę ważne? – zastanowiła się Zhu, spoglądając w puste oczy towarzyszących Ouyangowi zjaw. Umarli nie żyją. Przejmują się jedynie żywi. Wyłącznie żywi czują i pragną. Tylko żywi przykuwają się do przeszłości i wmawiają sobie, że robią, co robią, w imię umarłych.

Znakomicie ułożona czarna klacz Ouyanga nie oddaliła się od właściciela, nawet kiedy zeskoczył z siodła. Czekał w pobliżu zwierzę zastrzygło uszami, jakby nasłuchiwało szeptu otaczających pana duchów.

– Atakiem pokieruje generał Xu – powiedziała Zhu, patrząc na dosiadającego konia Ouyanga. – Dla ciebie mam inne zadanie. Za mną.

朱

Ouyang zatrzymał klacz przed namiotem sztabowym Zhu i zsunął się z siodła. Nagle coś śmignęło w powietrzu prosto w jego stronę. Odruchowo wyciągnął rękę i złapał: ukryta w pochwie szabla. Na twarzy Zhu malowała się powaga i generał uświadomił sobie, że przywykł już widzieć na tym owadzim obliczu cień wesołości, czy to na zewnątrz, czy gdzieś pod powierzchnią. Bez niego spojrzenie chłopaka okazało się nadspodziewanie mrożące.

– Teraz, skoro jego ojciec nie żyje... – powiedział Zhu.

– Wiem. – Mnich nie musiał niczego tłumaczyć. Ouyang świetnie wszystko rozumiał.

Młody Zhang został już wcześniej przeniesiony do więziennego namiotu na skraju obozowiska. Kiedy Ouyang wszedł, dzieciak popijał właśnie jakieś lekarstwo z podtrzymywanej jedną ręką miski. Wargi miał blade, lecz poza tym sprawiał wrażenie zdrowego. Drugą rękę przywiązano mu do szkieletu namiotu. Chłopak



odziedziczył wprawdzie ojcowskie rysy, lecz brakowało im owej ruchliwej wyrazistości, która tak przykuwała oczy u generała. Cera z kolei straciła już nadnaturalną, dziecienną gładkość, była lśniąca i nierówna.

Ouyang odwiązał go bez słowa. Chłopiec odetchnął z ulgą. Jego myśli dało się odczytywać jak z książki: tortura dobiegła końca, ojciec dobił targu, będzie można wrócić do domu, wszystko skończy się dobrze. Generał poczuł nagłe ukłucie irytacji. Młody Zhang znalazł się w tak fatalnym położeniu, ponieważ wbrew wyraźnemu zakazowi opuścił tamten dom w Zhenjiangu. Postanowił się zabawić i w efekcie dowiedział się, że każdy postępek pociąga za sobą określone konsekwencje. Dlaczego nie czuł wstydu? Zawiódł przecież ojca, pohańbił go. Czy naprawdę nie stać go było na wyrzuty sumienia?

Ouyang miał zaledwie dziesięć lat, kiedy wziął na barki ciężar rodowego honoru. Uczynił to z pełną świadomością, iż nagrodą za jego cierpienia będzie jedynie szyderstwo i pogarda. Miał dziesięć lat, kiedy został zmuszony iść dalej przez życie wyłącznie o własnych siłach. A ten dzieciak, starszy niż Ouyang wówczas, nie wykonał nawet kroku bez opieki ojca. Czemu miało służyć pozwalanie chłopakowi na wieczne życie w marzeniach, życie wolne od bólu i odpowiedzialności? Złość generała przeszła w emocję ostrzejszą, dzikie zniecierpliwienie. Identycznie czuł się wtedy, gdy musiał zerwać opatrunek przyschnięty do rany żołnierza, który skomlał z obawy przed nieprzyjemnym doznaniem. Oczywiście, że zaboli. Tak samo jak boli, kiedy mały chłopiec musi wziąć się w garść i stać się mężczyzną po to, by nie zostać na zawsze dzieckiem. Świat jest miejscem niesprawiedliwym i przepełnionym bólem. Tę prawdę poznać musi każdy, wcześniej czy później.

Mały ufnie poszedł za Ouyangiem do okalającego obóz bambusowego gaju. Buty miał tak nowe, że kiedy stawiał niepewne kroki na dywanie miękkich opadłych liści, ich podeszwy wciąż błyskały bielą. Wreszcie generał przystanął. Młody Zhang rozejrzał się, wypatrując zapewne przysłanych przez ojca ludzi.

W szepczącym zielonym tunelu nie było jednak nikogo. Nie zbliżały się konie, między pniami nie mignęły znajome mundury. Byli sami.

– Szacowny generale, czy nie zamierzasz mnie... zwrócić? – Głos małego niedawno wszedł w fazę młodzieńczego piana.

Nawet gdyby nie był to jego koniec, pomyślał z goryczą Ouyang, ten pełen szacunku stosunek, zachowanie dziecka, które nie poznało jeszcze kluczowej różnicy między mężczyzną a eunuchem, nie przetrwałby wiele dłużej.

– Twój ojciec nie żyje – powiedział.

Wyraźnie dostrzegł moment, w którym te kilka słów zrujnowało chłopięce marzenia. Przywilej osobistego zburzenia niewinnego przekonania malca o dobroci świata przyniósł mu niejaką satysfakcję. Taka niewielka zemsta.

– Przecież się poddał! – Oblicze dzieciaka zbieleło. – To ty? Ty go zabiłeś?

Cóż innego można było pomyśleć, mając przed sobą powszechnie znanego zdrajcę.

– Tak – skłamał Ouyang.

Tak było lepiej. Czy mówiąc chłopakowi, że jego ojca zamordował wuj, postąpiłby dobrze? Mały i tak nie zdążyłby nic z tym zrobić. Zginie już za chwilę. Syn Zhanga umrze bezradną śmiercią dziecka, niechcianego kociaka, a jego śmierć nie będzie mieć żadnego znaczenia, nie przysporzy mu honoru.

– Trzymaj. – Podał chłopakowi wciąż tkwiącą w pochwie szablę.

Młody Zhang nawet nie drgnął. Ouyang z obrzydzeniem zauważył, że zamiast się wyprostować, dumnie unieść głowę, dzieciak zaczyna się mazać i pociągać nosem.

– Dlaczego? – zawołał chłopiec. – Dlaczego go zabiłeś? On cię lubił. Szanował.

– Musiałem – odparł lodowatym, opanowanym głosem Ouyang. Nie skłamał. Gdyby generał Zhang stanął między nim a przeznaczeniem, zasiekłby go i tak, nie bacząc na szacunek i sympatię. Zrobił już tyle, czy coś takiego mogłoby go powstrzymać? Był okrutnie świadomy mającego na granicy sumienia tsunami

bólu. Przyłapał się na tym, że rozpaczliwie chwyta się żywionej wobec chłopca odrazy, jakby mogła go ocalić. – Musiałem, tak samo jak ty musisz teraz zrobić to. Wolisz, żebym po prostu cię zarąbał? Pozbył się ciebie, jak pozbywam się śmieci? Bierz szablę.

Chłopcu jednak odebrało mowę. Trząsał się i chlpał, miażdżony nienawistnym wzrokiem Ouyanga. Czy naprawdę nie pojmował, że otrzymał szansę nadania swojej śmierci znaczenia? Powinien być wdzięczny. Czy zamierzał roztrwonić ostatnie skrawki życia w strachu i hańbie, nie chcąc przedzierzgnąć się w mężczyznę?

– Przynosisz wstyd sobie i całej swojej rodzinie! – Ouyanga ogarnęła nagła wściekła pokusa, by wycisnąć z chłopca ten strach, tak by wypłynął jak ślimak wyciekający ze zgniecionej muszli. – Nie zdobędziesz się na odwagę, żeby zrobić to, co zrobić musisz? Pozwolisz, żeby przodkowie patrzyli, jak ich nazwisko kała ktoś na tyle żałosny, że niezdolny nawet dopełnić obowiązku? Daję ci szansę na pomszczenie ojca. Przestań beczeć jak dziecko i spróbuj.

Wiatr kołysał dwoma łądygami bambusa, które ocierając się o siebie, wydawały nieregularny pisk. Ouyang czuł ten dźwięk aż w zębach.

Dzieciak z wolna podniósł wzrok i generał ze złośliwą satysfakcją stwierdził, że wstyd zadziałał skutecznie. To dobrze. Młody Zhang nie powinien umierać jak zapłakany noworodek.

Chłopiec przyjął szablę, choć dłonie drżały mu tak bardzo, że dopiero po kilku próbach zdołał wysunąć ją z pochwy. Ouyang stał przed nim: nieuzbrojony, nieosłonięty pancerzem. Nie czuł z tego powodu nic poza zjadliwą nienawiścią do siebie. Brak broni nie znaczy nic, kiedy mieczem jest sam człowiek.

Chłopiec zaatakował.

Zebrał się w sobie w podziwu godny sposób. Włożył w ten ostatni wysiłek całego siebie: nie po to, aby przeżyć, lecz aby wszyscy mogli być zeń dumni. Aby stał się takim mężczyzną, jakiego chciał widzieć w nim świat. I uderzył sprawnie. Generał Zhang wyszkolił syna naprawdę świetnie.

Lecz Ouyang poświęcił zabijaniu całe swoje życie.

Spojrzał w dół. Miał dziwne poczucie, jakby na moment opuścił ciało i właśnie do niego powrócił. Trzymał w dłoni zakrwawioną szablę. Na ziemi leżało dziecko.

Patrząc na skrucającego się z bólu chłopca, generał dostrzegł nędzę i brud tej sytuacji. Trudniej było widzieć honor i sens, kiedy z człowieka uszła już myśląca iskra i zostało jedynie mięso. Przyklęknął, by doprowadzić rzecz do końca. Kolejny martwy syn nieżyjącego ojca.

Gdyby ktoś zapytał Ouyanga dawniej, wtedy gdy dopiero wkraczał na drogę zemsty, czy zapomni kiedykolwiek twarz ojca, nie zrozumiałby nawet pytania. To ojciec był przecież powodem, dla którego wszystko to robił. Po latach jednak mściwość pozostała, lecz pamięć wyblakła. Pewnego dnia Zhu zapytał, jak wyglądał jego ojciec. A generał po prostu zapomniał.

Ranę na wewnętrznej stronie swojego przedramienia zauważył, dopiero kiedy sięgnął po zwłoki. Krew wypływała spomiędzy brzegów rozciętego rękawa. Wpatrywał się w nią zafascynowany. Skaleczenie wydawało się nie mieć nic wspólnego z chłopcem; zupełnie jakby generał sam je spowodował.

Przeszył go ból. Potężny, skwierczący, od głowy do stóp. Był drzewem ugodzonym przez piorun, zatracił się, zniknął w oślepiającym, kończącym istnienie świata rozbłysku.

Stopniowo, kawałek po kawałku wrócił do siebie. Nadal klęczał w tym samym miejscu. Ból był dokładnie tym, czego potrzebował, lecz nawet to cierpienie nie wystarczyło. Szkoda, że nie trwało dłużej.

Podniósł się z ciałem dziecka w ramionach. Młody Zhang spocznie u boku ojca na skraju równiny. Z czasem trawa odrośnie i obie mogiły będą patrzeć na cykliczne przemiany tego falującego morza, z różu w biel i z powrotem w róż, w nieskończonym rytmie pór roku.

Ouyang mimowolnie pomyślał o innym grobie, samotnym na innej trawiastej równinie.

Gdyby tylko mógł zranić się na tyle głęboko, by nie musieć czuć.  
Gdyby tylko mógł zranić się tak, by ból nie ustał już nigdy.

朱

Zhu odprawiła posłańca, który chwilę temu przyniósł najnowsze wiadomości – rozgromiona przez Xu Da armia Zhangów rozpoczęła odwrót – i z ulgą ściągnęła z kikuta drewnianą dłoń. Nosila ją bez przerwy, odkąd wyruszyli z Ouyangiem do Zhenjiangu, i uciskana zbyt długo kończyła zareagowała bólem.

Ledwie Zhu zdążyła odłożyć protezę, do namiotu wszedł Ouyang. W dłoni trzymał szablę. Kiedy położył ją przed nią na stole, dziewczyna zwróciła uwagę na jego paznokcie. W rzeczywistości nie odbiegały wielkością od jej własnych, lecz ponieważ należały do innego człowieka, wydały jej się nedorzecznie małe. Ciemniały za nimi półksiężyc brudu. Domyśliła się, że generał zabił małego Zhanga, a nawet już go pochował. Gdyby powierzyła takie zadanie Yuchunowi bądź Xu Da, wzdragaliby się. Tłumaczyli, że przecież to zwyczajny, nieszkodliwy chłopiec. Dokładnie z tego powodu wybrała właśnie Ouyanga. Któż lepiej niż on rozumiał, czym grozi przeoczenie jednej błahostki; co może się stać, kiedy pozostawi się przy życiu chłopca spragnionego zemsty za ojca?

Myśli Zhu uleciały do niebezpiecznej błahostki, którą pozostawiła przy życiu sama. Chen Youliang. Czy mógł stać za plakatami, które doprowadziły do upadku rodziny Zhang? Wiedziała, że rozgościł się w Wuchangu i rozbudowywał siły, lecz biorąc pod uwagę jego obecne możliwości, mógł zagrozić zachodnim granicom jej ziem najprędzej za kilka lat. Niemniej Chen zawsze myślał jak rasowy polityk. Nie mogła wykluczyć, że postanowił osłabić innych graczy w regionie, uciekając się do podstępnych wybiegów. Z drugiej strony żywił przecież do niej urazę za odebranie przywództwa nad Czerwonymi Turbanami. Dlaczego

w takim razie miałyby mu zależeć na śmierci generała Zhanga, skoro jedynym tego efektem było przybliżenie do tronu Zhu?

Tron, ów ostateczny cel, widziała przed sobą równie wyraźnie jak światło na końcu tunelu. Na chwilę jednak ogarnął ją dziwny niepokój, jakby tam, w cieniu po drugiej stronie, ktoś się poruszył.

Ponownie skupiła uwagę na Ouyangu. Stwierdziła w duchu, że jest zdecydowanie bardziej zakrwawiony, niż można by się spodziewać. Miał się przecież pozbyć bezbronnego, naiwnego dzieciaka. Przyjrzała się baczniej i zauważyła, że krew wypływa z długiego rozcięcia po wewnętrznej stronie przedramienia. Obcisły na mongolską modłę jedwabny rękaw generała pokryty był wilgotną czerwienią od łokcia po nadgarstek.

– Walczyłeś z nim? – Mogła coś takiego przewidzieć.

– Wyświadczyłem mu uprzejmość. Pozwoliłem umrzeć z honorem – sprostował Ouyang i dodał po chwili z naciskiem: – Zrozumiał. Poległ mężnie. Ojciec byłby z niego dumny.

Czy naprawdę można coś takiego nazwać męstwem? Chłopiec podniósł miecz jedynie dlatego, że oczekiwania dorosłego mężczyzny kazały mu myśleć, że innej drogi po prostu nie ma.

– Moim zdaniem honor jest niewielką pociechą dla umierającego – zauważyła oschle Zhu. – Gdybym mógł wybierać, wolałbym zachować życie. Podwiń ten rękaw.

– Po co? – Ouyang zerknął na ranę, jakby nie uważał jej za godną uwagi.

– Nie chcesz tego zaszyć?

– Niby ty miałbyś to zrobić? – Zaskoczenie generała mieszało się z pogardą. – Gdybym chciał zapaprać sobie ranę, sam bym się tym zajął.

– Nie zapaprę ci rany – rzuciła cierpko Zhu. – Pamiętaj, że w klasztorach nie ma służących. W odróżnieniu od ciebie przez całe życie sam ceruję sobie ubrania. Potrafię obchodzić się z igłą. W dodatku, również w przeciwieństwie do ciebie, mam wprawę w posługiwaniu się jedną ręką. – Przeciągnęła krzesło spod biurka na środek namiotu. – Siadaj!

Kiedy wróciła z przyborami, z niejakim zdumieniem stwierdziła, że generał posłuchał. Klęknęła przy jego boku, na co zareagował zdławionym pomrukiem niedowierzania.

– Żaden godny szacunku mężczyzna nie poniżyłby się tak jak ty.

Lodowaty dystans tej udręczonej pięknej twarzy był u niego równie naturalny jak oddychanie.

– Nie wydaje mi się, żeby niesienie pomocy poniżało. Ani proszenie o nią – stwierdziła.

– Zauważyłem – mruknął z niesmakiem. Po chwili jednak zakasał rękaw, nie dbając o to, że tkanina lepi się do rany.

Rozcięcie okazało się głębokie. Po zmyciu ciekącej wciąż krwi Zhu wyraźnie zobaczyła żółtą warstewkę tłuszczu. Nie to jednak przykuło jej uwagę. Zapatrzyła się w bransoletkę na przegubie generała. Nefrytowe i złote paciorki.

Podobnymi koralikami ozdobił końce warkoczyków. Jak wszyscy mongolscy wojownicy. Dziewczyna jednak z miejsca domyśliła się, do kogo należały wcześniej.

Przypomniała sobie straszliwą rozpacz, jaka malowała się na twarzy Ouyanga w dniu ich pierwszego spotkania. Wtedy, w Bianliangu, tuż zanim zdradził księcia Henanu. Przypomniała sobie ból, z jakim zapytał, czy Esen-Temur towarzyszy mu wraz z innymi duchami. A teraz okazało się, że zatrzymał przy sobie część zmarłego, nosił ją na ręku w intymnym geście, jakiego nie przeznaczają się przyjaciom ani nawet braciom.

On kochał Esen-Temura, zrozumiała Zhu i przebiegł ją dreszcz. Kochał go, lecz nawet to uczucie nie zdołało go powstrzymać. Kochał go i zabił.

Kiedy zaczęła szyc, nawet nie drgnął. Nie wygłosił też spodziewanego zjadliwego komentarza na temat tego, że zawiązując kolejne szwy, Zhu musi przytrzymać nić zębami. Spojrzała ukradkiem ku górze, przekonana, że zobaczy zaciśnięte z bólu szczęki. Ku jej wielkiemu zdziwieniu Ouyang sprawiał wrażenie skupionego na własnym wnętrzu, zamyślnego, ukojonego osobliwą odmianą ulgi.

Jeszcze dziś rano bez większego wysiłku zabił na jej oczach tuzin mężczyzn. Wkrótce potem jednak został ranny, pojedynkując się z małym dzieckiem. Czy w pewnym sensie nie doprowadził do tego z premedytacją? Oczyma duszy ujrzała nagle jego obdarte ze skóry stopy, pięści zaciśnięte tak mocno, że krew z rozciętej paznokciami skóry wypływała spomiędzy palców. Ból niekoniecznie zawsze jest zły.

Uświadomiła sobie, że generał łaknie bólu, ponieważ tylko cierpienie potrafiło wypalić udrękę świadomości wszystkiego, czego się dopuścił.

Rezonans, jaki zawsze czuła w obecności Ouyanga, wzmógł się do tego stopnia, iż zagroził stabilności igły. Generał z własnej woli zabił człowieka, którego kochał, rzucając się tym samym w objęcia koszmaru. Aby osiągnąć ostateczny cel, był gotów na wszystko. I wszystko był gotów w jego imię poświęcić.

Zupełnie jak ja, pomyślała Zhu. Ogarnęła ją tak silna ekstaza duchowego powinowactwa, że zadrżała. Od początku zdawała sobie sprawę, że ona i Ouyang są do siebie podobni. Teraz jednak prawda ta wibrowała nie tylko w jej ciele, lecz w samych krążących w niej prądach energii qi: oto człowiek, który przypomina mnie najbardziej ze wszystkich na świecie.

Pochyliła głowę, by przegryźć nić i zaciągnąć ostatni szew. Nie poczuła naturalnego zapachu ludzkiej skóry, a tylko woń krwi.

– Zaczekaj – rzuciła, kiedy generał wstał i odwrócił się do wyjścia.

Wyjęła z kufra miecz Ouyanga i podsunęła mu, składając broń płasko na dłoni i kikucie drugiej ręki. Nie sięgnął od razu, lecz obrzucił ostrze tęsknym, rozpaczliwie wyglodniałym spojrzeniem. Podobnie patrzyłby zapewne, gdyby zwracała mu odciętą kończynę.

– Wiem, że zamierzasz ruszyć na Dadu i zmierzyć się z wielkim radcą w pojedynkę – podjęła, nie opuszczając miecza. – Jeżeli jednak to zrobisz, nic nie zagwarantuje twojego zwycięstwa. Równie dobrze możesz przegrać, a wtedy wszystko, co dotąd zrobiłeś, wszystko, co



poświęciłeś, pójdzie na marne. Zanim się poznaliśmy, nie miałeś innego wyboru. Pozwól zatem, że przedstawię ci inną możliwość.

Krew Ouyanga zasychała na jej palcach, tworząc brązową powłokę, kojarzącą się dziewczynie nie tyle z bitewnymi jatkami, co z plamami, jakie raz na miesiąc znaczyły uda Ma.

– Wróć do swojej armii. Nie będę cię dłużej więzić ani korzystać z twoich żołnierzy wbrew tobie. Przejmij dowodzenie nad nimi i dobrowolnie powiedź ich u mego boku przeciwko pani Zhang. A kiedy ją pokonamy, pomaszerujemy razem na Dadu. Wspólnie ze mną zmierz się z wielkim radcą i wygraj. Składam ci tę propozycję, ponieważ pragniemy tego samego – ciągnęła. – Ponieważ obaj pragniemy tego tak gorąco, że aby postawić na swoim, gotowi jesteśmy uczynić wszystko i znieść dowolne cierpienie. – Czuła, że zawarła w tych słowach kwintesencję ich podobieństwa. – Zawiązmy sojusz, generale. Razem staniemy się niepokonani.

Ouyang spojrział na miecz. Ozdobione paciorkami warkoczyki, zaplecione w pętelki, z których wymykały się pojedyncze kosmyki, musnęły pochyloną twarz. Po chwili sięgnął po broń i wysunął ostrze z pochwy. W dłoni człowieka, którego pancerz tak dobitnie głosił na polu bitwy tożsamość właściciela, klinga wydała się Zhu niestosownie zwyczajna, ot, pozbawiony jakichkolwiek zdobień czy inskrypcji kawałek stali.

A mimo to, wbrew prostocie, dziewczyna rozpoznałaby ten miecz wszędzie. Nagle zmaterializowała się jej prawa dłoń. Sięgnęła po ostrze generała i zacisnęła na nim utkane ze światła palce, tak samo jak w dniu, kiedy to ostrze ją przeszło. Miała ten miecz we własnym wnętrzu, to on uczynił z niej człowieka, którym była dzisiaj. Wciąż czując puls ich podobieństwa, zauważyła, że Ouyang przygląda jej się szeroko otwartymi oczyma. Przypomniała sobie, jak na długo zanim poznał jej imię, spojrział na nią, gdy klęczała jako jeden z szeregu odzianych w szare szaty nowicjuszy. On również był świadom łączącej ich więzi. W odróżnieniu ode mnie jednak, stwierdziła w myślach, nie rozumie, co jej istnienie oznacza. Nie

rozumie, że w tym świecie, świecie, który darzy go nienawiścią, nie jest wcale sam.

– Przeznaczenie pcha nas obu w to samo miejsce, generale. Nasze losy są ze sobą splecione. Nie czujesz tego? Zawsze tak było. Dlatego, że jesteśmy do siebie podobni. – Widmową ręką nadal trzymała miecz generała, lecz więź pulsowała w tej chwili między nimi rytmem tak intymnym, jakby Zhu sięgnęła w głąb jego piersi i ujęła śliskie, bijące serce. Oddychali jednym tempem. – Pomożesz mi? – spytała.

Rozszerzone źrenice Ouyanga bez reszty pochłonęły cętkowany bursztyn tęczówek. Jego oczy stały się czarnymi kałużami, niczym oczy trupa. Zhu zajrzała do jego wnętrza i wydało jej się, że widzi gorejącą, udreńczoną duszę, wijącą się w agonii własnych niegodziwości.

– Tak – wychrypiał.

Nawet kiedy go uwolniła, jej ciało śpiewało wciąż o porozumieniu. O jedynej drugiej osobie na całym świecie, która wiedziała, jak to jest pragnąć czegoś równie mocno, jak pragnęła ona.

Kiedy Ouyang uniósł klapę namiotu, gdy jego drobną sylwetkę na powrót dopełnił trzymany w ręku miecz, nie powstrzymała się i zawołała:

– Jaki on był?

Odwrócił się. Jego twarz przypominała otwartą ranę, sięgającą do samego rdzenia żałoby. Zhu przemknęło przez myśl, że odpowiedź nie padnie.

– Zupełnie inny niż ty – odparł ze smutnym zdziwieniem generał.



Pingjiang

Członkowie świty stali wokół królowej jak sparaliżowani. Wiedziała, że ta scena, obraz zastygłych w bezruchu ciał dworzan, wypali się w jej pamięci na zawsze, tak jak spadająca gwiazda, która przy uderzeniu zamienia ziemię w szkło, zachowując na wieczność moment eksplozji. Szok okazał się bezbolesny. Miała jedynie wrażenie, że jej ciało doznało jakiejś nieznaney formy obłądu.

– Jak to możliwe? – rzuciła ostro. Bez cienia refleksji, czysta reakcja. – Jak?

Eunuch stał przed nią ze zwieszoną głową. Pani Zhang z równym powodzeniem mogłaby krzyczeć na nieme drzewa. Jej pytanie zostało pozbawione znaczenia za sprawą własnej głupoty, bezsensowności. Dlatego, że „jak” nie miało znaczenia. Istotny był tylko fakt, który został jej przed chwilą obwieszczony.

Nagle zalała ją fala wściekłości. Jak on śmiał!? Jak śmiał popełnić ten błąd, ten jeden niemożliwy do naprawienia błąd, którym zrujnował wszystko, co z takim wysiłkiem próbowała osiągnąć? Zobaczyła jego oczy, mroczne, wiecznie przeprasające,

błyszczące pod nachmurzonym czołem. Wizja sprawiła, że królowa nabrała ochoty, by wrzasnąć. Nie chciała spokoju i ciszy, z jaką przyjmował na siebie wszystkie raniące słowa, którymi w niego miotała. Następnym razem, kiedy odwiedzi jej komnatę, zmusi go, żeby przynajmniej drgnął... Zaleje go jadem, żeby poczuł... żeby go zabolalo.

I znowu ten szok, bezbolesny, lecz prowadzący na skraj obłędu.

Nie. Nic podobnego się nie wydarzy. On już nigdy nie stanie w jej komnacie. Za ten konkretny błąd nie będzie mogła go złać.

Zachwiała się. Nie upadła tylko dlatego, że przytrzymała się krawędzi toaletki. I nagle zrozumiała, co się z nią dzieje. Nie dzięki podsuwanym przez zmysły wrażeniom, lecz za sprawą wyuczonego schematu: taki sam wewnętrzny nieporządek odczuwała, kiedy poruszała zdeformowanymi stopami lub kiedy w dzień po pobiciu kończyny zbyt sztywno reagowały na polecenia. To ból. Moje ciało dręczy ból.

General Zhang nie żył. Sama była zadziwiona, jak wielki zamęt wywołał w jej duszy ten cios. Sam Zhang Shide był przecież jedynie przydatnym narzędziem. Mężczyzną dysponującym pożądanym przez nią zestawem cech: silnym ciałem, szlachetnym umysłem i bezgranicznie głupim sercem. Mogła wykorzystać dowolnego takiego mężczyznę. Padło na niego tylko dlatego, iż był akurat pod ręką.

Jednak pomyślała nagle, raptownie, niespodziewanie, że go kochała. Myśl należała do tych, które domagają się potwierdzenia ze strony świata. Potrzebowała bólu, by zrozumieć, że to nie tylko życzenie, ale prawda. Niemniej świadomość dysfunkcji swojego ciała pozostawała dla niej bezużyteczna. Nie miała pojęcia, w jaki sposób przekuć ją w uczucie.

Kiedy tak stała przygarbiona, z korytarza dobiegły kroki męża. Przyszedł do niej, tu, gdzie nie pojawił się nigdy wcześniej. Co za ohyda. Przybywając do jej najświętszego azylu, naruszał nie tylko jej przestrzeń, lecz również pamięć...

Zapłonęła w niej jakaś nowa emocja, jednak przerodziła się w gniew tak szybko, że pani Zhang nie zdążyła jej zidentyfikować. Wyobraziła sobie, że jej uczucia są wodą przepływającą przez labirynt kanałów prowadzących do tego samego miejsca: bezdennej studni gniewu. Niemniej była za ten gniew wdzięczna. Przynajmniej tyle mogła poczuć.

Kiedy Syty Zhang wszedł do komnaty, królowa stała już wyprostowana, elegancka, uśmiechnięta.

Ledwie ujrzała jego twarz, oblicze poczerwieniałe z radości zwycięstwa i samozadowolenia, dotarła do niej jeszcze bardziej przerażająca prawda. Bez względu na to „jak” śmierć generała Zhanga nie była przypadkowa. Doprowadził do niej jej mąż.

Uśmiech pani Zhang nie przygasł nawet na mgnienie. Był równie odrębny od jej prawdziwego ja jak farba pokrywająca ścianki wazy.

Zabił go.

Właśnie dlatego przyszedł. Chciał dać jej to do zrozumienia, chciał ujrzyć jej cierpienie.

Musiała się na tę wymianę zgodzić. Musiała pozwolić, by jej znienawidzony mąż posiadał tę prawdę na jej temat, w zamian za co ona będzie mogła nareszcie poczuć to, co powinna.

Ukloniła się z szacunkiem i odezwała:

– Niegodna kobieta usłyszała przygnębiające wieści. Choć jej słowa są z pewnością zbyt miłkie, żeby przynieść pociechę mężowi w godzinie żałoby, ośmiela się złożyć uniżone kondolencje.

Stanął zbyt blisko. Uderzył ją jego osobisty zapach, olejek do masażu zmieszany z gorzką wonią lekarstwa. Ujrzała przebłysk chwili, kiedy w nią wchodzi, jedwabny dywan zwija się pod jej ciśniętym na podłogę ciałem. Zaraz potem zobaczyła tę scenę od zewnątrz: własną pustą twarz, rozrzucone białe kończyny, miażdżone ciało i służące beznamiętnie przyglądające się jej karze.

– Kondolencje... – odparł. Jakże nienawidziła jego twarzy, rozświetlonej prymitywnym okrucieństwem. To go podniecało: złośliwa świadomość, że może wycisnąć z niej ból. Za głupi był, aby

zrozumieć, że porcelana nie krwawi. – Ależ, moja lojalna żono, powinnaś mi złożyć gratulacje.

Syty ujął ją za twarz, jego palce wpiły się w jej szczękę. Tylko w kwestiach zadawania cierpienia zdolny był przewidywać. Choć może był to po prostu instynkt. Wiedział, że więcej rozkoszy przyniesie mu nie sama fizyczna udręka ofiary, lecz jej szamotanina i próby ucieczki.

Odmówiła mu tej przyjemności, nie zareagowała, kiedy poderwał drugą rękę, na której coś się pojawiło. Pani Zhang z góry wiedziała, co zobaczy. Niemniej wrażenie wewnętrznego nieporządku przybrało na sile. Dopiero kiedy ujrzała w jego oczach triumfalny błysk, zrozumiała, że cała się trzęsie. Przyszedł nakarmić się jej bólem i właśnie postawił na swoim. Jego wygrana przepełniła królową sfrustrowaną wściekłością. Skradł jej uczucie, którego nie potrafiła nawet do końca doznać. Rozpaczliwie pragnęła rozciąć błonę oddzielającą ją od własnej duszy, chciała, by trzewia jej uczuć wylały się na zewnątrz. Niestety, ani rozpacz, ani gniew nie były stosownie ostre; przygniatały jedynie, zmuszając płuca do spazmatycznej pracy.

– Miał to, kiedy cię pieprzył? Myślał, że zachowa to na zawsze? – Spomiędzy linii pokrywających dłoni Sytego wyrastał pomarańczowy mandat niebios. Cisza, z jaką płonął ten ognik, zawsze ją zdumiewała. Przecież każde źródło światła wydaje dźwięki, każde z wyjątkiem słońca. – Zhang Shide miał czelność żywić ambicje! A przecież to, kim był, wszystko, co osiągnął, zawdzięczał tej rodzinie. Mnie!

Widok był makabryczny. Zupełnie jakby Syty trzymał w dłoni serce bądź wątrobę generała Zhanga. Jak to możliwe, że to właśnie on przeżył? Zjawisko stało w sprzeczności z jej intuicją dotyczącą działania praw przyrody. Zamordował własnego brata, niewiedzącego, czym jest skarga człowieka, który zbudował sukces tego rodu. I za tę katastrofę, którą nazywał sukcesem, spotkała go nagroda w postaci uznania ze strony niebios. To aż nazbyt gorzkie, aby było możliwe.

Zarazem królowa zrozumiała, że była zbyt głupia. Nie powinna była wierzyć, że zwycięstwo przypadnie człowiekowi dobremu.

Syty obrócił jej twarz na boki, wypatrywał bólu uważnym, skupionym wzrokiem kolekcjonera.

– Ciebie też powinienem zabić, suko zakłamana.

Jego dłoń powędrowała do jej szyi. Zamiar był jasny. Jej ból wyostrzył apetyt męża, a każdy obzartuch je bez końca, dopóki cokolwiek leży na talerzu. Zastanowiła się, czy jej ciało doświadcza strachu i czy on ten lęk wyczuwa. Ona sama, ukryta w tym naczyniu, pozostawała zimna i niewzruszona: nie czuła niczego.

– Masz szczęście, że jestem tak wielkoduszny. Przebaczę ci, na razie. Kiedy jednak pokonam Zhu Yuanzhang, zdobędę Dadu i zostanę cesarzem, będziesz musiała dowieść, że nadal jesteś godna należeć do grona moich konkubin. – Ścisnął lekko, tak by krew w jej głowie zgęstniała, po czym rozwarł palce.

Wiedział, być może tylko podświadomie, że jest mu potrzebna. Zhu Yuanzhang maszerował właśnie na Pingjiang, a stracili przecież naczelnego wodza. Mimo ewidentnych niedogodności sytuacji pani Zhang wiedziała, że Syty wciąż może wstąpić na tron, jeżeli ona tego zechce. Sama myśl o takim rozstrzygnięciu przepełniała ją jednak odrazą.

Kiedy mąż wyszedł, nie załamała się. Wszystko wydało jej się zaledwie jedną z wielu porażek. Nigdy nie obdarzyła swojego kochanka żadnym prawdziwym uczuciem, a teraz, kiedy już nie żył, nie potrafiła podarować mu nawet żałoby. Na moment oddała się osobliwej myśli, że nie jest nawet żywym człowiekiem, ale zjawą, która opętała znalezione przypadkiem ciało. Może Zhang Shide mógł ją zobaczyć wyłącznie dlatego, że posiadał mandat niebios i widział świat duchów.

Na skraju pola widzenia królowej majaczyły sylwetki służek. Znały jej chłód lepiej niż ktokolwiek inny, lecz była pewna, że nawet one nie wierzą, że pani zupełnie niczego nie czuje. Były przekonane, że ukrywa prawdziwe reakcje jedynie ze względu na Sytego. Czekwały na jej łzy.

Wiedziona porywem gniewu poderwała stojącą na toalecie butelkę i roztrzaskała ją o podłogę. Gwałtowny przypływ przyjemności, dzikiej i bezpośredniej, sprawił, że aż się zatoczyła. Zbierała z blatu bezcenne szklane naczynka, szkatułki z macicy perłowej, porcelanowe karafki i rozbijała wszystko w szale niszczenia. Była w tym tak zachłanna jak Syty w jedzeniu: rozkoszowała się bryzgającymi płynami, brzękiem noży, mieniącymi się obłoczkami perłowych płatków i wonnych olejków. Rozbijała, niszczyła, tłukła, aż wreszcie nie zostało już nic.

Stała w środku rumowiska. Jej żebra niczym miechy napierały na spowijający ją sztywny jedwab. Służki krzywiły się w strachu. Ten widok wzbudził w królowej nienawiść: akurat to je poruszyło, a kiedy identyczna przemoc spadała na nią, przyglądały się z obojętnym zainteresowaniem.

Usiadła i sięgnęła po lusterko. Makijaż spływał po jej policzkach szerokimi, brzydkimi smugami aż na brodę, skórę na szyi miała zaczerwienioną. Jutrzejsze sińce. Raz jeszcze poczuła tę dziką pokusę: zbryzgać swoim gniewem cały świat.

– Chodźcie tu, pomalujcie mnie – zwróciła się raczej do zwierciadła niż do służących.

Spijała ich pulsującą bezgłośnie grozę: bały się tego, co będzie, gdy obute w trzewiki o miękkich podeszwach staną całym ciężarem na polu błyszczących okruchów. Bezwartościowe buty, bezwartościowe stopy. Myśl o ich wielkich stopach z rozcapierzonymi kośćmi i chwytnymi palcami przepełniała panią Zhang odrazą. Niech je sobie przemielą na siekane mięso, zasłużyły.

Wtem przez wzmagające się fale przyjemności przebiła się nieproszona myśl: on nie lubi, kiedy tak się zachowuję.

Ręka zadrżała jej tak gwałtownie, że odbicie w lusterku stało się niewyraźną plamą. Królową zagarnęła przemożna wściekłość na własne ciało, na fakt jego istnienia i niemożność zapanowania nad nim. Zrozumiała, że gdyby tylko mogła zniszczyć świat, w którym to ciało istnieje, uczyniłaby to bez wahania.



Trzasnęła ciężkim metalowym zwierciadłem o stół z taką mocą, że aż się odbiło.

– Jeśli będziecie się dalej ociągać, każę wam przyleźć na czworakach – rzuciła słodziutko do służących.

朱

Mijał czas. Pani Zhang czuła, jak jej ciało sunie z jednego dnia w kolejny. Uśmiechała się, tańczyła i była pieprzona. Niemniej pod wystawioną na oczy świata nieskazitelną powłoką ceramicznej skóry krył się jedynie duch zobojętniałej jaźni.

Aż do tej chwili.

Przeczytała list po raz kolejny, byстрыm spojrzeniem śledząc cienkie, kaligraficzne ślady pędzelka, przywodzące na myśl elegancję rozkołysanych na wietrze trzcin. Charakter pisma był znajomy. Rozpoznała autora, zanim jeszcze dotarła do miejsca, w którym uprzejmie się przedstawił. Pamiętała go. Wielmożny Wang Baoxiang, zimnooki uczonec, z którym po wielokroć dobijała targu, kiedy zarządzał finansami zamożnego księcia Henanu. Obecnie on sam był księciem.

Czuła, że snute przez wszechświat nici splatają ich razem. To za jej sprawą Esen-Temur został usunięty, to ona pozwoliła mu przejąć tytuł. A teraz pojawił się i złożył jej propozycję w chwili, w której był najbardziej potrzebny. Musi być naprawdę dobrze poinformowany, skoro nawet przebywając w dalekim Dadu, wie, jaki los spotkał generała Zhanga.

Normalny człowiek poczułby się dotknięty. Wang Baoxiang potraktował jej stratę niczym jedną z pozycji w swoich księgach rachunkowych i za pomocą bezkrwawej rachuby zamienił ją w zysk. Zamiast urazy królowa poczuła uznanie wobec stojącej za tym logiki, ponieważ pasowała ona do tego, w co sama starała się uwierzyć.

Nieważne, że on nie żyje, nieważne, że tak bardzo mi go brakuje. Jeżeli Wang Baoxiang napisał prawdę... Tak, zrobię z nim jeszcze jeden interes, pomyślała chłodno.



11

Chanbałyk

**B**aoxiang leżał zdjęty grozą. Przeciąg szarpał za pościel. Papier w oknie dudnił wściekle o kratkę, tak gwałtownie, jak serce obijało się o jego żebra. Na zewnątrz rozległ się grzmot, lecz to nie on wyrwał go ze snu. Zbudził go dźwięk, który niezmiennie porywał go z marzeń i na powrót ciskał w spoconą, przepelnioną strachem jawę. Wyczerpany i sfrustrowany, czuł mdłości. Własny umysł odmawiał mu snu, jakby chcąc uciec przed czymś nieznośnym, co kryło się po drugiej stronie. On jednak nie potrafił sobie wyobrazić, co może być gorsze od udręki bezsenności.

Kolejny piorun uderzył bliżej niż poprzedni. Jak dotąd Chanbałyk pozostawał suchy, śnieg nie spadł, lecz miasto nawiedzały potężne burze. Baoxiang już bardzo dawno temu wyrósł z lęku przed błyskawicami, ale przy każdym huku jego ciało przebiegał dreszcz zapamiętanego strachu.

Kiedyś ojciec postanowił go z tego lęku wyleczyć. Było to jedno z tych wczesnych, izolowanych wspomnień, niezwiązanych z czymkolwiek, co wydarzyło się przedtem bądź potem. Nie był

pewien, ile miał wtedy lat. Na pewno tyle, że nie powinien bać się burzy.

Baoxiang leżał znudzony na brzuchu i dłubał palcami w parkiecie. Uszczelniający podłogę ojcowskiej rezydencji dziegieć rozmiękł w letnim upale. Substancja pachniała spalenizną i metalem, trochę jak świeżo naostrzony nóż. Baoxiang co jakiś czas znajdował przyklejoną do mazi mrówkę. Ratował je wszystkie, mimo że żadna nie dawała oznak życia. Miał nadzieję, że Esen wróci już niedługo. Przynajmniej miałyby z kim się nudzić. Popołudniowe przejażdżki brata zawsze jednak ciągnęły się w nieskończoność i mógł tylko czekać.

Pierwszy grzmot kompletnie go zaskoczył. Burze od zawsze wytrącały go z równowagi. Przytłaczały. Nawet kiedy zaciskał uszy dłońmi, czuł, jak dźwięk przenika jego skórę, podeszwy stóp, jak pokrywa go niczym piana. Miał wtedy ochotę krzyczeć. Jednak w tamtej chwili, gdy żywioł rozpętał się na dobre, lęk i dyskomfort Baoxianga przyćmiło straszliwe przeczucie katastrofy. Gdzieś tam, w samym sercu burzy, był wszak Esen. A na płaskich drogach, wśród pastwisk i rozległych pól uprawnych nie ma gdzie się chronić. Wracającego do domu Esena ugodzi piorun, zginie. Im dłużej Baoxiang o tym myślał, tym bardziej rzeczywisty stawał się jego lęk. Każdy dolatujący zza okien grzmot zwiastował śmierć Esena.

Przerażony chłopczyk zapłakał. Gdyby odebrano mu brata, nie poczułby braku abstrakcyjnego, takiego, jakim była nieobecność matki lub mężczyzny, od którego otrzymał nazwisko i krew. Brak Esena byłby wyrwą w nim samym, krwawiącą, wydartą w jego duszy pustką. Wiedział, że tak doniosłej straty po prostu nie przetrwa.

Ojciec zastał go na podłodze, wstrząsanego histerycznym szlochem. Widok mocno Chaghana poruszył. Nie pochwalał takiego zachowania. Nie okazał jednak odrazy ani wzgardy – jeszcze nie wtedy. Wówczas wciąż żywił nadzieję, iż Baoxianga da się w jakiś sposób naprostować.

– Baoxiang! Co to ma znaczyć? Wstań!

Chłopiec jednak nie mógł posłuchać. Ogarnięty szalem boleści, mógł tylko wrzeszczeć i drapać paznokciami podłogę w daremnej próbie ucieczki przed źródłem grozy. Ledwie zarejestrował, że został poderwany za kołnierz, że potykającego się poprowadzono go korytarzami rezydencji prosto na omiatany smagnięciami wichury dziedziniec.

– Posłuchaj! – ryknął Chaghan, chcąc przekrzyczeć wiatr. Dziedziniec stał się rozmigotanym teatrem świateł i huku. Zapłakany Baoxiang szamotał się bezradnie, przytrzymywany żelaznym chwytem ojcowskiej ręki. – To tylko dźwięk! Z jakiego powodu boisz się zwyczajnego dźwięku? Stań spokojnie i opanuj strach. Naucz się tego wreszcie!

Wiele lat później, kiedy Chaghan dawno już porzucił wszelką nadzieję i stali się wzajemnie swoimi przeciwnościami, Baoxiang zastanawiał się, czy kiedykolwiek istniała możliwość, by przeistoczył się w człowieka, jakiego pragnął widzieć w nim ojciec. Dzisiaj, wspominając frustrację, z jaką Chaghan wysłuchiwał jego niepoohamowanych wrzasków, zrozumiał, że takiej szansy nie było. Dręczący go strach rzeczywiście był irracjonalny, lecz był również prawdziwy, ponieważ Baoxiang go odczuwał. Jakże więc nie miałyby stanowić jego istotnej części, ważnego fragmentu prawdy o nim? Już jako dziecko, niepotrafiące ubrać tego w słowa, w głębi serca domagał się, by ludzie, którzy twierdzili w rozmowach, że jest im bliski, rozumieli, co jest dla niego prawdziwe. A skoro nie mogli tego pojąć, jeśli tego nie chcieli, on nie zamierzał wyrzekać się siebie tylko po to, by zyskać ich aprobatę.

W tej chwili wydawało mu się niewytłumaczalne, że mały, nieukształtowany chłopiec mógł znaleźć w sobie dość siły, by z takim uporem bronić wszystkiego, co stanowiło część jego istnienia, a co próbowano mu odebrać jako wadliwe i niepożądane. Tak jednak było. Nawet wtedy byłem sobą, pomyślał zaskoczony, przepełniony dumą.

Wśród dźwięków burzy wyłowił dobiegające spod bramy głosy. Zaraz potem ktoś wyszedł z domu, ktoś do niego wszedł. Kiedy

Seyhan zapukał i przekroczył próg, trzymając w dłoni ociekającą deszczem latarnię, Baoxiang czekał już ubrany. Nie rozstrzygnął nigdy dylematu, czy łatwość, z jaką odczytywał wyraz twarzy Seyhana, wynikała z tworzących ją ostrych kątów, czy może po prostu sekretarz posługiwał się obliczem z niedostateczną powściągliwością. Tak czy inaczej, przybysz był wyraźnie zdenerwowany.

– Otrzymaliśmy wiadomość od pani Zhang – ogłosił przybysz, a kiedy Baoxiang niecierpliwym gestem wyciągnął rękę, dodał: – Nie. Chodź, musisz sam zobaczyć.

W salonie czekała schludnie odziana służka. Ukłoniła się głęboko, nie odrywając wzroku od podłogi. W cieniach za jej plecami kłębiły się duchy.

– Przynosisz odpowiedź swojej pani? – Baoxiang nie zwrócił na zjawy uwagi.

Dziewczyna wciąż stała w milczeniu.

– To niemowa – odpowiedział Seyhan.

Wykorzystanie usług niemej kobiety, której ani przemocą, ani przekupstwem nie można było nakłonić do wyjawienia tajemnicy, wskazywało, że pani Zhang wciąż potrafi zadbać o swoje interesy. Baoxiang przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie lata temu. Pomimo otaczającej ją reputacji trudno mu było uwierzyć, iż stojąca obok Sytego Zhanga kobieta jest czymś więcej niż połyskliwą muszelką. Lecz potem jej mąż wyszedł, a ona zwróciła się do Baoxianga, gwałtownie ożywiona, niczym suszony kwiat rozkładający płatki w czarce z herbatą. Spodobała mu się, to prawda. Ale już wtedy zrozumiał, że to, co widzi, jest tak samo sztuczne jak maska, którą nakładała w obecności małżonka. Pokazywała mu to, co chciał zobaczyć.

Niema służka, ani na moment nie unosząc głowy, podała mu list. Baoxiang odczytał jego treść na głos, z narastającym poczuciem triumfu.

– Królowa Soli dziękuje księciu Henanu za wiadomość i szlachetną propozycję pomocy. Królowa przystanie na nią

z wdzięcznością pod warunkiem, że książę zademonstruje dowód posiadania mandatu niebios. – Czy to znaczy, że wystarczy, abym pokazał niemowie płomień? Nic prostszego. Na tym jednak list się nie kończył. – Do posiadania mandatu nierzadko przyznają się ci, którzy go nie mają. Co więcej, ludzki wzrok łatwo jest zwieść. Dlatego też posyłam osobę, której omamić nie sposób. Jeżeli książę Henanu naprawdę ów dar posiada, potwierdzi to w liście zwrotnym, opisując pewien szczególny fakt dotyczący mojej służki, którego nie mógłby poznać w żaden inny sposób.

Dziewczyna podniosła głowę. Nie, nie zamknęła oczu wskutek zmęczenia. Rany, które sprawiły, iż powieki tak dziwnie się zapadły, były na tyle świeże, że w strupach pod jej dolnymi powiekami wciąż zbierała się ropa. Na oczach poruszonego Baoxianga po policzku służącej spłynęła świeża, różowawa strużka. Oślepiąca dziewczyna bezgłośnie płakała.

– Twoja przyszła sojuszniczka jest surową panią – zauważył Seyhan.

Powolny ruch za plecami dziewczyny był równie leniwy jak falowanie rąbków odzieży spoczywającego na dnie topielca. Zwabiony uwagą Baoxianga duch wypłynął naprzód. Służąca królowej, zupełnie jakby wyczuła obecność zjawy, otworzyła usta – straszliwą otchłań, w której próżno było szukać języka – i wydała z siebie bulgotliwy skowyt, od którego Baoxiangowi zjeżyły się włosy na rękach.

Żaden historyk nie opisał tej drugiej, dziwnej właściwości mandatu niebios. Nie wspominali też o niej cesarze. Baoxiang nie opowiedział o niej nawet Seyhanowi. Tymczasem pani Zhang wiedziała. Wiedziała, ponieważ musiał ową zdolność wykazywać również generał Zhang. A także Zhu Yuanzhang, podobnie jak wszyscy inni, których niebiosy uznały za pretendenta godnych tronu.

– Miała bliźniaczkę – rzucił zwięźle Baoxiang.

Żaloba służącej przepełniła go nagle obrzydzeniem. Chciał otrzymać od pani Zhang coś bardzo konkretnego. I właśnie to

otrzymał. A ceną za to było zaledwie życie dwóch służek? Naprawdę nie mógł sobie wyobrazić nic tańszego. Całe życie zmagając się z oporem rodziny, walczył o zachowanie przynajmniej części prawdy o sobie. I zawsze kosztowało go to mnóstwo wysiłku, był jak łośoś przez lata daremnie próbujący dopłynąć daleko w górę rwącego strumienia. A teraz, kiedy się ostatecznie poddał, kiedy zaprzestał walki, teraz, gdy pozwolił sobie stać się tym, za kogo zawsze go uważali, wszystko nagle zaczęło przychodzić bez trudu. Łatwo było zostać człowiekiem okrutnym, niszczyć, przepełniać świat nieszczęściem, byle tylko postawić na swoim. Tak łatwo, iż miał wrażenie, że to sam los gna go tą drogą.

Kiedy jednak Baoxiang przyglądał się obu dziewczętom, gdy patrzył w nietkniętą twarz zmarłej, która nie stanowiła już lustrzanego odbicia oblicza żyjącej siostry, jego poczucie triumfu pociemniało i zatoneło, jakby ściągnięte na dno obciążoną kamieniami siecią. Doskonale znał to uczucie. Groza. Znał ją, ponieważ tylko ją zabierał ze sobą na jawę z tych wszystkich zapomnianych snów; świadomość, że stało się coś straszego. Stało się i nigdy nie będzie można tego cofnąć.

朱

Kiedy Baoxiang, okupując to ciężką walką z żywiołami, dotarł wreszcie do pałacu trzeciego księcia, burza jedynie się wzmogła. Tym razem gospodarz nie czekał w kryształowym pokoju. Baoxiang znalazł go w dalszej części rezydencji, w sali ćwiczeń. Chłopak nie wprawiał się jednak w szermierce: leżał wyciągnięty na brzuchu na ustawionej pod tylną ścianą leżance. Na dźwięk kroków wcisnął coś w popłochu pod poduszkę i jak przyłapany na gorącym uczynku, poderwał się na równe nogi. Gdy jednak zobaczył wiceministra, wyraźnie się odprężył.

– Czytałeś? – spytał zdziwiony Baoxiang.



– Miałbym czytać? – Twarz trzeciego księcia zajął wściekły rumieniec. – Nie jestem tobą. Na papierze można znaleźć rzeczy znacznie ciekawsze od słów.

Baoxiang miał całkiem dobre pojęcie, jakiego rodzaju rozrywkowe druki krążą między młodymi mężczyznami. Jednak na podobnej zasadzie, która pozwalała Esenowi stwierdzić, czy majająca na horyzoncie sylwetka należy do jelenia, czy do konia, Baoxiang znał różnicę między lichą pornografią a książką z prawdziwego zdarzenia. Wojownik, który spędza samotne chwile, czytając dla przyjemności! Pojęcie niemal sprzeczne samo w sobie. Baoxiang pomyślał, że książki stanowią dla chłopaka ucieczkę zupełnie niezrozumiałą dla jego przyjaciół, że musi to być pasja samotna, nie do końca uświadomiona i niespełniona, z perspektywy jemu podobnych równie odrażająca, jak odrażające byłyby jego inne żądze.

Baoxiang nagle pożałował, że w ogóle tę książkę zauważył. Na temat arystokraty wiedział już wszystko, co wiedzieć potrzebował. Jego plan nie wymagał współczucia. Nie była mu potrzebna splątana sieć uczuć, które mogły zbliżyć do siebie tego zranionego chłopca i młodego Baoxianga. Nie chciał go rozumieć.

– Nabrałem ochoty na chwilę taniej przyjemności – podjął lekko zamyślnym tonem młody arystokrata. – Ale spójrz! Jakże szczęśliwy zbieg okoliczności. Wszechświat przygnał do mojego domu coś jeszcze tańszego. Czym zabawimy się w ten jakże deszczowy wieczór, książę Henanu? – Jego wzrok padł na wiszące na ścianie ćwiczebne florety i włócznie. Zaraz potem chłopak przeniósł spojrzenie na stojący przy leżance stół, gdzie leżał jego osobisty miecz, inkrustowany turkusowymi płatkami układającymi się w sylwetkę połykającego rękojeść smoka. – Jesteś wprowadzie do niczego, ale przecież chyba nawet ty potrafisz utrzymać miecz w dłoni, czyż nie?

Baoxiang naoglądał się w życiu towarzyskich pojedynków. Wojowników zachwycała przemoc i wysiłek, lecz był przekonany, iż największą przyjemnością jest dla nich intymność dotykania i bycia

dotykanym. Zrozumiał, że jeśli sam zaraz nie nada tonu spotkaniu, trzeci książę przygwoździ go do ściany bądź podłogi, tłumacząc sobie, że ta forma fizycznego kontaktu nie wykracza poza zwykłe braterskie doznania. Musiał to sobie tłumaczyć, uzasadniać. Potrzebował mieć w zanadrzu gotowe wyjaśnienie. A właśnie na to Baoxiang po prostu nie mógł mu pozwolić.

Zdjął przez głowę przemoczony na deszczu kaftan i upuścił go na podłogę. Szata, którą miał pod spodem, stanowiła jego prywatną własność, zatem była lepszej jakości niż odzienie wierzchnie. Kiedy ją opuścił, nie rozlała się niczym kałuża, lecz stanęła sztywno wokół kostek.

Widząc Baoxianga w samej bieliźnie, trzeci książę rozchylił bezwiednie usta. Dość szybko jednak zebrał myśli.

– Co ty wyprawiasz? – rzucił z niedowierzaniem.

Baoxiang nie odpowiedział. Gdy rozpinał bieliżnianą koszulę, zaskoczenie młodego arystokraty przekształciło się w nierozważną łąpczywość. Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę, że nachylił się całym ciałem naprzód, że całym sobą sygnalizuje pożądanie? Baoxiang zamarł. Nie miał już na sobie koszuli, na skórze czuł igielki chłodu i wyczekiwania. On również czegoś chciał, aczkolwiek czegoś zupełnie innego, niż chciał trzeci książę. Rozwiązał tasiemkę bieliżnianych spodenek i pozwolił im się zsunąć.

Oddech zapatrzonego chłopaka wyraźnie przyspieszył. Jedynie młodzik mógł dostrzec erotyzm w przyziemnej nagości. Niepodważalny fakt męskości Baoxianga przepełnił go dziwnym poczuciem siły i władzy. Jego chuderława pierś, sutki otoczone kilkoma cienkimi włoskami, kościste boki i miękki penis – wszystko, co jemu wydawało się zupełnie neutralne, wyraźnie trzeciego księcia podniecało.

Baoxiang poczuł, że zaczyna w nim wzbierać okrucieństwo. Tym razem nie zamierzał oddać niczego za darmo. Nadeszła pora, by dzieciak przyznał, że to, co się tu dzieje, dzieje się dlatego, że on tego chce.

– Jeżeli trzeci książę ma dla mnie jakieś polecenia, powinien je wysławić – stwierdził jedwabistym tonem.

– Masz czelność... – zaczął zduszonym głosem młodzik.

Kolosalna różnica! Czym innym jest, kiedy wszystko robi ktoś inny, a czym innym, kiedy trzeba samemu poprosić. Jednak mimo że trzeci książę aż zadrżał, rozdarty pomiędzy wstydem, gniewem i jeszcze głębszym wstydem, nie mógł oderwać wzroku od nagiego ciała gościa. Przedziwne uczucie stać się przedmiotem pożądania, stwierdził w duchu Baoxiang. Jego ciało mogło teraz zadawać rany, mimo że dotąd stanowiło jedynie zaproszenie do zadawania ran. Czuł napór tego ciała na wstyd chłopaka, naciskało, jak nóż naciska na cienką zasłonkę. Czy tak czują się kurtyzany, kiedy odwiedzają je młodzi chłopcy, struchlali, zakłopotani potrzebami własnych ciał, wyrażanymi dotąd jedynie niezdarnymi próbami?

Trzeci książę płonął ze wstydu i próbował przymusić Baoxianga mocą spojrzenia. Był jednak tylko dzieckiem, a wiceminister prowadził podobne pojedynki przez całe swoje życie. Miał silną wolę.

– Spełnię każde życzenie trzeciego księcia.

Szalejąca na zewnątrz burza sprawiła, że w sali zapadł półmrok. Przyćmione światło pchnęło myśli Baoxianga ku czułym chwilom, gdy w podobnych warunkach oglądał ciała kochanek. Teraz jednak patrzył na człowieka w pełni ubranego, lecz jednocześnie obdartego ze skóry: zredukowanego do roztrzęsionej bezbronności tego, co nigdy nie powinno być wystawione na pokaz.

– Ja... – zaczął trzeci książę i urwał.

Baoxiang popatrzył w dół, na siebie, i poczuł, że młody arystokrata spogląda w to samo miejsce. Nie przyjął kuszącej pozy, nie musnął dłonią genitaliów czy pośladków. To byłaby skrajna nedorzeczność. Ukazał jednak własnym wzrokiem swoje ciało i wszystkie jego możliwości.

Nigdy jeszcze nie czuł na sobie aż tak skoncentrowanej uwagi. Jego kontakty międzyludzkie sprowadzały się zwykle do odgrywania z góry ustalonych ról: wcielał się w pozbawionego honoru syna,

pożałowania godnego uczonego lub pedała; jego przeciwnicy bywali karcącymi ojcami, niezadowolonymi braćmi, dominującymi wojownikami. Trzeci książę tymczasem zapomniał o swojej roli. Jego odsłonięte, nagie ja napierało na niewidzialną tarczę, jaką w tym spektaklu otoczył się Baoxiang. Fale deszczu bezustannie smagały dach. Podmuchy wiatru wstrząsały całą salą.

– Chcę...

Obnażony bezlitośnie przez swoją żądzę, trzeci książę wydawał się tak bardzo młody. Twarz miał aż ciężką od wypieków. Baoxiang patrzył, jak chłopak balansuje, chwieje się na krawędzi, i czekał na jego upadek. Pragnienie ujrzenia tego upadku przepełniało go tak, jak seksualne pożądanie przepełniało młodzika. Pulsująca więź wzywała ich ku sobie, ponieważ tylko oni dwaj mogli dać sobie rzeczy, których potrzebowali.

– Książę! – Obaj drgnęli, gdy za drzwiami rozległo się wołanie sługi. – Książę, burza zwała drzewo na budynek stajni!

Czar prysł. Trudno powiedzieć, czy chłopak naprawdę był potrzebny przy chwytaniu koni. Z miną obłąkańca poderwał się z leżanki i zniknął w korytarzu.

Baoxiang został sam. Nagi i wściekły. Był tak blisko. Porzucony dla konia. Zaczynał myśleć, że to zrzęcenie przeznaczenia. Spochmurniał i przypomniał sobie ostatni raz, kiedy porzucił go Esen. Płonące książki, końskie rzenie. I zdrajca zakradający się przez drzwi, kiedy Baoxiang nareszcie zrozumiał, czego chce.

Topienie, honorowa metoda egzekucji stosowana wobec mongolskich arystokratów, jest podobno nieprzyjemnym rodzajem śmierci. Gdy rozlewająca się wewnątrz Baoxianga czerń wypełniła płuca i wyparła z nich powietrze, kiedy jego gniew zmienił się w panikę, zrozumiał, dlaczego jest to doznanie nieprzyjemne. Ile jeszcze prób będzie musiał podjąć, by trzeci książę otoczył go ochroną? Ile czasu musi upłynąć? Cesarzowa nie musiała się spieszyć, lecz mało prawdopodobne, by zechciała odwlekać przyjemność. Baoxiang czuł, że się dusi, nie miał już czasu.

# 朱

– Nadal tu siedzisz? – Minister wsunął głowę do gabinetu zastępcy.

Baoxiang drgnął, zdziwiony, że jest już tak ciemno. Poza samotną latarnią pomieszczenie rozjaśniał jedynie czerwonawy blask koksownika i kilka smużek wpadającego z korytarza światła lamp. Jak na wczesne popołudnie, wokół panowała niecodzienna cisza. Obecnie, kiedy dni były coraz krótsze, ministerialni urzędnicy wychodzili wcześniej. Spieszyli do rodzin i ciepłych domów. Nawet Baoxiang, gdyby nie miał powodu zostać dłużej, wolałby wrócić. Bał się cesarzowej.

– Dziewczyno! – zawołał minister i wszedł do środka. – Przynies nam trochę tych przekąsek, które zostały w moim biurze.

Służka pojawiła się po krótkiej chwili. Skłoniła się w milczeniu i ustawiła na biurku Baoxianga tacę smażonych placuszków z fasoli mung.

Minister powiódł spojrzeniem za wychodzącą.

– No nie trafiliśmy! Szkoda, że ta poprzednia musiała wrócić na wieś, do chorych rodziców. To dopiero był ogień, co? Nie uważasz?

A więc zauważył jej flirt z Baoxiangiem. Mimo sympatycznej, nieco rozlazłej powierzchowności staruszek wciąż miał bystre oko.

– Niespecjalnie pamiętam – odparł niezobowiązująco Baoxiang.

– Młodzieniec powinien zwracać baczną uwagę na otaczające go ślicznotki. Praca to nie wszystko – złącał go łagodnie minister. – Nie myśl, że tego nie widzę. Przez ostatnie półtora miesiąca, jak nie lepiej, wychodzisz z biura ostatni.

– Minister nie powinien tracić czasu na śledzenie poczynań niegodnego urzędnika. – Unosząca się znad placuszków woń dzikiej cebuli i starego oleju drażniła rozregulowany z niewyspania żołądek Baoxianga.

Zamiast odpowiedzieć, staruszek sięgnął po placek i spałaszował go z ewidentnym upodobaniem. Ponieważ nic nie

zwiastowało dalszego ciągu, Baoxiang wrócił do przerwanej zajęcia. Nawet półżywy ze zmęczenia wciąż potrafił czerpać nieco przyjemności z kreślenia kolejnych kształtnych znaków. Ledwie zdołał się skupić, przełożony ponownie wytrącił go z równowagi.

– Słyszałeś może o prywatnej audiencji, której wielki chan udzielił niedawno wielkiemu radcy? Mówi się, że nasz władca dał się przekonać do planu odbicia wschodniego wybrzeża. Marsz na Pingjiang rozpocznie się zaraz, gdy tylko armia stanie w pełnej gotowości.

Baoxiang przypomniał sobie wielkiego radcę, którego ujrzał przelotnie kilka dni wcześniej, przy okazji wizyty cudzoziemskiego dygnitarza. W czarnej, błyszczącej lakierem odświętnej zbroi, której każda łuska była misternie obrębiona złotą obwódką, niczym na cielsku prawdziwego smoka, wódz armii stołecznej przywodził na myśl najbardziej zasłużonych chanów z dawnych czasów. Każdy, kto drżał z niepokojem na myśl o przyszłości Cesarstwa Wielkich Yuanów, powinien spojrzeć na tę postać, a jego serce przepełniłaby pewność: rodzinę Zhangów, podobnie jak wszystkich innych buntowników z południa, czeka niechybna klęska, zostaną zmiążdżeni, a cesarstwo powróci do wcześniejszej jedności i chwały.

– Wyobrażam sobie, że taka decyzja musiała ucieszyć wielmożną Ki.

– Zaiste! Cóż, myślę, że zanim kurz między nimi opadnie na dobre, czekają nas ciekawe czasy. Możemy jedynie trzymać się nadziei, że wielki doradca odniesie błyskawiczne zwycięstwo, na tyle szybkie, by wielmożna Ki nie zdążyła wzbudzić zamętu pod jego nieobecność w stolicy. Pamiętajmy jednak, że Zhangowie nie są słabeuszami, niestety, to trzeba tym kupczykom oddać. Bardzo możliwe, że wytrwają dłużej, niżbyśmy sobie życzyli. Tak czy inaczej, pożyjemy, zobaczymy.

Wbrew obawom ministra pozbawiona wsparcia generała Zhanga pani Zhang nie była tak silna jak dotąd. Do niedawna mogłaby zetrzeć się z wielkim radcą na równych zasadach. Teraz już nie. Nie o ile nic się nagle nie zmieni.

Gwałtowna fala emocji przepłynęła z mózgu Baoxianga do trzymającej pędzelek dłoni, która nieznacznie drgnęła, i kreślona właśnie linia wyszła krzywo.

– Wiesz co, Wang Baoxiangu? – podjął minister, obserwując podwładnego, który starannie poprawił znak. – Niewielu ludzi wykonuje zawód w pełni odpowiadający ich talentowi. Cieszę się, że okazałeś się jednym z tych szczęśliwców.

Czując kolejne zbliżające się czknięcie, Baoxiang uniósł pędzel, nie chcąc splamić karty.

– Ach, wypada jedynie żałować, że szacowny minister nie poznał mojego brata, poprzedniego księcia Henanu! To dopiero był człowiek na właściwym miejscu. W całym imperium próżno szukać większego wojownika. Nawet zupełnie obcy ludzie opłakiwali jego śmierć, w której upatrywali kres wszystkiego, co na świecie dobre i godne. – Z jakiegoś powodu dolatujące z zewnątrz postukiwanie bambusa, którym wabił klientów obnośny sprzedawca herbaty, pobudziło gwałtownie uwagę Baoxianga, jakby zasnął w pół zdania i ocknął się nagle z rozkołatanym sercem, zdjęty lodowatą grozą.

– Esen-Temur rzeczywiście był powszechnie ceniony. Czy jednak naprawdę uważasz, że blado wypadasz w porównaniu z nim? Kiedy na ciebie patrzę, widzę obiecującego młodego człowieka, posiadacza niespotykanego talentu, który nareszcie znalazł miejsce, gdzie może uczynić z niego użytek.

– Nie mów, że kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy, nie pomyślałeś tego, co wszyscy – wycedził Baoxiang. Przyłapał się na tym, że odruchowo użył przesadnie zaczepnego tonu. Miał nawyk prowokowania, nawet jeśli jedynym, co mógł w ten sposób zyskać, był ból. – Minister uznał za stosowne nie przykładać uwagi do mojego wyglądu i... skłonności, ponieważ posiadam zdolności, które uważa za cenne. Esen natomiast był wojownikiem. Nie cenił uczonych głów. We mnie dostrzegał jedynie ułomności. W oczach jego i jemu podobnych byłem i jestem zupełnie bezwartościowy.

Na długą, bardzo długą chwilę zapadło między nimi milczenie. Długie siwe brwi ministra zbiegły się nad nosem i ocieniły oczy

niczym wachlarze z palmowych liści.

– Mój syn jest wojownikiem – odezwał się wreszcie. – Dowodzi jednym z batalionów wielkiego radcy. Nie wątpię, że gdyby mieli okazję się poznać, znalazłby w twoim bracie pokrewną duszę. I to prawda, jego bitewne przewagi napełniają mnie wielką dumą. Jednak chętnie myślę, że byłbym z niego nie mniej dumny, gdyby przyszedł na świat kaleką i nigdy w życiu nie postawił samodzielnego kroku ani nie dosiadł konia. Jestem dumny z tego po prostu, że go mam, a kiedy odejdę, zmówi za mnie modlitwę i poniesie moje nazwisko w przyszłość. Twój brat był wojownikiem. Ale był również twoim bratem. Jestem przekonany, że...

Baoxianga ogarnęła wściekłość tak gorąca, że przez chwilę widział jedynie czerń.

– Że co? – warknął. Czyżby jego brat miał głowę równie otwartą jak minister i to Baoxiang nie potrafił po prostu dostrzec tej strony jego charakteru? – Nie. Nienawidziłem go, a on nienawidził mnie. Byliśmy dwójką ludzi, którzy najzwyczajniej nie mogą się porozumieć.

Mądrość powstrzymała starca przed kontynuacją rozmowy. Po chwili milczenia wstał, jęknął, czując ból zeszywniałych stawów, złożył podwładnemu dłoń na ramieniu i powiedział tylko:

– Idź do domu, Wang Baoxiangu.

Odkuśtykał korytarzem. Baoxiang nasłuchiwał odgłosów otwieranych i zamykanych drzwi, odległych rozmów służących, którzy wynieśli lektykę przed budynek. Minister odjechał i na biuro opadła cisza miękka jak kobierzec śniegu.

Nastąpiła chwila, na którą Baoxiang czekał każdego dnia. Moment, gdy był jedyną osobą w całym gmachu. Zmierzając w stronę gabinetu pryncypała, widział na ścianach korytarza swój cień. Sylwetka człowieka w kapeluszu, niczym zarys złoczyńcy w teatrze cieni. W biurze ministra, jak wiele razy przedtem, podszedł do regału i sięgnął po odpowiednią księgę rachunkową. Wrócił do siebie, wyciągnął z ukrycia bliźniaczy egzemplarz,



zapisany w połowie noc wcześniej, i powrócił do żmudnego przepisywania.

朱

Baoxiang wraz z ministrem czekali wśród tłumu urzędników zebranych w dwóch szeregach na placu przed Salą Wielkiej Światłości. W przeciwieństwie do Henanu, gdzie zimy były rześkie, czyste i trzaskające mrozem, niebo nad Chanbałykiem wiecznie brudziły tumany kurzu i węglowego dymu. Przypominało pustą miskę wysmarowaną resztkami pasty z czarnej fasoli. Stojący u szczytu wysokich schodów wielki chan wypatrywał nadzieją zagranicznego posłańca. U boku władcy trwała w wystudiowanej pozie wielmożna Ki. Dzisiaj nastał jej dzień. Z okazji dorocznej ceremonii spłaty trybutu przez Goryeo przywdziała tradycyjną dla swojego ludu krótką, ozdobioną wstążkami kurteczkę oraz suknię przypominającą kształtem kielich. Wyglądała jednocześnie wspaniale i obco. Trudno było stwierdzić, czy fakt, iż jej osobista pozycja wypływa z podporządkowania ojczyzny Wielkim Yuanom, budzi w niej jakiegokolwiek ambiwalentne uczucia. Danina płacona przez Goryeo wielkiemu chanowi sprawiała, że władca spoglądał na nią łaskawie, lecz ceną za to były hańba i ubóstwo jej krajanów.

Wreszcie na placu pojawił się cudzoziemski pochód. Na czele, najważniejsze ze wszystkich, sunęły bloki śnieżnobiałej soli. Za nimi kufry pełne imbiru i złota, konie i ptaki łowcze, tkaniny, całe wozy jęczmienia i wyżej od niego cenionej pszenicy. Na końcu zaś szła długa procesja starannie wyszorowanych młodziutkich eunuchów i dziewcząt wystrojonych w sztywne, przypominające białą bieliznę stroje, typowe dla mieszkańców Goryeo. Pewnego dnia w jednym z podobnych pochodów przybyła tutaj wielmożna Ki – dziewczyna przemocą wydartą rodzinie i wysłana na obcą ziemię, z którą nie łączyły jej więzy krwi ani mowy, gdzie była nikim, a ocalić ją mogła

jedynie własna silna wola. Dzisiaj, jako elegancka, wytworna matka księcia, obserwowała ceremonię obojętnym okiem.

Poseł z Goryeo, w którego żyłach płynęło tyle mongolskiej krwi, ile miał w sobie Baoxiang, lub może nawet więcej, uklęknął u stóp schodów.

– Oby rządy wielkiego chana przetrwały dziesięć tysięcy lat!

Fortuna, jaką przysłało Goryeo, wydawała się bezmierna, lecz Baoxiang wiedział, że nawet ona nie może zastąpić bogactw, które Wielcy Yuanowie utracili na rzecz Zhangów. Dopiero kiedy wielki radca odbije wschodnie wybrzeże z rąk pani Zhang i fale Wielkiego Kanału na powrót poniosą do Chanbałyku nieprzebrane ilości soli i zbóż, danina z Goryeo stanie się tym, czym była dawniej: symbolem. A chwila chwały wielmożnej Ki dobiegnie końca.

– Dar króla Goryeo jest nam niezmiernie miły – obwieścił pełnym głosem wielki chan, po czym zwrócił się do wielmożnej Ki i dodał z pobłażaniem: – Czy powinniśmy odpowiedzieć własnym podarkiem w podzięcie za szczodrość twojej ojczystej ziemi?

Cesarzowa stała dotąd w cieniu kolumnady, w towarzystwie wielkiego radcy i trzeciego księcia. W tej chwili wystąpiła naprzód, uprzedzając odpowiedź wielmożnej Ki. Na tle jednolicie białych ścian gmachu jej wysoki kapelusz i kameliowej barwy suknia czerwieniły się niczym plama krwi.

– Proszę, wielmożna Ki, nie kłopotz się! Już wcześniej pozwoliłam sobie przygotować dar, który trafi do władcy Goryeo w imieniu mojego męża, wielkiego chana. Nieskromnie sędzę, że zostanie dobrze przyjęty.

Wielmożna Ki mogła być jednym ze zdobiących balustrady smoków, w takim samym jak one kamiennym bezruchu zareagowała na niespodziewany obrót wydarzeń. Cesarzowa była najwyższą postawioną kobietą w pałacowej hierarchii. Jej uczynek, zwłaszcza biorąc pod uwagę osobiste związki wielmożnej Ki z Goryeo, był mocno nietypowy, lecz przygotowywanie podarków dla cudzoziemskich wysłanników należało do jej oficjalnych obowiązków. Wielmożna Ki mogła się nadąsać z nadzieją, że wielki

chan naruszy panujące w haremie zasady i ukarze cesarzową, bądź mogła ustąpić i spróbować pokonać rywalkę w jej własnej grze. Po chwili zastanowienia rzuciła chłodno:

– Moja siostra cesarzowa pomyślała, jak widzę, o wszystkim.

Twarz cesarzowej rozświetlił dziki uśmiech. Nie skierowała go jednak ku wielmożnej Ki. Baoxianga ogarnął nagły mglisty niepokój.

– Cóż bardziej stosownego można ofiarować panującemu w Goryeo niż dar osobisty, który poruszy jego serce? Na szczęście, jako że wychował się na naszym dworze, jego gusta są nam wszystkim dobrze znane.

Nawet prowincjusz taki jak Baoxiang musiał odgadnąć, co cesarzowa ma na myśli. Książęta koronni krain zwasalizowanych przez Wielkich Yuanów do czasu objęcia tronu w rodzinnych stronach dorastali w Chanbałyku. Także obecny monarcha Goryeo przez wiele lat uczestniczył w organizowanych przez wielkiego chana wiosennych łowach. Baoxiang przypomniał sobie kokietyjnego księcia, który wspomagał swoją przeciętną urodę najmodniejszymi strojami i którego gwardię przyboczną tworzył tuzin podejrzanie urodziwych młodzieńców z Goryeo. Był on człowiekiem dokładnie takim, jakimi w Chanbałyku pogardzano, lecz jakich chętnie widziano u steru władzy podporządkowanych cesarstwu państweczek.

– Brałam pod uwagę dary tradycyjne, łuki, konie – ciągnęła cesarzowa – ale wreszcie przypomniałam sobie, jakim uwielbieniem młody książę darzył piękne przedmioty kojarzące się raczej z dziedziną ducha. Interesowały go sztuka, literatura, kaligrafia... – Niepokój Baoxianga przeszedł w lodowatą grozę. Nie miał dokąd uciekać. – Jak sądzę, macie ze sobą wiele wspólnego... – cesarzowa skierowała głos w stronę tłumu urzędników, słowa ugodziły Baoxianga niczym spadająca spod nieba strzała – wiceministrze skarbu.

Gdy tak stał jak skamieniały, kątem oka zauważył blade plamy. Nie były to duchy, lecz beznamietne twarze stojących naprzeciwko dworzan, którzy nagle wszyscy spojrzeli w jego kierunku. Za

wcześniej, nic innego nie przyszło mu do głowy, gdy patrzył na eunuchów cesarzowej, którzy zbiegli po schodach i ustawili przed nimi niski stolik do pisania. Nie był gotów. Nie miał dość czasu. Ukryte w cieniu kolumnady oblicze trzeciego księcia pozostawało nieodgadnione.

– Twój talent artystyczny jest szeroko znany, wiceministrze, czyż nie? – Cesarzowa mruzczała jak kotka. – Jestem pewna, że wystarczy ci go, żeby stworzyć kaligraficzne dzieło zdolne zadowolić gust władcy Goryeo. Bardzo proszę, wszystko już przygotowałam.

Stojący w oddali stolik wraz z czekającymi na nim pędzelkami i atramentem wydawał się jedynym przedmiotem na całym placu. Baoxiang od dawna wyobrażał sobie, iż cesarzowa pozbędzie się go za pomocą jakiegoś paskudnego, skrytego podstępku. Gdzieżby! Ostatecznie miała duszę poetki. Baoxiang upokorzył przed obliczem wielkiego chana jej brata, a ona teraz zamierzała odpłacić mu pięknym za nadobne. Najpierw go poniży, a potem wyszuka w jego dziele jakąś skazę, jakąś obrazę godności swojego małżonka, której skutkiem będzie natychmiastowe wygnanie bądź egzekucja.

Z tego koszmaru nie potrafił się wybudzić, nie mógł. Mimo protestów eunuchowie zaprowadzili go przez długi plac do stolika. Chwilę potem klęczał już roztrzęsiony z pędzelkiem w dłoni.

– Żywiej! – Cesarzowa spijała strach wiceministra niczym przednie wino. Nigdy wcześniej nie widział na jej twarzy takiej rozkoszy. – Nie zanudź wielkiego chana.

Przerażonemu Baoxiangowi zakręciło się w głowie. Krtań miała ściśniętą. Dłonie mokre od potu. Kiedy jednak wiedziony desperacją sięgnął po swój gniew, ten nie zawiódł. Zapłonął ogniem czystym, wypalającym strach, uśmierzającym drżenie palców. Czy cesarzowa naprawdę sądziła, że Baoxiang podda się, zanim na dobre zacznie? Że zgubi go jakiś drobny błąd, że nie wykorzysta pełnej mocy swojego talentu? Czy myślała, że wystąpiłby przeciwko całemu światu, walcząc orężem, którym nie potrafi władać?

Przytknął pędzelek do karty i pismo spłynęło z niego natchnionym przez furję strumieniem. Zupełnie jakby przelewał na

papier niebiański mandat. Kreśląc zawile, pełne kątów i załamania znaki, obnażał prawdę o sobie samym. Opowiadał o swoim czarnym sercu i czarnych zamysłach. Jednak żaden z widzów nie opanował sztuki kaligrafii w stopniu odpowiednio mistrzowskim, by ją odczytać. Dostrzegali jedynie powierzchowną warstwę powstającego na ich oczach dzieła.

A ta była nieskazitelna.

Z dzikim poczuciem triumfu pokonał pierwszy ciąg stopni i przyklęknął z opuszczoną głową, unosząc nad nią arkusz, by mogli go zobaczyć wszyscy powyżej.

– Oby wielki chan panował nam dziesięć tysięcy lat!

Zrobiło się cicho. Wszyscy wpatrywali się w dzieło wiceministra. Baoxiang wyobraził sobie minę cesarzowej, kwaśniejącą z każdą chwilą, gdy docierało do niej, że wymknął się z zastawionej przez nią pułapki. Na werdykt nie musiał czekać zbyt długo.

– Ładne. Spisałeś się, wiceministrze – rzucił wielki chan bez cienia zainteresowania w głosie.

Władca już miał odprawić Baoxianga machnięciem ręki, kiedy cesarzowa musnęła go w ramię.

– Czy w takim razie, mój wielki chanie, nie powinna go spotkać nagroda? – spytała i nie czekając na reakcję, zawołała: – Wielki chan zaszczyści wiceministra skarbem kielichem wina!

Baoxiang drgnął. Eunuch biegł już po schodach, niosąc na tacy nefrytowy puchar. Wiceminister wziął się w garść i zrozumiał, że jego początkowa ocena cesarzowej była jednak słuszna. Po cóż zadawać sobie trud poetyckiego upokarzania rywala, skoro można go po prostu zamordować? Była świetnie przygotowana, pomyślała o wszystkim. Wiedział, co oznacza ten kielich, poza zaszczytem skosztowania cesarskiego trunku. Śmierć. Śmierć tak powolną, że kiedy go wreszcie zabierze, nikt nie skojarzy jej z zarządzonej przez cesarzową poczęstunkiem.

Rzuciła mu roześmiany uśmiech.

Trzeci książę spoglądał to na wiceministra, to na cesarzową. Wreszcie odwrócił wzrok. Baoxianga zdjął przemożny gniew. Czarna fala wściekłości poderwała go i uniosła, zapowiadając czyste zniszczenie. Strach stał się zaledwie iskierką, migotał daleko w dole, ledwie dostrzegalny. Trzeci książę rozumiał, co cesarzowa chce osiągnąć za pomocą tego kielicha. A jednak, wyłącznie ze strachu wywołanego myślą o kłopotach, jakie mógłby ściągnąć na własną głowę, uznał, że pozwoli Baoxiangowi umrzeć.

Chłopak miał wybór i zdecydował się uciec spojrzeniem. Baoxiang nigdy nie miał wyboru. Zawsze musiał być sobą.

Sięgnął po puchar, upuszczając przy tym kartę z kaligrafią. Wiatr, jakby to gniew wiceministra nadawał mu kierunek, porwał arkusz i cisnął nim prosto w łydki trzeciego księcia. Żar wściekłych myśli Baoxianga zdawał się przenosić poprzez powietrze niczym dźwięk rozchodzący się w kości.

Spójrz na mnie. Zobacz mnie.

Chłopak wziął zbłąkaną kartkę do ręki. Kiedy jego oczy padły w końcu na Baoxianga, tchnęły jedynie niechęcią. Trzeci książę rozumiał, że odwracając się, pozwalając wiceministrowi szczenąć jakby nigdy nic, nie pozbędzie się niechcianych pragnień, lecz mimo wszystko miał na to nadzieję. Baoxiang jednak nie chciał się poddać. Ich spojrzenia drżały, napierając na siebie, nienawiść ścierała się z nienawiścią, a gniew Baoxianga nadal narastał. Przyznaj, że istnieję, jeśli nie jesteś tchórzem.

– Niech wielki chan panuje jeszcze dziesięć tysięcy lat! – Podniósł nefrytowe naczynie.

Na szerokiej twarzy trzeciego księcia, obliczu o wysokich policzkach i okrutnie wykrzywionych ustach, kapitulacja wyglądała jak żałoba. Zbiegł kilkoma krokami po schodach. Uderzenie sprawiło, że palce Baoxianga zaśpiewały; kielich, z którego wystrzeliła długa wstęga trunku, zakreślił nad stopniami elegancki łuk, po czym ucałował marmur i eksplodował, zmieniając się w migotliwy obłoczek.

– Cóż to ma zna... – zakrzyknęła cesarzowa.

Na wargi trzeciego księcia natychmiast powrócił złośliwy uśmiezek.

– Jestem pewien, że cesarzowa nie chciała obrazić króla Goryeo, posyłając mu dar obarczony tak podstawowym błędem. – Agresywnym ruchem rozłożył kaligrafię Baoxianga tak, by wszyscy mogli na nią ponownie spojrzeć. – Patrzcie! Tu widnieje niewłaściwy znak! Ten kawałek papieru to przecież zwykły śmieć!

Rumieniec cesarzowej dorównał czerwieni jej kapeluszu. Baoxiang przypomniał sobie nagle chwilę, kiedy trzeci książę odczytał tytuł jego księgi. Esen nigdy nie zadał sobie trudu, by poznać jakiegokolwiek pismo poza mongolskim. Wiceminister doznał olśnienia. Cesarzowa i wielki chan byli podobnie leniwi jak jego brat. Pośród zebranych jedynie trzeci książę, górujący nad nim z miną zwycięzcy, wiedział, że Baoxiang stworzył dzieło idealne.

Młody arystokrata rzucił coś w obcej mowie. Członkowie poselstwa z Goryeo zareagowali poruszonym szemraniem, po czym chłopak przeszedł z powrotem na mongolski.

– Nie mówcie, że uwierzyliście, że wiceminister jest genialnym artystą! W tej dziedzinie tak samo daleko mu do mistrzostwa jak we wszystkich innych. Spójrzcie tylko na tego człowieka! Wystarczy rzut oka, żeby wiedzieć, że nie miał szans stworzyć dzieła godnego Wielkich Yuanów. Popeliłaś błąd, cesarzowo. Zresztą twój pomysł na prezent był od początku chybiony. – Energicznym ruchem rozpiął pas i podał wielkiemu chanowi swój wysadzany turkusami miecz. – Jesteśmy wojownikami, a władca Goryeo wychował się na naszym dworze. Jest sprawnym fechtmistrem. Ta klinga będzie znacznie lepszym darem niż bezużyteczna, pochlapana atramentem karta. – Na Baoxianga nawet nie zerknął.

Po dotkliwie długiej chwili wielki chan skinął nieznacznie głową.

– Zatem ukarż go za niekompetencję! – wybuchła cesarzowa. – Wielki chanie, twój urzędnik uczynił ci swoją bezmyślnością dyshonor! Wypędź go z cesarstwa!

– Czemu karać obrazę tak łagodnie? – wyszczerzył się złośliwie trzeci książę. – Przypuszczam, że degenerat pokroju wiceministra z przyjemnością znalazłby się poza granicami imperium Wielkich Yuanów, wśród podobnych sobie. Jeśli chcecie go ukarać, niech będzie to środek stosowny. Trzydzieści razów grubym bambusem. Tutaj, na placu Sali Wielkiej Światłości, żeby wszyscy ujrzeli, czym kończy się kalandria dworu wielkiego chana słabym charakterem i nieudolnością.

Bardzo przemyślnie. Chłopak chciał rzucić cesarzowej na pożarcie taką porcję cierpienia Baoxianga, by zaspokoła jej głód, a jednocześnie zadbał o to, by kara stała się widowiskiem publicznym, w trakcie którego wiceminister nie mógł zostać „przypadkowo” wybatożony na śmierć.

Jednak... nawet chłosta niekończąca się zgonem wykonana przez wprawnych katów wielkiego chana musiała być równie bolesna jak śmierć wskutek wypicia trucizny. Strach Baoxianga, do tej pory zalany grubą warstwą gniewu, wystrzelił na powierzchnię. Sądząc po szyderczych minach malujących się na wpatrzonych w niego z góry twarzach, zrozumiał, że oni również to zauważyli. Niemniej drżąc na całym ciele, czując w ustach kwaśny posmak, w głębi ducha poczuł perwersyjne wyczekiwanie. Tak, niech go poniżą, niech pozbawią go człowieczeństwa cierpieniem i lękiem, niech go upokorzą, zniesławią i pohańbią.

A potem, kiedy to ja zasiądę tam, na górze, a wy padniecie przede mną na twarz, przypomnicie sobie, jakim jestem człowiekiem.

– Niech i tak będzie – syknęła cesarzowa. – Chętnie posłucham jego wrzasku.

朱

Otępiony medykamentami Baoxiang leżał w okrągłej bambusowej wannie. Wokół niego kołysały się na wodzie jakieś tajemnicze



patyczki i liście ziół leczniczych.

Chłosta, która odbyła się tego popołudnia, zwabiła liczną gawieź. Spektakl zaspokoił cesarzową w sposób wręcz doskonały, a on nie musiał nawet niczego odgrywać. Zresztą nawet gdyby chciał grać, nie byłby w stanie. Już po pierwszym ciosie bambusowego kija świadome myśli opuściły go na dobre. Zamiast teatralnego przedstawienia zaproponował gapiom prawdę o swoim bólu, który po pewnym czasie przeszedł w okrutną torturę, aż wreszcie osiągnął poziom nierzeczywisty: jaźń wiceministra została rozbita na placek tak cienki, że rozpuściła się bez reszty, podczas gdy ciało trwało i wrzeszczało gdzieś obok, zupełnie od niego oddzielone.

Lekarstwo, które Seyhan wlał mu do gardła zaraz po kaźni, litościwie usunęło ból. Wraz z nim zniknęło jednak racjonalne myślenie i zmysły. Dawniej Baoxiang był orłem widzącym każdą nitkę w tkaninie rozłożonej sześć li poniżej. Teraz pochłonęła go chmura. Nawet czarne ostrze gniewu stępiało i rozmyło się w coś gładkiego jak zmierzch. Miał niejasne wspomnienie paniki, która go ogarnęła, gdy lek zaczynał działać, a on rozpaczliwie chciał pozostać przytomny. Teraz jednak była to już przeszłość. Dryfował.

W pomieszczeniu pojawił się trzeci książę. Baoxiang odnotował ten fakt bez większego zaskoczenia.

– Jesteś – zauważył obojętnie.

Zamiast zwykłych kolczyków z lapis-lazuli młody arystokrata ozdobił dziś uszy srebrnymi wisiorami z niebieskimi piórami zimorodka. Z jakiegoś powodu błękit spowodował, że Baoxiang całkiem odpłynął. Zdawał sobie sprawę, że ten intensywny kolor powinien sprawić mu ból. Niemniej poczuł jedynie niejasne kołysanie, jakby środek Seyhana przytępił nie tylko jego ciało, ale i serce.

– Widzę, że przetrwałaś w jednym kawałku. – Pod powłoką pogardy znać było drążące chłopaka skrępowanie i wstyd. Baoxiang pamiętał moment jego kapitulacji: żal, z jakim ostatecznie pożegnał marzenie o tym, że będzie taki, jakim być powinien. Wysokie

policzki pokrywały różowe i białe plamy, takie jak na wystawionym na chłód, nagim przedramieniu.

– Nie dzięki tobie.

– Wyłącznie dzięki mnie! – Trzeci książę zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Kiedy następnym razem zechcesz podpowiedzieć cesarzowej, jak ma mnie karać, porozmawiaj wcześniej ze mną. Miałbym kilka propozycji – mruknął Baoxiang.

– Nie podobało się trzydzieści razy? Przecież nawet nie wymierzono ci wszystkich. – Wchodząc do łazienki, chłopak zdjął buty. Jego bose stopy na drewnianej podłodze wydawały się dziwnie duże. Pomieszczenie miało jedynie trzy ściany, a czwartą, jak w większości starszych domów mieszkalnych, zastępowała wisząca zasłonka z bambusowych deszczulek, lecz oddział koksowników mężnie stawiał opór chłodnemu powietrzu. – Nie pamiętasz? Pięć wziął na siebie minister skarbu. Stwierdził, że jest za ciebie odpowiedzialny. I powiem ci coś, przyjął wszystkie bez słowa skargi! Od razu widać, że jest ojcem wojownika.

Baoxiang zobaczył oczyma duszy pomarszczoną twarz ministra, obleczone w biel ciało rozciągnięte na ławie. Nie prosił przełożonego o ten gest. Nie prosił go o dobroć. Nowa, rozmiękczone świadomość przekształcała wszystkie emocje w powolny, bezbolesny kwiat uczucia.

– Cóż, mogłem pewnie pomyśleć o lochu – zreflektował się chłopak. – Z tym że kiedy ktoś tam trafi, raczej już nie wychodzi. Ojciec nie wierzy w łaskę. Skończyłbyś jak ten zdradziecki manji, który siedzi tam, odkąd chodzę po świecie. Chociaż ty też jesteś przecież półmanji. Moglibyście się zaprzyjaźnić! A może i nie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda? Jeśli on przypomina tego cuchnącego psa eunucha, swojego synalka, nie sądzę, żeby mógł być przyjemnym kompanem. – Uśmiechnął się. – Aczkolwiek twój brat zapewne byłby odmiennego zdania.

Cóż, w normalnych warunkach przypląciłby tę rewelację głębokim szokiem. Oto martwi wracają do życia. Baoxiang odniósł

wrażenie, że ogląda sztukę. On sam wciąż splatał włosy, kiedy starszy generał Ouyang został pokonany i odwieziony do Chanbałyku, gdzie – rzekomo – zginął z ręki wielkiego chana. A dalekosiężne skutki tej jednej śmierci nadały kształt całemu życiu Baoxianga, jego i wszystkich dokoła.

Uświadomił sobie nagle, że zanosi się śmiechem: nieważkim, straszliwym. Rechot wylewał się z niego niczym niekontrolowana wydzielina. Kiedy odrzucił głowę do tyłu, nie pojawił się ból, poczuł jedynie napór drewnianej krawędzi wanny na wilgotne włosy. Więc wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

– Ale tak też jest dobrze. Z uwagi na zakończenie. Będzie jeszcze lepsze – powiedział wreszcie, zdyszany.

Stał się gąbką; źrenice miał rozszerzone tak bardzo, że mogły połknąć świat.

– Odleciałeś... – syknął trzeci książę oskarżycielsko.

– Seyhan coś mi podał. Bardzo skuteczny specyfik. Nie czuję zupełnie nic. To cudowne. I straszne. – Ale skoro niczego nie czuł, skoro nie mógł kierować się ostrzem gniewu, wskazującym drogę ku przeznaczeniu, to gdzie właściwie był? Pobłądziłem, pomyślał.

– Seyhan? Ten twój semu? – Chłopak spiął się na całym ciele. – Czy on...

Baoxiang leniwie pokręcił głową. Zauważył, że spojrzenie gościa sunie na jego pierś, na ciemnoczerwone monety sutków.

– Nie przejmuj się. On nie dba o to, jaki jestem. Cudzoziemcy są inni. Gdybym trafił do jego ojczyzny, nienawidziłby mnie jak wszyscy. Ale ponieważ służy mi tutaj, jego duma nie cierpi. W jego oczach wszyscy tu jesteśmy zdeprawowani. – Zamilkł i dodał po chwili: – Nie wiedziałem, że władasz mową matki. Bo to w jej języku odezwałeś się na placu, prawda? Kiedy mnie uratowałeś. Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

– Rozmaicie mnie ludzie oceniają – odparł trzeci książę. – Nikt jednak nie ma mnie za głupca. Nikt poza tobą.

– A jednak sterczysz tam jak kołek, nadal w pełni odziany.

Grdyka młodego arystokraty wyraźnie drgnęła. Po chwili drżącymi rękoma rozpiął ubranie, wszystkie trzy warstwy. Piers miał bielszą niż Baoxiang, pokrytą w tej chwili identycznie różowym rumieńcem jak policzki. Jego mięśnie w młodzieńczy sposób rozciągały się płasko na wydłużających się kościach: mostku, żebrach, biodrach. Ciało silne, lecz w stanie obnażonego pożądania skrajnie bezbronne. Kobiety potrafią ukrywać swoją żądzę, mężczyzna tego luksusu nie ma. Nagi chłopak stał się człowiekiem otwartym i szczerym. Prawdziwym. Kiedy unikając wzroku Baoxianga, odwrócił głowę, pióra zimorodka musnęły jego warkoczyki. Wiceminister poczuł kolejny kwiat emocji i uświadomił sobie, że jest pierwszy. Przed nim nikt jeszcze trzeciego księcia nie oglądał.

– Nie chciałem cię uratować – rzucił półgłosem trzeci książę.

Nadal uważał to za słabość. Mimo że przecież znalazł już w sobie odwagę, by przyznać, czego chce. W odróżnieniu od wielu innych ludzi.

– Jesteś bardziej odważny niż on – przyznał sennie Baoxiang.

Wstał i jego odsłoniętą, spływającą wodą skórę przebiegł dreszcz. Odwrócił się. Rozkwitające w nim kwiaty uczyniły go ospałym. Jego ciało pulsowało intensywnie, bez bólu.

Trzeci książę wszedł za nim do wanny. Pokryte gęsią skórką ciało Baoxianga odruchowo zatęskniło do tej innej bliskości, tego ciepła, tego drugiego ciała. Zamiast bólu pojawiło się tylko wrażenie, wewnętrzny puls sińców był równie słodki jak podniecenie.

Drżąca dłoń chłopaka musnęła pośladek wiceministra. Musnęła i zamarła, jakby już ten jeden dotyk stanowił zbyt wielką dawkę zakazanego. Pod palcami księcia tętnił puls Baoxianga. Czuł się rozmiękczony, nastawiony na odbieranie, niezdolny do zadawania bólu.

– Nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna tak łatwo pokrywał się siniakami. Zupełnie jakbyś był ulepiony z czegoś innego niż my wszyscy. Ta twoja chudość, to, że nie potrafisz przestać machać rękoma i kręcić biodrami, jakbyś tylko czekał, żeby ktoś cię dotknął.

– Baoxiang poczuł szorstki oddech trzeciego księcia, który zaczął pracować ręką na sobie. – Masz kutasa, ale czy w ogóle ci staje? Czy może i pod tym względem jesteś odmieńcem i czerpiesz przyjemność jedynie na kobiecą modłę, na plecach, z mężczyzną w środku...

Dłoń młodzika zawzięcie pracowała pomiędzy ich ciałami, knykcie raz po raz trącały Baoxianga w krzyż. Ich ciała nie były naprawdę odmienne – w każdym razie nie tak, jak wyobrażał sobie książę. Baoxiang nie miał pojęcia, co czuje mężczyzna pragnący innych mężczyzn, lecz wiedział, że w jego ciele nie ma nic, co pomogłoby mu zaznać rozkoszy, gdyby został zerżnięty. Gdyby chłopak miał w sobie dość odwagi, by to zrobić. Byłoby to jedynie kolejne bolesne upokorzenie. Niemniej w tym śnie, w którym nie istniał strach ani ból, zupełnie się tym nie przejmował.

Młodzik jęknął i doszedł. Ciepło zbryzgało plecy Baoxianga, spłynęło między jego pośladki. Tego nie da się pomylić z doznaniem, jakie daje kobieta, pomyślał leniwie. Męski głos, intensywna gruszkowa woń nasienia nie pobudziły go w najmniejszym stopniu. A jednak mimo że nie był podniecony, podstawowa swojskość faktu, że ktoś właśnie skończył, w pewien sposób go zaspokoila.

Wciąż dryfował. Zwrócił uwagę na lustro gęstej jak zupa wody. Szczególny wyraz własnego odbicia – blada twarz, podkrążone sińcami oczy, źrenice wypierające tęczówki, wilgotne włosy lepiące się do piersi – tak go pochłonał, że ducha dostrzegł dopiero po chwili.

W wannie falowało brodate oblicze Esena. Miał na sobie swoją szatę, błękitną jak pióra zimorodka. Skierowane w dół brwi sprawiały, że górne powieki przypominały miękkie gęsie skrzydła. Wargi zdążyły linią wytyczoną przez wąsy. Baoxiang zapatrzył się w tę twarz. Znał każdy jej szczegół, lecz niczego nie potrafił z niej wyczytać. Wiedział, że pod spokojną powierzchnią przewalającego się w nim oceanu musi szaleć sztorm. Nie czuł go. Chciał koniecznie porozmawiać z tą zjawą, zawołać do niej – przekląć ją – lecz

lekarstwo skradło mu dzikość, oddzieliło go od rozkołatanego serca, odebrało mu wszystko, czym był. Zagubił się i było to doświadczenie tak nieznośne, że miał ochotę się popłakać. Nie potrafił.

Trzeci książę wyszedł z wanny, wzburzając wodę. Twarz zniknęła między falami. Kiedy chłopak ubrał się i wyszedł, Baoxiang zanurzył się na powrót. Obecność ducha dudniła w pustej łazience niczym echo, lecz nawet kiedy tafla się wyrównała, ukazywała tylko odbicie wiceministra.

朱

Baoxiang nie przyjął już ani jednej dawki specyfiku Seyhana. Ból był możliwy do zniesienia tylko dlatego, że przeżywał go świadomie, czując się przy tym rozdrażniony jak norka. W pracy raz po raz prowokował kolegów, by skomentowali fakt, że musi siadać na poduszce, po to tylko, by z przyjemnością odgryźć się zjadliwą ripostą. Jeszcze lepiej było, kiedy mógł się wyżyć na kimś, kto widział jego chłostę osobiście. Niemniej wszyscy urzędnicy, którzy zdołali utrzymać się w ministerstwie do tej pory, wiedzieli, że drwiące uwagi można wygłaszać jedynie w bezpiecznych zakamarkach, więc irytacja Baoxianga nie znajdowała łatwego ujścia. Mimo że jego ciało płonęło, ta część duszy, która po tysiącokrotnie przeżyła już ekstatyczny moment zemsty, rozumiała, że teraz, gdy złości jest więcej, wszystko stanie się prostsze.

Miasto pulsowało rytmem równie wściekłym jak sińce wiceministra. W czasach kampanii na południu Baoxiang odgrywał pewną rolę przy organizacji sił księcia Henanu, lecz to, co ujrzał w Chanbałyku, kiedy wielki radca przygotowywał mobilizację armii stołecznej, było fenomenem zupełnie innej skali. W alejach tłoczyły się tłumy kawalerzystów, piechurów, służących, rzemieślników i kupców semu, prowadzących całe sznury świeżo sprowadzonych ze stepów wierzchowców. Rwąca rzeka urzędników przepływała pomiędzy ministerstwami i biurami w dzielnicach południowej

i wschodniej, a place targowe pękały od wszelakich dóbr niezbędnych poborowym do przetrwania w warunkach polowych.

W Ministerstwie Skarbu panowało podobne wzmożenie. Co chwila nadsyłało kolejne prośby o zatwierdzenie wydatków, rachunki, żądania rekompensaty i wszystkie one wymagały indywidualnego rozpatrzenia. Baoxiang całe dni spędzał, siedząc na swojej poduszce w stanie transcendentnej furii, stemplując dokumenty i czując na karku oddech tego czy innego podwładnego czekającego, by zaraz zanieść papiery gdzie indziej.

Pośród chaosu kiełkowała powoli sposobność. Baoxiang czuł ją niczym napierającą na rozpaloną skórę igłę do akupunktury: świadomość ta nie była jeszcze bólem czy ulgą, lecz wkrótce miała stać się oboma naraz.

Na widok wchodzącego sztywnym krokiem zastępcy minister uśmiechnął się ze smutkiem. Również siedział na miękkiej poduszce, ukryty za górą papierzysek. Na biurku parowała czarka wypełniona jakimś cuchnącym lekarstwem. Pięć razy bambusowym kijem wystarczało, by na całe tygodnie dobitnie przypomnieć człowiekowi o zwierzęcej naturze jego cielesnej powłoki.

– Zbierasz się do domu, wiceministrze?

Widok malującego się na twarzy przełożonego cierpienia wzbudził w Baoxiangu nieprzyjemne wspomnienie miękkich pąków uczuć, jakie rozkwitały w nim pod wpływem specyfiku Seyhana. Wtedy jednak nie był sobą. Teraz, gdy był sobą, ostry niczym nóż do ryb, wystarczyła chwila, by pozbyć się fałszywej błogości i ulec powodzi czerni.

Złożył dłoń na stercie ksiąg rachunkowych. Stos był tak wysoki, że przez chwilę przyglądał mu się ze szczerym podziwem.

– Ministrze, to za dużo nawet dla ciebie. Musisz się z kimś podzielić – powiedział Baoxiang.

– I tak bym też zrobił, gdyby nie ciężący na tych dokumentach wymóg, by zajął się nimi osobiście minister. Niestety, nie mam dość rąk, a doba jest stanowczo za krótka – odparł przełożony.

– Reguły nie biorą pod uwagę faktu, że dotyczą ludzi. Jeżeli spróbujesz załatwić każdą z tych spraw i rozchorujesz się z przepracowania, sytuacja jedynie się pogorszy – zauważył rozsądnie Baoxiang. Miał niezbitą pewność, że nastał odpowiedni moment. Zaufanie przełożonego zdobył już jakiś czas temu; był mu wręcz nieodzowny. Wszystko zostało przygotowane. Czarny jak nasiona sezamu ocean gniewu wypełniał go bez reszty. W tej chwili dalsza zwłoka nie mogła mu w niczym pomóc. – Pozwól, że wesprę cię przy zatwierdzaniu tych ksiąg. Zająłbym się tym w nocy. Rano przyniosę papiery z powrotem i nikt się nie zorientuje.

– Masz rację – westchnął ciężko minister. Zaborczym gestem nakrył dłonią rzeźbioną szkatułkę z drewna paulowni stojącą na blacie, lecz po chwili wręczył ją Baoxiangowi.

Wewnątrz spoczywała na aksamitnej podkładce ministerialna pieczęć. Wykonana z kości słoniowej, wyslizgana wskutek lat używania rączka pokryta była czerwonymi plamami cynobru. Ponieważ pieczęć służyła jako najwyższej rangi narzędzie zatwierdzające wszelkie finansowe sprawy Cesarstwa Wielkich Yuanów, nigdy nie powinna się znaleźć poza zasięgiem ministra skarbu. I pod karą śmierci nie powinna trafić w ręce człowieka innego niż aktualnie ten urząd pełniący.

– Tylko nie zgub – mruknął ze słabym uśmiechem staruszek.

Baoxiang zatrzasnął wieczko. Uspokajającą odpowiedź miał już na końcu języka, lecz kiedy podniósł wzrok, zacisnął zęby. W cieniu za ministrem stała służąca. Spoza zasłony opadających na twarz włosów wpatrywała się w niego czarnymi, niewidzącymi oczyma. Po przyjemnych dołeczkach nie było już śladu.

Musiała wrócić na wieś, do chorych rodziców, Baoxiang zrozumiał, że zbyt łatwo pozwolił sobie uwierzyć w słowa ministra. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co przecież wiedział. Roześmiana dziewczyna, poznawszy seksualne preferencje Baoxianga – to, co sam jej na ich temat powiedział – poznała zarazem zbyt wiele tajemnic trzeciego księcia. Oczywiście, że wielmożna Ki kazała ją zgładzić.



Baoxiang sądził, że odtrącając jej awanse, wyświadczy jej uprzejmość, a tymczasem po prostu ją zabił. Pomyślał o ślepej, pozbawionej języka dziewczynie i jej bliźniaczce. Tak wiele śmierci. Tak wiele duchów. A przecież to dopiero początek.

– Wang Baoxiangu? – W oczach ministra zamajaczył niepokój.

Baoxiang rozluźnił zbielałą, kurczowo zaciśniętą na szkatułce dłoń.

– Nie zgubię – obiecał. – Wiem, jak jest ważna.



**A** mówili, że Pingjiang to klejnot nad klejnotami! – rzuciła Zhu. – Jeszcze nigdy nie widziałem miasta, które tak bardzo przypominałoby zaschnięty wypierdek.

Oświetlone czerwonym blaskiem pochodni kamienne mury stolicy pani Zhang, oblepione w wielu miejscach mułem z jeziora, stanowiły opłakany widok. Zwieszające się z blanek sieci rybackie sprawiały, że całość wyglądała jak drzewko owocowe zabezpieczone przed zakusami żarłocznych nietoperzy.

– Błoto i sieci sprawiają, że energia pocisków rozchodzi się po całej strukturze, dzięki czemu kamienne elementy nie doznają poważniejszych uszkodzeń – wygłosił tonem wykładowcy jadący obok dziewczyny Jiao. – Kamienne mury wypełnione wewnątrz zbitą ziemią, dodatkowo zaopatrzone w tego rodzaju wynalazki, stanowią twarde orzech do zgryzienia dla tradycyjnych balistycznych machin oblężniczych. Właśnie dlatego Mongołowie tak często uciekają się do ognia.

– To prawda – wtrącił chłodno Ouyang.

Teraz gdy Zhu zwróciła mu armię, na powrót stał się wyniosłym, nietykalnym wodzem w mrocznie pobłyskującym pancerzu. Skórzane osłony hełmu przesłaniały niemal całą twarz, pozostawiając jedynie wąski skrawek, jakby generał chciał, by świat oglądał wyłącznie jego zbroję, nie jego samego. Zhu jednak, co zrozumiała z dreszczem, już go zobaczyła. Znów ukrył się w swojej skorupie, lecz nie było mowy o powrocie do tej niedościgłej, legendarnej postaci, jaką ujrzała kiedyś na polu bitwy. Był takim samym człowiekiem jak ona. I stał teraz po jej stronie.

– Inną możliwością – ciągnął – jest zebrać okoliczną ludność, pognać ich w kierunku murów, by przyjęli na siebie ostrzał obrońców, po czym zasypać fosę trupami. To bardzo skuteczna metoda.

– Czy nadal mógłbym nazywać się władcą, gdybym nie miał kim władać? – skrzywiła się Zhu.

Na brzuchach wiszących po drugiej stronie Pingjiangu nocnych chmur kładła się nikła luna. Pierwotna armia Zhu, prowadzona przez Xu Da, ciągnęła na miasto z dalszej, wschodniej flanki, podczas gdy siły Ouyanga zbliżały się z bliższego zachodu. W ciągu tygodni, które minęły od śmierci generała Zhanga, Zhu i Ouyang, wykorzystując skoordynowane manewry oskrzydlające, przebili się przez terytoria należące do pani Zhang, zdobywając miasto za miastem. Dziewczyna była świadoma niesłychanego ryzyka, na jakie naraża się, zwracając wojsko Ouyangowi. Gdyby w dowolnym momencie uznał za stosowne zabrać swoich ludzi i odejść, miałyby z powstrzymaniem go poważny kłopot. Seria niedawnych błyskotliwych zwycięstw stała się jednak dowodem potwierdzającym jej wcześniejszą hipotezę: razem byli niepowstrzymani.

Pani Zhang, której ostatecznie zabrakło miejsca na ucieczkę, wycofała się do Pingjiangu i przygotowywała na oblężenie. Zhu rozumiała, że rywalka ma nadzieję wytrwać do przybycia na południe wielkiego radcy Yuanów. Gdyby zastał swój pierwotny cel zamknięty na cztery spusty – i gdyby jednocześnie natrafił na

krążące pod murami siły Zhu i Ouyanga – z pewnością skorzystałby z okazji i zmiażdżył najpierw ich, by zająć się panią Zhang w późniejszym terminie.

Jeśli jednak mongolskie armie są w czymkolwiek naprawdę dobre, stwierdziła w duchu zadowolona Zhu, to właśnie w zdobywaniu miast nanrenów. Wiedziała, że przy pomocy Ouyanga zajmie Pingjiang, na długo zanim wielki radca pojawi się w okolicy.

– Możemy się też podkopać – ciągnął wyliczankę generał.

– Chcesz ryć tunele tak blisko jeziora? Nie bądź głupi. – W lekceważącym tonie Jiao Zhu wyłowiła aż nazbyt znajomą nutę. Tak mówili ludzie, zwracając się do gorszych od siebie. Do istot, które nie są nawet w pełni ludzkie. Inżynier miał w sobie tyle tupetu, że odkąd poznał jej tajemnicę, nie skrywał fundamentalnego braku zaufania do jej talentów. Za każdym razem, kiedy dowodziła czegoś przeciwnego, odnosiła wrażenie, że jego zdaniem miało miejsce jednorazowe odstępstwo od reguły. Jiao po prostu nie zmieniał zdania.

– Och, wy tego nie potraficie? Inżynierowie Yuanów nigdy nie mieli żadnych problemów. – W lodowatym głosie Ouyanga dało się słyszeć groźbę mordy. – Ale cóż, to byli semu z Chorasanu i Chorezmu. Wśród ludów zachodnich chanatów znajomość tajników techniki z pewnością stała na bardzo wysokim poziomie.

Nad ich głowami przeleciało z piskiem stado frunących nad jezioro nietoperzy.

– Nie powiedziałem, że takie przedsięwzięcie jest niewykonalne – sparował sztywno Jiao. – Zakładam, że inżynierowie, o których wspominasz, posługiwali się drewnianymi stemplami na przodzie podkopu, a ściany ukończonych odcinków wzmacniali cegłami... Co więcej... Tak, potrzebowaliby jakiegoś rodzaju pomp, żeby odprowadzać nadmiar wód gruntowych... Natomiast realizacja podobnego projektu wymagałaby niesłychanej ilości siły roboczej.

– O robotników na szczęście nie musimy się martwić. Moi żołnierze to poborowi. W odróżnieniu od jego ludzi – Ouyang nie

raczył nawet rzucić okiem na Zhu – są nawykli do surowego traktowania. Usłyszą, że mają kopać, to będą kopać.

– Jeden tunel nie wystarczy – wtrąciła dziewczyna. – Potrzebujemy przynajmniej kilku. W przeciwnym wypadku nie przerzucimy za mury odpowiednich sił, żeby przejąć kontrolę nad miastem. Co więcej, koniecznie trzeba się zastanowić nad wiarygodnym uzasadnieniem tak długiego postoju pod murami. Widząc, że nie próbujemy szturmować, mogą nabrać podejrzeń. Może gdyby twoi żołnierze udali, że budują maszyny oblężnicze... – zwróciła się do Ouyanga. – Ile czasu wymaga konstrukcja takich trebuszy, jakie miałeś wtedy pod Bianliangiem?

Kiedy przez twarz generała przemknął cień bólu, nie miała wątpliwości, co było tego przyczyną: przypomniał sobie śmierć Esen-Temura. Ranę, jaką zadał mu w przedramię młody Zhang, zasłaniał skórzany ochraniacz, lecz dziewczyna zauważyła, że generał raptownie zamknął lewą pięść, by wycisnąć z niej ulgę. Po chwili odpowiedział obojętnym tonem, oznaczającym, że ponownie zdołał zapomnieć o sobie:

– Dwa tygodnie, przy założeniu dostępności budulca. Można ten okres rozciągnąć do pełnego miesiąca, mniej więcej tyle zajęłoby to niedoświadczonej armii.

Zhu uznała, że metody, jakimi Ouyang radzi sobie z własnymi emocjami, nie powinny jej interesować, o ile pozostają skuteczne.

– W takim razie – odpowiedziała rzutko – złożmy wszystko na karb braku doświadczenia moich ludzi. Inżynierze Jiao! Do pracy i nie szcędź wysiłków. Chcę, żeby podkopy były gotowe przed upływem trzydziestu dni.

Na zwiad pod Pingjiangiem wypuścili się sami, wyprzedzając armię Ouyanga, sunącą z wolna ku miastu brzegiem jeziora Tai, i musieli teraz zawrócić. W pewnej odległości od nocnego obozu do ich własnych śladów, którymi się kierowali, dołączył kolejny trop. Wkrótce natknęli się na zdążającego w tym samym kierunku gońca.

– Wieziesz wiadomość od generała Xu? – zawołała królewskim głosem Zhu i pchnęła konia naprzód, by zrównać się z posłańcem. –

Skoro już się spotykamy, możesz ją nam przekazać tutaj.

Kiedy podjechała bliżej, przelotnie ujrzała przerażoną twarz jeźdźca, który nagle zrozumiał, kto go nawołuje. Zanim zdążyła zareagować, nieznajomy zawrócił i spiął konia do galopu. Moment później rozplynął się w ciemności.

– No cóż... – Dziewczyna wpatrywała się w mrok, nasłuchując cichnącego tętentu. Za dnia Ouyang zapewne zdołałby uciekiniera dogonić, lecz w obecnych warunkach nawet jego jeździeckie mistrzostwo nie mogło się na wiele przydać. – Jak bardzo jest prawdopodobne – podjęła z przekąsem – że to naprawdę goniec Xu, który nagle zorientował się, że zapomniał zabrać list, i popędził nad jezioro, żeby utopić się ze wstydu?

Istniała też inna, bardziej realna ewentualność: w obozie Ouyanga działał szpieg. Zhu dokonała w myślach inwentaryzacji szczegółów zapamiętanych z błyskawicznego spotkania. Wierzchowiec posłańca był spieniony. A jego ubranie zdawało się przyprószone kurzem, jak po wielodniowej podróży.

Jeśli dobrze zapamiętała, oznaczałoby to, że jeździec przybył z daleka. Nie mógł więc służyć pani Zhang, mimo że to właśnie ona była główną zainteresowaną poczynaniami i najbliższymi planami Zhu i Ouyanga. Czy wynikało z tego, że przysłali go Yuanowie? Zhu byłoby bardzo nie na rękę, gdyby wielki radca wiedział o ich ruchach więcej, niż oni wiedzieli o jego. Mało tego, jeżeli dowie się, jak szybko zamierzają wziąć Pingjiang, najprawdopodobniej zrezygnuje z planu odbicia wschodniego wybrzeża. Pozostanie w Dadu i przygotowuje stolicę na odparcie nieuchronnego ataku wojsk Zhu i Ouyanga.

Niewykluczone nawet, że dysponując odpowiednią ilością czasu, zdoła wezwać na pomoc dodatkowych sojuszników.

Nie. Na to pozwolić nie mogła. Gdyby wielki radca poznał ich plany, mogłoby się okazać, że nawet połączone siły nie wystarczą do zdobycia Dadu. Jeżeli Yuanowie rzeczywiście mieli wśród nich agenta, nie miała innego wyjścia, musiała go schwytać.

## 朱

W obozowisku armii Ouyanga, które rozgościło się butnie u zachodnich wrót Pingjiangu, wrzało jak w ulu. Generał, jadący wraz z Gengiem i Chu na inspekcję powstających trebuszy, musiał tak często hamować konia, by ustąpić drogi ciągniętym przez osły wózkom i ludziom dźwigającym na głowach pełne ziemi kosze, że gdyby ktoś mu powiedział, iż Zhu rozkazał zbudować zupełnie nowe miasto, byłby gotów uwierzyć. Nieznośną sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że żołnierze palili w ogniskach świeży bambus – kolejny wymysł mnicha – co miało ukryć ich poczynania przed wzrokiem obserwatorów z Pingjiangu. Pomysł sprawdził się znakomicie, co zarazem oznaczało, że okolica stała się miejscem jak z koszmaru: dym, utrzymywany nisko nad ziemią przez warstwę wilgotnego powietrza znad wody, tworzył duszący koc. Oczy i nosy żołnierzy były tak wilgotne i ciekące jak u bosych uliczników w zimowe miesiące.

Główny cel Ouyanga, odkąd dostał się w niewolę Zhu, stanowiło odzyskanie armii. Teraz, kiedy dopiął swego, wszystko, co niegdyś uważał za całkowicie zwyczajne, jawiło mu się dziwne, jak w sprowadzonym przez gorączkę majaku. Jego piechurzy w mundurach Yuanów, jurty rozstawione wśród trójkątnych namiotów, konie – wszystko to były rekwizyty świata, który zostawił za sobą. Każdy znajomy widok wywoływał lawinę wspomnień. Zdesperowany, chcąc umknąć pamięci, przestał nosić ochraniacz, by móc wpijać paznokcie bezpośrednio w ranę. Rozdrapał ją już tak wiele razy, że chociaż gruzłowata różowa blizna i ziejące w niej wilgotne czerwone pęknięcie wyglądały gorzej niż kiedykolwiek, przestawała reagować bólem. W głębi ducha zdawał sobie sprawę, że sięgając w głąb ręki coraz dalej i dalej, ryzykuje więcej niż tylko ból. Jednak nie potrafił się pohamować.

– Udane żniwa mieliśmy – zauważył Geng, spoglądając na mijające ich wozy z zaopatrzeniem. – Pierwsze od pięciu lat tak

bogate plony.

Wykazywane przez komendanta szczere zainteresowanie rolnictwem czyniło go oficjalnie najbardziej nudnym człowiekiem, z jakim Ouyang miał nieprzyjemność się zetknąć. Lecz cóż, lepszy zastępca nudny niż ktoś chytry i przebiegły jak Shao. I niż ludzie tacy jak Chu, których sama obecność irytowała generała w niewytłumaczalny sposób.

Geng mówił dalej o plonach, doniosłej roli należytej irygacji pól i nadziei, że nowy cesarz udobrucha niebios na tyle, że zaniechają karania ziemi klęskami żywiołowymi, sprowadzającymi nieszczęście na głowy prostych ludzi. Ouyang prawie go nie słuchał.

– Czy mamy pewność, że cesarzem zostanie właśnie Zhu Yuanzhang? – wtrącił w pewnej chwili Chu. – Nie zawsze zgadzałem się z Shao Ge, ale jego przynajmniej umiałem sobie wyobrazić na tronie. A Zhu Yuanzhang... Cóż, owszem, posiada mandat, ale jest mikry jak robak! Gada jak mój czternastoletni kuzyn przed mutacją. A to szpetne ciało? Patrzyć nie idzie! – Na okrągłej twarzy oficera malował się niekłamany niepokój. – Czy ktoś taki naprawdę może zwyciężyć?

Ouyangowi przemknęło przez myśl, że gdyby to on zapragnął zasiąść na tronie, Chu mógłby wysunąć przeciwko jego kandydaturze dokładnie te same trzy zastrzeżenia. Zaraz potem przypomniał sobie emanującą z drobnej, brzydkiej twarzy Zhu powagę, z jaką mnich zwrócił mu miecz, opowiadając o ich wzajemnym podobieństwie.

Tak, jesteśmy podobni. Ouyang całe życie spędził w przeświadczeniu, że jest jedynym człowiekiem, który czuje i oddycha tak jak on. Nikt inny nie rozumiał, jak to jest być Ouyangiem, nikt też nie mógłby sobie tego wyobrazić, nawet gdyby zadał sobie trud i spróbował. Nawet Esen, z którym spędzili wspólnie całą wieczność, nie potrafił dojrzeć ukrytej pod powierzchnią prawdy. Tymczasem Zhu... Zhu rozumiał.

Generał ostatni raz przeglądał się w lustrze w okresie dojrzewania. Kiedy jednak Zhu stanął wtedy przed nim,



wstrząśnięty Ouyang uświadomił sobie, że chłopak jest odbiciem, przed którym tyle czasu uciekał. Wszystko, co zdawało mu się w Zhu tak bardzo odstręczające – niska sylwetka, przez co ich oczy znajdowały się na równym poziomie, wysoki głos i fizyczna niekompletność – sprawiało, że byli identyczni. I ten Zhu wręczył Ouyangowi jego miecz i oświadczył, że ich los jest ze sobą spleciony, ponieważ są podobni.

A generał zrozumiał z przyprawiającą o dreszcz pewnością, równie silną jak jego chęć osiągnięcia upragnionego celu, że to prawda.

– Zhu Yuanzhang nie jest może uosobieniem majestatu, ale jak sądzę, jego dotychczasowe sukcesy wystarczająco dowodzą umiejętności zwyciężania – syknął, zerkając na Chu. – Możesz być pewien, że podjąłem z nim współpracę wyłącznie dlatego, że moim zdaniem to u jego boku mamy największą szansę na dopięcie swego. I wierz mi, jeśli to się kiedykolwiek zmieni, dalej pójdziemy sami.

Jadąc, Ouyang snuł chmurne rozważania na temat Chu. Shao był szemraną postacią, lecz od początku było jasne, że przyłączył się do Ouyanga tylko ze względu na własne cesarskie ambicje. Podobnie oczywiste były motywy kierujące Gengiem. Jak klarował wszystkim do znudzenia, zależało mu jedynie na przywróceniu w cesarstwie stabilności, dzięki której mógłby wrócić do domu i siać swoje ukochane proso (czy cokolwiek, co lubił siać). Czego jednak chciał Chu? Ouyang zakładał dotychczas, że Chu wierzył w sprawę wyzwolenia nanrenów. Ostatnio jednak generał nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że wątpliwości, jakie komendant wysuwał wobec Zhu, świadczą w istocie o czymś innym. Czyżby Chu pragnął tronu dla siebie?

Naturalnie nie miało to większego znaczenia. Rozgrywka, w której nagrodą było cesarstwo, wykraczała poza horyzont zakreślony przez własny cel Ouyanga – poza koniec, który wyobrażał sobie na kształt wiszącego mu nad głową ostrza. Razem staniemy się niepokonani. Pozwolił sobie w te słowa uwierzyć, powiązał swój los z przeznaczeniem Zhu, a teraz musiał jedynie

wytrwać jeszcze nieco dłużej. Już wkrótce wspólnym wysiłkiem wezmą Pingjiang. Niebawem zdobędą Dadu. Niedługo Ouyang sprawi, że wszystkie jego dotychczasowe uczynki okażą się usprawiedliwione, a wtedy, nareszcie, odejdzie ból.

朱

Ouyang stał w tunelu, usilnie starając się nie myśleć o tym, że podtrzymywany przez drewniane stemple sufit ugina się nad nim niczym skórki tofu rozwieszona na kijach do wyschnięcia. Obaj z Zhu – w przeciwieństwie do niemal wszystkich swoich podkomendnych – mogli w podkopie wyprostować głowę, lecz i tak było tu ciasno. Kołyszący się na głowie chłopaka koczek był już cały żółty od zbieranej z sufitu gliny.

Zeszli w czasie przerwy pomiędzy nocnymi zmianami, więc poza nimi nie było pod ziemią nikogo. Tutaj, w najdalszym punkcie tunelu, nie było cegieł. Ściany nadal tworzyła nosząca ślady uderzeń łopaty wilgotna ziemia. Generał spodziewał się, że powita go na dole zatęchła woń grobowca, lecz podkop pachniał zaskakująco intensywną świeżością, kojarzącą się z aromatem leśnej ścieżki – zdeptanego końskimi kopytami mchu, mokrego jeszcze po niedawnym deszczu.

Zhu oświetlał drogę blaskiem mandatu. Teraz gdy uniósł jaśniejącą widmową dłoń, by dotknąć zbitej ziemi na przodku, silniejsze światło z dłoni zmieszało się z rozmytą aurą jego ciała i rzuciło na ściany roztańczone długie cienie. Umysł Ouyanga gwałtownie zaprotestował.

– Już prawie gotowe – ocenił z zadowoleniem Zhu. Odezwał się bardzo cicho.

Tunel sięgał już zewnętrznej krawędzi murów Pingjiangu i chociaż nikt nie miał pewności, jak daleko może nieść się spod ziemi ludzki głos, nikt też nie chciał tego sprawdzać. Przed tygodniem, kiedy zawalił się jeden z sąsiednich podkopów, przez

kilka godzin byli przekonani, że zostaną odkryci. Jednak po raz kolejny uśmiechnęło się do nich szczęście. Hałas nie przeniknął przez warstwę gleby do miasta, lecz wypłynął z wylotu tunelu niczym wydmuchiwanie przez rurkę powietrze. Pingjiang się nie obudził, a Zhu, nieco niechętnie, przekierował część robotników do odkopania tych, których zasypało. Tajemniczy hurgot to jedno, ale wrzaski dwudziestu nawołujących ratunku mężczyzn? Czegoś takiego nawet Syty Zhang nie przypisałby działaniu natury.

Widmowe palce chłopaka musnęły ścianę, poruszały się jak ręka z krwi i kości.

– Niewiarygodne, prawda? – szepnął. – Tuż za tą ścianą czeka nasze zwycięstwo. Za dwa tygodnie wkroczymy do Dadu. Zdobędziemy wszystko, czego pragniemy.

Pewien podróżnik opowiedział kiedyś Ouyangowi, że daleko na północ od Karakorum, dawnej stepowej stolicy Mongołów, ponad błękitnym lodem Północnego Morza Wewnętrznego, na skraju świata, tańczą na nocnym niebie oddechy niebiańskich smoków. Czy lśnią takim samym światłem jak to, którym Zhu wypełniał właśnie ciemność? Na drobnej twarzy mnicha odcisnął się wyraz zamyślenia, marzył o przyszłości. To oblicze nigdy nie wyglądało atrakcyjnie, lecz teraz przez moment, w tym niezwykłym, rozedrganym blasku mandatu, intensywność pragnienia chłopaka przykuła oko generała równie silnie jak uroda.

Mimo iż byli do siebie podobni, Ouyang wiedział, że ziele między nimi przepaść: że Zhu może pielęgnować w sobie myśli o przyszłości, podczas gdy jemu pozostała jedynie nadzieja na koniec.

– To musi być naprawdę przyjemne uczucie – powiedział ze słodko-gorzka nutą w głosie. – Móc sobie wyobrazić siebie tak potężnym, że cały świat, ci, którzy dotąd jedynie gardzili i poniżali, padnie na kolana.

Nosił w sobie mgliste wspomnienie zadowolenia, jakiego przysparzała mu zemsta na ludziach, którzy go znieważali. Jeśli to, za czym gnał Zhu, było zadowoleniem identycznym, lecz

powiększonym do skali całego świata pod niebiosami, nic dziwnego, że myśl o tej nagrodzie tak chłopaka zachwycała.

– Myślisz, że właśnie z tego powodu pragnę władzy? – Zhu obrzucił generała zaintrygowanym spojrzeniem.

– Czy nie dlatego gnają za nią wszyscy ludzie? – Ouyang był mocno przeświadczony, że ta motywacja kierowała poczynaniami Shao. Prawdopodobnie także panią Zhang, która swoją drogę ku wpływom rozpoczynała w roli szeregowej kurtyzany.

Woda kapiąca wokół nich z ziemnego sufitu kreśliła kontury ciasnej przestrzeni.

– Przez całą pierwszą część życia – odpowiedział Zhu po dłuższej chwili namysłu – bez przerwy słyszałem, że jestem nikim. Świat nie dostrzegał mojej wartości i był gotów wyrzucić mnie na śmietnik bez cienia żalu. Na pewno znasz to uczucie. Wiem, że zawsze mogłeś uczepić się myśli o zemście, ale czy kiedy wszyscy traktowali cię jak nieożywiony przedmiot, nie marzyłeś o tym, żeby stać się pełnoprawnym człowiekiem? Ja tak. Obu nam, generale, odebrano szansę na swobodne kierowanie własnym życiem, a co dopiero mówić o wielkości bądź przetrwaniu naszych imion w ludzkiej pamięci. Uczyniono nam to wyłącznie dlatego, że jesteśmy, jacy jesteśmy. – Napierające z boków ściany tunelu sprawiały, że obniżony głos Zhu zdawał się rozlegać tuż przy uchu Ouyanga. – Nikt nie próbował nawet kiwnąć palcem, żeby zmienić świat z myślą o nas, żeby znaleźć w nim dla nas miejsce. Dlatego musieliśmy to zrobić samodzielnie, nie mieliśmy innego wyboru.

Generał poczuł się niezręcznie. Chłopak włączył go do swojej wizji, jakby ich współpraca nie miała zakończyć się po osiągnięciu wyznaczonego celu, lecz zbudować fundament jakiejś trwałej przyszłości. Ouyang tymczasem od dnia, w którym poznał swoje przeznaczenie, wiedział, że kiedy dopełni zemsty, nastanie koniec świata, ponieważ skończy się wtedy on sam. Nie czekała go żadna przyszłość. Zamiast niej było jedynie mgnienie nicości, które – miał nadzieję – przyniesie ulgę w bólu, choćby chwilową, zanim wszystko rozpocznie się od nowa w następnym wcieleniu. Generał nie

posiadał przyszłości i dlatego nie wiódł też prawdziwego życia, a zaledwie specyficzny rodzaj odroczonej śmierci. Zdarzało mu się myśleć, że w momencie kiedy odszedł Esen, on również przekroczył granicę między światami, a Zhu widział go tylko dlatego, że posiadał dar oglądania duchów.

Niemniej widział go naprawdę. Ouyang poczuł się tak, jakby chłopak stał po drugiej stronie ognistej bariery, wyciągając ku niemu jaśniejącą widmową rękę. Jakby chciał, by generał uchwycił ją swoją martwą dłonią i wrócił do świata żywych – do nowej rzeczywistości Zhu, tej, która miała przetrwać koniec.

Czy ten nowy świat wart był zainteresowania? Ouyang nie potrafił sobie wyobrazić, jakiego rodzaju spaczony, postawiony na głowie kształt musiałyby przybrać, by znalazło się w nim miejsce dla kogoś takiego jak on. Zresztą nawet gdyby chciał przyłączyć się do Zhu w ramach tego nieznanego porządku, czy było to możliwe? Jak ogromnym wysiłkiem musiałyby to przypłacić, skoro już teraz z najwyższym trudem brnął przez kolejne dni?

Nie potrafił na te pytania odpowiedzieć. Stojąc jednak w tym zawilgłym podziemiu, gdy niewidoczne żywe istoty trawiły żyzną, otaczającą ich glebę, Ouyang po raz pierwszy zastanowił się, czy po końcu może go czekać coś jeszcze.

朱

Wejście tunelu znajdowało się na skraju obozowiska. Zhu, prowadząca za sobą Ouyanga, wyszła spod ziemi prosto w chmurę gęstego jak mgła dymu. Tuman wciął w swoich obłokach światło pochodni, przekształcając je w jasne wstęgi, wijące się wokół cienistych konturów stert ziemi i rusztowań. W pobliżu majaczyły sylwetki zajętych pracą żołnierzy.

W pewnym momencie, kiedy szli w stronę centrum obozu, Zhu wyłowiła wśród oparów niewyraźny zarys. Mogło to być dwóch pograżonych w rozmowie jeźdźców, aczkolwiek z tej odległości

trudno jej było ocenić. Sam w sobie widok nie powinien budzić większych podejrzeń. Armia Ouyanga zajęła przestrzeń tak rozległą, że nierzadko wygodniej było poruszać się wśród namiotów konno, a pomiędzy zmianami żołnierze mogli swobodnie przemieszczać się w obrębie obozowiska. Instykt dziewczyny wszczął jednak alarm. Z miejsca przypomniała sobie posłańca wielkiego radcy. Skoro nie udało mu się dostarczyć wiadomości poprzednio, czy nie powinien spróbować ponownie? A miała przed sobą dwóch ludzi, którzy spotkali się w najspokojniejszej porze dnia na opustoszałych peryferiach obozu – tak właśnie musiało wyglądać spotkanie gońca z jego wtyczką w ich armii.

Chwyciła Ouyanga za cienki przegub i pociągnęła za sobą w cień stosu pustych wiader. Gdy zaskoczony zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, skinęła na jeźdźców i poruszyła bezgłośnie wargami: szpieg.

Generał nie przestał wprawdzie świdrować jej morderczym wzrokiem, lecz zrozumiał w lot. Kiedy wychynęła zza kubłów i chyłkiem przebiegła za kupę ziemi wznoszącą się o rzut kamienia bliżej celu, ruszył tuż za nią. Dym okazał się narzędziem tyleż pomocnym, co przeszkadzającym. Z jednej strony pozwalał im zbliżyć się niepostrzeżenie, z drugiej Zhu wiedziała, że będą musieli podejść niemal na wyciągnięcie ręki. W przeciwnym wypadku o rozpoznaniu szpiega nie mogło być mowy.

Po kilku takich ukradkowych skokach naprzód Zhu z Ouyangiem znaleźli się za kopczykiem kamieni, skąd od jeźdźców dzieliło ich nie więcej niż dziesięć chi. Z tej odległości powinni już widzieć twarze wyraźnie. Zhu wyciągnęła szyję i wyjrzała ponad skałkami, czując przy tym wbijający jej się w ramię element pancerza generała. Dym nie tylko ograniczał widoczność, tłumił także dźwięki: nawet stąd słyszała jedynie niewyraźne pomruki. Rozczarowana dziewczyna stwierdziła, że nie tylko nie potrafi rozpoznać języka, jakim posługują się jeźdźcy, lecz także ich rysy niknęły w gęstym oparze. Z determinacją wyteńczyła wzrok. Gdyby choć jeden powiew rozwiął na moment ten dym...

Zhu była gotowa przysiąc, że ani ona, ani Ouyang nie wydali z siebie żadnego dźwięku. Koń jednego z nieznanym niespodziewanie się spłoszył. Zaskoczony jeździec krzyknął i spróbował opanować wierzgające zwierzę. Poruszenie sprawiło, że kłęby zawirowały i dziewczyna dopiero wtedy zrozumiała, co wierzchowiec wyczuł: wśród dymu szybowały białe sylwetki, nikłe, widoczne najwyżej tak jak płatki padającego śniegu na tle perłowego nieba. Gdyby mogła, najchętniej by przeklęła. Duchy Ouyanga.

Co gorsza, nie tylko koń się zląkł. Drugi z nieznanym zaczął się uważnie rozglądać. Fakt, konie czasami panikują z zupełnie niewiadomych przyczyn – Zhu, która dorastała w towarzystwie pokojowo nastawionego do świata klasztornego bawołu, nie miała najlepszej opinii o zdrowym rozsądku tych zwierząt – lecz jeździec ewidentnie nie zamierzał ryzykować. Umknął. Stłumiony tętent kopyt jego rumaka oddalił się w głąb obozu, a moment później ucichł na dobre.

Drugi z nieznanym zdołał wreszcie opanować konia. Klnąc pod nosem, niepewnie obracał się to w jedną, to w drugą stronę, po czym podjął jakąś decyzję i pchnął wierzchowca do galopu. Kiedy się zbliżył, Zhu błyskawicznie padła z powrotem za kamienie. Ledwie sobie uświadomiła, że Ouyang gdzieś zniknął, coś tuż obok zagrzechotało, po czym rozległ się głuchy stukot. Pozbawiony jeźdźca koń pocwałował w dym.

– Rozumiem, że czasami trudno ci się powstrzymać, ale więcej byśmy skorzystali, gdyby przeżył – rzuciła wymownie Zhu.

– Jeśli masz kręcić nosem na moje metody, następnym razem sam się rzuć pod kopyta. – Generał klęczał nad ciałem. Dziewczyna z żalem zauważyła, że dopadli nie tajemniczego szpiega, ale posłańca, którego widzieli wcześniej. Ouyang przeszukał zabitego i uniósł jakąś kartkę. – Teraz przynajmniej mamy to.

Zhu sięgnęła po list, oświetliła go blaskiem mandatu i spojrzała na ciąg eleganckich znaków. Mongolskie pismo. Uczyła się go

w klasztorze, lecz teraz z jakiegoś powodu nie rozpoznawała ani jednego słowa.

– Fantastycznie! Przyda się jak nie wiem co!

– Oddaj mi to, wioskowy kmiotku. – Ouyang wyrwał jej kartkę z dłoni.

– Przecież potrafię czytać! – zaprotestowała dziewczyna, po czym widząc przecinające czoło generała zmarszczki, dodała z satysfakcją: – No i co, mądrało?

– To musi być szyfr – zauważył opryskliwym tonem.

Szyfr, mongolskie pismo. Dokładnie takie zabezpieczenia, jakimi posługiwałyby się szpieg wielkiego radcy. Ale...

– Skoro to wojskowa korespondencja Yuanów, dlaczego nie potrafisz tego odczytać?

– To nie jest wojskowa korespondencja Yuanów. Jak żyję nie zetknąłem się z niczym podobnym. Autorem musi być ktoś inny.

Wpatrzony w pełne gracji, płynne znaki Ouyang zasepił się jeszcze bardziej. Przez moment wyglądał, jakby zaczynał coś powoli kojarzyć. Ostatecznie jednak dał za wygraną, pokręcił głową i oddał kartkę Zhu.

Kiedy szli w stronę głównej części obozu, dziewczyna zaczęła się głowić. Skoro szpieg nie pracował dla Yuanów, to dla kogo? Poczula niepokój podobny do tego, który dręczył ją w Zhenjiangu. Dzisiaj był silniejszy: miała poczucie, że wszystkie niejasne poszlaki – plakat, zabójstwo, szpieg – wskazują na kogoś bardzo konkretnego. Kogoś, kto ich znał, kto ich obserwował, kogoś wreszcie, kogo oni nie znali. I to przecucie bardzo jej się nie podobało.

Z Ouyangiem rozstała się przed jego jurta. Potem, zamiast udać się do pobliskiego namiotu sztabowego, wybrała się do części obozu, w której nocowało kilkudziesięciu żołnierzy przeniesionych z jej własnej armii. W najbardziej cuchnącym namiocie zastała Jiao. Inżynier już wstał (być może nie spał wcale) i niańczył właśnie podgrzewane nad koksownikiem podejrzanie wyglądające garnuszki. Zhu wmaszerowała do środka i wcisnęła mu list pod nos.



– Proszę bardzo, prezent. Na pewno ci się spodoba. – Jiao najbardziej na świecie lubił dowodzić własnej inteligencji. Działo to również w drugą stronę. Nic nie grało mu na nerwach bardziej niż problem, którego nie potrafił rozwiązać. Dziewczyna niemal usłyszała zgrzyt trybików, który rozległ się w głowie inżyniera, gdy tylko zrozumiał, co ma przed oczyma. Jeżeli ktokolwiek mógł złamać ten szyfr, to właśnie on. – Kiedy już coś z tego zrozumiesz, natychmiast daj mi znać.

朱

– Buddo, zlituj się nad nami! – zawołała Zhu, patrząc na Xu Da, który z kaszlu aż zgiął się wpół. Podała mu kubek. – Umierasz? Napij się!

– Jak wy możecie żyć w takich warunkach? – Chłopak podniósł na nią zażawione spojrzenie.

Zhu przestała zauważać dym już jakiś czas temu. Nie przeszkadzał jej nawet teraz, gdy stała obok buchającego gęstymi kłębamii ogniska. Wędziła się już przez większą część miesiąca, a gryzący opar stał się naturalnym elementem otoczenia.

– Cóż, przywykliśmy, jak do zapachu kadzidła w klasztorze.

– Różnica jest taka, że kadzidła pachną wybornie. – Xu Da wraz z garstką innych oficerów Zhu przyjechał ze wschodnich pozycji na naradę. – A ten dym to nic innego jak mokry bambus i końskie łajno.

– Pomyśl za to, jacy będziemy smacznii! – rzuciła tęsknie Zhu. – Będą nas chwalić bardziej niż szynkę z Jinhua: wędzeni żołnierze, sławetne wędzonki z Zhenjiangu...

Chłopak na dobre opanował kaszel dopiero pod koniec narady, w trakcie której Jiao opowiedział o postępach w kopaniu tuneli. Stoczyli też ożywioną dyskusję, zastanawiając się, czy atakując, powinni rzeczywiście skorzystać z budowanych dla odwrócenia uwagi trebuszy, oraz dopracowali plan jak najszybszego

przemieszczenia podkopem kilkuset żołnierzy. Kiedy jednak Xu Da wstał, ponownie rzucił Zhu chmurne spojrzenie.

– Mam nadzieję, że niedługo ruszymy wreszcie do boju. Przysięgam, jeśli zmusisz mnie, żebym tu znowu przyjechał, przypłacę to przepukliną. A teraz żegnam...

Wtem z dymu wybiegło dwóch strażników, którzy przestraszyli Zhu, służbiście salutując.

– Świetlisty Królu, informujemy, że pojaliśmy osobę nieuprawnioną do przebywania w obozie. Miał ze sobą wiadomość. Czekamy na rozkazy!

Zhu poczuła ekscytację. Po niechlubnej aferze ze szpiegiem poprosiła Ouyanga, by wzmacnił ochronę obozowiska, licząc na dokładnie taki skutek. Mając w rękach żywego posłańca, mogli go przekonać – bardziej bądź mniej uprzejmie – by wyjawiał tożsamość szpiega. Owszem, dziwne trochę, że posłaniec pojawił się w obozie za dnia, lecz mogło to mieć związek z ich naradą. Jeżeli szpieg był jednym z regularnych żołnierzy Ouyanga, wybór pory, w której dowódcy są zajęci, zdawał się całkiem rozsądny.

– Sprowadźcie go do mojego namiotu – rzuciła ostro dziewczyna i podniosła się z miejsca.

– Na rozkaz Świetlistego Króla! – Strażnicy ponownie zasalutowali. – Czy Świetlisty Król prosi też o wiadomość? Jest... – żołnierz na moment się zawahał – spora.

Posłańca rozdzielono z wiadomością na skraju obozu. Zhu, Ouyang i Xu Da wpatrywali się w ręczny wózek i przywiązany do niego gigantycznych rozmiarów ceramiczny słój. Słój dorównywał wysokością rosłemu mężczyźnie, a nakryty był luźno słomianą pokrywą, przypominającą nieco kapelusz podróżny. Okrutny smród zmagął się w powietrzu z fetorem dymu.

– To ma być wiadomość? Czy raczej zimowy zapas kiszzonej kapusty? – W głosie Ouyanga dało się słyszeć pogardę człowieka, który nigdy nie zniżył się do skonsumowania kęsa jarzyny.

– Nie mam pojęcia! – Posłaniec, sądząc z pozorów, miejscowy chłop, głośno protestował. – Nie znam go! Zapłacił, powiedział, że się

tu tego spodziewacie, no to przywiozłem...

Gdy Xu Da sięgnął po pokrywę, Zhu nagle przypomniała sobie, że woń prochu ogniowego przypomina nieco zapach peklowanej wieprzowiny.

– Nie dotykaj! Niech ktoś sprowadzi tu Jiao. To może być bomba.

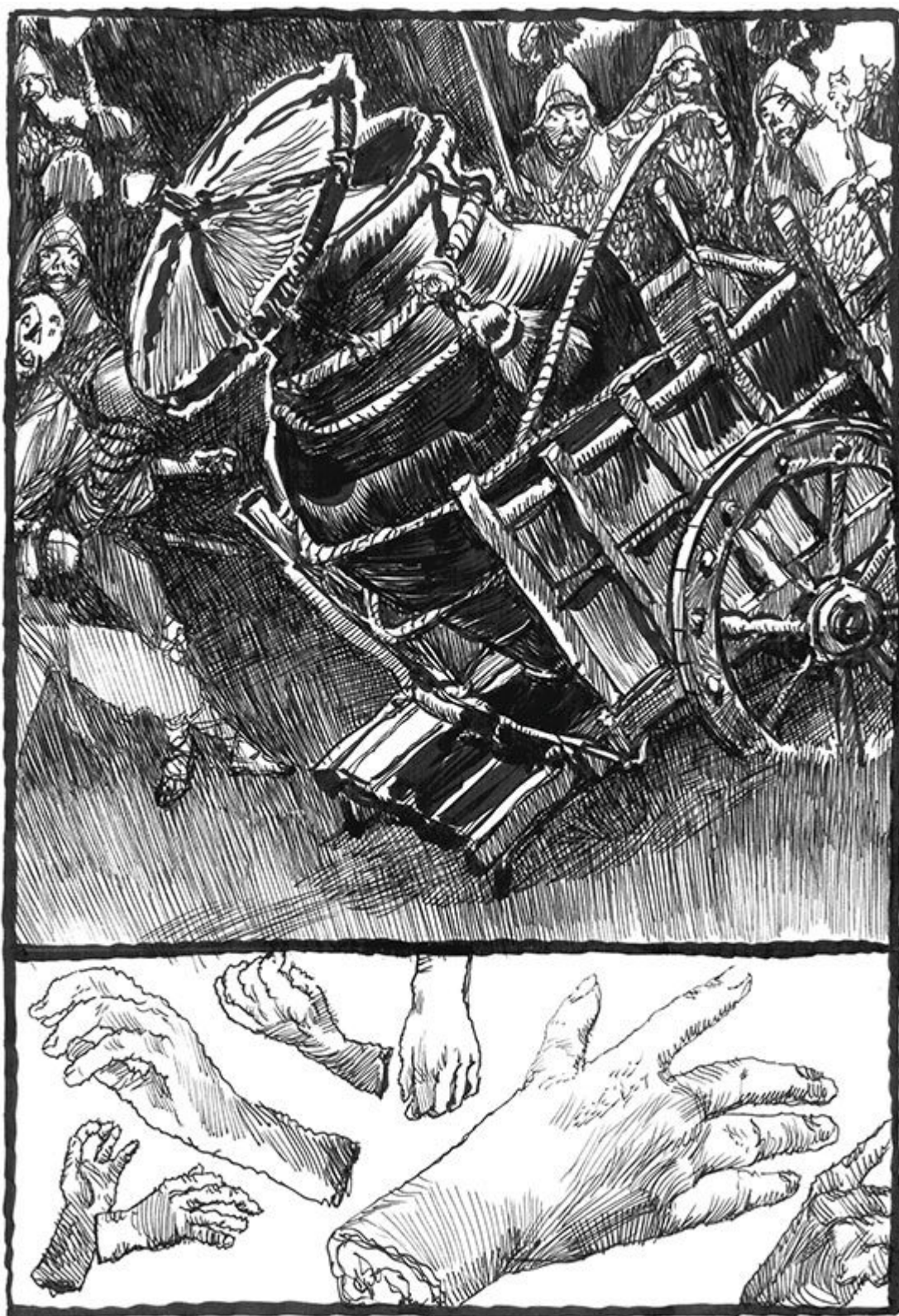
– Nie, nie. Bomba miałaby szczelną pokrywę – oświadczył inżynier tuż po przybyciu. Jak zawsze, podkreślił swój werdykt pełną wyższości miną. – A biorąc pod uwagę objętość, nie mamy też do czynienia z trucizną.

– Dobrze. Zdjąć to – poleciła Zhu, której zrobiło się nieco głupio. – Zaraz! – syknęła, kiedy gwardzista zabrał się pospiesznie do roboty. – Nie tak!

Żołnierz jednak zdążył przeciąć pierwszą linę, nie zastanawiając się nad tym, że tak ciężki ładunek mógł w transporcie nadwerężyć pozostałe sznury. Te puściły z jękiem zwalnianej cięciwy; wózek wraz z zastanawiającym się, co począć, słojem pochylił się na bok. Wszyscy w pobliżu zaczęli się z kolei zastanawiać, czy łapać naczynie, czy uciec i uniknąć zmiżdżenia. Zanim ktokolwiek zdołał rozstrzygnąć dylemat, słów wziął sprawy we własne ręce i heroicznie rzucił się na ziemię. Zawartość chlusnęła szerokim strumieniem.

Tej wiadomości nie nadał wielbiciel szyfrów. Była jasna i czytelna aż do przesady.

W trawie w kałuży płynu z przyprawami leżały dłonie. Odrąbane dłonie męskie, kobiece oraz rączki dziecięce, rozcapierzone niczym wyrzucone na plażę rozgwiazdy.



Jeden ze stojących w pobliżu gwardzistów zwymiotował, wskutek czego jego towarzysze zaczęli wyraźnie rozważać podobną

reakcję. Zhu odprawiła ich machnięciem ręki. Zapach słonej wody z kiszonki, pomijając przedmiot kieszonki, był nienaganny. O ile nie łączył się z odorem wymiocin.

– To były amputacje – skonstatował z medycznym chłodem Jiao.  
– Dłonie odcięto żywym ludziom, nie trupom. Zwróćcie uwagę na odbarwienie skóry wokół ran. To sugeruje krwotok...

Z płataniny dłoni wybijało się jedno jedyne ramię. Ouyang z olbrzymią niechęcią na twarzy wyłowił je na powierzchnię koniuszkiem miecza. Ręka należała do mężczyzny. Została ucięta tuż poniżej łokcia, w tym samym punkcie, w którym urywał się kikut Zhu. Na skórze wycięto nożem znaki, otwierające się bezbarwnie niczym skrzela martwej ryby.

„Chen Youliang przesyła z Nanchangu serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku” – głosił napis.

Nanchang. Najbardziej wysunięta na południe z należących do Zhu miejscowości. Przez chwilę była zbyt oszołomiona, by cokolwiek z tego zrozumieć. Podczas gdy całą uwagę poświęciła Zhangom, Chen, jej dawny nieprzyjaciel, wymaszerował z zachodniego Wuchangu i zajął miasto. Okaleczył jej poddanych i uznał za stosowne ją o tym poinformować.

Tylko w jaki sposób tego dokonał? Prawda, od pewnego czasu rozbudowywał siły, lecz jego armii wciąż daleko było do rozmiarów, którymi powinna się przejmować. Była pewna, że nie stanowił zagrożenia. Gdyby nie to przekonanie, nawet na chwilę nie odwróciłyby się do niego plecami. Chen nie powinien dysponować wojskiem pozwalającym przeciw niej wystąpić, a co dopiero mieć nadzieję na wygraną.

Cokolwiek jednak zaszło, stwierdziła posępnie w duchu, fakt pozostawał faktem. Była o krok od zdobycia Pingjiangu, lecz teraz nie pozostawało jej nic innego, jak wycofać się i rozprawić z Chenem, zanim on rozprawi się z nią. A przez to wszystko, co osiągnęła od dnia śmierci generała Zhanga, musiało pójść na marne.

Dokładnie to się dzieje, pomyślała poruszona do głębi Zhu, kiedy człowiek przegapi niebezpieczną błahostkę.

## 朱

Zupełnie jakby z góry przewidział, jak zareaguję, pomyślał rozwścieczony Ouyang, kiedy stanął przed namiotem sztabowym chłopaka i ujrzał otaczający go pierścień strażników. Nie byli to żołnierze Ouyanga, lecz gwardziści Zhu. Zapewne sprowadzeni z pozycji generała Xu zaraz po odebraniu wiadomości od Chena.

– Generale! – Komendant Chang zablokował wejście ukrytym w pochwie mieczem. – Zanim cię wpuszczę, będę musiał poprosić, żebyś przekazał mi swoją broń. Rozkaz Świetlistego Króla.

Ouyang przeszył go pełnym furii spojrzeniem, lecz Chang odpowiedział z niewzruszonym spokojem:

– Bardzo proszę, generale. Nie utrudniaj mi pracy.

– Powiedz, że nie chcesz się wycofać – zagrzmiał Ouyang, kiedy zamknęła się za nim kłapa. Zhu stał i czekał na niego.

– Czy mam inny wybór? – spytał bez ogródek. Cóż, przemknęło generałowi przez myśl, przynajmniej nie wymyśla żadnych bzdurnych tłumaczeń. – Nie mogę zdobyć i utrzymać Pingjiangu, jednocześnie maszerując na Dadu i broniąc tyłów przed Chen Youliangiem. W pierwszej kolejności muszę zająć się Chenem.

– Nie musisz! Ważne jest Dadu. Przecież to stolica jest naszym celem, czyż nie? Musimy jak najszybciej wziąć Pingjiang, a potem ruszyć na Dadu. Kiedy zasiądziesz już na tronie, wrócisz i odbijesz z rąk Chen Youlianga wszystkie utracone miasta! – Gdzieś w głębokim zakamarku świadomości kołatała mu się myśl, że zdobyte przez Chena miasta będą wówczas tylko stertami popiołów i ciał, lecz to nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic poza realizacją planu.

– Nie zrezygnuję z Dadu – oznajmił Zhu z taką dawką łagodnego nacisku, jakby próbował wmasować prawdę bezpośrednio w ciało generała. Ouyang, wpatrujący się w małą, owadzią twarz zawieszoną na jednym poziomie z jego oczami, poczuł, że dobrze byłoby się cofnąć o krok. – Dotrzemy w końcu i tam, obiecuję. Chen

Youliang posłał przeciwko mnie flotę, więc aby go pokonać, potrzebujemy okrętów. I zdobędziemy je. A potem go zniszczymy. Wówczas wrócimy tutaj, po czym weźmiemy kolejno Pingjiang i Dadu. Generale, jeżeli będę musiał, uwięzę cię ponownie, wykorzystam twoją armię wbrew tobie i zrobię to wszystko w pojedynkę. Wolałbym jednak, żebyś nadal ze mną współdziałał. Wiem, że rozumiesz, że razem jesteśmy silniejsi. Wciąż to ze mną u boku masz największą szansę na osiągnięcie celu. Dlatego powtarzam: zróbmy to razem.

Nawet jeżeli była to prawda i Zhu nadal dawał mu większe prawdopodobieństwo sukcesu, niż gdyby Ouyang działał sam, jakie to miało znaczenie? Generał już teraz przestawał radzić sobie z bólem.

– Generale – powiedział Zhu, jakby czytając mu w myślach – wytrzymaj. Jeszcze tylko trochę.

Tak, to prawda. Zhu stanowi moją największą szansę, zrozumiał targany cierpieniem Ouyang. Prawdą było również, że kiedy wreszcie nadejdzie koniec, ból okaże się ceną, jaką warto było zapłacić. Niemniej czekać tak długo...

– Nie mogę – powiedział tonem o rejestr wyższym, głosem wyrażającym najwyższy stopień desperacji i rozpacz. Głosem jakby wyrwanym wprost z trzewi, nieprzefiltrowanym przez świadomość.

Zhu ku jego zaskoczeniu nie zwrócił na to większej uwagi.

– Możesz – powiedział. – Ale nie musisz tego robić sam. Podwiń rękaw.

Ouyang obrzucił chłopaka pełnym konsternacji spojrzeniem. Zhu zaszył mu ranę, lecz nie wiedział przecież, jaki miała związek z obecną sytuacją i dręczącym go bólem.

– Już to widziałem, generale – rzucił z cierpkim uśmiechem mnich, widząc wahanie sojusznika.

Ouyang opornie zakasał rękaw. Bransoletka z koralików Esena opasywała mu przegub, a pod nią niemal przez całe przedramię biegła różowa szrama, przecięta pośrodku wilgotną ciemnoczerwoną linią. Kiedy chłopak przyjrzał się ranie ze

specyficzną, intensywną ciekawością, generał nagle zrozumiał: Zhu wiedział, co Ouyang sobie robił, by móc iść naprzód. I nagle z silnym, bliskim wręcz tęsknocie wyczekiwaniem, pojął, co mnich zamierza. Chciał otoczyć bliznę palcami, może nawet nacisnąć mocniej. A potem wbije do środka paznokcie. Będzie szarpać, rozdzierać, kaleczyć, pozwalając Ouyangowi poczuć ból.

Gdyby jednak była to metoda skuteczna, generał zrobiłby to sam. A robił to już po prostu zbyt często: rana przestała reagować. I choć naprawdę drżał z niecierpliwości, w głowie miał jedną rozpaczliwą myśl: to za mało.

Zhu pokiwał głową, jakby po uważnym obejrzeniu śladów podjął decyzję co do przebiegu kuracji. Ujął dłoń Ouyanga. Generał poczuł ukłucie zaskoczenia. Ich ręce były identycznej wielkości. Wrażenie było takie, jakby trzymał własną dłoń. Zaraz potem Zhu podniósł ją i wziął do ust dwa palce Ouyanga.

Generał nigdy nie doznał wrażenia bardziej osobliwego i dziwaczego. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Wygląd Zhu budził skojarzenia z twardością – cały chłopak składał się z kątów i linii – lecz usta miał miękkie, a język spokojnie dotykał spodu i koniuszków palców Ouyanga. Nie ssał, nie lizał. Po prostu trzymał go w sobie. I miał takie szczere spojrzenie. Nikłe poczucie absurdu sytuacji zmagало się z silniejszą, niemal rytualną powagą, na którą generałowi zabrakło odpowiedzi.

Czując specyficzny żar, Ouyang przypomniał sobie nagle ostatni raz, kiedy znalazł się w Zhu: intymność ciał połączonych ostrzem miecza; twarze razem, na jednej wysokości, ciemne, wpatrzone w niego oczy chłopaka. Bezruch tamtej chwili, tak bardzo podobnej do tej.

I wtedy, nie odwracając spojrzenia, Zhu ugryzł.

Ouyang wydał jakiś dźwięk, sam nie wiedział jaki. W pierwszej chwili świat skurczył się i zbiegł do jego palców, zaraz potem rozpląnął się na dobre. Jeszcze nigdy generał nie czuł takiego ognia: skoncentrowany ból ogarnął całą jego istotę. Zhu jakimś cudem



wiedział, w jaki sposób rozpuścić jaźń Ouyanga, który nigdy żadnego uczucia nie powitał z tak szeroko otwartymi ramionami.

Mgliście zdawał sobie sprawę, że jego ciało nadal zajmuje przestrzeń, w której je zostawił. Nie zmieniło nawet pozycji. Stwierdził w oszołomieniu, że gdyby padło na kolana i przywarło twarzą do butów Zhu, lepiej odzwierciedlałoby to jego emocje. Bezradną, otępiającą wdzięczność za dar bólu doskonałego.

Usłyszał swój charczący oddech. Takie przeżycie powinno go upokorzyć, lecz na szczęście zdolność do emocjonalnych reakcji także go opuściła. Mógł jedynie stać, poddając się ekstatycznej czerwieni, podczas gdy Zhu odbierał mu ból, myśli, a wreszcie jego samego.

朱

Kiedy Ouyang wyszedł, Zhu wróciła do biurka. Na języku wciąż miała metaliczny posmak krwi.

Nadal miała przed oczyma zmysłowe zaangażowanie, z jakim generał wczuł się w przeszywający go ból. Rozszerzone źrenice, wargi rozchylone w bezgłośnym cierpieniu. Czy tak właśnie spoglądała na niego ona, kiedy rozplatał ją mieczem? Kiedy smak krwi wypełnił jej usta, mimowolne drgawki Ouyanga przeszły w głębsze, ostrzejsze wewnętrzne spazmy. Czowała, jak się nimi rozkoszował, w miarę jak ból przybierał na sile. A kiedy osiągnął szczyt, przytrzymała go na tej jasnej, czystej granicy, na której ulga i cierpienie łączą się w jedno.

Tyle wystarczy, by nie odszedł. Zrozumiała to w chwili, gdy fizyczny ból tymczasowo przyćmił jego lęk, pozwalając odsunąć na bok rozpaczliwy impuls gnający go w stronę końca. Dała generałowi to, czego potrzebował, by wytrwać przy planie i przy niej. A jeśli będzie potrzebna powtórka, zrobi to ponownie.

Ta myśl przepełniła jej duszę zadowoleniem słodkim i silnym.

Kłapa w wejściu zafalowała i w namiocie pojawił się Jiao. Po delikatnej, przepełnionej otwartością chwili, jaką przeżyła dopiero co z Ouyangiem, butna niechęć inżyniera wydawała się bardziej szorstka niż zwykle. Dziewczyna zastanowiła się w duchu, czy minęli się przed wejściem. Biorąc pod uwagę jego brak szacunku, Jiao zapewne był ubawiony myślą o wściekłym Ouyangu, starającym się podważyć jej decyzję. Zmierzyła przybysza hardym wzrokiem. Skoro poradziłam sobie z generałem, mówiły jej oczy, zastanów się, co mogę zrobić z kimś twojego pokroju.

Jiao posłał jej nieznaczny uśmiech, zapewne by przypomnieć to, o czym wiedzieli oboje: potrzebowała go. Wręczył dziewczynie zaszyfrowaną wiadomość.

– Nie odczytam tego. Nie bez klucza – powiedział.

– Nie ma innej metody? Nawet tak wybitny człowiek jak ty nie da rady? – Nie sądziła, że to zadziała, ale cóż, pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.

– Najmocniej przepraszam, że zawiodłem, nieuk niegodny, oczekiwania Świetlistego Króla. – W oczach inżyniera zabłysła iskra ironii, jakby cieszył się jej kłopotem.

Zhu nie chciała pozwolić szpiegowi działać bezkarnie. Jeszcze mniej przyjemna była refleksja, że oto wtajemniczyła w sytuację Jiao, a sama nie otrzymała nic w zamian. Niemniej w tej chwili mogła jedynie utrzymać ochronę obozu na podwyższonym poziomie i czekać na kolejną okazję do pojmania zdrajcy.

Inżynier ruszył do wyjścia, lecz nagle przystanął, jakby zdjęty ciekawością.

– Chen Youliang zdobył Nanchang za pomocą floty. Ty dysponujesz jedynie siłami lądowymi. Wasza Wysokość, gdzie zamierzasz zdobyć statki?

Łagodny ton nie mógł jej zwieść. Zhu wiedziała, czego naprawdę dotyczy pytanie. Jiao pytał: czy nadal możesz zwyciężyć? Jej stosunek wobec inżyniera przeszedł na moment z antypatii w gorącą nienawiść. Miała dość tego, że musi bez końca dowodzić mu własnej skuteczności. Jednak nie mogła po prostu się Jiao

pozbyć, mimo iż bardzo chciała. Jego techniczna wiedza, w tym wynalazki w dziedzinie broni wykorzystującej proch ogniowy, należała do jej największych atutów.

– Okręty ma Fang Guozhen – wycedziła przez zaciśnięte usta.

– Dlaczego ten pirat miałby zawiązać z tobą sojusz? Słynie z wielu cech, ale nie ze szczególnego upodobania do dobroczynności. – Czyżby głos inżyniera zabrzmiał bardziej wyzywająco niż dotąd? Jiao zawsze wpadał w kiepski nastrój, kiedy wyczuwał, że zagadka przekracza możliwości jego intelektu.

– Każdy rozsądny człowiek zechce podjąć współpracę ze swoim przyszłym władcą.

Pomarszczona, porośnięta kosmykami rzadkiego zarostu twarz Jiao nigdy nie tchnęła życzliwością. Choć Zhu od wielu lat nie poświęciła zmarłemu ojcu ani jednej myśli, to miażdżący osąd w oczach inżyniera cofnął ją do samych początków: do miejsca, w którym była skazana na bezwartościowość i śmierć. Jiao spojrział tak, jakby była niczym, i odparł:

– Mam nadzieję, że znajdziesz dla niego lepszą zachętę.



**K**rólowa weszła do sali bankietowej tuż po wyjściu nadwornego testera trucizn. Syty siedział samotnie przy rozległym stole, otoczony przyciągniętymi jak najbliżej talerzami, niczym morski anemon pośród szczątków ofiar. Na widok podchodzącej żony nie podniósł nawet wzroku. Wgryzał się właśnie w policzek podanej w galarecie wieprzowej główizny, a w jego oczach zamiast głodu malowało się stropienie. Pani Zhang zazwyczaj uznawała w takich chwilach, że ze względu na jej własne dobro słusznie będzie usunąć przyczynę mężowskiej irytacji, lecz te czasy dobiegły już końca.

Pokłoniła się głęboko i nie prostując się, powiedziała:

– Mojemu mężowi należą się gratulacje. Zhu Yuanzhang wycofał wojska.

Przypuszczała, że każe jej tak zostać, poddańczo zgiętej. On jednak, przeżuwając z otwartymi ustami, zerknął na nią z ukosa i ostrym ruchem głowy wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

Służący ułożyli przed królową pałeczki i miseczkę ryżu oraz – na jej polecenie – skromną porcję warzyw, połyskujących czerwoną marynatą, jaką najczęściej stosowało się do ryb. Innym potrawa

zapewne przypadłaby do gustu. W ustach pani Zhang budziła jedynie nikłą odrazę. Jak wszystko.

– Zhu Yuanzhang! Ten, który ważył się wystąpić przeciwko mnie! Myślisz, że pod Zhenjiangiem to on mnie pokonał? Nie, rzuciłem mu tam kość do zabawy, nic więcej.

Syty, którego myśli uwolniły się od niezidentyfikowanego problemu, odchylił się i złożył ramiona na oparciach sąsiednich krzeseł. Uwalane czerwonym tłuszczem pałeczki zawisły mu między palcami. Przyjrzał się żonie z wesołą miną, która mogłaby zapewne pojawić się na obliczu dobrotliwego patriarchy, gdyby nie wyraźna wokół oczu twardość. Twardość wykluczająca uczucia skierowane do kogokolwiek poza nim samym. To samo fundamentalne zubożenie na innych, które sprawiało, że ospale reagował na prowokacje. Ale kiedy już reagował...! Jakże boleśnie zlekceważyła niebezpieczeństwo tych reakcji. „Rzuciłem mu kość”. Pałeczki królowej zagrzechotały o siebie, co zaskoczyło ją samą. Miała odrętwiałe palce. Zawsze były gładkie i białe jak lodygi młodej cebuli, teraz sprawiały wrażenie należących do kogoś zgoła obcego. Jej umysł jednak pracował ze spokojem zegara.

– Nie poszło mu tak łatwo, jak się spodziewał, ha! Musiał okopać się pod miastem. Ach, te moje potężne mury! Czy naprawdę sądził, że wystarczy się napuszyć, a natychmiast ustąpię? – fuknęła Syty. Ponieważ pani Zhang słuchała bardzo uważnie, wyłowiła w jego kolejnym oddechu lekkie drżenie, jakby energia pogardy sprawiła ból także i jemu. Błyskawicznie jednak odzyskał formę. – Proszę, wystarczyło, że posmakował mojej siły, a teraz wraca do domu jak do matczynej cipy!

Nie była szczególnie zaskoczona, że mąż nie ma pojęcia o roli, jaką w odwrocie Zhu odegrał Chen. Człowiek, którego cały świat sprowadza się wyłącznie do niego samego, zawsze uważa, że ścieżka, po której stąpa, jest tak gładka, ponieważ samodzielnie ją wyrównał. Nie zawdzięczasz sobie ani jednego ze swoich osiągnięć, stwierdziła lodowato w duchu.

– A ty, żono? Coś, kurwa, przez ten czas zrobiła? – Zaniósł się tym swoim świszczącym śmiechem, w którym szczerzej wesołości było tyle, ile w ostrzu przeciętej piły. – Miastu nic już nie zagraża, a ty przez cały czas siedzisz beczynnienie? Chcę, żeby armia została przygotowana do wymarszu na Dadu. Czas, żebym wziął wreszcie, co moje.

W powietrzu snuł się kwaśny odór, przypominał nieco swąd starego, oślizłego tofu. Z każdą chwilą przybierał na intensywności, aczkolwiek Syty ewidentnie go nie zauważał.

– Nawet największa armia, jaką jesteśmy w stanie wystawić, nie zdoła pokonać wielkiego radcy i jego wojsk – odparła chłodno królowa. – Możesz być pewien, że będzie bronić stolicy ze wszystkich sił.

Syty klepnął się w uda, jakby usłyszał właśnie przezabawny dowcip. Zaraz jednak uśmiech zniknął z jego ust, błyskawiczne tempo przemiany zwiastowało niebezpieczeństwo. Spojrzał na swoją uniesioną dłoń.

– Dlaczego mam wrażenie, że mi nie wierzysz? Skoro mówię, że nasi zwyciężą, to znaczy, że zwyciężą. Chyba że ktoś z premedytacją zacznie mi rzucać kłody pod nogi. Jakiś zdrajca. Czy ty znowu coś knujesz, żono? – spytał półgłosem.

Dostrzegła chwilę, w której przez twarz Sytego przemknął kolejny cień bólu. Ostrzejszy niż przed momentem. Skupił się na sobie i opuścił rękę. Na skroń wystąpiły mu pierwsze krople potu.

– Czyżby znowu jakiś problem z żołądkiem? – spytała królowa.

Obejrzała się w kierunku czekających pod ścianą służących, lecz przerwał jej głośno, ze złością.

– Myślisz, że nie wiem, jak boli zwykła niestrawność? To coś innego. To jedzenie było złe... – podniósł głos, w którym dało się wychwycić ślad paniki. – Jedzenie było złe! Otruto mnie!

– Jak to możliwe? – zapytała spokojnie. Powstrzymała uniesioną dłoń przybocznych gwardzistów męża, którzy ruszyli w jego stronę, po czym podjęła głośno i wyraźnie, tak by i oni usłyszeli: – Gdyby testerowi coś się stało, dano by nam znać. Nie mówiąc o tym,

że jadłam to samo, co ty, a mam się znakomicie. Uspokój się, proszę, mężu. Zaraz poślę po medyka.

– Ach! – krzyknął nagle Syty. – Zimne qi naciera! Czuję je tu, w dole. – Roztrzęsiony ze strachu, zaczął szarpać swoją szatę, rozwiązał troki, zsunął białą bieliznę. – Atakuje moje źródło yang. Czuję, jak wnika w moje ciało. Jeśli wejdzie na dobre, umrę!

Królowa podeszła i spojrzała na jego genitalia, kołyszające się pod wielkim, nabrzmałym brzuchem. Były blade i woskowate, jakby wskutek odmrożenia. Mosznę miał tak twardą i ściągniętą, że jądra przylegały praktycznie do krocza. Trząsał się, jęczał, zbieleły na twarzy, pokryty lśniącym potem. Jego cierpienie skojarzyło jej się z należąca do żebraka małpką, którą widziała kiedyś na ulicy. Właściciel okładał ją wściekłymi razami. Pamiętała okrutną, obojętną przyjemność, jaką sprawił jej widok małego, wykrzywionego w żalonym bólu i przerażeniu pyszczka, wywołane strachem rozwolnienie, obrzydliwość, która jednak rozbudziła w niej dziką radość i ochotę na więcej.

Zaśmiała się, starając się natchnąć dźwięk lekkością, a nie mroczną, płynącą z głębi duszy przyjemnością, jaką sprawiało jej karanie bezbronnego.

– Och, mężu! Rozluźnij się! Masz pojęcie, ilu mężczyzn z podobnymi dolegliwościami odwiedza domy uciech...? Doprawdy nie masz powodu do zmartwień – mrużąc, uspokajająco podciągnęła z powrotem jego bieliznę, zapięła szatę. – Idźcie! – zwróciła się do straży. – Wszyscy! Polećcie medykowi, żeby przygotował specyfik na cieknicę. Ma się tu stawić jak najszybciej.

– Długo mu to zajmie? – jęknął Syty, gdy królowa zatrzasnęła drzwi za gwardzistami i wróciła do stołu. – Boli coraz bardziej. Ach, to naprawdę nie do zniesienia!

– Naprawdę aż tak źle? – rzuciła z iskrą zainteresowania. – Naturalnie to przykre, że medyk stwierdzi, że zabrakło mu tych akurat ziół, których potrzebuje. Będzie musiał posłać po świeży zapas. A ponieważ jest zajęty twoją konkubiną, przybędzie dopiero po dłuższej chwili.

– Moją konkubina...? – Syty obrzucił żonę nierozumiejącym spojrzeniem.

– Ach, biedna dziewczyna! Przecież zawsze miała na uwadze jedynie twoje dobro. Kiedy usłyszałam, że rozpytuje o lek, który mogłaby rozsmarować na twoim pierścieniu, środek wzmacniający twoją miłosną sprawność, poprosiłam kogoś, żeby dokonał drobnej zamiany. Myślisz, że jej służki były zbyt zawstydzone, żeby poinformować medyka, w którym miejscu pojawiły się pierwsze objawy? Taka była śliczniutka, prawda? Ale po śmierci wszyscy wiele tracą na uroku.

Wychwyciła moment, kiedy zrozumiał. Gwałtownie poderwał się z miejsca i zamachnął na nią niczym ranny niedźwiedź, z budzącym się w gardle rykiem, który jednak zgasł wraz z barwą policzków. Syty opadł z powrotem na krzesło. Podparł się o stół, rozdygotany. Otworzył usta, jakby do jęku, lecz nawet nie pisnął. Jego brzuch mocno falował, ale wydawało się, że nie może nabrać powietrza. Królowa drżała, jakby zamiast nóg stała niepewnie na szczudłach.

– Jaka szkoda, mężu – podjęła z głęboką pogardą. – Wygląda na to, że jednak odejdziesz nienasycony.

– Ale... Mam przecież...

– Myślałeś, że to gwarancja sukcesu? Myślałeś tak nawet po tym, co zrobiłeś swojemu bratu? Durniu! Nie ty jeden posiadasz mandat.

Kiedy po raz pierwszy zapoznała się z propozycją, nie miała pewności, w jaki dokładnie sposób Wang Baoxiang zamierza spełnić obietnicę i doprowadzić do zakończenia oblężenia Pingjiangu. Wróciła myślą do swojego spotkania z Chenem i tego, co wiedziała o jego tajemniczym, ukrytym w cieniu mocodawcy. Wang Baoxiang, stwierdziła w duchu, planował wszystko od dawna. Aż wreszcie nadarzyła się okazja. Pomyślała przelotnie, że pora, w jakiej się pojawiła, pora śmierci Zhang Shide, była wręcz idealna.

Syty zwiesił głowę, ciężko dyszał. Królowa łagodnie przeciągnęła palcami po męzowskim policzku, po czym napała



paznokciami na jego miękki podbródek. Wbiła je, zmuszając, by podniósł głowę. Korciło ją, by wrazić je jeszcze głębiej, aż po mózg. Spoglądał na nią wybałuszonymi ze strachu oczyma. Możliwe, że nie był już w stanie mówić.

– Mogę przebierać w cesarzach. Dlatego wybieram kogoś lepszego od ciebie. To ja powiodę armię na Dadu. Ty, Zhang Shichengu, nie jesteś częścią tego planu.

Dyszał straszny, pełnymi wysiłku haustami. Odór starego tofu wzmógł się jeszcze bardziej wraz z ostrą wonią strachu. Poczowała odrazę. Chciała zdrapać go ze swojego ciała, zamknąć się na niego, niczym gładki kamień, który zmiażdżył właśnie ludzką skroń, lecz pod krwią i mózgiem pozostał nieskazitelnie lśniący i biały.

– Umierasz, jak żyłeś. Jakże to zabawne! Nie sądziłam, że cokolwiek połączy cię z bratem. Lecz on również umarł tak, jak żył. Z tym że ty być może umierasz mniej przyjemnie niż on, przeszyty strzałą na polu bitwy. Może trzeba było wieść bardziej pożyteczne życie.

Niemniej patrząc na rozpaczliwie chwyającego powietrze męża, na jego siniejące wargi i różową pianę w kącikach ust, królowa poczuła w sercu narastającą grozę. Słowa rozbudziły obrazy. Ostatnie chwile Zhang Shide. Czy kiedy zabójcza strzała przeszła mu płuco, i on tak się szamotał? Czy każdy oddech zamiast tlenu powodował dalsze zapadnięcie płuca? Czy tak brzmiały jego ostatnie oddechy, zanim się ostatecznie udusił?

Dotarło do niej, że aż do tej chwili wierzyła, iż ostatnie myśli poświęcił jej. Potrzebowała tej wiary, że mimo ostrości słów, z jakimi się rozstali, odszedł, znając prawdę: że jak zwykle kłamała, że chciała mu tylko dopiec. Musiała wierzyć, że jej przebaczył. Teraz jednak, obserwując Sytego, widziała, jak ból wypiera człowieczeństwo. Umierający zmienił się w nieme zwierzę, pozbawione myśli wyższego rzędu, wyposażone jedynie w podstawową świadomość istnienia. Zhang Shide konający na polu bitwy na pewno o niej nie myślał.

Dotąd wyobrażała sobie, że zostanie aż do końca Sytego. Myśl o tym sprawiała jej nawet przyjemność. Lecz jej płuca pracowały jak miechy, serce łomotało, cielesne doznania przejmowały kontrolę, a świadomość tego, że nie stawi im oporu, że ją pokonają, przepełniła ją strachem.

Chwiała się, słańiała w tym niesprawnym ciele, uszkodzonym tak, by uniemożliwić bieganie. Podłoga ruszyła jej gwałtownie na spotkanie. Szarpnęła się wściekle i chwyciła bez czucia gorącego koksownika. Podniosła się, otworzyła drzwi i wypadła na zewnątrz. Dolną część jej ciała zdjęły spazmy. Żal przeszywał nerki, wątrobę, śledzionę. Cierpiała, rozumiejąc, że ciało przejmuje nad nią kontrolę, że przełamuje nieuchronnie każdą jej barierę.

W sali bankietowej jej mąż wciąż tonął w powietrzu. Mimo głośnego szumu w uszach słyszała, jak drapie blat, odgłosy przypominały hałas czyniony przez żółwie gotowane żywcem na parze w nakrytym szczelnie woku. Hałas ciągnący się w nieskończoność.

Ból napierał coraz mocniej. Królowa ugiwała się pod nim, stała się okruchami siebie, utrzymywanymi razem jednie za sprawą rusztowania jaźni. Napływające z ciała doznania próbowały ją rozbić, wystarczyło się poddać. Chciała czuć ten ból, ponieważ ból czują ludzie, którzy kochają i są kochani. Lecz mimo że jej ciało szamotało się gwałtownie, nie potrafiła się poddać. Każdy impuls namawiający do rezygnacji spotykał się z impulsem silniejszym, płynącym z głębi duszy. Nie wiedzieć czemu pomyślała o pewnej kurtyzanie, swojej dawnej znajomej. Dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo, wstrzymując oddech. Jej wola nie była jednak tak silna jak odruch, który zmuszał do pozostania przy życiu. Pokonała instynkt, dopiero kiedy rzuciła się do jednego z kanałów opływających czarno-zielone domy rozkoszy w Yangzhou. Przekształciła odruch każący oddychać, wchłaniać powietrze i życie w coś, co przepełniło ją wodą i śmiercią.

Wreszcie królowa uświadomiła sobie, że za drzwiami nie słycać już nic.

Długo potem nadbiegł wreszcie medyk. Ujrzał ją na podłodze korytarza i z odciśniętym na twarzy przerażeniem wpadł do sali. Z przerażeniem, nie podejrzliwością, ponieważ jej wymięta sylwetka odpowiadała rozsądnym wymogom sytuacji: oto kobieta w żałobie. To wszystko było jednak tylko ułudą. Porcelana nie jest człowiekiem, porcelana niczego nie czuje, po nikim nie nosi żałoby.

Pozbierała się i wstała. Spazmy, które szarpały jej ciałem, ustąpiły. Umysł miała spokojny i chłodny. Wróciła do sali, tej, do której medyk przybył za późno.



## Chanbałyk

**S**pękana pustka nieba od wielu tygodni zapowiadała nadciągający śnieg, lecz obietnica wciąż czekała na spełnienie. Chanbałyk poznawał znaną wszystkim cierpiącym na bezsenność rozpaczliwą tęsknotę za tym, co odebrane, jednocześnie wkładając ostatnie siły w końcowe przygotowania do kampanii wielkiego radcy. Armia, towarzyszące jej stada, tabory zaopatrzeniowe i maszyny oblężnicze – wszystko to gromadziło się stopniowo na południowej równinie, aż wreszcie obserwator stojący na czwartym piętrze pagody wznoszącej się na jeziorze Miasta Cesarskiego nie widział nic poza nimi. Chorągwie furkotały ponad pożółkłą na zimę trawą. Wszystkie jeziora w okolicy skuwał lód. Nastąpiła pora wojny, czas, w którym ziąb wyciągał palce daleko na południe. Wielcy Yuanowie mieli ruszyć do boju. Jeszcze tylko kilka dni...

– Pamiętasz to tradycyjne życzenie? Niech twoje bogactwo wypełni całą salę. Niewielu dożywa jego ziszczenia – zauważył wchodzący Seyhan.

Baoxiang siedział właśnie w swoim pokoju i kontemlował stojące w nim kufry z pieniędzmi.

Sufit stanowił dawniej zapewne cieszącą oko mozaikę jasnych i ciemnych odmian drewna. Jednakże z upływem lat poszczególne elementy odkształcały się w odmiennym, właściwym danemu gatunkowi tempie, przez co układanka sprawiała teraz wrażenie, jakby oglądano ją przez grubą warstwę falującej wody.

– Już czas – rzucił Baoxiang do swojego sekretarza.

– Życzysz sobie zachować pewną rezerwę? Na wypadek gdyby Chen Youliang potrzebował więcej? – Seyhan uniósł brew.

– Przywróciłem zdychającego z głodu tygrysa do życia, ale nie muszę chyba karmić go wiecznie – odparł ponuro Baoxiang. – Wyślij wszystko.

Rozstrzygająca chwila, która nadeszła wcześniej tego popołudnia, była równie zwyczajna jak ton ministra, który zagadnął zastępcę na korytarzu.

– Wiceministrze! Tu jesteś! – Minister z odciśniętym na twarzy głębokim poczuciem udręki przewertował trzymane w dłoniach naręcze papierów i wyłowił z niego jakiś rachunek. – Trzeba zapłacić rymarzowi. Prawdę mówiąc, powinien był otrzymać tę kwotę już wcześniej. Doszło z naszej strony do przeoczenia i napisał skargę. Wyślesz kuriera z pieniędzmi?

Nikt inny nie dostrzegłby potencjału w tak niepozornej prośbie. Zresztą gdyby nie przygotowania, jakie poczynił do tej pory Baoxiang, nie byłoby mowy o żadnym potencjale. Tymczasem pytanie ministra stało się sznurkiem, który odpowiednio pociągnięty, mógł doprowadzić do upadku cesarstwa i który spłynął w ręce Baoxianga łagodnie jak nitka niesionej wiatrem pajęczej przędzy.

Zawahał się. Wciąż mógł odpuścić. Następny podmuch zdmuchnąłby pajęczynę bez śladu i tylko on wiedziałby, że cokolwiek w ogóle się stało.

Dlaczego jednak miałyby rezygnować? Wzmagający się gniew przegnał z jego myśli wszelką niepewność, pozostawiając jedynie

niczym niezmaconą czern. Minister mu ufał, był mu życzliwy, lecz gdzie był wtedy, kiedy Baoxiang potrzebował uwagi najbardziej? Uwagi i ludzkiej dobroci? Gdyby ktokolwiek zainterweniował, kiedy świat udzielał mu lekcji na temat tego, kto jest wartościowy i z jakiego powodu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale wtedy nie zainteresował się nim nikt. A dzisiaj cały świat i wszyscy żyjący w nim ludzie mieli posmakować konsekwencji tego, do czego sami Baoxianga popchnęli.

Kiedy sięgnął, by odebrać od ministra dokument, nie zadrzał mu nawet jeden palec.

– Ależ naturalnie. Uznaj sprawę za załatwioną.

朱

Baoxiang siedział na skraju łóżka trzeciego księcia. Był zupełnie nagi, na jego udzie stygło nasienie. Kiedy otworzył na próbę usta, chrupnęło mu w szczęce. Był pewien, że na twarzy zostaną ślady. W ciągu kilku kolejnych spotkań chłopak uczył się sięgać po rozkosz z coraz większą pewnością siebie, lecz zawsze chwycił go za mocno, jakby nawet wtedy, kiedy ocierał się o brzuch Baoxianga lub wciskał między jego zaciśnięte uda, przerażała go myśl o zatarciu różnicy pomiędzy takim jak on wojownikiem a słabeuszem pokroju wiceministra.

W odróżnieniu od cesarskiego splendoru pozostałych części Pałacu Obfitych Błogosławieństw, sypialnia trzeciego księcia stanowiła przestrzeń wyłącznie prywatną. A także, jak ocenił rzeczowo Baoxiang, potwornie zaniedbaną. Zakurzone dywany wyglądały, jakby wisiały na ścianach od zeszłej zimy – może nawet jeszcze poprzedniej – ani razu nieprzetrzepane. Podłoga i wszystkie inne powierzchnie tworzyły topograficzny chaos ksiąg, misek, pomiętych szat przypominających porzucone wprawki adepta sztuki składania papieru, elementów zbroi, tykw, rzemieni splecionych z różnym stopniem talentu we frędzle mające zdobić miecze lub

włócznie, dwóch kapeluszy, wypełnionego kadzidłem i goździkami mieszka do odświeżania pach, ekstrawaganckiego, cudzoziemskiego sztyletu i stanowczo zbyt wielu sztuk spłowiałej bielizny. A wszystko uzupełniał podejrzanie zwierzęcy aromat, podobny do woni zbyt długo wystawionego na słońce futra. Baoxiang z żalem rozpoznał w nim fetor, jakim młodzi mężczyźni znaczą swoją pościel.

– Masz służbę. Jesteś chyba świadom, że sprzątanie należy do ich obowiązków. – Baoxiang sięgnął dwoma palcami po spoczywającą w tym gąszczu koszulę i wytarł nią udo.

Trzeci książę leżał nagi na wymiętoszonym prześcieradle, z kolanem ugiętym jak u brodzącego bociana. Kiedy poczuł na sobie wzrok wiceministra, raptownie się spiął: być oglądanym przez innego mężczyznę, zwłaszcza gdy mężczyzna ów widział go w bezbronny stan tuż po stosunku, było czymś zupełnie innym, niż oglądać innego mężczyznę samemu. Jednak chwilowy dyskomfort prysł bardzo szybko. Wiecznie wiotki fiut Baoxianga nie mógł zagrozić niczyjej męskości.

– Przecież lubisz pracować na kolanach – rzucił bez złości w głosie młody arystokrata. – Skoro tak ci to przeszkadza, sam posprzątaj.

Oczy wiceministra zwabiło wewnętrzne podbicie stopy chłopaka, napierającej z boku na kolano drugiej nogi. Nawet jako element twardego męskiego ciała, ta część podeszwy zawsze była delikatna, zdawało się, że sam organizm tuli ją czule i chroni poduszkami palców i piętą. Zdjętego zachwytem Baoxianga ogarnęła na moment pokusa, by tego miejsca dotknąć: niesamowite, że ten skrawek cudzego ciała, zwykle niewidoczny, niedotykany i niedoceniany, znalazł się w zasięgu jego ręki.

Głupie myśli, głupia pokusa. Baoxiang otrząsnął się i rozejrzał po podłodze w poszukiwaniu ubrania. W tej chwili liczył się jedynie fakt, że trzeci książę go potrzebuje. Cała reszta stanowiła jedynie zbędny dodatek.

– Czy jutrzejszego wieczora jak zwykle spotykasz się z matką? – spytał swobodnie. – Jeśli tak, nie przyjdę.

– Przyjdź po prostu trochę później. Ona i tak najczęściej szybko wychodzi, bo wzywa ją wielki chan. – Młody arystokrata bawił się czymś niewielkim i okrągłym, co znalazł w misce. – Wiesz, wiceministrze, w jaki sposób przygotowują kobiety dla mojego ojca? Rozbierają je do naga i dostarczają do jego komnaty zawinięte w dywan, jak kawał mięsa. Niech pozorna elegancja mojej matki cię nie zwiedzie! Powinieneś widzieć, jak ochoczo pędzi za każdym razem, kiedy wielki chan chce ją zerznąć. Jak najzwyklejsza kurwa. – Była to oczywista autoironia, lecz przypominała skok akrobata, który tuż po wybiciu się z ziemi zrozumiał, że czeka go nieuchronny upadek. – Gdyby usiłowania zawsze były nagradzane równymi w skali efektami, miałyby dla mnie już tuzin zastępców. Jakże musi być rozgoryczona!

Ból chłopaka przypomniał Baoxiangowi, jak wiele czasu upłynęło, zanim sam uświadomił sobie, że nigdy nie zazna upragnionej akceptacji i aprobaty. Kiedy pogodził się z faktem, że świat jest, jaki jest, i uśmiercił tę część duszy, która wbrew wszelkim świadectwom trwała w wierze, że ktoś może go pokochać, był starszy niż trzeci księżę obecnie.

Przebiegł go dziwaczny dreszcz. Jedynym duchem w pokoju był jednak duch młodego Baoxianga widoczny w twarzy innego człowieka.

Coś świsnęło w jego stronę. Nie zdążył się uchylić.

– Żółwiowy pomiole! – wykrzyknął, kiedy pocisk odbił mu się od czoła.

– Uważaj, czyjego ojca obrażasz. – Chłopak rzucił mu kruchy uśmiech.

Baoxiang sięgnął na podłogę: obrany kasztan. Nie były nawet niesmaczne, lecz nie uważał, by płynąca z ich jedzenia przyjemność uzasadniała wysiłek poświęcony na obieranie. Poza tym wystarczyła jedna niezręczność, a ostra niczym sztylet łupina wpijała się pod paznokieć, co kończyło się tygodniowymi cierpieniami. Za to dla Esena toczenie bitew z kasztanami zawsze stanowiło przynajmniej połowę zabawy. Zdarzało się zimą, kiedy ojciec był poza domem,



a za oknem padał śnieg, że siadali w cichej rezydencji i stawiali na ogniu patelnię: Baoxiang czytał, a Esen częstował go obranymi kasztanami, jednym za drugim.

Wspomnienie słodkawego, mączystego smaku niespodziewanie przyprawiło go o mdłości. Odrzucił kasztan i zaczął rozkładać swoje pomięte szaty.

– Późno już – rzucił niepewnie trzeci książę, patrząc na ubierającego się Baoxianga. – Możesz... zostać.

Baoxiang nie prosił ministra o życzliwość. Jednak teraz uświadomił sobie kwaśno, że prosił tego chłopaka o bezbronność. Otrzymał ją i miał teraz w dłoniach, tak jak kochanek mógłby trzymać serce ukochanej.

Lecz przecież nie kochał trzeciego księcia, tylko przybył tu w pewnym bardzo konkretnym celu.

– Następnym razem – odparł z udawanym żalem. – Muszę wracać do biura. Minister zlecił mi dokonanie płatności za jedno z zamówień wielkiego radcy. Naturalnie gońca z pieniędzmi posłałem już wcześniej, ale jedna myśl nie daje mi spokoju. Nie pamiętam, czy mamy z tym konkretnym dostawcą aktualną umowę. – Czuł na końcu tego sznurka wielmożną Ki, gotową do tańca marionetkę. – W normalnych okolicznościach nie przejąłbym się taką sprawą. Zawieramy wiele umów i trudno wszystkie spamiętać. Ale suma jest znaczna i wydaje mi się, że tę bym pamiętał... – Z zadowoleniem zauważył, że spojrzenie chłopaka nagle się wyostrzyło. – Jestem pewien, że to nic takiego. Jeżeli jednak nie sprawdzę, nie zmrużę dziś oka.

Pociągnął za sznurek.

Oczywiście nie wrócił do ministerstwa. Niemniej tej nocy rzeczywiście nie zmrużył oka. Wracając do domu, żarliwie modlił się o deszcz, lecz niebo uparcie odmawiało mu wytchnienia.

朱

– Tu cię mam! – Minister zajrzał do gabinetu Baoxianga. – Wielki chan wzywa ministrów na audiencję. Wybierzesz się? Pora może niefortunna, tym bardziej że wielki radca jeszcze nie wymaszerował i roboty jest masa, ale co poradzisz? Możemy jedynie mieć nadzieję, że to nie potrwa długo...

Pierwszy sznurek poruszył całą płataninę innych; konstrukcja zaczynała się chwiać. Wszystko toczyło się tak, jak powinno. Zgodnie z planem Baoxianga.

– Czy coś się stało? Nie musisz iść, jeżeli nie chcesz – dodał lekko zdziwiony minister.

– Nie, nic. – Baoxiang wstał i wygładził urzędowy strój. – Pójdę.

Śnieg wciąż nie spadł. Nabrzmiąle niebo tęsknie wyczekiwało ulgi. Gdy wyszli żywym krokiem przez bramę na plac przed Salą Wielkiej Światłości, minister raptownie przystanął, rozległa przestrzeń już teraz wypełniona była rdzawoczerwonymi szatami urzędników.

– Spóźniliśmy się? Jak to możliwe?

Pod beśnieżnym nieboskłonem złocista szata wielkiego chana przybrała herbaciany odcień mniszej chusty. Zakuty w smoczą w zbroję wielki radca, przeciwnie, wydawał się jeszcze bardziej majestatyczny niż zwykle. Oderwany od przygotowań, wyraźnie się niecierpliwił. Tuż obok niego stała sztywno zaniepokojona cesarzowa. Widać było, że oboje nie mają pojęcia, z jakiego powodu wielmożna Ki zaprosiła ich na to spotkanie. Bo że to ona za nim stała, nie wątpił nikt.

– Cieszymy się z twojego przybycia, ministrze skarbu – zawołała wielmożna Ki. Jej lśniący gronostajowy płaszcz miał barwę niespadłego śniegu. Kolor duchów i żałoby. Na placu poniżej ukryci pod czarnymi kapeluszami urzędnicy trwali w bezruchu, podobni do zapisanych na kartce wersów. – Mamy nadzieję, że pomożesz nam rozwikłać pewną sprawę. Zbliź się do tronu.

Minister rzucił Baoxiangowi zaskoczone spojrzenie. Baoxiang odpowiedział tym samym, rozkoszując się własną grą aktorską. Patrząc za staruszką kuśtykającym z wolna przez środek placu,

czuł, że postąpił ohydnie. I było to poczucie równie wstrętne i przyjemne zarazem, jak uciskanie bolącego sińca. Wyglądało na to, że nie istniał akt równie obrzydliwy, by Baoxiang nie potrafił znaleźć w nim rozkoszy.

– Ministrze skarbu – podjęła słodkim tonem wielmożna Ki – czy to prawda, że wczoraj na twoje polecenie ministerstwo posłało do jednego z dostawców gońca ze znaczną sumą gotówki?

Baoxiang widział jedynie plecy pryncypała, lecz ściągnięte brwi usłyszał wyraźnie w jego głosie.

– O szlachetna, prowadząc swoje sprawy, Ministerstwo Skarbu uiszcza codziennie wiele podobnych opłat. To normalne.

– Płatność, o której mówię, miała trafić do rymarza, który dostarczył nam siodła. – Wielmożna Ki spojrzała ponad głowami zgromadzonych. – Podejdźcie – rozkazała.

W alejce na środku placu pojawił się cesarski kurier, w mundurze wciąż przykurzonym i pokrytym śladami końskiej piany. Za nim maszerował szereg eunuchów.

– Być może minister zdoła nas przekonać, że ta konkretna płatność rzeczywiście była jak najbardziej zwyczajna – dodała.

Całą scenę rozegrała tak, by wyrzucić na świadkach jak najsilniejszy efekt: niesione przez eunuchów worki były stosunkowo niewielkie, więc kiedy zrzucili je wszystkie u stóp ministra, sterta wydała się niezwykle wysoka. Ostatni z tragarzy rozwiązał sznurek i na plac posypał się deszcz taeli. Nad placem poniósł się charakterystyczny brzęk bijącego o kamień miękkiego kruszcu. Szczere złoto.

– Osobiście – zauważyła wielmożna Ki – jestem przeświadczona, że takiej sumie daleko do przeciętności. Złoto w tej ilości wystarczyłoby do nabycia niejednego królestwa. Lub nawet dwóch. Pomyśleć tylko, ile można za nią kupić siodła! Ale przecież nie na siodła była przeznaczona, czyż nie? – Zwróciła się do wielkiego chana, wyraźnie uradowana z przebiegu przedstawienia: – Wielki chanie, kuriera, którego tu widzisz, schwytano, gdy zmierzał na step, ku siedzibom tamtejszych szczepów. Fakt, że wiózł

taki ogrom złota, sprawia, że sytuacja jest jednoznaczna. Minister skarbu defraudował fundusze z cesarskiego skarbcza, żeby opłacić nimi przyszłe zdradzieckie działania swojego mocodawcy. Działania skierowane przeciwko tobie. – Uśmiechnęła się, z premedytacją przeciągając chwilę. – Czyż można było spodziewać się po wielkim radcy czegokolwiek innego niż rozbuchanej ambicji i pragnienia tronu?

Wielki chan zamienił się w chmurę burzową, zanim jeszcze wielmożna Ki umilkła. Nie musiała go długo przekonywać: każde słowo podsycalo obawy, jakie od dawna żywił wobec człowieka, na którym polegał i którego niezbywalność tak bardzo mu doskwierała. Faworyta znała go znakomicie.

Wielki radca otrząsnął się z szoku w imponującym tempie.

– Czcigodna pani posuwa się zbyt daleko! – rzucił ostro, patrząc na wielmożną Ki. – Mam nadzieję, że rozważyłaś konsekwencje, jakie pociągnie za sobą wysuwanie tak skrajnie oburzających, niedowiedzionych oskarżeń. To wszystko kłamstwa! Nie umiem stwierdzić, skąd się to złoto wzięło. Jestem jednak pewien, że nikt, nawet minister we własnej osobie, nie zdołałby wydobyć z cesarskiego skarbcza tak znacznej sumy, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi. Ministerialna buchalteria śledzi i rejestruje każdego wydawanego taela. Kradzież tej skali jest wykluczona – syknęła, przeszywając wielmożną Ki rozjuszonym, wyzywającym spojrzeniem. – Moja lojalność wobec wielkiego chana jest i zawsze była niepodważalna. Wypieram się tych zarzutów w całej rozciągłości. To bezpodstawne pomówienia najpodlejszego rodzaju!

– Bezpodstawne?! Jeżeli nie z cesarskiej kiesy, to z czyjego skarbcza wzięło się to bogactwo, które opłaciłoby niejedną armię? Wielki radco, w granicach całego imperium Wielkich Yuanów nie ma ani jednego na tyle zamożnego człowieka! Co do dowodów natomiast, owszem, masz rację. Ministerstwo Skarbu istotnie wie, dokąd trafiają wszystkie wydawane taele.

Na placu ponownie pojawili się eunuchowie. Tym razem dźwigali ciężkie księgi. Minister rozpoznał je i drgnął.

– Tak, ministrze. – Wielmożna Ki rzuciła mu z góry uroczy uśmiech. – Główne księgi rachunkowe Ministerstwa Skarbu. Czy uzyskam od ciebie zapewnienie, że ich zawartość stanowi rzeczywisty zapis stanu rzeczy, potwierdzony osobiście przez ciebie i wyłącznie ciebie?

– Nie mam nic do ukrycia – odparł staruszek z naciskiem, choć dopiero po przelotnej chwili wahania. – Te rejestry odsłonią prawdę.

– Nie inaczej.

Na plac wpadł pachnący śniegiem powiew, targając kartkami ksiąg, które eunuchowie rozłożyli szeregiem i otworzyli. Baoxiang uświadomił sobie nagle, że zrobiło mu się tak bardzo zimno, iż paradoksalnie poczuł się jak w płomieniach. Skąd tak dziwaczna reakcja ciała? Nie rozumiał. Właśnie do tego przecież dążył. Od samego początku wiedział, że jego plan doprowadzi do tej chwili.

– Muszę pochwalić twoją skrupulatność w prowadzeniu rachunków, ministrze – mówiła dalej wielmożna Ki. – Moi rachmistrzowie potrzebowali zaledwie kilku chwil, żeby stwierdzić, że stosowany przez ciebie system dostarcza odpowiednich dowodów. Ale proszę, przekonaj się sam.

Barki starego urzędnika wyraźnie stężały. Jednak zaraz potem ruszył energicznie naprzód, jak ściągnięty siłą magnesu padł na kolana przed księgami i zaczął przewracać kolejne stronicę.

– Zgodzisz się ministrze, że widać w tych liczbach wyraźnie schemat, wedle którego pewna część pieniędzy przeznaczonych na oficjalne zakupy trafiała do specjalnej rezerwy. Rezerwy, której ostatnia odnotowana wysokość, jak się okazuje, jest identyczna z kwotą znalezioną przy kurierze. – Wielmożna mówiła lekkim, niemal zaintrygowanym tonem. – Powiedz, od jak dawna wraz z wielkim radcą planowaliście obalić władzę mojego cesarskiego małżonka, wielkiego chana?

Pochylony nad rachunkami minister zastygł. Klęczał pokornie zgięty, jakby w prośbie o uznanie za niewinnego. To jednak było po prostu niemożliwe.

– Czy to twoja pieczęć, ministrze? – zapytał straszliwym głosem wielki chan.

Pytał o pieczęć, którą Baoxiang podstemplował wszystkie spreparowane przez siebie kopie głównych ksiąg rachunkowych imperium. Nawet gdyby minister nie wiedział, że to on pożyczył pieczęć, w tej chwili musiałby się domyślić, kto stoi za całą sprawą. Któż poza wiceministrem byłby zdolny stworzyć papierowy trop jednocześnie tworzący i kradnący tak wielkie sumy?

To także w kieszeni Baoxianga znajdowały się wszystkie niewydane dochody z majątku księcia Henanu. Wielmożna Ki miała rację: suma wystarczyłaby na niejedno królestwo. A z pewnością wystarczyła, by opłacić zniszczenie ostatniego prawdziwego obrońcy Wielkich Yuanów.

Wszyscy obecni wiedzieli, że wielki chan ma już wyrobioną opinię. Minister również rozumiał, że protesty byłyby bezcelowe.

– To moja pieczęć – odpowiedział starzec z godnością.

Oskarżonych nie trzeba było prowadzić na miejsce stracenia siłą. Obaj złożyli insygnia swoich urzędów w schludnych stosikach u stóp schodów – wielki radca zostawił miecz i pancerz, minister kapelusz i szatę – po czym bez oporu opuścili plac w eskorcie eunuchów.

Przechodząc obok Baoxianga, staruszek zatrzymał się na moment. Choć twarz miał w tej chwili bardziej pomarszczoną niż kiedykolwiek wcześniej, pozostawał głęboko spokojny. Baoxiang tymczasem poczuł ze złością, poirytowany, że nie chce spokoju. Potrzebował winy. Chciał usłyszeć, jak minister rozgłasza prawdę o uczynku zastępcy. Chciał zostać okrzyknięty człowiekiem, który nie tylko się tej podłości dopuścił, lecz także potrafił się z niej ucieszyć. Dlatego, że jestem najgorszy, pomyślał.

– Powinieneś być zaufać pierwszemu wrażeniu – rzucił okrutnie, czując, że prawda wyziera spod jego roli niczym pioruny błyskające pod powłoką czarnych chmur. – Trzeba było uwierzyć odrazie, jaką poczułeś na mój widok. Dlaczegoś ją odtrącił?

Rzeczywiście jestem tak zły, jak o mnie mówią. A ty uparłeś się, żeby nie wierzyć. Dlatego spotkał cię ten los. Popełniłeś błąd.

Ku jego niepomiernemu rozczarowaniu minister wcale nie zareagował gniewem. Na sędziwej twarzy majaczyła poważna emocja, którą Baoxiang powinien zapewne rozpoznać, lecz nie rozpoznawał.

– Nawet przez mgnienie nie wątpiłem, że jesteś zdolny osiągnąć wszystko, co zamierzysz, Wang Baoxiangu. Nie znam twojego ostatecznego celu. Mam jednak nadzieję, dla twojego własnego dobra, że kiedy go zrealizujesz, naprawdę okaże się tym, czego pragnąłeś.

Zostawił zastępcę wrzącego gniewem. Oczywiście, że się okaże. Wyobrażał sobie przecież moment triumfu bez końca, tak często, że wydawał się bardziej prawdziwy, naznaczony uczuciami bardziej czystymi niż jakiegokolwiek inne doświadczenie. Podniósł wzrok na chełpiącą się zwycięstwem wielmożną Ki. Nie wiedziała, że odpowiedni sznurek został już pociągnięty, że tkanina świata zaczęła się pruć. Nie rozumiała, że dzisiejszy triumf jest w istocie początkiem końca i że każdy krok, jaki odtąd poczyni, jedynie przybliży Baoxianga do tronu, do imperium rozpaczy i czerni, którego łaknął przez całe życie.

朱

Egzekucje, które odbyły się nazajutrz, były widowiskami publicznymi. Baoxiang zrezygnował z udziału. Siedział w ciemniejącym z wolna biurze do późna, wpatrując się w spoczywającą w szkatułce na biurku ministerialną pieczęć. Teraz należała do niego. Fakt, że praca ministerstwa nie zatrzymała się nawet na chwilę, przepełnił go niepokojem. Jak często musieli tu ministrów degradować – zdradzać, wymieniać – że stało się to elementem rutynowego działania? Korytarzem jakby nigdy nic przechadzały się pary urzędników, rozdzielonych szerokością

kapeluszy. Ktoś w pobliżu zaparzył świeży imbryk herbatki gryczanej. Służący wynosili z sąsiedniego gabinetu całe kosze papierów. Wszystko było nie tak, Baoxiang odczuwał to niczym irytujące drapanie w gardle. Uświadomił sobie, że spodziewał się, iż dzisiejszy dzień naznaczony będzie czymś specjalnym. Przyplływem zadowolenia, rozkoszy zwycięzcy z powodu narzucenia świata swojej woli. Osobista apokalipsa ministra okazała się jednak najwyżej drobną zmarszczką na wodzie, śladem po kamieniu, który ktoś wrzucił do ciemnego stawu. A zamiast satysfakcji zdumiony Baoxiang czuł jedynie skrajne przygnębienie.

Z ulicy dolatywał cichnący stukot bijących o siebie bambusowych kijów. Pusty, żaloszny dźwięk. W rzeczywistości był zaledwie sygnałem sprzedawcy smażonych ciastek, lecz pewna jego upiorna nuta dodatkowo pogłębiała posępny nastrój Baoxianga, popychając go w objęcia rozedrganej trwogi. W pewnej chwili stwierdził, że nie jest pewien, czy śpi, czy czuwa. Chwiał się na skraju czegoś, czego nie można było dostrzec, czegoś tak strasznego, że jego jaźń nawet we śnie mimowolnie się od tego odwracała...

Szarpany kolejnymi dreszczami Baoxiang poczuł wobec siebie szczególnego rodzaju zniecierpliwienie, które prędko urosło do poziomu gniewu. Czy była to ta sama niecierpliwłość, furia, z jaką Esen oglądał przejawy jego słabości? Nagle zrozumiał. Nie do końca wiedział, czym jest ten żaloszny wewnętrzny lęk, lecz nie mógł z nim żyć. Zapragnął wydrzeć go z siebie kawałek po kawałku. Przecież podobne uczucia nie miały odrobiny sensu. Wszystko potoczyło się gładko, wręcz idealnie. Wystarczyło, że okazał się równie nieuczciwy i niehonorowy, za jakiego od dawna uważał go świat, a postawił na swoim. Zbudował mocny fundament przyszłych osiągnięć. Powinien się czuć wspaniale.

Wygrzebał się z biura. Brzemienne śniegiem chmury bolały niczym oczy, które nie potrafią zapłakać. Oczy, których nie koi sen. Przygnębienie i gniew Baoxianga zaostrzały się wzajemnie, a wraz z nimi wzrastało rozpaczliwe pragnienie wytchnienia. Dotarł już niemal do celu, kiedy minął go zmierzający w przeciwną stronę



powóz. Wielmożna Ki. Jej chłodne, ukryte za zasłonką oczy zdawały się mówić: wiem, dokąd zmierzasz, i wiem, czego chcesz. Tak, pomyślał, tym razem się nie mylisz.

Trzeci książę stał otoczony zdobnymi meblami swojego salonu, bawiąc się trzymanym w rękę pucharem wina. Wokół snuła się ledwie wyczuwalna woń pachnidła wielmożnej Ki. Kiedy chłopak ujrzał wchodzącego Baoxianga, jego brodatą twarz przeciął szeroki uśmiech.

– Och, to chyba duch! Doszły mnie słuchy, że minister skarbu został stracony, a tymczasem widzę go tuż przed sobą.

Obsceniczna wesołość powitania na moment osadziła Baoxianga w miejscu. Ten dzieciak był po prostu szczęśliwy. A świeżo upieczony minister miał wrażenie, że szczęście nie może istnieć w tym samym świecie, co on. Z drugiej strony szczęście trzeciego księcia także nie było w pełni prawdziwe. Radował się, gdyż radowała się jego matka. Natchnęła syna własnym uniesieniem i zwycięstwem, jakby napełniała trunkiem szklaną wazę. Jeszcze niedawno siedziała w tym samym pokoju przepełniona zadowoleniem – satysfakcją identyczną z tą, którą powinien odczuwać Baoxiang, rzeczywisty autor jej sukcesu.

– Zaiste nastał dzień podwójnego szczęścia! – Nie zdołał ukryć drwiącej nuty w głosie. Nie był nawet pewien, czy chciał. Jego gniew był w tej chwili powodzią czerni, gotową lada moment przełamać wały. – Nie tylko wielmożna Ki doprowadziła do upadku wroga, ale świętując sukces, uraczyła syna wizytą.

Szpila nie przebiła tarczy dobrego nastroju chłopaka.

– Nigdy nie widziałem jej w tak wyśmienitym humorze. Słyszałeś? – Podszedł, osuszył kielich i odrzucił go na bok. Naczynie przetrwało upadek i potoczyło się po dywanie. – Poprosiła wielkiego chana, żeby zdrajcom zadano śmierć tysiąca cięć. – W białym błysku jego zębów było coś dziecięcego. Bezosobowy zachwyty okrucieństwem, taki sam, z jakim malcy wyrrywają skrzydła ważkom. – Chciała zobaczyć, jak ten, kto obnosił się po pałacu z taką dumą, kto tak butnie paradował w tej czarnej zbroi, zostaje

srowadzony na właściwe sobie miejsce. Powiedziała, że widowisko było bardziej nawet spektakularne, niż sobie wyobrażała. Kaci posiadają niezwykły talent, potrafią odkrawać niewielkie plasterki ciała, nie powodując zbyt obfitego krwawienia. Wielki radca wrzeszczał pół dnia, zanim w końcu omdlał. Egzekucja przypominała podobno pokaz mistrza kuchni filetującego rybę. Kto wie? Radca może jeszcze oddychać – dodał z uśmiechem. – Jeśli chcesz, możesz rzucić okiem, aczkolwiek w tym momencie zapewne niewiele z niego zostało.

W wypełniającej duszę Baoxianga czerni mignęła twarz – mógł to być krzyżący minister – lecz instynkt przykazał mu odwrócić wewnętrzne oko tak szybko i skutecznie, że nie został nawet powidok.

– Matka twierdzi, że teraz, kiedy nie ma już wielkiego radcy, przekaże stołeczną armię pod moje rozkazy.

Wielmożna Ki nie miała zamiaru tej armii używać. Wydmuszka stanowiska dla wydmuszki księcia.

– Ty, ministrze – dodał chłopak z uśmiechem – również awansowałeś, ale wychodzi na to, że wciąż jestem starszy rangą.

– Owszem – odparł Baoxiang jedwabistym od furii głosem. – Powinienem więc okazać świeżo wywyższonemu księciu stosowny szacunek. Wynoście się! – warknął na służących.

Młody arystokrata z przyjemnością obserwował rozbierającego się gościa, po czym poszedł za jego przykładem. Nawet pod nieobecność służby, stojąc nago pośrodku pokoju, można się było poczuć bezbronnym. Lecz skoro nie przeszkadzało to trzeciemu księciu, tym mniej przeszkadzało ministrowi.

Wszystkie łagodne uczucia już zniknęły, wessane przez szalejący w jego sercu czarny wir. Chłopak niecierpliwie pieścił się dłonią. Szerokie palce niemal w pełni przesłaniały erekcję.

– Zawsze jesteś taki spragniony – wycedził z rozkoszą.

Kiedy jednak ruszył naprzód, Baoxiang powstrzymał go na wyciągnięcie ręki. Namiętny żar skóry księcia wzbudził w nim dreszcz, który przebiegł skurczone, wiecznie zmarznięte ciało.

Poczuł ochotę, aby wbić palce w to sprężyste mięso, zatopić je i utoczyć krwi. Sprawić, by chłopak darł się tak samo, jak wydzierał się krojony minister.

– Tym razem zrób to, jak należy – powiedział przymilnie, gładząc otwartą dłonią sprężystą pierś.

Widząc rozkwitający na twarzy trzeciego księcia złośliwy uśmieszek, Baoxiang poczuł cień niepewności. Był w tej chwili równie bezbronny jak niemowlę; to była szczelina w jego pancerzu. Okrucieństwo arystokraty nagle się wyostrzyło. Moment był nieunikniony, lecz Baoxiang uświadomił sobie, że bał się go od początku: obawiał się bólu wiążącego się z tym aktem upokorzenia. Teraz jednak naprawdę tego pragnął. Żarliwie. Chciał nareszcie dobić do dna.

– Umiesz to, prawda? Pieprzyć? – Baoxiang delikatnie zawiesił głos. Włócznia zawisała w pełnej gotowości do zadania ciosu. – Chyba że jednak mnie nie chcesz?

Stali tak blisko siebie jak ludzie złączeni pchnięciem miecza. Lecz pomiędzy powierzchnią czarnych oczu trzeciego księcia a jego myślami pojawiła się nowa niewidzialna bariera. Chłopak czegoś się jednak nauczył. Nie był tak przejrzysty jak wcześniej.

– Może – ciągnął Baoxiang głosem równie śliskim jak skóra pokrywająca pulsujące członki – nie chcesz pieprzyć, tylko być pieprzony? O to chodzi? Zawsze tak chętnie opowiadasz, że jesteśmy odmienni. Ale kiedy jesteś sam, po ciemku, z ręką na fiucie, czy nie marzysz o tym, że ktoś cię pochyła i rżnie? W skrytości ducha jesteś tak spaczony, że marzysz o wstydzie, jaki temu towarzyszy. Myślisz, że zdołasz to wiecznie ukrywać? Nosisz to wypisane na całym ciele. Pewnego dnia wszyscy poznają prawdę. Zrozumieją, że jesteś taki sam jak ja.

Włócznia ugodziła celnie. Rumieniec rozlał się na twarzy trzeciego księcia błyskawicznie, jak po siarczystym policzku. W tej chwili już się nie uśmiechał. Niemniej ku zaskoczeniu ministra wybuch nie nastąpił natychmiast. W spojrzeniu chłopaka zagościła nieprzyjemna świadomość. Baoxiang z jakiegoś powodu raz po raz

zapominał, że księżę nie jest głupi. W początkowym okresie łatwo było nim manipulować. Zupełnie jakby miał w rękach nakręcaną zabawkę. Młodziak zdążył się jednak zmienić. Uczył się, dorastał, choć wciąż był jeszcze tylko duchem mężczyzny, jakim mógł się stać w przyszłości.

– Nie spodziewałem się, że porozmawiamy ze sobą otwarcie. Skoro jednak dałeś mi sposobność... – Okrutnie wykrzywiona górna warga księcia była jaśniejsza od dolnej. Zarost nie okalał całych ust, po bokach zostały wolne od włosów obszary wielkości kciuka. Miękkie połączenie odsłoniętej skóry, które gdyby chodziło o innego człowieka, nosiłyby ślady śmiechu. – Wtedy w Hichetu poznałem twojego brata – dodał półgłosem. – Czy to nie ciekawy przypadek, że z wyglądu jestem do niego tak bardzo podobny?

Baoxiang zachwiał się i w tej samej chwili księżę chwycił go za przegub, obrócił gwałtownym szarpnięciem i pchnął twarzą na dywan. Minister krzyknął raz i za chwilę ponownie, gdy młody arystokrata splunął sobie na dłoń i wbił się w niego. Być może nigdy wcześniej tego nie robił, lecz potrafił posługiwać się swoim ciałem jak bronią; jakby to przemoc stanowiła jego najprawdziwsze dziedzictwo. Wdzierał się w Baoxianga rwanymi pchnięciami, które okazały się dokładnie tak bolesne jak w wyobraźni. Trzeci okrzyk zdusił. Chłopak ułożył się na nim całym ciężarem, po czym przytknął mu wargi do ucha.

– Kochałeś go? Chciałeś, żeby ci to zrobił?

Wściekłość pochłaniała Baoxianga bez reszty. Cieszył się nią, tą chciwą furią, która postawiła wszystkie jego końcówki nerwowe w stan wyższej gotowości. Właśnie po taki ból, upokorzenie i hańbę tu przyszedł. Nie tego chciał od Esena – nigdy nie spojrzał na brata pożądliwie – lecz chciał mu to dać. Dla Esena chciał zostać zerznięty, poniżony tak bardzo, jak to możliwe, nieodwracalnie. Taki miał być jego dar dla doskonałego, świętoszkowatego, zakochanego w cesarstwie brata hipokryty i pragnął tego całym sercem.

Uderzał biodrami o podłogę. Kolana trzeciego księcia wbijały się pod jego własne jak w wygodne gniazda. Ich ciała ocierały się

i sklejały. Dla chłopaka pozycja musiała być równie niewygodna. Przy każdym pchnięciu Baoxiang głośno charczał. Ciało cierpiało dzikimi paroksyzmami. Rżnięcie sięgało głębi jego czarnej, obrzydliwej duszy i wiedział, że jeśli tylko zdoła ją w tym mroku odnaleźć, to zaczerpnie z tego bólu przyjemność.

Gdzieś wewnątrz musiało być to, po co przyszedł – złośliwa satysfakcja, perwersyjna, spaczona rozkosz świadomości, że już niebawem pogrąży cały świat w koszmarze własnego bólu i cierpienia. Szukał tej rozkoszy po omacku, wyciągał ku niej dłonie w ciemności. Wyczuwał ją koniuszkami palców; była śliska, ulotna, groziła przemianą w nieszczęście. I wreszcie ostatnim monumentalnym wysiłkiem pochwyił ją. Drżąc z ulgi, że to, czego chciał, nareszcie stało się przyjemne, a jednocześnie rozpaczliwe jak groza.

Z jego ciasno przyciśniętej do dywanu twarzy ciekła woda. Jakie znaczenie miało to, czego chciał kiedyś od Esena? Teraz miał to. Dokładnie to, czego pragnął, a kiedy dopełni się reszta, będzie równie przyjemna jak to. Będzie warto.

朱

Powóz wielmożnej Ki czekał na skalistej wyspie u stóp Księżycowego Pałacu. Pagoda strzelała w ciemność na środku zamarzniętego czarnego jeziora, spośród pajęczej sieci marmurowych mostków. W lustrzanych mozaikach mieniło się i mnożyło światło latarni, których sznury ciągnęły się wzdłuż balkonów wieży: tysiąc nowych gwiazd na bezgwiezdnym niebie.

Wielmożna Ki klęczała w kaplicy na parterze przed sięgającym sufitu, pozłacanym Buddą. Tak zastał ją wchodzący Baoxiang. Fałdy szkarłatnego płaszcza oplatały ją niczym zastygłe kaskady wodospadu. Mimo zimna czekała na niego przez cały czas, który spędził u trzeciego księcia. Wiedziała, że po wyjściu przyjdzie właśnie tutaj. Trudno było uwierzyć, że niektórzy naprawdę

kupowali jej grę – rolę delikatnego kwiatu. Jeżeli o sile woli człowieka świadczy to, jak daleko zaszedł, droga, jaką przebyła wielmożna Ki od przesłanego w daninie towaru po jedną z małżonek wielkiego chana, wskazywała na determinację przewyższającą nawet Baoxianga.

Uklęknął obok niej i sięgnął po wręczone przez świątynną służkę kadzidelka. Kiedy po trzykroć uniósł je ku górze i trzykrotnie się uklonił, poczuł w sobie pulsowanie równie silne, jakby księżę przyszedł tu wraz z nim.

– Modlisz się za poprzedniego ministra? – spytała wielmożna Ki, kiedy dziewczyna odeszła. – Na twoim miejscu postępowałabym bardzo rozważnie. Czczenie pamięci zdrajcy może skłaniać do podejrzeń o brak lojalności.

Zastanowił się, czy wielmożna wie, że to on wrobił ministra, czy sądziła, że po prostu poinformował ją o cudzym spisku. Nie umiał stwierdzić.

– Siła mojej lojalności, jeśli już kogoś nią obdarzę, mogłaby zaskoczyć każdego, kto uważa pewne jej przejawy za niegodne.

Zerknęła na niego z ukosa. Dziwnie było zobaczyć ją z tak niewielkiej odległości. Dotąd oglądał ją jedynie z dołu, jakby była posągiem. Szkarłatny kaptur skrywał chłodny owal twarzy i zaróżowiony na zimnie nos. Wargi miała cienkie i wdzięcznie zakreślone; szyję godną łabędzia. Pod względem rysów i budowy trzeci księżę szedł w ślady ojca. Może właśnie to podobieństwo podsycalo nienawiść chana. Widział w chłopaku kopię młodego siebie, identyczną z wyjątkiem jednej kluczowej sprawy, i z czasem ta właśnie różnica stała się jedynym, co potrafił dostrzec.

– Nie oceń mnie błędnie, ministrze. Gdybym była władna sprawić, żeby serce mojego syna dostrzegło prawdę, żeby spojrział na ciebie z odrazą i odrzucił twoje towarzystwo jako niegodne każdego mężczyzny, a co dopiero spadkobiercy tronu Wielkich Yuanów, tak właśnie bym postąpiła. Ale – dodała zbolalym głosem – okazuje się, że takiej mocy nie posiada nawet matka.

Ostatnie słowa obnażyły ją niczym owoc obrany ze skórki.

Ona go kocha, stwierdził w duchu zaskoczony minister.

Przypomniawszy sobie wszystkie chwile, kiedy wielmożna odtrącała trzeciego księcia, by obdarzyć afektami wielkiego chana, i nagle zmienił perspektywę. Podobnie jak inni, zakładał dotąd, że faworyta chroni syna wyłącznie dlatego, że widzi w nim drabinę ku władzy. Może jednak... Może chroniła go, ponieważ był jej dzieckiem. Może jako samotna cudzoziemka na dworze cesarstwa, które zwasalizowało jej ojczyznę, musiała chronić swojego wybrakowanego, bezbronniego syna w jedyny dostępny sobie sposób: pielęgnując łaskę wielkiego chana. Może bała się pokazać własną miłość na zewnątrz, ponieważ zdawała sobie sprawę, że gdyby tak postąpiła, ktoś wykorzystałby to uczucie przeciw niej.

W piersi Baoxianga rozszedł się ból: lodowaty sztylet przeszył mu serce i kroił je za każdym razem, kiedy ważyło się uderzyć. Wielmożna Ki mogła kochać. Tylko jaką różnicę czyniło to trzeciemu księciu? Taki sam smutek przepełniał go, kiedy brak matczynej miłości był jedynie wyobrażony, jak gdyby był prawdziwy. Relacja między dwojgiem ludzi może istnieć jedynie wówczas, gdy oboje wierzą, że jest rzeczywista. Nie ma czegoś takiego jak jednostronna więź. Nie ma samotnej miłości.

– Wczoraj, kiedy syn przekazał mi wieści na temat poprzedniego ministra, poczułam się zaskoczona. – Moment szczerości przeminął. – Nie byłam pewna, czy powinnam ufać jej źródłu. Ostatecznie jednak wiele dzięki temu zyskałam. – W jej głosie nie było nawet odrobiny ciepła. – Wygląda na to, że znajomość mojego syna, którą dotąd uważałam za niekorzystną, może się jednak okazać pożyteczna.

Baoxiang nie potrzebował ciepła. Potrafił też znieść nieskrywaną pogardę. Był równie zimny jak faworyta wielkiego chana. Chciał jedynie, by wciąż uważała go za przydatne narzędzie.

– Pozostań wobec nas lojalny, ministrze – wielmożna Ki podniosła się z klęczek – a wynagrodzę cię jako cesarzowa – dodała i wyszła.

Baoxiang nie wstał. Wciąż pulsował. Teraz, kiedy śmierć wielkiego radcy obnażyła słabość cesarzowej, wielmożna zechce pozbyć się rywalki. Nie mogła wymazać z synowskiego serca dewiacji, lecz wiedziała, że jeśli dopilnuje, by chłopak stał się jedynym męskim kandydatem do tronu, mandat musi do niego trafić. Potomkowie Kubilaj-chana wchodzili w posiadanie mandatu jeden po drugim od dnia powstania Cesarstwa Wielkich Yuanów. Inna możliwość po prostu nie istniała.

Baoxiang przez chwilę znów czuł na sobie rozedrgane ciało trzeciego księcia. Na sobie i w środku. Nie jedynie ciało, lecz inną bezbronną ludzką duszę, spętaną własnymi kajdanami niepewności i pragnień, uczuć zawsze prowadzących ku cierpieniu.

Odepchnął od siebie tę myśl. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat ten aspekt dzisiejszego spotkania tak bardzo utkwił mu w pamięci. Poszedł tam przecież po ból i poniżenie, po osobistą ruinę, mające przekształcić go w czarną postać, która doprowadzi do ostatecznego końca. Ponieważ to nie Baoxiang był przydatnym narzędziem chłopaka i jego matki. Było dokładnie na odwrót.

Podniósł się z kolan i wyszedł.





## Yingtian

**M**ogę zrozumieć, że Chen Youliang poprosił panią Zhang o pomoc w budowie floty. Ale dlaczego się zgodziła? – Ma spojrzała pytająco na Zhu, leżącą obok w łóżku. Zhu wróciła tylko na jedną noc, sprowadziła wojsko z powrotem do Yingtianu, żeby żołnierze odpoczęli i uzupełnili pod kierunkiem Xu Da zaopatrzenie. Sama zamierzała jak najszybciej wyruszyć do Qingyuanu, pirackiej bazy Fang Guozhena, i zdobyć tam okręty dla siebie. Nie był to zwycięski powrót, o jakim w cichości ducha marzyła Ma. Myśl o tym, co Chen zrobił mieszkańcom Nanchangu, przyprawiała ją o mdłości. Jeszcze gorsza była myśl o Zhu stojącej do otwartej walki z Chenem. – Wydawałoby się, że pani Zhang będzie ostatnią osobą skłoną dokarmiać głodującego tygrysa, nawet jeśli bestia obiecała, że jej nie pożre. A poza tym nie wiedziała przecież, że straci generała Zhanga i zostanie zamknięta w oblężeniu. Czemu uznała, że będzie kiedykolwiek potrzebować pomocy Chena? Coś tu nie gra. Nie masz wrażenia, że tu się dzieje coś zupełnie innego?

Pod narzutą było ciepło i bezpiecznie. Stykały się głowami podpartymi o kwadratową poduszkę. Zhu pachniała inaczej, jak po każdej podróży, lecz jej swojska obecność sprawiła, że całe ciało Ma

oddalo się odprężeniu. Wspólny wypad do Bianliangu nie podobał jej się zupełnie, lecz rola tej, która zawsze zostaje w domu i zamartwia się na śmierć, była niemal jeszcze bardziej przykra.

– Myślę, że masz rację. Czegoś wciąż nie dostrzegamy. – Zhu zapatrzyła się w otaczające posłanie zasłony i ściągnęła brwi. – Ale jeśli nawet tak jest i w tej grze uczestniczy ktoś inny, czy warto się nim przejmować? Ten ktoś z pewnością nie posiada dostatecznie silnej armii. A czym może zagrozić mi przeciwnik bez wojska? Ja mam przecież aż dwie!

Wiadomość o przywróceniu Ouyangowi dowództwa stanowiła dla Ma nieprzyjemną niespodziankę. Jej zdaniem istniała poważna różnica pomiędzy prostą wspólnotą celu a zaufaniem niezbędnym do zbudowania rzeczywistej współpracy. Jak dotąd gambit Zhu okazał się opłacalny, ale...

– Czy naprawdę warto tak bardzo uzależniać się od generała Ouyanga? – spytała Ma.

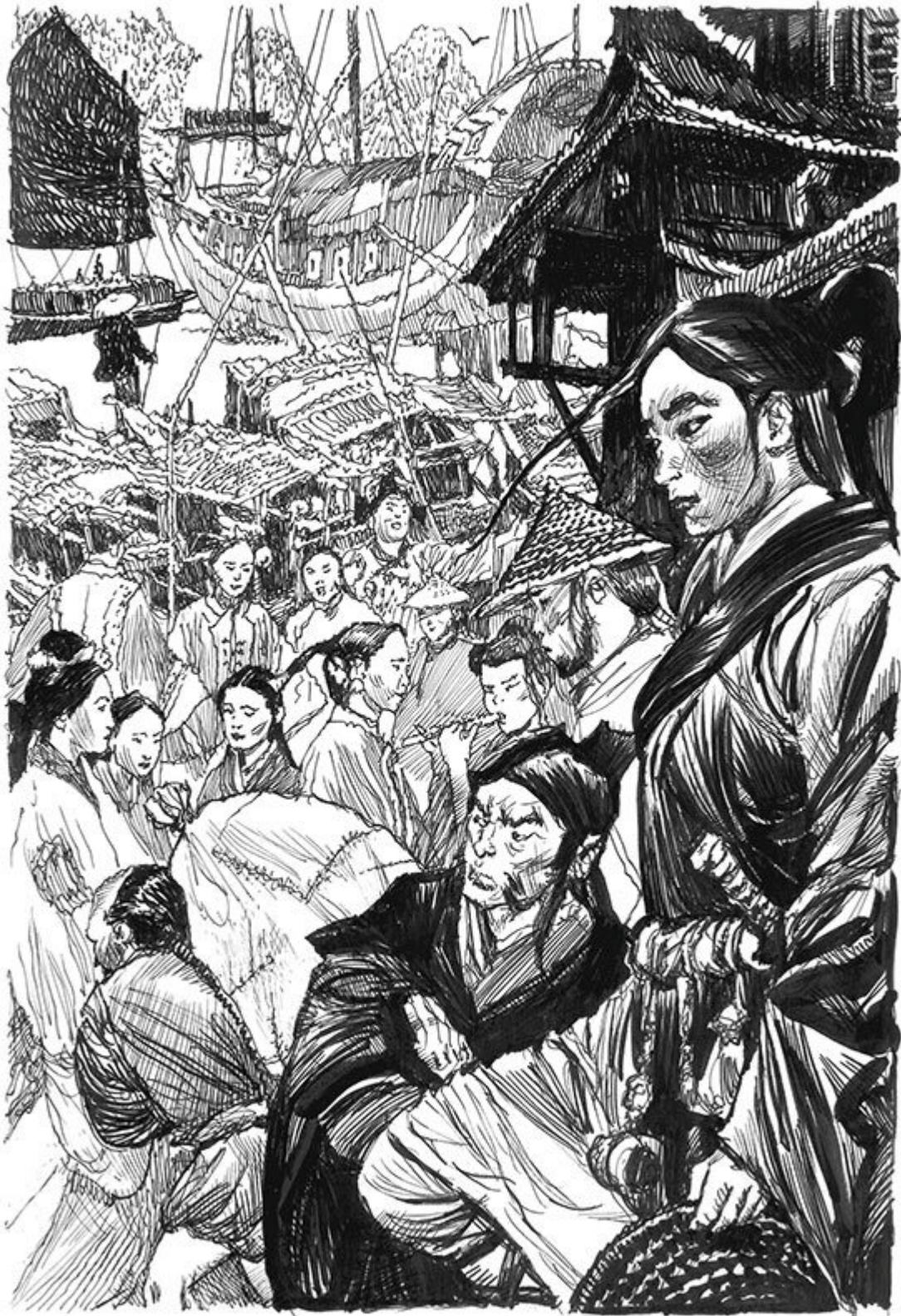
– Ty go chyba naprawdę nie znosisz, co? – odparła z cierpkim uśmiechem Zhu. – Powiem tak: gdybyś szukała człowieka, z którym przyjemnie spędza się czas i dowcipkuje, zgoda, powinnaś szukać dalej. Niemniej w dziedzinie zabijania? Gdyby zajął w tej konkurencji drugie miejsce, czy ktokolwiek ważyłby się sięgnąć po pierwsze? Jest bardzo przydatny. A poza tym nie martw się. Potrafię trzymać go w ryzach. Rozumiem go. Koniec końców jesteśmy do siebie podobni.

Ma przypomniała sobie Ouyanga z celi. Stał na środku pomieszczenia sam jeden, ubrany w białą bieliznę, z czarnymi od nienawiści oczyma, na które spływały skołtunione włosy. Wyglądał jak duch. Mimo że dopuścił się czynu, który sam uważał za najgorszy postępek na świecie, wcale tego nie żałował. Był człowiekiem w pełni gotowym uczynić wszystko, byle osiągnąć swój cel, bez względu na sympatie, moralność tudzież najzwyczajniejszy fakt istnienia więzi międzyludzkich. Zrobił to, ponieważ wierzył, że w ostatecznym rozrachunku będzie warto, bez względu na ból, jakiego po drodze przysporzy sobie i innym.

– Tylko proszę, nie bądźcie zbyt podobni – rzuciła Ma, czując na plecach zimny dreszcz.

## **Qingyuan**

Morze w Qingyuanie było brązowe i płaskie jak rzeka. Jak okiem sięgnąć wyrastały z niego przypominające smoczy grzbiet łańcuchy wysepek, rozsianych tak gęsto, iż zdawało się, że skacząc z jednej na drugą, dałoby się pokonać cały archipelag suchą nogą. Główna siedziba Fang Guozhena, położona na północnym skraju usianego zatokami wybrzeża, ciągnącego się aż po magazyny soli w Taizhou, była portem tyleż tajemniczym, co gęsto zaludnionym. Stanowiła bezpieczny azyl dla statków i stateczków, wypełniających wszystkie jej możliwe zakamarki, migocących na morskich falach niczym barwne festiwalowe latawce.



– Pomyśl tylko, skoro kamień, który uczyni coś dobrego, może w następnym wcieleniu odrodzić się jako człowiek, to zły człowiek

może powrócić pod postacią nieożywionego przedmiotu – zauważyła Zhu, wpatrując się w cumujące na płyciźnie okręty. Statki odpowiadały jej intensywnymi, niezbyt sympatycznymi spojrzeniami wymalowanych na dziobach oczu, tchnących obietnicą mordy i grabieży. – Czy te okręty wożą ludzi, czy się nimi karmią?

– Trzy maszty, dwa pokłady, ładownia poniżej linii wody, stabilizująca stępka – wyliczył Jiao. – Klasyczny typ pirackiej jednostki. Statki budowane z myślą o błyskawicznym ataku i równie szybkiej ucieczce. Nie pomogą przewieźć ciężkiej artylerii, nie przydadzą się też w bezpośrednim starciu z okrętami wojennymi Chen Youlianga.

Wedle informacji, jakie napłynęły z utraconego Nanchangu, dwupiętrowe okręty Chena przerastały standardowe rzeczne jednostki, tak jak on sam górował nad przeciętnymi ludźmi. A działa jego flagowej jednostki rozłupały mury Nanchangu równie łatwo, jak tłuczek kruszy w móżdżerzu ziarna pieprzu.

– I co z tego? – odparł buńczucznie Yuchun. – Większy wcale nie znaczy lepszy. Mając statki nieduże i zwrotne, możemy obmyślić strategię, która uczyni z tych cech zalety.

Yuchun, wyższy od Zhu jedynie o szerokość dłoni i podobnie przy tym kościsty, szczyił się opinią jednego z najszybszych żołnierzy na dowolnym polu bitwy. Ponieważ Xu Da pozostał w Yingtianie, by doglądać zaopatrzenia armii, Yuchun uznał za swój obowiązek pojechać wraz z Zhu, Jiao, Ouyangiem i jego dwoma komendantami.

– Może umknął ci błysk w oku eunucha, kiedy usłyszał, że wycofasz się spod Pingjiangu, ale ja widziałem wyraźnie – powiedział przed wyjazdem. – Ktoś musi przy tobie być, na wypadek gdyby Ouyangowi odbiło na dobre. A jakoś sobie nie wyobrażam, żeby w razie czego Jiao osłonił cię własną pierśią. Zostaję więc ja.

To prawda, że cierpienie Ouyanga narastało i zbierało się w nim bez przerwy, zupełnie jak krew wypełniająca otwór po wyrwanym zębie. Prawdą również było, że im bardziej dotkliwy dręczył go ból, tym większą Ouyang wykazywał skłonność do porzucania rozsądku

i kierowania się podszeptami instynktu. Oba te wnioski rzeczywiście mogły niepokoić. Jednak Zhu potrafiła łagodzić ból generała, co powtarzała sobie w duchu z niemalą przyjemnością. Umiała nad Ouyangiem zapanować.

Pierwszy raz, kiedy go ugryzła, był wielce satysfakcjonujący, lecz szybko okazało się, że mocno przesadziła. Dłoń generała napuchła niczym przepełniony pęcherz i pozostała w tym stanie przez wiele dni. Nie można było jej ukryć, a tłumaczenie przyczyn opuchlizny wprawiało w niemałe zakłopotanie. Od tamtej pory Zhu się hamowała. Teraz, zapatrzony w morskie fale, z malującą się na czole zadumą, Ouyang musiał wszystkim zdawać się równie nietykalny jak dawniej. Jedyne ona wiedziała, że jego rękawy skrywają siateczkę pozostawionych przez nią blizn. Tylko ona miała pojęcie, jak wygląda generał, kiedy jego doskonałe, nefrytowe oblicze pokrywają krople najzwyklejszej ludzkiej krwi, i jedynie ona wiedziała, jak brzmi jego głos, kiedy poddawał się fizycznemu cierpieniu.

A cierpieć musiał naprawdę. Fakt, że Ouyang łaknął bólu, nie oznaczał, że bolało go mniej. Zadawała mu cierpienie tak potężne, że przeciętny człowiek za nic nie przysporzyłby takiego znajomej osobie nawet pod wpływem błagań. Z tym że przeciętny człowiek nie zrozumiałby też, jak ogromną oboje czerpali z tego przyjemność. Każda bolesna drgawka Ouyanga stanowiła fizyczny wyraz łączącej ich więzi, wzajemnego pragnienia, wspólnego ciężenia ku przyszłości. Pędu gnającego ich tam, gdzie oboje mieli znaleźć swój koniec, dokładnie tak jak było im pisane.

– Komendancie Chang, jeżeli posiadasz jakąkolwiek skrywaną dotąd wiedzę na temat metod walki na wodzie – mówił właśnie Jiao – powinieneś jak najszybciej się nią z nami podzielić. Samo użycie pojęcia „strategia” w zdaniu może nie wystarczyć. To zresztą intrygujące – dodał z nutą nieufności – że Fang Guozhen nie sprzymierzył się jeszcze ani z Yuanami, ani z żadnym ich wrogiem. Nie sądzę, żebyśmy byli pierwszymi, którzy chcą z nim rozmawiać.

– Na szczęście dla nas, mam wielki dar przekonywania – odparła chłodno Zhu. Sceptycyzm inżyniera dobitnie przypomniał jej o pierwszej sytuacji, w której ogarnęło go zwątpienie, w Bianliangu, tuż przed pierwszą konfrontacją z Ouyangiem. Wspomnienie nie należało do nieprzyjemnych. Ostatecznie wówczas wyszła ze starcia zwycięsko.

Qingyuan mimo swojej złej sławy był gęsto zaludnionym miasteczkiem. Był też, co Zhu odnotowała z rozbawieniem, a Ouyang z ewidentnym niesmakiem, miejscem, w którym kobiet było niemal tyle, co w żeńskim klasztorze. Od sklepikarzy po uliczników, od kupców po tragarzy i przechadzających się uliczkami piratów o mocnych, pomarszczonych twarzach i zgrubiałych od szorstkich lin dłoniach: osiem na dziesięć osób mieszkających w Qingyuanie było kobietami. Co więcej, Zhu nie była do końca pewna płci pozostałych dwudziestu procent ludności.

– Patrzcie go, zrobił sobie harem z całego miasta! – skomentował Yuchun z podziwem. – A ja marnuję młodość w obozach pełnych cuchnących mężczyzn.

– Tak z ciekawości, wolałbyś mieć harem czy do niego wstąpić? – spytała Zhu. – Na drugą ewentualność jesteś zbyt mało urodziwy. Co do pierwszej, wspominam o tym niechętnie, ale najlepszym sposobem na dołączenie do grona posiadaczy haremów, czyli na przykład osiągnięcie pozycji króla, jest spędzanie mnóstwa czasu w obozach pełnych cuchnących mężczyzn.

– Nie bądź taki do przodu. Wszyscy wiedzą, że Ma Xiuying ucięłaby ci jaja, gdybyś wziął sobie drugą żonę – rzucił złośliwie Yuchun.

Zhu skonstatowała, że chłopak ma rację; jeśli nie pod względem anatomii, to przynajmniej w duchu wypowiedzi.

Kiedy dotarli do zajazdu, nakłoniła najbliższego stojącego niezajętego niczym członka grupy – Chu, bardziej korpulentnego i porośniętego bujniejszym zarostem z dwu komendantów Ouyanga – by wybrał się do rezydencji Fang Guozhena i zaniósł list intencyjny. Następnie w akompaniamencie dolatujących z zewnątrz

skrzypnięć olinowania i nawoływań morskich ptaków, ścigana wonią latryny bijącą z kanału ściekowego, wypróżniającego się nieopodal prosto w morskie fale, zbiegła po schodach do jadalni.

Sala dosłownie pękała w szwach, lecz kiedy Zhu dołączyła do towarzyszy, z niejakim zaskoczeniem zauważyła, że stanowią wśród gości jedną grupę. Poza nimi były tu wyłącznie kobiety – o nieco mniej sfatygowanych twarzach niż oblicza mijanych na ulicach piratek – co więcej, podróżujące, jak się zdawało, w pojedynkę. Zamiast spódnic czy sukienek nosiły spodnie i proste, krótkie bluzy. Jadły w milczeniu.

– Widzę, że przybytek czcigodnego wujaszka gości licznych pielgrzymów – stwierdziła Zhu, gdy właściciel podszedł do stołu, niosąc sprężyste kluski ze słodkich ziemniaków, uzupełnione kawałkami wieprzowiny, posypką z zielonej cebulki i słodkim sosem z fasoli. – Czy celem wszystkich jest góra Putuo?

Putuo, jedna z czterech świętych gór buddyźmu, wznosiła się na pobliskiej wyspie. Mniej więcej co drugi z odwiedzających klasztor Wuhuang mnichów dysponował zajmującą opowieścią o tym, że cudem tylko uniknął śmierci wskutek skręcenia karku, kiedy przez nieostrożność tragarzy wypadł z lektyki na którymś ze świętych szczytów. Zhu, która na własnych nogach pokonała tyle klasztornych stopni, dźwigając przy tym wiadra, jakby wspięła się na kilkaset gór, niespecjalnie im współczuła.

– Pytasz o te kobiety? – Gospodarz z hukiem ustawił miski na blacie, tak zamasyście, że kluski aż podskoczyły. (Zhu doszła do wniosku, że człowiek ten jest zdecydowanie mężczyzną, aczkolwiek niewykluczone, że takim jak ona. Wyczuła to w specyficznym brzmieniu jego głosu. Siedzący naprzeciwko Ouyang wydał ze wzgardą usta). – One nie pielgrzymują. Przybyły tu na turniej. A wy nie jesteście pielgrzymami?

Założenie było sensowne. Ponieważ Zhu nie chciała, by po świecie rozeszła się wieść, że Świetlisty Król planuje zawiązać sojusz z Fang Guozhenem, wszyscy członkowie grupy ubrali się jeszcze bardziej zgrzebnie niż posilające się wokół kobiety.



– Fang Guozhen – pospieszył z wyjaśnieniami karczmarz – co roku w dzień swoich urodzin organizuje huczne obchody. Najważniejszym punktem dnia jest turniej dla kobiet chcących na przyszły rok zaciągnąć się na jego statki. Wybiera jedynie te, które dobrze się spiszą. Natomiast nagrodą główną jest możliwość skierowania do niego prośby. Zwycięzcy może poprosić o cokolwiek, pod warunkiem, że Fang jest w stanie spełnić daną prośbę. Biorąc pod uwagę jego władzę i wpływy, to wspaniała nagroda. Rywalizują o nią kobiety z najdalszych stron.

– A co to może być za turniej, skoro same baby się tłuką – parsknął śmiechem Yuchun.

– Mógłbyś się zdziwić, młodzieńcze. Poświęć nieco czasu przed dalszą drogą, a sam się przekonasz. Ich talenty naprawdę potrafią zaskoczyć.

– W tych czasach kobiety spotyka się w bardzo różnych miejscach, nawet tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa – zauważył Jiao, po czym uśmiechnął się lekko na widok karcącego spojrzenia Zhu.

– Uprzedzę tylko, żebyście ich nie zaczepiali, bo wtedy mogą zaprezentować swoje umiejętności na was. W zeszłym roku pewien mój gość zginął tylko dlatego, że dotknął jednej takiej bez pozwolenia. Naturalnie jeżeli to one zaczną nagabywać was... cóż, będziecie mogli mówić o szczęściu – zachichotał gospodarz.

– Ponieważ mamy w swoim gronie mężczyznę starego, mężczyznę brzydkiego, mężczyznę do tego stopnia nudnego, że po drodze zgubiliśmy go pewnie ze dwa razy i nawet nie zauważyliśmy – Yuchun miał zapewne na myśli Genga, drugiego z oficerów Ouyanga – i kogoś, kto nawet mężczyzną nie jest, uważam, że mam spore szanse. No co? – dodał, widząc morderczy wzrok Ouyanga. – Nie wolno obrażać się za fakty.

– A byłeś kiedyś takim brzydkim dzieciakiem... – wspomniała z rozrzewnieniem Zhu. – Muskulatura i ego rozrosły ci się od tamtych czasów niezmiernie. Mam tylko nadzieję, że twoja sekretna

broń dotrzymuje im kroku. W przeciwnym razie tutejsze damy mogą się rozczarować.

W drzwiach zajazdu pojawił się Chu. Wszedł i wręczył Zhu liścik z odpowiedzią Fanga.

Zhu otworzyła kopertę, nie umknęło jej, że nie jako pierwsza. Przeczytała, po czym odłożyła kartkę na bok, skupiając się na problemie poważniejszym i bardziej bezpośrednim.

– Co napisał? – Yuchun nie zwrócił uwagi na jej reakcję.

Zhu schowała list do kieszeni, starając się nie pokazać po sobie niepokoju.

– To, czego się spodziewałem. Chce się spotkać i wysłuchać propozycji. W tym momencie niczego więcej nam nie trzeba.

Teoretycznie nie skłamała. Poza tym nie przybyła tu, spodziewając się, że Fang powita ją z otwartymi ramionami. Niemniej oczekiwała, że przyjmie ją od razu, z honorami należnymi głowie jednego z ważniejszych państw regionu. Zamiast tego otrzymała bezczelną sugestię spotkania za kilka dni, wskazującą, że jest dla pirackiego herszta mniej ważna niż imprezy urodzinowe. A to z kolei oznaczało, że nie będzie z nią rozmawiać z nastawieniem sprzyjającym porozumieniu – na co liczyła – lecz wręcz przeciwnie.

Czuła na sobie nieodgadnione spojrzenie siedzącego po drugiej stronie stołu Chu. Przeczytał ten list, pomyślała. Wie, jak niepomyślnie brzmi odpowiedź. Obserwował ją również Jiao, ze zdecydowanie mniej nieodgadnioną miną. Przyglądał jej się z niczym niezmaconym poczuciem wyższości. „Mam nadzieję, że znajdziesz dla niego lepszą zachętę”.

Mimo że wyzwanie okazało się poważniejsze, niż przewidywała, butnie stwierdziła w duchu, że nie zawiedzie. Nie mogła przecież zawieść. Wykluczone. Zbyt mocno pragnęła zwyciężyć.

– Starszy komendant Chu widział list od Fang Guozhena – stwierdził Geng. Bambusowe żaluzje w oknach pustawego pokoju Ouyanga grzechotały w lodowatym wietrze. W Qingyuanie nie spadł jeszcze śnieg, nie było jasne, czy kiedykolwiek tu pada, a gładka brązowa tafla morza ciągnęła się po horyzont, rozjaśniana szumiącą na powierzchni pianą. – Treść jest, mówiąc wprost, zniewagą. Pirat nie ma zamiaru zawierać przymierza z Zhu Yuanzhangiem.

Ouyang zadał sobie w duchu pytanie, czy mógłby na tej spienionej, świetlistej tafli stanąć. Może jednak by utonął. Przez całą drogę z Yingtianu nie mieli okazji spotkać się z Zhu na osobności, przez co ból generała był w tej chwili wypełniającą go od środka, stale puchnącą chmurą. Bał się, że eksploduje. Jeszcze tylko trochę, przykazał sobie. Wytrzymaj.

– Słuchasz mnie? Zhu Yuanzhang nie ma floty ani szansy na jej zdobycie. Chen Youliang go zmiażdży. Obiecałeś, że kiedy chłopak przestanie gwarantować zwycięstwo, ruszymy własną drogą.

Nie potrafił oderwać myśli od Zhu, przepełniającego go tym innym rodzajem bólu. Bólu stanowiącego doznanie czysto cielesne. Bólu litościwego. Bólu odzierającego ze wszystkiego, co nieznośne, ze wszystkich udręk umysłu i pamięci, pozostawiającego jedynie bezcielesny rdzeń jaźni, zawieszony w uldze doskonałego, palącego, nieważkiego cierpienia. Dlaczego Geng nie może się po prostu zamknąć i wyjść? Łaknienie dręczące generała było ostrzejsze od najgorszego głodu. Chciał w tej chwili jedynie, by odwiedził go Zhu. By przyszedł i obdarzył go zbawienną ulgą.

– A może zapomniałeś, po co to w ogóle robisz? – rzucił Geng.

Generał poczuł się jak spoliczkowany, pytanie odniosło zamierzony skutek.

– Zapomniałem? – warknął Ouyang.

Postawienie tamy nagłej fali wspomnień wymagało kolosalnego wysiłku. Fali niosącej ze sobą wszystko, czego nie mógł zapomnieć. Nawet po śmierci będę o tym pamiętać, pomyślał wściekle.

Geng, na którym ostry ton generała nie wywarł najmniejszego wrażenia, po prostu czekał. Wódz nie powinien tłumaczyć się

ludziom, których rolą powinno być ślepe wykonywanie rozkazów, lecz ponieważ komendant wciąż nie wykazywał ochoty do wyjścia, Ouyang się odezwał:

– Fang Guozhen zmieni zdanie. Musi po prostu usłyszeć propozycję. Zhu Yuanzhang posiada dar... – urwał, poszukując właściwego słowa – przekonywania – dokończył ogarnięty nieprzyjemnym przecuciem.

– Zhu Yuanzhang – odparł Geng, zdobywając się na sztuczną cierpliwość – nie ma nic do zaoferowania.

– Coś wymyśli. Uda się. Zawsze się udaje. Jemu. – Gdyby to zdanie nie było prawdziwe, nie zostawiłoby w ustach Ouyanga takiej goryczy. Zhu gnał ku przyszłości, jakby była bardziej rzeczywista niż terażniejszość. Czysta moc wiary i determinacji w jakiś sposób zmuszała świat i wszystkich jego mieszkańców, by schodzili chłopakowi z drogi. – Poza tym, gdybyśmy odeszli, co z wielkim radcą? Jeżeli uderzymy sami i przegramy... – Ouyang poczuł na plecach zimny dreszcz. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak by to było umrzeć, nie osiągnąwszy celu, ze świadomością, że wszystko, co zrobił i czego się dopuścił, poszło na marne.

– Wielkim radcą bym się nie przejmował – odparł Geng z osobliwym spokojem. Żaluzje zagrały niczym dzwonki wietrzne. – Ten człowiek zawsze miał na dworze licznych wrogów. Wątpię, żeby wciąż tam dowodził.

– Wątpisz, że wielki radca dowodzi? – Niemożliwe, by Geng powiedział to poważnie. Naprawdę oczekiwał, że Ouyang podejmie najpoważniejszą decyzję życia w oparciu o czczy domysł? – Kiedy mówiłem o porzuceniu Zhu Yuanzhang, mówiłem poważnie – dodał generał tonem w zamyśle nieznoszącym sprzeciwu. – Zrobię to w chwili, gdy zrozumiem, że nie może mi dać tego, czego potrzebuję. Jeżeli jednak zdobędzie okręty i dowiedzie, że jest zdolny pobić Chen Youlianga, nie widzę ku temu powodu.

– Rozumiem. – Oblicze Genga stanowiło nieprzeniknioną maskę.

Ouyang zastanowił się, o czym komendant może myśleć. Czy naprawdę tak bardzo zależało mu na rodzinnym gospodarstwie, że chciał dotrzeć do Dadu jak najszybciej, nie licząc się z ryzykiem? Przelotna ciekawość przerodziła się płynnie w zniecierpliwienie. To była jego misja, jego przeznaczenie, jego ból. Geng i Chu mieli jedynie pomóc zrealizować zadanie, obaj liczyli się jeszcze mniej niż Shao.

– Oczekiwanie oznacza stratę czasu – oświadczył Geng. – Ale cóż, zmienisz zdanie, kiedy Zhu wreszcie się potknie.

朱

Zhu wspinała się właśnie na strome schody prowadzące na piętro zajazdu, kiedy wpadł na nią schodzący starszy komendant Chu.

– Obaj za bardzo się spieszymy! – zaśmiała się. – Nie, nie trzeba – dodała, kiedy Chu, raz po raz przepaszając, próbował precyzyjnie się obok i uratować skórzany futerał z przyborami medycznymi, który spadł na stopień niżej. Zhu odłożyła na bok królewską godność, kucnęła i podniosła zgubę sama, wraz z leżącą obok karteczką. – To twoje? – Zerknęła zaintrygowana. – Znasz mongolskie pismo?

Jak dotąd słyszała w ustach Chu jedynie mowę han'er. Nawet z Ouyangiem nie rozmawiał w innym języku i chociaż mówił z niecodziennym, północnym akcentem, nadal brzmiał jak nanren. Uświadomiła sobie jednak, że porównuje go z własnymi oficerami, a przecież Chu przez wiele lat służył w armii Yuanów.

Odręczne mongolskie pismo z jakiegoś powodu nigdy nie przypominało mongolskich ksiąg, z których uczyła się tego alfabetu w klasztorze. Odczytała tekst z niejakim wysiłkiem. Lista zamówień. Oddała karteczkę komendantowi.

– W kwestiach wojskowych mocno do tego języka przywykłem. Obawiam się, że nie znam nawet znaków na określenie większości sprzętu. – Chu wzruszył ze smutkiem ramionami. – Tak to się kończy,

kiedy Mongołowie wcielają człowieka do wojska w szesnastym roku życia. Ustalałem przed chwilą z generałem, czego będziemy potrzebować, kiedy ostatecznie ruszymy na Dadu. Jeżeli Świetlisty Król potrzebuje dodatkowego zaopatrzenia, powinien dać mu znać, a zajmę się tym natychmiast po powrocie do Yingtianu. – Komendant przycisnął się do ściany i wyminęli się, rozchodząc w przeciwne strony.

Zhu ruszyła pod górę w zadumie. Chu znał mongolski. Czytał i pisał w tym języku. Być może faktycznie była to powszechna umiejętność wśród oficerów armii Yuanów wywodzących się z nanrenów. Ale z drugiej strony... Chu przeczytał też odpowiedź Fanga. Zrobił to z czystej ciekawości, czy może kierowało nim coś więcej?

Kiedy wraz z Ouyangiem natknęli się na szpiega i posłańca, szpieg zbiegł, gdy zrozumiał, że koń posłańca zareagował strachem na bliskość generała. Niemal wszyscy żołnierze Ouyanga wiedzieli o dziwnym wpływie wodza na płomyki świec i zwierzęce serca. Nic więc dziwnego, że szpieg błyskawicznie skojarzył fakty. Dziwne było za to, że jego własny wierzchowiec pozostał spokojny. Zhu wiedziała, że zwierzęta z czasem oswajają się z towarzyszącą generałowi procesją zjaw. Gdyby nie to, nie mógłby jeździć konno. Czy wynikało z tego, że szpieg jest człowiekiem tak bliskim Ouyangowi, że jego wierzchowiec przywykł do duchów?

Generał nie miał przyjaciół. Nie miał również zaufanego kręgu wyższych oficerów. Na ile zdołała się zorientować, za godnych swojego czasu uważał jedynie tych dwóch komendantów, dwóch oficerów, którzy towarzyszyli mu, odkąd zaczął planować zdradę księcia Henanu.

Intrygujące. Zhu stanęła na najwyższym piętrze zajazdu, lecz zamiast, jak planowała, pójść do Ouyanga, skierowała się do pokoju w końcu korytarza. Otworzyła drzwi stopą i weszła.

Z trzech rozłożonych na podłodze bambusowych mat zajęte było tylko środkowe posłanie. Yuchun poderwał się na równe nogi,

przez co okrywający go koc spadł i odsłonił obnażony tors. Kiedy zrozumiał, kim jest intruz, wyraźnie się rozluźnił.

– A może by tak zapukać? – syknęła leżąca obok chłopaka naga kobieta, świdrując Zhu morderczym spojrzeniem. Zhu odniosła wrażenie, że nieznajoma potrafi zadać śmierć na wiele różnorodnych sposobów i zastanawia się właśnie, czy nie przeciwiczyć któregoś z nich w praktyce.

– Cóż, moglibyście też zastawić drzwi czymś ciężkim. Naprawdę myślisz, że chciałem zobaczyć, jak praktykujesz qigong z moim młodszym braciszkiem? – Wzrok Zhu padł na charakterystyczny strój rzucony niedbale na podłogę. – Chwilka. Czy nie jesteś przypadkiem jedną z tych mniszek od sztuk walki?

Widząc, że zmarszczki na czole znajomej Yuchuna dodatkowo się pogłębiają, dziewczyna pośpiesznie dodała:

– Bez urazy! Uwielbiam mniszki! Mnisi mają się za najtwardszych wojowników, ale coś ci powiem. Wszyscy wiemy, że wy już dawno ich w tej dziedzinie przewyższyliście. Poza tym mimo że musicie bez przerwy chodzić w czerni, to miło, że pozwalają wam zachować włosy! Wiesz? Jesteś bardzo ładna. Powiedziałbym, że szkoda, że taka uroda marnuje się u mniszki, ale... Cóż, wygląda na to, że łamiesz klasztorną regułę z równym upodobaniem jak niektórzy mnisi, których swego czasu znałem.

– My akurat nie składamy ślubów czystości – westchnęła zniecierpliwiona kobieta. – Jak widać.

– Domyślam się, że skoro należysz do zgromadzenia, to nie przybyłaś do Qingyuanu, żeby zaciągnąć się na statek piratów – zastanawiała się na głos Zhu. – Chcesz wygrać prośbę? Skąd wiesz, że Fang Guozhen dotrzyma słowa? Nie byłby przecież pierwszym mężczyzną, który najpierw obiecuje kobiecie cały świat, a potem wykopuje ją z łóżka z jednym miedziakiem.

Nieznajoma ściągnęła brwi. Podobnie jak większość mniszek, nie posiadała rozbuchanego poczucia humoru, co swoją drogą, tym dziwniejszym czyniło jej decyzję wskoczenia do łóżka z Yuchunem.

– Słowo Fang Guozhena jest święte. Jedna z moich sióstr ze zgromadzenia zwyciężyła w turnieju przed czterema laty i spełnił jej prośbę. Poprosiła, żeby rozgromił piratów z Goryeo, którzy gdy była dzieckiem, złupili jej rodzinną wioskę. Chciała, żeby już nigdy nie terroryzowali mieszkańców wybrzeża na południe od Qingyuanu. Naprawdę to zrobił, choć stracił okrągły rok i musiał zaangażować całą swoją flotę.

– A, skoro tak, to rzeczywiście sprawia wrażenie jednego z czołowych kandydatów do tytułu najbardziej honorowego mężczyzny w cesarstwie – odparła z podziwem Zhu. – Nie mam tylko pojęcia, kto mógłby z nim w tych zawodach wystartować. Bo pokaż mi takiego, komu w naszych niespokojnych czasach nie zdarzyło się raz czy dwa złamać słowa. – Mówiła lekkim tonem, lecz w głębi ducha czuła rodzący się pomysł. Obcesowa odpowiedź Fanga na jej zapoznawczy list mocno ją ubodła. Reputacja, jaką cieszyła się jako Świetlisty Król, zdobywca niemal wszystkich terenów podległych pani Zhang, powinna sprawić, że pirat potraktuje ją z szacunkiem. Nie wspominając o tym, że po śmierci generała Zhanga już tylko Zhu posiadała mandat niebios. Jak to możliwe, że Fang nie dostrzegł nieuchronności, z jaką zmierzała ku ostatecznemu zwycięstwu? Ale... dodatkowe zabezpieczenie nikomu jeszcze nie zaszkodziło. – Proszę, młodsza siostrzo, uwierz, że nie zaproponowałbym tego dowolnej dopiero co napotkanej kobiecie, ale ty nie wyglądasz na przesadnie nieśmiałą... – Zhu wyciągnęła zza pasa sakiewkę i zachęcająco zważyła ją w dłoni. – Na ile wyceniasz swoje ubranie?

Być może poczucie humoru nie było jednak mniszce całkowicie obce, gdyż nagle zaniósł się śmiechem.

– Nie mów, że sam zapragnąłeś wygrać prośbę, mały człowieczku. Może rzeczywiście wciśniesz się w moje ubranie, ale jeśli myślisz o udziale w turnieju, dobrze się zastanów. Żeńskie przebranie Fang Guozhena nie zwiedzie. Niejeden mężczyzna próbował tej sztuki, ale wszyscy zostali odkryci. A Fang Guozhen, choć przyjaciół i ludzi, z którymi związał się słowem, traktuje honorowo, to wobec oszustów jest naprawdę bezwzględny.



Poza tą wypowiedzią nie starała się jednak wyperswadować Zhu pomysłu zbyt usilnie. Mniszki były kobietami nie tylko twardymi, lecz również w wysokim stopniu praktycznymi. Po kilku chwilach znajoma Yuchuna wymaszerowała z pokoju w białej bieliźnie, unosząc ze sobą garść srebra.

– Cóż, to pierwszy raz, kiedy zapłaciłem kobiecie za to, że zrobiła dobrze komu innemu – zauważyła Zhu, z powrotem wieszając sakiewkę u pasa.

– Twoja wina, że nosisz takie wysokie nominały. – Yuchun, którego nadzieje na ciąg dalszy miłosnych zmagani prysły właśnie bezpowrotnie, nie znajdował w sercu współczucia.

– Mów sobie o Mongołach, co chcesz, ale wielka szkoda, że ich pomysł z papierowym pieniądzem nie wypalił – westchnęła Zhu. – Znacznie łatwiej się z nimi podróżuje. Choć oczywiście potwornie ciężka sakiewka przy boku równoważy brak ręki z przeciwnej strony.

W odróżnieniu od Zhu i Ouyanga, zawsze wynajmujących oddzielne pokoje z powodów, których nie chcieli wyjawiać wszem wobec, Yuchun swoją kwaterę dzielił z Chu i Gengiem. Zhu spojrzała na rzeczy Chu leżące na posłaniu po prawej.

– Dobrze się dogadujecie ze starszym komendantem Chu, prawda?

– Porządny gość. – Yuchun przeciągnął się rozkosznie w uwitym z pościeli gnieździe. – W odróżnieniu od tego swojego oziębłego pryncypała zna się na żartach. A kiedy się nawali, zaczyna prześmiesznie seplenić. Czemu pytasz?

Zhu zwinęła zakupiony od mniszki strój i wcisnęła go sobie pod pachę.

– Dzisiaj wieczorem zaproś go na miasto, tak na kielicha – powiedziała. – A kiedy będziecie wracać do zajazdu, zabij.

朱

Lekko rozbawiona Zhu zwróciła uwagę, że jakimś cudem to Ouyangowi trafił się najładniejszy pokój w zajeździe. Zamiast bambusowych mat i sienników miał ustawione pod ścianą narożne łóżko, a podłoga nie srożyła się drzazgami. Do dyspozycji generała pozostawały nawet bambusowe żaluzje, kołaczące w podmuchach pachnącej wodorostami bryzy. Kiedy weszła i zamknęła za sobą drzwi, Ouyang siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i ostrzył miecz za pomocą gładkiego prostokątnego kamienia.

Zhu ponownie przywykła już do oglądania generała w pancerzu, więc widząc go w codziennym stroju – w tej chwili nie miał na sobie nawet wielowarstwowych mongolskich atłasów, które w jego przypadku pełniły rolę zbroi innego rodzaju, ubrany był w krótki, miękki strój na modłę nanrenów – odniosła wrażenie, że jest niecodziennie drobny i bezbronny.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co się działo, kiedy go odwiedzała. Gdy jednak podniósł na nią spojrzenie, z miejsca pojawiła się w nim ostra iskra skupienia, która zdawała się przeskoczyć między ich ciałami.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił – zagaiła Zhu i rzuciła na posłanie zwinięte w kłęb ubrania. – Turniej Fang Guozhena. Chcę, żebyś wziął w nim udział i zwyciężył. Jako ja.

Występowanie z tego rodzaju prośbą, podczas gdy Ouyang miał nadzieję na coś zgoła innego, było okrutne. Rozumiała to świetnie. Sylwetka i mięśnie generała pozostawały sztywne nawet w chwilach największego odprężenia, lecz wyczuła dodatkowe napięcie, z jakim zerknął na leżący na łóżku strój. Chwila milczenia zaczęła się dłużyć. Wreszcie jednak odpowiedział przerażająco beznamietnym głosem:

– Chcesz, żebym się pod ciebie podszył. Chcesz, żebym udawał kobietę i walczył z innymi kobietami.

Nagle stwierdziła w duchu, że wręczanie mu miecza może nie być najlepszym pomysłem. Była być może jedynym człowiekiem na świecie, który w pełni zdawał sobie sprawę, jak wiele musiało Ouyanga kosztować spełnienie tej prośby. Ktoś inny mógłby się dziwić, dlaczego odgrywanie kobiety stanowi dla niego tak wielki

problem, ostatecznie większość i tak postrzegała go praktycznie jako kobietę. Z punktu widzenia generała jednak wcielenie się w kobietę równało się przyznaniu, że jego podejmowane przez całe życie dumne wysiłki mające sprawić, by świat zobaczył w nim po prostu jego samego, okazały się daremne. Przyznałby w ten sposób, że świat nigdy nie uznał go za mężczyznę, a jedynie niechętnie go w tej roli tolerował. Zakładając generałowi sukienkę, Zhu stawiała go w położeniu, jakiego usilnie unikał, ponieważ był po prostu kim innym.

– Gdybym mógł, zrobiłbym to sam. Rozumiesz to, prawda? – Miała wrażenie, że napiera swoją szczerością na nieprzeniknioną zaporę z nefrytu. – Widziałeś już, jak się przebieram. Z przyjemnością zrobiłbym to ponownie, ale poza wszystkim nie jestem wystarczająco sprawnym wojownikiem. A to zwycięstwo jest mi potrzebne, generale. Muszę zdobyć główną nagrodę. Fang Guozhen musi spełnić moje życzenie. Nie chcę cię upokarzać – ciągnęła. – Proszę ciebie, ponieważ nie mogę się z tą sprawą zwrócić do nikogo innego. Yuchun jest odpowiedniego wzrostu i świetnie się bije, ale jest też... – Zbyt męski. Nie wypowiedziała tych słów na głos. W porę ugryzła się w język. – Tylko ty możesz to dla mnie zrobić.

Zdjęty instynktowną odrazą, wykrzywił usta, odmawiał jej całą zeszywniałą sylwetką.

– Wydawało mi się, że w imię zwycięstwa jesteś gotów na wszystko – dodała, wiedząc, że to go zaboli.

Cios był celny. Ugodziła go, a ból, który przemknął błyskawicą przez jego twarz, wydawał się zbyt wielki dla ludzkiej istoty. Zbielała dłoń Ouyanga kurczowo ścisnęła rękojeść leżącego na jego kolanach miecza. Obserwująca jego wewnętrzne zmagania Zhu przez chwilę poczuła to samo cierpienie, co on. Wiedział, że musi to zrobić, mimo że była to kolejna w jego życiu rzecz, której robić nie chciał.

Upadek generała nastąpił tak głęboko w jego duszy, że był niemal niedostrzegalny. Wiedział jednak, że ona to zauważyła, ponieważ odwrócił twarz. Milczał jeszcze przez długą chwilę, po czym wychrypiał:

– Jeśli chcesz, żebym to zrobił, musisz mnie zmusić... – urwał, jakby powstrzymała go jakaś wewnętrzna blokada. Zaraz potem jednak, w spazmie nienawiści skierowanej zarówno do niej, jak i do siebie samego, wyrzucił z siebie: – Zmusz mnie.

Zhu poczuła w piersi niecodzienne ukłucie współczucia. Ouyang nigdy nie powiedział nic bliższego otwartej prośbie o pomoc. Wyciągnęła z kieszeni skórzany przybornik i otworzyła go, ukazując generałowi zestaw cienkich jak włos igieł.

– Jeszcze przed wyjazdem zapytałem Jiao Yu, w jaki sposób można zadać człowiekowi największy możliwy ból, nie czyniąc mu przy tym trwałej krzywdy. Poradził, żebym spróbował tych igieł. Przypuszczam, że uznał, że chcę wycisnąć torturami informacje z jakiegoś więźnia. Co naturalnie ani trochę nie poruszyło sumienia inżyniera. Okazuje się, że akupunktura działa w obie strony. Może służyć do uśmierzania bólu, ale jest równie skuteczna w jego wywoływaniu. Osiągnięcie najlepszych rezultatów wymagałoby obecności wytrawnego znawcy tematu, ale nawet osoby z podstawową znajomością meridianów mogą doprowadzić bliźniego do krzyku.

– Ja nie krzyknę – rzucił, nie odrywając wzroku od igieł.

Widząc go w tej chwili, świadoma, że generał wyobraża sobie nadchodzącą ulgę, Zhu pomyślała, że obserwuje go w momencie bardziej intymnym niż akt spełnienia. To teraz był żywy najbardziej, teraz pozwalał sobie czuć dreszcz pragnienia, mimo że wciąż nie był pewien, czy naprawdę będzie mógł je zrealizować.

– Rozbierz się – poleciła półgłosem.

Nie przewidział, co będzie musiał zrobić, zanim nastanie ulga. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, że przypłaci ją kolejnym upokorzeniem, hańbą, której nie mogło zmazać nawet pragnienie.

Po długim wahaniu odłożył miecz na łóżko i wstał. Nie patrząc na nią, rozwiązał troki szat, najpierw wierzchniej, potem spodnich. Na koniec pozwolił opaść bieliznie.

Był tak spięty, że na gładkie ścianki gardła, pozbawionego grdyki i cienia męskiego zarostu, wyraźnie wystąpiły ścięgna. Zhu

natychmiast instynktownie zrozumiała, że poza nią nikt go takim nie oglądał. Bezmiar kapitulacji Ouyanga przepełnił ją zapierającym dech podziwem. Mimo że widziała już jego wnętrze – jego tłuszcz, krew, mięso – dopiero teraz doszło do prawdziwie głębokiego naruszenia granic, po którym nic między nimi nie mogło być takie jak przedtem.

To, co generał skrywał pod męskim odzieniem, wyglądało tak samo jak to, co Zhu maskowała swoim ubraniem. Nie była to identyczność zwierciadlana, lecz tożsamość co do samej istoty: ciała obojga odbiegały od tego, czym wedle całego świata być powinny, nie pasowały do ról, jakie oboje w tym świecie odgrywali. Zhu odniosła wrażenie, że to podobieństwo powiązało ich tak mocno, iż nawet serca i płuca obojga pracowały w tej chwili jednym rytmem. Gdyby się dotknęli, nie byłby to zwyczajny kontakt dwóch ciał. Doszłoby do połączenia jaźni: transcendentalnego doświadczenia doskonałej akceptacji, ponieważ rozumieli nawzajem swoje uczucia i fizyczne istnienie. Ponieważ byli tacy sami.

Przysunęła pierwszą igielkę do skóry Ouyanga. Zanim go jeszcze dotknęła, bliskość jej dłoni sprawiła, że niemal niewidoczne włoski uniosły się ku jej palcom. W odpowiedzi poczuła dreszcz, cielesne echo: świadomość podobieństwa.

Zhu była tego podobieństwa świadoma, lecz on nie. Ogarnęła ją słodka, potężna pokusa, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała: zapragnęła się obnażyć, pokazać generałowi siebie po to, by zrozumiał, że ona naprawdę wie, jak to jest. Z jakiegoś powodu wiedziała, że byłoby to coś bardziej doniosłego niż zwykłe wyjawienie prawdy słowami. Oddałaby samą siebie, podzieliłaby się całą sobą z jedynym człowiekiem, który mógł zrozumieć.

– Zrób to – szepnął desperacko, nie pozwalając jej ulec pokusie.

Zupełnie jakby zmyła ich ta sama fala, ostatnia szczelina między nimi zniknęła, igła wniknęła, nie napotykając oporu.

Ouyang stał w szeregu zawodniczek biorących udział w turnieju. Bambusowe tyczki – dwakroć wyższe od dorosłego człowieka, ugięte do środka pod ciężarem splecionych z wikliny, ozdobionych wstążkami dekoracyjnych kul, podrygujących w powiewach morskiego wiatru – wytyczały w piaszczystej ziemi Qingyuanu owalny plac. Chłodna pogoda nie zmniejszyła zainteresowania rywalizacją. Wokół tłoczył się gęsty tłum; kakofonia dźwięków, masa widzów walczących o jak najlepsze miejsca barkami i łokciami. Byli wśród nich obwoźni sprzedawcy przekąsek, piszczące dzieciaki, psy, kury, pewna liczba mężczyzn i takie zatrzęsienie kobiet, jakiego Ouyang nie widział nigdy w życiu. Wszyscy przybyli obejrzeć widowisko.

Generał miał na sobie czarną bluzę z atlasowym kołnierzem, której poły furkotały pod pasem na wietrze. Nogawki cienkich, również czarnych spodni nikały w wysokich cholewach miękkich butów, połowę jego twarzy przesłaniał woal. Włosy miał rozpuszczone, z wyjątkiem niewielkiego, związanego wstążką koczka, dzięki któremu luźne kosmyki nie opadały mu na oczy. Dwie zwinięte szmaty zmieniały kształt jego piersi w coś, o czym nie był w stanie myśleć.

Gdyby nie Zhu i jego igły, nie mógłby tego zrobić. Początkowo poczuł zawód, pierwsze ukłucia były niemal bezbolesne. Wreszcie jednak chłopak wbił ostatnią i ta wywołała w jego ciele błyskawicę. Nie krzyknął. Nie z powodu potężnej siły woli: po prostu zapomniał, jak się krzyczy. Zapomniał, że w ogóle mógłby krzyknąć. Ból, wzmocniony upokorzeniem obnażonego ciała, ogarnął go bez reszty. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że dyszy i dygoce na czworakach u stóp Zhu, a pot z jego czoła znaczy ciemnymi plamami niewoskowaną podłogę. Wtedy nie było dumy, nie dbał o nic. Nie miał pojęcia, dlaczego to akurat Zhu posiadał tę sztukę ani dlaczego nie znał jej nikt poza nim. Jednak za to, co Zhu mu dawał, Ouyang był gotów klęczeć bez końca.

Nawet teraz, czekając na placu, czuł jeszcze w nerwach ostatnie iskry tej burzy: wspaniałej, palącej kaźni, która sprawiła, że świat

okazał się na pewien czas znośny.

Ponad zgromadzonymi na swoim pirackim tronie rozsiadł się Fang Guozhen. Był gruby. Był tłusty i w swojej tłuści męski i wspaniały. Ozdobny srebrny napierśnik oraz obrębione futrem naramienniki powiększały jego sylwetkę jeszcze bardziej. Na wypukłości brzucha spoczywała wykuta na kształt lwiego łba klamra pasa, wielka jak obie pięści Ouyanga. Tuż pod nią, pomiędzy obleczonymi w luźne spodnie udami, kołysał się ochraniacz krocza. Luźno spływające włosy były zaniedbane jak u przeciętnego bandyty. U wielu innych mężczyzn ta poza, ten pancerz byłyby jedynie bezwartościowymi przejawami chełpliwej bufonady. Ouyang jednak, znajdujący się na wojownikach, wyraźnie widział moc tego wielkiego ciała. Siła Fanga była równie namacalna jak działanie ciężenia. Fang igrał z tandetnym wyglądem, lecz w razie potrzeby potrafiłby dowieść swego.

– Niniejszym rozpoczynam zawody! – zawołał leniwie piracki herszt.

Pierwsza rywalka stanęła po drugiej stronie owalnej areny i pozdrowiła generała ukłonem. Była mniej więcej rówieśnicą pani Zhang – jak na kobietę, stara – a w rękach ścisnęła parę krótkich mieczy, broń, którą w normalnych warunkach Ouyang pogardzał. Teraz jednak, ściskając swoje ostrze lewą dłonią, z prawą unieruchomioną w odlanej z wosku formie, przez którą wyglądała na drewnianą, czuł się obrócony na nice i słaby. Nie odwzajemnił pozdrowienia.

Widząc, że Ouyang nie zamierza się kłaniać, kobieta wykrzywiła usta.

– Skoro tak, proszę bardzo – rzuciła i zaatakowała.

Generał odskoczył, lecz nie dała mu nawet chwili wytchnienia: naparła od razu i zasypała go całą serią dziwnych, nieprzewidywalnych cięć. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zawsze polegał w walce na intuicyjnym odgadywaniu zamiarów przeciwnika. Nigdy jednak nie pojedynkował się z kobietą, a ku jego wielkiemu niezadowoleniu okazało się, że jest to

starcie innego rodzaju. Przeciwniczka była tak drobna i szybka, że ledwie ją odnajdował. Sprężystość i gibkość jej ruchów sprawiały, że raz za razem błędnie oceniał dystans. Aby uniknąć nisko mierzonej sekwencji ciosów, wyskoczył w powietrze, a po lądowaniu nie od razu złapał równowagę. Odcięty kawałek bluzy spłynął za nim na piasek. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z takim przeciwnikiem. Może z wyjątkiem... Zhu, pomyślał zaskoczony. Z chłopakiem starli się tylko raz. Niewykluczone zresztą, że ta walka wcale nie była aż tak podobna.

– Nie chcę cię skrzywdzić, młodsza siostrzyczko – szepnęła mu na ucho rywalka, kiedy zwarli się następnym razem. – Ale przybyłam tu, żeby zdobyć główną nagrodę. Może chcesz się po prostu zaciągnąć? Jeśli tak, lepiej zachowaj siły, żeby dobrze wypaść w kolejnych walkach...

Ouyang odepchnął ją mocno, z odrazą.

– Ach, więc taka jesteś? – warknęła, podrywając się bez trudu z areny. – Młoda i arogancka? Wyraźnie potrzeba ci lekcji.

Gniew dodał jej skrzydeł: klinga lewego miecza drasnęła go w ramię, prawe ostrze świsnęło tak blisko twarzy, że zafalowała woalka. Coś zaszumiało jak morze, choć tutejszemu płaskiemu brązowemu akwenowi ledwie starczało sił, by się zmarszczyć. Generał zrozumiał, że słyszy wiwatujący tłum.

– Machasz, jakbyś chciała dREW narąbać – zadrwiła wojowniczką. – Masz takie drobne, smukłe ciało, a zupełnie nie potrafisz go wykorzystać. Czy twój shifu był mężczyzną? Lepiej by ci poszło, gdyby ci się nie wydawało, że jesteś silniejsza, niż jesteś...

Ouyang wyprowadzał już kolejny atak. Kobiety rzeczywiście walczyły inaczej, lecz on był przecież najlepszym szermierzem w cesarstwie i potrafił się dostosować. Rywalka otworzyła szeroko oczy i poderwała ostrza w desperackiej próbie powstrzymania jego opadającego miecza.

Zwarli się. Napał i z niemą, brutalną satysfakcją poczuł, że kobieta zaczyna drżeć, że gną się pod nią kolana. Tyle lat treningów, w czasie których zmuszał się, by robić wszystko, co robili mężczyźni



o większych ciałach i dłuższych kończynach; tyle powtarzanych w nieskończoność ćwiczeń, dzięki którym wycisnął z gorszego ciała wszystko, co możliwe. Bo pomyliła się co do jednego: generał nie udawał, że jest silny. Po prostu był silny. I nawet walcząc lewą ręką, był silniejszy od niej.

Stęknęła głucho z wysiłku i odskoczyła. Siła Ouyanga nie tylko ją zaskoczyła, w jej oczach pojawiła się nieufność. Kiedy następnym razem minęli się na piasku, rzuciła:

– Czy tak utalentowana wojowniczką naprawdę musi przesłaniać twarz woalką? – Cięła, chybiła. – Może masz coś do ukrycia? Nigdy nie starłam się z kobietą równie silną jak ty. Nie bijesz się jak kobieta i nie odezwałaś się nawet słowem. – Wyszczrzyła się. – Pozwól, że przypomnę, co spotkało ostatniego mężczyznę, który wziął udział w tym turnieju. Fang Guozhen zmusił go, żeby zjadł własne...

Ouyang mógł tego kopniaka uniknąć. Zobaczył go w porę. Zrezygnował jednak. Pozwolił, by jej stopa trafiła tam, gdzie mierzyła: między jego nogi. Naturalnie zabolalo – blizna była dość wrażliwa – lecz nie zgiął się wpół, czego spodziewała się rywalka. A lepszej okazji nie potrzebował. Pochwycił udami jej wyprostowaną nogę, złapał wymachujące w powietrzu ramię w przegubie, obrócił ją w miejscu i pchnął twarzą na piach.

Wrzasnęła gniewnie. Mimo że przycisnął jej plecy kolanem, nie zaprzestała oporu. Poczuli przyjemność, mając szansę ukarać ją za to, że ważyła się pomyśleć, iż wie o nim cokolwiek. Miał ochotę zetrzeć ją niczym plamę. Nie był mężczyzną – jego ciało i ludzkie reakcje nie pozostawiały w tej kwestii wątpliwości – i nie z tego powodu okazał się od niej silniejszy. Przewyższał ją siłą, ponieważ obciążony jarzmem pogardy świata, zdołał unieść głowę wyżej i pracował ciężiej niż jakikolwiek mężczyzna w dziejach.

Jeszcze mocniej wykręcił rękę przeciwniczki, rozkoszując się jej stopniowo słabnącymi podrygami. Kiedy wreszcie opadła bezwładnie, rozluźnienie chwytu wymagało od niego pewnego wysiłku. Nachylił się i z dziką odrazą wyszeptał pokonanej na ucho:

– Fang Guozhen kazał mu zjeść własne jaja? Mam nadzieję, że smakowały. Ale mnie nic podobnego nie spotka.

Był tak pochłonięty pogardą do samego siebie, że pozostałe walki ledwie odnotował. Jedna kobieta po drugiej, wszystkie od niego słabsze i mniej zdeterminowane. W pewnym momencie stanął zdyszany, czując w lewym ramieniu ból wywołany niecodziennym wysiłkiem trzymania miecza, i nagle zrozumiał: słońce muskało już horyzont. Turniej dobiegł końca.

W powietrzu świsnął ku niemu drewniany żeton. Ouyang chwycił go odruchowo, a kiedy zadarł głowę, spojrział prosto w oczy siedzącego na podwyższeniu Fanga.

– Moje gratulacje dla nieustraszonej wojowniczk! Nigdy nie sądziłem, że fizyczne niedostatki muszą stanowić niepokonaną przeszkodę na drodze ku doskonałości. Tak znakomitego występu nie oglądałem od lat. – W przymkniętych ciężkimi powiekami oczach majaczyło zainteresowanie. – Zapraszam cię, mistrzyni, żebyś odwiedziła mnie w dowolnie wybranym momencie. Z najwyższą przyjemnością spełnię twoje życzenie.

Wstrząśnięty do głębi Ouyang zrozumiał, co się kryje za przeciągłym spojrzeniem pirata. Od lat generał był przedmiotem niezliczonych drwin z seksualnym podtekstem, lecz żaden z tych, którzy szydzili, spekulowali i na głos opowiadali przy nim o swych fantazjach, nie uważał go za prawdziwą kobietę. Nigdy dotąd mężczyzna nie rozbierał go wzrokiem. Z jakiegoś powodu Ouyang pomyślał o masywnym ciele Fanga, o tym, jak sam jest wobec niego drobny. Spojrzenie morskiego rozbójnika osadziło go w miejscu niczym groźba.

Zacisnął pięść na żetonie tak mocno, że zabolalo. Ten ból był jednak zbyt słaby, by wymazać ten szczególny wewnętrzny skurcz, doznanie będące zapewne jedynie echem bólu kopniętej blizny, lecz zrodzone w tej jego części, której nie posiadał i nigdy nie miał osiąść. Zrobiłbym wszystko, pomyślał ze zgrozą.

Wszystko jednak nie było potrzebne. Rola generała dobiegła końca. Teraz wszystko zależało od Zhu.

## 朱

– Świetlisty Król! Nie uprzedzono mnie, że taka z ciebie sucha kreweta – rzucił Fang, przyglądając się uważnie Zhu, odzianej w złocistą szatę, z połączoną protezą na kikucie.

Zmusił ją, by stanęła poniżej, jakby to on był królem. Za jego stylizowanym na tron krzesłem przez okrągłe okno wypełnione śnieżnobiałym papierem sączyło się chłodne zimowe światło Qingyuanu. Ubranie pirata, obręzione srebrzystym futerkiem kuny, napinało się na potężnym brzuszysku; siedział z rozstawionymi szeroko nogami, jakby chciał zamknąć między nimi całe pomieszczenie. Liczba mieszkańców Qingyuanu stanowiła dostateczny dowód, że tego rodzaju fanfaronada ma swoich zwolenników. Niemniej wesołość w oku Fanga była równie zimna jak wpadający przez okno blask i trzymała Zhu na dystans.

– Chcesz więc, żebym udzielił ci pomocy. Dlatego, że to ty zwyciężysz. Z jakiego jednak powodu mam uznać, że tak właśnie będzie? Na świecie nie brakuje silnych, ambitnych ludzi łakomie spoglądających na tron Wielkich Yuanów.

– To prawda – potaknęła Zhu. – Ale tylko ja jeden posiadam odpowiednie kwalifikacje. Sam powiedz, kto inny spośród pretendentów do tronu może się pochwalić mandatem niebios? To niepodważalny dowód mojego przyszłego sukcesu.

Fang rzucił jej uśmiech, lecz grymas tchnął drwiną.

– Tylko czy naprawdę masz ten mandat, Zhu Yuanzhangu? Owszem, opowieści o boskim mandacie Świetlistego Króla dotarły i do Qingyuanu. Ale historyjkami łatwo manipulować tak, żeby ukazały konkretnych ludzi w lepszym świetle. Żyjemy w niespokojnych czasach i uczyniłem swoją zasadą, żeby nigdy nie ufać pogłoskom z drugiej ręki. Zademonstruj mi ten rzekomy dowód.

Zhu wyciągnęła przed siebie złotą rękę, wewnątrz grawerowanej dłoni ku górze, i pozwoliła, by rozkwitł w niej majestat mandatu: biała poświata, jaśniejsza od papierowego okna,

tak biała jak oko wiszące na niebie słońca. Światło, które przepełniło ufnością i wiarą serca stu tysięcy innych mężczyzn, teraz wyławiało z półmroku drobiny kurzu pokrywające zasłony z jaspisowego jedwabiu, oddzielające salę przyjęć Fanga od pozostałych pomieszczeń. Blask przemieniał te pyłki w gwiazdy, rozświetlał też samo słonawe powietrze wybrzeża, aż wreszcie wszędzie wokół unosiła się rozmigotana biel, podobna do mgły, mleka bądź energii qi wylewającej się z ciała życiodajnym płynem. Zhu podziwiała to widowisko nieskończoną ilość razy, lecz niezmiennie przyprawiało ją o dreszcz.

– Czy można wątpić w coś takiego, Fangu Guozhenie?

– Cóż, nie mogę zaprzeczyć, że posiadasz mandat – powiedział, lecz już następne słowa brutalnie zdusiły wzbierającą w duszy dziewczyny falę zadowolenia. – Przeczę jednak stwierdzeniu, że to czegokolwiek dowodzi. Biel? – Fang wymownie uniósł brew. – Mam nadzieję, że nie ty sam wybrałeś tak niepozorną barwę. Twoja sztuczka ze światłem nie jest niczym szczególnym, Zhu Yuanzhangu, podobnie jak ty sam. Nie mogłeś przecież naprawdę sądzić, że tylko ty jeden posiadasz mandat. A może nie słyszałeś o generale Zhangu?

Zhangowie rozmawiali z Fangiem i spotkała ich odmowa? Zhu ściągnęła czoło. Nie wiedziała o tym. I nie podobał jej się płynący z tego faktu wniosek, że Fang ma zwyczaj odtrącania sojuszy.

– Generał Zhang nie żyje. Wygląda na to, że istotnie nie wolno ufać pogłoskom z drugiej ręki.

– Nie żyje? – Przynajmniej z pozoru Fang wydawał się nieporuszony. – Szkoda ogromna. Sympatyczny człowiek. Osobiście na niego właśnie stawiałem. Ale ten drugi, on z pewnością żyje i ma się dobrze.

Tego się Zhu nie spodziewała.

– Jaki drugi? – rzuciła straszonym tonem.

– Ach, ten dopiero ma porządny kolor! Efektowny, zwiastujący szczęście i pomyślność. Ponadczasowa klasyka barw. – Pirat odchylił się w krzesło i rozsiadł wygodnie, co stanowiło jawny i rozmyślny

afront wobec zachowującej oficjalną sztywność Zhu. – Czerwony – dokończył z szerokim uśmiechem.

Czerwień. Barwa mandatu buntowników spod znaku Czerwonych Turbanów. Zhu poczuła gwałtowną ulgę. Przez chwilę obawiała się, że Fang ma na myśli właściciela niewidzialnej ręki, która w sobie tylko wiadomym celu od czasu do czasu wyłaniała się z cienia i pociągała za ten czy ów sznurek. Skoro jednak ten mandat był czerwony...

Przypomniała sobie Księcia Światłości, niesamowite dziecko rozsiewające z podwyższenia krwawoczerwoną łunę.

– Ten mandat nie istnieje od dawna. Sam go wygasilem.

– Ach tak. Cóż, najwyraźniej nie poszło ci zbyt dobrze. Widziałem go nie dalej jak w zeszłym miesiącu. Jego posiadacz zgłosił się do mnie tak samo, jak dzisiaj przychodzisz ty. On również przekonywał mnie do zawarcia sojuszu.

Zhu natychmiast zrozumiała. Widziała przecież odrąbane dłonie; przeczytała wiadomość wyrytą nożem na ludzkiej skórze.

– Tak jest. – Fang trafnie odczytał wyraz jej twarzy. – To Chen Youlianga chcesz pokonać za pomocą mojej floty, czyż nie? Na szczęście dla ciebie odprawiłem go z kwitkiem, tak samo jak odrzuciłem ofertę Zhangów. Zamierzam to przeczekać. Nie jest dla mnie ważne, kto rzuci Yuanów na kolana, i szczerze mówiąc, nie mam pewności, czy będzie to którekolwiek z was. Skoro istniały trzy mandaty, skąd wiadomo, że nie ma ich więcej? Rozegrajcie tę partię między sobą. Jestem pewien, że okażę się przydatny każdemu, kto ostatecznie zasiądzie na tronie.

– Tym kimś będę ja – powiedziała Zhu, jakby chciała tę myśl wypalić w umyśle pirata.

– Tak? – Fang jednak po prostu rozłożył ręce. – W takim razie odwiedź mnie ponownie, kiedy już będziesz cesarzem. Wtedy porozmawiamy.

Krawędzie drewnianego żetonu mocno wpijały się w zaciśniętą dłoń Zhu. Pomyślała o tym, że zmusiła Ouyanga do przełknięcia potwornego upokorzenia po to tylko, by kazać mu potem zrobić coś,

czego nie chciał. Aczkolwiek jeszcze zanim weszła do jego sypialni, wiedziała, że się zgodzi. By osiągnąć swój cel, był gotów na wszystko.

Podobnie jak ona.

– Jeżeli zwyciężę – rzuciła – zostanę cesarzem. I to ty przyjdiesz do mnie.

Kiedy Fang chwycił zeton, na jego wargach wciąż pełgał uśmiezek. Gdy jednak zobaczył, co ma w ręku, grymas zgasł zadowolająco szybko.

– Domagam się spełnienia prośby – stwierdziła donośnie Zhu.

– To byłeś ty? – Wszelkie pozory swobody zniknęły. W tej chwili pirat był w pełni skupiony na niej. Bliskość fizycznego zagrożenia sprawiła, że po skórze Zhu przebiegły ciarki. – Leworęczna zawodniczka z woalką? Jak udało ci się uniknąć odkrycia? Próbowali tego już inni mężczyźni, ale kobiety zwykle ich wyczuwają. – Wysokie, ograniczające salę kotary zafalowały, nie były już ścianami domostwa, tylko więzienia. – Jak wszyscy dobrze wiecie, turniej przeznaczony jest wyłącznie dla kobiet. A spełnianie próśb zwycięzczyń jest dla mnie przedmiotem dumy. Nie zamierzam jednak pozwolić, żeby ktokolwiek nadużywał mojej gościnności. – Gniew sprawił, że Fang mówił coraz bardziej kwieście. – Nikomu nie wolno stroić sobie ze mnie żartów! – Nachylił się, sięgnął po leżący na stole miecz.

Szykując się do spotkania, Zhu przepasała szatę szarfą zamiast jak zwykle ciężkim złotym pasem. Wzięła pod uwagę i taką możliwość, choć nie rozważała szczegółów. Jej zdaniem nie różniło się to zbyt od zamordowania niewinnego chłopca lub poddania dziecka torturom: nie chciała tego, wiedziała, że nie sprawi jej to przyjemności, lecz była dostatecznie silna, by się na to zdobyć. Zawsze będę wystarczająco silna, pomyślała bezwzględnie. Dlatego na zawsze pozostanę niepokonana.

Rozwiązała szarfę, pozwalając królewskiej szacie opaść i odsłonić rozmyślnie pozostawioną pod spodem nagość.

– Nie złamałam zasad turnieju – powiedziała.

Fang zastygł z dłonią na rękojeści. Nie potrafiła odczytać jego nastroju. Wtem, kiedy myślała już, że popełniła błąd, pirat zaniósł się zdumionym śmiechem.

– To dlatego taka z ciebie krewetka! Stąd ten głos! Myślałem, że to dlatego, że masz piętnaście lat. O tak, to mi się podoba!

Zaskoczenie przeszło w głębokie zainteresowanie. Patrzył na nią jak na kawał mięsa, lecz z pewną emocją, jakiej Zhu nigdy nie doświadczyła osobiście: z samczym pożądaniem. Odniosła wrażenie, że dzieje się coś złego, jakby świat stanął na głowie. Nie zrywając kontaktu wzrokowego, Fang zawołał do czekających za kotarami służących.

– Niech nikt mi tu nie włązi! – Po czym zwrócił się do Zhu: – Nie musiałaś zasłaniać twarzy, aczkolwiek rozumiem, czemu niechętnie się pokazujesz. Nigdy nie interesowały mnie mdłe, bezużyteczne ślicznotki. Lubię kobiety, które potrafią dotrzymać mi kroku. – Z każdą chwilą był coraz bardziej zaintrygowany. – Masz ciało kobiety, a jednocześnie posiadasz mandat, chodzisz i mówisz jak mężczyzna. Ile właściwie jest w tobie z kobiety?

Zhu ujrzała siebie jego oczyma. Wzrok Fanga wbrew jej woli czynił ją ciałem, sprowadzał do podstawowych elementów: brzydkiej jak u owada, brązowej twarzy i sylwetki z ostrymi kośćmi biodrowymi, chudymi, umięśnionymi nogami oraz małym biustem. Nie sądziła, że to doznanie będzie aż tak nieprzyjemne.

Pirat rozebrał się i odrzucił szatę. Także był pod spodem nagi, jakby całymi dniami chodził w pełnej gotowości, by skorzystać z któregoś z wiecznie otaczających go kobiecych ciał. Na jego wargi powrócił butny, zawadiacki uśmiech, lecz spojrzeniem rzucał jej wyzwanie. Zhu omiotła wzrokiem jego wielkie gołe ciało. Miętkość wywołana życiem w luksusie maskowała, lecz nie ukrywała zupełnie użytecznej solidności jego szerokich barów, potęgi masywnych ud oraz rosnącego fizycznego zainteresowania.

Fang postrzegał ją jednowymiarowo, lecz Zhu nie była tym, za kogo ją uznał. Raptownie poczuła, że wyzwoliła się z władzy jego

spojrzenia. Nikt nie uczyni mnie kimś innym, niż jestem, pomyślała z żarem. Nie zmieni mnie żaden strój ani uczynek.

Wyszła z rozlanej na podłodze niczym kałuża szaty. Sztywny złoty strój utrzymał się w pionie niczym pusta skorupa: porzucona wylinka cykady. Bose stopy dziewczyny wzdrygnęły się na chłodnej posadzce. Kolejna kropla cierpienia w pucharze, którego menisk stopniowo się rozrastał, w miarę wypełniania, w nieskończenie pojemnym naczyniu.

Jestem silna, zniosę wszystko, pomyślała.

– Nie martw się – zapewniła głośno. – Tyle, że dla ciebie wystarczy.

朱

Zhu wróciła do zajazdu dopiero po zmroku. Poczucie triumfu bez reszty przyćmiewało nieznane, obiektywnie zapewne nieprzyjemne pieczenie między nogami. Kiedy wstała z łóżka, na którym (po pewnym czasie) wylądowali, Fang zaśmiał się, miło zaskoczony widokiem czerwonej smugi ciemniejącej wśród większych plam, które z niego wyciekły.

– Nie mów, że byłaś dziewicą!

– Zatem mam twoją flotę do dyspozycji. – Puściła komentarz mimo uszu. Ubierała się pospiesznie.

Fang przetoczył się na bok po wymiętej pościeli. Jego niezmierna pewność siebie przekładała się na szczodrość, z jaką podchodził do spraw deszczu i chmur. Zhu nie miała wątpliwości, że kobiety, z którymi robił to na co dzień, wychodzą zadowolone. Aczkolwiek sama uznała przeżycie za mniej więcej tak ekscytujące jak szorowanie zębów, podeszła do niego z pewną dozą zainteresowania. Fizyczna bliskość potrafi wiele powiedzieć o drugim człowieku, czy to bliskość pojedynkujących się rywali, czy to pieprzających się kochanków. Czy bliskość wynikająca z zadawania bólu.



– Ach, Zhu Yuanzhangu, zapewniłaś mi najbardziej kosztowne rżnięcie życia. Ale tak. Jestem człowiekiem honoru. Możesz skorzystać z mojej floty.

– Zapewniłam ci też tytuł jedyne go na świecie mężczyzny, który przeleciał przyszłego cesarza – zauważyła dziewczyna. – Kiedy wstąpię na tron, przyjedź i też mnie o coś poproś. Z przyjemnością tę prośbę spełnię.

– Hojna – zauważył rozbawiony pirat. – A jeśli zażądam kolejnego rżnięcia?

– Proś, o co chcesz. Tylko weź jedno pod rozwagę – rzuciła z nikłym uśmiechem Zhu, wychodząca w swojej złotej szacie. – Nie jestem tak honorowa jak ty i mogę po wszystkim kazać zrobić z ciebie eunucha. To dopiero byłoby życiowe osiągnięcie: ostatnią osobą, którą w życiu przeleciałeś, byłby cesarz. Sam osądź, czy warto.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, wezwała służkę i poprosiła o miskę ciepłej wody do mycia. Czowała się zadowolona z ostatecznego obrotu spraw. Dzięki okrętom i załogom Fanga jej armie mogły ruszyć przeciwko Chenowi. Pani Zhang tymczasem wykrwawi się w jałowych starciach z wielkim radcą, którego siły również na tym ucierpią. Kiedy Zhu upora się z Chenem i wyprawi na Dadu, pomiędzy nią a tronem nie będzie już poważniejszych przeszkód. Niecierpliwość pchała ją ku przyszłemu zwycięstwu, ku chwili, która zdawała się bardziej rzeczywista od wszystkiego, co przeżywała obecnie.

Pogrążona w rozmyślaniach, ledwie zarejestrowała, że ktoś wszedł do pokoju. Podniosła wzrok i ze zdziwieniem stwierdziła, że to nie dziewczyna z miską. Odwiedził ją Ouyang.

Trząśł się na całym ciele. Zarejestrowała to, zanim umysł podpowiedział jej, że generał jest naprawdę wściekły. Nie widziała go jeszcze tak rozjuszonego. W palcach zaciśniętych pięści praktycznie nie było kropli krwi.

Ach, Zhu niemal zapomniała o swojej jednostronnie podjętej decyzji pozbycia się Chu, jednego z komendantów Ouyanga. Poczwała

ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o tym, że dopiero co przeszła przez salę jadalną po brzegi wypełnioną kobietami – teraz, po turnieju, zachowywały się znacznie bardziej przyjaźnie – ale nie zauważyła wśród nich Yuchuna. Czyżby zamknął się w swoim pokoju, czyszcząc miecz i roztrząsając w duchu czyn, do którego zmusiła go Zhu? Znała go jako twardego dzieciaka, tak jak ona zahartowanego przez życie, lecz nawet ten chłopak nie mógł uznać zabójstwa niczego niepodważającego towarzysza za wydarzenie błahe. Nawet jeśli chodziło o szpiega.

Ouyang miał wszelkie prawo złościć się na nią za samowolne podjęcie decyzji, lecz intensywność jego reakcji mocno ją zaskoczyła. Nie podejrzewała, że mogło mu tak bardzo zależeć na którymkolwiek z zastępców.

– Starszy komendant Chu był szpiegiem – wyjaśniła. – To on wysyłał te szyfrowane meldunki. Nie mogłam pozwolić, żeby zdradził nasze plany, zwłaszcza te dotyczące marszu na Dadu.

– Starszy komendant... – powtórzył Ouyang, mordując ją wzrokiem, w którym płonęła odraza. Słowa zabrzmiały dziwnie płasko.

Zhu poczuła kolejny dreszcz. Jemu nie chodzi o Chu, rozumiała.

Generał czymś w nią rzucił. Uchyliła się odruchowo i zmięta kartka spadła między nimi na podłogę. Nie musiała nawet patrzeć, by zrozumieć, czego się na jej temat dowiedział. Wiedziała, choć wciąż nie dowierzała, że to się dzieje. Bo nic innego nie mogło wywołać tak silnej reakcji.

– Powinienem był się domyślić – wychrypiał niemal nieludzkim głosem.

Już wcześniej czuła na sobie obrzydzenie Ouyanga, lecz tamto przynajmniej dotykało ją jako człowieka. A to dzisiejsze stosował przy niej wyłącznie wobec innych, ta odraza pozbawiała ją wszystkiego, czyniła zwykłym przedmiotem.

Na zewnątrz skrzeczały mewy.

– Podpowiadały mi to oczy. – Koszmarnie lodowaty ton. – Ale nie chciałem im ufać. Zmusiłem się, żeby w ciebie uwierzyć, mimo że prawdę miałem tuż przed sobą. Twój wygląd, twoje zachowanie. Takie to oczywiste. Tak ochoczo poniżałaś się przed mężczyznami, służyłaś im, klękałaś dla nich. Pozwoliłaś Fangowi się zerznąć? Zrobiłaś to, prawda? – Gardło generała zagrało, kolejne słowa dobywał z siebie z prawdziwym trudem. – Jak mogłem być na tyle głupi, że uwierzyłem? Wiedziałem przecież, że prawdziwy mężczyzna wolałby umrzeć, niż być kimś takim jak ty!

Podszedł i stanął bardzo blisko, tak blisko jak niedawno. Teraz jednak owa bliskość nie niosła ze sobą obietnicy, ale groźbę. Zhu wyraźnie czuła, że Ouyang dokonuje przeglądu tworzących ją elementów, porównuje je, redukuje ją do cielesnej powłoki. W nowym świetle postrzegał nie tylko ją, lecz także wszystko, co zrobiła. Także to, co zrobiła jemu. Wychwyciła moment, w którym narodziło się w nim nowe, gwałtowne pragnienie: wymazać fakt, że widziała go bezbronno i obnażonego. Dla Ouyanga to właśnie musiało być najgorsze: fakt, że oddał się w moc jednej z istot, którymi pogardzał najbardziej i z którymi bez końca się porównywał.

– Jak musiałaś się śmiać, widząc mnie w kobiecym przebraniu! Przyjemnie było sprowadzić mnie do swojego poziomu? Cieszysz się, że odebrałaś mi dumę? Upokorzyłem się przed tobą. Pozwoliłem ci siebie obejrzeć. Poprosiłaś o wszystko i wszystko ci dałem, ponieważ bez przerwy powtarzałaś, że mnie rozumiesz, że jesteśmy tacy sami, że ku temu samemu zmierzamy. – Dziwnie było słyszeć zwyczajne dolatujące zza drzwi dźwięki. Kroki, odgłosy trwającej na dole zabawy. Tymczasem rozpadał się właśnie cały świat. – W niczym nie jesteśmy do siebie podobni! – rzucił jej w twarz zdjęty morderczym cierpieniem Ouyang.

Łącząca ich identyczność była dotąd niczym cenny klejnot. Teraz roztrzaskał ten kamień młotem i zabolalo to bardziej, niż Zhu uważała za możliwe. W okamgnieniu przestała być człowiekiem, którego Ouyang darzył szacunkiem, a stała się kimś, komu

odmawiał prostego prawa do istnienia. Bolało tak, że ledwie powstrzymała jęk. Nic, co zrobiła, nie miało znaczenia w obliczu tej jednej zbrodni, której nie mógł jej przebaczyć: kobiecości.

Wpadł w sidła własnej straszliwej rzeczywistości i Zhu wiedziała, że tam go nie dosięgnie. Niemniej spróbowała.

– To, o czym się dowiedziałeś – powiedziała, słysząc, jak dziwnie brzmi w tej chwili jej głos – nie ma związku z tym, kim jestem. Od wczoraj zmieniło się jedynie tyle, że mam teraz wszystko, czego potrzebuję, żeby zwyciężyć. Fang Guozhen dał mi okręty! Wystarczy, że nadal będziemy razem, że zrealizujemy plan...

– Nie ma związku z tym, kim jesteś? – nie pozwolił jej dokończyć. – Ukryłaś przede mną, że twoja klęska jest zapisana w gwiazdach od początku. Z jakiegoś powodu ubzdurałaś sobie, że zdobędziesz tron. Naprawdę nie rozumiesz? – Świdrował ją dzikim wzrokiem. – Nie jesteś mężczyzną. Nigdy nie zdołasz dać mi tego, czego chcę. I wiedziałaś o tym od zawsze... Cesarzem? Ty? – Zaśmiała się ostro, z niedowierzaniem. – Przecież jesteś zwykłą kurwą.

Za plecami generała otworzyły się drzwi i do pokoju weszła służka z miską wody. Gwałtowność, z jaką drgnął, sprawiła, iż Zhu pomyślała, że gdyby miał przy sobie broń, zadźgałby dziewczynę na miejscu. Kiedy się ku niej zwrócił, krzyknęła ze strachu i upuściła naczynie.

Ouyang warknął i przepchnął się w drzwiach obok Yuchuna, który zdyszany stanął na progu tuż za służącą.

– Usłyszałem krzyki... – Chłopak popatrzył za odchodzącym.

Zhu cała się trzęsła. Dotarło do niej, że dygoce już od dawna, jakby łącząca ich rozwibrowana więź nareszcie wstrząsnęła obojgiem na dobre. Otworzyła się przed jedynym człowiekiem, który mógł ją zrozumieć. A on skorzystał z tej wiedzy, wykorzystał jej najbardziej wrażliwy punkt i skrzywdził ją.

Czekało ich zwycięstwo. Czekало ich wspólne zwycięstwo. Lecz teraz...

Czyli tak boli zdrada.

Cierpienie nie pozwalało jej odetchnąć pełną piersią. Była jednak Zhu Yuanzhangiem, była dostatecznie silna, by przetrwać wszystko.

Wciąż rozedrganą ręką podniosła z zalanej podłogi kartkę, by nie rozpuścił się atrament. Charakter pisma wskazywał tę osobę, której się spodziewała. Tylko on znał jej tajemnicę i jedynie on rozumiał, że ta sprawa poróżni ją z Ouyangiem nieodwracalnie.

– Zapomnij o nim. – Spojrzała na Yuchuna. – Znajdź mi Jiao Yu.

Jiao zawsze wybierał stronę bliższą sukcesu. Dlatego przecież związał się z nią. Co się zmieniło? – pomyślała, wściekła, że nie potrafi pojąć. Tak, przed wyprawą do Qingyuanu zaczął w nią wątpić, lecz przecież dowiodła mu, że się mylił. Zdobyła flotę. Jak to możliwe, że uznał, iż mogą przegrać?

Wtem przypomniała sobie niewidzialną rękę. Rzuciła się do swojego bagażu i wyszarpnęła list szpiega. Przygnębiona popatrzyła na bezsensowne słowa. Jiao powiedział, że nie potrafi złamać szyfru.

– Jiao Yu zniknął. Wyjechał – powiedział Yuchun, który właśnie wrócił. Nagle wydał jej się bardzo młody.

– Generał Ouyang też – odparła otępiała. – Pojechał do Yingtianu, żeby wyprowadzić swoją armię. Nie mam sposobu, żeby mu to uniemożliwić. Pomaszeruje na Dadu bez nas. A my zmierzmy się z Chen Youliangiem o własnych siłach.

Ledwie usłyszała stłumiony okrzyk przestrawu chłopaka. Nie straciła wprawdzie okrętów Fanga, lecz Yuchun równie dobrze jak ona wiedział, co odejście Ouyanga oznacza dla ich szans w starciu z Chenem.

Jiao złamał szyfr i dowiedział się, do kogo należy niewidzialna ręka: do człowieka, którego Zhu nie znała i nie spotkała; do pewnego kandydata do tronu.



16

Chanbałyk

**N**owe, białe latarnie, rozwieszono specjalnie na wieczór Festiwalu Zimy, jasno świeciły na tle oblodzonego papieru wypełniającego okna sali bankietowej wielkiego chana. Ministrowie siedzieli przy niskich, rozmieszczonych pod ścianami stolikach, na których stały puchary grzanego wina. Siedzący między nimi Baoxiang miał nieodparte wrażenie, że wszystko tu jest dziwnie nierzeczywiste.

Po suchym początku zimy śnieg uderzył w Chanbałyk bardzo niespodziewanie. Stolica uległa wyraźnej transformacji, choć nie wszystkie zmiany należało przypisać siłom natury. Działania wielmożnej Ki, usiłującej wytrzebić z armii stołecznej wszystkich zwolenników wielkiego radcy, sprawiły, że liczebność wojska uległa drastycznej redukcji. Dodatkowo niedobór zbóż i soli doprowadził do exodusu cywilnych mieszkańców. Baoxiang dzień w dzień obserwował w drodze do ministerstwa kolejne świadectwa obumierania stolicy. Pociągnięte przez niego sznurki pruły powoli szatę, która kurczyła się rządkiem po rządkiem. Niemniej w odseparowanym świecie Miasta Pałacu było zupełnie jak we

wnętrzu latarni: olśniewające światło bez końca odbijało się od ścian i uniemożliwiało dojrzenie tego, co działo się gdzie indziej. Dwór Wielkich Yuanów ucztował, nieświadomy nadciągającej zagłady.

– Ministrowie! – Suche zimowe powietrze zintensyfikowało barwę nieustannie pełgającego na policzkach władcy rumieńca. Wielki chan, stwierdził w duchu Baoxiang, stanowi najsilniejszy możliwy argument ludzi twierdzących, że różowe policzki dowodzą naturalnie radosnego usposobienia. – W podzięcie za waszą niezłomnie lojalną służbę wobec nas, wielkiego chana i całego cesarstwa postanowiłem nagrodzić was pucharem wina. Pijcie!

Jak wielu ministrów naprawdę wierzyło w tego nudziarza? Z pewnością nie więcej niż garstka. Baoxiang uniósł kielich, podobnie jak pozostali.

– Obyś panował dziesięć tysięcy lat, wielki chanie!

Siedzący przy stole najbliżej podwyższenia trzeci książę osuszył swój puchar z arogancką obojętnością. Nie odstawił jednak naczynia od razu. Baoxiang z zainteresowaniem odnotował, że zna chłopaka na tyle dobrze, że wystarczył mu ten jeden niuans, momentalne zawieszenie pochylonej ręki, by zrozumieć, że książę zastanawia się właśnie, czy nie upuścić kielicha na podłogę. Skoro zyskanie ojcowskiej przychylności okazało się niemożliwe, gotów był wybrać potępienie.

Ostatecznie jednak puchar wrócił na blat. Sięgnięcie po nawet tę najbardziej poślednią z form uznania okazało się dla niego zbyt trudne. Niemniej Baoxiang stwierdził, że z jakiegoś nieodgadnionego powodu nie potrafi wykrzesać z siebie zwykłej pogardy wobec lękliwego chłopca.

– Cieszcie się nagrodą i jedzcie – odezwała się siedząca u boku wielkiego chana wielmożna Ki.

Słudzy wnieśli miski słodkiej zupy imbirowej, w której pływały mięciutkie białe pierożki. Było już oczywiste, że śmierć wielkiego radcy uczyniła z faworyty cesarzową pod wszystkimi względami z wyjątkiem tytułu. Wydawało się tylko kwestią czasu, kiedy kobieta

przekona władcę do zmiany tego ostatniego szczegółu. Nowa pozycja wyraźnie jej służyła: zalana blaskiem latarni wielmożna Ki skrzyła się niczym topniejący w czas odwilży soplel.

Cesarzowa natomiast odstąpiła dziś od zwyczaju podkreślania ust szminką. Bez niej wydawała się nienaturalnie blada i pozbawiona wyrazu. Musiała cierpieć prawdziwe katusze, czując, jak władza – oraz tytuł – wycieka jej między palcami niczym białko kurzego jaja. Pierozków nawet nie tknęła. Miała jeszcze ten luksus, że mogła odrzucić poczęstunek. Baoxiang, któremu apetyt także nie dopisywał, nie miał innego wyjścia i zmusił się do tej obowiązkowej demonstracji wdzięczności. Nadzienie wpłynęło mu do ust samo, nie zdążył nawet wgrzyźć się w ciasto: ziarna czarnego sezamu wypłynęły ze zbyt delikatnej osłonki. Było w tym coś nieuchronnego.

Gdy tylko ministrowie skończyli jeść, cesarzowa niecierpliwie wstała z miejsca, by wyjść, nagle jednak znieruchomiała, powiodła po zebranych zdumionym spojrzeniem i runęła na posadzkę.

W sali rozległo się szemranie. Zaciekawione raczej niż zaniepokojone. Nawet Baoxiang, który zwykle zostawiał sprawy związane z cielesnością innym, wiedział, że nie patrzą na trupa. To byłoby pewnego rodzaju niespodzianką. Upływ czasu sprzyjał wielmożnej Ki, pochopnym skrytobójstwem nie mogła niczego zyskać. Pobieżne spojrzenie potwierdziło wstępną hipotezę, faworyta sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej, choć widać też było, że natychmiast zaczyna kalkulować. Baoxiang pozwolił sobie na nikły, posępny uśmiezek. Zatem wielmożna Ki nie jest jedyną osobą, która stara się zyskać uwagę wielkiego chana.

Pałacowy medyk nadbiegł nieco zbyt szybko, by wypadło to wiarygodnie. Niemniej odegrał całkiem znośne przedstawienie: udając troskę, zmierzył leżącej cesarzowej puls, po czym przywołał na twarz wyraz szoku. Podskoczył do władcy i szepnął mu coś na ucho. Służki cesarzowej otoczyły swoją panią i pomogły jej dźwignąć się z podłogi. Stała chwiejnie o własnych siłach. Blada na twarzy. I uśmiechnięta.



Wielki chan poderwał się z krzesła i obwieścił głośnym wołaniem:

– Niebiosy pobłogosławiły cesarzową!

Ministrowie zachłysnęli się jak jeden mąż.

Baoxiang nie dołączył do pędzącego ku podwyższeniu tłumy gratulantów. Obserwował siedzącego po drugiej stronie pomieszczenia trzeciego księcia. Chłopak również nie wstał. Siedział z odciśniętym na twarzy wyrazem głębokiego szoku. Minister poczuł ukłucie emocji. Dobrze wiedział, jakie to uczucie, kiedy spełnia się czyjś najgorszy, z dawna żywiony strach. Na chwilę przeniósł się z powrotem na szczyt tamtego urwiska: ojciec leżał w dole, a Esen wpatrywał się w niego nienawistnie, oskarżycielsko. Na początku Baoxiang nie mógł w to uwierzyć. Mimo wszystkiego, co między nimi zaszło, to jedno zdawało mu się wykluczone: Esen nie mógł przecież uznać, że młodszy brat zrobił to rozmyślnie.

Lecz Esen tak właśnie pomyślał. Kiedy Baoxiang uświadomił sobie ten fakt, poczuł, że ze świata odpływają wszystkie barwy. Pomyślał, że tak musi wyglądać śmierć.

Tymczasem trzeci książę rzucił bezradne spojrzenie matce. Wielmożna Ki jednak nie odpowiedziała pocieszającym gestem, nie wychwyciła nawet jego wzroku. Jej oblicze stało się nieruchomą taflą lodu.

Kiedy Baoxiang zdołał wreszcie przebić się przez ścisk, Seyhan czekał na niego na zewnątrz.

– Cóż, to wciąż może być dziewczynka – zagaił minister.

– Postawiłbyś na to pieniądze? – W bladych oczach sekretarza błysnęło zaniepokojenie.

Weszli w głąb cienistego sadu granatów. Śnieżne czapeczki okrywały pomarszczone, zbrązowiałe łupiny starych owoców, zwisające niczym rozplątane zwłoki, dawno już pozbawione nasion. Jakże wielkie szczęście spotkało cesarzową, przydarzyła jej się ta jedna jedyna rzecz, która mogła ją ocalić! Baoxiang nadal niósł na podniebieniu smak czarnego sezamu. Powinien być słodki, lecz zamiast tego wywołał falę mdłości.

– Nie. Wielmożna Ki też tego nie robi. I z pewnością nie będzie się temu przyglądać beczynnienie.

Obejrzeni się z powrotem ku sali bankietowej, z której drzwi wyłoniła się czyjaś sylwetka. Światło latarni odbiło się od srebrnych smoków na jego szacie płomieniem, który rozproszył na moment mrok ogrodu. Przechodząc obok stojących pod drzewem granatu ministra i jego sekretarza, trzeci książę obrzucił ich takim spojrzeniem, jakby nie miał pojęcia, na kogo patrzy, po czym poszedł dalej.

Baoxiang czuł w piersi ciężki, ciasno spleciony węzeł. Odprowadził wzrokiem migocące coraz słabszymi refleksami plecy niknącego w ciemności chłopaka.

– Zaczekaj tu – polecił Seyhanowi.

Młody arystokrata nie oddalił się zanadto. Minister zastał go w jednej z altan. Z dala od świateł i bankietowego zgiełku panował bezruch i ziąb. Baoxiang zadrżał. Jego urzędowa szata była wyjątkowo mizernym zamiennikiem futra. Na ośnieżonych dachach pałacu kładła się poświata rosnącego księżyca. Poza murami Miasta Cesarskiego kołysały się odległe wierzchołki drzew, podobne do srebrzystej fali rozbijającej się o ciemny brzeg.

Trzeci książę nie podziwiał widoków. Wpatrywał się we własną prawą pięść. Powinna być czerwona z zimna, lecz blask księżyca pozbawił jego skórę życia i sprawiała wrażenie równie martwej jak całe ich otoczenie.

– Wiesz, że ja mimo wszystko wierzyłem, że to mogę być ja?

Nie, pomyślał Baoxiang, z pewnością nie wierzył wiarą, która bolałaby tak, jakby przygniótł go cały ocean. Gdyby chłopak wierzył naprawdę, otrzymałby mandat. Tym, co czuł, była jedynie nadzieja. Z pewnością wiele razy stawał dokładnie jak teraz, samotny w ogrodzie bądź w swoim pokoju, i otwierał dłoń w nadziei, że zatańczy na niej płomień. Za każdym razem tłumaczył sobie, że nic podobnego się nie stanie, a jednak wciąż, wbrew sobie, miał nadzieję, że pewnego dnia ognik zapłonie.

Na długo po tym, jak Baoxiang stracił wiarę, że jego stosunki z Esenem mogą ulec zmianie, wciąż jeszcze żywił na to nadzieję. Wiedział, jak trudno rozstać się z wizją przyszłości, która zdaje się prawdziwa wyłącznie dlatego, że się jej pragnie. Czasami zrezygnować z czegoś jest tak trudno, że udaje się to tylko wtedy, gdy ukochany przedmiot rozpada się na kawałki, a jego okruchy sypią się człowiekowi między palcami.

– Zwróciłeś uwagę, jaki był szczęśliwy? – Głos zaczął odmawiać chłopakowi posłuszeństwa. – Wszyscy to zauważyli. Nie może się doczekać dnia, w którym mnie wymieni.

Baoxiang złapał pięść księcia, tuż zanim gruchnęła w balustradę altany. Młodzieniec drgnął, po czym spojrzał na swój kułak drgający między palcami ministra.

– Twoja matka sobie z tym poradzi – stwierdził minister łagodnie. – Możesz być pewien, że ona tę sytuację naprostuje.

– Naprostuje – powtórzył jak echo trzeci książę. – Tak. Naprostuje. Bo taka właśnie jest. Prostuje sytuacje. Naprostowała już sytuację z moimi braćmi i ich matką, potem tę z wielkim radcą i bez wątpienia naprawi sytuację z cesarzową. Ale wiesz, czego nie naprostuje nigdy? Mnie – mówił tonem martwego zobojętnienia. Baoxiang znał ten ton, był to głos człowieka, który tonął we własnym wnętrzu, który znalazł się zbyt głęboko, by można go było dosięgnąć. – Ze wszystkich synów, jakimi mogły obdarzyć ją niebiosy, przytrafiłem jej się akurat ja! Matka mnie nienawidzi, nienawidzi mnie równie gorąco jak on. Jedyne różnica polega na tym, że jej jestem potrzebny. Gdyby nie to, lepiej by było, gdybym się po prostu zabił.

Baoxiang przypomniał sobie troskę, jaką wypatrzył pod gładką, kamienną fasadą wielmożnej Ki. Żyła w pałacu, w otoczeniu, w którym drobny nawet błąd mógł okazać się śmiertelnie groźny. Mógłby więc zrozumieć, gdyby ukrywała uczucia przed zazdrosnym małżonkiem tudzież zawziętą rywalką. Ona jednak skrywała je nawet przed tą jedyną osobą, której naprawdę były potrzebne. Być może z jej punktu widzenia na tym właśnie polegała miłość. Czy

jednak mógł to zrozumieć trzeci książę, który nie miał pojęcia, że matka w ogóle cokolwiek czuje?

Zabolało go serce. Nie był pewien, czy ze względu na chłopaka, czy swój własny los.

– Ayushiridara. – Nigdy dotąd nie wypowiedział na głos książęcego imienia. Zastanowił się, ilu ludzi zwracało się do niego w ten sposób.

Zdziwienie przebiło tarczę obojętności arystokraty. Minister zauważył, że to jedno słowo wydobyło go z ciemnej toni, w której się zanurzał. Sięgnął po twarz księcia koniuszkami palców i obrócił ją ku sobie. Chłopak, urodzony na dworze, przysposobiony do swojej roli, nie zaznał ani dnia życia poza oficjalnymi strukturami. Baoxiang odniósł wrażenie, że nazywając go imieniem, po raz pierwszy przywołał go do istnienia jako osobę. Jeszcze przez chwilę gładził lekko jego policzek, po czym pocałował go.

Wargi ich obu ostygły na zimnym powietrzu ogrodu. Tam, gdzie się zetknęły, wezbrało jednak ciepło. Baoxiang poczuł na ustach nieznane sobie doznanie. Zarost. Jakiś impuls przełamał jego tarczę. Ten impuls należał do innego człowieka: człowieka, którym był, zanim pochłonęła go czerń. Człowieka, który widząc cierpienie bliźniego, nie stara się go odruchowo pogłębić, tylko mówi: rozumiem cię.

Minister oplótł palcami kark trzeciego księcia i otworzył jego zbolące, zaskoczone usta własnymi. Pocałunki zawsze wydawały mu się czymś z gruntu innym niż rżnięcie. Pieprząc, łatwo przypadkiem osunąć się w samego siebie – uczynić drugą osobę jeśli nie po prostu przedmiotem, to kimś na tyle dalekim, że jej osobowość stawała się nieistotna. Dotyk twarzy innego człowieka – natarczywość innych ust i warg – stanowi jednak niezaprzeczalne potwierdzenie podmiotowości. Baoxiang całował chłopaka i wiedział, dlaczego jego impuls przybrał taką właśnie postać. Była to antyteza odtrącenia. W tej chwili obaj stwarzali siebie nawzajem, stawali się wobec siebie dwoma żywymi ludźmi, obecnymi, urzeczywistnionymi poprzez bliskość drugiego.

Trzeci książę odpowiadał nieporadnie, lecz ochoczo. Baoxiang rozchylił mu usta jeszcze szerzej. Ich skupienie zyskało własny ciężar, ruchy warg stały się powolnym, głęboko intymnym tańcem, w którym pożerali jeden drugiego. Ministra przepełnił przesyty: wydawało mu się, że mogą z siebie czerpać bez końca. Ścisnął kark chłopaka tak mocno, jakby tylko ten gest utrzymywał ich razem. Usta płonęły pod naciskiem, pod intensywnym spojrzeniem jego niemego świadka: widzę cię.

Chwila nie miała posmaku wyrachowania, taniego teatrzyku, który miał za zadanie pocieszyć trzeciego księcia. Wyczuwał w niej prawdę. Prawdę wyrosłą nie na gruncie pożądania, lecz więzi. Niemniej nawet kiedy się całowali, kiedy trzymał chłopaka, udając, że nie czuje jego słonych łez, zdawał sobie sprawę, że pocieszając go wcześniej, skłamał.

Nad czubkami drzew pojawiła się wstęga Niebiańskiej Rzeki. Przyszłość jednak nie była świetlista. Nie oferowała pokrzepienia. Cesarzowa nie urodzi dziecka z mandatem, lecz nie zyska go też trzeci książę. Gdy Baoxiang oderwał się od chłopaka i cofnął, doznał wizji, w której stał z wyciągniętą ręką. A bijący z jego dłoni czarny płomień niczym chmura pożerał powoli księżyc i gwiazdy, miasto wraz z jego srebrzystymi murami i wszystkie inne, najsłabsze nawet światełka. A potem została tylko pustka.

Nic już nie dzieliło go od czerni, która kiedyś stanowiła azyl, lecz teraz była najpotworniejszym doznaniem, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Przypominała mroczną odwrotność słońca; miał wrażenie, że za każdym razem, kiedy próbuje na nią spojrzeć, mimowolnie się odwraca, podobnie jak w swoich niezapamiętanych snach. Wiedział jedynie, że kiedy tę czerń uwolni, zatopi nie tylko świat, lecz także siebie samego.

朱

– Ach, ministrze! Więc ty także bierzesz udział w tej przepysznej przygodzie! – rzuciła z tłumioną furią wielmożna Ki. Baoxiang był pewien, że gniew faworyty skierowany jest przeciw komuś innemu. Przed chwilą spotkali się w gąszczu spacerujących nad gorącymi źródłami mężczyzn i kobiet. – Mam nadzieję, że zaczerpniesz z niej więcej przyjemności niż pozostali.

Wycieczkę cesarskiej rodziny do gorących źródeł, tryskających wśród wzgórz położonych dwadzieścia li od Chanbałyku, wymyśliła cesarzowa – wizyta w tym miejscu miała rzekomo zapewnić zdrowy przebieg jej ciąży. Posiadając obecnie zarazem posłuch i łaski wielkiego chana, nie omieszkała z nich skorzystać, by przymusić do udziału w wyjeździe resztę dworzan, którzy mieli patrzeć i podziwiać, z jak szczególnymi względami jest teraz traktowana. Nic dziwnego, że wielmożna Ki była wściekła jak osa.

Pół miesiąca zadawanych przez cesarzową upokorzeń odcisnęło na niej silne piętno. Mimo wysiłków różowego światła sączącego się przez trzymany nad nią przez służkę jedwabny parasol gładkie jak marmurowa rzeźba oblicze Ki zniknęło, zastąpione poszarzałą, ściągniętą twarzą. Wyglądała dokładnie tak staro, jak powinna wyglądać kobieta, która sprowadziła na świat jeden uszkodzony egzemplarz potomstwa i przez długie osiemnaście następnych lat nie zdołała począć kolejnego. Jej spojrzenie, uświadomił sobie Baoxiang, wyrażało czystą desperację.

– Cóż tu mówić o przyjemności. To syn wielmożnej Ki był tak uprzejmy, że objął zaproszeniem niegodnego urzędnika. Czy mogłem odmówić? – Baoxiang uraczył kobietę najbardziej mdłym ze swych uśmiechów. – Być może trzeci książę planuje podszkolić się w malarstwie pejzażowym, do którego mam umiarkowany talent. Czegokolwiek zapragnie, jestem pewien, że zdołam go wspomóc.

Czując na sobie uważny wzrok wielmożnej, Baoxiang popadł w niewytłumaczalną grozę: zamarzył, w całkowitej sprzeczności z rzeczywistym celem przyjazdu, by nie odpowiedziała nawet słowem. Ostatecznie jednak po dłuższej chwili faworyta zwróciła się do towarzyszącej jej świty:

– Zapach tych źródeł jest niezwykle wstrętny. Przynieście mi do basenu herbatę i woreczek wonnych ziół, żebym miała co podsunąć pod nos w trakcie kąpieli. – Kiedy odeszli wszyscy z wyjątkiem dziewczyny trzymającej parasol, podjęła: – Czyżbyś proponował jakąś wyjątkową usługę, ministrze?

– Być może taką, która rozwiąże bardzo konkretny problem – odparł Baoxiang, zerkając na służącą z parasolem.

– Jej można zaufać – stwierdziła chłodno wielmożna Ki. – Mów otwarcie, choć zwięźle. Małżonka cesarza nie powinna rozmawiać z innymi mężczyznami. Nawet takimi jak ty.

Dziwny moment trwogi przeminął. Choć zima była w pełni, ogrodnicy wielkiego chana zwieźli do źródeł całe zatrzesienie gałęzi śliwy, które najpierw zmuszono do zakwitnięcia w specjalnie ogrzewanych wnętrzach, a teraz rozmieszczono dokoła w pozornie naturalnej aranżacji, mającej budować iluzję wiosennego sadu. Wyglądało na to, że w służbie Wielkich Yuanów nawet umarłe istoty nie mogą zaznać spoczynku.

– Jeśli nikt jej nie powstrzyma, cesarzowa urodzi następcę tronu, który zastąpi trzeciego księcia. A tego nie życzymy sobie oboje. Pozwól, że zaproponuję ci pomoc. Mam bardziej swobodny dostęp do Miasta Zewnętrznego niż ty i nie jestem poddany tak ścisłej obserwacji.

Ryzykował, bazując na zdobytym wcześniej zaufaniu. Po dłuższej chwili wielmożna Ki odpowiedziała bez cienia emocji w głosie:

– Gdyby cesarzowa miała poronić, musiałoby to wyglądać na zdarzenie wywołane naturalnymi przyczynami. Jeżeli pojawią się jakiegokolwiek wątpliwości, podejrzenie spadnie na mnie.

List, na który Baoxiang czekał od pewnego czasu, dotarł do niego rankiem.

– Dysponuję stosownymi środkami – odparł spokojnie. – Nikt się nie dowie.

– Nawet trzeci książę – przestrzegła wielmożna Ki. Kiedy się odwracała, wychwycił na jej twarzy falę niepokoju: szczere uczucie

na moment uczyniło kamień plastycznym. – Dopilnuj, żeby był bezpieczny, ministrze.

朱

Coś było nie tak. Wydarzyło się coś strasznego, a co gorsza, coś się stało z jego oczyma. Nie widział..

Całkowicie zdezorientowany Baoxiang uświadomił sobie, że wrócił na jawę. Cichy okrzyk uwiązł mu w gardle. Sypialnia trzeciego księcia tonęła w ciemności, to dlatego nic nie widział. Leżał zwrócony twarzą do pleców uspionego chłopaka. Lecz całą uwagę skupił na tym, kto jeszcze był z nimi w pokoju. Esen.

Żadne zewnętrzne świadectwo nie podpowiadało, czyje to widmo. Baoxiang jednak aż nazbyt dobrze znał wrażenie, jakie wypełniło całe jego ciało. Budziła je wyłącznie bliskość Esena, jakby tę wyjątkową, odruchową reakcję wytworzyły w nim lata związanych z bratem emocji i wzajemnych kontaktów. Rozpoznawał go częścią duszy, która leżała poniżej racjonalnych myśli. Po prostu wiedział.

Doznanie obecności Esena było tak silne, że musiał stać gdzieś blisko. Niewykluczone, że tuż przy łóżku. Na tyle blisko, by dotknąć obnażonego, wysuniętego spod narzuty ramienia Baoxianga. Zimno przetoczyło się po ministrze niczym fale strachu. Wokół panowała cisza tak głęboka, że kiedy włoski na ciele stanęły mu dęba, usłyszał ich delikatny szelest.

Widział w mroku ledwie zarysowany kontur ciała trzeciego księcia. Wewnątrz wciąż czuł pieczenie, mniej intensywne niż poprzednio. Tym razem po powrocie z gorących źródeł spółkowali zadziwiająco czule. Baoxiang chciał wyjść zaraz po, czekało go kolejne spotkanie. Nie myślał, że zaśnie – nie przyszło mu to nawet do głowy. A teraz pora była późna i spóźniony był on.

Musiał wyjść. Spotkanie było ważne. Na myśl o oderwaniu się od tchnącego ciepłem posłania poczuł jednak silną niechęć. Tutaj,



w mroku, zaledwie na wyciągnięcie ręki, leżał ten inny ktoś, człowiek, którego brał w objęcia i w samego siebie. Niespodziewanie poczuł ból samotności. Dzielilo ich nie tylko wyciągnięcie ręki. Umysł trzeciego księcia bawił daleko, w odległym miejscu, do którego Baoxiang nie miał dostępu. Minister był w ciemności sam, sam z duchem.

Lecz przecież mógł chłopaka z tej dalekiej dziedziny sprowadzić. Mógł go przywołać, wypowiadając jego imię. Księżę otworzyłby oczy i byłby już tutaj. To proste. Baoxiang mógł to zrobić bez trudu. Potrafił. Wciąż miał też wybór, mógł ruszyć naprzód inną ścieżką. Nadal mógł się zatrzymać.

Jednak wraz ze znajomą miazdzącą dezaprobatą i potępieniem ze strony ducha Baoxiang poczuł wzbierającą falę czerni. Zew i odzew, splecione w niemożliwym do przerwania cyklu. Była to ta sama fala gniewu, która zanosła go tak daleko – która miała go nieść aż po kres. Pozwalając jej się porwać, poczuł się straszliwie wyobcowany: znał tę czern, lecz nigdy nie dowiedział się, czym ona jest naprawdę.

Zwłókl się z łóżka i zadygotał, wściekły na zjawę. Nieważne, że gniew nie wprowadzał go już w euforię. Czern zagościła w nim na dobre. Pochłonęła go już jakiś czas temu. Nie wyobrażał sobie bez niej istnienia. Bez niej byłby po prostu niczym.

W snach zawsze się odwracał, lecz w koszmarze życia niezmiennie gnał prosto ku niewidocznemu duchowi.

Zjawa czekała, kiedy Baoxiang wyszedł z rezydencji księcia. Jadąc konno, czuł ją tuż obok. Trzymała się blisko, tuż za zasłoną padającego śniegu. Gdyby chciała, mogła przekroczyć tę delikatną barierę i dać się zobaczyć. Pragnienie Baoxianga, by ją ujrzeć, by zobaczyć Esena, było tak głębokie, że bez mała erotyczne. Pomyślał żarliwie, że kiedy zdobędzie władzę, przywoła brata z tego niedoścignętego miejsca. Kiedy niebiosa obdarzą go swoją potęgą, zmusi Esena, by się wreszcie pokazał i by na własne oczy zobaczył, co robi Baoxiang.

Ministerialna przepustka pozwoliła mu pokonać bramę Miasta Cesarskiego. Następnie wyjechał poza zewnętrzne fortyfikacje Chanbałyku i zapuścił się w przedmieścia. Mijał luksusowe rezydencje, stojące w coraz większych odległościach od siebie, rozrzucone niczym wyspy jasności na czarnym oceanie. Kiedy odszukał właściwą, zapukał i drzwi stanęły otworem.

Czekała na niego. Powitała go uśmiechem tak samo porcelanowym i idealnym, jaki pamiętał z ostatniego spotkania.

– Dobry wieczór, żono – powiedział w jej południowym języku.

朱

Uroda pani Zhang od zawsze istniała niezależnie od jej wyglądu i fizyczności. Iluzję doskonałości tkła dzięki samokontroli – zdolności odgrywania piękna. Mimo że Baoxiang widział ją poprzednio wiele lat wcześniej, nadal wyglądała cudownie. Policzki miała nieco bardziej ociążałe, a cera więcej zawdzięczała pudrom niż naturze. Lecz w zwiewnych, haftowanych złotą nicią rękawach jasno migotały nadgarstki, a szyja podobna była do nadobnie wygiętej łodygi kwiatu. Choć stała w bezruchu, ożywiało ją światło lamp, igrające z przyprószoną perłowym proszkiem skórą i zwisającymi z włosów klejnotami. Po szyi niczym dotyk kochanka sływał samotny kosmyk.

Spektakl przewidziany dla mężczyzny lubiącego kobiety. W zwyczajnych okolicznościach Baoxiang poczułby na ten widok iskrę – mimowolną świadomość potencjału, którego wcale nie musiał realizować. Zamiast tego doznał jednak pomieszania emocji bliskiego odrazie. Zaadresowała to przedstawienie do dawnej wersji Baoxianga: człowieka nieposiadającego mandatu, który nie został zerznięty przez innego mężczyznę, do kogoś zdolnego odczuwać cokolwiek poza wirem czerni. Poczul się, jakby stanął twarzą w twarz z własnym trupem. Makabra.

– Czy niegodna kobieta powinna się niepokoić stanem zdrowia małżonka? – wymruczała jak kotka. – Mąż mocno zeszczupłał.

Wyciągnęła po niego dłoń, lecz chwycił ją i przytrzymał. Mocno, prawie okrutnie.

– Nie – warknął.

Wyraz jej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie, nie pokazała po sobie ani bólu, ani zrozumienia. Zupełnie jakby w ogóle nic nie czuła.

– Nie? Owszem, doszły mnie słuchy, że ostatnimi czasy wmawiasz światu co innego, ale pamiętam cię jako młodzieńca zainteresowanego tym samym, co interesuje zwykłych mężczyzn. Dlaczego skoro jesteśmy teraz małżeństwem, nie chcesz się mną nacieszyć?

Z pozoru wszystko wskazywało, że niczego nie pragnęła bardziej niż tego, by zerznął ją na którymś z prostych mebli tego wynajętego domu, na oczach bezmyślnie obserwującej służby. W sposobie, w jaki zareagowała na jego chwyt, kryło się też jednak coś przerażającego – pasywność, brak zwykłego ludzkiego ciepła – co wskazywało, że prawda wygląda inaczej. Poczul na plecach ciarki. To on jej to zrobił. On zasiał zazdrość w sercu męża tej kobiety, on doprowadził do śmierci jej kochanka. Pozbawił ją wszelkiej nadziei i władzy, a teraz, kiedy sądziła, że zwraca się do niego z własnego wyboru, czyniła to z taką swobodą, jaką posiada spływająca po górskim stoku woda.

Jej zewnętrzna powłoka, cały ten blichtr, mocno go odpychała. Chciał ujrzeć prawdę, wygrzebać z głębi jej duszy świadectwo tego, co zrobił. Uwolnił jej rękę.

– Nie musisz udawać. Nie przede mną. Wiem, że kochałaś generała Zhanga.

Przez mgnienie widział jej ból. Zobaczył go jednak tak, jak ujrzałby potężny podmorski sztorm, targający wodorostami i podrywający z dna tumany piachu, nie wzruszający jednak powierzchni.

– Miłość! – rzuciła. Odniósł wrażenie, że jej umysł, potrafiący śmiać się w tej chwili swobodnie i gniewnie, istnieje w całkowitym oderwaniu od ciała, przesiąkniętego słonym ekstraktem rozpacz i żałoby. – Jakże mogła to być miłość, skoro tylko jedno z nas ją czuło? – Ponownie uniosła dłoń, musnęła policzek Baoxianga paznokciami. Jej gniew był gniewem lamparcicy rozszarpującej ofiarę, czerpiącej rozkosz z zadawania bólu innym, ponieważ sama cierpieć nie potrafi. – Być może jednak mój małżonek ma rację i młoda para powinna wzmocnić harmonię pożycia, poszukując wzajemnego zrozumienia. Powiedz mi zatem, Wang Baoxiangu. Umiem wyczuć, kiedy mężczyzna posiada władzę. Wiem, że nie miałeś jej, kiedy odwiedzałeś mnie jako zarządca prowincji, wolny od innych ambicji niż kompetentne wypełnianie obowiązków. – Koniuszki lakierowanych paznokci wbiły się głębiej, jej pragnienie zadania mu bólu wydało się zarazem prawdą i fałszem. – Co takiego uczyniłeś? Jaką decyzję podjąłeś, że zyskałeś mandat niebios?

Czy to w ogóle była decyzja? Wspomnienie powróciło do niego falą cierpienia: bólu, który potrafił jedynie odwzajemniać krzywdą za krzywdę, który sprawiał, że instynkt zastępował myślenie. Stał wtedy samotny w jurcie Esena i patrzył, jak ogień trawi jego książki. W tle słychać było rżenie konia. Pamiętał straszliwą, osobliwą prostotę swojego życzenia, które rozkwitło w nim, gdy pojawiły się duchy. Życzenia, które od dawna tkwiło niczym ostry okruch lodu w jego sercu, kaleczący je i tnący przy każdym uderzeniu.

Żeby Esen umarł.

Kiedy zdrajca Ouyanga wszedł do środka, nie pojawiła się myśl, że może się zatrzymać. Wtedy czern zagarnęła go po raz pierwszy – na długo zanim stała się wirem nieszczęścia i strachu – i wtedy poczuł największą i najczystsza ulgę w swoim życiu.

– Powiedziałeś, że chcesz upadku Wielkich Yuanów – powiedziała. – Że chcesz zasiąść na tronie, władać. Czy na pewno tego właśnie pragniesz?

Coś przeszło mu pierś. Nie wiedział co, czuł po prostu okrutną udrękę. Przez moment nie mógł zebrać myśli.

Cokolwiek pojawiło się na jego twarzy, wywołało jej uśmiech. Uśmiech równie ostry jak paznokcie.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Jednak nie pytajmy się o prawdę o sobie, mój mężu. Coś mi mówi, że żadne z nas by jej nie zniosło. – Dała znak służącej, która wyszła z pokoju. – Jestem ci winna podziękowania. Twój plan wykorzystania Chen Youlianga, żeby skłonić Zhu Yuanzhangą do przerwania oblężenia, sprawdził się znakomicie. Moja armia czeka w pogotowiu. Wystarczy, że dasz sygnał, a przybędzie.

Służąca powróciła, niosąc na tacy paczuszkę. Pani Zhang wzięła ją do ręki.

– Co do dalszego ciągu, mam to, co zamówiłeś. Czy jesteś pewien, że skład jest właściwy? Ten środek nieodpowiednio zastosowany może być niebezpieczny.

Baoxiang wyłowił paczuszkę spomiędzy jej palców. Mimo że cierpienie osłabło, czuł się jak pusta skorupa człowieka.

– Nie martw się – rzucił. – Wiem.

朱

– Pożyteczny z ciebie człowiek. Prawda, ministrze?

Z balkonu na ostatnim piętrze pagody roztaczał się widok na nieruchomą taflę jeziora, otoczoną sztywną kryzą zamarzniętych trzcin. Marmurowe mostki niczym białe tęczce spinały zaśnieżone wysepki. W pobliżu odezwał się jakiś nieznany ptak. Stali na tyle wysoko, że Baoxiang widział dachy rezydencji trzeciego księcia, położonej w pobliżu zachodniego muru Miasta Cesarskiego. Dalej rozciągał się już Chanbałyk. Z drzewami i domami zmienionymi w kopce śniegu miasto przypominało nie tyle miniaturowy model dla dzieci, co ruiny.

– Sprawdziłam działanie medykamentu – ciągnęła wielmożna Ki. Obrzuciła go badawczym wzrokiem i zrozumiała, że w tej chwili sprawdza też jego: chciała wiedzieć, czy obrazi się na jej nieufność.

Minister stał spokojnie, nieruchomo, by ujrzała, że niczym go nie uraziła. Już wcześniej wiedział, że ta kobieta niczego nie bierze na wiarę. Nadal czuł w ustach smak palców służącego jej rzezimieszka. Wreszcie rozciągnęła usta w uśmiechu. Zdał egzamin.

– Istotnie, działa znakomicie. Mój ekspert uznał, że zarówno pod względem smaku, jak i wyglądu specyfik jest nie do odróżnienia od zwyczajnej herbaty. Gdzie go zdobyłeś?

– U znajomej kurtyzany. – Zapatrzony w Chanbałyk Baoxiang widział nie zapadające się rumowisko, lecz ziemię zamykającą miasto w chtonicznych objęciach, podnoszącą się, sięgającą pni drzew, wież i fortyfikacji, grzebiącą pod sobą najwyższe dachy. – Przyjaźnimy się.

– Wielu ludzi ma znakomite zdanie o kurtyzanach z Chanbałyku! Aczkolwiek słyszałam, że brakuje im wyrafinowania charakteryzującego te z Lin’anu. – Zamilkła na moment, po czym dodała w zamyśleniu: – Nigdy takiej kobiety nie spotkałam. Ale sądząc po tym lekarstwie, twoja przyjaciółka zna swój fach wyśmienicie.

Jej naiwna ciekawość mocno Baoxianga zaskoczyła. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że wielmożna Ki całe dorosłe życie spędziła w obrębie murów Miasta Cesarskiego. Z wyjątkiem wycieczek u boku wielkiego chana miała tyle swobody, co przeciętny więzień.

– Teraz, kiedy dostałam odpowiednie narzędzie, zajmę się cesarzową. I nie będę zwlekać. Jeśli zrobię to szybko, rzecz wzbudzi mniej podejrzeń niż w późniejszym okresie. – Cofnęła się z balkonu i zeszła po schodach na parter, do świątyni.

Jej energiczny, pewny chód wydał się Baoxiangowi uderzająco męski. Jego umysł zdołał już ponownie przywyknąć do drobniutkich, chwiejnych kroczków pani Zhang, wdzięcznych, lecz naznaczonych wahaniem, przepelniającym serce patrzącego przyjemną świadomością jej kruchości. Wielmożna przyklękła przed ołtarzem, a kiedy minister poszedł za jej przykładem, powiedziała:

– Przedtem jednak, ministrze, muszę raz jeszcze wymóc na tobie pomoc.

Baoxiang wyjrzał przez drzwi świątyni i zobaczył eunuchów Ki taszczących między sobą coś ciężkiego. Naturalnie nie wnieśli tego do środka: nawet wielmożna nie miała czelności kalać świętego miejsca, sprowadzając za jego próg wykastrowanych mężczyzn czy krwawiące kobiety.

– Jak widzisz, twój medykament spowodował niewielki kłopot. – Ki wstała z klęczek. – Oddałę się pierwsza. Ufam, że poradysz sobie z tak niewielkim problemem.

Dwórka wielmożnej nie była jeszcze martwa, co jak domyślił się Baoxiang, stanowiło główny element testu. Napuchniętą od łez twarz kneblował kawałek szmaty. To nie ptaka usłyszał ze szczytu pagody, lecz stłumiony krzyk służącej. Na jej różowej spódnicy wyraźnie znać było krew.

Biedna, głupia dziewczucha. Wyobraził sobie, jak musiała być szczęśliwa, gdy wyznała ciepłej, pełnej współczucia wielmożnej Ki, że jest w ciąży. Zapewne opowiedziała swojej pani, że kiedy ze swym ukochanym gwardzistą zakończą służbę w pałacu, pobiorą się. Że ma nadzieję na kolejne dzieci, na radosne, dostatnie życie. Baoxiang poczuł na tę myśl skurcz trzewi. Kto ma odwagę marzyć o szczęśliwym zakończeniu? Tylko człowiek, który przez całe życie był traktowany zbyt łagodnie, ktoś, kto nie poznał w porę zasad, wedle których toczy się świat.

Skurcz w żołądku nie wyniknął z pogardy, był bolesny. Minister spodziewał się, że wielmożna Ki przetestuje specyfik. Nie sądził jednak, że ów sprawdzian będzie mieć tę twarz: pełną żalu, cierpiącą. Nie miał pojęcia, dlaczego tym razem bolało tak bardzo, przecież tak często unieszczęśliwiał w ten sam sposób wiele innych twarzy.

Baoxiang wciąż klęczał, kiedy Seyhan wszedł do środka, omijając leżącą w progu dziewczynę. Sekretarz rozejrzał się dokoła ciekawie, lecz bez cienia tej przemiany, jakiej doznają zwykle wkraczający do świątyni ludzie, których ciała uginają się pod ciężarem szacunku i czci. Seyhan stał się na chwilę obcym,

cudzoziemcem, wyznawcą odmiennego kultu, egzystującym poza znanym Baoxiangowi porządkiem.

Rzecz jasna, ta sama cecha sprawiała, że był tak przydatny.

– Zabierz tę dziewczynę do mojej żony. Dopilnuj, żeby otrzymała stosowną opiekę.

Sekretarz obrzucił spojrzeniem zapłakaną dwórkę i jej splamioną krwią sukienkę.

– Coś mi mówi, że nie o to prosiła cię wielmożna Ki.

– Jeżeli dowie się, że nie wykonałem rozkazu, każe zgładzić nas obu. – Baoxiang wstał i otrzepał szatę. – Lepiej bądź ostrożny.

– Zawsze jestem ostrożny. – W bladych oczach sekretarza błysnęła bezwzględność, ta sama, z jaką po cichu i sprawnie wymazał na polecenie ministra tak wiele ludzkich istnień. – Zakładam, że masz dobry powód?

Baoxiangowi ukazała się parada twarzy: energiczna służąca, bliźniaczki służące pani Zhang, minister. Osobiście nie zabił żadnego z tych ludzi. Nikogo z nich nawet nie tknął. A jednak był odpowiedzialny. To on do tego doprowadził i bez względu na to, co czuł: tego nie sposób już było odwrócić.

– Może chcę po prostu zrobić coś dobrego – rzucił z goryczą.

朱

Esen się oddalał. Odchodził od niego długim korytarzem, lecz był to jeden z korytarzy rezydencji trzeciego księcia, dzięki czemu Baoxiang zrozumiał, że śni. Nie czuł ciała, lecz wiedział, że jest mały, jakby działo się to dawno temu. A jednocześnie był pewien, że nie patrzy na człowieka z krwi i kości, lecz na ducha.

Esen niknął w cieniu. Baoxiang zdawał sobie sprawę, że jeśli brat skreśli, zniknie na dobre. Pospieszył za nim z wołaniem, choć z góry rozumiał, że niczego nie wskóra.

– Bracie, zaczekaj! – Rozpacz narastała. Nie mógł Esena dognać. Miał za krótkie nogi, był zbyt słaby. Czuł w dołku, że w jakiś sposób



brata zawiódł. – Przepraszam. Nie chciałem! Nie chciałem być niegrzeczny! Następnym razem postaram się bardziej. Nie zawiodę cię. Proszę, nie zostawiaj mnie!

Esen się odwrócił. Był brodatym, dorosłym sobą, zakutym w odświętną zbroję z przypiętą do barków, obrębioną futrem, czarną peleryną. Wyglądał najzupełniej zwyczajnie, lecz Baoxianga przytłoczyła nagła groza. To, co niegdyś tak swojskie, niepostrzeżenie przeistoczyło się w zupełnie inną substancję, byt nieznanym i niemożliwym do poznania. Uświadomił sobie, że powrotu do tego, co było, po prostu nie ma.

Choć zarost i warkoczyki Esena wciąż były czarne, w kącikach jego oczu widniały zmarszczki, które nie znikwały razem z uśmiechem. Świadectwa zwyczajnej ludzkiej kruchości, ślady słońca. Spoglądał ponad głowę Baoxianga, jakby widział w oddali miejsce, do którego powinien dotrzeć, coś znacznie ważniejszego niż młodszy brat.

W sercu Baoxianga wezbrała fala nienawiści do samego siebie. Wiedział, na co zasłużył. Zdawał sobie sprawę, że próby zatrzymania Esena były lepkie, śliskie, haniebne i niepotrzebne. Chciał wytłumaczyć, dlaczego zrobił, co zrobił, i chciał ujrzeć, jak oblicze brata mięknie w zrozumieniu. Miał świadomość, że to wykluczone. Najgorszy byłby płacz. Esen nie cierpiał łez, podobnie jak nie cierpiał wszystkiego, co wiązało się z Baoxiangiem. Wolałby nie mieć żadnego brata niż takiego, jaki mu przypadł, i bez względu na to, jak bardzo chłopiec się starał, bez względu na to, co robił, Esen nienawidził go coraz bardziej.

Wtem Esen opuścił wzrok i spojrzał mu w oczy.

– Nie nienawidzę cię, Baoxiang – powiedział z powagą.

Minister obudził się, zdjęty paroksyzmem płaczu. Znajdował się w jakimś obcym, przestronnym pomieszczeniu, gdzie nie było nic poza czernią. Tak, to był sen, lecz coś mu mówiło, że wszystko było najzupełniej prawdziwe. Wywołał we śnie ducha swojego brata. To nie była senna wizja czy majak. Esen naprawdę do niego przemówił. Baoxiang płakał tak rzewnie, że zabrakło mu tchu. Z piersią

wypełnioną nieznośnym bólem pomyślał, że w tym czarnym miejscu cierpienie nie odejdzie już nigdy.

Zachłysnął się i obudził. Policzki miał suche. Leżał w ocienionej żaluzjami sypialni, u boku trzeciego księcia. Od razu zrozumiał, że przed momentem doznał snu we śnie. Zupełnie jakby ktoś brutalnie zerwał jakąś zasłonę, pojął słabość i brak logiki tego, w co tak gorąco uwierzył Baoxiang z drugiego snu. Nie, nie spotkał się z Esenem. Żadna z tych scen nie była prawdziwa.

Oddech wciąż przychodził z trudem. Wizja była nierzeczywista, lecz fałszywe emocje ze snu niczym mściwe duchy przybyły z nim na jawę. Zebrało mu się na płacz i wściekł się na siebie za tak irracjonalny odruch. Dlaczego nie potrafi nad sobą zapanować? Wiedział przecież, jak wygląda prawda. Esen go nienawidził. Z jakiego powodu umysł snuł chore fantazje o czymś przeciwnym, sprawiając, że Baoxiang nie tylko zaczynał w to wierzyć, lecz także tego pragnąć? Poderwał się zdyszany i usiadł na posłaniu.

Trzeci książę poruszył się we śnie i odruchowo sięgnął ramieniem tam, gdzie przed momentem leżał minister. Czy ten sen by mnie powstrzymał, zastanowił się Baoxiang, gdyby nawiedził mnie w noc wizyty u pani Zhang? Teraz jednak nie miało to już znaczenia. Podciągnął kolana pod brodę i zadrżał, wstrząsany suchym szlochem. Co się stało, to się nie odstanie.

Na zewnątrz rozszedł się nikły, lecz narastający tętent. Prawdopodobnie właśnie ten odgłos wyrwał go ze snu. Tak, to sensowne, że wydarzyło się to teraz, w chłodnej godzinie pomiędzy trzecią i czwartą wartą. O tej porze rodzą się dzieci i umierają starcy. O tej porze ciemność zdaje się nie mieć kresu, a myśl o brzasku okazuje się okrutną fantazją, w jaką nie uwierzyłby nawet najbardziej naiwny malec.

Po chwili zdołał się ubrać i wymknął się na długi, zimny korytarz. Może ten sam, który oglądał we śnie. Duch wyszedł za nim, lecz Baoxiang nie oglądał się za siebie.

Poszedł do pokoju gościnnego i zaczekał, by posłaniec obudził domowników wiadomością: cesarzowa nie żyje.

## 朱

Kiedy Baoxiang z trzecim księciem przybyli na miejsce, wielmożna Ki klęczała już w śniegu u stóp schodów Sali Wielkiej Światłości. Została rozebrana do białej bielizny, a włosy luźno spoczywały jej na ramionach. Śnieg nie padał już od dobrej chwili, lecz w nieruchomym powietrzu wciąż snuła się zawieszista biel. Biały opar, który sprawiał, iż ktoś mógłby pomyśleć, że poza tym jednym budynkiem na całym świecie nie istnieje żaden inny, że nie ma murów, a za nimi nie ma miasta, ponieważ cały świat zniknął i pozostała jedynie ta pustka, która do dziś była jego sercem. Czerwone kolumny gmachu wyglądały jak majaczące daleko powyżej krwawe smugi.

Mimo oczywistego szoku wielmożna nie straciła nad sobą panowania. Dziwnie drobna w tym otoczeniu, tchnęła nefrytowo-białą kruchością, którą tylko chwile dzieliły od upadku w śnieg. Każda linia jej ciała zdawała się płynąć ku wielkiemu chanowi, który stał u szczytu schodów niczym płomień gniewu. Sylwetka kobiety bezgłośnie błagała, by nie zapomniał o swym uczuciu i zrozumiał, że jest niewinna.

Trzeci książę przecisnął się przez tłum urzędników, przebiegł po zaśnieżonym dziedzińcu i rzucił się na kolana obok matki. Ki nawet na niego nie spojrzała, lecz Baoxiang dostrzegł, jak raptownie stężały jej barki. Nie chciała, by chłopak tam był. Obawiała się, że pogorszy i tak fatalną sytuację.

– Cofnij się, trzeci książę! – zawołał władca, machając przy tym wściekle ramieniem, jakby chciał go odtrącić. Po chwili niepewności, poświęconej być może na oczekiwanie jakiegokolwiek sygnału ze strony wielmożnej Ki, trzeci książę wstał i cofnął się o kilka kroków. Cała jego postać emanowała cierpieniem. Śmierć cesarzowej utwierdziła wprawdzie jego pozycję jedyne go męskiego potomka wielkiego chana, lecz nadal pozostał niechciany. Stojąc samotnie

pośród rozległej bieli, pomiędzy korzącą się matką a tłumem w czerwonych szatach, zdawał się dryfować.

Uwagi Baoxianga zaczął się domagać daleki odgłos. Skupił się na nim cały, niczym prężące się końskie ucho. Dźwięk był ledwie słyszalny, zbyt słaby i nieregularny, by dał się zidentyfikować. Czymkolwiek był, nie był jednak dźwiękiem codziennym, w rodzaju stukotu bambusowych kijów sprzedawcy przekąsek. Przypomniał mu sen. Rozedrgane ciało i kości ministra już wiedziały: to był dźwięk ze snu. Jednocześnie uświadomił sobie, że aby mógł usłyszeć odgłos wyraźnie i zrozumieć, czym jest, najpierw musi się wydarzyć coś koszmarnego.

– Wszystko gotowe. – Seyhan przepchał się przez ciżbę do boku Baoxianga. – Tylko dlaczego ona ją zabiła? Wydawało mi się, że wywoła poronienie.

– Ona też tak sądziła – odparł rozkojarzony minister.

– Medykament źle zadziałał? Na służce sprawdził się znakomicie.

Tymczasem wielki chan zagrzemiał:

– Małżonka była zbyt ufna w moją dobroć i łaskę. Zapewne dlatego ważyła się zadać tak bolesny cios nam jako władcy i całemu Cesarstwu Wielkich Yuanów!

– Cesarzowa w ogóle nie była w ciąży – podjął Baoxiang. – Kłamała. Tylko w ten sposób mogła zapobiec dalszej utracie pozycji i tytułu na rzecz wielmożnej Ki. Co do specyfiku. Działa świetnie, jeśli stosuje się go zgodnie z zaleceniami. Kto posługuje się nim rutynowo, wie, jak jest groźny. Jeżeli nie znajdzie płodu, zwraca się przeciwko organizmowi kobiety.

Wciąż słyszał ten dźwięk. Momentami wydawał mu się melodią, lecz był dziwnie pusty; był muzyką, której nie grały ludzkie ręce, której nie zagrała żadna oddychająca istota. Po raz pierwszy od głębokiego dzieciństwa minister zapragnął kucnąć, zasłonić uszy rękoma i wrzeszczeć, dopóki wrzask nie przepędzi trwogi. Przewalały się przez niego fale strachu. Był wilgotny od potu, jakby

to jemu podano truciznę. Miał wrażenie, że lada moment coś w nim pęknie.

– Pieprzony hałas! – wybuchnął. – Zaraz chyba oszaleję!

Wielmożna Ki szlochała i rwała sobie włosy z głowy. Bardzo możliwe, że żadna kobieta w dziejach Cesarstwa Wielkich Yuanów nie lała łez tak pięknie. Zimno jedynie podkreślało jej urok, dodając jej hipnotyzującej kruchości lodowego sopła. To nie była po prostu wyśmienicie odegrana rola. Było to przedstawienie i rola życia kobiety, która jako jedyna ze wszystkich kobiet pomiędzy czterema oceanami zdołała zwrócić na siebie i utrzymać uwagę samego syna niebios.

– Niegodna kobieta będzie lojalna wobec wielkiego chana aż po kres życia – przyrzekła z delikatną, wzruszającą dumą. – Nigdy, nawet przez mgnienie nie życzyła mu źle! Lecz jeżeli zaiste jest jej przeznaczeniem umrzeć wskutek fałszywych oskarżeń, z rozkoszą przyjmie karę i będzie to ostatnie, co zrobi w tym życiu dla swojego ukochanego męża, wielkiego chana.

– Jaki hałas? – Seyhan ściągnął brwi.

– Fałszywych oskarżeń? – zadudnił wielki chan. – Czyż twoje serce nie płonęło z zazdrości na myśl o stanie cesarzowej?

– Jakże niegodna kobieta mogłaby czuć cokolwiek poza radością, kiedy usłyszała, że jej siostra nosi w łonie ciało i krew wielkiego chana? – zapłakała wielmożna Ki. – Modliłam się o zdrowie cesarzowej i jej nienarodzonego dzieciątka. Modliłam się również, żeby okazało się synem, dzięki czemu syn niebios mógłby swobodnie dokonać wyboru następcy. Moim najbardziej żarliwym życzeniem zawsze pozostawała wyłącznie pomyślność i wieczna trwałość władzy Wielkich Yuanów, nigdy nie pragnęłam jedynie własnego szczęścia ani płodności.

– Ten szum... klekot... – syknął rozdrażniony Baoxiang. – Nie słyszysz? Gdzieś daleko... Posłuchaj...

Doznanie nieadekwatności stało się nieznośne. Ten dźwięk powinien dręczyć go jedynie w koszmarach, gdzie mógł się przed nim chronić. Fakt, że usłyszał go tutaj, na jawie, przyprawił go

o katastrofalne przeczucie, że został wywrócony na lewą stronę. Wszystko, co nosił w sobie, właśnie się wylewało, wskutek czego zniknął rozdział na dziedzinę snów i rzeczywistość; na wnętrzości i świat zewnętrzny, na czerń i jego duszę. Ogarnęła go dezorientacja, poczuł nudności i narastającą panikę, oddychał coraz szybciej.

Trzeci książę drgnął. Tak, w głębi ducha wiedział o tym już wcześniej, lecz teraz, gdy na własne uszy usłyszał potwierdzenie z ust wielmożnej Ki, osoby, którą kochał najbardziej na świecie, słowa nabrały dodatkowego znaczenia. Dotąd chłopak żywił nadzieję, choć nie wierzył. W tej chwili każdy, kto zechciałby na niego zerknąć, dostrzegłby wyraźnie, że płomyk nadziei został właśnie zdmuchnięty.

Oblicze wielkiego chana jednak złagodniało. Tak znacząca była siła aktorstwa wielmożnej Ki. I bardzo możliwe, że innego dnia równie wspaniały występ ocaliłby jej życie.

Czarne kapelusze urzędników zafalowały. Przez tłum przecisnęła się drobna kobieta. Nie tyle ustępowali jej z drogi, co uskakiwali, ogarnięci grozą i obrzydzeniem. Podobnie jak wielmożna Ki, dwórka miała na sobie jedynie bieliznę. Lecz jej koszula nie była biała. Rąbki były tak zeszywniałe od wielkich brązowych plam zakrzepniętej krwi, że tarły o śnieg z chrobotem podobnym do rwanego oddechu Baoxianga.

– Co się dzieje? – Seyhan przytrzymał ministra za ramię, zatroskany i skonsternowany. – Wszystko przebiega zgodnie z planem. Jesteś chory?

Dwórka wielmożnej Ki przeszła przez plac i uklękła na wyciągnięcie ręki od swojej pani, na którą nawet nie spojrzała.

– Nikczemna służka ośmiela się pojawić przed obliczem wielkiego chana, żeby złożyć zeznania obciążające wielmożną Ki. To ona bowiem, nie informując mnie o swoich zamiarach, wbrew mojej woli i potajemnie podała mi w herbacie pewien medykament, który spowodował, że moje nienarodzone dziecko rozplynęło się i zmieniło w krew, którą wielki chan widzi przed sobą!

Rozciągnęła w dłoniach koszmarne splamioną koszulę nocną. Władca aż się wzdrygnął. Moment łagodności przysł bez śladu.

– Czy to prawda? – rzucił wściekle, spoglądając na swoją dawną faworytę. – Cesarzową zabiło lekarstwo, które jej podałaś?

Zerwał się wiatr i podniósł z placu tuman sypkiego śniegu. Baoxiang miał wrażenie, że wiruje i niknie w tej białej pustce, niczym potykający się co krok, wycieńczony wędrowiec, który stracił z oczu horyzont, a wraz z nim poczucie góry i dołu. Zapragnął nagle, by wielmożna Ki zwróciła ku niemu spojrzenie. Choćby nawet miała w oczach całą nienawiść, na jaką zasłużył, zyskałby jakiś punkt orientacyjny. Byłyby drogowskazem prowadzącym na powrót ku temu człowiekowi, który dawno temu zapłonął czarnym ogniem marzenia o zniszczeniu świata.

Wielmożna jednak nie miała czasu dla ministra. W tej chwili skupiła się wyłącznie na naglącej kwestii ocalenia głowy.

– Wielki chanie, nie dawaj wiary słowom tej zuchwałej dziewczyny! Wiele przecież dzieci marnieje w początkach ciąży ze względu na wyroki natury. Kobiety dobrze o tym wiedzą. Wiedzą o tym również medycy wielkiego chana! Rozgoryczone i zbolące serce służącej poszukuje przyczyny śmierci dziecka, choć w rzeczywistości żadnej nie było. Nie mogąc obwinić nikogo innego, kieruje oskarżycielski palec na mnie, wiedziona czystą złośliwością. – Pozory delikatności wielmożnej z wolna zanikały; w tej chwili była posągiem z białego kamienia, od którego biła czysta wola przetrwania. – Nawet rzekome dowody nie potwierdzają jej słów! Gdybym podała ten sam specyfik jej i cesarzowej... Dlaczego jedna poroniła, a druga...

Zrozumiała, co powiedziała, i szybko zamaskowała swoją reakcję. Lecz niewystarczająco szybko. Przez twarz władcy przemknął sardoniczny, gorzki grymas. W tej chwili po raz pierwszy uwidoczniło się rodzinne podobieństwo między nim a trzecim księciem.

– Przeszukajcie komnaty wielmożnej – rozkazał.

Posłani w celu przeprowadzenia rewizji eunuchowie wrócili niedługo potem. Gdyby tylko wielmożna Ki pozbyła się narzędzia zbrodni – lecz spójrzmy prawdzie w oczy, kto przy zdrowych zmysłach wyrzuciłby tak skuteczną broń?

– Ta! – wskazała bez wahania dwórka, kiedy jeden ze służących rozłożył przed nią kilka papierowych torebeczek.

Inny eunuch przyniósł tacę z imbryczkiem i czar ką.

– Skoro to rzeczywiście zwyczajna herbata – podjął syn niebios – nikomu, kto jej skosztuje, nic nie powinno zagrozić, czyż nie, wielmożna Ki?

Ki, dumna do końca, zadarła głowę i zaczęła, by główny eunuch władcy przygotował napar. Wiedziała, że chociaż przegrała, żadna inna kobieta na świecie nie rozegrałaby tej partii lepiej.

– To nie dla ciebie – rzucił lodowato władca, kiedy wyciągnęła dłoń po czar ką. – Poczęstuj trzeciego księcia – zwrócił się do eunucha, nie odrywając nienawistnego wzroku od wielmożnej.

Załamaniem Ki stanowiło wstrząsające widowisko. Przedstawienie, które grała przez całe życie, dobiegło końca w jednej chwili, wydobywając na jaw prawdę o jedynej zdradzie, jakiej wielki chan nie potrafił wybaczyć: bardziej niż jego kochała swojego syna.

– Nie! – wykrzyknęła.

Główny eunuch podbiegł do chłopaka i podał mu czar ką. Młody arystokrata zawahał się, spoglądał to na ojca, to na matkę.

Mimo że uszy wypełniał mu własny ochryply oddech, Baoxiang nadal słyszał koszmarny dźwięk. Dobiegał ze wszystkich kierunków jednocześnie, napierał niczym ocean; minister zrozumiał, że tonie.

Od dnia wiosennych łowów, kiedy po raz pierwszy ujrzał tego nieszczęśliwego, pełnego rozpaczu chłopca wpatrzonego weń ponad suto zastawionymi stołami z fascynacją i odrazą, Baoxiang wiedział, co zrobi, i wiedział, co z tego wyniknie.

I widział to teraz tak wyraźnie, jakby był to jeden z darów spadających na posiadaczy mandatu: trzeci książę odwrócił się do matki plecami i poderwał czar ką z tacy. Okrzyk wielmożnej Ki padł



zbyt późno. Osobiście zadbała, by syn nie potrafił sobie wyobrazić, a co dopiero uwierzyć, że mogłaby zaryzykować dla niego własne życie, że wszystko, co w życiu robiła, robiła dla niego.

Trzeci książę w szyderczym geście pozdrowienia uniósł naczynie ku wielkiemu chanowi i wypił.

Świat zniknął za mgłą, jakby czerń przesłoniła Baoxiangowi oczy. Jego ciało z jakiegoś powodu zaczęło się poruszać bez jego świadomego udziału. Pędził chwiejnie przez śnieg niczym zepsuta marionetka, gnany jednym bezrozumnym odruchem: uciec przed śmiercią trzeciego księcia.

Przed tym, co zrobił, przed tym, co się stało i czego nie można było odwrócić.

朱

Baoxiang zatrzymał się dopiero za bramą. Aleja niknęła w zimnym cieniu wysokich kamiennych murów. Stopy i kopyta roztarły warstwę śniegu, lecz wyrzwał spod niej biały piach, równie podobny do spływającego z nieba puchu, jak i do zbielełych na słońcu kości. Z placu za jego plecami dolatywał słaby, przenikliwy wrzask: żałobny tren matki, który przypominał wstążkę podrzucaną przez tancerki z Goryeo, długą, rozwijającą się po same niebiosy.

Świat wirował. Baoxianga dręczyła potworna niepewność. Nie wiedział, czy to sen, czy jawa. Wpadł w szpony nocnego koszmaru; pochłonął go majak, którego nie ważył się śnić. Wszystko, co zdarzyło się wcześniej, działo się ponownie i nie miał sposobu tego uniknąć. Śnił, lecz sen był w istocie wspomnieniem: ponieważ już raz odszedł.

Przypomniał sobie zwycięską rozkosz, która porwała go z dala od Esena i Ouyanga i poniosła z powrotem po białej marmurowej grobli, prosto do zniszczonej cesarskiej sali tronowej w Bianliangu. Żegnaj, bracie. Czując na sobie dziwny ciężar pancerza, miał wrażenie, że przeistoczył się w najsilniejszą, najdoskonalej okrutną

wersję samego siebie: w obsydianowy nóż, rozcinający mięśnie niemal bez ich dotykania. Całe jego ciało pulsowało dzikim dreszczem emocji. Nie mógł napatrzeć się na twarz Esena, na minę, z jaką brat przyjął wiadomość o jego niewidzialnym udziale w zdradzie Ouyanga. Esen cierpiał. Baoxiang zrozumiał to i poczuł ekstatyczny spazm: udało się, przysporzył Esenowi bólu. Już wówczas wiedział, że niczego więcej nie pragnie, że tę chwilę będzie mógł smakować wiecznie.

Prawda uderzyła go, kiedy wyszedł już niemal z sali tronowej. Czysto cielesna świadomość: przerażająca, dławiąca myśl o tym, że przeoczył coś strasznego i doniosłego – coś tak ważnego, że kiedy to zrozumiał, groza zatrzymała cały świat: Esen umrze.

Aż się zachwiał. Zabicie Esena było nadrzędnym celem wszystkiego, co zrobił. Celem, ku któremu od dawna pędził go gniew. Raz po raz wyobrażał sobie zadowolenie, jakie przyniesie mu śmierć brata, przyjemność przypominającą radosny smak krwi. A jednak z jakiegoś powodu, pomimo wszystkiego, czego się po drodze dopuścił, nigdy w pełni nie pojął, co to tak naprawdę oznacza.

Nagle zawrócił. Na świecie nie było nic poza rozpaczliwym, popychającym go pragnieniem. Każdy jego mięsień zmagął się z powolnością koszmaru, z jaką zbliżał się ku jedynej rzeczy, która jeszcze istniała: ku tym wielkim, podwójnym wrotom, otwierającym się szeroko na bielejące niebo i krwawoczerwone, dzikie pustkowie. Musiał przejść przez te wrota; musiał iść do Esena. Dlaczego? Tego nie wiedział.

Nie przeszedł.

Stojąc w otwartych wrotach, usłyszał rozlegające się powyżej upiorne, melodyjne postukiwanie. Pod dachem zniszczonej sali kołysały się bambusowe dzwonki. Dzwonki tak stare, że brzmiały sucho i pusto. Dźwięk to się wzmagał, to gasł, podnosił się i opadał chaotycznie niczym zmarszczki na tafli jeziora w wietrzny wiosenny dzień. Trącane powietrzem dzwonki grały i grały, a Baoxiang spoglądał na zatopiony w bezruchu pejzaż, krajobraz, który sam stworzył.

Esen już kiedyś umarł. Wtedy, w dzieciństwie, w dzień letniej burzy, kiedy ojciec zostawił zapłakanego, przerażonego Baoxianga na dziedzińcu. Baoxiang do dziś czuł, jak przytłaczające i potężne targały nim wtedy emocje. Nie tylko w to wierzył, lecz przeżył całym sobą: doświadczył najprawdziwszego końca świata.

Następnego dnia zakradł się do pokoju Esena i zastał go pogrążonego we śnie. Zapewne wrócił po burzy. Nawet śpiąc, emanował energią – czystym życiem, bezpiecznie pulsującym w całym i zdrowym ciele. Baoxiang wdrapał się na łóżko i usiadł obok brata, przyglądając mu się ze łzawym wzruszeniem, bliskim niemal boskiej czci.

– Baoxiang? – Esen ocknął się i uśmiechnął sennie. – Co się stało?

Nie miał pojęcia, że zginął i zmartwychwstał, że stał się cud.

Tym razem jednak cudu nie było.

Baoxiang patrzył na Ouyanga tulącego do siebie ciało Esena, na szkarłatną jak flaga, rozlewającą się po marmurze plamę krwi. Dzwonki dzwoniły, a ich widmowy dźwięk sprawiał, że wszystko było nierzeczywiste. Świat zawsze zawierał w sobie Esena. Bez względu na to, co w danym momencie Baoxiang czuł do brata, Esen istniał. Pomyśleć cokolwiek innego było niemożliwe. A jednak ten wymarzony cel, wyśniony z całą mocą bólu i gniewu, okazał się realny, choć powinien przecież być wykluczony.

Dzwonki zwały się z żalobnym zawrosczeniem wielmożnej Ki, dźwięk napierał pulsującymi falami. Baoxiang był plamą na powierzchni czarnego słońca, zmarszczką na powierzchni uczucia tak bezkresnego, iż był pewien, że nie zdoła utrzymać go wewnątrz. Przypomniawszy sobie, jak leżał w ciemności u boku trzeciego księcia, jak czuł ciepłe życie uspiętego ciała i myślał, że mógłby się jeszcze zatrzymać. Nie zatrzymał się jednak i teraz chłopak nie żył, a tego, co się stało, nie można było odwrócić.

Baoxiang nie potrafił opanować drgawek. To duch popchnął go naprzód, duch nie pozwolił mu się zatrzymać. Duch, który – co zrozumiał nagle – obserwował go także w tej chwili. Czerń

niebezpiecznie napuchła, zaczęła go rozrywać. Ekspłodował, rozpływał się, rozdzierany od wewnątrz bezmiarem gniewu. Nigdy nic nie bolało go tak bardzo, a wszystko z winy ducha. Wszystko, czego się dopuścił, cała ta burza nieszczęść i bólu, na jaką skazał świat – do każdego z tych postępków zmusił go ten duch. Baoxiang był czystą furią; poza wściekłością nie było na świecie nic. Wtem usłyszał własny krzyk:

– Nienawidzę cię, nienawidzę! Nienawidzę!

Lecz to nie była prawda. To zawsze było kłamstwo.

Wylewająca się z niego potężną falą czerń – najgorsze uczucie świata – stanowiła jego prywatną apokalipsę, lecz była czymś innym niż gniew. Nie była też zemstą ani pogardą. To, co uważał dotąd za gniew, było jedynie ostrzem wypchniętym od spodu przez ukrytą potęgę uczucia prawdziwego: czegoś przypominającego bolesny miąższ, jak ten we wnętrzu zęba.

Nie czuł do Esena nienawiści. Kochał go, także wówczas, gdy Esen zadawał mu ból. Kochał Esena, choć Esen go nienawidził. I to właśnie z powodu miłości jego cierpienie przybrało rozmiary świata: możliwe do pojęcia jedynie od wewnątrz.

Baoxiang usiadł w śniegu pod murem. Przytulił twarz do lodowatego kamienia i konwulsyjnie szlochał, a czerń, która wypełniała mu pole widzenia, zdawała się wypływać z krwawiącego bez końca miąższu jego duszy: krwawiącego czarną krwią, złą krwią, ciemnością i zniszczeniem.

Odniósł wrażenie, że duch siada w identycznej pozycji po drugiej stronie muru, że również tuli twarz do kamienia, że stykają się policzkami. Śmiertelne zimno tego dotyku było palącym cierpieniem, a Baoxiang wiedział, po prostu wiedział, że ten ból nie osłabnie nigdy, że będzie trwać bez końca.

Gdyby nie duch, nigdy nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy. Nie zdradzałby i nie zabijał ludzi, na których mu zależało; nie miałby nawet mandatu. Jaki jednak pozostał mu wybór, skoro tylko w ten sposób mógł sprawić, by Esen pojął rozmiar bólu młodszego brata?

Kiedy sam to poczujesz, zrozumiesz.



Jeziro Poyang, okolice Nanchangu

**B**rzegi wąskiej rzeki pokryte były grubą kryzą białych trzcin, których łodygi zlewały się z mgłą. Można było pomyśleć, iż żeglują w czystej, białej pustce. Statki Zhu sunęły naprzód gęsiego. Wiatr był akurat na tyle silny, by mogły płynąć bez pomocy wiosł. Obwieszane latarniami żagle od czasu do czasu skrzypiały, gdy załogi – piratki Fanga – wprowadzały jakieś drobne zmiany w ich ustawieniu. Żołnierze Zhu tłoczyli się na środkowych i dolnych pokładach. Jej okręt flagowy – jednostka o białym maszcie, największa z całej floty – płynął na czele, w ślad za niewielkim statkiem pilota, który wskazywał im drogę światłem kołyszącej się na rufie latarni.

Przeprowadzenie floty z Yingtianu przez rzekę Jangcy zajęło dziewięć dni. Zwiadowcy Zhu donieśli, że okręty Chena stacjonują już na jeziorze Poyang – zbiorniku łączącym Nanchang z głównym korytem Jangcy – i czekają na jej przybycie. Rywal ewidentnie chciał, by wpłynęła na jezioro i zaatakowała bezpośrednio. Wskutek odejścia Ouyanga jednak siły dziewczyny zostały osłabione do tego

stopnia, że przystąpienie do otwartej bitwy równałoby się po prostu samobójstwu.

Nie, jedyną szansą na pokonanie Chena było uderzenie z kierunku, z którego się jej nie spodziewał. Dlatego okręty Zhu przeciskały się właśnie przez jeden z niewielkich, mało znanych dopływów jeziora. Tak naprawdę rzeczka była aż zbyt mała. Dowolne jednostki większe od pirackich statków Zhu nie mogłyby z tej drogi skorzystać. A nawet i dla nich przeprawa wiązała się ze sporym ryzykiem. Pod zieloną taflą wybrzuszały się groźnie piaszczyste łachy. Okręty Zhu były niewielkie, lecz nie były płaskodennymi statkami rzecznyymi. Gdyby kil jednego z nich osiadł na takiej łasze, płynąca za nim reszta floty znalazłaby się w pułapce. Niemniej jeśli się uda, myślała ponuro dziewczyna, zyskamy kluczowy czynnik zaskoczenia i zaatakujemy Chena z flanki.

Jednak teraz, szybując wśród mgieł, Zhu nie potrafiła wyzbyć się niepokoju. Zamiast udającej rękę protezy nosiła ostatnio na kikucie hak – zdecydowanie bardziej przydatny na pokładzie statku – i w zamyśleniu trącała jego ostry koniec palcem. Chen potrafił przewidywać. Jeszcze w Anfengu, kiedy obiecała mu swoje wsparcie w konflikcie z jego rywalem, ministrem prawej strony Guo, uwierzył jej, lecz nie powstrzymało go to przed wzięciem Xu Da na zakładnika. Chciał mieć pewność co do jej współpracy. Niczego nie pozostawiał w rękach przypadku. Jeżeli więc mimo wszystko wiedział o istnieniu tego dopływu, to choć rzeczka nie wydawała się możliwą do wykorzystania drogą, nie uznałby tego założenia za bezwarunkową prawdę. Z pewnością by się zabezpieczył.

Gniew, jaki Zhu czuła wobec zdrajcy Ouyanga, przez kilka ubiegłych tygodni ostygł już do poziomu tępego ćmienia. Jednak teraz, kiedy zastanawiała się nad swoim położeniem, jej frustracja rozgrzała się na powrót. To przez generała znalazła się w tak poważnych tarapatach. Gdyby zostali razem, mieliby dość sił, by pokonać Chena w normalnej bitwie. Cóż, tak się jednak nie stało. Skoncentrowała się, odepchnęła od siebie przeszłość wraz z nieprzyjemnymi emocjami i skupiła uwagę na przyszłości. Tak,

zanosiło się na niełatwe starcie, lecz nigdy jeszcze nie zetknęła się z problemem, który nie miałby rozwiązania. Nigdy nie przegrała i wiedziała, że nie przegra także tym razem. Nie przez Ouyanga, nie przez Chena, nie przez nikogo.

– Przygotować artylerię. Miejcie baczenie na okolicę. W razie ataku musimy reagować błyskawicznie – zawołała do stojącego na środkowym pokładzie Yuchuna.

Brzegi nadal sunęły blisko burt, lecz zmienił się wiatr; podmuchy niosły ze sobą przeczucie, że gdzieś z przodu rozciąga się otwarta przestrzeń. Stłumione bicie bębna ze statku pilota przestrzegło przed serią płytkich ławic. Mgła stopniowo gęstniała i w pewnym momencie stojąca przy dziobowym relingu Zhu niemal straciła z oczu latarnię przewodnika. Zrobiło się zimno.

– Wygląda na to, że jezioro ma własną pogodę – zauważył trzęsący się obok niej Xu Da.

Dziewczyna otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz nie zdążyła. Gdzieś przed nimi rozległ się ostry wystrzał.

Zhu spięła się na całym ciele. Była gotowa. Właśnie takiego ataku się spodziewała – ledwie jednak odwróciła się, by wydać pierwsze rozkazy, zrozumiała, że dzieje się coś innego. Nie nastąpiły kolejne wybuchy, nie usłyszała brzęku stali ani okrzyków żołnierzy. Wokół wciąż panowała nieziemaska cisza.

Wtem wysoko we mgle: przyćmiony, rozkwitający kwiat czerwonego światła. Stąd ten huk: zapłon sygnału alarmowego.

– Zatrzymać okręty! – krzyknęła i zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Czy pilot wpadł na płyciznę? Byłaby to niefortunna okoliczność, lecz mogli być na tyle blisko jeziora, że przy następnym przypływie zdołają go zepchnąć. – Przekazać wiadomość tym z tyłu. Wszyscy stać!

Z zaskoczeniem poczuła skurcz żołądka. Ogarnęło ją nieprzyjemne przeczucie. Nie bała się, lecz ziąb, od którego zjeżyły się włoski na jej ramionach, przekonał ciało, że powinno się bać.

Rozbłyskiwały latarnie, piratki nawoływały. Żagle skrzypiały, obracały się. Statki wytraciły szybkość i znieruchomiały pośrodku

rzeki. Czekali, łagodnie się kołysząc. Przed sobą mieli jedynie białą pustkę.

– Ten chłód jest jakiś dziwny – stwierdził niespokojnie Xu Da. – Prawda?

Zimno napływało falami strachu. Patrzyli w nicość. Nicość, z której nagle wyłonił się kształt.

W pustce nie było punktu odniesienia i trudno było określić wymiary. Dopiero po chwili Zhu zrozumiała, że nie widzi okrętu, lecz lekką, napędzaną kijami łódź, jedną z tych, które wykorzystywali przy przybijaniu. Krypa zdawała się frunąć przez biel niczym ptak. Na jej pokładzie ciemniała samotna postać. Widok był tak niesamowity, iż dziewczyna przez chwilę była gotowa uwierzyć, że opuścili świat ludzi i wpłynęli do pierwszego królestwa piekła.

– To ktoś od nas – zauważył Xu Da, wyteżając wzrok. Gdy łódź podpłynęła bliżej, zauważyli na jej dnie ciemne bele. – Tylko co na niej jest? Towar jakiś?

– To nie towar – odparła posępnie Zhu. – To trupy.

Stłumiony głos nieznanego dolatywał ich przez mgłę. Po każdym ruchu kija przerażone okrzyki stawały się bardziej wyraźne.

– Nie płyńcie dalej! Nie przekraczajcie tej linii! Zaraz za nią wszyscy u nas zginęli!

朱

– Nic się nie stało – powiedział żeglarz, kiedy sprowadzili go na pokład. – Zupełnie nic. Nie było żadnego znaku czy ostrzeżenia. Padli, jak stali, bez jednego dźwięku. Martwi. Dziewięciu na dziesięciu nie żyje. Gdy tylko opanowaliśmy statek, komendant posłał mnie i trzech innych, żebyśmy was ostrzegli – mówił głęboko wstrząśnięty, rozdygotany. – Ale kiedy minęliśmy ten sam punkt, wszystko się powtórzyło. Zupełnie jakby dusze w jednej chwili



wyfrunęły im z ciał. Wszyscy trzej nie żyją. Zostałem tylko ja. – Przerażona twarz mężczyzny skojarzyła się Zhu z anonimowym obliczem przesłoniętym białym woalem.

– Na razie nikomu o tym nie rozpowiadajcie – Zhu zwróciła się ostro do Yuchuna. Bliskość nieznanego zagrożenia odcisnęła się na jej ciele lodowatym przeczuciem. Przeszli z Xu Da na dziób. Pokład stojącego na wodzie statku łagodnie się zakołysał.

– Niczego tam nie... – Xu Da urwał w pół zdania i dobył miecza. Nisko we mgle błysnęło coś kolorowego.

Widzieli to ledwie przez chwilę. Barwa zniknęła, pochłonięta przez mgłę, lecz dziewczyna zdążyła zauważyć osadzoną w ławicy na sztorc włócznię: do drzewca przytroczony był czerwony proporzec, a na ostrzu sterczała szerniała, odrąbana dłoń. Wyglądała, jakby chciała im pomachać.

– Chen Youliang... – W ustach Xu Da nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo.

Złe przeczucia Zhu przybrały na sile. Zrozumiała, że zobaczyli podpis Chena. Gdzie treść listu?

Było tak zimno. Śmiertelnie zimno, miała wrażenie, że ostrza mrozu sięgają szpiku jej kości. Nagle zrozumiała. To, co uznali za chłód otwartych wód jeziora, było czymś zupełnie innym. Już kiedyś miała do czynienia z tym specyficznym, strasznym zimnem. Instynktownie podniosła rękę i przywołała mandat. Zamiast odbić się od mgły jak normalne światło, blask wniknął głęboko w biel i odsłonił prawdę.

Mniej więcej pół li przed nimi nad wodą unosiły się duchy. Błede sylwetki zajmowały całą szerokość rzeki szeregiem, niczym stojąca w karnym szyku nadnaturalna armia. Zhu patrzyła na zjawy z niemą niechęcią. Wyglądały tak samo jak obdarzone nienawistnym, intensywnym wzrokiem widmo, które zobaczyła w podziemnym więzieniu w Bianliangu. To nie były zwyczajne duchy, te były głodne.

Te duchy chciały zabijać. Pożerać.

Statek pilota przekroczył ten widmowy front, a w momencie zetknięcia z żywymi ciałami duchy wchłonęły qi jej ludzi. Dlatego zginęli. Czy ci żołnierze w ogóle mieli świadomość, że umierają? Czy cokolwiek poczuli, kiedy ich energia życiowa wpływała w usta niewidzialnych dla nich potworów?

Woda pod sylwetkami zjaw była mętna i nie było widać tego, co Chen przymocował do dna, lecz tuż pod powierzchnią kołysało się kilka strzępków znajomo wyglądającej czerwonej tkaniny.

– Co to? – spytał niepewnie Xu Da, próbując cokolwiek zobaczyć.

– Pamiętasz, co mówią o ludziach pogrzebanych z niepełnym, okaleczonym i zbezczeszczonym ciałem? – „Zbezczeszczonym”. Takim jak jej ciało. Takim jak ciało Ouyanga. I jak wszystkie inne okaleczone ciała, na których widok ludzie wzdrygali się z odrazy, w obawie przed tym, co stanie się z nimi po śmierci. Zhu jednak była gotowa zrezygnować z wytchnienia po śmierci, jeśli w zamian mogła wcześniej żyć pełnią życia. – Ich dusze nie mogą odejść do Diyu. Stają się głodnymi duchami, które w oczekiwaniu na reinkarnację krążą po ziemi, szukając zemsty na żywych.

– To właśnie widzisz przed nami? Wygłodniałe duchy? – Xu Da należał do nielicznego grona osób, którym Zhu opowiedziała o mocach, jakimi obdarzył ją mandat. Zauważyła, że chłopaka przebiegł dreszcz. – Wiem, że ludzie gadają o takich rzeczach, ale nie przypuszczałem... I to Chen Youliang zrobił coś takiego?

– On też posiada mandat. – Po zdradzie Ouyanga niewiele myślała o tym, co usłyszała od Fanga. Roztrząsanie faktu, że niebiosa uznały przeciwnika za równie godnego tronu jak ona, nie wydawało jej się rozsądne ani pożyteczne. Teraz jednak wszystko sobie przypomniwała. – Posiada tę samą moc, co ja. I wymyślił sposób wykorzystania jej przeciw nam. – Mimo wszystko potrafiła docenić przemyślność pułapki. – Zatopił w rzece okaleczone ciała, tworząc tym samym barykadę z głodnych duchów. Każdy, kto się z nimi zetknie, z miejsca traci energię życiową i umiera. Ci, którzy przetrwali, mieli po prostu szczęście, przepłynęli pomiędzy zjawami.

– Okaleczone ciała? Myślisz, że to nasi z Nanchangu? – Przerazający domysł chłopaka odcisnął się wyraźnie na jego twarzy: znowu zobaczył fałę kiszonych dłoni oraz kobiety i dzieci, którym zostały one odcięte.

Zatopione czerwone szmaty opowiadały jednak prawdziwą historię. Ileż to razy Zhu oglądała identyczne turbany na polach bitew; plamy koloru wśród pobojuwiska.

– Po co miałyby ciągnąć ze sobą zwłoki pomordowanych cywilów, skoro miał łatwiejsze wyjście? – Nie była wcale pewna, czy nie postąpiłaby tak samo. – Zabił własnych żołnierzy.

Xu Da pobladł. On również, jako dowódca, posyłał ludzi na pewną zgubę, lecz nawet Zhu dostrzegała różnicę między tym a odebraniem im szansy na odpoczynek po śmierci.

– Wiedział, że zobaczę tę zaporę. Chce, żebyśmy zawrócili i wpłynęli na jezioro głównym kanałem. Chce nas zmusić do otwartej bitwy.

Xu Da rzucił jej wiele mówiące spojrzenie.

– Tak, wiem. Mówię po prostu, czego on chce – zauważyła dziewczyna. Jej determinacja podobna była w tej chwili do zaciśniętej pięści. Ouyang stracił w nią wiarę, zdradził ją i porzucił. Nieświadomie jednak zostawił jej coś, co miało pozwolić jej wygrać. Musiała tylko znaleźć w sobie dość siły, by z tego skorzystać. – Nie pójde mu na rękę. Popłyniemy dalej.

朱

– Dalej? Przez tę barykadę? Ale stracimy dziewięciu na dziesięciu żołnierzy. Kim chcesz potem walczyć?

– Dziewięciu na dziesięciu stracimy tylko wtedy, jeśli duchy będą mogły ich zabić. Ale jest pewien szczególny rodzaj człowieka, którego zabić nie można – powiedziała Zhu, na co chłopak zareagował pustym, skonsternowanym spojrzeniem. – Umarli – wyjaśniła.

Ouyang pokazał jej, nie tylko że topielców można sprowadzać z powrotem, lecz także jak to robić. Jeżeli utopia swoich żołnierzy i przewiozą ich przez widmową barykadę martwych, będą mogli skorzystać z techniki generała i ożywić ich po drugiej stronie. A wtedy wpłyną na jezioro całkowicie wbrew kalkulacjom Chena i zdołają go zaskoczyć.

– Będziemy potrzebować na wszystkich statkach po kilka osób z załogi. Ktoś musi sterować i ożywiać. Ponieważ widzę duchy, przepłynę z każdym oddziałem i pokażę żywym, gdzie stać, żeby nie dotknąć widm. W ten sposób zminimalizujemy straty.

Xu Da pobałdł bardziej niż zwykle. A ostatnio ciągle był biały na twarzy. Potrzebował wytchnienia, podobnie zresztą jak oni wszyscy. Nawet Zhu czuła się niekiedy tak znużona, że miała wrażenie, iż zmienia się w suszone warzywo. Lecz byli przecież młodzi. Po zwycięstwie będą mogli odpoczywać choćby i do końca życia.

– Młodszy braciszku – odezwał się po dłuższej chwili chłopak – pójdę za tobą wszędzie, wiesz o tym. Ale dać się utopić... Przecież to zwykli ludzie. Ten pomysł ich przerazi. I słusznie. Wiem, jak czuje się tonący. Jakby już nie żył. – Chwycił kurczowo za reling i spojrzał na niewidzialną zaporę. – To po prostu śmierć.

– Ale nie ostateczna! – zaprotestowała oburzona Zhu. – Dobrze, będą się bać, będą niechętni, ale czy nie patrzą śmierci w oczy za każdym razem, kiedy prowadzisz ich do boju? Mają do wyboru to albo uderzenie od czoła, które bez cienia wątpliwości skończy się rzezią. Powinni się cieszyć, że mają coś lepszego.

Chłopaka przeszył dreszcz, być może przypominał sobie, jak to coś lepszego smakuje. Odpowiedział jednak zwięźle:

– Jeżeli jesteś pewien, że tak trzeba, zrobię wszystko, żeby cię wesprzeć. – Wyszedł na środek pokładu. – Wytłumacz im – rzucił do Zhu.

Wytłumaczyła. Na statku rozległo się oporne szemranie.

– Rozumiem wasz strach – powiedziała. – Nie wierzycie, że to możliwe. A jednak. Patrzcie.

Xu Da wyszedł przed załogę i stanął ze splecionymi na plecach rękoma niczym oaza spokoju. Ktoś przyniósł wypełnione wodą wiadro. Zhu była pewna, że jedynie ona widzi grozę pod maską swobody, jaką przywdział chłopak. Musiał bać się bardziej nawet niż żołnierze. Oni sobie ten strach jedynie wyobrażali, on go znał. I zdecydował się przeżyć to ponownie, z własnej woli, dla niej. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odwołać pokazu, by oszczędzić mu cierpienia. To jednak było właściwe podejście i nie chciała się cofać. Wojsko gotowe wystawić się na strach i ból dlatego, że jej ufali, było lepsze od wojska zmuszonego do posłuchu ostrzem miecza.

– Nie spartol tego, młodszy braciszku. Nie jesteś tak ładny jak eunuch, ale tym razem nie będę wybredny – powiedział Xu Da półgłosem, tak by nie słyszeli go żołnierze. Rzucił jej nikły uśmiech i przypomniała sobie, co powiedział dawno temu, kiedy w Jiningu szykowali się do starcia z Ouyangiem: „Czyż nie znalazłem się przy tobie wskutek dziesięciu tysięcy lat poprzednich wcieleń?”.

Stłumiła rodzące się w piersi wzruszenie. Skoro on mógł wykazać się siłą dla niej, ona musiała mieć dość siły, by mu na to pozwolić.

– Oto generał, który wykonuje rozkazy Świetlistego Króla aż po grób. – Xu Da uklęknął.

Nikt nie musiał trzymać jego głowy pod wodą. Zebrani zaczęli szeptać z trwożnym podziwem. Rozumieli, jak wiele odwagi i siły woli musiał mieć ich wódz, skoro zmusił ciało, by wbrew naturalnym odruchom zaczerpnęło oddechu. Także Zhu poczuła ucisk w płucach, jakby sama oddychała właśnie wodą zamiast powietrzem. To śmierć. Cierpiał. Nie wątpiła nawet przez chwilę, lecz na szczęście nie trwało to długo.

Widziała, że widowisko pochłoneń żołnierzy. Nadeszła kolej na nią. Była w pełni świadoma, że jeżeli zawaha się choć na chwilę, zaprzepaści wszystko.

– Wyciągnij go – rzuciła chłodno do Yuchuna, który wbrew poleceniu nie zachował spokoju na twarzy.

Przez chwilę trudno jej było patrzeć: znów zobaczył Xu Da martwego. Wtedy jednak nie umarł, pomyślała. Teraz też nie umrze.

Przytknęła usta do jego warg i przelała mu oddechem swoją qi. Wyobraziała sobie ich energie krążące razem w ciele chłopaka. Wydawało się dziwnie stosowne, że ich braterstwo nie zaistniało dzięki krwi, lecz współdzielonemu życiu. Czuła już, że Xu Da nie umarł, mimo że oblicze nadal miał zimne i sine. Jego duch trwał tuż pod powierzchnią, jakby wyciągał ku niej rękę z drugiego, odległego brzegu. Lecz ku jej rosnącemu niepokojowi ciało towarzysza pozostawało nieruchome. Oddychała, aż rozboleły ją płuca. Ile czasu potrzebował Ouyang, by przywrócić go do życia? Na pewno nie aż tyle. Pod dotykiem jej warg usta Xu Da zaczęły się ogrzewać, lecz miała potworne przeczucie, że to tylko jej własne ciepło. Qi chłopaka gasła, wymykała się. Spojrzenia wszystkich skupione były na niej, a ona zawodziła. Oddychała i w końcu z wysiłku zakreśliła jej się w głowie. Uda się, myślała jedynie. Uda się, bo musi. Dlatego że wiem, że nigdy nie przegram.

I wtem pod jej dłońmi i ustami: drgnienie słabsze od dreszczu. Duch powracający do ciała, splot energii i materii. Pozbawiona tchu Zhu była akurat na tyle przytomna, by uśmiechnąć się szeroko, gdy Xu Da zachłysnął się głośno i wrócił do życia. Otoczyły ich męskie głosy, pełne niedowierzania wiwaty: żołnierze stali się świadkami cudu.

Chłopak zakaszlał i skulił się na pokładzie. Chciała pozwolić mu odpocząć, lecz rozumiała, że przedstawienie nie może jeszcze dobiec końca. Patrzcie, nic mu nie jest. Z tak liczną widownią nie mogła mu pomóc w walce z bólem i grozą. Mogła jedynie podnieść go na równe nogi i podeprzeć roztrzęsione ciało własnym. Zdziwiła się przy tym mimowolnie, że dopiero co utonął, a jest tak nienaturalnie suchy.

Xu Da wiedział, co powinien zrobić. Wyłącznie dlatego, że go trzymała, zdawała sobie sprawę, jak wiele wysiłku kosztował go okrzyk:

– Czy starczy wam odwagi, żeby dowieść lojalności Świetlistemu Królowi?

Zakrzyknęli na potwierdzenie. Dopiero kiedy żołnierze się rozeszli, chłopak oparł się na niej całym ciężarem. Zachwiała się i osunęli się razem na pokład. Po chwili Xu Da opanował kaszel na dość długo, by wykrztusić:

– Nie mam zamiaru nikogo krytykować, ale musisz popracować nad techniką. Było jeszcze gorzej niż za pierwszym razem.

Zhu mocno uściśnęła jego dłoń. Drżał gwałtownie, lecz był przy niej: wrócił i żył. Dla niej udał się w nieznaną dziedzinę śmierci, a ona wiedziała, że zdoła mu to wynagrodzić.

– I zrób to raz jeszcze, generale, dla mnie – powiedziała.

朱

Okręt flagowy Zhu sunął ku widmowej zaporze. Dziewczyna stała w dziobowej części pokładu, piratki ustawiły się szeregiem za nią, jakby była boginią Guanyin rzucającą wieloręki cień. Życie tych kobiet zależało od tego, czy Zhu zdoła pokierować nimi tak, by nie dotknęły żadnego ducha. Więcej: od tego zależało jej własne zwycięstwo. Gdyby się pomyliła i straciła zbyt wiele piratek, nie miałyby kto prowadzić statków. Nie miałyby kto ożywić jej żołnierzy. I to naprawdę byłby koniec.

W wypełnionej zimną wodą ładowni poniżej kołysali się topielcy. Statek płynął ociężale, obarczony wagą zawieszonych istnień. Xu Da wprowadził żołnierzy do jednego z kilku szczelnie zamykanych przedziałów poniżej linii wody, dzięki którym okręt nie tonął, nawet jeżeli kadłub zaczynał w jakimś miejscu przeciekać. Piratki zabiły właz gwoździami. A następnie wpompowały do środka wodę. Gdyby nie Xu Da... może na innych okrętach żołnierze wrzeszczeli i szamotali się, widząc w mroku podnoszącą się wokół wodę. Jednak na jej statku obecność generała dodała im otuchy. Wszyscy po prostu umilkli. Zhu jednak wiedziała, iż ta cisza nie oznacza, że nic się nie dzieje. W tej ciszy dobiegały końca ludzkie życia. Co takiego powiedział Ouyang? Że nie da się ożywić kogoś, kto

spędzi w wodzie więcej czasu, niż potrzeba, żeby zagotować imbryczek wody na herbatę.

Zbliżali się do zapory, ogarnął ich bijący od duchów chłód. Gdy światło mandatu przedarło się przez mgłę, Zhu ujrzała zjawy: martwe oczy, wygłodniałe usta. Przemknęło jej przez myśl, że choć wcześniej nadnaturalne moce nigdy jej nie szkodziły, nie wie przecież, czy jest na to odporna. Czy jeśli przypadkiem muśnie jedną z tych sylwetek, również padnie martwa? Statek żeglował tak cicho i gładko, że wydawało się, iż ktoś ściąga go niewidzialną liną. Nie było widać brzegów, które pozwoliłyby ocenić prędkość, więc wrażenie było takie, jakby wlekli się powoli, lecz dziewczyna wiedziała, że wyprzedziliby biegnącego człowieka. Duchy zafalowały; wyciągnęły ku niej ręce. Stojąca na statku umarłych Zhu mogła się jedynie skulić i ustawić pomiędzy chwytnymi, głodnymi palcami.

Moment później znalazła się już po drugiej stronie. Usłyszała za sobą ruch, to piratki zmieniły pozycje, by stać dokładnie za jej plecami. Zaraz potem rozległ się niepokojący stukot. Zbyt wiele głuchych uderzeń. Dziewczyna spochmurniała. Płynęli szybko, a ludzki czas reakcji jest ograniczony. Tylko kobiety stojące w ogonie kolejki zareagowały odpowiednio szybko.

Odwróciła się. W pierwszej chwili widziała jedynie martwe ciała. W następnym oddechu przeliczyła jednak i okazało się, że przetrwała mniej więcej połowa piratek. Połowa wystarczy. Musi wystarczyć. Każde uderzenie jej serca przybliżało ostateczny koniec utopionych pod pokładem żołnierzy, martwych, lecz wciąż trzymających się świata.

– Do pomp! – zawołała.

Wyciągnięci i ułożeni na pokładzie piechurzy stanowili koszmarny widok. Szare, zastygłe w przerażeniu twarze skojarzyły się dziewczynie z przyslaną przez Chena beczką kiszonych kończyn. Rzuciła się ku najbliższym zwłokom. Piratki zajęły się pozostałymi. Zhu nigdy w życiu nie ucieszyła się tak bardzo, słysząc kaszel



i odgłosy wymiotów. Ledwie któryś mógł samodzielnie usiąść, odsuwano go na bok, robiąc miejsce dla kolejnych.

– Ten nie wraca – usłyszała z boku.

– Zajmij się kolejnym – syknęła, czując na sercu lodowate palce strachu. Nie miała już do czynienia z ludźmi, lecz z zadaniami do wykonania. Płuca bolały z wysiłku, ubranie miała przemoczone. Nie mogli trwonić czasu na jednego pechowca, który z jakiegoś powodu nie chciał ożyć. Wielu innych czekało na swoją kolej, a czas płynął.

Żołnierzy było tak wielu, a piratek znacznie mniej niż na początku. Zhu nie chciała myśleć o tym, co było dla niej jasne już wcześniej: wszystkich ocalić nie zdołają.

Pod jej ustami trup zmieniał trupa. Każdy z tych ludzi mógł zginąć ponownie już w najbliższym starciu. W pewnym momencie obejrzała się za kolejnymi zwłokami, lecz nie było już nikogo. Z głową wypełnioną mgłą wyczerpania Zhu powiodła spojrzeniem po pokładzie. Gąszcz skulonych, rozkaślanych, siedzących z głową między kolanami żołnierzy. Jęczeli i wymiotowali. Zobaczyła też leżące między nimi trupy. Tak wiele ciał. Rozglądała się, nieświadomie wypatrując. Nie wiedziała, kogo szuka, dopóki go nie znalazła, czując przemożną ulgę.

Zhu podbiegła do Xu Da, który siedział pod żaglem. Głowę oparł o maszt i ciężko dyszał.

– Krwawisz. – Z bezkształtnym niepokojem zauważyła na jego wardze czerwony ślad.

– Kiedy tonąłem, przygryzłem sobie język. – Chłopak otarł usta grzbietem drżącej dłoni. – Muszę przyznać, że z tym nie idzie się oswoić.

– To był ostatni raz – obiecała z przekonaniem w głosie Zhu. – Umarłeś dla mnie już trzykrotnie, a więcej od nikogo nie śmiałabym wymagać. Już nigdy nie będziesz musiał tonąć.

Xu Da zaśmiał się płytko i wstał, lekko się przy tym chwiejąc. Powiodł wzrokiem po podnoszących się z wolna z pokładu piechurach i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Naprawdę się udało. Nikt poza tobą nie wpadłby na taki pomysł, a już na pewno nie poprosiłby o coś podobnego swoich ludzi. Okazali się silni. Choć pewnie tego właśnie się spodziewałaś.

Przed nimi zapraszająco otwierały się wody jeziora. Na horyzoncie majaczyło coś na kształt łańcucha szczytów okrytych śnieżnymi czapami: okręty Chena, flota strzegąca głównego dopływu jeziora. Zhu nie miała w ręku żadnych atutów poza zaskoczeniem oraz szybkością i zwinnością swoich statków. Nieduże i zwrotne, przypomniała sobie słowa Yuchuna. To musiało wystarczyć.

Xu Da, jak zawsze doskonale odczytujący jej myśli, powiedział z determinacją:

– Wystarczy. Teraz mamy przynajmniej szansę. I damy z siebie wszystko.

朱

Odgłos bębna rozlegający się spod białego masztu okrętu flagowego stał się wspólnym pulsem całej floty. Dzięki niemu serca żołnierzy Zhu zabiły jednym rytmem, za jego sprawą popychane wiosłami i żaglami chyże pirackie statki nabrały szybkości, pozwalającej pojawić się na flance Chena jakby znikąd. Wiatr wiał tak mocno, że mieli wrażenie, iż nie suną już po powierzchni wody, ale fruną tuż nad nią. Zhu nigdy w życiu nie mknęła z tak oszałamiającą prędkością. Wachlarzowate papierowe żagle ogłuszająco łopotwały nad jej głową, pod jej stopami deski pokładu jęczały niczym wymęczony pracą bawół. Gorycz, jaką pozostawiły po sobie odejście Ouyanga i zdrada Jiao, zniknęła, zmyta czystą, chłodną świeżością wilgotnej mgiełki tryskającej z rozcinanych przez dziób fal. Mimo świadomości, jak trudne czeka ich wyzwanie, Zhu czuła w sercu rosnącą ekscytację i zachwyty. Zawsze gdy ktoś powątpiewał w jej możliwości, gdy przestawał w nią wierzyć, dowodziła, jak bardzo się mylił. Robiła to raz za razem. Pokazywała, że to ona ma rację, i zwyciężała.

Flota Chena rosła w oczach. Owszem, już wcześniej Zhu słyszała, jak wielkimi dysponuje okrętami, lecz ujrzeć je na własne oczy było zupełnie innym doświadczeniem. Czerwone, lśniące kadłuby, w których niczym tchawki w pancerzyku chrząszcza otwierały się otwory strzelnicze, wznosiły się na wysokość miejskich murów. Stopniowo zwężające się piętra pokładów rosły jedno na drugim, a wierzchołek każdej z takich piramid wieńczyła chroniona żelaznymi płytami wieża łucznicza. A jeszcze wyżej pomiędzy białymi jak kość słoniowa żaglami czerwieniły się proporce, kojarzące się z ostatnimi trzymającymi się szkieletu skrawkami krwawego mięsa.

– Przygotować się do ataku! – zawołała w stronę dobosza Zhu, kiedy zbliżyli się bardziej. Z dreszczem emocji usłyszała zmianę rytmu, który na jej rozkaz przeszedł w energiczny stukot.

Pozostałe statki jej floty zareagowały, wciągając wiosła. Byli orłami składającymi skrzydła przed atakiem. Pędzili naprzód niesieni już tylko siłą powietrza, opatrzone ognistymi oczyma dzioby wciąż gładko orały fale jeziora. Zhu i jej okręt stali się jednym organizmem: rozdymające się żagle pracowały jak jej płuca, galopujące fale rozbijały się o burty, wyznaczając uderzenia jej serca. Rozluźnili szyk, kolejne jednostki wyszukiwały wyznaczone obiekty i kierowały się ku nim.

Cel okrętu flagowego wyrósł przed Zhu i dziewczyna przytrzymała się relingu. Zaraz potem kadłub mocno się nachylił przy ostrym zwrocie, ustawili się bokiem do przeciwnika.

– Ognia! – krzyknęła do czekających na pokładzie żołnierzy, gdy tylko oba statki się ze sobą zrównały.

Deski pokładu ciężko westchnęły, trebusze wypuściły płonące pociski. Kadłub i rozpostarte skrzydła okrętu Chena były tak wielkie, że niepodobna było chybić. Dziewczyna mogła sobie jedynie wyobrazić panikę, jaka ogarnęła wrogich żołnierzy, kiedy pierwsze ogniste bomby spadły im bez ostrzeżenia na głowy. Nie widziała pojedynczych sylwetek, lecz ujrzała panujące wśród przeciwników poruszenie, z jakim starali się przygotować obronę. Olbrzymie żagle

zmieniały położenie, załoga usiłowała obrócić ociężałego olbrzymia przodem do napastnika, lecz było już za późno. Komety pocisków Zhu przedzierały się przez maszty, zrywały takielunek. Grotmaszt wraz z żaglem zapłonął niczym sosna ugodzona letnią błyskawicą. Wprawdzie snująca się nad jeziorem mgła nie pozwalała dziewczynie poczuć żadnego zapachu poza wonią wody, przeszył ją dreszcz na myśl o smrodzie palonej smoły. Jej żołnierze zawyli zwycięsko. Tak, niech Chen usłyszy ich skowyt, przemknęło Zhu przez myśl. Niech gnije w jej triumfie, patrząc, jak jego flotę niszczy pożar.

Tak bardzo skupiła się na oczekiwaniu na pożogę, że dopiero poniewczasie spostrzegła, iż nic podobnego nie nastąpiło. Jej ludzie także zaczęli to zauważać. Dzikie okrzyki wygasły, wszyscy obserwowali to, co powinno być niemożliwe: okręt Chena nie płonął. Patrzyli na miniaturowe figurki gorączkowo wygaszające płomienie, stopniowo opanowujące chaos. Odcinali splątane liny, uwalniali maszty od płonących żagli. Zhu zauważyła – z rozpaczą i niedowierzaniem, za późno – że górny pokład wrogiego okrętu wyłożony jest grubą warstwą mat. Chen przewidział, że dziewczyna posłuży się ogniem, i zabezpieczył się przed jego działaniem. Gdy jej nasączone smołą bomby spadały, wojacy rywala natychmiast zarzucali je matami i dławili płomienie. Jak dotąd spłonęła jedynie część olinowania i łatwych do zastąpienia żagli.

Z coraz cięższym sercem Zhu zerknęła w bok i zauważyła, że ta sama sekwencja wydarzeń powtórzyła się również gdzie indziej. Flota Chena, choć okryta chmurą rozwiewającego się dymu, pozostała nietknięta. Na poczucie zawodu Zhu nie miała jednak czasu. Nie odniosła zwycięstwa z marszu, lecz natarcie stworzyło okazję – jeżeli tej szansy nie wykorzysta, przeciwnik wkrótce się otrząśnie i wyprowadzi przeciwnatarcie. A wtedy, stwierdziła posępnie w duchu, po prostu mnie zmiażdży.

– Broń krótkiego zasięgu! – zawołała, spoglądając na główny pokład. – Ogniwą na czoło, za nimi kubły z podpałką, łucznicy w trzecim szeregu. Podpływamy i nacieramy!

Wśród szaleńczego zamętu na pokładzie dostrzegła przedzierającą się wysoką sylwetkę Xu Da. Chłopak dowodził oddziałami, rozstawiał swoich ludzi. Na górnym pokładzie rufowym Yuchun szykował działa: większą odmianę ręcznej broni wynalezionej przez Jiao. Statek Zhu drgnął i popłynął naprzód.

– Teraz! – zawołała.

Ryk prochu ogniowego ogłuszał. Żołnierze strzelali prosto przed siebie i dziewczyna zobaczyła chwiejących się i padających żołdaków Chena. W kadłubie jego okrętu otwarły się potężne wyrwy.

– Powtórzyc! – wykrzyknęła ochryple.

Gruchnęła kolejna salwa. Obie jednostki spowił obłok kwaśnego, czarnego dymu i fruujących kawałków drewna. Zhu ledwie widziała cokolwiek poza dziobem swojego okrętu. W uszach szumiało jej tak głośno, że odgłosy świata dobiegały prawie jak przez grubą watę.

Wtem coś wyłoniło się z czarnych kłębow. Dziewczyna miała tylko moment, by podnieść głowę – a potem zadrzeć ją jeszcze wyżej i jeszcze – zanim czerwona jak krew burta uderzyła w ich statek. Żołnierze stojący tuż przy relingu w jednej chwili nadziani zostali na lance, jakimi zjeżone były wszystkie otwory strzelnicze. Ciśnięty z wysokości pocisk spadł na górny pokład. Energia uderzenia wyrzuciła Zhu w powietrze.

Kiedy się podniosła, rozkałana, oprószona trocinami, z przerażeniem zrozumiała, że zaatakowano ich harpunem. Ostrze przebiło pokład i uwięzło, uwiązując ich tym samym grubą liną do okrętu Chena. Kiedy dziewczyna ruszyła chwiejnie, niemal na czworakach, by rozciąć sznur szablą, niebo sypnęło kolejnymi harpunami. Jakiś piechur wrzasnął, przyszpilony do pokładu. Rzucił się ku niemu Xu Da – nie żeby go ocalić, gdyż na to było za późno, lecz żeby przeciąć linę. Zębatych pocisków było jednak zbyt wiele, unieruchomiły flagową jednostkę Zhu jak pazury chwytającego ofiarę tygrysa. Swoim atakiem rozjuszili jedynie wściekłą bestię. Potwora, który otrząsnął się z ran i skoczył prosto na nich.

Z góry spadały nie tylko migocące harpuny, lecz także całe wiadra jakiegoś płynu. Woń siarki wybiła się ponad mięsny fetor prochu ogniowego. Dziewczyna z przerażeniem uświadomiła sobie, że zostali zalani jakąś łatwopalną cieczą. Żołnierze Chena nasączali nią cały jej statek, by w odpowiednim momencie po prostu ich podpalić.

W powietrzu świsnął jeszcze jeden harpun i z głuchym stuknięciem wgrzył się wysoko w grotmaszt. Zhu zadarła głowę i zauważyła długą belkę podtrzymującą jeden z niewykorzystanych jeszcze rodzajów broni: potężny fajerwerk. W normalnych warunkach wisiał wysoko nad wodą i nie był pojedynczym ładunkiem wybuchowym, lecz składał się z setek mniejszych, powiązanych ze sobą w kiść niczym banany. W zamyśle miały zasypać żagle wrogiej jednostki, która ważyłaby się zanadto zbliżyć.

Okręt Chena był zdecydowanie zbyt wysoki i fajerwerk kołysał się daleko poniżej jego żagli. Trącał reling górnego pokładu. To mogło jednak wystarczyć. Nie tracąc ani chwili na jałowe rozważania, Zhu chwyciła zębami rączkę stojącego w pobliżu wiaderka z rozpałką, podbiegła do masztu i posługując się naraz hakiem i ręką, wdrapała się do miejsca, z którego mogła sięgnąć długiego lontu fajerwerku.

Jak na swoją długość, lont spalał się błyskawicznie. Rozniecona przez dziewczynę iskra dotarła do nasady ładunku i zniknęła wewnątrz. Przez chwilę nie działo się nic.

Wtem fajerwerk zaczął eksplodować, a kiedy już zaczął, ani myślał przestać. Rozdzierający odgłos kolejnych następujących po sobie wybuchów był tak donośny, iż Zhu byłaby gotowa uwierzyć, że ktoś rozdarł same niebiosa. Przy każdym huknięciu z fajerwerku strzelały ogniste odłamki, które przebijały burty i siekły żołnierzy Chena, trzymających w rękach cebrzyki z płynem, który wylewali na statek dziewczyny. Kiedy padali z wrzaskiem, ciecz z ich wiader pryskała i wsiąkała w pokrywające pokład maty. Wreszcie przy kolejnej eksplozji zwilżone maty stanęły w ogniu. Niemal natychmiast poszedł w ich ślady najbliższy maszt, jakby bijący od

mat żar osiągnął taką temperaturę, że doszło do zapłonu na odległość. Tak, właśnie to Zhu chciała osiągnąć od początku ataku. Okręt Chena zajął się na dobre.

Nagle, czując gwałtowną falę grozy, zrozumiała coś jeszcze: jeżeli nie zdoła uwolnić swojego statku, spłonie i on.

Na poły zeszła, na poły spadła z masztu i rzuciła się ku najbliższemu harpunowi, wściekle rąbiąc uwiązaną do niego linę. Kiedy ogarnięta paniką rozejrzała się po pokładzie, zaważyła, że Xu Da robi to samo. Statek Chena dygotał, podobny do umierającego zwierzęcia. W jego trzewiach rozpętało się piekło płomieni. Okręt Zhu wciąż jeszcze nie był wolny. Kiedy gigant zaczął kłaść się na bok, lekka jednostka dziewczyny uniosła się ponad taflę jeziora.

Zhu, kurczowo trzymając się kabestanów na coraz bardziej pochylonym pokładzie, zrozumiała, że widzi przed sobą rozplątane bebechy okrętu Chena. Ze zniszczonego czerwonego kadłuba były kolumny ognia oblizujące jej własny statek. Jeszcze moment, a któryś płomień znajdzie resztki płynu rozlanego przez wrogich żołdaków...

Usłyszała trzaski przypominające uderzenia bicia. Puściła reszta lin i okręt Zhu spadł. Kiedy uderzył o wodę, ciągnąc za sobą podobne do odsłoniętych jelit powrozy, dziewczyna wrzasnęła:

– Do wiosł! Musimy odbić, zanim tamci zatoną!

Zdołali się oderwać dokładnie w chwili, gdy okręt Chena ruszył z impetem na dno. Zasapana Zhu zawisała na relingu. Przez całą bitwę była tak zaprzętnięta kłopotami własnego statku, że nie miała czasu śledzić poczynąń pozostałych jednostek. Teraz gdy nareszcie powiodła spojrzeniem po jeziorze, ogarnęła ją czarna rozpacz.

Poza jej przeciwnikiem tonęła ledwie garść statków Chena. Jednak niepokojąco wiele z powodzeniem pochwyciło drobniejszych napastników harpunami, zalało ich pokłady śmiercionośnym płynem, po czym uwolniło się od płonących, umierających jednostek. W tej chwili ocalałe monstra na powrót zwierzały szyki. Flota Chena z morderczą powagą, dostojnie zwracała się ku rozrzuconym po akwenu pirackim stateczkom Zhu. Ich wyraziście

barwne proporce znaczyły ciemniejące niebo niczym zwiastuny burzy.

Do relingu obok dziewczyny przypadł Xu Da. Sapał jeszcze głośniej niż ona.

– Trzeba wracać przez zaporę duchów, musimy wydostać się z tego przeklętego bajora...

Obok nich przeszedł na czworakach bębniarz. Wracał na swoje stanowisko na dziobie. Coś przyturlało się do stopy Zhu: jedna z jego pałek. Rzuciła zgubę właścicielowi.

– Jeśli to zrobimy, przegramy z kretesem. – Popatrzyła chłopakowi w oczy.

– My już przegraliśmy. – Xu Da rzucił jej przygnębione spojrzenie.

– Nie. Nie przegramy, dopóki ja tak nie powiem. Jeżeli nie uznamy się za pokonanych, wciąż będziemy mieć szansę.

– Granica między determinacją a wyparciem jest bardzo cienka – zauważył.

W pewnym miejscu w oddali woda była jaśniejsza. Jasna barwa oznaczała płyciznę, a na płyciźnie okręty Chena nie mogły ich ścigać. Zhu pomyślała, że gdyby tylko zdołała zebrać tam flotę, mogłaby w najgorszym razie przeczekać i podjąć walkę kiedy indziej.

– Niech wszyscy popłyną na tamtą płyciznę. Przegrupujemy się – poleciała bębniarzowi, po czym raz jeszcze spojrzała na Xu Da. – Nie przegramy, dopóki ja tak nie powiem. A tego jednego – zapewniła z naciskiem – nie powiem nigdy.

朱

Przegrupowana flota Zhu kołysała się na płyciźnie. Nieco dalej, na ciemniejszych wodach, czekały w blokadzie olbrzymie okręty Chena. Dziewczyna nie miała najmniejszych wątpliwości, że przeciwnikowi wystarczy cierpliwości, by zaczekać do chwili jej załamania – jej bądź jej ludzi. Odejście Ouyanga już wcześniej nadszarpięło morale



żołnierzy, a bezczynne trwanie zawsze stanowiło najgorszy wybór. Zapewne łatwiej byłoby ich przekonać do kolejnego ataku na Chena – szaleńczego i samobójczego – niż trzymać tutaj, skazanych na zwątpienie i lęk.

Okręty wroga tworzyły solidną przeszkodę. Zachodzące za nimi słońce przeobraziło je w ponurą jednolitą masę. Przyglądająca im się Zhu pomyślała nagle: nie po prostu jednolitą, ale zbyt jednolitą. I zbyt solidną. Chen ustawił statki tak blisko siebie, by odebrać jej wszelkie szanse na skuteczne przebicie blokady. Tylko czy zarazem nie naraził sam siebie? Z wyjątkiem skrajnych jednostek żadna nie miała możliwości ruchu. Gdyby cokolwiek im zagroziło, nie mogłyby uciec.

Dziewczyna spojrzała w uderzające leniwie o burtę śmiecie i zauważyła odłamaną szyjkę dzbana na olej. Obok na falach mieniła się tęczowa smuga.

Atakując ogniem z góry, nie zniszczyła floty Chena. Jednak może gdyby podpaliła ją od dołu...

– Zaraz, czego chcesz? – Xu zareagował głęboko sceptycznym spojrzeniem, jakby czytał jej w myślach.

– Latarnie. Naucz innych, jak je robić. – Zhu wcisnęła mu do ręki rolkę papieru. Większość zapasowego papieru żaglowego wykorzystali do załatania wybitej przez harpun wielkiej dziury w głównym pokładzie. Wciąż mieli jednak dosyć, by móc zrealizować jej najnowszy pomysł. – Pamiętasz te, które robiliśmy w klasztorze z okazji Festiwalu Duchów? W kształcie kwiatu lotosu? Wiem, że zawsze trzeba było składać za ciebie, ale teraz nie mamy takiego luksusu i mam nadzieję, że coś z tego pamiętasz.

– Jakbyśmy mieli za mało kontaktów z duchami... – burknął pod nosem chłopak. – Poza tym... Przecież to było lata temu!

– Pamięć mięśniowa. Przypomnisz sobie – odparła bez cienia współczucia Zhu. – Jeśli ćwiczyles dość pilnie, żeby ją sobie wyrobić. Bo jeśli nie, będziesz musiał jakoś do tego dojść.

Tuż po zachodzie księżyca wysłany przez Zhu oddział wszedł do wody. Każdy z żołnierzy, podtrzymywany na falach przez

nadmuchane, uwiązane do pasa pęcherze, ciągnął ze sobą dwa dzbany oleju. Pomalowane na czarno twarze i zanurzone sylwetki były niemożliwe do wypatrzenia przez obserwujących okolice strażników Chena. Śmiałkowie podpłynęli do blokady, rozlali olej wokół okrętów stojących w środkowej części szyku i niepostrzeżenie wrócili.

Xu Da, stojący u boku dziewczyny na górnym pokładzie dziobowym, odliczał półgłosem. Wreszcie ostatni dygocący z zimna, przemoknięty pływak stanął na macierzystym pokładzie.

– Latarnie – zawołała Zhu i żołnierze zwodowali papierowe latarnie.

W przeciwieństwie do żołnierzy, płomyki nie mogły ująć uwadze Chena. Jednak mieli nadzieję, że przeciwnik uzna, iż zbliża się do niego flotylla łodzi z lampionami na pokładzie, i przygotowuje się do odparcia ataku. Liczyli, że nie domyśli się, że widzi setkę lontów, po których płomyki pełzły z wolna ku papierowym pokładom, mającym wkrótce wpłynąć w oblewającą jego statki plamę oleju. A kiedy już to zrozumie, nie będzie mógł statków rozproszyć. Potem będzie za późno na wszystko.

Rój światełek sunął przez ciemność, wynoszony z płycizny przez fale prosto ku głębinie, na której stała flota Chena. Kiedy uważnie się wsłuchali, usłyszeli w oddali wołania strażników, którzy dostrzegli światełka. Knoty musiały być już naprawdę krótkie. Pożar tłustej plamy zbliżał się z każdą chwilą. Zhu tak zawzięcie wpatrywała się w maleńkie iskierki, że zmąciło jej się w oczach.

– Co się dzieje? – szepnął Xu Da.

Nie, wcale jej się nie zmąciło. Czując silny skurcz żołądka, dziewczyna zrozumiała, że to światełka falują i migocą. Latarnie gasły. Ale dlaczego? W powietrzu dało się wyczuć zapowiadającą burzę wilgoć, lecz przecież nie padało. Nie wiał też wiatr, który mógłby zdmuchnąć płomyki. W ciągu lat spędzonych w klasztorze Zhu widziała nieprzebrane ilości latarenek, które zapalały się na wodzie, gdy niesione przez nie świeceki wypalały się do cna. Ogień

plus papier. Działanie z bardzo prostym wynikiem. Podobnie jak suma płonącego papieru i plamy oleju. Chyba że...

– To nie był zwyczajny papier – stwierdziła posępnie Zhu. – Zrobiliśmy latarnie z papieru na żagle. Fang Guozhen musiał go w jakiś sposób uodpornić na ogień.

Xu Da zaklął pod nosem. W oddali znikwały ostatnie iskierki. Na pokładzie dało się słyszeć wspólne westchnienie, podobne do odgłosu gaszonej świecy.

– No to już po nas.

– Nie – syknęła odruchowo Zhu. – Poślemy tam łódź. Ktoś musi podpalić olej własnoręcznie, pochodnią. Tylko trzeba się spieszyć. Chen już wie, że te światełka nie były główną częścią ataku. Wystarczy, że wyłowi jedną latarnię, a domyśli się, co planujemy, i wyprowadzi statki w bezpieczne miejsce.

– Ten, kto zapali olej, będzie musiał wpłynąć w sam środek plamy – zauważył chłopak. – A łodzie płoną jeszcze łatwiej niż te statki.

– Łódź spłonie, ale on wcale nie musi – odparła Zhu. – Wystarczy zanurkować pod warstwę ognia i wypłynąć poza plamę. Włos mu z głowy nie spadnie. Wróci do nas jak ci wcześniej. Na pewno mamy tu kogoś wychowanego w rybackiej rodzinie czy coś... Jakiegoś wprawnego pływaka. Znajdź mi go i poślij na jezioro. Natychmiast. A jeżeli nie znajdzie się pływak...

Wtedy trzeba będzie przymusić kogoś do podjęcia samobójczej misji, dokończyła ponuro w duchu.

– Nie martw się! Wiem, że większość nanrenów dorasta z dala od mórz, ale mamy też mnóstwo jezior i osad rybackich. Przecież nie tylko barbarzyńcy umieją pływać. – Xu Da ścisnął lekko jej ramię i ruszył na śródkręcie. – Zdaj się na mnie.

Ku wielkiej uldze Zhu chłopak rzeczywiście nie miał kłopotu ze znalezieniem stosownego kandydata: kiedy minęła mniej więcej połowa czasu potrzebnego na zaparzenie imbryczka herbaty, spuszczali już łódź na wodę. Mimo że od czarnej tafli jeziora dzieliło ją zaledwie kilka zhangów, Zhu z trudem zdołała dostrzec niewielki

kadłub, a klęczącego na pokładzie żołnierza z tyczką w ręku nie widziała wcale. Po chwili zarys łodzi wtopił się w ciemność. Dziewczyna wstrzymała oddech i z nadzieją wpatrywała się przed siebie. Wyraźnie słyszała, że wszyscy pozostali zrobili dokładnie to samo.

Wreszcie mniej więcej tam, gdzie powinien znajdować się przesłonięty masywem okrętów Chena horyzont: łuk ciśniętej do wody pochodni.

Z powierzchni jeziora bez jednego dźwięku podniósł się nie żółty, lecz niebieski ogień. Przebiegł po tafli, dopadł statków i je opasał. Początkowo płomienie zdawały się tak ciemne i przejrzyste, że trudno było uznać je za niebezpieczne. Stopniowo jednak jaśniały. Stały się czerwone, potem pomarańczowe i żółte. Wspinały się po burtach okrętów Chena, wpełzały na pokłady, a stamtąd skakały na żagle. A Chen, w odróżnieniu od doświadczonego pirata Fanga, nie uodpornił żagli na ogień. Cały łańcuch górski jego floty ogarnęła pożoga. Statki stojące w skrajnych punktach blokady panicznie czmychały, zapewne z nadzieją, że jeśli dostatecznie szybko oddalą się od serca pożaru, ocalą przynajmniej siebie.

Flotę Chena ogarnął chaos. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Zhu rozejrzała się w poszukiwaniu Xu Da, by wydać mu kolejny rozkaz. Kiedy nie wypatrzyła go w pobliżu, zmrużyła oczy i spojrzała na śródookręcie, gdzie widziała go ostatnio. Nic z tego.

– Gdzie jest generał? – Chwyciła za ramię nadbiegającego z tamtej strony żołnierza.

Nie musiała jednak czekać na odpowiedź. Zrozumiała sama.

Zamiast tracić czas na poszukiwanie pływaka, zamiast zapędzić do łodzi jakiegoś nieszczęśnika pod groźbą miecza, Xu Da popłynął przez ciemne jezioro i sam rozpalił ogniste, ryczące piekło, którego języki wyciągały się już na pół drogi do niebios, a odbite w wodzie zdawały się sięgać też piekła.

Chłopak nie potrafił pływać, lecz Zhu ogarnął dziwny spokój. Xu Da gdzieś tam jest, pod płomieniami, w bezpiecznej, opiekuńczej

ciemności. Wiedziała, że zdoła go znaleźć, gdyż wracał do niej zawsze. Nic mu nie będzie, a ona dostanie upragnione zwycięstwo.

Skargi zderzających się ze sobą, umierających statków Chena tworzyły cichy kontrapunkt do ryku wędrującego po wodzie ognia.

– Przekazać wiadomość wszystkim! – Zhu podniosła głos, by przekrzyczeć pandemonium. – Opuszczamy płyciznę i atakujemy!

朱

Kawałki drewna i śmiecie postukiwały o burtę flagowego okrętu Zhu. Piratki ostrożnie prowadziły statek przez wodne pobojuwisko. Poza nielicznymi jednostkami, które cudem zdążyły umknąć, z floty Chena pozostały jedynie wraki, tłące się, dogorywające skorupy kadłubów. Krople deszczu bębniły o proporce, tarabany, deski, kosze, padały na zwęglone ciała. Tak daleko, jak sięgał bezbarwny blask mandatu Zhu, tafla wody była dopalającym się kobiercem utkanym z ledwie rozpoznawalnych kształtów.

Wcześniej widzieli okręt flagowy Chena, który zatonął w samym sercu pożaru, wciśnięty pomiędzy dwa inne gorejące wraki. Dla tak zaciekłego wroga jak Chen był to niestosownie abstrakcyjny koniec. Zhu żałowała, że nie widziała jego miny, kiedy uświadomił sobie, że to ona wygrała. Chen stanowił w jej życiu potężną siłę – aczkolwiek działającą głównie niepostrzeżenie, jak przeznaczenie czy grawitacja – a tymczasem przyroda pochłonęła go, nie pozwalając nawet wygłosić ostatniego słowa. Zamiast triumfu dziewczyna czuła dziwną pustkę, nieobecność. Zastanowiła się, czy ujrzy gdzieś nad wodą jego ducha, równie samotnego i głodnego jak widma jego okaleczonych, zbezczeszczonych żołnierzy.

– Wejść na pokład, ocalałych wziąć do niewoli – rozkazała, gdy podpłynęli do jednego z wraków. Deszcz rozpadał się na dobre, rozpętała się burza. Dwa złączone linami statki zderzały się

z łoskotem na coraz wyższych falach. – Do łodzi i znajdźcie generała Xu – rzuciła do pozostałych żołnierzy.

Fakt, że na powierzchni kołysało się tyle śmieci, dodawał jej otuchy. Nieważne, że Xu Da nie umiał pływać, wystarczyło, że wynurzył się poza granicą ognia. Oczyma duszy dziewczyna widziała, jak chłopak trzyma się jakiejś deski czy fragmentu złamanego masztu. Spojrzenia jej ludzi mówiły, że ich zdaniem Xu Da już nie żyje. Ale to nieprawda, pomyślała zawzięcie. Nie zginął. Gdyby utonął, poczułaby to w sercu.

Pokład opustoszał. Zazwyczaj na statku panował taki ścisk, że nagle osamotnienie wydało jej się osobliwe. Bezustanny grzechot srebrzystych kropli deszczu przypominał Zhu o dziwnej radości i poczuciu spełnienia, jakich doznała, kiedy pojęła, że bardziej mokra już być nie może. Ugięła nogi, by nie upaść na coraz mocniej rozkołysane deski. Wcześniej tego nie wiedziała, lecz na statku nie ma mowy o bezruchu. W tym środowisku panował nieustanny hałas, wibracje i ruch, których znaczenie piraci odczytywali nie tyle za pomocą wzroku, co wycucia. Niewykluczone, że sama Zhu zaczynała się tego powoli uczyć, gdyż choć nie potrafiła określić, co konkretnie ją zaniepokoiło, to nagle zrozumiała, że w skrzypiącym, zalanym deszczem, ruchomym pejzażu zaszła jakaś zmiana.

Odwróciła się na pięcie.

Ktoś zbliżał się ku niej od śródokręcia. Potężna, zakuta w pancerz postać z głową nakrytą skrzydlatym hełmem. Ociekał wodą, jakby wynurzył się właśnie z jakiegoś podwodnego, mrocznego królestwa.

Bo tak właśnie było, zrozumiała dziewczyna, która nagle go rozpoznała. Uciekł z tonącego okrętu i wydostał się z wody, która ocaliła go przed śmiercią w płomieniach.

Przez cały czas ich znajomości Chen zawsze nosił szatę uczonego. W przeszłości był też jednak wodzem. Gdy Zhu była zaledwie dzieckiem w klasztorze, on był już mężczyzną dorosłym, wiodącym do boju żołnierzy i puszczającym z dymem całe miasta. Z jakiegoś niejasnego powodu po prostu o tym zapomniała. Wszyscy

zapomnieli. Ich czujność uspiła ministerialna gładkość, z jaką spacerował po Anfengu, jego monumentalny spokój. Nie brali pod uwagę, jak wielką krzepą trzeba było się wykazać, aby poruszać tym olbrzymim cielskiem z taką lekkością. Chen natomiast nigdy o swojej przeszłości nie zapomniał. Bez przerwy nosił ją w sobie. A teraz ukazała się w całej pełni. Ten Chen był rzeźnikiem z pobojozisk, wojownikiem spowitym w nikłą krwawą poświatę mandatu niebios.

A na jego ramieniu...

Chen niósł ociekający wodą ciężar z takim lekceważeniem, jakby nie był to człowiek.

Zhu uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała go wściekłego. Teraz był rozjuszony, lecz furia sprawiała jedynie, że tym lepiej nad sobą panował. Płonęła w nim uwięzioną mocą, podobnie jak bijące od niego czerwone światło.

– Zhu Chongba... Dawno się nie widzieliśmy.

W Anfengu Zhu przetrwała, pozostając poniżej poziomu jego uwagi. Teraz jednak skoncentrował się na niej w pełni i nie mogła niczego udawać. Nie mogła niczego ukryć. Była Świetlistym Królem i stała twarzą w twarz z przeciwnikiem, którego powinna była dopaść i zabić już przy pierwszej okazji.

Chen rzucił Xu Da na pokład, jakby pozbywał się worka gliny. Zhu poczuła w piersi okropny ucisk, chłopak był tak siny i nieruchomy. Zaraz potem jednak Chen oparł na nim ciężki bucior i nadepnął. Leżący drgnął i ochryple krzyknął. A wtedy wbrew jej woli – ponieważ Zhu napomniała się, że nie wolno jej ulec emocjom, już w chwili, gdy zobaczyła jego brzemię i domyśliła się, do czego Chen zmierza – coś krzyknęło i w niej.

– No proszę. Grzeczny chłopczyk – rzucił Chen. – Wciąż żywy na tyle, żeby się przydać.

朱

– Narobiłeś mi zdecydowanie zbyt wiele kłopotów, Zhu Chongbo – mówił donośnie Chen, tak by usłyszała go mimo siekącego deszczu. – Ale tutaj położę temu kres. Jeżeli nie chcesz, żeby twój brat zginął.

Na statku nie płonęła ani jedna latarnia. Oświetlali się wyłącznie własnym blaskiem: krwawa poświata Chena sprawiała, że jego wojownicze oblicze zdawało się twarzą posągu Guan Yu, błada aureola Zhu srebrzyła się w spadających z nieba kroplach. Jej światło było za słabe, by wyłowić jakąkolwiek barwę na twarzy czołgającego się po pokładzie Xu Da. Zmusiła się, by zapomnieć o sercu, i odpowiedziała głośno:

– Jaką cenę wyznacysz za życie mojego brata?

– Myślisz, że jesteś na mokrym bazarze i możesz się targować? – spytał lodowatym tonem Chen. – Ceną jest wszystko, co posiadasz. To powinno mi wystarczyć na pokrycie potężnych szkód, które mi wyrządziłeś, i żebym zapewnił sobie zwycięstwo w nadchodzącym starciu z panią Zhang.

– Pomyśleć tylko, że pani Zhang uznała, że może kupić twoją lojalność! – Zhu gorączkowo rozglądała się wokół, wypatrując czegokolwiek, co mogłaby wykorzystać, by uzyskać przewagę. – Byłeś nikim i nikim byś pozostał, gdyby nie dała ci tych statków. – Miała przy sobie szablę, lecz cóż mogła zwojować jej krótkim ostrzem przeciwko tak olbrzymiemu rywalowi jak Chen? Jeżeli jednak nie stanie do walki, jeśli ucieknie, co wtedy z Xu Da? Niewyraźne, rozpaczliwe uczucie, które ogarnęło całe jej wnętrze, było zupełnie nowe. Czy to właśnie czuł generał Zhang, kiedy porwała jego syna? Ten wewnętrzny płomień ledwie pozwalał zebrać myśli. Każdy problem ma jakieś rozwiązanie. Niestety, tym razem nie potrafiła tego rozwiązania znaleźć. – Czy jest ktoś, kogo nie byłbyś gotów zdradzić, Chen Youliangu?

– Pani Zhang miała mi dać statki? – Na usta Chena wypłynął wymowny, wyzuty z wesołości uśmiezek. – Czy naprawdę sądzisz, że ona jest jedyną zamożną osobą, która miała cię na oku? Na tym właśnie polega kłopot z ludźmi nadającymi sobie te górnolotne



tytuły. Znacznie więcej jest ludzi, którzy słyszeli o Świetlistym Królu i jego śmiałych ambicjach, niż tych, o których słyszałeś ty. Mój patron z rozkoszą zapłacił, żebym zakończył twoją gonitwę ku wielkości. – Ulewa odbijała się od pokładu białawą mgiełką. – A ja z rozkoszą przyjąłem zlecenie.

Skoro to nie pani Zhang...

Zanim Zhu doprowadziła myśl do końca, Chen złapał Xu Da za zmierzwiony koczek i podciągnął go na kolana. Chłopak zawsze był najsilniejszym ze znanych dziewczynie mężczyzn. Teraz rozpacz chwyciła ją za serce, gdyż zawisł w uścisku Chena, bezradnie tylko podrygując.

– Twój marsz dobiegł końca, Zhu Chongbo. Poddaj się.

Nie była w stanie myśleć. W tej rozkołysanej, mokrej ciemności czuła się jak w świecie z koszmaru – świecie starszym, poprzedzającym czasy cywilizacji, rzeczywistości pełnej spalenizny i ciał, do cna przenikniętej przemocą i brutalnością, przed którymi nie było ucieczki. A może, pomyślała zdjęta grozą, to wcale nie przeszłość, może taka będzie przyszłość?

– Długo się wahasz! Czy powinienem wyrazić się jaśniej? – Chen uwolnił włosy Xu Da, po czym sięgnął po nóż. Zaraz potem chwycił omdlewającą dłoń klęczącego i ciął. Chłopak nie krzyknął, jakby nawet na ten wysiłek nie było go już stać. Wydał jednak z siebie zbolący jęk, który przeszył Zhu na wylot. Palec spadł na pokład, plama bieli na ciemnych deskach. Momentalnie zabrał go deszcz. – Ile palców będzie musiał stracić, zanim się poddasz? Wiem, że ty radzisz sobie z pięcioma, ale musi istnieć jakieś minimum potrzebne do wygodnego życia. Decyduj! – syknął Chen i zaakcentował wypowiedź kolejnym błyskiem sztyletu.

Widok cierpiącego Xu Da przepełnił duszę dziewczyny boleścią. Kapitulując, mogłaby to cierpienie zakończyć. Tylko czy potem miałyby jeszcze szansę zwyciężyć?

Pomyślała o Ouyangu biegnącym na skrwawionych stopach ku armii, którą mu wykradła. Pokonał wszystkie ludzkie progi bólu i wytrzymałości, lecz ostatecznie nawet on padł. Istnieje pewien

rodzaj niemożliwego, które da się przewyciężyć dzięki determinacji. Lecz istnieje również to, co naprawdę niemożliwe. Zhu wiedziała, z którym rodzajem niemożliwego musiałaby się zmierzyć, gdyby uległa Chenowi. Gdyby Xu Da nic dla niej nie znaczył, nawet by się nie zastanawiała.

Od początku liczyła się z tym, że może przyjaciela stracić. Było to możliwe za każdym razem, gdy prowadził jej oddziały do boju. Uważała to za świadomie dokonany wybór. Sądziła, że jest przygotowana. Dopiero teraz, stojąc twarzą w twarz z rzeczywistą groźbą, uświadomiła sobie, że tak naprawdę nigdy w to nie wierzyła.

Ktoś, kogo kochała, ginął właśnie na jej oczach, a wraz z nim ginęła również ona. Pożerany przez ból Xu Da oddalał się z każdą chwilą i nie mogła tego znieść. W jednej ręce trzymała los chłopaka, w drugiej swoje przeznaczenie i mimo że obie te siły ciągnęły w przeciwnych kierunkach, rozszarpując ją niemal na pół, nie potrafiła zrezygnować z żadnej. Wydała z siebie odgłos niemal tak okropny jak przed chwilą Xu Da.

– Jakże zajmujący eksperyment! Mnich przeciwko mnichowi. Kto podda się pierwszy? – Chen chciał tylko jej kapitulacji, lecz jego gniewne serce rozkoszowało się okrucieństwem. – Kiedy skończą mi się palce, zajmiemy się pozostałymi częściami ciała. Pamiętam, że potrafisz być bezwzględny, Zhu Chongbo. Wszyscy wiemy, co uczyniłeś naszemu pierwszemu ministrowi. O tym biednym chłopczyku nie wspomnę. Ale tu mamy do czynienia z czymś zupełnie innym, prawda? Spójrz bratu w oczy. Zobacz, jak błaga spojrzeniem, żebyś go ocalił. Czy naprawdę zdołasz...

Pokład gwałtownie wierzgnął. Zhu padła na kolana. Nawet Chen się zachwiał. A kiedy na moment rozluźnił chwyt, dziewczyna spostrzegła, że Xu Da zbiera się w sobie.

Drzazga to bardzo złe słowo na określenie ścielących się na pokładzie ostrych, nierównych kawałków drewna. Gdyby uznać je za drzazgi, musiałyby być drzazgami gigantów: długie jak męskie ramię lub jeszcze dłuższe, wydarte z desek zębami harpunów. Xu Da

odnalazł spojrzeniem Zhu. Jego oczy, lśniące pod oblepiającymi czaszkę włosami, były w pełni przytomne. Nie umiała wyobrazić sobie wysiłku, jakiego wymagało pokonanie tak koszmarnego bólu.

Nie zawahał się. Rozumiał, że ma tylko tę jedną chwilę. Chwycił drzazgę zdrową ręką i ścisnął ją z tak wielką determinacją, że zbieleły mu kostki palców. Korzystając z całej siły woli, przełamał instynktowne, cielesne pragnienie życia. Wbił sobie drewniane ostrze prosto w pierś, podobnie jak kiedyś odetchnął dla niej wodą.

Wciąż na nią patrzył. Kiedy jednak otworzył usta, jakby po to, by coś powiedzieć, spływający z jego warg deszcz stał się nagle czerwony jak kwiaty azalii, jak kamelie. Zhu nigdy w życiu nie widziała tak intensywnego odcienia szkarłatu.

Coś się działo w jej krtani, jakby ta czerwień dławiała także ją. Dłoń chłopaka wypuściła drzazgę i opadła. Kawał drewna sterczał mu z piersi, obrzydliwie nie na miejscu. Zhu poczuła przemożną, obłąkańczą potrzebę, by go wyrwać i cisnąć do morza. Nie mogła znieść tego widoku: to coś zabijało Xu Da, niszczyło jego kochane ciało, odbierało chłopakowi życie, jakby było wrzecionem nawijającym z powrotem czerwoną nić jego losu.

Opadła mu głowa, upadł. Gdy jednak znieruchomiał, Zhu zrozumiała, że nie umarł. Po prostu wiedziała. Przecież kiedy przebił ją miecz, Xu Da zdołał ją ocalić. Będzie mogła mu się teraz odwdzięczyć. Tak to działa. Ruszyła ku niemu chwiejnie przez pokład. Chen ryknął wściekle, wyszarpnął miecz z pochwy i zaatakował.

朱

Chen był górą szarżującą na mrówkę. Gdyby ją złapał, Zhu zginęłaby błyskawicznie. Teraz jednak, kiedy stracił Xu Da, mogła zrobić to, co było wykluczone wcześniej: mogła uciec.

Odkąd wypłynęli z Yingtianu, zdążyła zaznajomić się z rozkładem statku całkiem dobrze, lecz dzisiaj zniszczony pokład,

przecięty w wielu miejscach splątanymi linami i podartymi żaglami, ponownie stał się miejscem nieznanym. Dziewczyna odwróciła się do Chena plecami i popędziła przez chaos. Wciąż miała przed oczyma ten straszliwy widok, tkwiącą w piersi Xu Da drzazgę. Wiedziała, że cokolwiek zrobi, by pokonać przeciwnika, musi to zrobić szybko. Biegając, czuła we własnym ciele zbolące oddechy cierpiącego chłopaka. Miała tak mało czasu. Mało, ale wystarczy. Musiało wystarczyć.

Kiedy Zhu była w połowie długości pokładu, a Chen wciąż deptał jej po piętach, przez reling przewaliła się szczególnie wysoka fala i posłała oboje w przeciwne strony. Takiej właśnie okazji potrzebowała. Zamiast poderwać się na równe nogi i pokazać napastnikowi, dziewczyna skuliła się i zaczęła ostrożnie przemykać wśród walających się wszędzie śmieci. Nad jej głową ogłuszająco łopotał niewyraźny w ciemności żagiel. Hałas i bałagan nie pozwalały Chenowi jej wypatrzeć, lecz to nie rozwiązywało problemu nadrzędnego: Zhu mogła uciekać, lecz nie mogła uciec. Byli przecież na statku, dokąd miałyby umknąć? Rozumiała to ona, rozumiał to również Chen.

– Zhu Chongbo! – Chen przekrzyczał szum wody. Ze swojej tymczasowej kryjówki za kabestanem dziewczyna dostrzegła go przy burcie. Szkarłatny blask podkreślał jedynie kontury sylwetki, masywne cielsko pozostawało w amorficznej ciemności. Tropił ją, skrzydlaty hełm obracał się powoli dokoła. – Po co uciekasz? Osobiście nigdy nie chciałem cię niszczyć. To mój patron nastawił nas przeciwko sobie. Nie widzę powodu, żeby tak było dalej. Zamiast ze mną walczyć, stań po mojej stronie! Obaj jesteśmy potężni, myślisz, że jeśli połączymy siły, ktokolwiek nam sprosta?

Zhu rozpoznała dobrze sobie znany zew: moc charyzmy Chena. Nie on był przywódcą powstania Czerwonych Turbanów, lecz z jakiegoś powodu rebelia kręciła się zawsze wokół niego. Zajmował swoje miejsce na świecie z tak monumentalną solidnością, że to inni musieli schodzić mu z drogi. Początkowo za tę właśnie cechę go podziwiała.

– Brat poświęcił się dla ciebie, ale wcale nie musiał. Pozwoliłbyś mu umrzeć i tak. Znam cię! Kiedy pokazywałeś światu oblicze łagodnego mnicha, czyż to nie ja dostrzegłem twój potencjał? Zrozumiałem, że jesteś gotów zrobić wszystko, byle dopiąć swego. Byty podobne rozpoznają się nawzajem, a my jesteśmy do siebie podobni. Ty i ja. To my powinniśmy być krewnymi. Przyłącz się do mnie, Zhu Chongbo! Pozwól mi zostać członkiem swojej rodziny, nie dzięki urodzeniu, ale poprzez podobieństwo charakteru. Osadź mnie na tronie, a ogłoszę cię synem i następcą. Mój świat stanie się też twoim. A kiedy odejdę, przekażę go w twoje ręce. Bo tego właśnie pragniesz, czyż nie? Sprzymierz się ze mną, a będziesz to mieć.

Przez jedną straszną chwilę oferta wydawała się sensowna. Zhu od dawna widziała w Chenie jedną z możliwych wersji przyszłej siebie: był człowiekiem bezwzględnym, gotowym posunąć się do wszystkiego, poświęcić dowolną osobę w zamian za realizację pragnienia ogromnego jak świat.

Był coraz bliżej. Zhu widziała zmierzające w jej stronę buty. Krople deszczu były o pokład z taką siłą, że tryskająca mgiełką woda wzbijała się na wysokość kolan, a wokół Chena jarzyła się rubinowo, jakby spowijała go mgła tysiąca zniszczonych ciał.

– Nie kryj się, Zhu Chongbo. To ja jestem podobny do ciebie. Ja jestem twoim przeznaczeniem. Twoją przyszłością. Pokaż się i zaakceptuj mnie!

Lecz Zhu nie pragnęła tego, czego pragnął Chen. Sądził, że ją rozumie, ale nie rozumiał wcale. Jakże mógł, skoro nie miał pojęcia, kim Zhu jest? Z gnającej ją żądzą pojmował tyle, ile mógł zrozumieć, patrząc z zewnątrz, czyli to, czego mógłby pragnąć dowolny mężczyzna taki jak on: myślał, że łaknie świata ugiętych karków, skrojonego do jej osobistych potrzeb, służącego jej zadowoleniu.

Nawet gdyby Zhu zaufała jego obietnicom: nie takiego świata pragnęła.

Przy każdym przechyle pokładu obijały się o jej stopy luźne metalowe rurki. Ogniowa broń Jiao. Zhu złapała jeden z tych prętów i ścisnęła w rękę. Ogólna kakofonia głuszyła jej chrapliwy oddech.

Czuła, że nabiera powietrza, lecz jednocześnie się dusiła: dusiła się wraz z Xu Da, który umierał tam, gdzie go porzucili.

Kiedy chłopak wziął sprawę w swoje ręce, Zhu nie podjęła jeszcze żadnej decyzji. Straszliwa prawda przedstawiała się tak, że nie miała pojęcia, co by postanowiła.

Jednak cokolwiek by zrobiła, Chen nie mógł tego wiedzieć, ponieważ nie był do niej podobny.

Oparła pręt na zgiętym łokciu prawego ramienia. Wewnątrz nie było już pocisku, więc nie była to nawet pełnoprawna broń. Ot, zwyczajna pusta rura. Zhu przystawiła dłoń do otworu po swojej stronie.

Jedyną na świecie rzeczą szybszą od myśli jest błyskawica. Dokładnie w chwili, w której w sercu Zhu uformowało się pragnienie, światło jej mandatu trysnęło przez rurę i namalowało jaskrawy krąg na żaglu za plecami Chena. Kiedy się odwrócił, dziewczyna raptownie się poderwała i z całej siły grzmotnęła żelaznym prętem w jego głowę.

Brzęk usłyszała nawet poprzez deszcz. Cios był tak silny, jakby uderzyła toporem w drewniane polano. Chen zakołysał się w miejscu. Gdyby nie hełm, strzaskałaby mu czaszkę. Lecz Zhu od początku wiedziała, że jedno uderzenie nie wystarczy. Płynnym ruchem odrzuciła rurkę na bok, dobyła szabli i cięła, mierząc w odsłonięte miejsce na jego szyi, pomiędzy hełmem a metalowym kołnierzem...

W tej samej chwili Chen poderwał opancerzone ramię i szczerząc zęby w grymasie wściekłości i bólu, odtrącił jej klingę na bok. Zrobił to tak łatwo, jakby dziewczyna nie była silniejsza od komara. Wszedł w przestrzeń wytworzoną przez jej wyciągniętą rękę i uderzył na odlew.

Jakby trafiła ją kula armatnia. Zhu nagle ujrzała świat z zupełnie innej perspektywy. Zdyszana leżała na plecach. Coś w niej dzwoniło: nie ból, lecz jakby jakieś inne doznanie, zbyt intensywne, by ciało mogło je przetrwać. Zamajaczyła nad nią sylwetka Chena. Przydepnął dłoń, którą chciała uchwycić szablę. Nie mogła uciec.

Tym razem ciało przekazało ból poprawnie. Zhu wrzasnęła, słysząc chrobot miażdżonych kostek. Chen posłał jej szablę kopniakiem w dal. A zaraz potem podobnie złośliwym, precyzyjnie mierzonym ruchem kopnął ją.

Zhu widziała, jak pod kopniakami ginął jej ojciec. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że spotka ją identyczny koniec. Trzaskały jej żebra. Lada moment miały popękać narządy wewnętrzne. Pożerał ją ból. Wirując, odfruwiała w nicość, której z takim zacięciem poszukiwał Ouyang, i nic nie mogła na to poradzić.

Wtem, niespodziewanie, zniknęło podłoże. Spadająca Zhu, wiedzona bezrefleksyjnym odruchem, machnęła na oślep zakończoną hakiem protezą. Ostrze wbiło się w pokład i zawisała. Wiatr porywał ze sobą i zniekształcał rozlegające się w oddali wrzaski jakiejś kobiety. Dopiero po długiej chwili zrozumiała, że to ona tak krzyczy.

Chen spadł razem z pokładem. Kiedy statkiem rzuciło w przeciwną stronę, wrócił w spienionej fali. Wylądował niedaleko dziewczyny i niepewnie podźwignął się z desek. W tej chwili poruszał się jednak wolniej, masywne ciało nie było już zwinne, lecz ociążałe.

Zhu poderwała się na kolana, wstała na równe nogi. Szarpały nią tak silne drgawki, że z trudem utrzymywała się w pionie. Przycisnęła zmiażdżoną dłoń do połamanych żeber i powlokła się przed siebie. Chen ruszył za nią. Pokładem znów zakołysało i przewrócili się oboje, miotani to w jedną, to w drugą stronę niczym statki halsujące pod wiatr.

W pobliżu fokmasztu fragment pokładu był o ton jaśniejszy niż wszędzie indziej. Pierwszą mglistą myślą Zhu było, że leży tam zerwany żagiel, dopiero moment później przypomniała sobie zatkaną papierem dziurę po harpunie. Z pozoru wydawało się, że arkusze leżą na deskach, lecz podtrzymała je zaledwie delikatna kratka, naprędce spleciona z cienkich pasków bambusa. Konstrukcja była zapewne dość solidna, by utrzymać jej ciężar. Gdybym jednak zwabiła tam Chena... – pomyślała dziewczyna.

Powłócząc nogami, dobrnęła do celu i stanęła na nakrytej papierem kratce. Bambus ugiął się, lecz nie ustąpił. Zhu nie miała odwagi spojrzeć przez ramię. Czuła jednak, że Chen zbliża się niepowstrzymanie, słyszała w szumie deszczu głuchy, pulsujący pomruk jego mandatu. Dźwięk stopniowo narastał, aż wreszcie rozległ się tak blisko, jakby przeciwnik stał od niej na wyciągnięcie ręki.

Mgnienie później kratka puściła. Zhu straciła równowagę. Jej uszy wypełnił okrzyk zaskoczonego Chena. Wrzeszczało także jej ciało. Nie miała jednak czasu przejmować się bólem. Rzuciła się ku rywalowi, który próbował wyplątać nogi z masy podartego papieru i bambusowych pręcików. Ostatkiem sił wraziła hak w nieosłonięty pancerzem punkt na wysokości jego talii.

Chen przeraźliwie ryknął, a ona zaczęła go rozdzierać wygiętym kawałem stali. Czuła, jak ciało ustępuje pod naporem, zupełnie jakby kroić tępym nożem wielki kawał mięsa...

Hak znieruchomiał, Chen przytrzymał go dłonią i mocno ścisnął. Dziewczyna szarpnęła. Nic z tego. Rywal miał naprawdę żelazny chwyt. Zebrała się w sobie i szarpnęła raz jeszcze. Tym razem zrodzona z desperacji siła sprawiła, że hak oderwał się od kikuta i Zhu upadła na pokład po drugiej stronie kratki. Leżała bezwładnie, zdyszana. Trzymała się już tylko nadziei, że zraniła go wystarczająco poważnie. Z rozoranego boku Chena lała się krew. Na oczach Zhu wyrwał hak z rany, warknął i odrzucił go na bok. Przez rozdarte ubranie ukazały się żółtawe brzegi głębokiego rozcięcia. Dziewczyna nie ujrzała jednak wypływających zwojów jelit. Wyczerpana, zdjęta grozą, zrozumiała, że hak nie sięgnął odpowiednio głęboko. Chen posiadał grubszą jeszcze niż Fang Guozhen warstwę tłuszczu, która tak dobrze służyła mężczyznom w walce, czyniąc ich ciężkimi i silnymi, a także – co w tym momencie liczyło się najbardziej – znakomicie chronią.

Nieudany gambit kosztował Zhu resztki energii. Wyczerpanie nie pozwalało jej się podnieść, o biegu nie było mowy. Ze zgruchotaną dłonią i bezużytecznym kikutem nie potrafiła nawet



czołgać się jak należy. Pełzła po prostu, podciągając się łokciami, chwytając łapczywie kolejne hausty powietrza. Wibracje pokładu podpowiedziały jej, że Chen zdołał wygrzebać się z dziury. Zaraz potem stanął tuż nad nią.

Ze zwinnością tygrysa wyławiającego z rzeki rybę chwycił dziewczynę za kostkę i odwrócił szarpnięciem na plecy. Usiadł okrakiem na jej piersi; powietrze z szumem opuściło jej płuca. Ciężar przeciwnika gniótł połamane żebra, miażdżył ją z każdą chwilą bardziej. Nie musiał nawet chwycić jej za gardło, lecz złapał i tak. Jak przez mgłę przypomniła sobie swoje wcześniejsze rozgoryczenie na myśl o abstrakcyjnej naturze jego śmierci. Żałowała wtedy, że los nie pozwolił jej nacieszyć się widokiem jego ostatnich chwil. Teraz z kolei odniosła wrażenie, że Chen nie zamierza ograniczyć się do patrzenia na jej śmierć; chciał poczuć uchodzące z niej życie. Osłonięta skrzydlatym hełmem twarz była obliczem demona z głębi piekła: uśmiechnął się krwawym, agresywnym, przekonany o własnej wyższości uśmiechem człowieka, który od początku był pewien wygranej.

– Żegnaj, Zhu Chongbo.

Zhu krztusiła się, charczała. Biła pogruchotaną dłonią o twardą skorupę zbroi Chena. Kikut wymachiwał bezsilnie przed jego twarzą, nie mogła jej nawet dosięgnąć. Tego, co stało się w następnej chwili, nie zaplanowała. Nie zrobiła tego nawet w pełni świadomie. Kiedy skrajna, poprzedzająca śmierć desperacja kazała jej ciału przypomnieć sobie wszystkie swoje sukcesy, wyciągnęła przed siebie prawą dłoń. Dłoń utkaną ze światła. Za dnia jej mandat zawsze był ledwie widocznym, nikłym białym płomykiem. Teraz fantomowa ręka, którą sięgnęła do twarzy Chena, zaświeciła jaskrawo, naprawdę bardzo jaskrawo. I lśniła coraz jaśniej. Dziesięć razy mocniej. Sto razy mocniej. Płonęła. Stała się słońcem.

Chen wrzasnął, wierzgnął do tyłu i chwycił się za twarz. Poparzona skóra zaczęła oddzielać się od powięzi. Czerń ziejąca w miejscach, gdzie przed chwilą miał oczy, przypomniła Zhu dzień,

w którym dawno temu Chen pozbawił człowieka języka, a potem zmusił ją, by patrzyła, jak umiera.

– Nie nazywam się Zhu Chongba – wychrypiała, patrząc mu w oczy.

Chen nie był jej przeznaczeniem. Nie był jej przyszłością. Sama nazwała się Zhu Yuanzhangiem i to imię wytyczało jej przyszłość: koniec panowania Yuanów i początek świata stworzonego na jej podobieństwo, świata, w którym nie pozostanie nic z przeszłości.

Moment później poziomy pokład zmienił się w pionowy klif. Spadli. Zhu wyciągnęła ręce i zdołała powstrzymać upadek, zaczepiając łokciami o jakąś belkę. Wywijające ramiona Chena znalazły jedynie pustkę. Dziewczyna popatrzyła w dół, śledząc masywne, zakute w pancerz ciało, przebijające kolejne pręty, zrywające liny. Wylądował ciężko daleko poniżej, na relingu.

Zaraz potem statek przechylił się jeszcze bardziej. Chen wystrzelił za burtę niczym człowiek zrzucony z siodła przez narowistego konia. Zhu zobaczyła jeszcze, jak uderza o czarną wodę. Po chwili już go nie było.

朱

Zhu poderwała się i ślizgając się na deskach, ruszyła tam, gdzie zostawiła Xu Da. Była marionetką z teatru cieni, której ktoś potrzaskał patyczki: jej kończyny to okazywały się zbyt sztywne, to przeciwnie, wymachiwały nieposłusznie na wszystkie strony. Kiedy walczyła z Chenem, wszystko inne na świecie ustąpiło przed jasnym i wyraźnym, nagłym imperatywem przetrwania. Teraz jednak powróciła rozpacz i dziewczyna miała wrażenie, że ktoś zainstalował w niej jeden z krwawych zegarów Jiao. Każda upływająca chwila oznaczała kolejną kroplę szkarłatu skapującą do miski, której pojemności nie znała.

Jednak choć poziom krwi stale się podnosił, jakaś głęboka siła jej serca wciąż stawiała opór trwodze. Xu Da przeżyje. Czyż mogło

być inaczej, skoro przeżył tyle potyczek z bandytami, liczne bitwy, a potem jeszcze trzy razy specjalnie dla niej utonął? W końcu Zhu wypatrzyła w mroku przemoczone, bezwładne ciało i przypadła do jego boku.

Kiedy zrozumiała, że chłopak naprawdę żyje, była gotowa uwierzyć, że sprawiła to sama, siłą swojej woli. Policzki miał bledsze niż pierś gotowanego kurczaka, lecz wiedziała, że to jedynie efekt wywołany przez blask jej mandatu. Tkwiąca w piersi Xu Da drzazga wyglądała bardziej przerażająco niż przed chwilą, lecz koszulę wokół niej moknął bardziej od wody niż krwi. Zhu przemknęło przez myśl, że kiedy przebił ją miecz Ouyanga, musiała wyglądać znacznie gorzej. Straciła wtedy połowę krwi, a przecież przetrwała.

– Dlaczego... – spytała zachrypnięta. – Po cholere w ogóle tam popłynąłeś, bezmózgi melonie? Mógł to zrobić dowolny żołnierz. Nie musiałeś wsiadać do tej łodzi.

Jej lewa, zmiażdżona przez Chena dłoń zdążyła okryć się wstrętną opuchlizną i była praktycznie bezużyteczna. Pogłaskała więc twarz Xu Da fantomową dłonią. Ten dotyk nie był w zasadzie dotykiem, lecz jakie to miało znaczenie, skoro posiadała wolę dość silną, by zmuszać do spełniania własnych życzeń cały wszechświat? To właśnie za pomocą woli pokonała Chena; to jej wola podtrzymała przy życiu Xu Da, to jej wola miała teraz odegnać samą śmierć dlatego tylko, że Zhu tego pragnęła.

Być może jednak Xu Da poczuł jej dotyk, ponieważ ocknął się i wyszeptał:

– Wróciłeś, braciszku. Wiedziałem, że... zwyciężysz.

– Zwyciężyłem – potaknęła z ogniem w głosie, starając się nie zwracać uwagi na krew, którą padający deszcz splukiwał z ust chłopaka. – Już po wszystkim. Chen Youliang nie żyje. Na innych statkach są lekarze, więc po prostu sobie odpocznij, a ja kogoś sprowadzę. Poskładamy cię. Zanim się obejrzysz, będziesz zdrów jak ryba.

Odniosła wrażenie, że Xu Da się śmieje, choć wyraz jego straszliwie zeszywniałej twarzy zupełnie na to nie wskazywał.

– Aż żał, że nie ma tu tego bydlaka Jiao Yu – mówił powoli, pomiędzy wdechami i tak cicho, że aby go usłyszeć, musiała niemal przytknąć ucho do jego policzka. Nawet z tak niewielkiej odległości nie wyczuwała w jego ciele ani odrobiny ciepła. – Z tą raną nie poradziłyby sobie nawet on.

– Bzdury wygadujesz! – Zhu nie miała pojęcia, dlaczego jej głos brzmi tak dziwnie. Nie miała przecież powodu do niepokoju, to nie był ich koniec. Gdyby był, wiedziałyby o tym. – Nie dramatyzuj. Może ci się wydawać, że stoisz nad grobem, ale nie umrzesz. Nie możesz. Przecież czekają na ciebie te wszystkie niegrzeczne panienki z Yingtianu. Musisz poślubić przynajmniej jedną, spłodzić z nią tuzin bachorów, a dwójkę oddać mnie. Bo kto inny obdarzy mnie następcą?

– Wsiadłem na tę łódź – szepnął – bo wiedziałem, że lepiej, żebym popłynął ja niż ktoś, kto ma przed sobą całe życie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała tych słów, nie miały żadnego sensu.

– A ja... i tak... – Dygotał przez chwilę, jęknął. – Umierałem. Wiedziałem, że umieram, od Wyspy Fortecznej. Odkąd ożywił mnie ten eunuch.

Wszystko w Zhu zamarło, jakby jej serce zniemacka zapomniało, jak się bije. Wyspa Forteczna. Ale skoro umierał od tamtej pory...

Sukces na Wyspie Fortecznej sprawił jej tak wielką radość. Gratulowała sobie, że zapłaciła za zwycięstwo tak niewielką cenę: zaledwie dwa życia, i to takie, na których jej nie zależało. Tłumaczyła sobie nawet, że z chęcią zapłaciłaby więcej. Nagle przypomniała sobie wszystkie momenty, kiedy Xu Da wykasływał krew i zapewniał ją, udawał, że wszystko jest w porządku, po to, by się nie dowiedziała, że zapłaciła znacznie większą cenę.

Skoro chłopak umierał od Wyspy Fortecznej, to znaczyło również, że nie Chen jest temu winny.

To przeze mnie, pomyślała zdjęta zimną, krystalicznie czystą zgrozą.

Zdołała wsunąć pod niego zgruchotaną dłoń i podtrzymała mu głowę przegubem. Fantomową dłonią musnęła lodowate, białe policzki, dotknęła ciemniejących pod oczami i na skroni zmarszczek cierpienia.

– Zabraniam ci umierać! – rzuciła z dzikością i siłą woli, przed którą uginał się cały świat. – Nie pozwalam.

Tym razem Xu Da zdobył się na najprawdziwszy uśmiech i z jakiegoś powodu był to najgorszy widok w jej życiu.

– Bywa, że i cesarskiego rozkazu nie można posłuchać. Czym się przejmujesz, młodszy braciszku? To moje przeznaczenie. Od początku zdawałem sobie sprawę, że oddam za ciebie życie. Za tego, który drwi z losu. Tego, który może zmienić świat. Wydawało mi się, że o tym wiesz. – Zachłysnął się i dziewczyna zobaczyła, że oczy szkli mu skierowane do wewnątrz przerażenie. – Chociaż... wolałbym... żeby nie bolało tak... – Opadł z sił, zaczął gwałtownie dyszeć, jakby była to najtrudniejsza i zarazem jedyna rzecz, jaką może zrobić.

– Nie! – zawołała Zhu.

Potwornie bała się tego niezwykłego dla Xu Da stanu niejasności, mglistości. Zupełnie jakby jego dusza, ta część, którą był z nią powiązany, już dokądś ulatywała. Poczowała rozpaczliwą ochotę, by sięgnąć w głąb chłopaka, pochwycić jego ducha i zmusić, by został tutaj, tu, gdzie jego miejsce. Przez jedną szaleńczą chwilę wierzyła, że naprawdę może tego dokonać. Skoro widziała duchy, czemu nie mogłaby jednego z nich uwięzić? Może posiadała tę moc jako jedyna spośród wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie: moc pozwalającą zaprzeczyć wyrokowi nieba i zapobiec śmierci wyłącznie dzięki niezłomnej sile woli.

Dygotała tak, jakby miała się rozpaść na kawałki. Przycisnęła czoło do czoła Xu Da, jakby mogła go zatrzymać samym dotykiem. Był przy niej od początku, zanim jeszcze stała się prawdziwą sobą. Nie umiała wyobrazić sobie świata bez niego. Oglądanie jego odejścia przypominało doznanie człowieka, spod którego stóp fale wygarniają brzeg, ten przyływ był potężniejszy i silniejszy nawet od niej. Choć wrzeszczała i protestowała, wiedziała: moc, która

odbierała jej tego chłopaka, była siłą nieubłaganego przeznaczenia. Lecz Zhu pokonywała już przecież dyktat przeznaczenia.

– Niebiosa mi cię nie odbiorą! Odmawiam. Odmawiam!

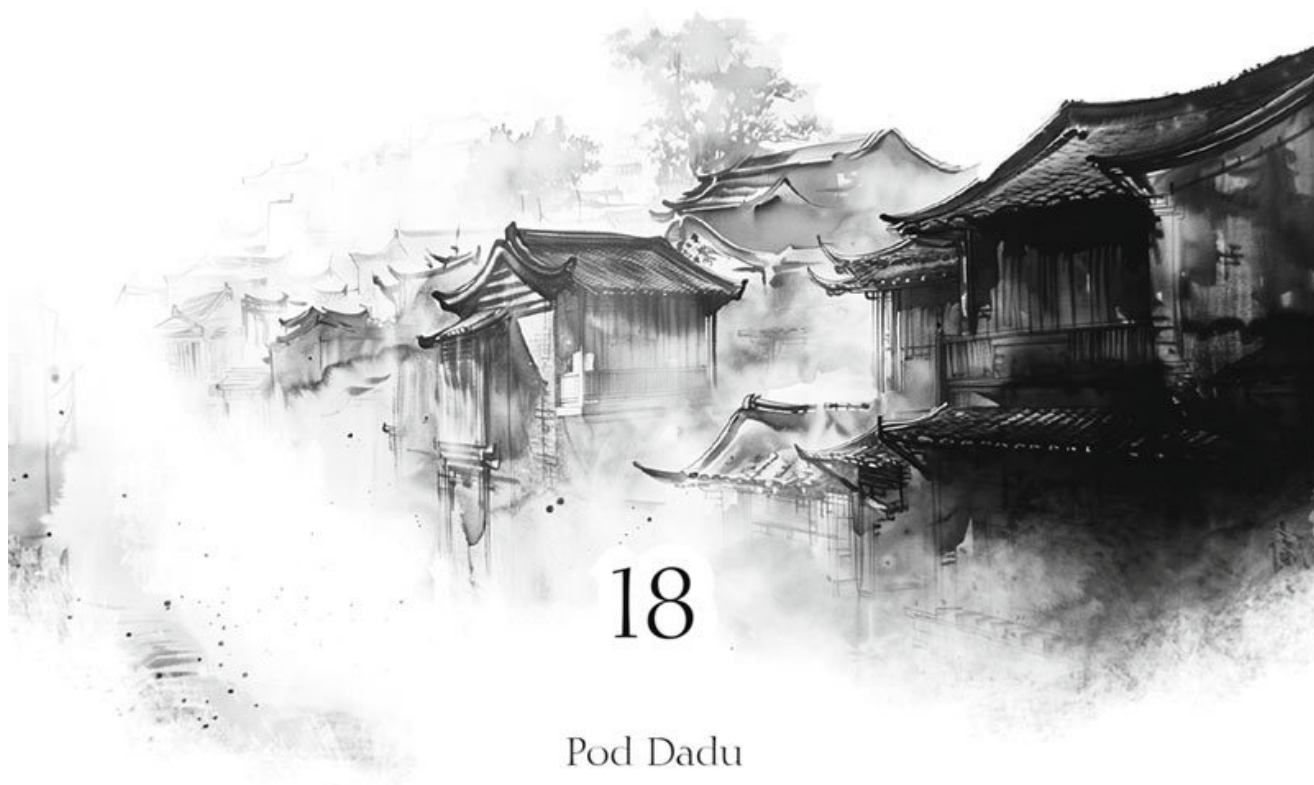
Ignorowanie cudzej niedoli i cierpienia zawsze przychodziło jej z łatwością. Zhu patrzyła, jak Chen Youliang obdzierał człowieka ze skóry, posyłała żołnierzy na pewną śmierć w boju. Nawet dziecięca niewinność nie powstrzymała jej przed zabiciem chłopca, który stanął jej na drodze. Cudzy ból był zawsze czymś, czemu się tylko przyglądała. Nie sądziła, że obserwowanie cierpienia innego człowieka może być straszliwsze niż cokolwiek, co mogło się zrodzić w jej własnym ciele. Tym, co czuła w tej chwili, był ból człowieka, który trwał przy niej najdłużej ze wszystkich, który od początku ją zaakceptował i który ją chronił. Ból człowieka, którego kochała. Wdzierał się w głąb jej bezbronного serca, niszczył ją, tak samo jak niszczył jego. Skoro jednak ból Xu Da dostał się do jej ciała – skoro czuła wszystko, co czuje on – czy nie znaczyło to, że walczą przeciwko niemu we dwoje? Czy chłopak nie mógł skorzystać z jej siły woli, która przecież z powodzeniem wystarczała dla dwojga? Ba, wystarczyłaby i dla tysiąca. Była siłą zdolną pokonać cały świat.

Tuliła go, klęcząc na kołyszącym się pokładzie. Statek powoli tańczył, oblewany kolejnymi falami. Maleńka bańka światła w ciemności rozświetlała wpadające w nią strugi deszczu, a Zhu mogła jedynie chronić go przed ulewą swoim rozdygotanym skulonym ciałem. Nie wiedziała, kiedy dokładnie się to stało – kiedy jej wola okazała się po prostu za słaba. Wciąż miał otwarte oczy, lecz teraz, kiedy deszcz opłukał mu usta z nagromadzonej krwi, nie pojawiła się świeża. Ciało, które miała w rękach, już nie widziało, nie usiłowało zaczerpnąć tchu, nie niosło w sobie ducha.

To właśnie oddała w imię swojego pragnienia. Wiedziała, że gdyby podniosła wzrok, ujrzałaby Xu Da. Stałby tuż za zasłoną lejącej się z nieba wody.

Głosem tak ochryplym, że sama go nie poznawała, złożyła mu solenną obietnicę:

– To nie pójdzie na marne.



18

Pod Dadu

**A**rmia Ouyanga stanęła obozem na skraju wyłysiałych na zimę, brązowych terenów uprawnych, okalających miasto niczym aureola. Generał nigdy w życiu nie zapuścił się tak daleko na północ. Dadu okazało się bardziej suche, niż sobie wyobrażał: śnieg sięgał tu najwyżej po kostki. Aura idealna do wojaczki. Ostatnia myśl przyszła do niego jakby mimochodem: nie wiązała się z nią przyjemność ani wyczekiwanie. Ot, zwykłe spostrzeżenie. Poza linią wytyczoną przez szyki obrońców z armii stołecznej rozciągały się przedmieścia Dadu, dzielnice licznych rezydencji i domów rozkoszy. Na wszystkie padał wielki cień zewnętrznego pierścienia murów miejskich. Za tym pierwszym czekał mur Miasta Cesarskiego, a za nim z kolei znajdował się mur samego pałacu. Nic więcej nie stało już pomiędzy Ouyangiem a jego przeznaczeniem: nic poza armią i trzema pierścieniami fortyfikacji. Wytrzymaj. Już niedługo.

Kłapa była podniesiona i wpadające do jurty podmuchy wiatru wypełniały wnętrze wściekłym zimnem. Na innym etapie życia mogłoby mu to przeszkadzać. Być może nawet by się poskarżył.

Wszystko zdawało się jednak bardzo odległe. Czy miał jeszcze w ogóle ciało? Żył we własnym świecie, w świecie bólu, przez który nie przedzierało się nic innego. Nie panował już nad niczym. Zniknął rozdział na jego jaźń i pamięć, na niego samego i cierpienie. Najgorsza udręka nadciągała falami. Kiedy uderzała, tortura była tak okrutna, iż nie wyobrażał sobie, że może ją przetrwać. Wówczas jednak fala opadała i następowała chwila zubożonej ulgi – jeszcze bardziej dotkliwa, gdyż tymczasowa, a generał ponad wszystko pragnął prawdziwego wytchnienia.

Po długim, szybkim przemarszu z Yingtianu jego wojsko było obszarpane i wymęczone. Jeszcze w Qingyuanie coś stało się z Chu – Ouyang nie był pewien co i wcale o to nie dbał – lecz nadal miał przy sobie tego nudnego, zaufanego Genga, który skutecznie utrzymywał porządek. Generał odniósł nieodparte wrażenie, że żołnierze nie byli zachwyceni jego samotnym powrotem do Qingyuanu, a jeszcze mniej uradowała ich wieść, że uderzą na Dadu bez wsparcia sojuszników. Cóż, poziom zadowolenia poborowych nie należał do jego problemów. Komendanci słuchali rozkazów Genga, a Geng był posłuszny generałowi. Piechurów trzymano w ryzach chłostą: wszystko to składało się na jeden organizm, napędzany pragnieniem Ouyanga.

I był to organizm skuteczny. Jego piechurzy przebili się z impetem przez wszystkie oddziały armii stołecznej, które grodziły im drogę ku Dadu. Ponieśli wprawdzie poważne straty, lecz nie tak wysokie, jak spodziewał się generał. W duchu dziwił się dezorganizacji cechującej poczynania obrońców, nie pasowało to do opinii, jakie słyszał o dowódczym talencie wielkiego radcy. Tymczasem posuwając się naprzód, miał wręcz wrażenie, jakby wrogimi oddziałami nie kierował nikt.

Ouyang pamiętał niejasno przepowiednie Genga dotyczące wielkiego radcy i jego porażki na niwie dworskiej polityki. Może rzeczywiście domysły komendanta okazały się prawdziwe. Bez względu jednak na prawdziwy obraz sytuacji liczyło się jedno: Zhu nie była mu potrzebna. Nigdy jej nie potrzebował. Odnosił jedno



zwycięstwo za drugim, a dzisiaj miał już cel na wyciągnięcie ręki. Wkrótce zemści się na tym, kto wpisał w osnowę świata los jego i Esena, na tym, kto odebrał im możliwość wyboru dróg życia i śmierci. A wraz z zabójstwem wielkiego chana, tym ostatnim aktem życia Ouyanga, każdy straszliwy postępek, jakiego się dopuścił, wszystkie jego cierpienia okażą się coś warte.

– Wciąż nikomu tego nie pokazałeś? Moim zdaniem bez szwów się nie obejdzie. – Geng przekroczył leżącą w progu jurty deskę.

Ouyang spojrział za wzrokiem oficera na własne dłonie. Ze zdziwieniem ujrzał pokrywające je ranki, z których ciekły cienkie strużki krwi. Nie mógł sobie przypomnieć, w jakim momencie ostatniego starcia się ich nabawił. Jego ręce – te drobne, delikatne, zniecierpliwione dłonie – wydawały mu się dziś jeszcze bardziej obce niż zwykle. Nie czuł w nich najsłabszego bólu. Czy i inne części ciała pokryte miał ranami, których nie zauważył i nie czuł? Przyszło mu do głowy, że w rzeczywistości materii mógł się rozpadać podobnie jak w tym drugim, prywatnym świecie.

– To nic – powiedział.

Nieważne. Jego ciało mogło się rozpaść. Liczyło się jedynie, żeby wytrzymało do chwili, w której zrobi to, co zrobić musiał. Niemniej nieobecne dotąd zobojętnienie ciała sprawiło, że zatęsknił za bólem fizycznym, który stanowił niekiedy alternatywę dla nieustannego cierpienia duszy. Doznał silnej, pożądliwej niemal wizji odkrawania plastrów własnego ciała jedynie po to, by poczuć ulgę. Zaraz potem pomyślał jednak, że czas ulgi już minął. Pozostał mu tylko koniec.

– Zapewne czeka nas jeszcze kilka dni podobnych do dzisiejszego, a potem odtrąbią odwrót i wycofają się do miasta – stwierdził Geng z namysłem. – Wtedy trzeba będzie rozpocząć oblężenie. Z uwagi na ograniczoną liczebność naszych oddziałów możemy nie dać rady przypuścić skutecznego szturm na mury. Niewykluczone, że spędzimy tu sporo czasu.

Ouyangowi nie uśmiechało się oblężenie, zwłaszcza przeciągłe. Zdawał sobie sprawę, że może się to okazać konieczne, lecz myśl o długim czekaniu pod Dadu była po prostu nieznośna.

– Chociaż wcale nie musi do tego dojść – zauważył Geng, jakby czytając generałowi w myślach. – Może spróbujemy umieścić w mieście swoich ludzi, którzy otworzą nam bramy?

Chociaż Ouyang nie wyobrażał sobie nic lepszego od przegnania widma oblężenia, powiedział:

– Szkoda wysiłku. Ich strażę są z pewnością przygotowane na taką ewentualność. Nie ma sposobu, żebyśmy przerzucili do Dadu choć jeden oddział.

– Może tak, może nie. Znam w mieście pewnego człowieka. Jeżeli opłacę go odpowiednio sownie, może pomóc niewielkiej grupie dostać się do miasta. Naturalnie musiałyby to być nieliczna drużyna. Dosłownie garść ludzi. Nie wiem, czy tylu wystarczy. Niemniej gdybyś zechciał spróbować... Musielibyśmy rzecz zorganizować jak najszybciej. Póki Dadu pozostaje otwarte.

Ouyangowi wydało się osobliwe, że Geng, pochodzący przecież z Henanu, utrzymuje znajomości w stolicy. Zarazem jednak wydało się to całkiem sensowne: to po prostu wszechświat popycha mnie ku zwycięstwu. Generał doznał narastającego poczucia nieuchronności, z którym nie wiązała się nawet odrobina przyjemności. Jedynie myśl o końcu.

– Pomów z tym człowiekiem – zdecydował. – Zbierz odpowiednią grupę. Nie będziemy zwlekać ani dnia.

朱

Ouyang z Gengiem zbliżali się pieszo do głównej bramy południowego muru Dadu. Wiedli ze sobą jucznego osła, którego juki skrywały miecze i pancerze. Za osłem kroczyła kolumna kóz, stanowiących przepustkę do stolicy. Odpierające armię najeźdźców miasto nie mogło przecież walczyć o pustym żołądku. Ich ośmioosobowy oddziałek podzielony został na pary. Dzięki glejtom otrzymanym od znajomego Genga, stwierdzającym, że wszyscy są legalnie działającymi kupcami, każda dwójka miała wejść do Dadu

inną bramą. Dzięki temu rozwiązaniu nawet wpadka niektórych nie musiała oznaczać wpadki wszystkich. Ponownie się spotkać planowali dopiero za murami.

Brama jaśniała w chybotliwym blasku pochodni. Zapadający zmierzch przeobraził mur w czarny kształt, tak potężny, że zasłaniający samo niebo. Stanowił pionową ścianę zbitej ziemi, solidną niczym górski szczyt. Ouyang nigdy jeszcze nie widział tak wysokich fortyfikacji, a oglądając je z bliska, pomyślał, że pomysł Genga rzeczywiście przyszedł w porę. W okresie budowania potęgi Wielkich Yuanów zdarzyło się, że mongolska armia oblegała jedno z miast nanrenów przez długie trzy lata. Co, gdyby zagłodzenie Dadu również wymagało takiego czasu? Generał mógł to znieść, jeżeli zaszłaby taka konieczność, lecz miał przy tym posępną pewność, że postradałby w trakcie zmysły.

Postanowili wejść pod wieczór. Było niewykluczone, że wymęczeni całodniową służbą strażnicy przepuszczą ich bez drobiazgowej kontroli. Jednak teraz, kiedy wysuwali się z wolna na czoło kolejki oczekujących pod stolicą kupców, kurierów i żołnierzy, Ouyanga spotkała nieprzyjemna niespodzianka. Pilnujący bramy wartownik rygorystycznie sprawdzał glejty i porównywał ich treść z zawartością jakiejś listy: prawdopodobnie spisu wydanych przepustek. Generał zrozumiał, że posługując się kradzionymi dokumentami, nie wejdą. Z drugiej strony gdyby wycofali się teraz, na oczach strażników, również wydaliby się podejrzani. Z dziwnym, zubożającym lękiem zmierzył wzrokiem kręcących się w pobliżu żołnierzy. Czy gdyby wyszarpnął miecz z bagaży, zdążyłby powalić wystarczająco wielu, by przedrzeć się do miasta i zniknąć w jakimś zaułku? Nie miałby ze sobą nikogo, nie miałby sprzętu ani zbroi. Byłby sam, z mieczem w ręku. Ale może niczego więcej nie potrzebował? Wystarczyło potem przebić się do wielkiego chana.

Wreszcie nadeszła ich kolej. Geng podał wartownikowi glejt. Mongoł przebiegł wzrokiem swoją listę, po czym podniósł gwałtownie spojrzenie.

Ouyang przesuwiał się z wolna w kierunku osła. Dokładna kolejność, w jakiej musiał zabić strażników, szybowiała w jego umyśle niczym wspomnienie snu.

– Co to? Zasad nie znacie? – warknął poirytowany wartownik. Ku zaskoczeniu generała, zamiast stwierdzić, że przepustka jest fałszywa czy kradziona, zwrócił ją Gengowi. – Wiem, że na innych bramach panuje rozluźnienie. Ale reguła jest jasna. Każdy kupiec potrzebuje osobnego dokumentu. Dwóch handlarzy, dwie przepustki.

– Dwie... Ach. Ale ten tutaj to żaden kupiec. – Ouyang zamarł z dłonią na jukach. Geng ściszył głos i mówił dalej: – To zwykły niewolnik, chłopak, co mi przy zwierzakach pomaga. Na niego chyba przepustki nie potrzeba, co? Sam zobacz, jakie to chucherko. A w mieście i tak będę go mieć cały czas przy sobie.

Wartownik zmrużył oczy i przyjrzał się generałowi w ciemniejącym świetle wieczora. Był czas, kiedy tego rodzaju spojrzenie rozbudziłoby drzemiącą w Ouyangu furję. Teraz miał po prostu świadomość, coraz bardziej obojętną, tego, co zobaczył w nim Mongoł.

– Samotny mężczyzna potrzebuje w drodze towarzystwa, tak? – rzucił wartownik.

Jakimś cudem mimo śmiertelnej bezbarwności charakteru Geng zdobył się na wymowny uśmiezek.

– Nie dość, że ładny, to jeszcze posłuszny.

Strażnik odpowiedział podobnym uśmiechem i przepuścił ich machnięciem ręki. Wchodząc do miasta, Ouyang nie poczuł nawet ulgi. Zatem dostali oryginalne glejty. Kuzyn Genga, czy kimkolwiek był jego tajemniczy znajomek, musiał pracować jako urzędnik. Lecz nawet gdyby zatrzymano ich za posiadanie podrobionego dokumentu, cóż, Geng miałby pecha, gdyż Ouyang zasiekłby wartowników i ruszył dalej sam. Wiedział, że potem pomogłoby mu przeznaczenie. Czyż mogło być inaczej?

Przeszli zwawym krokiem krzyżujące się ulice i dotarli do domu w zachodniej dzielnicy miasta, wyznaczonego przez kontakt

Genga jako punkt zbiórki całego oddziału. Gdy Ouyang wszedł do środka, w jego umyśle zabrzmiał znajomy akord. Dziwne uczucie: jakby tuż przed momentem wyszedł stąd znajomy mu człowiek. Nie był pewien, skąd się to wrażenie wzięło. Może snująca się w pokoju woń pachnidła? Cóż, pewnie zbieg okoliczności. Przecież nie miał w Dadu znajomych. Pociągnął nosem raz jeszcze, lecz zapach – o ile był to zapach – już się ulotnił.

朱

Przed zmrokiem zeszli się wszyscy członkowie oddziału. Założyli pancerze. Jedyne Ouyang nie miał na sobie standardowej mongolskiej zbroi, jaką nosili wszyscy żołnierze w Dadu. Nawet gdyby znaleźli w obozie pancerz w odpowiednim rozmiarze, nie założyłby go. Jego wyjątkowa lustrzana zbroja zwiększała ryzyko na ulicach miasta, szczególnie w powiązaniu z charakterystyczną sylwetką właściciela; choć ostatecznie przecież chciał zostać rozpoznany.

Wyszli na ulicę i rozdzielili się. Grupa sabotażystów ruszyła ku zachodniej bramie, a generał z Gengiem i resztą żołnierzy skierowali się ku Miastu Cesarskiemu.

Geng otrzymał od swojego człowieka bardzo precyzyjne informacje. Prowadził ich wzdłuż pokrytego lodowym nalotem kanału, płynącego przez kilka dzielnic mieszkalnych i dalej, przez zalesioną część stolicy. Między drzewami panowała ciemność tak głęboka i niepokojąca, że Ouyang musiał raz po raz zerkać ku górze poprzez gałęzie modrzewi, by sprawdzić, czy gwiazdy nadal wiszą na niebie. W pewnym momencie zrozumiał, dlaczego mrok jest tak intensywny. Znaleźli się w cieniu kolejnego wysokiego muru.

Tutaj Geng poprowadził ich prosto w nurt kanału. Przebili cienki lód na powierzchni i przeszli w sięgającej ud – Ouyanga zalała po pas – wartkiej, lodowatej wodzie pod sam mur, gdzie znaleźli wylot tunelu.

– Normalnie jest tu krata, ale mój człowiek ją usunął – obwieścił szeptem Geng. – Ten tunel przeprowadzi nas prosto do Miasta Cesarskiego. Potem zostanie nam do pokonania już tylko jeden mur.

Kiedy pochyleni weszli do środka, ogarnął ich intensywny zapach korzeni. Ouyang dopiero po chwili przypomniał sobie, gdzie czuł coś podobnego: w podkopie pod Pingjiangiem. Sojusz z kobietą nazywającą się Zhu Yuanzhangiem wydawał mu się teraz odległym snem, w którym wystąpiła nieistniejąca osoba. Niejasno pamiętał dotkliwe poczucie klęski, jakiego doznał wskutek oszustwa. Został oszukany, kiedy wreszcie ośmielił się zamarzyć o innym zakończeniu. Jednak teraz już nie bolało. Dzisiaj nie czuł w związku z tą sprawą niczego. Kimkolwiek była Zhu, dla przyszłości Ouyanga nie miała żadnego znaczenia.

Wyszli na zamarznięte jezioro. W przeciwieństwie do lodu pokrywającego kanał ten tutaj był solidny na tyle, że mogli na nim stanąć. Pospiesznie przeszli przez czarną, zimną tafłę, pokonali podobnie zamarzną fosę i wdrapali się na wał ziemny wznoszący się u podnóża muru Miasta Pałacu.

Mokrzy i rozdygotani, zbili się w ciasną grupkę, by nie marznąć, czekając. Suche powietrze Dadu było tak nieruchome, że ich oddechy zbiły się w wiszącą nad głowami mgłę, przesłaniającą światło gwiazd. Dzwon na wieży w Mieście Zewnętrznym obwieścił jedną zmianę warty, potem drugą. Wreszcie usłyszeli to, na co czekali: nie dzwony, ale dudnienie alarmowych tarabanów. Wysoko ponad zachodnim murem rozkwitły kwiaty ostrzegawczych sygnałów ogniowych. Strumień dobiegającego od strony miasta pomruku przeszedł w wodospad przerażonych hałasów. Mieszkańcy zrywali się z lękiem i dowiadywali, co zaszło: wróg zdobył bramę.

Podobny rwetes podniósł się w Mieście Pałacu. Za jego murami rozpalala się pochodnia za pochodnią, aż wreszcie stało się ono wyspą światła tak jasnego, że zalane tym fałszywym świtem gwiazdy zgasły. W pewnym momencie główna brama Miasta Pałacu stanęła otworem i wypadła z niej zbita masa jeźdźców. Osobista

gwardia wielkiego chana pędziła co koń wyskoczy, by zatrzymać napływającą do Dadu falę wojsk Ouyanga.

– Teraz! – rozkazał generał, ledwie konni zniknęli im z oczu. Żołnierze zarzucili na mury liny z hakami. Po ciemnościach Miasta Cesarskiego jaskrawość Miasta Pałacu niemal ich oślepiła, kiedy zeskoczyli na biały piasek po drugiej stronie. W długiej alei wypatrzyło ich dwóch strażników. Natychmiast wszczęli alarm. Jednak Ouyang uciszył ich krzyki kilkoma cięciami miecza. Jego żołnierze gnali za nim kolejnymi chodnikami, raz za razem skręcając w kierunku serca miasta – tam, gdzie było jeszcze jaśniej – aż wreszcie pokonali wysoko sklepioną bramę i znaleźli się na rozległym placu. Przed nimi piętrzył się jaskrawo oświetlony budynek. Ouyang wiedział, czysto intelektualnie, jaki cud skrywa centrum Cesarstwa Wielkich Yuanów, lecz mimo to ledwie mógł ogarnąć gmach umysłem – pałac przytłaczał rozmiarami oraz liczbą klejnotów, które nawet nocą skrzyły się w ścianach.

Na placu nie mieli już do czynienia z dwójkami gwardzistów, lecz z całym tłumem. Ouyang ruszył naprzód niczym taran. Miał wrażenie, że brodzi w ciałach, tak samo jak niedawno brodził w trzaskającym lodem kanale. Ostrze jego miecza znajdowało ofiary po lewej i po prawej, w stałym rytmie, krok za krokiem.

Kiedy dotarł do prowadzących ku Sali Wielkiej Światłości marmurowych schodów, spłynęła z nich ku niemu jeszcze jedna fala żołnierzy. Wybiegł im na spotkanie. Tańczył taniec, do którego został stworzony: taniec ciała i krwi. Wyczuwał niejasno bliskość idącego po lewej Genga. Komendant radził sobie dobrze. W pewnym momencie coś uderzyło generała w nogę i nawet w obecnym, bezbolesnym stanie zrozumiał, że cios trafił nie w pancerz, ale w mięsień. Nieważne, ponieważ atak go nie spowolnił. Widział już przed sobą potężne wrota sali, widział płonące wewnątrz pochodnie i wybiegających między kolumny strażników. Dla Ouyanga nie byli ludźmi, lecz ulotnymi przeszkodami. Czyż mogli go zatrzymać? Przecież tam, na górze, czekało przeznaczenie.

Wreszcie z klingi miecza zsunęło się ciało ostatniego żołnierza i Ouyang wkroczył do środka. Bezkresna przestrzeń wypełniona była gąszczem obsypanych białym kwieciem gałęzi. Wielki chan, siedzący na przeciwległym końcu sali w odświetnej szacie, zdawał się złotym taelem, który wypadł z czyjś trzosa na śnieg.

Jeśli nawet wszystkie te kwiaty miały jakiś zapach, Ouyang go nie czuł. Nozdrza wypełniała mu woń krwi.

– Zamknij za mną wrota – rzucił przez ramię do Genga.

朱

Kuśtykając w kierunku tronu, Ouyang czuł, że się zapada. Jakby szły w rozsypkę wszystkie tak starannie budowane przez niego bariery. Przyszłość zlała się z terażniejszością. Nastął moment, dla którego pojawił się na świecie. Z jego nogą było coś poważnie nie tak, lecz nie miało to większego znaczenia. Znalazł się tu, gdzie być musiał. Przypomniawszy sobie, że kiedy szedł po tamtej marmurowej grobli ku Esenowi, miał wrażenie, że idzie tak dziesięć tysięcy lat. Teraz, przemierzając salę, czuł się bardzo podobnie. Wielki chan wpatrywał się w generała przerażonym wzrokiem. Ouyang zadał sobie pytanie, co takiego widzi w tej chwili władca: swoją przeszłość i swoją śmierć, ucieleśnione w jednej niepowstrzymanej postaci, kroczącej ku niemu na czele żałobnego korowodu duchów.

Łatwo było sparować nieistotne ciosy wielkiego chana, łatwo było odtrącić pozbawione znaczenia błagania. Syn niebios mówił coś na temat ojca Ouyanga, czym dowiódł przynajmniej, że wie, kim generał jest i dlaczego to robi. Ten fakt jednak był równie nieważny jak wszystko inne.

Ouyang popchnął go z powrotem na tron i pochylił się nad nim. Teraz nic nie mogło go już powstrzymać. Oparł ostrze miecza na piersi władcy i bardzo powoli, bardzo precyzyjnie naparł. Wielki chan wciąż jeszcze żył, lecz zaniemówił. Ouyang nie łaknął jego



bólu, chciał za to mieć pewność, że nie przegapi momentu śmierci ofiary.

Doznanie było inne niż zwykle, zabić człowieka w ten sposób: doświadczenie intymne i rzeźnicze zarazem. Przy tak stopniowanym nacisku ciało i tkanina okazały się zadziwiająco odporne. Klinga stępiała po rozoraniu tak licznych ciał. Przerażone, ogarnięte paniką oczy syna niebios wpatrywały się w generała, który zagłębiał miecz coraz dalej i dalej. To nie może bardzo boleć, pomyślał z pogardą Ouyang, mała ranka, krótki ból. Czy można to przyrównać do wszystkiego, co przeżyłem ja?

Naparł jeszcze mocniej, wspomógł stal ciężarem ciała. Ręce wielkiego chana poderwały się ku górze, zatrzepotały i opadły. Ouyang pchał, owładnięty nagłą manią, by włożyć w ten czyn całą duszę. By wreszcie to skończyć. Przeszył ciało władcy na wylot, uderzył w oparcie tronu i poczuł, że miecz pęka.



Już. Po wszystkim.

Kiedy jednak zziajany Ouyang oparł się na zwłokach, uświadomił sobie, że wyczekiwana chwila zdołała mu się wymknąć. Człowiek istnieje w dwóch tylko stanach: jest żywy bądź martwy. Sama śmierć jest zaledwie momentem pośrednim. Zemściłem się, pomyślał zobojętniały, lecz nie zachowam z tej zemsty wspomnienia.

Ouyang widział ludzi pozbawionych połowy głowy, ludzi z rozłupanymi czaszkami i odsłoniętymi mózgami. Chociaż ciała tych nieszczęśników wciąż oddychały, a serca pompowały krew, nie mieli już świadomości i nie czuli bólu. Właśnie w takim stanie znalazł się teraz on. Nie świętował zwycięstwa, nie czuł nawet ulgi. Po prostu wszystko nagle ustało – myśli, nadzieje, emocje. Nie był rozczarowany. Tego właśnie pragnął.

W czasie brutalnej przeprawy przez plac rozluźniły mu się warkoczyki, przez co pomyślał o wiecznie niesfornych włosach Esena. Swobodne kosmyki opadły wokół twarzy, tworząc namiot dla generała i trupa, który był zwierciadłem wszystkiego, co pozostało z jego przyszłości.

Duchów nie widział, lecz mógł sobie wyobrazić, że stoją wokół tronu. Krąg białych twarzy i pustych, czarnych, wyczekujących oczu.

– Stało się – przemówił do nich.

Wszystko, wszystko, co miało miejsce od śmierci jego ojca do dziś – wszystko to wraz ze śmiercią wielkiego chana nabrało wartości. Ouyang uwolnił szarpnięciem złamany miecz i cofnął się od bezwładnego ciała. Pod tronem rozrastała się ciemna kałuża. Krew władcy zmieszana z niemałą ilością krwi generała. Z radością powitał narastające osłabienie, krwawił z ran, których otrzymania nie pamiętał. Już za chwilę wyjdzie i pozwoli, by nastał koniec.

Wtem jednak ogarnęła go niespodziewana dezorientacja, jakby nieświadomie już wyszedł na zewnątrz, na spotkanie śmierci.

Nie, to nie to. Wciąż stał przed tronem, a ten wiatr omiatał go dlatego, że zamknięte jeszcze przed chwilą drzwi stały teraz otworem.

## 朱

Dlaczego Geng otworzył salę? Plac zalany był jasnym światłem pochodni, lecz Ouyang widział jedynie cień, jakby cały świat wchłonęła nieprzenikniona czerń. Ściana czerni, gęsta i wirująca, która wpłynęła do wnętrza sali wraz ze smukłym człowiekiem w czarnym kapeluszu.

– Moje gratulacje, generale – odezwał się po mongolsku Wang Baoxiang. – Po tylu latach nareszcie dopiąłeś swego. Zgładziłeś wielkiego chana. Ale cóż to?! Nie jesteś tak piękny jak dawniej. Ledwie cię poznaję...

– Wielmożny Wang... – Załamany, zaskoczony Ouyang parsknął śmiechem. – Mogłem się być domyślić. – Wydawało mu się, że nigdy w życiu nie powie już słowa po mongolsku, lecz zareagował odruchowo i uznał, że to stosowne: mowa ich przeszłości, martwej przeszłości. – Jak zwykle dyktujesz swoim marionetkom kolejne kroki tańca. Czy spełniłem twoje oczekiwania?

Wcześniej przejąłby się odkryciem, że stał się aktorem jednego z przedstawień wielmożnego Wanga. Teraz jednak nie czuł nic. Przeżywał wydłużoną wersję zubożenia następującego tuż przed brutalną śmiercią – śmiercią zwierzęcia z rozszarpaną gardzielią, przesytego włóczęgi człowieka – kiedy świadome nieuchronnego ciało koi duszę, odbierając jej zdolność odczuwania bólu. Na jakimś abstrakcyjnym poziomie Ouyang wiedział, że kiedyś – zanim go wykastrowali, zanim przeznaczenie skazało go na tę właśnie drogę – musiał istnieć czas, kiedy wiódł takie życie jak inni, w którym jedynym źródłem cierpienia były przyziemne niedogodności egzystencji. Niemniej wrażenie było takie, jakby dopiero teraz, w tej konkretnej chwili, po raz pierwszy ból zniknął naprawdę. Poczul się, jakby latał.

– Wielmożny Wang? Nie, nie – rzucił tamten ze swoją zwykłą zapiekłością. – Powinieneś posłużyć się moim właściwym tytułem,

generale, zwłaszcza że sam byłeś tak dobry, żeby mnie nim obdarzyć. Jestem księciem Henanu.

Ouyang zdawał sobie sprawę, że wygląda okropnie, lecz przemknęło mu przez myśl, że to wielmożny Wang – nie żaden „książę Henanu”, po stokroć nie, ten tytuł nie mógł należeć do osoby kalającej go samą swoją istotą – zmienił się nie do poznania. W Henanie Wang zawsze paradował wymuskany, wystrojony w te swoje absurdalne szaty. W tej chwili miał na sobie mdły strój cesarskiego urzędnika. Sprawiał wrażenie wydrążonej łupiny dawnego siebie. Jego twarz, chuda niczym trupia czaszka, pokryta była cieniami. Wyglądał jak człowiek zdolny już tylko do jednego: do przeżywania udręki.

– Sprawileś się znakomicie, generale – podjął wielmożny Wang.  
– Kiedy sprzymierzyłem się z panią Zhang w celu zajęcia Dadu, z góry wiedziałem, że jej siły nie wystarczą do pokonania armii stołecznej. Potrzebowałem, żeby ktoś inny przełamał obronę miasta. Ktoś, kogo nie powstrzyma nic, kto zrobi to, choćby musiał posłać na rzeź całą swoją armię. Ułożyłem więc plan, który zapewnił mi pomoc takiego człowieka. Jestem przekonany, że nie zastanawiałeś się, dlaczego twoja ścieżka była znacznie mniej wyboista, niż powinna. Dlaczego nie zginąłeś w więzieniu w Bianliangu, dlaczego nie przegrałeś w starciu z generałem Zhangiem ani dlaczego tak łatwo przekroczyłeś bramy Dadu.

– Starszy komendant Geng – powiedział powoli Ouyang. – Był twoim agentem. To ty przysyłałeś mu te szyfrowane wiadomości. – Generał nagle zrozumiał, że Geng mówił mu, czego chce. Nie raz i nie dwa. Gengowi zależało na gospodarstwie i pozostawionej w Henanie rodzinie. Chciał tylko wrócić do domu. I chciał zobaczyć na tronie jedyne go człowieka, który mógł przywrócić cesarstwu stabilność i pomyślność, podobnie jak robił to, zarządzając Henanem. Geng wszystko to wyraźnie mu powiedział. Lecz Ouyang po prostu go nie słuchał.

Drobiazgi złożyły się w jedną sensowną całość, lecz jego nic to już nie obchodziło. Teraz, kiedy stało się, co się miało stać, tęsknił

jedynie za tym, co nieuchronnie się zbliżało. Z wysiłkiem strącił zwłoki wielkiego chana na podłogę. Pokryty rozmazanymi smugami krwi tron był pusty.

– Po to przychodzisz? – spytał Ouyang. – Weź go sobie. Ja nie chcę.

Wychwycił na twarzy wielmożnego Wanga ślad potężnej emocji, specyficznej mieszanki bólu i zniecierpliwienia. Wang nie ruszył jednak w stronę tronu. Z jakiegoś powodu wciąż uważnie, w pełni skupiony wpatrywał się w generała. Mimo zobojętnienia Ouyang poczuł cień niepokoju.

– Esen mnie nienawidził – powiedział Wang po nienaturalnie długiej chwili. – Próbowałem znienawidzić go w rewanżu, ale mimo niezliczonych prób nie potrafiłem. Miałem go we krwi, w kościach: był moim bratem i powinienem go kochać. Kochać i czcić. Nie masz pojęcia, jaki to ból, kochać kogoś i nie otrzymać w zamian nawet obojętności, a tylko nienawiść. Ciebie też krzywdził, prawda? Ranił cię, sam nie mając świadomości, co robi. Właśnie na tym polegał problem z moim bratem, generale. Nie rozumiał ludzi. Dlatego jeszcze nie umieraj. Nie licząc wielkiego chana, jesteś ostatnim, co było dla niego na tym świecie istotne. Z twoją pomocą pomogę mu zrozumieć, czym jest ból.

Mimo przytępienia zmysłów Ouyang odruchowo się zjeżył. Wielmożny Wang chciał pomóc Esenowi coś zrozumieć? Generał nigdy jeszcze nie słyszał w ludzkim głosie tak irracjonalnego napięcia. Może tylko w swoim, pomyślał.

– Esen nie żyje – przypomniał niespokojnie.

– Nie żyje, tak? Istotnie, zadbałeś o to osobiście. Zabiłeś go. Esen nie żyje – powtórzył łagodnie wielmożny Wang. – Ale nie odszedł. Znałeś wielu ludzi obdarzonych mandatem, mam rację, generale Ouyang? Więc wiesz z pewnością, co wszyscy widzimy. Od dnia śmierci Esen rozkoszuje się, przysparzając mi cierpień. Obserwuje mnie, śledzi mnie krok w krok, odbiera mi sen. Ale nie tylko umarli mogą ranić żywych, żywi też mogą zadawać ból umarłym. – Głos wielmożnego z wolna przeradzał się w obnażający udrękę krzyk.

Ouyang odniósł wrażenie, iż ma przed sobą obłąd wcielony. – Jesteś tu, prawda, Esen? Przyjrzyj się dobrze, bracie! Patrz, bo to widowisko przygotowałem specjalnie z myślą o tobie.

Wielmożny wylewał swój ból na świat w ostatnim, desperackim wysiłku sprowokowania najsłabszego choćby odzewu. Ouyang jednak nie był tym zainteresowany. Pragnął wyłącznie końca. Pokuśtykał do Wanga, odnotowując z obojętnością, że jego ciało porusza się bardzo nieporadnie. Być może, nareszcie, uszkodzeniu uległo zbyt wiele ważnych narządów.

– Skoro chcesz mnie zabić, zrób to. – Wcisnął swój złamany miecz w dłoń szaleńca.

Wielmożny Wang spojrział na ostrze. Miał miękkie, wąskie dłonie uczonego, a jednak rękojeść wydawała się w jego palcach zbyt mała. Generałowi przemknęło przez myśl, że powinien poczuć oburzenie. Ktoś taki jak Wang nie powinien dotykać jego broni, części jego samego. Tylko czy teraz, kiedy spełnił już swoje zadanie, ten kawałek stali miał jeszcze jakąkolwiek wartość? Z pewnością nie większą niż wszystko inne, co zostało z Ouyanga na świecie.

– To ostrze odebrało życie mojemu bratu, czyż nie? Sądzisz, że jeśli cię nim zabiję, doprowadzi to nasze splątane losy do kresu? Tyle że w ten sposób obdarzyłbym cię czymś, czego pragniesz – stwierdził z namysłem wielmożny – a jego to by nie zabolowało.

Koniec nastąpił już jakiś czas temu. W tej chwili nie powinno się liczyć nic więcej, lecz z jakiegoś zagadkowego powodu coś było nie tak. Przez plecy Ouyanga przebiegł dreszcz niepewności, złego przeczucia, które wzmogło się, gdy Wang zawołał donośnie:

– Wprowadzić go! – Po czym zwrócił się do generała: – Wszystko, co robiłeś, robiłeś z myślą o pomszczeniu swojego szlachetnego ojca, człowieka, który zmarł bohaterską śmiercią z ręki wielkiego chana. Padłeś na kolana, pozwoliłeś, żeby w oczach całego świata okryły cię wstyd i hańba, zabiłeś nawet kogoś, kogo kochałeś, a wszystko po to, żeby ostatecznie uczcić ojcowską pamięć, mordując tego, kto zgładził jego.

W drzwiach pojawiło się dwóch żołnierzy prowadzących między sobą potykającego się raz po raz starca o zniszczonej twarzy, siwych włosach i długiej brodzie.

– Generale Ouyang... – rzucił Wang uprzejmie.

Z narastającą konsternacją Ouyang zdał sobie sprawę, że wielmożny nie mówi do niego.

– Jak się wydaje, plotki o konieczności pomszczenia twojej śmierci były mocno przesadzone – ciągnął Wang. – Podobno zamiast umrzeć jak bohater, rzuciłeś się na klęczki i błagałeś wielkiego chana o zmiłowanie. Oszczędził cię i wtrącił do lochu. Czyż to nie ironiczne? Twój syn, pragnąc cię pomścić, przebył tak daleką drogę. Dopuszczał się w imię swojego celu wielu niewysłowionych aktów zdrady. Zamordował nawet wielkiego chana. A ty przez cały ten czas żyłeś! – Każde słowo stanowiło element spektaklu: przedstawienia adresowanego ani nie do starca, ani nie do jego syna, lecz do widza, którego ci dwaj nie mogli zobaczyć. – Cóż, twoje cierpienie nie pójdzie na marne. Nie jesteś zbyt stary, żeby założyć nową rodzinę. Nie pozwól, żeby twój ród wygasł. Jesteś wolny.

Ouyang nie do końca pojmował, co się na jego oczach dzieje, co nie mogło się przecież dziać. Lecz świat zniknął już ponownie, zalany powracającą falą bólu.

– Ojciec... – usłyszał własny szept, straszliwy.

Starzec podniósł głowę z resztkami pogiębionej wodzowskiej wyniosłości i spojrział na Ouyanga. Patrzył wzrokiem wyrażającym dezorientację i odrazę, takim, jakim ktoś mógłby popatrzeć na niewolnika, na przedmiot.

– Ty... – wycedził i zająknął się, jakby musiał na nowo uczyć się mówić. A po chwili, cofając się, dodał jeszcze: – Nie jesteś moim synem.

Ouyang spoglądał za nim. Niespodziewanie ogarnął go przenikliwy chłód, zadzwonił zębami. Przecież ja to wszystko zrobiłem dla ciebie, pomyślał. Wszystkie dotychczasowe cierpienia okazały się niczym w porównaniu z bólem, który szarpnął nim w tej



chwili. Marzył, lecz jednocześnie płonął żywcem. Wszystko to po nic. Nikogo nie pomściłem. Zabiłem...

Zabiłem...

Świat wirował i wirował. Ouyang chwiał się, nie umiał złapać równowagi, stracił poczucie kierunków. Wszystko rozpadało się na kawałki.

– Więc, generale – głos Wanga dolatywał z ogromnej odległości – czy było warto? Czy warto było poświęcić życie mojego brata?

Ouyang stracił dech w piersiach, łąpczywie próbował nabrać powietrza.

– Miałeś wszystko, co ważne, ale nie potrafiłeś w to uwierzyć. On kochał ciebie, a ty kochałeś jego. Ty jednak musiałeś trwać na drodze, którą uważałeś za swoje przeznaczenie. Zabiłeś go, choć ten czyn nie miał żadnego znaczenia. To nie los obłożył cię klątwą, generale. To ty przekląłeś sam siebie. Ach, jakże mną gardziłeś, widząc mój strach! A jednak to ty sam bałeś się stać się sobą i wziąć to, co było ci oferowane. – Wielmożny był wyraźnie rozgorączkowany, trwał w transie, jakby udręka Ouyanga była najśłodszą rzeczą, jakiej w życiu posmakował. Odnalazł rdzeń bólu generała i wysysał go do cna. – Cóż, być może w następnych wcieleniach, za tysiąc lat lub później, znowu się odnajdziecie i świat stanie się inny. Może następnym razem nie zbraknie ci odwagi.

Ouyang poczuł na plecach uderzenie. Z miejsca zrozumiał, co to jest i co oznacza: nadszedł jego koniec. Nic się już nie zmieni, nic nie zostanie odwrócone ani usprawiedliwione. Pozostanie jedynie to, co zrobił, to wszystko, co od początku nie miało żadnego znaczenia.

Płonął nieskończonym, nieukierunkowanym bólem, który – był tego pewien – miał trwać wiecznie, nawet po śmierci, przez kolejne tysiąc lat katuszy.

Esen, rzucił w myślach, zaczekaj na mnie.

朱

Przebicie obu stron pancerza Ouyanga wymagało zapewne od Genga użycia całej siły. Charakterystyczna lustrzana płyta pośrodku generalskiej piersi otworzyła się wokół czubka miecza niczym rozkwitający kwiat, na tuzinie wygiętych płatków skrzył się szkarłat. Ouyang wydał z siebie głuchy jęk bólu.

Ten odgłos przepełnił Baoxianga transcendentnym poczuciem spełnienia. Ouyang był – poza samym Cesarstwem Wielkich Yuanów – ostatnim, co na tym świecie kochał Esen, i nastąpił właśnie moment jego unicestwienia. Bo było to coś więcej niż śmierć, której przecież pragnął sam generał. Sprowadzając jego ojca, Baoxiang odebrał postępkom Ouyanga wszelki sens i uzasadnienie. Sprawił, że całe żalosne życie generała straciło znaczenie, i tym samym zniszczył go bez reszty.

Ouyang nawet nie spojrział na sterczące mu z piersi ostrze. Zadawał śmierć na tyle często, by dobrze znać ten widok. Jego twarz stanowiła obraz zagłady. Baoxianga raptem ogarnął gniew. Generał miał czelność tak czuć? Miał wszystko, co na świecie ważne, wszystko, czego nigdy nie dostał Baoxiang; miał i nie potrafił tego docenić. Odtrącił to w imię kłamstwa, któremu na imię honor. Baoxiang wpadł w furję, zaczął dyszeć niczym drapieżca tuż przed wbiciem kłów w krwawy posiłek. Umierający Ouyang cierpiał? To dobrze. Chciał, by generał cierpiał tak mocno jak on.

Chcę, żebyś na to patrzył.

Ouyang nie odrywał wzroku od twarzy Baoxianga. Zagłada w jego oczach ustąpiła z wolna miejsca czemuś innemu, bardziej dziwnemu. Baoxiang poczuł ciarki na skórze. W spojrzeniu generała majaczyło coś zwierzęcego, obcego i nieosiągalnego dla ludzkiej myśli, postępująca śmierć gładko, nieodwracalnie pozbawiała go człowieczeństwa. Ta znienawidzona twarz, z wyniośle delikatnymi skroniami i szczęką, z brwiami cienkimi jak u kobiety, wykrzywiła się i zastygła w grymasie niemego cierpienia.

Wewnętrzny skowyt Baoxianga wyostrzał się stopniowo, aż stał się nie do odróżnienia od lśniącej, zakrwawionej klingi przeszywającej pierś Ouyanga. Patrz, bracie!

Całkowicie nieświadomie pokonał kilka dzielących ich kroków. Zatrzymał się, dopiero czując na mostku koniuszek miecza. Przez moment zmagał się z pokusą, by naprzeć mocniej, by zyskać namacalne potwierdzenie ogromu swojego bólu. Bólu, jakim nareszcie mógł odpłacić człowiekowi, który go wywołał.

Boli, kiedy patrzysz na jego udrękę? Czy boli wystarczająco mocno?

– On cię kochał. – Oskarżycielskie słowa wyrwały mu się mimowolnie.

Przez chwilę słyszał echo tupotu chłopca gnającego za obiektem swojej czci. „Następnym razem postaram się bardziej. Proszę, nie zostawiaj mnie”. Wspomnienie sprawiło, że aż drgnął. Nienawidził siebie tak bardzo, że aż bolało. Ból pochłaniał go całego.

W oczach Ouyanga na powrót zapłonęła słaba iskierka człowieczeństwa, płomyk świadomości stawiającej opór czerni. Nie było to współczucie, lecz zrozumienie. Ostatnia słaba wibracja tego, co ich łączyło, mimo nienawiści, odrazy i zazdrości – obaj kochali Esena. Baoxiang odetchnął głęboko, także za Ouyanga, który oddychać już nie mógł, i uświadomił sobie straszliwą ostateczność tej chwili: generał był jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, jakie to uczucie być kochanym przez Esena. Po jego śmierci ta wiedza zniknie bez śladu. Zostanie zniszczona i tego już nigdy nie da się odwrócić.

Zaskrzeczał metal. Geng wyszarpnął miecz z ciała i Baoxiang gwałtownie drgnął. Przez kilka poprzednich chwil istnieli jedynie on i Ouyang. Odniósł wrażenie, że Geng wkroczył nagle między nich i zerwał delikatną nić zrozumienia, zanim Baoxiang był na to gotów.

Generał wciąż stał, słaniając się na nogach. Był drobny, nawet mimo zbroi zdawał się mniejszy niż zwykle. Baoxiang był pewien, że mógłby go wziąć na ręce. Lecz ich więź zniknęła i Ouyang stał się jednym z niezliczonych elementów rozpadającego się świata, niszczonego mocą żądz Baoxianga.

Generał upadł, Baoxiang go nie powstrzymał.

Runął z rozłożonymi szeroko rękoma, zepsuta marionetka. Zbryzgana krwią, uwalana brudem twarz wpatrywała się w daleki sufit. Przez kilka chwil w oczach lśniła wilgoć, jakby wciąż jeszcze żył. Okropny grymas bólu zniknął. Ostatnim cieniem uczucia wyrytym na jego twarzy, odciskiem stopy na piasku tuż przed nadejściem wichury, był wyraz najgłębszego na świecie żalu.

Baoxiang zdał sobie sprawę, że nadal ściska w dłoni złamany miecz generała. Wgłębienia pozostawione na rękojeści przez cudze palce nie pasowały do jego większych rąk. Ouyang już w dzieciństwie rzucał cień na życie Baoxianga. Zawsze to on trwał u boku Esena, lepszy bez żadnego wysiłku, z miną wyrażającą lustrzane odbicie dezaprobaty. Nawet kiedy spotkali się jako dorośli, Baoxiang odniósł wrażenie, że ma do czynienia z człowiekiem będącym wszystkim, czym nie był on. Lecz teraz, po śmierci, kiedy wojowniczy duch generała i jego bezduszna gotowość szerzenia przemocy zniknęły, nic już nie zadawało kłamu prawdzie tego mizernego, bezwładnego, wybrakowanego ciała, z wolna pochłanianego przez rozlewającą się wokół kałużę czerni.

朱

– Zostawcie mnie.

Drzwi się zamknęły, pogrążając salę i oba nieruchome ciała w cieniu. Białe płatki na gałązkach delikatnie zadrżały w podmuchu powietrza i spadły, odbijając się w srebrnych ścianach. Daleko powyżej srebrzysty dach połyskiwał niczym gwiazdy oglądane przez nadciągającą burzową chmurę.

Nadeszła chwila, na którą Baoxiang czekał od dawna. Ogarnęła go niecierpliwość bliskiego sukcesu. Właśnie po to zrobił to wszystko: by nastał moment, kiedy odpłaci za swoje cierpienie.

W sali pomiędzy wielkimi, oplecionymi przez rzeźbione smocze cielska kolumnami nie było nikogo. Nikogo poza bielejącą niewyraźnie ciżbą umarłych. Baoxiang wszedł na prowadzące na

tron stopnie i poczuł na sobie spojrzenie jednej z tych zjaw. Był z nim Esen, nie dzieliło ich nic poza cieniem – cieniutką błoną między dwoma światami. Czekał na wezwanie. Na chwilę, w której będzie zmuszony się pokazać.

Ta władza... tak musi się czuć człowiek zabijający innego własnymi rękoma, pomyślał Baoxiang. Dzika, intymna siła. Kiedy był jeszcze zwykłym człowiekiem, nie potrafił naginać wszechświata do swojej woli. Nie mógł nakazać Esenowi, by się pojawił. Teraz jednak posiadał władzę. Moc, która była niczym ponętna ciemność: władza zniszczenia wzbierała w nim z każdą chwilą, gdy stał przed tronem. Wijące się na siedzisku złote smoki nie były już jasne. Wysmarowane krwią, toczyły walkę z czernią.

Baoxiang usiadł. Miał wrażenie, że jego skóra jest stanowczo za mała, by pomieścić puchnący wewnątrz ból sukcesu. Zaczął się trząść jak w gorączce.

Uczył się tym, za kogo wszyscy go uważali: ucieleśnieniem wszystkiego, czego się bali, co nienawidzili, czym pogardzali i przeciwko czemu walczyli. Każdym swoim oddechem, każdą decyzją przynosił hańbę swym przodkom. A teraz został ośrodkiem całego świata. Był synem niebios – lecz nie lśniącym na nieboskłonie, życiodajnym słońcem. Był zaćmieniem wysysającym ze świata światło i życie. Był pożerającym słońce księżycem i to jego cień kładł się śmiercią na świat poniżej. Był wielkim chanem nieczystej krwi, wielkim chanem, który klękał, był rżnięty, bity i wyśmiewany. Był wielkim chanem słabości, tchórzostwa, zdrady, okrucieństwa, wstydu i strachu. To w nim znalazło swój koniec wszystko, co dobre, szlachetne i honorowe.

Czerń go pochłaniała. Wysysała z sali ostatnie resztki światła, aż wreszcie skrwawione szczątki u jego stóp okrył cień. Czerń pożarła ciało wielkiego chana, trupy jego gwardzistów, zwłoki Ouyanga. Czerń, w której nie było nic poza nim.

Niecierpliwość i wyczekiwanie Baoxianga osiągnęły punkt kulminacyjny, bardziej słodki i bolesny, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał, ponad wytrzymałość ludzkiego umysłu. Było to tak

oszałamiające uczucie, wrażenie, jakby ujrzał w oddali samego siebie.

– Esen! Wiem, że tu jesteś. Ukaż się i spójrz, jakże godzien stałem się twojej nienawiści. Czy zdołałem przekroczyć twoje oczekiwania?

Radość Baoxianga była czystym pragnieniem nadchodzącej równowagi: wiedział, że ból Esena spotka się na jakiejś kosmicznej wadze z jego własnym cierpieniem, tym samym nareszcie go wyzwalał.

– Esen! – zawołał ponownie.

Podmuch wiatru, ciężki od woni śniegu dalekich krain, przedostał się przez szczelinę między skrzydłami wielkich wrót. Białe kwiatki zamigotały w tańcu.

– Esen! Wiem, że przez cały czas patrzyłeś!

Nagle cała ta pustka wraz z echem jego własnego głosu opadły mu na pierś niczym wielki ciężar. Napierały tak mocno, że świat zawirował. Baoxiang spróbował odzyskać orientację, poderwał się z tronu i natychmiast upadł.

Gdzie jest Esen? Przecież czuł jego obecność całymi miesiącami, tak często widywał go kątem oka. Dlaczego zabrakło go właśnie teraz? Baoxiang nie pojmował, co się dzieje. Dlaczego brat nie przyszedł, dlaczego nie obserwował chwili jego triumfu?

Wyteńczył wszystkie zmysły. Drżał ze świadomością naprężoną do granic. Oczekiwanie na poczucie obecności Esena było dla Baoxianga najbardziej znajomą emocją ze wszystkich. Wciąż jednak otaczała go tylko bolesna pustka. Tęsknił, prężył się, lecz nie działało się nic.

– Przyjdź! Spójrz, do czego mnie zmusiłeś, Esen! Pokaż się! Masz czelność sprzeciwiać się mojemu rozkazowi? Poleceniu człowieka, który włada wszystkim, na co spoglądają niebiosy?

Nadal nic.

Wstał zdyszany. Rozpadał się, rozpływał.

– Zrobiłem to dla ciebie. – Był wielkim chanem, lecz w jego głosie zabrakło mocy. Kolejne słowa stały się zaledwie bezradnym,

niepocieszonym błaganiem: – Gdzie jesteś?

Zrozumiał, zanim przebrzmiało echo pytania.

Esen nigdy przy nim nie było.

Gdyby tym, co zobaczył, był duch Esena, dlaczego miałby na sobie pancierz – dlaczego wyglądałby jak za życia? Prawdziwa zjawa brata byłaby odziana, jak wszystkie inne, w te okropne białe łachmany.

Baoxiang wiedział o tym od początku, ale nie chciał tego wiedzieć.

Ducha nigdy nie było, lecz Baoxiang widywał go nieustannie, ponieważ Esen stanowił nieusuwalny element osnowy jego świata. Oglądał ślady człowieka trwającego w jego pamięci, w tęsknocie osoby, która bez niego nie wyobrażała sobie życia.

To wszystko działo się w mojej głowie, pomyślał Baoxiang i zadrżał. Rozmawiał z nicością. Wszystko, co zrobił, zrobił dla kogoś, kto od dawna nie istniał.

– Nie nienawidzę cię – doleciał go głos brata prosto ze snu we śnie.

Przypomniawszy sobie, jakby z poprzedniego wcielenia. Wszystko między nimi zmieniło się na zawsze tej zimy, kiedy przed wiosennymi łowami Czerwone Turbany pokonały Esena i Ouyanga. Kiedy brat go odwiedził, Baoxiang pracował właśnie w gabinecie, zastanawiał się, jak ulżyć chłopom, którzy padli ofiarą powodzi. Ciekawość, z jaką Esen rozejrzał się po gabinecie, sprawiła, że Baoxiang mało zyczliwie pomyślał, że to zapewne pierwszy raz, kiedy brat zanurkował tak głęboko w odmęty własnego aparatu biurokratycznego.

– Tu jesteś, młodszy bracie!

– Gdzie indziej miałbym być? – spytał kwaśno Baoxiang.

– Cóż – odparł Esen – tego nie wiem. Ale wieczne przesiadywanie za biurkiem nie może być zdrowe. Chłopi mogą przecież zaczekać na... na... – urwał stropiony.

– Na? – dopytał zafascynowany Baoxiang, zastanawiając się, czy Esen ma choć blade pojęcie, na czym właściwie jego młodszy brat

spędza całe dni.

– Na to, co robicie tutaj dla wieśniaków – rzucił zdawkowo Esen.  
– To chyba nie może być pilne? Zrób sobie przerwę – dodał, po czym mimo protestów Baoxianga wyprowadził go z biura i wsadził na konia.

Pojechali na zachód, na mokradła, wśród których Esen tak chętnie polował. Aczkolwiek Baoxiang był za biurkiem bardzo szczęśliwy, a koncepcja ugania się dla przyjemności za dzikimi zwierzętami wydawała mu się godna pogardy, tym razem uległ bratu z przyjemnością. Spod końskich kopyt chlustała brudna, cuchnąca woda; stada łabędzi zrywały się spomiędzy trzcin głośnymi eksplozjami. Otaczał ich bezkres ziem księcia Henanu. Baoxiang poczuł ochotę, by uchwycić bijące z pejzażu doznanie melancholijnej wolności za pomocą piórka i atramentu: stalowoszare niebo i białe czaple niczym strzały mknące ponad szczytami ciemniejącymi na dalekim zachodnim horyzoncie. Cenę zniszczenia wywołanego na księżących włościach przez niedawne ulewy znał do ostatniego taela. A jednak: zalewająca świat powódź była przepiękna.

Esen pędził naprzód. Jego błękitny jak skrzydła zimorodka strój jeździecki pokryły smugi błota i wody. Kiedy jesteście sami, stwierdził Baoxiang w duchu, możemy być wolni. Nie było presji. Nikt nie wymagał, by odgrywali kogoś, kim nie są; nie ciążyły na nich żadne oczekiwania. Nie czuli na sobie wiecznie oceniającego wzroku ojca. W pewnej chwili Esen dobył ze skózanego futerału łuk i strzelił, mierząc od niechcienia we wzbijającego się do lotu łabędzia. Chybił i w sercu Baoxianga wezbrała fala czułości: równie dobrze mógłby obserwować rozemocjonowanego psa myśliwskiego z przejścia gubiącego krok w pościgu za chyżym zającem. Ponieważ jechał kawalek za bratem, miał więcej czasu, by napiąć cięciwę, wymierzyć i zwolnić strzałę.

Łabędź spadł. Esen radośnie zakrzyknął, zwinnie pochylił się z siodła i poderwał ptaka, unoszącego się na głębokiej po kolana wodzie. Policzki miał zarumienione, wzrok rozogniony, warkoczyki



zaczynały się sypać. Zawrócił wierzchowca i podjechał galopem: ociekający wodą, roześmiany.

Kawałek dalej, na twardszym podłożu, zatrzymali się, by odpocząć.

– Gdybyś się choć trochę przyłożył, mógłbyś zostać naprawdę wybornym łucznikiem – stwierdził w zadumie Esen, gdy wyrównali już oddech. – Ojciec chciałby być z ciebie dumny. Nie rozumiem, dlaczego nawet nie spróbujesz. Nie sprawiłoby ci to przecież kłopotu.

– Może i tak. – Baoxiang chciał po prostu spędzić trochę czasu sam na sam z bratem, nie miał ochoty się kłócić. Pożałował, że Esen sprowadził między nich zewnętrzny świat. Ciemnoszara połać nieba nad górami zwiastowała świeże deszcze, kolejne powodzie. Baoxiang pomyślał o rozpaczach chłopów mieszkających na księżęcej ziemi i wzbogacających ją swoją pracą. Był jedynym, który w ogóle przejął się niedolą tych ludzi. Tylko on budował rowy irygacyjne i wsie, tylko on zaprowadzał w prowincji porządek i wyłącznie dzięki niemu panowała tu pomyślność. Praca sprawiała mu przyjemność, mimo że nikt nie doceniał jej wagi. – Ale nie tego chcę.

– Zawsze robiłeś jedynie to, na co miałeś ochotę, bez względu na zdanie wszystkich dokoła. – Widziany z profilu, gdy siedział na swym okazałym rumaku, Esen był ideałem arystokraty.

– Nie powstrzymuj się – rzucił z goryczą Baoxiang. – Powiedz wprost, jestem niewdzięcznym egoistą.

– Myślę po prostu, że gdybyś był inny, byłoby łatwiej. Nie tylko tobie, ale nam wszystkim. Uważam, że marnotrawisz swój potencjał.

Słyszając to, Baoxiang natychmiast się nasrożył, lecz Esen nie skończył.

– Widzę jednak, jak bardzo tego pragniesz: być takim, jakim jesteś. Widzę, jak zawzięcie walczysz, i wiem, że to dla ciebie ważne. Cóż więc, że nie potrafię tego zrozumieć? Może wcale nie muszę. – Po jego śmierci taki właśnie wizerunek brata zachował Baoxiang w pamięci. Wiatr zaganiający na twarz rozsypujące się warkoczyki; zmierzwiony futrzany kołnierz niebieskiej bluzy; zmarszczki

w kącikach uśmiechniętych oczu. – Jesteśmy różni. Wybraliśmy odmienne drogi i pragniemy innych rzeczy. Ale na zawsze pozostaniesz moim bratem.

Stojącego w sali tronowej Baoxianga ogarnęło zapamiętane ze snu żalose uczucie. Miał ochotę płakać. Padł na kolana i tym razem zapłakał naprawdę, lał łzy w czarnym świetle, który własnoręcznie stworzył. Nawet wówczas, kiedy łańcuch wydarzeń prowadzący do śmierci Esena był już w ruchu, kochał, Baoxiang go kochał Esena. A brat na własny, ułomny, sfrustrowany sposób kochał jego. Nawet gdy chcieli się jedynie nienawidzić, okazywali się do tego niezdolni. Ze względu na łączącą ich historię, ponieważ byli braćmi.

Baoxiang cierpiał niewyobrażalnie. Chroniący go wcześniej gniew zniknął. Wypełniający go ból nieustannie się zmieniał, nie pozwalając do siebie przywyknąć. Był doznaniem fizycznym, atakował ciało, stanowił jego część. I był nieznośny. Żaloba wielka jak świat.

Stracił kontrolę i poczuł, jak czerń wypływa na zewnątrz. Zalewała świat niczym powódź, zatapiała też jego. Zdobył tron i zemścił się na umarłych, lecz to nie było istotne, ponieważ Esen nie żył i nie było sposobu, by sprowadzić go z powrotem.



CZĘŚĆ  
TRZECIA



**S**tojąca w sali tronowej Yingtianu Zhu nie miała na sobie żałobnej bieli. Nie musiała. Cierpienie nosiła wypisane na twarzy, podobnie jak towarzyszący jej oficerowie: ich oblicza były poszarzałe z bólu. Nie ona jedna kochała Xu Da. Komnata wypełniona znajomymi ludźmi, między którymi zabrakło jego, wydawała się niepełna. Za każdym razem, kiedy uświadamiała sobie nieobecność chłopaka, wydawało jej się, że po prostu wyszedł. Bawił pewnie w jednej ze swoich ulubionych spelunek i kiedy Zhu wreszcie go znajdzie, obróci się ku niej z tym swoim swobodnym, zapraszającym uśmiechem...

A potem wszystko sobie przypominała i Xu Da umierał na nowo. Raz za razem widziała, jak ociera krew z ust i za pomocą kolejnej uspokajającej bajeczki pozwala jej wierzyć. Przygryziony język, skaleczona przez nieuwagę warga. Gdyby zastanowiła się nad tymi sytuacjami trochę głębiej, poznałaby prawdę. Lecz ona po prostu nie chciała wiedzieć.

Xu Da popłynął za nią podwodnym tunelem w pełni świadomy, że może przypłacić to życiem. I przypłacił, mimo że śmierć nadeszła z opóźnieniem. Zabiłam go, pomyślała przygnębiona dziewczyna. Zniszczyła jego przyszłość po to, by zrealizować swój cel. Obrabowała go z radości i rozkoszy. Nadal czuła w sobie ból umierającego Xu Da, jakby widok jego ostatnich chwil wypalił się w najgłębszym rdzeniu jej duszy. Każde uderzenie serca niosło taki sam ból jak wtedy, agonię zupełnie innego rodzaju niż ta, która dręczyła jej połamane żebra i dłonie. Była tak straszna, że Zhu trzęsa się i pociła, a puls przyspieszał falami grozy.

Tak właśnie czuł się Ouyang przez cały czas ich znajomości. To był jego ból, jego rozpacz. Wcześniej wydawało jej się, że rozumie generała, lecz jak mogła zrozumieć niewyobrażalne? Przypomniła sobie pierwszy raz, kiedy ujrzała duchy. Chwila była podobna do tej: nowa, przerażająca wiedza, udostępniona wyłącznie jej, podczas gdy wszyscy pozostali trwali w nieświadomości. Krok w mroczny, spaczony świat, zawsze jak cień towarzyszący prawdziwemu, krok, po którym nie było odwrotu. Zhu odważyła się tego świata zapragnąć. Lecz jak ludzkie ciało – ludzka skóra, ludzka dusza – mogło znieść cierpienie, którym należało to pragnienie okupić? Jak mogło przetrwać coś takiego?

Uświadomiła sobie, że trwa właśnie prawdziwa próba jej siły. Wyzwanie nigdy nie polegało na znalezieniu siły pozwalającej dokonywać czynów bezwzględnych. Wyzwaniem było to przetrwać. Nigdy nawet nie podejrzewała, że potrafi czuć tak głęboko. Tak okrutnie cierpieć. Nie sądziła, jak strasznie będzie nosić w sobie to wszystko bez końca, choć nieznośna była nawet jedna chwila.

Ale musiała. Inaczej wszystko poszłoby na marne.

– Według najnowszych doniesień z północy – mówił Yuchun – dziesięć dni temu ta bestia w ludzkiej skórze – mówiąc to, miał na myśli Ouyanga, któremu nie zamierzał przebaczyć nawet w następnym wcieleniu – był mniej więcej sto li od Dadu. Naoczni świadkowie twierdzą, że z impetem nacierał na pozycje armii stołecznej, choć ponosił przy tym spore straty.

Ouyang czynił zaskakujące postępy. Sukcesy generała zdawały się tym bardziej niezwykle, że wszyscy zgodnie wychwalali wodzowskie talenty wielkiego radcy. Kiedy Zhu o tym przypomniała, Yuchun stwierdził:

– Podobno wielki radca przestał się pokazywać na placu boju. Od pewnego czasu nikt go nie widział. Niestety, nasze źródła nie zdołały ustalić, czy wciąż dowodzi, czy nie.

Dziwne. Czyżby spotkało go coś złego? Zhu nie przestawała też myśleć o innej wiadomości, którą otrzymała po powrocie do Yingtianu: wbrew oczekiwaniom wielki radca nie rozpoczął kampanii przeciwko pani Zhang. Lepszego momentu na odroczenie egzekucji Zhangowie nie mogli sobie wyobrazić.

Pamiętała też, co usłyszała od Chena: to nie pani Zhang była jego patronką. Czy owym tajemniczym mocodawcą mógł być właściciel niewidzialnej ręki, gracz przesuwający figury na planszy pod osłoną cienia? I czy wszystko to ma jakiś związek ze zniknięciem wielkiego radcy? O takiej ewentualności Zhu nawet myślała z niechęcią. Dręczyło ją niejasne przeczucie, że cała sytuacja ma jakiś większy, nieznaną jej wymiar. Przebywając jednak na południu, z konieczności dysponowała wyłącznie starymi i niepełnymi wieściami. Nie rozumiem, pomyślała z frustracją.

– Zakładając, że eunuch nie stracił impetu – mówił Yuchun – mógł już przymusić Yuanów, żeby ustąpili mu pola. Jest wielce możliwe, że oblega w tej chwili Dadu.

– Ale raporty wspominały o jego znacznych stratach w ludziach. Skoro tak, nie zdoła wziąć murów szturmem – zauważyła dziewczyna. – Jeżeli zostanie zmuszony siedzieć pod miastem i próbować wziąć ich głodem, Yuanowie zdążą wezwać sojuszników.

– Kogo mieliby wzywać? Nikogo już nie ma. Wszyscy lojaliści poszli w rozsypkę.

– W obrębie cesarstwa sprzymierzeńców nie mają, zgoda – przyznała Zhu. – Ale poza granicami już tak. Królestwa wasalne. Yuanowie mogą wezwać Goryeo.

Ouyangowi sprzyjało szczęście. Nie musiał zetrzeć się z wielkim radcą, więc dotarł dalej, niż się spodziewali. Gdyby jednak do walki przystąpiło Goryeo, szczęście natychmiast by się od generała odwróciło. Yuchun doszedł zapewne do bardzo zbliżonego wniosku.

– To byłby jego koniec – stwierdził bez cienia żalu w głosie.

– Ale nie będzie – odparła dziewczyna. – Wesprzemy go.

– Chcesz pomagać temu skończonemu łajdakowi? – syknął po dłuższej chwili chłopak. – Bydlakowi, który nas zdradził i wystawił na pewną śmierć?

Owszem, to bolało. Gwałtowne odtrącenie, jakie spotkało Zhu ze strony generała, mocno ją ubodło. Lecz istniał tylko jeden sposób, by ten ból, podobnie jak wszystkie inne, nabrał wartości. A tym sposobem nie było beczynne przyglądanie się klęsce Ouyanga.

– Masz rację, porzucił nas w krytycznym momencie. Bez względu jednak na cenę, jaką musieliśmy za to zapłacić, mój cel pozostaje niezmienny. I dlatego pomożemy Ouyangowi zdobyć stolicę szturmem. Zrobimy to, choćby nawet na nas nie spojrział. Nie obchodzi mnie, czy przeklnie przy tym moich przodków, czy opluje mnie samego. Liczy się jedynie, żeby dostał się do Dadu, rozprawił z obrońcami, nie puszczając całego miasta z dymem, i zabił wielkiego chana. A wtedy – dodała z żarliwą determinacją – dostanę to, czego chcę.

Spojrzenia oficerów mówiły, że pójdą za nią. Moment później odezwał się niepewnie komendant Lin:

– Nadal pozostaje kwestia Goryeo. Jeżeli Yuanowie wezwą ich teraz, ich wojska dotrą pod Dadu równocześnie z nami. I nawet jeżeli zdołamy jakimś cudem skoordynować działania z generałem Ouyangiem, starcie z nimi będzie sporym wyzwaniem. Walcząc z Chen Youliangiem, straciliśmy mnóstwo żołnierzy.

– Goryeo nie będzie dla nas problemem. – Zhu spojrzała na Yuchuna. – Muszę poprosić, żebyś zajął się uzupełnieniem zaopatrzenia i poprowadził nasze wojsko na północ.

– A ty gdzie będziesz? – Chłopak sposepniał i nagle wydał się starszy niż jeszcze chwilę temu. Oboje rozumieli, o co go właśnie

poprosiła. Miał przejąć rolę Xu Da.

Serce Zhu eksplodowało bólem. Przypomniała sobie dzień, kiedy siedziała na koniu obok Xu Da i oboje spoglądali na złocistą krainę rozciągającą się przed nimi aż po Morze Wschodnie. Gdzieś za tym morzem leżał półwysep zajmowany przez królestwo Goryeo. Pewnego dnia to wszystko będzie moje, pomyślała wówczas. Dzisiaj ledwie ogarniała rozumem, jakim cudem czerpała z ambicji tak wiele radości. Ambicja nadal płonęła w niej jasnym ogniem, lecz teraz naznaczona była rozpaczą. Inaczej, niż kiedy po prostu pragnęła, teraz musiała swój cel zrealizować. Teraz musiała zwyciężyć, ponieważ w imię jej pragnienia oddał życie Xu Da. Musiała nadać jego śmierci znaczenie.

– Nadszedł czas – powiedziała – żeby król pomówił z królem.

朱

Ma weszła do pokoju i zastała Zhu siedzącą na łóżku. Dziwnie było widzieć ją tak bez reszty zatopioną w rozmyślaniach. Dawniej zawsze robiła coś konkretnego.

Ma usiadła obok. Poła jej białej, żałobnej szaty nakryła rąbek złocistego stroju Zhu. Wzięła ją za rękę. Delikatnie, ponieważ wiedziała, że połamane palce wciąż bołą.

– Właśnie dostaliśmy wiadomość. Twój statek już czeka. Będziesz mogła wypłynąć do Goryeo jutro rano.

Zhu po śmierci Xu Da mocno się zmieniła. Ona, która odebrała bliskich tak wielu innym ludziom, która nie sądziła, że coś podobnego może spotkać ją, nosiła swój ból i żal otwarcie. Skóra nad jej oczyma nieco obwisła, jakby ciężar przygnębienia zdołał ostatecznie pokonać nieskończenie wytrzymałą młodość. Wyglądała starzej i na ten widok krajało się serce Ma. Dziewczyna pomyślała, że może właściwie powinna się cieszyć, że Zhu jest zdolna odczuwać tak zwyczajne ludzkie emocje jak żałoba. Na razie



jednak po prostu cierpiała, patrząc na ból ukochanej, wiedząc, że żadną miarą nie potrafi go uśmierzyć.

– Yingzi – powitała ją Zhu. Nie mogła jak zwykle ścisnąć dłoni żony, lecz splotła się z nią palcami. Pocałunek dwóch drobnych dłoni. – Jesteśmy tak blisko. Czujesz to? Pomyśl tylko: kiedy załatwię sprawę Goryeo, czeka nas ostatni marsz. Ostatni atak. A potem wszystko się skończy. Żadnych więcej ofiar. Koniec bólu i cierpienia. Będę mieć swój nowy świat. I wszystko, co przeszliśmy, okaże się tego warte.

Zawsze dotąd Zhu opowiadała o przyszłości radośnie, lecz teraz w jej tonie pojawiła się desperacka, niepokojąco znajoma nuta. Ma dopiero po chwili uświadomiła sobie, że podobną słyszała w głosie generała Ouyanga.

– Wybierzesz się ze mną, Yingzi? Przecież i ty cierpiałas, żeby się nam udało. Po wizycie w Goryeo ruszymy prosto do Dadu i spotkamy się z naszą armią na miejscu. Chciałabym, żebyś była przy mnie, kiedy wstąpię na tron. – Zhu oderwała wzrok od ich dłoni i rzuciła żonie zwyczajny uśmiech. – Moja cesarzowo.

Ma nawet przez chwilę nie wątpiła w powodzenie Zhu. Co więcej, przyszłość Zhu musiała być cudowna, skoro miał to być świat, w którym każdy będzie mógł być sobą. Nadal pamiętała, z jaką frustracją kroczyła ścieżką, którą wybrali dla niej inni. Wszystko zmieniło się, dopiero kiedy Zhu chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Teraz Ma widziała tę przyszłość tak wyraźnie, jakby już się urzeczywistniła: Zhu brała za rękę cały świat, tak jak kiedyś ją, i wszystkich wyzwalala.

Ma jednak nie umiała odepchnąć myśli o całym bólu i cierpieniu, o wszystkich ludziach, których pochłonęło marzenie Zhu. Nie tylko Xu Da, lecz niezliczone inne istnienia, których strata zupełnie Zhu nie dotknęła. Żołnierze posyłani na śmierć w bitwach, szarzy ludzie zabijani i torturowani po upadku miast, dziecko, które Ma trzymała kiedyś w ramionach.

Nagle znów przypomniała sobie Ouyanga. Generał dążył do celu, płacąc za to niekończącą się agonią. A jednak, pomyślała,

czując na plecach zimny dreszcz, nie żałował ani przez mgnienie.

– Pomyślałaś kiedykolwiek, że może jednak nie warto?

Zhu podniosła zaskoczone spojrzenie. Patrzyła tak, jakby usłyszała właśnie paradoksalny koan.

– Jak to? Skoro jako cesarz zdobędę cały świat, to wartość tego tytułu musi być nieskończona. A za to warto oddać wszystko.

Może i tak, lecz jeżeli każda śmierć jest końcem czyjś wyjątkowego świata...

To czy ból również nie jest nieskończony?

## **Songdo, stolica Goryeo**

W Songdo padał śnieg. Statek zawinął do portu po tygodniowym rejsie, który zaprowadził Zhu i Ma najpierw do ujścia rzeki Jangcy, a potem poprzez fale Morza Wschodniego. Zhu nigdy nie widziała tak gęstej śnieżycy. Zasy białego puchu kładły się pod ścianami prostych drewnianych zabudowań niewielkiego miasta i ukrywały okoliczne pejzaże. Goryeo należało do Mongołów podobnie jak ojczysta kraina Zhu, lecz nie sposób było nie dostrzec obcości tej ziemi: wyczuwało się ją nie tylko w dziwnym kroju strojów okrywających ciała spieszących ulicami ludzi, lecz także w samym smaku zimnego, pachnącego sosnami powietrza. Dziewczynę przepełniło koszarne doznanie samotności. Razem z Xu Da obejrzeni kawał świata. Teraz jednak on udał się w podróż bez niej, a nieczyste pragnienia Zhu skalały jej karmę do tego stopnia, że mogli nie spotkać się ponownie nawet po tysiącu lat kolejnych wcieleń. Mogła jedynie zmierzać dalej ku zwycięstwu, które było w tej chwili tak bliskie, że wystarczyłoby wyciągnąć język, a poczułaby jego smak. Będzie warto, pomyślała z bólem.

Kiedy dotarła do pałacu, nie potrafiła stwierdzić, czy jego prostota wynika z tutejszego stylu, czy z faktu, że Wielcy Yuanowie pozbawili Goryeo wszelkich bogactw. Zresztą jedno wcale nie

wykluczało drugiego. Pałacowi słudzy roznosili po korytarzach naręcza drewna – w innych częściach mongolskiego imperium byłyby to węgiel – i dziewczyna czuła na sobie ich ukradkowe spojrzenia. Nie tylko im odzienie Zhu wydawało się obce, jej samej również. Miała na sobie jedną z królewskich sukni Ma oraz narzucony na ramiona futrzany płaszcz. Ma zaplotła jej warkoczyki i upięła je w wysoką konstrukcję, na którą nałożyła ozdobę tak dużą jak druga głowa. Protezę maskował rękaw. Zhu musiała wystąpić w przebraniu, ponieważ Songdo roіło się od ludzi lojalnych wobec Wielkich Yuanów. Gdyby choć jeden zważał, że Zhu Yuanzhang porozumiał się z królem, kto wie do jakich nacisków mógłby się uciec, aby zmusić władcę do zmiany zdania? Gdyby jej wizyta wyszła na jaw, nowy sojusz rozpadłby się, zanim wróciłaby do swojego kraju.

Zaledwie przed rokiem książę Bayan-Temur, jak go wówczas nazywano, mieszkał w cesarskim pałacu Wielkich Yuanów jako zakładnik. Teraz był królem Gongminem z Goryeo. Zhu weszła do sali tronowej ze wzrokiem skromnie spuszczone, lecz nie na tyle, by nie rzucić okiem. Władca był mocno zbudowanym mężczyzną, odzianym w szatę barwy prażonych ziaren pieprzu. Pierś i ramiona stroju pokrywały wymyślne złote hafty, a dolna część była plisowana na mongolską modłę. Fryzurą z kolei władca nie hołdował mongolskiemu obyczajowi. Włosy upięte miał złotem na szczycie głowy w koczek bardzo podobny do tego, jaki nosiła Zhu. Kartoflowatą twarz zdobił makijaż tak bogaty, że niemal kobiecy. Dziewczyna nie zdołała stłumić w sobie gorzkiego rozbawienia. Fakt, że Ouyang, którego tak brzydzą wszelkie przejawy kobiecości, zostanie ocalony przez dwóch zupełnie niemęskich królów, zakrawał na ironię losu.

Uklęła. Był to zapewne jeden z bardziej pozbawionych wdzięku gestów, jakie widział dwór Gongmina. Okazało się, że dowodzenie niebywale obszerną szatą Ma jest wyzwaniem trudniejszym, niż można było przypuszczać.

– Pozdrowienia i wyrazy szacunku, królu Goryeo – wymamrotała Zhu w silnie naznaczonej obcym akcentem mongolszczyźnie. – Czy niegodna kobieta może błagać o prywatną audiencję...?

Wyczuła, że pierwszy impuls nakłaniał go do odmowy. Chwilę potem jednak, prawdopodobnie dlatego, że przypomniał sobie złote taele, którymi ta cudzoziemka tak niedbale sypała do stóp jego dworzan, machnął ręką, nakazując wszystkim obecnym, by zostawili ich samych. Kiedy ostatni służący zamknął za sobą drzwi, Gongmin rzucił tonem nieskrywanej odrazy:

– Mów.

Zhu pomyślała cierpko, że nawet gdyby ubrała się dzisiaj po męsku, i tak nie wyglądałaby dość przystojnie, by zyskać przychylność władcy. Wiedziała, z czego wynika jego niechęć: czuł, że jest zmuszony patrzeć na coś, co naraz go nudziło i nie przysparzało radości.

Wstała z kolan. Porzucenie pozorów skromności było równie przyjemne jak ciśnięcie w kąt zbroi po całodniowym marszu. Wyprężyła plecy.

– Mamy nadzieję, że król Goryeo zechce porozmawiać ze Świetlistym Królem jak równy z równym. Żeby spotkać się z Waszą Wysokością, odbyliśmy ogromnie daleką podróż.

– To ty zbuntowałaś się przeciwko władzy Wielkich Yuanów? – Dziewczyna z satysfakcją odnotowała, że Gongmin zachwiał się na tronie. Z ewidentnym trudem zmagął się z dwoma zaskakującymi faktami. Po pierwsze, Zhu Yuanzhang pojawił się w Goryeo, po drugie, nie był tym, za kogo wszyscy go uważali. – Ale jesteś przecież... Czy jesteś kobietą?

Sprawiał wrażenie głęboko rozdrażnionego własną niezdolnością do rozwikłania zagadki dwoistości Zhu: męski chód i śmiałość, mało pociągająca twarz, piękna suknia oraz wszystko, co słyszał o zdumiewających dokonaniach Zhu Yuanzhang, Świetlistego Króla.

– A może jesteś eunuchem, jak ten drugi? Ilu zdradzieckich eunuchów może wydać z siebie jedno cesarstwo? Tego drugiego spotkałem raz w życiu, na łowach wielkiego chana. Był trochę... – Gongmin wykonał nieokreślony gest skierowany ku twarzy Zhu – trochę jak ty. Można było pomyśleć, że jest kobietą, ale z drugiej strony przez cały czas coś się nie zgadzało...

– Niewielu może powiedzieć, że dorównuje urodą generałowi Ouyangowi – odparła dziewczyna, rozkoszując się w duchu konsternacją władcy, która dodatkowo pogłębiła się teraz, gdy nie usłyszał jasnej odpowiedzi. Dobrze się czuła, zmuszając go do prowadzenia tej rozmowy w niepewności, nie wyjaśniając niczego na własny temat.

– Cóż. – Gongmin wreszcie się opanował. – To wielka niespodzianka. Gdybyśmy wiedzieli, kim jesteś, nie przystalibyśmy na tę audiencję. Czy moglibyśmy na oczach całego dworu zgodzić się przyjąć wroga Wielkich Yuanów? – Po mongolsku mówił z identycznym jak Ma akcentem z Dadu. – Najwygodniejszym rozwiązaniem dla wszystkich będzie, jeśli się jak najszybciej pożegnamy. – Bez wątpienia miał na myśli cesarskich szpiegów.

Zhu zrozumiała, że spotkanie zostanie lada moment przerwane.

– Wasza Wysokość raczył wspomnieć generała Ouyanga – rzuciła pospiesznie. – Domyślam się, że Wielcy Yuanowie przesłali wam wiadomość dotyczącą swojego obecnego położenia?

Król nachylił się naprzód, jakby z zamiarem wezwania dworzan. Dziewczyna zauważyła pewną zmianę. W tej chwili jego postawa wyrażała zadumę, aczkolwiek wciąż nie stał się jej życzliwy. Jednak Zhu nie potrzebowała jego przyjaźni. Nie potrzebowała nawet szacunku.

– Zamierzam połączyć swoje siły z armią generała Ouyanga pod Dadu. W tym starciu Wielcy Yuanowie poniosą klęskę. Niemniej stanie się tak jedynie pod warunkiem, że Goryeo nie ruszy im na odsiecz, czego z pewnością już od was zażądali. Proszę, żebyś zamiast odpowiadać na wezwanie Mongołów, sprzymierzył się ze mną. Nie zrozum mnie źle. Nie proszę o wsparcie natury militarnej.

Proszę jedynie, żebyś nie usłuchał wezwania. Co do opłaty za waszą bezczynność: kiedy Dadu upadnie, a ja zasiądę na tronie, nagrodzę Goryeo tym, czego pragnie najbardziej. – Zhu widziała, że choć jego twarz pozostała nieodgadniona, Gongmin słucha uważnie. – Jakże wasza ziemia musiała cierpieć przez wszystkie lata opłacania się Mongołom, lata posyłania książąt na zakładników, lata wstydu wasalnej roli wobec obcych panów! Obiecuję położyć temu wszystkiemu kres. Zwrócę Goryeo wolność – zakończyła z triumfalną nutą.

Na niskim stoliku przed tronem stało lakierowane bambusowe pudełeczko, w którym czekały równo ułożone naturalnie białe, a także barwione na żółto i różowo plastry kiszzonego korzenia lotosu. Gongmin sięgnął po stalowe pałeczki, wyłowił plaster i zjadł. Gest był z pewnością znaczący, lecz dziewczyna nie potrafiła go zinterpretować.

– Któż mógłby odrzucić propozycję otrzymania czegoś za nic? – odparł władca, gdy przełknął. – Przybywasz ze świadomością, że nie mogę odmówić. I rzeczywiście, nie odmówiłbym, gdyby sytuacja przedstawiała się tak, jak, zdaje się, przypuszczasz. Jednak odnoszę wrażenie, że twoje centrum decyzyjne leży bardzo daleko od Dadu i wieści docierają do was z opóźnieniem.

Gęste śniegi Songdo sprawiały, że w całym mieście panowała nienaturalna cisza. Wydawało się też, że tutaj, na północy, rzeczy są od siebie bardziej odległe niż na południu. Zhu odniosła nagle zawrotne wrażenie oddalenia, jakby zawędrowała za daleko i nie wiedziała, którędy wrócić do domu. Niewykluczone też, że dystans niosła we własnej duszy, ponieważ kiedy Gongmin wstał z tronu i zszedł po stopniach, by przyjrzeć jej się z bliska, jego głos nadal brzmiał jak z bardzo daleka:

– Ach, teraz widać lepiej. Jednak nie jesteś eunuchem, tylko zwykłą brzydką dziewczynką z sercem pełnym marzeń o wielkości. Aż dziw bierze, że zaszłaś tak daleko! Nawet gdyby ktoś taki jak ty mógł rządzić, to jeśli myślisz o tronie Wielkich Yuanów, przybywasz

spóźniona. Dadu upadło tydzień temu. Gra skończona – obwieścił król. – Wygrał ktoś inny.

朱

Zapadał zmierzch, w pałacowym ogrodzie sypał śnieg. Panującą wokół ciszę Zhu odczuwała jako tępy nacisk w uszach. Ciężkie poły sukni traciły barwy w półmroku. W tej odległej krainie, którą kiedyś w marzeniach władała, stała się klęczącą na białym puchu drobinką światła, nad którą z wolna opuszczało się nocne niebo, a jego pieszczota pochłaniała ją całą.

Ouyang nie żył. Wielki chan był martwy. Nową cesarzową została pani Zhang. A ten, kto kroczył okryty ciemnością, wiecznym, wszędobylskim cieniem, zyskał wreszcie imię i nazwisko. Nazwisko, którego pod karą śmierci nie wolno było wymawiać, gdyż noszący je człowiek został wielkim chanem. Zhu powtórzyła je w myślach.

Wang Baoxiang.

Księżę Henanu. Ale nie ten, którego pokochał Ouyang. Jego młodszy brat. Zhu pamiętała go bardzo niejasno z dnia, kiedy siedząc na klasztornym dachu, podziwiała książęcy orszak. Uczony między wojownikami. Wtedy jednak nie niósł w sobie ciemności. Zhu zachowała w pamięci obraz patykowatego młodzika w szacie tak ekstrawaganckiej, że skojarzył jej się z wielobarwnym motylem. Zajmował w hierarchii miejsce jeszcze niższe – i był kochany przez ojca i brata jeszcze mniej – niż powszechnie pogardzany eunuch. A dziś, tyle lat później, to on przeczekał cały okres walki o tron za murami stolicy. Rozegrał ich wszystkich, nie wyłączając Zhu. Jego udziału w rywalizacji nie przewidział nikt.

Zmieniła się osoba nosząca tytuł wielkiego chana, lecz nie uległa zmianie lojalność króla Goryeo wobec Wielkich Yuanów. Gongmin odmówił wszystkim namowom Zhu, która chciała połączyć z nim siły i uderzyć na Dadu. Gdyby ponownie oferowała coś za nic, bez wątplenia z przyjemnością by się zgodził. Skoro jednak miał

zaryzykować własne życie lub przynajmniej pozycję, o współpracy nie było mowy, nawet jeśli skorzystać na niej mógłby cały jego lud. Przyznać trzeba, że niczego innego Zhu się po tym człowieku nie spodziewała. Gdyby miał silny charakter, Mongołowie za nic w świecie nie osadziliby go na tronie Goryeo.

W obecnej sytuacji jej wojsko było zbyt słabe, by ruszyć na Dadu i je zdobyć. Wang Baoxiang miał do dyspozycji stołeczną armię Yuanów – to, co z niej zostało po kampanii Ouyanga – oraz oddziały pani Zhang. Odpowiednio dowodzone – czego zabrakło, kiedy na miasto nacierał generał – ich połączone siły bez większego kłopotu zdołałyby się obronić. A Zhu nie miała już innego sposobu, by przechylić szalę na swoją stronę. Zabrakło ewentualnych sojuszników. Nie miała żadnych dodatkowych atutów.

Lecz przecież nie mogła zrezygnować. Gongmin bardzo się mylił. Tak, Wang Baoxiang zasiadł na tronie, lecz dopóki Zhu posiadała wolę i pragnienie walki, gra wciąż się toczyła. Wang jeszcze nie wygrał. Desperacja kazała jej zdążyć ku wielkości do ostatniego tchnienia. Wiedziała, że się nie podda, nawet nie mając wystarczających sił. Pomimo tego, że gdy zastanawiała się nad przyszłością, widziała jedynie własnych żołnierzy idących prosto na rzeź.

Maszerując na Dadu, Ouyang był w podobnej sytuacji. A przecież udało mu się, wbrew wszelkim przewidywaniom. Osiągnął wszystko, co zamierzał. Spotkał swoje przeznaczenie i znalazł koniec, przez co sprawił, że wszystkie jego cierpienia – ból, zdrady i ofiary – nabrały sensu i wartości.

Zrobię to samo, pomyślała, drżąc z determinacji, Zhu.

Kłęcząc z zaciśniętą pięścią na kolanie, powoli uświadomiła sobie obecność postaci przesłoniętej kotarą padającego puchu. Duch zdawał się bardzo stosownym elementem wyposażenia dla tego martwego, zimowego ogrodu. Obszarpane odzienie spływało na śnieg niczym łzy, a skołtunione włosy barwą przypominały mokre gałęzie wierzby płaczącej. Sylwetka z każdą chwilą stawała się bardziej wyraźna, śnieżycy słabła. Nagle Zhu drgnęła. Widziała



coraz lepiej nie dlatego, że śnieg był rzadszy, lecz dlatego, że zjawa zmierzała w jej stronę.

W ciemniejącym, wypranym z dźwięków ogrodzie nie było żywych istot poza dziewczyną. Odniosła wrażenie, że duch staje nad nią, tonącą w czarnych odmętach.

Chociaż...

Obute w białe cizemki stopy zjawy nie sunęły nad śniegiem, stąpały w nim. Co prawda świeże płatki błyskawicznie zasypywały ślady, lecz przez chwilę trop istniał naprawdę. To nie była zjawa, ale żywy człowiek. Kobieta podeszła i odgarnęła włosy na bok, odsłaniając nieznaną, kościstą twarz. Niegdyś, być może, śmiałe linie kreślone przez te kości uznawano za eleganckie lub wyniosłe. Jednak teraz Zhu widziała wyłącznie czaszkę przesłoniętą cienką warstwą skóry.

– Zhu Yuanzhang – odezwała się kobieta w bieli, spoglądając na dziewczynę z góry. – Znana jako Świetlisty Król, którego celem jest nic innego jak tron Wielkich Yuanów. – Znękana nuta w jej głosie budziła grozę skuteczniej niż jakakolwiek zjawa, ponieważ tak mówił ktoś, kto odczuwał podobnie jak Zhu, jak Ouyang. Ktoś, kto płonął w ogniu żałoby, bólu i gniewu; ktoś, kto stracił cały świat i brnął naprzód w ciemności pod postacią wydrążonej skorupy. – Żeby osiągnąć tak wielki cel, człowiek musi równie wiele wycierpieć. Powiedz zatem, siostrzyczko. Co jesteś gotowa uczynić, żeby zdobyć, czego pragniesz?

Kłęcząca w widmowym świetle śniegu, ciemności i bólu Zhu poczuła budzącą się w sercu obłąkańczą nadzieję. Wszystko, obiecała w myślach. Nie miała jeszcze pojęcia, jaką metodą miałyby zwyciężyć, lecz wiedziała już, że będzie warto, choćby była to metoda najstraszliwsza. Zniosę wszystko.

Nieznaną wyczytała odpowiedź z jej twarzy.

– Naprawdę jesteś tak silna? – szepnęła, a na jej białą jak lód twarz niczym krwawy woal opadła aura okrucieństwa. Dziewczynie przemknęło przez myśl, że gdyby kobieta pokazała zęby, byłyby ostre jak u wyzerającego ludzkie wątroby ducha. – Ja również taka

byłam. Byłam faworytą nieżyjącego wielkiego chana, a mój syn był trzecim księciem cesarstwa. Ach, czego nie robiłam dla swojego jedyne­go dzie­cka! Chroniłam go przez ponad osiemnaście lat. Ostatecznie jednak popełniłam błąd. Zaufałam ostatniemu człowiekowi, któremu powinnam. Król odmówił ci wsparcia, Zhu Yuanzhangu. Ale za to, co Wang Baoxiang zrobił mojemu synowi, ja ci pomogę – powiedziała wielmożna Ki.



Miasto Pałacu, Dadu

**R**uszać się, niewolnice! – Bata nie było, lecz głos eunucha nadzorcy chłostał z równą siłą.

Idąca w szeregu obdartych kobiet Zhu weszła przez łukowato sklepioną bramę na teren Miasta Pałacu. Kiedy wraz z transportem niewolnic trafiła do Dadu, zdumiała ją skala zniszczeń zadanych peryferiom miasta przez Ouyanga. W ruinach wiosek i splądrowanych posiadłości straszły zwęglone szpikulce drzew, a na polach wśród zeszłorocznej, nieuprzątniętej słomy kwitły kolorowe chwasty. Tego rodzaju destrukcję może siać tylko ktoś, kto nie dba o to, co po nim zostanie, ktoś, dla kogo liczy się tylko jedna nadchodząca chwila, będąca zarazem sukcesem i unicestwieniem. Chwila, którą znalazł właśnie tutaj, za murami Miasta Pałacu.

Mnisi podróżują częściej niż większość ludzi, a wielu z powracających do klasztoru Wuhuang opowiadało o lśniącej stolicy Mongołów. Opisywali miasto, którego złote fortyfikacje i zabudowania lśniły nowością na tle wysuszonych wzgórz. Zhu tymczasem ujrzała świat pozbawiony wszelkich barw i splendoru, tym ciemniejszy, że na podbrzuszu niebios kłębiły się właśnie

ciemne chmury. Flagi powiewające na murach nie cieszyły oka lazurowym błękitem, jaki dziewczyna знаła z bitewnych pól. Miały odcień leśnego jeziora o zmroku, jakby na Cesarstwo Wielkich Yuanów opadła noc. Mury istotnie były złociste, ściany budynków pozłacane, a dziedzińce wyłożono najprzedniejszym marmurem. Niemniej nic tutaj nie lśniło. Gdy Zhu przeciągnęła dłonią po białej dawniej balustradzie i spojrzała na palce, okazały się czarne. Brud wojny osiadł patyną na wszystkim. Wang Baoxiang, który wynurzył się z cienia i uprzedził ją w drodze do tronu, nie położył kresu cesarstwu. Podtrzymał je w istnieniu: świat pogrzebany w popiołach własnego zniszczenia.

Nie musiało się tak stać, pomyślała z żalem Zhu. Gdyby został przy niej Ouyang – gdyby tylko zdołał przemóc nienawiść, jaką czuł sam do siebie, gdyby w nią uwierzył, gdyby zaufał – mógłby żyć. Wspólnie mogli powołać do istnienia świat całkiem odmienny od tego, w którym światło stało się ciemnością, a ból wieczną agonią.

Niewolnice szły noga za nogą, z pochylonymi głowami. Ubrana w zgrzebną, podartą sukienkę Zhu miała rozpuszczone włosy, protezę zwiesiła do boku. Wiedziała, że w tym mrocznym, pełnym rozpacz miejscy nie stanowi niezwykłego widoku. Ot, jeszcze jedna nieszczęsnica ze zdobytego Nanchangu. Jeszcze jedna kobieta zgwałcona przez żołdaków Chen Youlianga, okaleczona w akcie makabrycznej drwiny z jednorękiego rywala ich wodza, Zhu Yuanzhang, a następnie sprzedana w niewolę. Zhu nie musiała nawet udawać, by wypaść w tej roli przekonująco. Pokazywała po prostu własny ból. Obnażała całe jego okrucieństwo i widziała, że pozostałe niewolnice wzdragają się przed jej cierpieniem bardziej niż z odrazy wobec jej kalectwa. Rozumiała te reakcje. Kontakt z człowiekiem cierpiącym zawsze może się skończyć własnym bólem. Dlatego warto uciąć wszelką więź za pomocą nienawiści. A ponieważ najbardziej żarliwym pragnieniem większości ludzi jest uniknąć bólu, jej towarzyszki w naturalny sposób wybierały nienawiść.

Idąc w ślad za nadzorcą przez kolejne tonące w niebieskim cieniu aleje Miasta Pałacu, Zhu usłyszała dolatujące z oddali głosy. Nagle eunuch zakrzyknął:

– Na ziemię!

Niewolnice przystanąły i zaczęły się niepewnie rozglądać, na co nadzorca chwycił idącą na czele kolumny kobietę za włosy, kopnął ją w nogę, a kiedy przyklęknęła z wrzaskiem, bezceremonialnie pochylił jej głowę.

– Życie ci niemiłe? Jeśli nie chcesz umrzeć, pokłoń się, kiedy nadchodzi wielki chan! – dodał nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Pozostałe niewolnice czym prędzej uklęknęły na zimnym białym piachu, jakim wysypana była aleja. Hałas stopniowo narastał, a w pewnym momencie przemknęła obok nich niesiona wysoko lektyka. Zhu zobaczyła jedynie mnóstwo rozpędzonych nóg. Widok skojarzył jej się ze stonogą.

Kiedy niewolnice wstały i na powrót sformowały szyk, lektyka była już na wielkim placu widocznym za bramą na końcu drogi. Zatrzymała się u podnóża schodów wiodących do olbrzymiego, otoczonego kolumnami gmachu z wysadzonym klejnotami dachem. Zhu dostrzegła wysiadającego pasażera. Inaczej niż poprzednicy, nosił się na czarno; złote smoki, symbol jego rangi, płynęły po ciemnej tkaninie niczym gwiazdne konstelacje przez nocne niebo.

Zhu wstrzymała oddech. Patrzyła na Wang Baoxianga, wielkiego chana. Poczowała w głębi ducha przemożną emocję – nie gniew bądź nienawiść, ale wrażenie znajomości. Poznała go. Oto widziała człowieka, który miał coś, czego pragnęła ona.

Człowieka, który stał na drodze jej pragnienia.

Wysiadł z lektyki i momentalnie zniknął w tłumie eunuchów, gwardzistów i służących.

朱

– Nie mogę wspomóc cię armią – powiedziała w Goryeo zjawa, która okazała się wielmożną Ki. – Ale skoro twierdzisz, że jesteś gotowa uczynić wszystko, pomogę ci zwyciężyć w inny sposób. W tej chwili – mówiła dalej – Wang Baoxiang jest jedyną osobą w Chanbałyku obdarzoną mandatem niebios. Podobnie było za panowania poprzedniego wielkiego chana, ale nie jest to norma, a raczej skutek wady systemu. Zazwyczaj jeszcze przed objęciem tronu wielki chan dysponował prawowitym potomkiem, również posiadającym mandat. Gdyby władca umarł, nie pozostawiwszy oficjalnie uznanego spadkobiercy, ministrowie i generalicja bez wątpienia przystaliby na to, żeby jego urząd przypadł innej wskazanej przez niebiosą osobie. Zwłaszcza takiej, której armia stałaby pod murami miasta. Synowie niebios zawsze byli mężczyznami. – Wielmożna Ki wpatrywała się w klęczącą Zhu. – Zmienić to oznaczałoby pogwałcić porządek świata. Niewykluczone jednak, że to całkiem sensowne, że osoba, która położy kres rządóm Wielkich Yuanów, naruszy też fundamenty ich rzeczywistości. A potem nowy świat dla nowego władcy. Nie czuję się związana ze starym, bo odmówił miejsca mojemu synowi i pozwolił mu umrzeć z rąk ojca, który uważał go za niegodnego dziedzictwa. Tylko dlatego, że chłopak był, kim był.

Wiatr na mgnienie oka ożywił ogród, strącając na ziemię śnieg zalegający na wierzbowych gałęziach. Kaskada cichych, wchłoniętych przez puch eksplozji.

– Ty, Zhu Yuanzhangu, nie jesteś mężczyzną. Czy pomimo to jesteś zdolna rządzić? – dodała wielmożna Ki.

Zhu sięgnęła poprzez ból i żal. Uchwyciła sam rdzeń swojego jestestwa, tę część duszy, która nigdy nie gaśnie. Przypomniała sobie żar chwili, w której stała się sobą i po raz pierwszy przejęła władzę nad swoim życiem i losem.

– Jestem – powiedziała.

– W takim razie przeniknij z moją pomocą do pałacu. Tam zabij Wang Baoxianga, pokaż się, ogłoś, kim jesteś, i przejmij tron od wewnątrz.

朱

Stojąca po drugiej stronie rozległego dziedzińca Zhu obserwowała czarny wianuszek sług wchodzących po schodach wokół migocącej między nimi złotej iskry. Mimo mordów i zrad, które zaludniły chłodne cienie pałacowych korytarzy rzeszami duchów, istniał dobry powód, dla którego tylko nieliczne z nich były duchami władców.

Wielki chan w pojedynkę zajmował środek świata, lecz nawet przez chwilę nie pozostawał sam.

朱

Niewolnicom wyznaczano w Mieście Pałacu zadania, którymi nie chciały się kalać nawet najprostsze służki. Nadzorująca je kobieta oprowadziła je po rozmaitych rezydencjach, gdzie opróżniały nocniki do wiader, które następnie wносиły na koromysłach poza mury, do czekających już wózków. Zhu pomyślała, że udręką nie jest tu sama praca. Swego czasu wykonywała znacznie bardziej paskudne obowiązki – wciąż, mimo upływu lat, miała żywo w pamięci chwile poświęcone na opróżnianie łopatą klasztornej latryny – i przypuszczalnie bardzo podobnie wyglądały wcześniejsze losy innych niewolnic. Nie, dla zniewolonego człowieka najgorszą katuszą jest świadomość, że poza pracą nie czeka go nic. Miały pracować do utraty sił, a kiedy padną, nikt się nimi nie przejmie, ponieważ ich życie nie przedstawiało żadnej wartości.

Jak szybko zrozumiała Zhu, niewolnice były dla pozostałych członków pałacowej służby praktycznie niewidzialne. Były służki niższe, zajmujące się praniem i noszeniem węgla w koszach, były pomocnice kuchenne i służące szwaczki, których dziesiątki zajmowały się haftem i naprawami strojów. Były nadzorczyńie, dwórki, a także ochmistrzyńie i eunuchowie, którym powierzano

najprzeróżniejsze zadania, od dźwigania palankinów po asystowanie cesarskim medykom. W pałacu pracowali ludzie ze wszystkich zakątków imperium, mówiący każdym z języków, jakie można usłyszeć pomiędzy czterema oceanami, aczkolwiek znakomita większość pochodziła z Goryeo i innych zwasalizowanych państweczek, które przysyłały ich Wielkim Yuanom jako część daniny. Miasto Pałacu, stwierdziła w duchu Zhu, naprawdę jest pełnoprawnym miastem. Obecnie w cesarskim haremie mieszkała jedynie cesarzowa, lecz w przyszłości, kiedy pojawią się dziesiątki innych żon, a każda otrzyma własny dom; tysiące służących bez wątpienia będą mieć pełne ręce roboty.

Opróżnianie nocników okazało się zaledwie pierwszym z zadań. W następnej kolejności niewolnice zajęły się wynoszeniem z licznych rezydencji całych wiader popiołu z palenisk, z kuchni odebrały odpadki, a teraz ustawiły się w kolejce do studni po wodę. Zhu ze zdziwieniem odnotowała, że jest potwornie wyczerpana. Za bardzo przywykłam do królewskiego życia, pomyślała z goryczą.

– Ruszać się! – wrzasnęła nadzorczyńni, kiedy stojąca przed Zhu dziewczyna odeszła spod studni, taszcząc ze sobą dwa pełne cebrzyki.

Wykonywanie jedną ręką czynności pomyślanych dla ludzi dwuręcznych było niełatwe, lecz możliwe. Studnia wyposażona została w prosty system bloków ułatwiający wyciąganie wiadra. Zhu zaczepiła pierwszy kubeł na haku i wrzuciła go do środka, po czym wywindowała napełniony na górę, przydepnęła linę stopą, by wiadro nie zjechało z powrotem, i sięgnęła lewą dłonią, by je zdjąć.

Kiedy zacisnęła palce na pałaku, rozległo się donośne wołanie:

– Wielki chan się zbliża! Niewolnice na ziemię!

Wszystko wydarzyło się niemal w tym samym momencie. Kobiety jednocześnie zwróciły się ku drodze, koromysło jednej z nich uderzyło Zhu w plecy. Dziewczyna krzyknęła i zatoczyła się naprzód. Jej stopa zwolniła sznur, a obciążony wodą kubeł pomknął w dół z takim impetem, że niemal pociągnął ją za sobą. Prawe ramię,



które dla równowagi podrzuciła odruchowo ku górze, zaplątało się w linę, która poderwała kończynę prosto do boczka.

Rozległo się głośnie chrupnięcie, rozkołysany cebrzyk zawisł w połowie głębokości studni.

Zhu podniosła wzrok i spojrzała na swoją protezę, tkwiącą w mechanizmie studni. Ramię bolało ją tak, jakby wyskoczyło ze stawu. Szarpnęła mocno, a potem jeszcze mocniej. Bez skutku. Bardzo często stała, gdy wszyscy wokoło klęczeli, lecz teraz za wszelką cenę wołała takiej sytuacji uniknąć. Jeśli chcesz żyć, klękaj! – pomyślała.

Pociągnęła jeszcze bardziej energicznie. Zwrócone ku drodze plecy swędziały i piekły, jakby leżała na gwoździach. Wyraźnie czuła zbliżającą się czerń, pędzącą ku niej niczym wielonogi pożeracz. Jakże ironiczna byłaby to śmierć; zatłuczona jako niewolnica za to, że nie oddała należytego szacunku temu, który odebrał jej tron. Jeszcze jedno szarpnięcie, całą mocą mięśni. Po prostu musiała się uwolnić...

Proteza nagle puściła, co odrzuciło dziewczynę od studni. Padła na kolano na poboczu z pochyloną głową dokładnie w chwili, w której orszak wielkiego chana przetruchtał obok, nawet nie zwalniając. Było po wszystkim, lecz serce Zhu wciąż biło jak szalone. Pulsujący bólem kikut spoczął na zgiętym prawym kolanie. Bandaż, którym był owinięty, częściowo się rozplątał. Nie uwolniła zaklinowanej protezy, desperackie szarpnięcie wyrwało po prostu kończynę z drewnianej obejmy.

Klęcząc ze spuszczonego wzrokiem, zbyt późno zauważyła cienie stojących nad nią eunuchów. W pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego widzi przed sobą dziesięć par sandałów i tyleż samo stóp. Przecież wielki chan był już gdzie indziej, prawda?

– Ty! – usłyszała z góry kobiecy głos.

Zhu знаła ten ton. Widziała jego właścicielkę przez firankę w oknie powozu, kiedy spotkały się ponad równiną, na której stały dwie wrogie armie. Jakby stulecie temu. Opadło ją lodowate, bardzo nieprzyjemne przecucie.

– Ty! Niewolnico! – warknęła ponownie pani Zhang. Któryś z eunuchów podbiegł i wymierzył dziewczynie kopniaka prosto w piszczel. – Ty, nikczemna!

Czy miała wybór? Przeczucie katastrofy błyskawicznie się wyostrzało, Zhu miała wrażenie, że stoi na czubku noża. Uniosła głowę, lecz oczy pozostawiła pokornie spuszczone. Pani Zhang wysoko nad nią była jedynie królewskim cieniem przesłaniającym rozmyte słońce północy.

– Niewolnico. Co się stało z twoją ręką?

Najlepsze kłamstwo powinno zawierać w sobie największą dawkę prawdy.

– Bezwartościowa niewolnica ośmieli się udzielić odpowiedzi cesarzowej – wymamrotała Zhu, wpatrując się nieporuszenie w drogę. – Zanim straciła wolność, mieszkała w Nanchangu. Cesarzowa w bezmiarze swojej wiedzy z pewnością słyszała, jaki los spotkał to miasto i jego mieszkańców, kiedy Chen Youliang odbił je z rąk Zhu Yuanzhang.

– Zhu Yuanzhang! – powtórzyła z drapieżnym zadowoleniem pani Zhang, jakby usłyszała właśnie potwierdzenie myśli, która przyszła jej do głowy na widok jednoręki kobiety.

Zatem pani Zhang nie wątpiła w jej tożsamość. Zhu zalała tak intensywna fala ulgi, że niemal omdlała. Cesarzowa niczego nie podejrzewała, bo kto przy zdrowych zmysłach zobaczyłby króla w niewolnicy, mężczyznę w kobiecie? Pani Zhang zainteresowała się nią wyłącznie dlatego, że dostrzegła w niej widmo dawnego rywala.

– Głupi chłopak! – podjęła cesarzowa. – Powinien był poddać się mnie, kiedy miał okazję. Tymczasem jego chciwość i ambicja zdradziły tych, na których trupach zbudował swoje królestwo! Popatrz tylko na siebie, klęczysz przede mną, nieszczęsna, okaleczona niewolnica.

– Nigdy mu na nas nie zależało. Pozwalał nam cierpieć po to tylko, żeby zrealizować swój cel. Moja ręka, moje ciało. Mój starszy brat... – Wstrząśnięta Zhu poczuła, że głos odmawia jej posłuszeństwa. Na chwilę stała się osobą, którą udawała, pogrążoną

w żałobie kaleką, kobietą, której rodzinę pochłonęło pragnienie Zhu Yuanzhang, skłonnego oddać w imię spełnienia wszystko.

Mojego brata zabił Zhu Yuanzhang, pomyślała. Ja go zabiłam. Kazałam mu cierpieć w imię swoich pragnień.

Niewolnica powinna być niewidzialnym, niemym przedmiotem. Lecz ból dziewczyny wylewający się w tej chwili na świat uczynił z niej człowieka.

– Bezwartościowa kupo gnoju! – Jeden z eunuchów podszedł do niej zdecydowanym krokiem. – Jak śmiesz odzywać się niepytana w obliczu cesarzowej?

Pani Zhang uciszyła go gestem, na jej palcach zabłysły klejnoty.

– Wiele w tobie uczuć! – Obdarzyła Zhu spojrzeniem wyrażającym lekko zniesmaczone rozbawienie, jakby ból dziewczyny skaził powietrze. Pod tą maską jednak Zhu wyczuła coś bardziej ostrego: ciekawość graniczącą z pragnieniem. Zazdrość, uświadomiła sobie zdumiona. Kim trzeba być, żeby zazdrościć innemu bólu? – Jestem pewna, że często marzyłeś o chwili, w której Zhu Yuanzhang posmakowałby choćby ułamka twojego cierpienia – podjęła pani Zhang z namysłem. – Marzyłeś o zemście i sprawiedliwości, które być może są w istocie jednym i tym samym. Czy wiesz, że on kieruje się właśnie ku naszemu miastu? Głupiec gnający za przegranym snem. Pędzi prosto ku własnej ztratcie, rozbije się o mury Dadu.

Słuchająca słów cesarzowej Zhu odniosła specyficzne wrażenie przebywania w dwóch miejscach jednocześnie. Zupełnie jakby została sztucznie podzielona na dwie osobowości, z których każda była mniejsza niż jej prawdziwe ja, lecz każdą z nich świat potrafił zrozumieć i znaleźć dla niej miejsce. Mężczyzna i kobieta, król i niewolnica. Majestat i absolutny brak wartości.

Pani Zhang skinęła niedbale na stojącą najbliżej lektyki dwórkę.

– Zabierzcie ją – poleciła ku wielkiemu zaskoczeniu i konsternacji Zhu. – Umyć ją i przebrać w strój służki. – Uśmiech cesarzowej jasno mówił, że uczyniła to wyłącznie z kaprysu, dla rozrywki, lecz dziewczyna nadal czuła bijące od niej łaknienie

cudzego bólu. Jakby bliskość prawdziwych, zrodzonych z krwi i kości uczuć mogło tchnąć nieco życia w pustą porcelanową lalkę. – Zhu Yuanzhang nadciąga – dodała pani Zhang. – A ponieważ z powodu jego żądzы wycierpiałas tak wiele, z przyjemnością pozwolę ci obejrzeć jego koniec.

朱

Zhu nigdy w życiu nie była w ptaszarni. Nawet jako król nie pomyślała nawet, że mogłaby zapragnąć czegoś takiego. Pani Zhang natomiast była z własnej hodowli ogromnie dumna. Nie była to po prostu wielka klatka, a raczej zamknięty ogród, delikatne druciki otaczającej całość siateczki były niemal niewidoczne, migotały wysoko ponad rozkwitającymi na wiosnę drzewami. Wśród gęstych krzewów wiły się pieczołowicie utrzymane, wysypane żwirkiem ścieżki. A wszędzie, naprawdę wszędzie były ptaki. Ptaki małe jak herbaciane czarki, ptaki stąpające na nogach dłuższych niż nogi Zhu; ptaki czubate i obdarzone koronami pierza; ptaki, których pióra mieniły się niczym klejnoty. Kosztowały zapewne fortunę. Zhu zdołała rozpoznać jedynie bażanty (przepyszne) oraz gołębie (też smaczne, choć zamiast jeść, lepiej je wykorzystywać do przesyłania wiadomości). Naturalnie starannie wyhodowane i wyselekcjonowane rasowe gołębie pani Zhang nie były zatrudniane do tak poślednich zadań. Były wielobarwne i puszyste, stroszyły się i pyszniły; aż cud, że w ogóle potrafiły fruwać.

Cesarzowa, równie bogato umaszczona i frymuśnie wystrojona jak jej ptaki, stała wśród stadka szaro ubarwionych służek przy drewnianych budkach lęgowych.

– Bierz go, prędko! – rzuciła zniecierpliwiona i służąca z grymasem na twarzy wsunęła dłoń do środka. Nastąpił moment roztrzepotanej paniki i dziewczyna wyrwała rękę jak oparzona. Maciupęńki, przypominający barwę chryzantemę ptaszek

wyprysnął z budki niczym strzała. Służące z piskiem pochyliły głowy.

– Wszystkie jesteście durne jak muły! – wrzasnęła pani Zhang.

Zhu, grabiąca właśnie sąsiednią dróżkę, instynktownie poderwała rękę.

– Tylko go nie wypuść! – Cesarzowa ruszyła spieszenie w jej stronę.

Dziewczyna przyjrzała się ptaszкови, który odpowiedział jej spojrzeniem czarnych i okrągłych jak nasionka pieprzu ślepi. Serce stworzonka biło o wnętrze jej dłoni delikatnie jak krople deszczu. Schwyciła go kierowana tym samym odruchem, który pozwalał parować ciosy wrogich mieczy.

Pani Zhang popatrzyła na nią badawczo, przez co dziewczyna poczuła ukłucie niepokoju. Jeżeli ktokolwiek w pałacu miał szansę rozpoznać w niej ślady męskości, byłaby to kurtyzana: osoba zawodowo czytająca z męskich ciał.

Cesarzowa powiedziała jednak tylko:

– Jakie to urocze! Jednoręki świerszczyk jednak na coś się przydał! – Uśmiechnęła się samymi tylko wargami, jakby po to, by nie zmącić perfekcyjnego makijażu zbędnym ruchem mięśni twarzy. – I to wcale nie jako karma dla ptaków – zażartowała. – A teraz rozciągnij mu skrzydło, o tak...

Złote nożyczki szczęknęły między rozłożonymi piórami.

– Świetnie – szepnęła pani Zhang. Na porcelanowej twarzy odcisnęła się niemal erotyczna namiętność. – Gotowe. Czysto i gładko. – Usadziła sobie pozbawionego zdolności lotu ptaszka na palcu. Stworzenie, próbując nie stracić równowagi, pośliznęło się na ozdobnej metalowej nakładce na paznokiec, drapiąc ją pazurkami. Maleńki dziób rozchylił się w przerażonym oddechu.

– Wiedziałaś, że każdy z tych ptaków to osobisty prezent od wielkiego chana? – Cesarzowa pogładziła drobny grzbiet paznokciem. – Jak na Mongoła, cieszy się niecodziennie wyrafinowanym gustem. Te piękne istoty świadczą o jego najwyższym szacunku. Może tego – ciągnęła w zadumie – podaruję

w prezencji powitalnym nowej żonie z Goryeo. Słyszałam, że to słodkie i posłuszne dziewczę. Słodziutka ptaszyna dla słodziutkiej dziewczynki. Tak, to stosowne. Powinna mieć jakąś rozrywkę, bo wielki chan nie będzie się nią interesować. – Wychwyciła błysk w oku Zhu i zaśmiała się lekko. – Nie, nie z powodu, o jakim mogłaś pomyśleć. Zapewniam cię, że mimo aparycji i zachowania mój małżonek potrafi się obejść z kobietą. Niemniej nie gustuje w słodyczach. – Uśmiechnęła się niczym zadowolona kotka, po czym przeszła na swoich małych, migocących stopach do pomieszczenia, w którym służące ze znanstwem i elegancją nakryły okrągły stół dla dwóch osób. – Chodźże, świerszczyku. Cierpię na niedostatek przydatnych służek, a nie widzę potrzeby, żebyś marniała na zewnątrz. Dzisiejszej nocy odwiedzi mnie wielki chan. Możesz pomóc moim dwórkom, przygotujecie mnie zgodnie z jego upodobaniami.

Kiedy w godzinie koguta, wkrótce po zachodzie słońca, do rezydencji wparadował bezceremonialnie naczelnny eunuch syna niebios, pani Zhang była już w pełni przygotowana i czekała nieskazitelna niczym porcelanowa czarka.

– Wielki chan nadchodzi! – obwieścił przybysz.

Zhu i reszta służących padły na twarz. Cesarzowa wstała i z gracją przyklękła. Władca wszedł do komnaty wraz z ochronnym pierścieniem odzianych w czerń gwardzistów.

Dopiero teraz, oglądając Wang Baoxianga z bliska, Zhu zrozumiała uwagę pani Zhang na temat jego aparycji i zachowania. Gdyby chodziło o przeciętnego człowieka, taki sposób bycia skazałby go na pogardę. U syna niebios natomiast, strojnego swoją władzą, był szokujący. Stanowił tak radykalne zaburzenie porządku, że dziewczyna poczuła na plecach niespodziewany dreszcz, podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zetknęła się z nieokreślonością Ouyanga.

Zamiast dumnie kroczyć, wielki chan elegancko stąpał. Blade, obdarzone długimi palcami dłonie trzepotały jak ptasie skrzydełka. Gestykulował niczym kobieta, lecz czynił to za pomocą niewątpliwie

męskiego – z wyjątkiem charakterystycznej szczupłości – ciała. Być może ta zniewieściałość wypływa z jego prawdziwej natury, pomyślała Zhu, lecz czuła zarazem, że ma do czynienia z przedstawieniem. Z rolą, dzięki której wszyscy pozostali gracze na dworze przeoczyli jego obecność. Był między nimi przez cały czas, przez cały czas nosił w sercu żądzę mordy i ambicję dalece przewyższającą ich zapędy, lecz nikt nie wierzył, że podobne cechy mogą istnieć w duszy człowieka wyglądającego i zachowującego się jak on. Nikt nie wierzył i nikt nie przewidział.

Mimo że wypełniająca komnatę światło nie było jasne, to kiedy wielki chan minął Zhu, dziewczyna poczuła na sobie jego cień. Nagle przypomniały jej się sztandary powiewające nad świetlistym niegdyś miastem, tak głęboko granatowe, że niemal czarne.

W barwie władcy, którego mandat był ogniem zamiast blasku rozsiewającym cień.

Cień, który musnął teraz krawędzie tkwiącej w duszy Zhu jaśniejącej kuli. Dwa mandaty, podobne, lecz wzajemnie sobie przeciwstawne, zaśpiewały niczym stykające się kielichy ze szkła. Syn niebios drgnął, ściągnął powieki i rozejrzał się dokoła. Nikt z jego otoczenia nie przeczuł tkwiącej w nim groźby, ponieważ był, jaki był. Teraz jednak, kiedy nieświadomie omiótł wzrokiem ją, klęczącą między pozostałymi identycznie ubranymi służkami, Zhu pomyślała, że nikt nie przewidział, co zrobi. Nie dostrzegli cię, ale teraz ty nie widzisz mnie.

Dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Dziewczynie przemknęło przez myśl, że być może nigdy nie zdoła zbliżyć się do niego bardziej. Niemniej wciąż otaczali go gwardziści, trzymający w dłoniach miecze, w pełni gotowi ich dobyć i użyć. Gdyby nawet wykradła pani Zhang nożyczki, gdyby zabrała z kuchni nóż i ukryła go w rękawie, tych kilka kroków mogło równie dobrze być tysiącem li.

Wielki chan zasiadł do posiłku z cesarzową. W ich spotkaniu nie było nic spontanicznego, od kilku słów do testera trucizny, który próbował dań, po uprzejme, wyświechtane frazy władcy oraz

kobiece pochlebstwa i urok pani Zhang. Zhu zastanowiła się, czy ta kobieta obcuje w podobny sposób ze wszystkimi swoimi mężczyznami. W jej zachowaniu dało się wyczuć specyficzną bezosobowość, jakby odgrywała przez całe życie jedno i to samo przedstawienie, w którym zmieniali się tylko aktorzy. Syn niebios również nie sprawiał w jej towarzystwie wrażenia zadowolonego. Udawana przyjemność. Zupełnie jakby grali oboje: nie na użytek służących i żołnierzy, ci byli na tyle nieważni, że ledwie istnieli, lecz dla samych siebie.

Obserwująca cesarską parę Zhu poczuła się nieswojo. Aby osiągnąć swój cel, zносиła tak wiele i tak wiele oddała. A teraz miała tuż przed sobą dwoje ludzi, którzy uczynili to samo i zrealizowali swoje największe pragnienia. Zaszli najdalej, jak mogli.

A przecież choć wpatrywała się w nich naprawdę uważnie, nie znajdowała nawet śladu tego, co powinno kryć się pod tym jałowym teatrem, nie widziała rozkoszy, która miała usprawiedliwić wszystko.

朱

Zhu stała wraz z pozostałymi służącymi pani Zhang w tylnej części zatłoczonej Sali Wielkiej Światłości. Poselstwo z Goryeo sunęło ku odległemu podwyższeniu, by zaprezentować przywiezioną daninę. Odległość przeobraziła cesarzową i wielkiego chana w marionetki. Ich drobne sylwetki rozpływały się w cieniu. Mimo że przez otwarte wrota wlewały się promienie wiosennego słońca, a wokół płonęły liczne latarnie, w sali zalegał nieusuwalny półmrok.

Na wyłożonych kutym srebrem ścianach majaczyły odbicia tłumy. Nie były wyraźnymi obrazami jak te pokazywane przez z mozołem szlifowane zwierciadła z brązu. Były niejasnymi, zmiennymi kształtami, plamami światła i ciemności. Zhu odniosła nieprzyjemne wrażenie, że nie patrzy wcale na ścianę, lecz na skórę, a widoczne na niej zarysy nie są sylwetkami, tylko pejzażem krainy,



którą wszyscy pewnego dnia odwiedzą: świata, gdzie zamiast ludzi żyją duchy.

W sali kryło się coś głęboko niewłaściwego. Zhu nie była pewna, co spodziewała się tu zastać. Chodząc po Mieście Pałacu, przez cały czas miała świadomość, że przed nią tymi samymi drogami chodził Ouyang. Jej kroki nakładały się na jego widmowy trop; jej ciało wypełniało dokładnie te same przestrzenie, które zajmował on. A teraz dotarła do jego końca. To na tym złotym tronie, na którym siedzi teraz Wang Baoxiang, generał zabił poprzedniego wielkiego chana. To tutaj Ouyang dopełnił swojej zemsty. Położył kres niezliczonym istnieniom, zdradził człowieka, którego kochał, zdradził samą Zhu, lecz dopiął swego. I wszystko usprawiedliwił, sprawił, że było warto.

Gdzieś pod nogami zgromadzonych pozostały ostatnie ślady ciała, którego tak nienawidził. Krew generała już dawno została zmyta z kamiennej posadzki, lecz pozostawiła po sobie plamy: nieznaczny, ale nieusuwalny odcisk tutaj, w samym środku świata, odcisk tego, kim Ouyang był.

Świadomość, że przynajmniej generał już teraz nie cierpi, powinna w zasadzie przynieść Zhu ulgę. Jednak uczucie, które zakradło się do serca stojącej w miejscu jego śmierci dziewczyny, nie było ulgą. Zwilżyło podeszwy jej stóp, zmroziło nerki, naznaczyło skórę lekkim lodowatym dotykiem.

Strach.

I ten strach rósł, był tyleż potężny, co niewytłumaczalny. Ciało Zhu namawiało do ucieczki. Z uporem twierdziło, że w tej sali znajduje się coś potwornego, coś, z czym nie sposób stanąć twarzą w twarz i przetrwać. Coś, co wzywało sobie podobne, lecz zamiast znajomego, czystego, dźwięcznego rezonansu budziło wrażenie tak groteskowe i makabryczne, że wzdrygały się wszystkie nerwy. Nigdy w życiu Zhu nie czuła nic podobnego.

Niemniej rozglądając się wśród tłumu, dygocąc, nie potrafiła wypatrzeć źródła.

Danina została spłacona i z całego poselstwa pozostała jedynie samotna kobieta w rozłożystej, przypominającej kształtem dzwon sukni. Jej głowę okrywał kaptur sztywnej plisowanej peleryny z tego samego materiału. Kobieta złożyła przed tronem głęboki ukłon.

– Wstań, lojalna księżniczko – przez salę popłynął słaby głos syna niebios.

Księżniczka wstała i zrzuciła pelerynę. Władcy Goryeo za sprawą Wielkich Yuanów mieli w żyłach więcej krwi stepowej niż mieszaniec Wang Baoxiang. Księżniczka, która wprawdzie według standardów urody nanrenów nie była piękna, musiała niezwykle cieszyć mongolskie oko. Dworzanie zaszemrali z uznaniem. Gładka twarz dziewczyny stanowiła esencję niczym nieskażonego powabu, a majaczący w oczach słodko-gorzki cień smutku dodatkowo wzmacniał czułość jej spojrzenia.

Wielmożna Ki oczywiście wiedziała. „Wielki chan nigdy nie zostaje sam”.

„Więc jak?”

Zapadający w ogrodzie zmierzch okrył Zhu i wielmożną Ki ciemnością niczym gasnąca lampa. „Jest jeden wyjątek. Jedyne moment, kiedy wielki chan przebywa z jedną tylko, inną osobą bez opieki straży. To wtedy, gdy wzywa na noc do swojej komnaty którąś z małżonek”.

„To ostatni raz” – zapowiedziała Zhu po powrocie na cumujący w porcie Songdo statek. „Ostatni raz, Yingzi. Przyrzekam. Ale potrzebuję twojej pomocy”.

Pamiętała, jak bardzo pobladła twarz Ma, kiedy dziewczyna poznała szczegóły. Milczała tak długo, że Zhu naprawdę nie wiedziała, jakiej odpowiedzi się spodziewać.

Kiedy Ma wreszcie przemówiła, w jej głosie pojawiła się nuta przygnębienia, jakiej Zhu nigdy wcześniej nie słyszała.

„Nie prosź mnie o pomoc, Zhu Yuanzhangu”. Zhu coś chwyciło za serce. Dziwny ucisk pod czaszką utrudniał zebranie myśli. Zanim jednak zrobiła cokolwiek, Ma odezwała się ponownie, ciszej: „Nie prosź mnie”.

Zdumiona Zhu odniosła nagłe wrażenie dystansu, znalazły się tak boleśnie daleko od punktu, w którym zaczynały, pokonały zbyt wielki szmat drogi, by ich serca mogły to przetrzymać. Ściany ciasnej kajuty przytłaczały je obie wonią morza. Spojrzenie Ma było tak otwarte, iż Zhu – jak zwykle – pomyślała, że wystarczy zajrzeć jej w oczy, a zetkną się ich serca. W tej chwili jednak te oczy pełne były żalu i bólu, lecz także zrozumienia. Ma wplotła palce w dłoń Zhu, ciepły, znajomy gest.

„Pomogę ci, ale nie proś mnie. Nie rozkazuj mi. Nie zmuszaj mnie”. Zhu nie miała pojęcia, z jakiego powodu to rozróżnienie jest istotne, lecz wtedy jej czuła żona dodała z niezwykłym u siebie, stalowym naciskiem: „Pozwól, że sama zdecyduję”.

Teraz, stojąc w Sali Wielkiej Światłości, Zhu nie mogła uczynić już nic, by zatrzymać wprawiony w ruch łańcuch wydarzeń. Mogę jedynie, pomyślała z lękiem, obserwować ból.

Kazała Xu Da cierpieć, zniszczyła go, co zraniło ją bardziej, niż sama uważała za możliwe. To był jednak odmienny rodzaj cierpienia i zniszczenia. Nie było to zniszczenie ciała, lecz unicestwienie dobroci, współczucia i czułości, stanowiących najgłębszą istotę dziewczyny, która była dla Zhu najbliższym człowiekiem na całym świecie.

– Niegodna kobieta pozdrawia Jego Wysokość wielkiego chana Cesarstwa Wielkich Yuanów – powiedziała Ma Xiuying, jedyna osoba, która mogła znaleźć się na tyle blisko władcy, by go zabić.



Da du

**B**ądź pozdrowiona, cesarzowo.  
Zgięta w ukłonie Ma uczyła się dziwnego stroju z Goryeo, uciskającego ją ze wszelkich możliwych stron. Suknia kształtowała jej ciało i myśli, nie pozwalając nawet na moment zapomnieć o kobiecie, którą powinna w tej chwili być. Przepęłniała ją groza. Uczucie podobne do tego, jakiego doświadcza się, idąc przez las i czekając, aż trzaśnie ta jedna jedyna gałązka, która zaalarmuje krążących w pobliżu myśliwych. Gdyby wszystko się wydało, zginęłyby obie, wystarczyłby najdrobniejszy błąd. Niewłaściwe spojrzenie, pochopnie zrażony człowiek. Zza pleców doleciał jej szmer, niewielki orszak służących z Goryeo pokłonił się tak samo jak ona.

Ma poczuła rosnącą presję. Pani Zhang kazała jej czekać zbyt długo. Wreszcie jednak odpowiedziała:

– Bądź pozdrowiona, wielmożna Shin, nowa małżonko z Goryeo. Powstań.

Przestronne, rozświetlone szerokimi oknami komnaty pani Zhang były zarazem bogate i obce. Ma, owszem, była królową, lecz

Zhu nie mogła konkurować swoim świeżo zdobytym splendorem ze skarbami zwożonymi z całego imperium. Liczne pokolenia zdobyły te sale kolejnymi warstwami luksusu, aż wreszcie, podobnie jak w przypadku macicy perłowej, ludzkie oko przestało być zdolne do przyswajania wszystkich odcieni tego przepychu. Osobistym, wprowadzonym przez panią Zhang akcentem były prawdopodobnie złote klatki z ptakami, wiszące pod każdą z belek sufitu. Spod zapachu wonnego kadzidła przedzierał się chwilami nieznacznym kwaskowaty fetor guana.

Siedząca na podwyższonym krześle cesarzowa wyglądała równie nieskazitelnie jak porcelanowa waza. Okazała się jednak starsza, niż sądziła Ma – była przynajmniej dziesięć lat starsza od swojego męża – i mniej urodziwa, niż sugerowały stosowane przez nią wyrachowane, zwodnicze zabiegi.

Ma wiedziała, że powinna całą uwagę poświęcić pani Zhang, osobie, od której zależała jej przyszła wygoda. Nie umiała jednak oderwać spojrzenia od Zhu stojącej u boku cesarzowej.

Zhu w stroju służącej, z włosami niestarannie splątanymi w warkocz: zmieniająca postać lisiczka. Zaintrygowana Ma odniosła wrażenie, że pod zwyczajną z pozoru powierzchnią dostrzega niezmierną prawdę, której nikt inny nie może przeniknąć.

Lecz to nie było częścią ich planu. Czy Zhu znalazła miejsce tak blisko pani Zhang rozmyślnie, czy improwizowała, zmuszona rozwojem wypadków? Ma spróbowała dodać sobie otuchy. Nawet ona ledwie rozpoznawała swoją żonę w kobiecym przebraniu. Wykluczone zatem, by cesarzowa domyśliła się jej tożsamości. A jednak Ma dobrze знаła to nieprzyjemne uczucie, gdy pewność zaczyna nagle usuwać się człowiekowi spod nóg. Dokładnie to samo wydarzyło się w Bianliangu.

Zhu rozkoszowała się dreszczem przygody, a ona – Ma pamiętała to dobrze – dygotała ze strachu. Zhu nie rozumiała wtedy, skąd w Ma tyle lęku i poczucia dyskomfortu. Dzisiaj, po tym, co spotkało Xu Da, Zhu była już inna. Rozumiała ból. Ma jednak mimowolnie i z niepokojem zastanawiała się, czy ten ból

przypadkiem nie zwiększy jedynie tempa i zawziętości, z jaką jej ukochana gna ku swojemu celowi. Tak przecież było z Ouyangiem. Prosiła ją, choć trudno przewidzieć, z jakim skutkiem. Nie bądźcie zbyt podobni.

– Jak na dziewczynę z Goryeo, znakomicie mówisz w han'er. – Oceniające spojrzenie pani Zhang przeszywało Ma niczym igłą. – Domyślam się również, że tam, skąd przybywasz, uchodzisz za piękność. Jakże różnym ideałom urody hołdują odmienne nacje! – Od jej chichotu Ma dostała gęsiej skórki. Jakby poczuła na krtani muśnięcie ostrych szponów. Cesarzowa sięgnęła do podsunętej przez Zhu klatki i wyłuskała z niej żółtego ptaszka. Wzruszona Ma zapatrzyła się w maleńkie czarne oko, w ciało trzęsące się w drobnych, białych dłoniach pani Zhang. – Lubisz ptaki, wielmożna Shin? To bardzo rzadki egzemplarz. Ten gatunek występuje w okolicach Yangzhou, gdzie kiedyś mieszkałam. Osobisty dar od wielkiego chana. Spójrz dokoła. To wszystko dowody jego szczodrości. – Ma zrozumiała, co powinna podziwiać: jak bardzo władca ceni cesarzową za to, co dla niego zrobiła. – Pozwól, że tego przekażę tobie, jako prezent powitalny.

Na ustach pani Zhang błąkał się uśmiech, lecz Ma przeczuła zagrożenie. Jedno niewłaściwe spojrzenie, jedna pochopnie zrażona osoba. Cóż, tyle dobrego, że świeżo upieczona małżonka właściwie powinna dygotać ze strachu.

– Jak ja, niegodna, miałabym przyjąć podarek, który wielki chan postanowił wręczyć cesarzowej? – spytała z oczyma spuszczone tak nisko, że widziała jedynie kosztowny kobierzec.

– Niegodna? Skąd taka ocena, wielmożna Shin? Musiałaś jednak pokonać pozostałe księżniczki z Goryeo, które jak miemam, tłumnie zabiegały o zaszczyt przyjęcia roli cesarskiej żony? A może... – wycedziła pani Zhang powoli, z namysłem – wcale nie uważasz tej roli za zaszczyt?

Ma nie miała śmiałości, by odpowiedzieć. Była pewna, że zaraz zwymiotuje ze strachu. Czy oporne konkubiny czeka jakaś specjalna kara?

– Biedna siostrzyczko! – Na twarz cesarzowej niespodziewanie wypłynął szeroki uśmiech. – Oczywiście, że się boisz! Ale wiedz jedno: zdobycie męskiej uwagi to sztuka, którą należy osiąść i wyćwiczyć. W tych sprawach nic nie dzieje się przypadkiem. Jeśli tylko zechcesz, zdołasz przeżyć całe życie cicho i wygodnie, a on wezwie cię do swojej komnaty najwyżej raz czy dwa.

Służąca postawiła na stole tacę z herbatą i smakołykami. Pani Zhang podniosła się i z pomocą Zhu zeszła z krzesła, po czym gestem wskazała poczęstunek.

Ma sięgnęła po słodkie ciasteczko.

– Jesteś cudzoziemką – podjęła swobodnym tonem cesarzowa. – Zastanawiam się w związku z tym, czy słyszałaś o Bolud-Temurze z Shanxi. Był ojcem poprzedniej cesarzowej. Lekkomysłny dureń! Ledwie usłyszał, że to mój mąż zasiadł na tronie, spróbował wzniecić bunt wśród plemion zachodniego stepu. Żalozne! Jakże prędko się z nim rozprawiono. Wkrótce przywiozą go tutaj i odbędzie się publiczna egzekucja. Powinnyśmy ten moment obejrzeć razem. Potem jedynym nieprzyjemnym pryszczem na rządach wielkiego chana pozostanie ten natrętny komar Zhu Yuanzhang. Jestem przekonana, że mój mąż zaplanował dla niego niezwykle widowiskowy koniec.

Ciasteczko stało się nagle tak suche, że Ma nie była pewna, czy zdoła je przełknąć. Twarz Zhu, stojącej tuż za ramieniem pani Zhang, pozostawała spokojna i bez wyrazu. Można by pomyśleć, że ona i Zhu Yuanzhang to w tej chwili dwie całkowicie sobie obce osoby. Ma wiedziała, że Zhu po prostu nie może zareagować, lecz poczuła się tak boleśnie porzucona, jakby była ostatnim człowiekiem na świecie.

– Ambicję stanowiącą cel sam w sobie należy karać. Harmonia panuje jedynie wówczas, gdy wszyscy znają swoje właściwe miejsce. Taki sam porządek, jaki panuje w szeroko pojętym cesarstwie, musi trwać tutaj, w pałacu. To odzwierciedlenie woli niebios. Tak. – Pani Zhang delikatnie wgryzła się w ciasteczko, nie ukazując zębów i nie

rozmazując szminki. – O ile żadna z nas nie zapomni, gdzie jej miejsce, przewiduję, że obie będziemy bardzo szczęśliwe.

朱

Księżniczka z Goryeo czekała na niego w swojej sypialni.

Zawsze wiele przyjemności sprawiało mu, kiedy mógł zaznaczyć swoją obecność nie tylko ciałem. Szelest szat, wonności, trzepot wachlarza: wszystko to były sposoby narzucania się ludziom, którymi gardził, metody, przed którymi nie mieli obrony. A teraz, gdy był wielkim chanem, jakże wspaniale rozrosła się jego obecność! Och, wciąż nimi pogardzał. To oczywiste. Teraz jednak, kiedy jego obecność ich dotykała, przygniatała im czoła do ziemi. Sam jego widok przepelniał ich trwogą. Spoglądali w centrum całego świata, tam, gdzie powinno świecić słońce, lecz znajdowali jedynie czarną, obmierzłą dziurę, wsysającą wszystko, co dobre, i pozostawiającą tylko rozpacz.

Kiedy wszedł, księżniczka uklękła z szacunkiem.

– Wstań – powiedział.

Zajął miejsce przy stole. Nie musiał już myśleć o ludzkich gestach w rodzaju odsuwania krzesła, nie musiał nawet wydawać takiego polecenia. Był cesarzem i wszystko ruszało się wokół niego samo. Po prostu usiadł, a świat się do niego dopasował.

Wizyta u nowej żony nie była niczym więcej jak kurtuazyjnym gestem, uprzejmością, której nie miał zamiaru powtarzać. Dziewczyna siedziała z opuszczoną głową. Tester zajął się czekającymi między nimi daniami. Księżniczka nadal miała na sobie tradycyjny strój swojego ludu: rozkloszowaną, wielowarstwową suknię i krótką, zdobioną brokatem kurteczkę przepasaną wstążką w barwie brzoskwini i zieleni, stosowną dla niższego rzędu mieszkanki cesarskiego haremu. Była nieco starsza, niż mu się wydawało w czasie oficjalnej prezentacji. Raczej już młoda kobieta, nie po prostu dziewczyna. Była nawet dość ładna, miała szeroką



twarz, za którą dowolnie wskazany normalny Mongoł ze stepu oddałby naprawdę sporo. Aż dziw, że kiedy nadeszło wezwanie z Dadu, nie była jeszcze zamężna.

Większą część blatu zajmowała taca, na której spoczywała gruba żółta zapiekanka, z której sterczały długie łodyżki młodej cebuli, skurczone w gotowaniu na podobieństwo kwiatów kawalki kalmarów i maleńkie, zaserwowane w całości fioletowe ośmiorniczki. Prawdopodobnie jakiś przysmak rodem z Goryeo. Kiedyś poczułby się zaintrygowany. Jednak teraz zapomniał już, nie tylko jak rozbudzić w sobie głód, lecz także jakim głód jest uczuciem. Kiedy księżniczka wstała, by mu nałożyć, powstrzymał ją machnięciem palców.

– Nie dopisuje nam apetyt.

Spoglądała w podłogę, lecz wychwycił i tak: znajome zdziwienie sposobem, w jaki posługiwał się rękoma. Ocknął się w nim impuls nienawiści. Przychodziło im to tak odruchowo, jakby był to jakiś pierwotny instynkt, silniejszy nawet od strachu: starannie odnotowywali każdy odbiegający od normy gest, każdą niecodziennie wypowiedaną sylabę, niezwykle pozy, jakie przyjmowało całe ciało.

Opuszczona głowa księżniczki nie wyrażała wcale skromności, zrozumiał rozgniewany. Ona go po prostu unikała. Należała do niego, lecz wciąż miała czelność sądzić, że nie zostanie skażona. Poczul w sercu okrucieństwo. Chciał zniszczyć jej opanowaną powłokę i odsłonić ukrytą pod spodem odrazę. Chciał ją rozłożyć przed sobą i gdy będzie zmuszona na niego spojrzeć, wyraźnie zobaczyć moment jej upadku.

Delikatnie oplótł palcami puchar z winem. Wyczuł, że i to zwróciło jej uwagę, zagęściło obrzydzenie. Nikt spośród nich nie opierał się wyobraźni, wszyscy myśleli o tym, co innego może oplatać tymi palcami, jakie usługi mógłby świadczyć tym samym dotykiem.

– Wielmożna Shin, zdradz mi, jaką wojnę klanową przegrał twój ród, że ostatecznie skończyłaś tutaj? Bo przecież musiało tak

być. Każda rodzina potężna na tyle, żeby ochronić swoją niewinną córkę przed pozbawionym zasad cesarzem Wielkich Yuanów, tak właśnie by postąpiła. Och, jakże musiałaś płakać, gdy poznałaś swój los! Zostać wysłanym na pastwę rozkoszy kogoś takiego jak ja...

Uwielbiał sposób, w jaki najbardziej przyziemne sformułowania zmieniały się w jego ustach w wyraz perwersji. Powiedział o sobie w liczbie pojedynczej, czego władca czynić nie powinien. Jego najgłębsze ja stanowiło zaburzenie w sercu świata, jego istnienie czyniło z cesarstwa parodię i kpinę.

– Jestem pewien, że powiedzieli ci, co zrobiłem, żeby zająć tak wysoko. Pod kim się kładłem i jak bardzo bezwstydnie to czyniłem. Może nawet zastanawiali się, ile czerpałem z tego przyjemności. Czy wypinałem się tylko dla trzeciego księcia, czy może dla każdego, kto poprosił, ponieważ w rzeczywistości pragnąłem nie tronu, tylko poniżenia.

Panowała nad sobą, lecz z zadowoleniem wyczuł, że wywołał pewną reakcję. Jej samokontrola była cienką warstewką, podobną do tej, jaka utrzymuje wodę w przepełnionej czarce.

– A teraz nareszcie dotarłaś tutaj. Czy jestem taki, jak się spodziewałaś? – Pulsowało w nim wściekłe pragnienie odnalezienia jej odrazy i wyciśnięcia jej, jak wyciska się ropę z krosty. – A może rzeczy mają się wprost przeciwnie i moja zła sława to jedynie pomówienia? Może widzisz przed sobą mężczyznę godnego pożądania? Może spodoba ci się mój dotyk i chętnie wpuścisz mnie między nogi, a nawet będziesz błagać, żebym cię użył? Czy tak jest? – Wyciągnął rękę ponad stołem i uniósł jej twarz palcem. – Spójrz na mnie.

Spotkali się oczyma. Spojrzenie dziewczyny było jasne, świetliste, przezroczyste i rozedrgane jak sadzawka. Poczuli wstrząs. Nie z powodu tego, co w niej zobaczył, tylko tego, czego nie widział. W pierwszej chwili uznał, że księżniczka po prostu zdołała ukryć obrzydzenie. A jednak odraza jest jedną z tych emocji, które zawsze wyciekają na powierzchnię, ponieważ odczuwający ją ludzie nigdy nie chcą szczerze maskować swych uczuć. Odraza jest im zanadto

potrzebna. Za jej pomocą dają sobie wzajemnie znać, że wszyscy wiedzą, jacy być powinni. Nie tacy jak on.

– Znam charakter wielkiego chana – odparła półgłosem księżniczka. – Przybyłam tu bez oporów.

Do wzbierającego gniewu dołączyło niedowierzanie. Nie miał pojęcia, dlaczego ta dziewczyna jest odporna na jego zniewieściałość, ale... sądziła, że go zna? Istniał przecież poza granicami wyobraźni chowanych pod kloszem kobiet. Miała tak niewinną twarz. Wiedział, jak dotąd żyła: rozpieszczana, hołubiona, nigdy nie zaznała surowego traktowania. Bez wątpienia nadal uważała, że każdy człowiek jest w głębi ducha dobry, a świat jest miejscem uczciwym, wolnym od okrucieństwa i takich jak on.

– Bez oporów? – wycedził. – To znaczy jedynie, że zupełnie mnie nie znasz. Pójdę już. – Podniósł się gwałtownie, tłumiąc wybuch.

Kimże była dla niego żona? Nikim. Żywą dekoracją pałacu. Jeśli nie chciał, nie musiał o niej nawet myśleć. Jeżeli nie wezwie jej na noc, nigdy więcej jej nie zobaczy. Wychodząc, wciąż czuł między łopatkami to niesamowite, pozbawione niechęci i obrzydzenia, palące spojrzenie.

朱

Ma była królową, dzięki czemu pałace nie były jej zupełnie obce. Doświadczenie zamknięcia w jednym z nich – świadomość, że nawet jeżeli zechce, nie będzie mogła wyjść poza obręb murów – okazało się jednak osobliwe. Gdyby naprawdę została cesarską żoną, byłyby to jej cały świat.

Był to, w każdym razie powierzchownie, świat piękny. Miasto Pałacu było najbardziej monumentalnym miejscem, w jakim kiedykolwiek przyszło jej mieszkać. Budowle przypominały tu wysokie klify, a wysypane białym piaskiem aleje otaczały ściany tak wysokie, że niebo malało do postaci wążiutkiego paska nad głową. Natomiast ogrody wciśnięte pomiędzy rezydencje i place oferowały

powrót do przyjemnie człowieczej skali. Pagody wyciągały się ponad mrowiem wiosennych kwiatów; wytworne marmurowe mostki niczym tęcze spinały brzegi jezior obsypanych różowym lotosem. Tyle przyjemności mogło zaspokoić potrzeby liczego haremu. Ponieważ jednak obecnie mieszkały tu wyłącznie cesarzowa i Ma, a cesarzowa wolą podróżować w lektyce, niż chodzić, ogrody jak na razie należały niepodzielnie do Ma. A to pozwalało zbudować spokojną wizję, w której poza nimi nie istniało nic więcej. Że kryzys nie nastąpi, nawet kiedy Yuchun przybędzie, by pchnąć zbyt słabą armię Zhu na zewnętrzne mury Dadu. Gdy Ma będzie musiała trącić palcem szalę wagi i zrobić to, po co tu przybyła.

Zauważyła na ziemi zmięty paperek. Podniosła go. Widniało na nim ledwie kilka słów. Poezja, fragment bez kontekstu i sensu. Pod koniec autor przycisnął pędzelek tak mocno, że włoski się rozjechały i pozostawiły wizualny zgrzyt. Dopiero po chwili zauważyła, że karteczek było wokół tak wiele jak owoców pod drzewem. Spadały z pagody otoczonej szeregiem nieruchomych eunuchów i służących. A w środku spał mężczyzna w czerni, z koczką spiętą złotą spinką.

Tak, wydawało się, że wielki chan śpi. Ledwie jednak musnęła go spojrzeniem, usiadł. Ma ujrzała błysk szczupłej twarzy, jeszcze bardziej mizernej, niż kiedy ją odwiedził, jakby sen, zamiast przynosić wytchnienie, jedynie go męczył. Jego przekrwione oczy pochwyciły ją stojącą z papierkiem w dłoni.

Czym prędzej uklękła. Kiedy wtedy do niej przyszedł, okazał się zupełnie inny, niż myślała. Wyobrażała sobie człowieka pokroju Chen Youlianga: zasadniczo nietykalnego, którego władza trzyma wszystkich innych ludzi na dystans, pozwalający im kontrolować bądź miażdżyć. Wielki chan uczynił jednak broń z samego siebie. Przypomniała sobie jego cienkie, trzepoczące palce, nawykłe bardziej do pędzla niż do łuku. Szelest jego powłóczystych szat, jedwabistą insynuacją jego tonu. Był mężczyzną kobiecym, co sprawiło, że zaczęła obserwować go kątem oka, by ujrzyć wszystkie te cechy w chwili, kiedy nie niszczyła ich żrąca siła wstydu.

Instynktownie zrozumiała, że to, co jej się spodobało, innych musiało odstręczać. A on przez całą rozmowę starał się rozbudzić podobną odrazę również w niej. Z jakiegoś powodu właśnie tego potrzebował.

Domyśliła się, że porażka prowokacji zbiła go z tropu. Zapewne działała na wszystkich innych ludzi, z którymi się stykał.

Spłynął po schodach i zatrzymał się nad nią. Nie pozwolił jej wstać i poczuła cień zagrożenia.

– Wielmożna Shin, czy łączysz się w opinii z moimi dworzanami, którzy zgodnie twierdzą, że poezja nie jest stosownym zajęciem dla wielkiego chana? Och, nudziarze! Jakże usilnie zachęcają, żebym zainteresował się bardziej odpowiednimi rozrywkami! Trzeba ci wiedzieć, że wiosną wielki chan powinien polować na łabędzie. Aczkolwiek gdyby starczyło im odwagi, żeby pozbierać porzucone przeze mnie wprawki, co jak widzę, ty już uczyniłaś, zrozumieliby, że płody moich usiłowań nijak nie zasługują na miano poezji. – Ma otworzyła usta. Gorycz, z jaką się ocenił, domagała się odpowiedzi. Władca jednak nie pozwolił jej dojść do słowa. – Ach! – zawołał z głębokim sarkazmem – jak widzę, moja szlachetna małżonka jest gotowa osądzić moje utwory ze znawstwem! Zapomniałem, że kobiety otrzymują na tym polu, i tylko na tym, staranną edukację. Z pewnością skrytykowałem swój talent zbyt surowo. Być może od czasów tego upokorzonego nikkzemnika cesarza Huizonga żaden władca nie skomponował wersów tak udanych. A może chciałabyś skomentować moją kaligrafię? Powiadają, że energia, jaką człowiek przelewa na papier, wiele mówi o stanie jego ducha. Czy sposób, w jaki ja posługuję się pędzelkiem, potwierdza to, co wiesz na temat mojego charakteru?

Z nieprzyjemnym dreszczem uświadomiła sobie, że nadal nie przebaczył jej ostatniego spotkania.

Jego szczupłe, spięte ciało otaczała gorączkowa aura, naraz zatruta i toksyczna, tchnąca niecierpliwym pragnieniem rozprzestrzenienia swego jadu. Ma po raz pierwszy się go przestraszyła.

– Może zechcesz zobaczyć, jaki jestem naprawdę – rzucił półgłosem. Wezwał naczelnego eunucha i wypowiedział kilka słów, po których sługa odbiegł. Wielki chan ruszył za nim bardziej dostojnym krokiem i rzucił przez ramię: – Czekałem na sprzyjający moment, żeby zacząć. Chodź, szlachetna małżonko.

Poprowadził ją na główny plac przed Salą Wielkiej Światłości. Ma stanęła jak wryta i dopiero po chwili zrozumiała, czym jest dziwna nowa konstrukcja wznosząca się na środku rozległej przestrzeni. Z ust dziewczyny mimowolnie wyrwał się pierwotny jęk sprzeciwu.

Wielki chan rzucił jej spojrzenie. Jego wesołość była czystym okrucieństwem.

– O ile rządy w Goryeo nie są łatwiejsze, niż przypuszczam, nie wydaje mi się, żeby w twoim rodzinnym pałacu egzekucje stanowiły rzadkość. A może wykonujecie je tam bez świadków? My wolimy traktować kaźń jako przesłanie dla wszystkich planujących wystąpić przeciw naszej władzy. – Ruszył przez plac, nawet przez chwilę nie zastanawiając się, czy Ma za nim pójdzie. Nie miała wyboru. – Rzec jasna, nie sądzimy, żeby Zhu Yuanzhang odczytał tę wiadomość właściwie.

Ma spojrzała na środek placu. Na stercie drewna i chrustu spoczywał żelazny kocioł o obwodzie dłuższym niż jej obie rozłożone ręce. Na kotle z kolei stała znacznie większa wersja bambusowego kosza do gotowania na parze, na tyle pojemna, że zmieściłaby leżącego na boku, skulonego człowieka. Pokrywa kosza była zamknięta i zamocowana sznurami. Wokół kręcili się służący. Wszyscy, jak wspomniał wielki chan, czekali tylko na sygnał do rozpoczęcia.

Syn niebios nie wydał polecenia. Rozkazem okazało się samo jego nadejście.

Służba zajęła się rozniecaniem ognia. Przez chwilę nie działo się nic.

– Powinnaś być z siebie dumna, wielmożna Shin. To twój król pomógł mi schwytać tego buntownika. Nazywa się Bolud-Temur, jest

byłem gubernatorem Shanxi i ojcem poprzedniej cesarzowej. Podejrzewam, że na tronie zniósłby każdego człowieka z wyjątkiem mnie jednego. Od dawna źle mi życzył. – Zawiesił głos i zastanowił się. – Aczkolwiek nie tak długo, jak długo ja życzyłem źle jemu. Jego syn czynił moje życie udręką. Doprowadziłem do jego wygnania, na co w pełni zasługiwał. Bez wątpienia słyszałaś również o nieszczęściu, jakie spadło na jego córkę. Wyznam, że to również moje dzieło. – Ponad trzask płomieni zaczął się wybijać inny odgłos. Wielki chan mówił dalej, jego ton ociekał w tej chwili jadem. – Jednak dla ich ojca, człowieka, który ważył się powstać przeciwko moim rządóm, zarezerwowałem karę wyjątkową.

Odgłos nie był wrzaskiem, jeszcze nie. Był to raczej falujący szloch, płacz wyrażający egzystencjalną trwogę człowieka świadomego, że otrzymane od przodków ciało niedługo przestanie istnieć.

– Przestań! – zawołała Ma. – Zatrzymaj to!

– Chcesz rozkazywać wielkiemu chanowi, żono? – Obrzucił jej wilgotną twarz pełnym pogardy spojrzeniem. – Taka jest moja wola. To ja. Takim właśnie jestem człowiekiem. – Narastała w nim wściekłość pełna pogardy do samego siebie, było jej tak wiele, że zdawała się wypływać ze smukłego ciała i przyćmiewać światło dnia. – Wszystkich, którzy stanęli mi na drodze, wszystkich, których mogłem wykorzystać, zabiłem i nie zatrzymałem się nawet, żeby obejrzeć moment ich śmierci.

Odgłos również narastał. Wreszcie przerodził się w prawdziwy wrzask. Wrzask bólu, który mimo że był bólem obcego człowieka, nie przestał być bólem istoty ludzkiej. Pragnął poczuć więź z kimś innym i Ma tę więź zaoferowała. Nie mogła odmówić, nie potrafiła się tego wyprzeć, choć rozpaczliwie pragnęła. Nosila w sercu coś, co było wiecznie i niezmiennie otwarte na innych, zupełnie jakby niebiosa wybrały ją na tę jedyną osobę, której bezradne świadectwo miało uczynić cały ból i cierpienie świata rzeczywistym.

– Koniecznie musisz rozkoszować się tym widowiskiem do samego końca, żono – rzucił wielki chan. I odszedł.

Potem zastanawiała się, co w nią wstąpiło. Może wrzask osłabił jej samokontrolę, ogołocił ze wszystkiego poza czuciem. Tak czy inaczej, spojrzała w plecy idącego przez plac władcy i krzyknęła:

– Ale żałujesz tego wszystkiego, prawda?

Przystanął gwałtownie w pół kroku, jakby przeszła go włócznia. Mgnienie oka potem odwrócił się na pięcie i podszedł do niej, powstrzymując błyskawicznym gestem podniesioną dłoń eunucha, który chciał skarcić dziewczynę za bezczelność. Furia wielkiego chana przygniotła ją do ziemi, lecz najjaśniejszym płomieniem płonął w niej w tej chwili nie strach, lecz ból. Jego ból, na który była równie otwarta jak na katusze gotowanego żywcem człowieka.

– Żałuję? Czego miałbym żałować? Dzięki temu, co zrobiłem, panuję teraz nad światem.

Patrząc na stojącego nad nią, roztrzęsionego syna niebios, zastanawiała się, czy nie rozkaże jej stracić tu i teraz. Po chwili jednak rozluźnił pięści i odszedł bez słowa.

Kiedy wrzaski Boluda przycichły i stały się nieludzkim świstem, Ma wciąż klęczała tam, gdzie zostawił ją władca. Kilka chwil potem odgłosy ustały na dobre. Wielki chan skazał ją, by czekała do końca, lecz co zakrawa na ironię, koniec Boluda nastąpił szybciej niż wielu innych ludzi, których znała. Dziewczyna osuszyła rozdygotaną dłonią oczy i podniosła się z kolan.

„Panuję teraz nad światem”.

Wypluł to stwierdzenie, jakby w niepodważalny sposób uzasadniało samo siebie. Jakby nie potrzebowało dodatkowego dowodu. Ma jednak dobrze wiedziała, co ujrzała na jego twarzy, zanim przesłoniła ją maska gniewu: żal, równie głęboki i pokryty kaleczącymi drzazgami jak pęknięcie w sercu wielkiego drzewa.

Taki ból – ból pozwalający uczynić z całego świata obraz własnego nieszczęścia, rozpacz i cierpienia – mógł odczuwać jedynie człowiek, który kiedyś naprawdę kochał.

Tak, teraz panował nad światem. Ale to nie władzy przez cały czas pragnął.



## 朱

Zhu stwierdziła w duchu, iż fakt, że wyznaczono jej ten konkretny obowiązek, powinna odebrać jako wyróżnienie. Uznali, że nie jest przesadnie delikatna. Klęczała przed miednicą pełną leczniczej, pachnącej szparagami wody i łagodnie masowała obnażone stopy pani Zhang. Bił od nich zapach taki, jaki biłby zapewne od kikuta Zhu, gdyby nosiła protezę przez pięć dni bez przerwy, nie zmieniając bandaży.

– Mocniej, dziewucho. Starannie wyczyść każdy palec od spodu – poleciła cesarzowa, nalewając sobie parującego naparu na płodność. Zhu z zainteresowaniem zauważyła, że stopy pani Zhang mają jedynie po trzy palce. Najmniejsze zostały mocno zagięte i wsunięte pod podeszwę, przez co całość przypominała klinek kleistego ryżu ugotowanego na parze w liściu lotosu. Może właśnie dlatego takie stopy nazywano złotymi lotosami. Zhu nie pojmowała, dlaczego uznawano je za atrakcyjne. Oczyszczyła je, jak najoszczędniej pomagając sobie zębami, obwiązała czystymi opatrunkami i wsunęła w haftowane w owoce granatu trzewiki. Buciki były krótsze od jej dłoni.

Pani Zhang upiła łyk naparu i cmoknęła niezadowolona.

– Dlaczego starania o ciążę smakują gorzej niż jej usuwanie?

– Cesarzowa nigdy...? – rzuciła zaciekawiona Zhu. Nigdy przedtem o tym nie myślała, lecz teraz wydało się niezwykle, że kobieta w wieku pani Zhang nie urodziła przynajmniej jednego dziecka.

– Czy każdemu mężczyźnie, który zasieje nasienie, powinno się pozwalać zobaczyć, jak kiełkuje? – syknęła jadowicie cesarzowa. – Mój poprzedni mąż nie zasługiwał na owoce mojego łona. A inni nie odwiedzają kurtyzan, żeby płodzić synów. Nawet nie...

Poruszyła odruchowo dłonią i ziołowa herbatka chlapnęła jej na uda. Delikatna skóra osłonięta była jedynie cienką warstwą jedwabiu; napar był gorący. Każdy inny człowiek drgnąłby,

niewykluczone, że i krzyknął. Pani Zhang ledwie zerknęła w dół. Zupełnie jakby nerwowy gest i oparzenie przydarzyły się komuś innemu. Zhu przypomniała sobie, że wdzięczny, chwiejny krok cesarzowej pod koniec dnia staje się niepewny, a za każdym razem, kiedy siadała, cała jej sylwetka wyrażała szczerą ulgę. Tymczasem na twarzy pani Zhang nigdy nie gościł nawet cień dyskomfortu. Do tej pory Zhu zakładała, że kobieta doskonale opanowała sztukę ukrywania bólu. Teraz przyszła jej do głowy dziwna myśl, że być może nie odczuwa go wcale, że ciała niektórych kobiet mogą stawać się równie zobojętniałe wobec uczuć i myśli jak ciała lalek.

Pani Zhang zazdrościła Zhu bólu. Dziewczyna przypomniała sobie kolację cesarskiej pary i podejrzenia, że być może dla cesarzowej mężczyźni są jedynie zmieniającymi się aktorami. W przestrzeni pomiędzy wypowiedzianym i niewypowiedzianym zaginęło jednak nazwisko jednego konkretnego mężczyzny. „A inni nie odwiedzają kurtyzan, żeby płodzić synów”.

Generał Zhang, zrozumiała nagle Zhu. Wydawało jej się, że pani Zhang po prostu go wykorzystuje, tak jak przedtem używała Sytego, a teraz wielkiego chana. Czyżby jednak ta więź była szczerą?

Cesarzowa myślała już o czymś zupełnie innym.

– Gdzie wiadomość od wielkiego chana? – spytała niespokojnie.  
– Powinien zaprosić mnie na noc. Ty... – Metalowe szpony nakładek zdobiących jej ostatnie trzy palce wymierzyły w stojącą przy drzwiach służkę. – Idź do Biura Administracji i Spraw Wewnętrznych i przynieś mi zaproszenie.

Kiedy zginająca się w ukłonach dziewczyna zniknęła, pani Zhang odstawiła czarękę i otworzyła szkatułkę z biżuterią. W tym momencie także Zhu zapomniała o generale Zhangu. Wśród licznych pierścionków, szpilek do włosów i naszyjników ujrzała prostą bransoletkę ozdobioną paciorkami z nefrytu i złota.

Cesarzowa wychwyciła spojrzenie Zhu i wyjęła błyskotkę z pudełka.

– Piękna, nieprawdaż? – Włożyła ją. Bransoletka leżała na jej nadgarstku tak świetnie, jakby została wykonana z myślą o kobiecie,

nie mężczyźnie. – Odebrałam ją temu żalosnemu głupcowi generałowi eunuchowi. Szkoda, że wielki chan nie chce, żebym ją nosiła. Nie lubi wspominać brata. – Poruszyła kilka razy przegubem, podziwiając grę światła na złocie.

Kiedy Zhu widziała tę bransoletkę po raz ostatni na ręku Ouyanga, półnagi generał dygotał przed nią na kolanach. Raniła go. Pomagała mu. Lecz jej pomoc okazała się niewystarczająca: równie dobrze mogła próbować środkiem uśmierającym ból pomóc rannemu żołnierzowi, który stracił zbyt wiele krwi. Była gotowa zmienić świat, lecz on nie miał szansy tej zmiany doczekać. W sercu dziewczyny zagrało nieznane uczucie. Po chwili namysłu zrozumiała, że to smutek.

Jedno słowo pani Zhang nie dawało jej jednak spokoju.

– Co takiego czyniło generała eunucha głupcem? Wydawało mi się, że zabił wielkiego chana, zemścił się. Zginął, ale zrealizował swój cel.

– Ach, więc słyszałaś o nim! Tak, słynny generał eunuch. – Cesarzowa uniosła brew i zmierzyła ją okrutnym, rozbawionym spojrzeniem. Zhu nagle zrobiło się nieswojo. – Cóż, nie powinno mnie chyba dziwić, że służba i chłopci snują o nim opowieści. Zemsta, śmierć, honor. Przepyszna mieszanka, czyż nie? Pozwól jednak, że opowiem ci, jak było naprawdę. Masz rację, generał Ouyang zdobył Dadu i zaszlachtował poprzedniego wielkiego chana na tym samym tronie, który należy obecnie do mojego męża. Ale zemsta za śmierć ojca? Nie, to zupełnie nie tak. Jego ojciec nie został stracony. Wielki chan nie kazał go zabić. Przez cały czas żył w cesarskim lochu! Na Ouyangu nie ciążył synowski obowiązek, nie musiał bronić rodowego honoru, nie było śmierci, którą musiałby pomścić. Generał eunuch całe swoje życie zbudował na fikcji, jaką była idea szlachetnej śmierci ojca, który w rzeczywistości był zwykłym tchórzem. Błagał o litość, wolał dożyć końca, gnijąc w niesławie, niż zginąć z wysoko podniesionym czołem. Potem mój mąż go uwolnił – mówiła dalej. – Nie jest nawet tak stary. Poradzi sobie. Założy nową rodzinę. Spłodzi nowych potomków. Prawdziwych synów, którzy

poniosą pamięć o nim w przyszłość. Tak więc klan Ouyangów przetrwa. – Pani Zhang z uśmiechem na twarzy odłożyła bransoletkę do szkatułki. – Rzecz skończyła się szczęśliwie dla wszystkich z wyjątkiem generała Ouyanga.

Zhu poczuła, że podłoga ulatuje jej spod stóp. Mogła myśleć wyłącznie o wrzasku egzystencjalnego bólu w Sali Wielkiej Światłości, o niewytłumaczalnym strachu i grozie, które ją ogarnęły, które rozbrzmiały w niej straszliwym podobieństwem. Ouyang dopuścił się swoich postępów, sądząc, że warto, że zdoła je usprawiedliwić. Ostatecznie jednak...

Ostatecznie...

Stała sparaliżowana okrutną prawdą. Wtem otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wśliznęła się służąca. W dłoni trzymała złotą klatkę z ozdobnym białym gołębiem. Zgięła się praktycznie wpół i wyszeptała potulnie:

– Wielki chan spędzi dzisiejszą noc z nową małżonką. Przesyła ten dar jako symbol nieustającego szacunku dla cesarzowej.

Ozdobne stalowe nakładki na paznokcie trzasnęły niczym pazury. Po chwili pani Zhang przywołała na usta blady uśmiech.

– Nie spodziewałam się, że wybierze ją tak szybko. Cóż! Niech sobie spędzi tę jedną noc i z nią. Zaspokoi ciekawość i zrozumie, że dziewczę nie jest w stanie go zadowolić.

Poderwała leżącą w otwartym pudełku bransoletkę Ouyanga i z błyskiem złości w oku nasunęła ją znów na rękę.

Pani Zhang była cesarzową, najpotężniejszą kobietą całego świata. Teraz jednak Zhu widziała przed sobą osobę, która utraciła ukochanego i nie mogła nawet nosić po nim żałoby, kobietę zmuszoną czekać na łaskę wielkiego chana, który – o ile nie da mu dziecka – mógł ją odtrącać wedle życzenia.

Co do samego władcy – jako syn niebios, znalazł się w samym pępku świata. A jednak rzucał cień na wszystko dokoła, zupełnie jakby ciemność była fizyczną emanacją jego nieszczęścia, bólu i rozpacz.

Ouyang zabił ukochanego, gdyż chciał spłacić nieistniejący dług krwi.

Wszyscy troje w pościgu za swoimi pragnieniami spowodowali i przeżyli niewysłowione męki. I koniec końców każde z nich zrealizowało swój cel.

Ale, pomyślała z trwogą Zhu, w przypadku żadnego z nich nie było warto.

朱

Ma wyszła nago z bambusowej wanny. Z włosów spłynęły strumienie wody. Pozwoliła, by służące osuszyły jej ciało. Zapach wonnej wody pozostał na skórze.

Ledwie eunuch wielkiego chana wręczył jej drewnianą tabliczkę z wyrytym niczym na kamieniu nagrobnym napisem „wielmożna Shin”, zrozumiała, że tak właśnie władca zapragnął się na niej zemścić. Miała czelność ujrzyć jego intymne cierpienie. Zraniła go, dobywając na jaw to, co chciał zachować wyłącznie dla siebie, i za to musiała spotkać ją kara.

Nie potrafiła otrząsnąć się ze wspomnienia koszmaru, jaki za występki wobec wielkiego chana spotkał Boluda. Nawet pływające w wannie płatki kwiatów nie tłumiły do końca zapachu wilgotnego bambusa. Jeszcze kilka dni temu ta woń wywołałaby w jej umyśle obraz koszy ustawionych w stos na woku. Teraz czuła jedynie mdłości i przerażenie.

Zdawała sobie sprawę, że podobnie jak prawdziwe były rany i ból gnające wielkiego chana naprzód, prawdziwe było również to, co jej pokazał. Okrucieństwo i zdolność do niszczenia. Zniszczył Boluda. A teraz chciał zniszczyć i ją.

Aby jednak zniszczyć kobietę przekazywaną sobie przez mężczyzn w charakterze daru, nie musiał uciekać się do egzekucji. Wystarczyło zrujnować to jedno, co cenił w niej świat.

Służki rozmasowały osuszone ciało Ma, po czym wygładziły jej skórę pumeksem. Przystrzygły włosy łonowe i za pomocą żrącej pasty usunęły owłosienie spod pach i przedramion. Oprószyły ją skrzącym się proszkiem z macicy perłowej, zabarwiły paznokcie u rąk sokiem z roztartych czerwonych płatków i wyszorowały zęby węglem drzewnym. Pomalowały jej wargi i twarz, a włosy uczesały tak, że spływały jej po plecach lśniąca, jedwabista taflą niczym u młodziutkiej dziewczyny. Nie założyły jej jednak ubrania.

Ma stwierdziła w duchu, że cały pałac obracał się wokół potrzeb wielkiego chana. Kiedy siadał, pojawiały się pod nim krzesła; kiedy wchodził, otwierały się przed nim drzwi. Zanim pomyślał o głodzie, stawiano przed nim przysmaki. Podobnie kiedy nagie kobiety zawijano w dywan i wnoszono do jego komnaty, nie chodziło jedynie o ochronę przed skrytobójstwem. Chodziło o jego wygodę. Dostarczano mu przedmiot, z którego mógł skorzystać, nie musząc powiedzieć przy tym ani jednego słowa.

Kiedy jednak Ma dokonała swojego wyboru, już wtedy wiedziała, co będzie musiała zrobić.

– Zanieście mnie do niego – zawołała do swoich eunuchów.



Dadu

**O**dwinięta z dywanu małżonka stała w milczeniu. Służący wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Ku jego zaskoczeniu nagość nie budziła w niej widocznego na zewnątrz wstydu. Pod żadnym względem nie zachowywała się, jak powinna, a on nie potrafił tego pojąć. Ten stan rzeczy budził w nim nienawiść. Miała niewinne, dziewczęce oczy i łagodne usposobienie. Śmierć obcego człowieka przepęłniła jej serce grozą – tymczasem w tej chwili, kiedy naprawdę miała powody do strachu, nie bała się ani trochę.

Wezbrała w nim świeża fala gniewu. Jak śmiała sięgać po jego żal i ból, jakby miały jakiegokolwiek znaczenie? Dzisiaj liczyło się jedynie to, kim był, a był czernią w samym środku świata, świata będącego bólem, nieszczęściem i rozlewającą się rozpaczą. Świata, który nie mógł stać się inny, ponieważ on każdym swoim czynem, każdym oddechem odtwarzał go na własne podobieństwo.

– Na łóżko – rzucił chłodno. – Połóż się na plecach.

Pozwolił swojemu spojrzeniu obrócić ją w przedmiot. Była czymś, czego mógł użyć, co mógł pożreć, wyrzucić. Potem będzie dokładnie taka sama jak wszystkie inne, które dygotały przed nim

w strachu. Był wielkim chanem i nic na świecie nie mogło przetrwać, jeśli umyślił sobie to zniszczyć.





Małżonka ułożyła się na posłaniu. Jej ciało na tle haftowanej w bażanty narzuty w niczym nie przypominało starannie wymuskannej doskonałości cesarzowej. W osobliwy sposób przywiodło mu na myśl ciała dziewcząt, z którymi się kładł, zanim się to wszystko zaczęło – dziewczyn roześmianych, nieprzejętych swoimi masywnymi udami, krągłymi biodrami i naznaczoną przez słońce cerą, którą moda wyklinała jako nieatrakcyjną. Niesforność tego ciała wydała mu się bardzo kobieca. Pociągająca.

A jego ciało zaczęło już reagować. Była to jednak reakcja czysto fizyczna, wolna od rozkoszy i uczuć, jakie się z nią kiedyś wiązały. Poczuł się przez to martwy we własnym ciele. Wiedział, że ta martwota wynika z jego własnej winy. Użył pewnej strony własnej osobowości, tej, która została stworzona z myślą o radości i czułości, wykorzystał ją w charakterze broni i tym samym nieodwracalnie ją zrujnował.

Starał się nie patrzeć dziewczynie w twarz. Niemniej czuł na sobie jej wzrok. Ukląkł między jej nogami i rozwiązał pasek haftowanego w chryzantemy szlafroka, poza którym nie miał na sobie nic. Wciąż nawet nie drgnęła, co rozjuszyło go ponownie.

– Nie boisz się, wielmożna Shin? Może ktoś ci powiedział, że niektórzy wielcy chanowie nie chcieli sypiać z niechętnymi im żonami i jeśli te płakały, po prostu je odsyłali? Niestety dla ciebie, krocząc po swojej wyjątkowej ścieżce do tronu, straciłem ostatnie szlachetne odruchy. Wiem, jak to jest leżeć pod mężczyzną. Zapewniam cię, może to być nieprzyjemne, ale przeżyjesz. – Resztki przyzwoitości, jakie demonstrował w innych okolicznościach, wyparowały. Obnażył przed nią całą swoją dzikość, szczyrzyła się ku niej niczym trupia czaszka. – I nie okażę ci litości, choćbyś nie wiem jak głośno płakała.

Z korytarza doleciał go nikły szmer i z odrazą uświadomił sobie, że to eunuchowie podsłuchują z uszami przy drzwiach. Nie słyszał wyraźnie rozmowy, lecz miał nadzieję, że kiedy usłyszą, iż odebrał jej dziewictwo, poczują dzięki niemu choć dreszcz.

– Nie oczekuję litości – powiedziała. Ku jego zaskoczeniu w głosie dziewczyny nie było śladu uzalania się nad własnym losem, ani też poczucia spełniania szlachetnego obowiązku. Gdzieś pod tym miękkim tonem wyczuł twardą stal. – Bardzo usilnie starałeś się pokazać mi, kim jesteś. Dowodziłeś, że jesteś człowiekiem zdolnym zabijać, torturować, zdradzać. Kimś, kto nie wzdraga się przed okrucieństwem i przysparzaniem cierpień. Kimś, kto gotów jest popełnić niewybaczone po to, by stać się godnym ludzkiej nienawiści.

Tępy ucisk, jaki poczuł w reakcji na te słowa, nie zabolął. Było to po prostu potwierdzenie ich prawdziwości. Odwrócił spojrzenie, świadomy, że ona nadal widzi jego złośliwy uśmiezek.

– Potem znienawidzisz mnie jeszcze bardziej.

I wtedy wstrząsnęła nim do głębi. Ujęła jego dłoń i złożyła ją sobie na piersi. Poczuł miarowe ciepło, unosiło się i opadało, przycisnęła jego palce do siebie, jakby to ona nie pozwalała mu uciec. I znów powódź gniewu. Nie chciał spektaklu. Chciał wyszarpać z niej paskudną prawdę, tak samo jak ona wydarła ją z niego. Chciał, by poczuła do niego nienawiść tak gorącą, że niemożliwą do odróżnienia od rozpacz.

Naparł na nią całym sobą.

– Nie udawaj, że tego chcesz – syknął. Jego ciało stało się obietnicą zniszczenia; było narzędziem, które pozwoli mu sprawić, że ta dziewczyna w końcu wzdrygnie się przed nim z lękiem i odrazą.

– Nie chcę – przyznała. Kiedy zastanawiał się nad tymi słowami, zmieniła jakiś wewnętrzny kąt i wpadł. Zatonął tam, gdzie była miękka i bezbronna, gdzie można było w nią wnikać, przełamać ją. Jego ciało na jej ciele, jego ciało w jej ciele. Ogarnęła go zimna, nieruchoma desperacja, ponieważ nigdy nie zrobił niczego innego i niczego innego nie był godzien: mógł tylko łamać i niszczyć.

Jej pierś wznosiła się pod nim i opadała. Pod jego dłonią. Jej twarz była blisko jak w pocałunku. Wiedział, że nadal na niego patrzy. Nawet na mgnienie nie odwróciła wzroku. A on, jakby jakaś

siła kazała mu spojrzeć na własną potworność odbitą w jej twarzy, popatrzył jej w oczy.

Były ciemne, podobnie jak ciemne miała rzęsy. Stała przed nim otworem. Nawet nie próbowała się osłaniać. Ujrzał w niej litość, której sam jej odmówił. I była tak piękna: świetlista i delikatna, przepełniona smutkiem i żalem, lecz nie nienawiścią.

Nie drżała, nie bała się.

Przytrzymała go w sobie i wyszeptała słowa nierealnego zapewnienia:

– Nie możesz mnie zniszczyć.

Otoczyła go ramionami. Jej miękkość okazała się siłą potężniejszą niż cokolwiek, co umiał sobie wyobrazić.

Zamiast niej to on pękł, roztopił się pod dotykiem innego człowieka. Osoby, która nie brzydziła się go, mimo że na to zasłużył, mimo że uczynił świat straszliwym i zalał go swoim bólem i jadem. Mimo że był tym, kim był.

朱

Wielki chan spał.

Nie skrzywdził jej. Jednak Ma, chcąc nie chcąc, myślała o rozkoszy, jaką zawsze dawała jej Zhu, o akcie, który ani razu nie kojarzył jej się ze zniszczeniem, a zawsze ze stwarzaniem. To, co świat ceni w kobiecie najbardziej, straciła już dawno. Lecz to wcale jej nie zniszczyło. Wkroczyła dzięki temu w nową, budowaną przez Zhu rzeczywistość i znalazła nowy sposób bycia. Nowe ścieżki, nowe wybory. Ta rzeczywistość, przykrojona do rozmiarów ich obu, była na razie zaledwie załączkiem. I właśnie dlatego to robię, pomyślała Ma z zaciętością, w której miłość mieszała się ze smutkiem. Kiedy Zhu zrealizuje swój cel, załączek stanie się całym światem.

Wielki chan otworzył oczy. Przez chwilę sprawiał wrażenie zszokowanego, jakby samo przebudzenie sprawiło mu ból. Identycznie wyglądał, kiedy Ma natknęła się na niego w pagodzie.

Nie tyle obudzony, co wyrwany ze snu przemocą, która odcisnęła się na twarzy zapadniętymi policzkami i podkrążonymi oczyma. Dziewczyna przypomniawszy sobie gorączkowe napięcie jego leżącego na niej ciała; był szczupły, tak chudy jak przedmiot oskrobany ze wszystkich stron do granic możliwości.

– Wielmożna Shin – mruknął. Wyczuła w nim nieobecność wcześniej bezbronność. Pomyślała o małym chłopcu, który wpadł w szal, chcąc skrzywdzić, zabić irytującego rodzica. O dziecku, które w jakiś czas potem tuli się do tego samego rodzica z histerycznym płaczem, zarazem w poczuciu winy, ponieważ pragnienie to było szczere, i z ulgą, że nie okazało się dość silne, by pozwolić zrealizować zamysł.

Syn niebios wezwał do swojej komnaty wielmożną Shin. Zamierzał złamać delikatną dziewicę, dziewczynę, która nigdy nie uczyniła niczego wbrew oczekiwaniom świata. Zamiast niej spotkał Ma: kobietę, która wiele już przeszła, która żyła i traciła, która kochała i była kochana. Podobnie jak rodzic wobec dziecka, była przed nim bezpieczna, a zarazem niosła bezpieczeństwo jemu.

Nie mógł jej skrzywdzić, ponieważ nie miał pojęcia, kim Ma jest.

Raptownie poczuła, że nie zniesie jego towarzystwa dłużej, niż to absolutnie konieczne.

– Czy wielki chan ma jakieś życzenia wobec małżonki? – spytała.

Wychwyciła moment, w którym rozbudził się na dobre. Bezbronność zniknęła mu z oczu, ukryta pod skorupą samokontroli.

– Zanim wyjdiesz, jak rozumiem, tradycja każe, żeby po pierwszej wspólnej nocy wielki chan wręczył nowej żonie podarek.

Ma nagle coś sobie uświadomiła: przypomniała sobie przerażona, po co się tu znalazła. Ogarnęło ją specyficzne przecucie smutku. Nie możesz mnie skrzywdzić, ale ja mogę skrzywdzić ciebie.

– Wejść – rzucił, nie podnosząc głosu. Nawet nie tak, jakby wiedział, że jego naczelny eunuch czeka tuż za drzwiami. Wypowiedział to słowo tak, jakby nie przyszło mu do głowy, że sługa może być gdzie indziej.

Syn niebios, zupełnie nieprzejęty własną nagością, usiadł i powiódł spojrzeniem po tacy z biżuterią, którą podsunął mu sługa. Równocześnie musiał obserwować Ma, bo kiedy zerknęła na szpilki do włosów, powiedział z ironią w głosie:

– Ponieważ nie zawsze byłem wielkim chanem, wiem, że przy wyborze prezentu mężczyzna powinien wziąć pod uwagę upodobania kobiety.

Jego wąskie palce przebiegły po ostrych szpilkach zwieńczonych migocącymi perłami, koralami, lapis-lazuli, turmalinami. Dłoń władcy znieruchomiała na oszałamiającej złotej szpilce. Ta była grubsza od pędzelka do pisania, a koniec miała zaokrąglony, nie spiczasty jak pozostałe. Ukoronowana została filigranową, skrzącą się podobizną feniksa, misternie splecioną ze złotego drucika. Wielki chan popatrzył na błyskotkę, przez twarz przemknął mu cień wyrzutów sumienia.

– Należała do wielmożnej Ki. Ta kobieta, choć twoja krajanka, nie była do ciebie podobna. Była faworytą mojego poprzednika. Matką... – Przeszył go spazm bólu. Z wysiłkiem odtrącił wspomnienie i wręczył szpilkę dziewczynie. – Załóż ją następnym razem. Sprawisz mi wielką przyjemność. Eunuchowie! – rzucił chłodniejszym już, energicznym głosem. – Odnieście swoją panią do jej rezydencji.

Kiedy służący zawijali ją w dywan i komnata zniknęła jej z oczu, Ma zacisnęła palce na szpilce – miała zaokrąglony koniec i nikt rozsądny nie mógłby uznać jej za broń. A jednak. Leżała w jej dłoni wygodnie niczym sztylet.

朱

– Noc w noc! – wycodziła ze złością pani Zhang. Paznokiec, którym sunęła wzdłuż kolumny dat figurującej w Rejestrze Spraw Wewnętrznych, napał tak mocno, że rozdarł kartkę. – Powtarza, że jest zbyt zajęty, żeby zjeść ze mną kolację, a z nią sypia codziennie? Z tą krową o płaskiej gębie? – Wściekłym ruchem odrzuciła księgę.

Ten obrót spraw zaskoczył Zhu równie mocno jak cesarzową. Gdyby jak zakładał pierwotny plan, pozostała niewidzialną niewolnicą, mogłaby od czasu do czasu spotykać się ukradkiem ze służącymi Ma i wiedziałyby, co się dzieje. Odkąd jednak została wcielona do poddanego pilnej obserwacji wewnętrznego kręgu służby pani Zhang, nie miała ku temu okazji.

Co więcej, w myśl planu Ma miała spać z wielkim chanem tylko raz, po to, by nieświadomy niczego władca sam wręczył jej broń. Następnie powinna poczekać do chwili, kiedy pod Dadu dotrze armia Zhu, i dopiero wówczas zorganizować kolejne spotkanie. Wtedy miała skorzystać z broni i położyć kres całej sprawie. Co takiego zaszło w sypialni wielkiego chana owej pierwszej nocy? Co sprawiło, że wzywał Ma raz po raz? W żołądku Zhu płonął ogień poczucia winy. Codziennie, kiedy ona żyła spokojnie w rezydencji cesarzowej, Ma musiała znosić dotyk władcy. Czy było strasznie? Czy bardzo cierpiała?

Ma próbowała ją ostrzec, zanim jeszcze Zhu dowiedziała się o koszmarnym końcu Ouyanga, o zobojętnieniu pani Zhang i o czarnym cieniu, którym wielki chan zalewał cały świat.

„Pomyślałaś kiedykolwiek, że może jednak nie warto?”

Zawsze dotąd była tego pewna, teraz jednak coś się zmieniło. I ta myśl przepełniła ją grozą.

– Odkąd przybyła, rozmawiała ze mną tylko raz! – narzekała pani Zhang. – Unika mnie. Czyżby uznała, że jest za dobra, żeby wyświadczyć drobną uprzejmość cesarzowej? Wezwać ją! Niech przyjdzie i złoży mi wyrazy uszanowania!

Ma stawiała się na miejscu wkrótce potem. Ku wielkiej uldze Zhu dziewczyna wyglądała na mocno zdenerwowaną, lecz poza tym była cała i zdrowa. Jej oczy, skromnie spuszczone od chwili, gdy znalazła się w obecności cesarzowej, na moment strzeliły ku Zhu. Spojrzenie to było niczym ukradkowe muśnięcie palców, jakim łączą się kochankowie na ulicy, przechodząc obok siebie bez słowa. Zhu poczuła świeżą falę bólu, gdy zdała sobie sprawę, że ulżyło jej, ponieważ spodziewała się zobaczyć sińce. Wielki chan miał

reputację człowieka okrutnego. Cały pałac słyszał o tym, że kazał ugotować Bolud-Temura żywcem. Jedyną pozytywną stroną sytuacji była wpięta we włosy Ma złota szpilka. To musiał być ów kluczowy dla planu podarek, który otrzymała od władcy po pierwszej wspólnej nocy. A więc tyle się przynajmniej udało.

– Niegodna małżonka wielmożna Shin – zaczęła Ma w delikatnie trącej mongolskim akcentem mowie han'er – składa wyrazy głębokiego szacunku najjaśniejszej cesarzowej. – Padła pokornie na jedno kolano. Kiedy pochyliła głowę, ukazując wyraźniej fryzurę, pani Zhang głośno wciągnęła powietrze.

– Dał ci szpilkę z feniksem?

Szelest strojów nerwowo przestępujących z nogi na nogę służących wydał się nagle bardzo donośny. Zapadła niezręczna cisza. W pierwszej chwili Zhu nie skojarzyła, jaką błyskotkę nosi we włosach Ma. Wiedziała jednak, co oznacza feniks. Symbol faworyty. A syn niebios wręczył ją Ma, nie cesarzowej.

Właśnie dlatego Ma tak bardzo się denerwuje, domyśliła się Zhu. Dlatego nigdy nie składała pani Zhang wizyt, mimo że wymagała tego dworska kurtuazja. Wiedziała, że cesarzowa uzna widok szpilki za wyzwanie. Ponieważ jednak otrzymała ją osobiście od wielkiego chana, nie mogła jej zdjąć. Odrzucić oznakę względów władcy byłoby olbrzymim nietaktem, a nikt, nawet faworyta, nie chciał ściągać na siebie jego gniewu.

Pani Zhang energicznie wstała z miejsca. Ozdoby w jej włosach zakołysały się groźnie, niczym nastroszone przed walką pióra agresywnego ptaka. Gwałtowny ruch musiał przepełnić jej stopy cierpieniem. Zaniepokojonej Zhu przemknęło przez myśl, że może to, co inni ludzie odczuwają jako ból fizyczny, u cesarzowej objawia się po prostu coraz straszliwszą furiją.

Pani Zhang podeszła nagle do klęczącej dziewczyny i zwinnie niczym kłusująca drapieżna ryba wyszarpnęła szpilkę. Ozdoba pociągnęła za sobą kępkę wyrwanych włosów. Zbolały okrzyk Ma sięgnął szpiku kości Zhu.

– Jak śmiesz! – Cesarzowa odrzuciła szpilkę na bok. Przez chwilę stała, ciężko dysząc, i wydawało się, że to może być koniec. Zaraz potem jednak zaatakowała. Na oczach bezradnej, przerażonej Zhu paznokcie pani Zhang przejechały po twarzy Ma, po jej głowie: zostawiały na skórze długie, krwawe szramy, wdzierały się w pięknie ułożoną fryzurę. Cesarzowa okładała klęczącą bezlitośnie, niczym dzikie zwierzę rozszarpujące ofiarę. Ma krzyczała, poderwała ramiona nad głowę, by się ochronić. Krew z poranionych przedramion splamiła jej satynową kurteczkę i białą lnianą bluzkę.

Zhu stwierdziła w duchu, że dawniej, gdyby tylko mogło ją to przybliżyć do upragnionego celu, byłaby w stanie słuchać wrzasków Ma nieporuszona. Zapewne poczułaby się dumna ze swojej siły, pozwalającej znieść wszystko, co konieczne. Tak jednak było, zanim ujrzała umierającego Xu Da. Cierpienie chłopaka wryło w jej duszy nowe szlaki bólu i teraz, gdy patrzyła na niedolę Ma, ból odszukał te ścieżki i popłynął wartko. Ból ukształtował ją na nowo i teraz, odnowiona, cierpiała bardziej niż kiedykolwiek.

Może naprawdę nie warto? Czy mogła mimo wszystkich poniesionych ofiar po prostu zrezygnować z tego, czego pragnęła, po to jedynie, by nie powodować więcej bólu?

Zhu pomyślała o pierwszym Zhu Chongbie, który zrezygnował ze swojego przeznaczenia. Przejęła porzucony przez niego los i ostatecznie, opłacając to własnym cierpieniem, stała się osobą mogącą uznać go za własny. Poczula lękliwy skurcz żołądka. Czy mogła porzucić swoje pragnienie, zrezygnować z przeznaczonych sobie wielkości i nowego świata? To pragnienie płonęło w niej niczym gwiazda, przepełniało ją światłem. Było nią samą. Bez niego czy cokolwiek by z niej zostało?

Zapłakana Ma upadła na kolana i przywarła czołem do podłogi.

– Litości, cesarzowo, zmiłuj się nad niegodną!

Pani Zhang przyjrzała jej się z góry. Dyszała, kołysała się na maleńkich stopach.

– Niegodną? – warknęła z niegasnącym błyskiem furii w oku. – Tak! Nie jesteś godna się do mnie odzywać! Nie jesteś godna



przebywać w moim towarzystwie! – Chwyciła leżący obok wachlarz na długiej rączce i zaczęła okładać skuloną Ma po plecach i ramionach. – Nie zasługujesz na łyzy!

Stojące pod ścianą służące obserwowały całą scenę beznamiętnie. Widziały w niej przejaw naturalnego porządku świata, jakby życie w pałacu było jedynie odzwierciedleniem okrutnej przyrody. Lecz każdy raz spadający na grzbiet szlochającej Ma był ciosem zadany w samo serce Zhu.

Czy istnieje przyszłość, w której Zhu nie zostanie cesarzem?

Czy mogę zrezygnować?

朱

Po wyjściu Ma pani Zhang mruknęła z niekłamana satysfakcją:

– Zobaczymy teraz, czy z taką twarzą też będzie mu miła.

Ptaki, zaniepokojone wybuchem przemocy, milczały podobnie jak służki. Złoty feniks spoczywał na podłodze w gniazdku wyrwanych włosów. Ta szpilka przyniosła Ma tak wiele cierpienia. Lecz, uświadomiła sobie Zhu, nie mogła jej teraz stracić.

– Cesarzowo, jeżeli wielki chan odkryje, że odebrałaś tę szpilkę...

Pozwoliła, by widmo gniewu władcy zawisło nad panią Zhang złowróżbną chmurą. Okazało się, że nawet cesarzowa nie ma odwagi spróbować sił w konfrontacji z małżonkiem, ponieważ rzuciła po chwili, skrajnie niezadowolona:

– Dobrze! Zwrócić jej ten drobiazg. – Odwróciła się i jej profil błysnął jak białe wnętrze fragmentu stłuczonej porcelanowej czarki, tak ostrego, że mógł rozorać palec do kości. – Przekonamy się, czy będzie na tyle głupia, żeby mi się z nią jeszcze kiedyś pokazać!

Zhu dogoniła lektykę Ma w zasięgu spojrzenia od północno-zachodniego narożnika murów. Inaczej niż w pobliżu Sali Wielkiej Światłości, w tej części Miasta Pałacu brakowało otwartych placów. Tutaj przeważały stosunkowo zwyczajne zabudowania mieszkalne.

Rezydencje małżonek chana sąsiadowały ze sobą, rozdzielone ukwieconymi dziedzińcami. Ponieważ Ma była obecnie jedyną poza cesarzową mieszkanką haremu, okolica tchnęła pustką. Podwórza były zbyt małe, by chwytać słońce, a gnijące płatki wiosennych kwiatów zbierały się pod ścianami niczym zapomniany śnieg.

Ma siedziała w lektyce z twarzą przesłoniętą płataniną włosów, wyglądała jak kobieta w żałobie. Zhu podbiegła do ciągnącego się za pojazdem ogonka służących z Goryeo i odezwała się na wszelki wypadek po mongolsku:

– Cesarzowa przysłała mnie, żebym zwróciła to waszej pani.

Naczelną służącą otworzyła usta w zdziwieniu. Rozpoznała ją. Stuknęła prowadzącego eunucha w ramię, dając znak do zatrzymania.

Lektyka opadła lekko na ziemię. Zaskoczona Ma podniosła wzrok. Jedno z jej oczu rozwarło się szeroko na widok Zhu. Drugie, co Zhu odnotowała z bólem serca, bez reszty przesłaniała opuchlizną.

Zdziwienie Ma błyskawicznie przeszło w niepokój. Rozejrzała się nerwowo dokoła, po czym szepnęła do służek:

– Zadbajcie o naszą prywatność.

Kiedy dziewczęta ustawiły się wokół lektyki opiekuńczym kręgiem, Ma czule ujęła obie dłonie Zhu – drewnianą i cielesną. Zaraz potem, pobladła i przejęta, zwolniła chwyt.

– Nie powinniśmy... – rzuciła.

Zhu pokazała jej szpilkę.

– Mamy kilka chwil – zapewniła, choć rozumiała przyczynę obaw Ma. Pałace mają więcej oczu niż przegrzebki. Mimo że Zhu miała na to spotkanie pozwolenie, wieść o poufałości między nią a księżniczką z Goryeo mogła kosztować ją zaufanie pani Zhang.

Zamiast pocałunku zetknęły się barkami. Widok napuchniętego oka Ma przepełnił Zhu straszliwą czułością. Im więcej obrażeń odnosiła jej żona, tym czułość stawała się silniejsza. Rosła w niej, napierała na organy wewnętrzne tak mocno, że Zhu myślała, że dłużej tego nie wytrzyma. Poczwała, że z trudem łapie oddech.

– Przepraszam, Yingzi – wymamrotała. – Tyle bólu, cierpienia... Sądziłam, że będzie warto. Ostrzegałaś, ale ja nie słuchałam. Przepraszam.

Ma przez chwilę po prostu milczała.

– Zhu Yuanzhang – odezwała się wreszcie – czy wiesz, dlaczego w Songdo powiedziałam „nie proś”?

Zhu przypomniała sobie własną niepewność oraz fakt, że przede wszystkim poczuła wówczas wyrzuty sumienia i ulgę: Ma, choć z nie do końca zrozumiałych powodów, zgodziła się pomóc.

– Mój ból i cierpienie Xu Da uważałaś za cenę, którą trzeba zapłacić za twój tytuł cesarza. Dlatego właśnie czujesz, że jeżeli nie zdobędziesz tronu lub tron okaże się niewart naszego bólu, poniesiesz klęskę. Ale ty do niczego nas nie zmuszałaś. Dlatego nie chciałam, żebyś prosiła. Czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego Xu Da nie prosił, żebyś dała sobie spokój, nawet gdy wątpił w słuszność twoich metod? Nie chciał, żebyś zaczęła mu rozkazywać. Chciał iść z tobą z własnej woli, chociaż wiedział, że to droga ku śmierci. Nasze cierpienie nie było ceną. Było darem. Daliśmy je tobie, żebyś mogła zrealizować swoje przeznaczenie. A twoim przeznaczeniem nie jest po prostu tron czy wielkość. Tobie pisana jest wielkość pozwalająca odmienić świat. Czy zasiadający dotąd na tronie mężczyźni mieli jakikolwiek powód, żeby zmieniać cokolwiek? Ty jednak rozumiesz, jak to jest być nikiem. Rozumiesz, co znaczy czuć i cierpieć. Rozumiesz, jak to jest być uznanym za człowieka bez wartości ze względu na płeć, kształt ciała lub to, co ktoś robi albo kto się komu podoba.

Doleciały ich strzępki śmiechu, w pobliżu pojawiły się pałacowe służące. Czas płynął nieubłaganie. Ma uniosła dłoń i ze straszliwym smutkiem, łagodnie musnęła policzek Zhu, która wstrząśnięta uświadomiła sobie, że twarz ma wilgotną od łez.

– Czyli jednak potrafisz płakać? Pierwszy raz widzę, jak płaczesz. – O istnieniu szpilki Zhu przypomniała sobie, dopiero kiedy Ma wyłowiła ją spomiędzy jej palców. – Mną się nie przejmuj. Nie myśl o moim bólu. Sama ten los wybrałam, podobnie jak Xu Da

wybrał swój. Pozwól nam to dla ciebie zrobić, żebyś ty mogła zrobić coś, czego nikt inny zrobić by nie chciał lub nie potrafił.

Ma umilkła, po czym jednym spojrzeniem zdrowego oka przywołała do siebie służbę. Kiedy eunuchowie poderwali lektykę z ziemi, dodała ze współczuciem, które przełamywało wszelkie tchórzostwo i litość, ze współczuciem, które było największą siłą na świecie:

– Zhu Yuanzhang, mój mężu, pewnego dnia, dawno temu, wyparłeś się swojego przeznaczenia. Dzisiaj powinienes się mu oddać. Nie ze strachu czy poczucia obowiązku, ale dlatego, że dokonasz takiego wyboru.

朱

Kiedy tego samego dnia wieczorem Ma została dostarczona do sypialni wielkiego chana, ten szeroko otworzył oczy.

Nie jest najlepszym aktorem, stwierdziła dziewczyna w duchu, widząc, jak władca rejestrował wzrokiem ślady na jej twarzy i ciele. Jego uczucia płynęły zbyt wartką strugą, były widoczne jak sącząca się przez opatrunek krew. Przed innymi ludźmi ukrywał emocje skutecznie, ponieważ wszyscy byli zbyt pochłonięci jego powierzchownością. Zakładali, że skoro jest w naoczny sposób zniewieściał – co każdy inny mężczyzna maskowałby ze wstydem – nie umie ukrywać niczego w ogóle.

Ma wyraźnie widziała narastającą w nim wściekłość, najsilniejszą chyba, odkąd się poznali. Pomyślała zarazem, że jest być może jedyną osobą na świecie, która tę furję dostrzega.

– Mógłbym skazać cesarzową na śmierć – obwieścił niepokojąco łagodnym tonem. – Prawdopodobnie jednak nie powinienem tego robić. Jaki wymiar kary uznałabyś za należyty? Może chcesz przejąć jej rezydencję? Dam ci ją.

– Nie chcę jej rezydencji! – zawołała dziewczyna. – To jedynie pogorszyłoby sytuację. Poza tym to twoja cesarzowa. Któż nie

poczułby się źle, wiedząc, że traci twoją przychylność? Posyłasz po mnie noc w noc, a to zbyt często. Gdybyś poświęcał jej więcej uwagi, nie byłaby zazdrosna.

– Przede wszystkim nie chciałbym, żebyś ty była zazdrosna. – Uśmiechnął się krzywo i przyciągnął ją do siebie.

Kiedy zaznał już rozkoszy, zalegli na posłaniu. Głowa syna niebios spoczywała na jej piersi.

– Mówiłam poważnie – podjęła przerwana rozmowę Ma. – O zazdrości cesarzowej. Zrobiła dla ciebie tak wiele. Czy nie sądzisz, że jesteś jej winien szacunek? Nawet i teraz jesteś uzależniony od jej armii. – Zawiesiła na chwilę głos, po czym dodała, siląc się na swobodny ton: – Pamiętaj, że wciąż pozostaje do rozwiązania kwestia Zhu Yuanzhanga.

– Ach, ale o jednym zapominasz – odparł. – Cesarzowa nie jest już władczynią, tylko moją kobietą. Nie kontroluje swojego wojska. Teraz to moje oddziały. A jeśli okażę jej szacunek, to dlatego, że tak postanowię, nie dlatego, że jestem jej cokolwiek winien. Wielki chan nie bywa niczym dłużnikiem. – Kilka kosmyków włosów wymsknęło mu się z koczka. Były bardziej miękkie i niepokorne od włosów Ma. Poczula na skórze łaskotanie końcówek. – A Zhu Yuanzhangiem nie musisz się przejmować. Ostatnio sporo o nim myślę, o tym zuchwalcu, który prowadzi na mnie zgraję żołdaków. – Dziewczyna dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że wielki chan jest przekonany, iż Zhu stoi na czele armii osobiście. Nie miał pojęcia, że przekazała dowództwo Chang Yuchunowi. – Dobrze wiem, jak się z nim rozprawić.

Na chwilę zapadła cisza. Ma obróciła głowę, by spojrzeć na jego twarz, i zauważyła, że zasnął. Miała wrażenie, że władca sypia tylko w ten sposób. Zapadał w krótkie drzemki, niezapewniające prawdziwego wytchnienia, podobne jak łapczywie nabierane, lecz płytkie oddechy. Nawet we śnie wszystkie mięśnie wielkiego chana pozostawały spięte. Kiedy jednak znikająca jego zwykła sardoniczna inteligencja, ostrze kaleczące wszystkich, którzy mieli odwagę znaleźć się w jej zasięgu – gdy nie osłaniała go tarcza gry aktorskiej –

przeobrażał się raptownie w młodego człowieka. Zdumiona dziewczyna doszła do wniosku, że chan może być zaledwie kilka lat starszy od Zhu.

Dotknęła jego ściągniętych nad nosem brwi. Zdawały się cieńsze niż u innych mężczyzn, lecz była to chyba kwestia zabiegów upiększających, nie wynikała, jak u Ouyanga, z kobiecego kształtu łuków brwiowych. Mimo że leżeli spleceni, Ma czuła, że poza snem wciąż dzieli ich zasłona kłamstwa. Kłamstwo powinno było ją ochronić. Powinno było pozwolić na zachowanie dystansu. Jednak przyszło jej teraz do głowy, że być może nawet przez chwilę nie miała szansy pozostać obojętną wobec człowieka, który odsłonił się przed nią w geście bardziej intymnym niż jakikolwiek akt cielesny.

Na nocnym stoliku coś błysnęło złotem. Odłożona przez Ma szpilka z feniksem. Patrząc na błyskotkę, dziewczyna usłyszała echo rozzwierających krzyków Boluda. W identyczny sposób syn niebios potraktuje Zhu, jeżeli pokona jej armię i ją rozpozna. Jeżeli Ma go nie powstrzyma. Wiedziała, że zrobiłby to bez żalu i bólu, bez chwili wahania.

Oni nie są dwójką konkurujących ze sobą zalotników, przemknęło jej przez myśl. Od dawna wiedziała, kogo wybierze. Kogo już wybrała. Wiedziała to, na długo zanim pojawiła się w pałacu, na długo zanim poznała wielkiego chana. Jedyne, co zmienił czas, to świadomość bólu, jakim będzie musiała to okupić, bólu i kawałka duszy, który bezpowrotnie utraci.

Wiedziała coś jeszcze, coś, czego on wciąż nie zauważał. Mimo że przyzywał ją do siebie co noc od ponad miesiąca, nie krwawiła przez ten czas ani dnia.

Zbudził się, wyczuła to, jeszcze zanim mruknął:

– Tak długo się męczyłem. Kto by pomyślał, że lekiem na moją bezsenność okaże się kobieta w łóżku.

– Może to kwestia odpowiedniej kobiety? – odparła Ma, maskując żartem ukłucie smutku.

– Możliwe – potaknął rozbawiony.

Dzisiaj posłał po nią wcześniej, nie było jeszcze ciemno. Zza okien dolatywał ogłuszający chór rozwrzeszczanych w miękkim wieczornym świetle szpaków, które całym stadem obsiadły rosnące na dziedzińcu drzewo.

– Skoro mowa o kobietach i Zhu Yuanzhangu – podjął wielki chan. – Zadam ci zabawne pytanie. Co byś powiedziała, gdyby się okazało, że Zhu Yuanzhang nie jest mężczyzną, tylko kobietą w przebraniu?

Zupełnie jakby nagle zniknął cały świat, pociągając za sobą nawet jej ciało.

Władca zauważył minę dziewczyny i zaśmiał się. Jego śmiech miał zaskakująco przyjemne brzmienie.

– Tak, to osobliwa koncepcja, prawda? Nie przykładałbym do niej większej wagi, ale otrzymałem tę informację od człowieka, który w przeszłości okazał się bardzo przydatny. Należał do wewnętrznego kręgu Zhu Yuanzhang.

Uszy Ma wypełnił szum. Znalazła się gdzieś daleko, zakręciło jej się w głowie.

– Jest teraz tutaj, w pałacu. Mianowałem go ministrem prac publicznych – ciągnął wielki chan. – To inżynier, nazywa się Jiao Yu.

朱

Wieczka stojących na jadalnianym stole pani Zhang misek i waz skrzętnie utrzymywały w tajemnicy stygnącą w nich zawartość. Czekały, skrząc się niczym klejnoty, w dokładnie takim porządku, w jakim pozostawiono je godzinę temu. Cesarzowa wpatrywała się w puste nakrycie, skrywając swoje uczucia za maską opanowania równie szczelnie jak naczynia. Ozdoby w jej włosach połyskiwały w blasku dogasających lamp. Pani Zhang potrafiła zachować obojętność wobec ciekawskich służek, lecz Zhu wiedziała, jak musi być wściekła i upokorzona: zmuszona czekać na wielkiego chana, który obiecał złożyć jej tego wieczora wizytę.

– Mój mąż przyjdzie już wkrótce – syknęła cesarzowa, kiedy jedna ze służących ostrożnie zasugerowała, że może lepiej będzie przechować jedzenie w kuchni. – Wielki chan ma w tych dniach wiele na głowie. Czy mamy prawo utyskiwać na chwilę oczekiwania, skoro on kieruje sprawami całego imperium?

Aż dziw bierze, pomyślała Zhu, że pani Zhang nie ginie od własnego jadu.

– Może niegodna służka mogłaby pójść do Spraw Wewnętrznych i sprawdzić... – podsunęła dyskretnym szeptem.

Po chwili cesarzowa skinęła sztywno głową. Zhu niemal wybiegła.

Biuro Administracji i Spraw Wewnętrznych znajdowało się daleko, po drugiej stronie Miasta Pałacu. Kiedy dziewczyna dotarła na miejsce, eunuch odpowiedzialny za rozkład dnia wielkiego chana zmarszczył czoło.

– Mówisz, że sekretariat wielkiego chana poinformował cesarzową, że zjedzą dziś wspólnie kolację? Przecież w jego komnatach przez cały czas bawi wielmożna Shin. Jest tam od popołudnia. – Urzędnik pokazał Zhu płaskie pudełko, w którym spoczywały drewniane tabliczki z imionami kobiet wielkiego chana. W tej chwili znajdowała się w nim jedynie tabliczka cesarzowej. – Wielmożna otrzymała zaproszenie jeszcze rankiem. Musiała zająć jakąś pomyłką.

To nie była pomyłka, domyśliła się Zhu. Pani Zhang zaatakowała Ma, obecną faworytę władcy, który postanowił ukarać pierwszą małżonkę w ten właśnie sposób: chciał, by cesarzowa sama odkryła prawdę o własnej degradacji. Zhu wciąż świeżo i boleśnie pamiętała cierpienie Ma. Kiedy jednak myślała o samotnie czekającej pani Zhang, o kobiecie stającej się pośmiewiskiem całego pałacu, poczuła w sercu zaskakujące ukłucie.

Mimo że wiosenne dni były coraz dłuższe, kiedy Zhu wracała truchtem do rezydencji cesarzowej, było już ciemno. W pałacu panowała cisza. Kiedy dziewczyna skręciła w kolejną długą aleję, ujrzała zmierzającego w jej stronę odzianego w czerń urzędnika.



Sylwetka mężczyzny wydała jej się dziwnie znajoma. Zhu przyjrzała się uważniej, aż wreszcie, kiedy jego twarz stała się wyraźna, zrozumiała.

Jej ciało gwałtownie ostygło, zaraz potem uderzyła ją fala gorąca. Nigdy w życiu nie była tak wściekła.

Jiao Yu.

Zapomniała o nim niemal na dobre. Lecz to oczywiste, że trafił właśnie tutaj. Kiedy ją zdradził, pojechał prosto do Dadu i zaoferował swoje usługi człowiekowi, który w jego ocenie miał wyprzedzić Zhu w wyścigu do tronu. A kiedy ów człowiek został wielkim chanem, pozostał przy jego boku i odebrał nagrodę.

Jiao znał Zhu, znał też Ma. Był jedynym człowiekiem zdolnym zniweczyć dosłownie wszystko. Ale, zastanawiała się gorączkowo dziewczyna, nie miał przecież pojęcia, że obie są w stolicy. Na Ma, spędzając większość czasu poza zasięgiem oczu ciekawskich, raczej nie mógł natknąć się przypadkiem. A ponieważ Zhu wiedziała już, że zdrajca jest na dworze, mogła go od tej pory rozważnie unikać. Wystarczyło, że teraz pozwoli mu przejść.

Przystanąła na skraju alejki i uklękła na jedno kolano. Skłoniła się i z należnym urzędnikowi szacunkiem służącej splotła ręce przed sobą. Pech chciał, że ta akurat dróżka była jasno oświetlona, lecz i tak nie wydawało się prawdopodobne, że inżynier ją rozpozna. Po pierwsze, Jiao interesował się rzeczami, nie ludźmi, a po drugie, nigdy nie przyglądał się osobom, które uważał za gorsze od siebie.

Tak jak się spodziewała. Spojrzenie zdrajcy przemknęło gdzieś ponad jej głową. Szedł dalej...

...aż nagle wyhamował w pół kroku.

Odwrócił się raptownie, a kiedy światło pochodni obmyło jego ocienioną kapturą twarz, Zhu zrozumiała, co zauważył. Nie ją. Jej drewnianą rękę.

Patrzył na protezę. Zobaczył swoje dzieło.

Nie mnie rozpoznał, pomyślała z goryczą, lecz siebie we mnie. Inżynier poznał tę część dziewczyny, której źródłem była jego własna wyobraźnia, którą skonstruowały jego ręce i narzędzia

i którą wciąż uważał za własną. Świadomość ta stanowiła tak samo brutalne naruszenie intymności Zhu jak wspomnienie tego, że dotykał jej nieprzytomnego, nagiego ciała.

Zhu nigdy Jiao nie lubiła. A teraz w nagłym rozbłysku olśnienia odkryła, że w rzeczywistości od zawsze go nienawidziła.

Stał tuż nad nią. Klęcząca Zhu znalazła się w pułapce. Wpadła, i to wpadła nieodwracalnie. Zadarła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Mimo że musiał podejrzewać – wiedzieć – kogo przyłapał, cały się wzdrygnął. Ujrzał widok znajomy, lecz zniekształcony niecodziennym kontekstem, przeobrażony w parodię tego, co pamiętał. Ze szczerym obrzydzeniem obnażył zęby.

Zhu rozumiała, że nie może uczciwie winić Jiao za śmierć Xu Da. Chłopak umierał, zanim jeszcze zdrajca doprowadził do rozłamu między nią a Ouyangiem. Jednak Jiao był winny niewiary w jej możliwości. Wykorzystał przeciwko niej ją samą i dopilnował, by ostatnie wspomnienie, jakie zachował na jej temat Ouyang, było z gruntu fałszywe: że ciało, które zamieszkiwała, jest całą nią, że poza tym ciałem nic więcej jej nie określa.

Ze względu na to, za kogo ją uważał, Jiao miał czelność odmówić jej prawa do tego, czego pragnęła od zawsze. Próbował zatrzymać ją tam, gdzie według niego było jej miejsce.

Jednak Zhu miała zostać cesarzem: nie pomimo tego, kim była, lecz dzięki temu.

Wpatrywała się w inżyniera i poczuła w głębi serca, tak wyraźnie jak nigdy przedtem, że jego śmierć sprawi jej przyjemność – że ucieszy się, mogąc wymazać go z kronik świata, tych kronik, które sama napisze.

– Jiao Yu... – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku. – Kiedy straciłeś we mnie wiarę, kiedy mnie zdradziłeś i spróbowałeś wykorzystać przeciw mnie moje ja, wtedy powinieneś był uciec.



## 23

### Miasto Pałacu (Dadu)

**J**iao Yu zakasał czarną szatę i zerwał się do biegu. Nie gnało go jednak przerażenie. Co sił w nogach pędził ku odległemu epicentrum Miasta Pałacu. Do wielkiego chana.

Zanim Zhu zdążyła się poderwać i ruszyć w pościg, zdrajca był już za rogiem. Po raz pierwszy od dawna biegła jako kobieta i bardzo szybko doszła do wniosku, że strój służącej nie jest przeznaczony do podobnych wyczynów. W trzewikach zbierał się piach; rozdzymająca się suknia hamowała niczym żagiel okrętowy. Zupełnie jakby biegła w nocnym koszmarze. Pędząc z trudem przed siebie, odkręciła drewnianą dłoń, obnażając sterczący z przegubu trzpień. Metalowy pręt zakończony był tępo i płasko, lecz gdyby dźgnęła odpowiednio mocno...

Zakręt wzięła akurat w porę, by zobaczyć Jiao wchodzącego statecznym krokiem w przesmyk między dwoma budynkami. Przystanęła, zdyszana po męczącym biegu. Przesmyk prowadził ku jednej z głównych arterii Miasta Pałacu. Arterii rześiście oświetlonej, często patrolowanej, a co najważniejsze: prowadzącej aż do rezydencji syna niebios, znajdującej się na tyłach Sali Wielkiej

Światłości. Inżynier wiedział, że na tej ulicy nie mogła go ścigać, a już na pewno nie mogła ujawnić swojej tożsamości. Nie miała jak go zatrzymać. Był tak pewny swego, że nawet już nie biegł.

Myśli, że wygrał, przemknęło jej przez głowę.

Skrajna arogancja zdrajcy na nowo roznieciła pałający w Zhu gniew. Gdyby mogła to uczucie ucieleśnić i wylać na świat, zmiażdżyłoby go niczym but spadający na pełznącego po chodniku robaka. Żądza zadania Jiao bólu okazała się doznaniem odświeżającym, dziewczyna miała wrażenie, że ogarnęło ją coś mrocznego, przyjaznego i dzikiego. Chciała wyszarpać mu wątrobę zębami. Zawsze dotąd wybaczała Jiao arogancję, lecz mimo że go oszczędzała, nigdy jej się nawet nie uklonił. Nie uznał jej za prawowitego wodza, wołał udawać, że realizuje po prostu własny interes, przypadkowo zgodny z jej dążeniami. Zhu znosiła to przez całe lata, lecz teraz chciała zobaczyć zmianę, jaką wywoła na jego twarzy świadomość porażki. Chciała, by w ostatnich chwilach życia zrozumiał, jak bardzo się mylił: by zrozumiał, że nie jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

Rozjuszona Zhu osadziła z powrotem dłoń na trzpieniu. Stało się jasne, że w czasie krótszym, niż potrzeba na wypalenie trociczki kadzidła, Jiao Yu stanie na schodach rezydencji wielkiego chana. Był urzędnikiem z niecierpiącą zwłoki sprawą; strażnicy go nie zatrzymają nawet o tak późnej godzinie. Nie miała go jak powstrzymać.

Ale... może mógł to zrobić ktoś inny.

Ktoś, o kim inżynier nie miał pojęcia; ktoś, kto już teraz był w rezydencji władcy. Ktoś, kto stanowił ostatnią linię obrony Zhu, oddzielającą syna niebios od wiadomości ze świata.

Ledwie pomysł zdążył nabrać kształtu, Zhu pognała w stronę przeciwną do tej, w którą zmierzał Jiao. Ma mogła powstrzymać zdrajcę przed dotarciem do wielkiego chana, lecz Zhu musiała ją w porę uprzedzić.

Do rezydencji cesarzowej nie było daleko, lecz dziewczyna odczuwała w tej chwili wpływ czasu niezwykle wyraźnie. Czas, czas,

czas, odmierzany krokami jej obutych w trzewiki stóp.

Rezydencja jaśniała niczym lampion. W jednej z komnat od frontu pani Zhang wciąż oczekiwała męża, który miał nigdy nie nadejść. Zamiast wejść jak zwykle, Zhu obeszła budynek i zakradła się do ogrodu.

W ogrodzie znajdowała się ptaszarnia, a w ptaszarni mieszkały cesarskie dary: wspaniałe gołębie, dalece odbiegające wyglądem od swoich pocztowych przodków, wciąż jednak pamiętające, że przyszły na świat i wychowały się w rezydencji wielkiego chana.

Bijący z okien blask nie pozwalał ptakom zasnąć. Gruchały cicho w swoich gniazdach, dreptały niespokojnie wśród krzewów. Nie było czasu na planowanie, to była ostatnia szansa. W tej chwili Zhu mogła już tylko wysłać ostrzeżenie i mieć nadzieję, że Ma domyśli się, skąd i od kogo nadeszło.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi ptaszarni. Spłoszone ptaki zerwały się do lotu.

朱

Stłumiony dźwięk wyrwał Ma z lekkiego snu u boku wielkiego chana. Odgłos dochodził zza okna. Coś jak deszcz, lecz nie deszcz: pomruk wznoszący się i opadający niczym morskie fale. Ponad ten odgłos wzbijały się męskie okrzyki. Nawoływania strzegących dziedzica gwardzistów.

Ma wstała i poczuła nieprzyjemną, coraz bardziej znajomą falę nudności, które od pewnego czasu nękały ją po przebudzeniu. Wyplątała się z kokonu osłaniających łożę zasłonek. Okrągłe okno otwierające się nad biurkiem chana nie pozwalało otworzyć się na oścież. Uchyliła je, wpuszczając do środka kąsający chłodem podmuch nocnego powietrza. Dźwięk, który ją otoczył, był miękki i ciężki jak zwierzęce futro.

Początkowo widziała jedynie jasność, ruch. Nocne niebo zniknęło, wchłonięte przez biały wir, przez rozszalałą w pędzie

śnieżną burzę, która pochwyciła jej spojrzenie i krążyła, krążyła, krążyła, aż twarda podłoga pod stopami dziewczyny zaczęła falować. Ma zachwiała się i przytrzymała biurka. Zemdlilo ją. Ćmy, pomyślała. Z jakiegoś powodu były dziwnie duże, lecz cóż mogło to być, jeśli nie dziesiątki tysięcy ciem, zwabionych przez światło ku własnej śmierci.

Zaśpiewały zwalniane cięciwy. Ma przypomniała sobie o strażnikach. Stali na dachach, czarne sylwetki na tle wirującej masy, w którą posyłali kolejne pociski. Okruchy bieli spadały na ziemię.

To nie ćmy. Ptaki. Ptaki, które jeszcze niedawno lśniły bielą polerowanego nefrytu, które z dumą czyściły swoje puszyste, rozłożyste, kędzierzawe pióra, słały się teraz na dziedzińcu dywanem zakrwawionych, trzepoczących, umierających ciał. Ptaki pani Zhang.

Osobliwe wydarzenia zawsze są znaczące. Ptaki mogły uciec przypadkiem. Osobliwość tego zdarzenia była jednak znajoma. Ma widziała podobne sytuacje już wiele razy: nieszkodliwe i z pozoru losowe, noszące jednak na sobie niewidoczne znamię ludzkiego umysłu i woli.

Jaką wiadomość chciała jej przekazać Zhu? Co było tak pilne, że musiała poinformować o tym natychmiast Ma, leżącą u boku wielkiego chana?

Musiało zająć coś, co zagrażało całemu planowi. Coś, co stało się zbyt nagle i katastrofalnie, by Zhu mogła posłużyć się innym sposobem.

Opadło ją straszliwe przecucie. Miała wrażenie, że kawałek lodu wypycha ją ponad marznącą wodę. „To inżynier, nazywa się Jiao Yu” – wyrecytowała w duchu z pamięci.

Jiao Yu, który zdążył już powiedzieć władcy, że Zhu Yuanzhang ma ciało kobiety, który jest jedynym w pałacu człowiekiem mogącym ją rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Dziewczyna stała naga przed oknem, zimno i groza wywołały na jej ciele gęsią skórę. Uniosła rękę, sięgnęła do włosów i poczuła

pod palcami chłód złota.

朱

Ma miała wrażenie, że już całą wieczność siedzi plecami do drzwi sypialni wielkiego chana. Z leżącej przed nią książki nie odczytałaby słowa, nawet gdyby zawisło od tego jej życie. Pod cienką narzutką, którą się owinęła, wciąż była naga; nie umiała opanować dreszczy zimna i zdenerwowania. Wielki chan nadal spał za zasłonkami łoża, lecz dziewczyna nie miała pojęcia, jak długo jeszcze to potrwa. Serce tłukło jej się w piersi tak mocno, że bała się, iż lada moment rozleci się cała na kawałki. Czy naprawdę trafnie odczytała wiadomość Zhu? Bardzo bała się pomyłki, a jeszcze bardziej przerażała ją ewentualność przeciwna. Każda mijająca chwila była jak impuls, jak modlitwa: błagam, niech on tu nie przyjdzie.

Drzwi za jej plecami stanęły otworem. Ktoś wszedł.

Przez krótką chwilę mógł to być ktoś inny. Jakiś inny urzędnik, przybyły w innej pilnej sprawie, z którą Ma nie miała nic wspólnego.

– Małzonko – odezwał się Jiao Yu – mam wieści dla wielkiego chana.

Ma nigdy nie słyszała w ustach inżyniera mongolskiej mowy. Posługiwał się nią tak, jakby uczył się z książki. Nie zmienił się jednak jego ton: chłodny, lekceważący. Oczyma duszy zobaczyła go już teraz: wydęte pogardliwie usta, cienkie kosmyki brody, jasny błysk w chytrych jak u łasicy oczach.

Musiała się zmusić, by wykrztusić choć słowo.

– Szacowny ministrze, wielki chan śpi – powiedziała zbyt wysoko, nienaturalnie.

Było to daremne, lecz dziewczyna przyłapała się na składaniu bezgłośnych próśb: proszę, Jiao Yu, nie rób tego, wyjdź.

– Małzonko – niedowierzanie inżyniera naparło na jej plecy niczym fizyczna siła – nie sądzę, żebyś rozumiała. Czy wybrałbym się do sypialni wielkiego chana, gdyby sprawa nie była nagląca?

Zbudź go – rzucił, po czym dodał pod nosem w han'er: – Za kogo się ta kobieta uważa?

Jakimś cudem Ma zdołała się podnieść. Jej buntujące się ciało zadrżało. Nie chciało być takim człowiekiem. Nie chciało tego czuć; nie wierzyło, że zdoła pomieścić w sobie grozę i ogrom tych uczuć nawet przez chwilę, a co dopiero na zawsze. A jeszcze gorszy od poczucia winy był wstyd płynący ze świadomości, że cierpi tyleż za siebie, co za Jiao. Sama dokonała tego wyboru. Wiedziała, że zabijając dla Zhu, straci część siebie. Wiedziała o tym, więc jakie miała prawo, by teraz współczuć sama sobie?

Bolało znacznie bardziej, niż przypuszczała.

Jakimś cudem Ma zdołała się odwrócić. Pokazała mu swoją twarz.

– Szkoda, że nie potrafiłeś w nią uwierzyć, Jiao Yu – powiedziała ze łzami w oczach.

Umysł inżyniera zawsze pracował szybciej niż umysły innych ludzi. Zamiast tracić ostatnie chwile na osłupienie lub próbę ucieczki, otworzył usta, by zaalarmować krzykiem władcę. Lecz złoty drut – drucik, który był kiedyś wieńczącym szpilkę feniksem – zacisnął mu się na gardle. Z otwartych wciąż ust Jiao dobył się jedynie zdławiony skrzek. Naczelną służką Ma trzymała krańce drutu z całych sił i zaciągała, a jej towarzyszki wyskoczyły z cienia i przytrzymały inżyniera za ręce.

Twarz Jiao oblekła się fioletem. Żyły na jego czole przypominały sękate korzenie drzewa. Był chudym uczonym, więc połączone siły czterech kobiet powinny wystarczyć do utrzymania go w ryzach, lecz świadomość zbliżającego się końca obdarzyła go świeżą, zaskakującą energią. Gwałtownym ruchem machnął głową do tyłu, trafił służącą z drutem w nos, po czym zaczął się szamotać to w jedną, to w drugą stronę, niczym bawół usiłujący rozpędzić wilczą watahę. Wargi miał rozchylone w niemym ryku.

Roztrzęsiona Ma kurczowo zaciskała palce na rąbkach narzutki. Ileż razy to robiła: jak wiele razy patrzyła na umierającego człowieka i modliła się, by kres nadszedł jak najszybciej? Jedyna



różnica polegała na tym, że teraz nie zanosila modłów ze względu na jego dobro. Rozpaczliwie, szaleńczo pragnęła, by Jiao wreszcie się poddał. By umarł. Każda kolejna chwila była chwilą, w której mógł się obudzić wielki chan, w której gwardziści mogli zacząć się zastanawiać, dlaczego zawinięcie małżonki w dywan trwa tak długo...

Kobiece trzewiki szurały na drewnianym parkiecie. Oczy Jiao wychodziły z orbit. Czerwień zalała białka. Rzucił się naprzód, lecz zaraz pośliznął się, szarpnięty przez służki, i poleciał do tyłu. Wtedy wszyscy razem, cała pozbawiona równowagi ludzka masa zachwiała się i z głośnym trzaskiem uderzyła o długi klonowy kredens. Zadygotały ściany.

– Wielki chanie! Czy nic ci nie jest? – doleciało zza drzwi.

Naczelna służąca zacisnęła zęby, zeszywniała z napięcia i pociągnęła. Usta Jiao otworzyły się szerzej. Ma nigdy jeszcze nie widziała, by człowiek rozdziawił szczęki aż tak szeroko, w kącikach warg pojawiły się pęknięcia. Spuchnięty, pociemniały język wynurzył się z otchłani niczym wyniesione podziemnym ciśnieniem dno jeziora.

Zahipnotyzowana grozą Ma zdołała odpowiedzieć:

– To jedna z moich służących. Pośliznęła się, niezguła. Potem sama ją ukarzę.

Życie uchodziło z Jiao rwanymi porcjami. Kiedy nareszcie ugięły się pod nim kolana, służki złożyły go na podłodze. Nozdrza dziewcząt falowały w niemym wyczerpaniu. Najwyższa natychmiast zdjęła ubranie, a pozostałe zdarły z inżyniera czarną urzędniczą szatę, kapelusz uczonego, bieliznę i buty i podały wszystko towarzysze. Przebrana wymknęła się na korytarz, unikając spojrzeń gwardzistów. Według planu pełni szacunku żołnierze mieli zobaczyć jedynie profil odchodzącego żywym krokiem ministra.

Wszystkie wstrzymały oddech, po czym odprężyły się równocześnie, gdy wartownicy wymamrotali krótkie pozdrowienie, a kroki odchodzącej służki ucichły w oddali.

– Prędko! – rzuciła niemal bezgłośnie Ma do pozostałych. Ułożyła się na dywanie. Służki przetoczyły trupa Jiao do jej boku. Zaraz potem zwinęły ich oboje.

Zwłoki Jiao wciąż były ciepłe. Doznanie nie powinno znacząco odbiegać od sąsiedztwa ciała żywego człowieka. Ma jednak widziała oczyma duszy wyłącznie demoniczny, czarny język, wysuwający się coraz dalej i dalej z rozwartych szeroko ust. Miała ochotę wrzeszczeć.

Naczelna służąca wezwwała pukaniem do drzwi eunuchów. Ma usłyszała, jak uprzedza ich szeptem o większym niż zwykle ciężarze. Ostatecznie, tłumiąc stękanie, podnieśli ładunek z parkietu i wyszli na czele pochodu służących. Teraz były trzy, nie cztery, lecz te kobiety zwracały na siebie jeszcze mniej uwagi niż pałacowe meble. Żaden z gwardzistów nie doliczył się braku. Po chwili znalazły się na zewnątrz i szły w kierunku rezydencji Ma.

To był dar dziewczyny dla Zhu. Leżąc w dywanie, czując na sobie dotyk trupa, zrozumiała, że wraz z Jiao runęła w czarną otchłań jakaś ważna część jej duszy. Podobnie jak życie, które mu odebrała, ta część zniknęła i nigdy już nie miała powrócić.

朱

Zhu truchtała za panią Zhang, zmierzającą dziarskim krokiem na najwyższe piętro Sali Wiosny. Potwornie piekły ją plecy. Tego ranka wszystkie służki cesarzowej zostały wychłostane w ramach zbiorowej odpowiedzialności za tę, która była na tyle głupia, by zapomnieć zamknąć drzwi ptaszarni. Pani Zhang już wcześniej była w paskudnym nastroju z powodu doznanego noc wcześniej upokorzenia, więc kiedy odkryła, że bezcenne gołębie uciekły i zostały zabite przez łuczników wielkiego chana, jej furia osiągnęła poziom niebywały.

Ból pleców był niewielką ceną. Ponieważ Zhu nie została jeszcze pojmana przez strażników – nie dotarli do niej również

żadne alarmujące plotki dotyczące zdrowia wielmożnej Shin – założyła, że Ma zdołała przynajmniej w pewnym stopniu załagodzić wywołany przez Jiao kryzys, nie budząc przy tym podejrzeń. Niemniej nie przestawała się martwić. Czy Ma rozprawiła się ze zdrajcą ostatecznie, czy udało jej się jedynie nie dopuścić do jego rozmowy z wielkim chanem? Czy nadal krążył po pałacu, gotów w dowolnej chwili rozsadzić cały plan? Niewiadomych było tak wiele, a ona nie miała jak poznać prawdy.

Na szczycie Sali Wiosny panował chłód. W narożnikach odsłoniętego tarasu stały wielkie astrolabia oraz mechaniczny zegar. Z tego położonego na drugim piętrze punktu obserwacyjnego wzrok bez trudu sięgał poza mury Miasta Pałacu i Miasta Cesarskiego ku schludnie podzielonemu na dzielnice Miastu Zewnętrznemu. W mglisty dzień zewnętrzny mur Dadu był raczej beżowy niż złoty. Na południu ponad horyzontem niczym sztandar wznosiła się chmura kurzu.

– Jakże blisko jest Zhu Yuanzhang! – Pani Zhang wbiła w ciemny obłok nienawistne spojrzenie. – Mój mążzonek zamierza pokonać tę ostatnią przeszkodę do pełni władzy za pomocą armii, którą sama mu dałam, a jednocześnie usuwa mnie w cień?

Zhu ujrzała w wyobraźni własne wojsko. Zobaczyła Yuchuna w namiocie sztabowym. Patrząc na majaczący w oddali kurz, trudno było stwierdzić, jaka odległość dzieli w rzeczywistości jej oddziały od pozycji obrońców stolicy. Dwa bądź trzy dni, oceniła. Nie więcej niż cztery. Jeszcze cztery dni, w ciągu których musiała uważać na Jiao. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że cały jej plan przypomina stertę luźno ułożonych kamieni. Stertę, która zaczęła się chwiać, lecz miała szansę wytrwać, jeżeli nie wzruszy jej już żaden wstrząs. Niemniej jeden silniejszy podmuch, jeden nieostrożny ruch mógł doprowadzić do zawalenia całej konstrukcji.

Na dziedzińcu poniżej pojawiła się meandrująca kolumna kobiet. Zhu poczuła, że coś chwyta ją za serce. Rozpaczliwie pragnęła przytulić Ma, objąć ją i o wszystko wypytać. Zadowoliliby się choćby widokiem jej twarzy.

– Proszę spojrzeć – rzuciła sztucznie obojętnym tonem. – Wielmożna Shin.

– Rzeczywiście – syknęła cesarzowa. Przez chwilę kołysała się na swoich małych stopach, z malującym się na twarzy skupieniem godnym orła śledzącego małego króliczka. Prawdziwy przedmiot niechęci pani Zhang pozostawał wprawdzie poza zasięgiem, lecz tu miała przecież cel bardziej miękki, soczysty, błagający wręcz, by utoczyć mu krwi. Zaatakowała.

Zhu musiała niemal biec, by nadążyć. Króciutkie kroki cesarzowej oraz fakt, że jej stopy pozostawały ukryte pod rozdętą suknią, nawet gdy podrywał ją wiatr, sprawiały, że wyglądała niczym niebiańska wróżka, która dopiero co zstąpiła na ziemię. Pani Zhang wtargnęła na dziedziniec i ruszyła prosto na Ma. Dziewczyna drgnęła i błyskawicznie uklękła ze zwieszoną pokornie głową.

– Wielmożna Shin! – rzuciła półgłosem cesarzowa. – Słyszałam, że ostatnio dajesz wielkiemu chanowi mnóstwo rozkoszy.

Zhu widziała w tej chwili jedynie Ma. Jej żona nadal była piękna i wciąż otwarta w swojej bezbronności, lecz sprawiała wrażenie odmienionej jakąś nową wiedzą. Świeżo nabytym smutkiem. Kiedy Zhu uświadomiła sobie, że włosy Ma upięte są za pomocą kwiatów i prostego grzebienia zamiast szpilki z feniksem, zrozumiała.

Lecz skoro dziewczyna zużyła swoją jedyną broń na Jiao... Ulga, jaką Zhu poczuła na widok Ma, naznaczona została przygnębieniem górskiego wędrowca, który przerzucił właśnie jedyną swoją drabinę ponad zdradliwą rozpadliną grodzącą drogę na szczyt i ujrzał, że następna przepaść otwiera się już kawałek dalej. Ma wciąż miała dostęp do komnat wielkiego chana, widywała go bezbronnego we śnie. Tylko co z tego, skoro nie miała broni?

Serce Zhu przyspieszyło biegu. Zostało jeszcze kilka dni. Kilka dni, w ciągu których musiała dostarczyć Ma nowy oręż, zanim Yuchun i jej armia zetną się z przeciwnikami i zostaną rozbici w puch.

Ma zerknęła kątem oka na Zhu. W jej spojrzeniu majaczył żal. Zhu posmutniała. Nie z powodu Jiao, lecz z powodu tego, co zrobiła

tej dziewczynie. I tego, do czego zmusi ją raz jeszcze, zanim to wszystko dobiegnie końca.

– Och, wielmożna Shin – zamruczała ze złośliwą satysfakcją cesarzowa, lekko zaskoczona, jakby nie spodziewała się otrzymać aż tak miłego sercu prezentu. – Czyżby wielki chan odebrał ci tę piękną szpilkę z feniksem? A może uznałaś, że jesteś zbyt dobra i nie musisz jej nosić? – Zhu poczuła silny skurcz żołądka: oczywiście, pani Zhang nie mogła przeoczyć braku błyskotki. – Na twoim miejscu byłabym ostrożna. Wielki chan źle znosi obrazę. Widziałaś, co spotkało tego nieboraka Bolud-Temura! A szeregowa małżonka, która pozbawiłaby władcę godności, odtrącając jego dar, mogłaby szybko stwierdzić, że jej pozycja nie jest równie pewna, jak sądziła. – Pani Zhang posłała dziewczynie koci uśmiech. – Ostatecznie męskie serca są bardzo kapryśne.

Ma pozostała opanowana, lecz Zhu zobaczyła, że groźba podziałała. Wielki chan mógł nie zwrócić uwagi na brak ozdóbki, nawet szczerozłotej, lecz nie wtedy, gdy pani Zhang miała interes w czymś odwrotnym. A gdyby Ma stanęła wobec wyboru: obrazić syna niebios albo przyznać się do zagubienia czegoś tak wartościowego jak szpilka z feniksem...

Wstrząśnięta Zhu przyglądała się żonie. Nie chciała nawet myśleć o karze, jaka mogła ją spotkać za dowolny z tych występków. Ma odpowiedziała jej widmowym uśmiechem. Zhu zrozumiała, że stara się nim pokrzepić samą siebie.

– Chodźmy już, świerszczyku – zawołała niecierpliwie pani Zhang.

Zhu nie miała innego wyjścia. Oderwała się od Ma, poświęcając jej ostatni rzut oka przez ramię. Cokolwiek stanie się teraz pomiędzy Ma a wielkim chanem, wydarzy się wyłącznie między nimi. Zhu była całkowicie bezradna.

Mimo że wstał już nowy dzień, a eunuchowie mieli wkrótce przyjść, by odnieść wielmożną Shin i przygotować go do spotkań, pozwolił sobie spędzić w otoczonym zasłonami łóżku kilka chwil dłużej. Oto znalazł się w świecie wewnątrz świata, równie intymnym jak ten zamknięty w kropli wody trwającej na leśnym liściu. Obok spoczywało wygięte niczym sierp księżycy ciało wielmożnej Shin. Głowa dziewczyny opierała się na solidnej podstawie ramienia. Wydawała się niecodziennie zamyślona. Niemal słyszał, jak pracuje jej umysł.

– Czyżby cesarzowa znów ci dopiekła? – Kiedy dziewczyna się odwróciła i spojrzała mu w oczy, ze zdziwieniem ujrzał malujący się na jej twarzy lęk. – Więc mam rację. – Zmarszczył czoło. Był na siebie zły. Wielmożna Shin zazwyczaj była przy nim tak spokojna i zrównoważona, że nie przyszło mu do głowy, iż może się obawiać jego niezadowolenia. – Przejęłaś się sprawą tej szpilki? Prawda, cesarzowa prosiła, żebym ukarał cię za to, że przestałaś ją nosić. Twierdzi, że wielki chan nie powinien tolerować takiej zniewagi ze strony zwykłej małżonki. Podobno zagraża to mojej reputacji w najpoważniejszy sposób.

Widząc, że dziewczyna sztywnieje jeszcze bardziej, dodał z rozbawionym zniecierpliwieniem:

– No proszę cię! Nie mogłaś chyba pomyśleć, że każę cię zatłuc na śmierć z powodu byle świecidełka. A czy moją reputację można zszargać jeszcze bardziej? Nie dbam o to, czy nosisz tę szpilkę, czy nie. To samo powiedziałem cesarzowej. Nie była wniebowzięta.

Wziął ją w ramiona i pomyślał, że rzeczywiście mogła obawiać się, że każe ją bić: minę miała taką, jakby miała zaraz zwymiotować.

– Skoro cesarzowa tak usilnie stara się ci zaszkodzić, wybierzmy się razem do Pałacu Letniego. Jej rozkazę zostać w Chanbałyku. Oczywiście nie sądzę, żeby wykorzystwała ten czas na przemyślenie swojego postępowania, ale my przynajmniej zyskamy kilka miesięcy spokoju.

– Chcesz wyjechać z Chanbałyku? – spytała zaskoczona. – A co z Zhu Yuanzhangiem? Jesteś pewien, że odniesiesz tak szybkie

zwycięstwo?

– Zwycięstwo? To brzmi tak, jakbym zamierzał stanąć z nim do walki. – Sam ten pomysł przepełniał go obrzydzeniem. – Zwycięstwo w zbrojnym starciu jest najmniej skutecznym ze sposobów osiągnięcia sukcesu militarnego. Z przyjemnością zrezygnuję z chwały bitewnej na rzecz rozwiązania, które pozwoli zmiażdżyć przeciwnika, zanim w ogóle zetrze się z moimi oddziałami.

Wpadający między zasłonkami promień światła lśnił coraz jaśniej. W dziwnym kontrapunkcie wzmagaly się jego mroczne przeczucia co do wypadków nadchodzącego dnia.

– Najlepszą z taktyk pozwalających rozproszyć wrogą armię jest uciąć jej głowę. Nawet najbardziej zdyscyplinowane wojsko nie ruszy do boju bez przywódcy potrafiącego natchnąć ich wizją celu walki. Przypomnij sobie, co stało się z armią Zhangów po śmierci generała Zhanga! Nie inaczej będzie w przypadku Zhu Yuanzhang. Właśnie dlatego przedwczorajszej nocy posłałem niewielki oddział z rozkazem zakradnięcia się do ich obozu i uprowadzenia go prosto z namiotu. Wczoraj otrzymałem wiadomość o powodzeniu tej misji. Dzisiaj powinni dostarczyć go do stolicy. A kiedy jego żołnierze usłyszą, jak gorące zgotowałem mu powitanie, gwarantuję, że złożą broń w okamgnieniu.

– Pojmałeś Zhu Yuanzhang? – W głosie wielmożnej Shin zabrzmiała dziwna nuta. W komnacie panował chłód, lecz między ich ciałami zebrała się nagle wilgoć, jakby dziewczyna zaczęła się pocić.

Zsunął z nich narzutę i coś przyszło mu do głowy.

– Pamiętasz tę plotkę? Że Zhu Yuanzhang jest kobietą w przebraniu? Okazało się, że to nieprawda. Moi ludzie donoszą, że posiada wszystkie narządy, jakich można się spodziewać u mężczyzny. Z wyjątkiem ręki. Aczkolwiek przyznali, że to dziwne, że ta rana go nie zabiła, bo mimo upływu tak długiego czasu wciąż nie zablizniła się jak należy i krwawi. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nie mam pojęcia, skąd ministrowi prac publicznych przyszła do głowy taka nedorzecznosc. Chciałem go nawet wczoraj

wezwać, żeby się wytłumaczył, ale eunuchowie nie mogli go znaleźć. Przypuszczają, że opuścił miasto.

– Czy śmierć Zhu Yuanzhanga jest naprawdę konieczna? – spytała wielmożna Shin głosem tak ochryłym, że zaczął się zastanawiać, czy pot nie jest objawem choroby. – Mając go w ręku, mógłbyś go zmusić, żeby publicznie uznał się za pokonanego, czyż nie?

Jej wizja zakładała dziwaczny scenariusz: taki, w którym mógłby Zhu Yuanzhang nie uśmiercić. Nie, tego nawet sobie nie wyobrażał.

– Wielmożna Shin, we mnie nie ma miłosierdzia. Dobrze o tym wiesz – odparł.

W wysokiej niebiesko-białej wazie stojącej tuż za zasłonką pyszniły się świeże gałęzie śliwy. Kanciaste, żyłkowane listki miały barwę oficjalnych szat.

– A dlaczego nie mogłoby się pojawić? – Nagła intensywność jej tonu, nadal zabarwionego dziwną chrypą, mocno go zdziwiła. – Dlaczego nie możesz postanowić stać się innym człowiekiem i okazać litości? Nie wiem, kim byli ludzie z twojej przeszłości, przez których nabrałeś przekonania, że musisz być taki, jaki jesteś. Musieli być dla ciebie ważni, choć sprawiali ci ból. Ale teraz ich już nie ma. Ty jesteś wielkim chanem. Kto na świecie mógłby cię powstrzymać przed zmianą w człowieka, jakim pragniesz być? – Rozłożyła drobną dłoń na nierównej płaszczyźnie jego mostka. Potrafił bronić się przed siłą, lecz łagodny dotyk dziewczyny przeniknął go, nie napotykając oporu. Rozpuścił ciało i sięgnął w głąb czekającej poniżej czerni, jakby kryło się tam cokolwiek wartego odkrycia. – Możesz pożegnać się z bólem, nie rezygnując zarazem z miłości.

Najgorsze, stwierdził w myślach, wpatrując się w nią z cierpiącym, rozdygotanym sercem, że ona naprawdę wierzy w to, co mówi. Pragnienie zmiany było równie bezsensowne jak rozmowa o tym. Już za późno. Rozmyślnie zanurzył się w czerń, pozwolił, by go pochłonęła, a potem pociągnął za sobą cały świat, którego stał się ośrodkiem. Zmiana była wykluczona. On już się zmienił.



– To możliwe – stwierdziła z naciskiem, jakby czytała mu w myślach. Jakim cudem miękkość może być twarda jak mur? – Wiem, że możliwe, bo dokonujesz tego wyboru za każdym razem, kiedy spotykasz się ze mną. Nie krzywdzisz mnie. Nie jesteś wobec mnie okrutny.

To jednak nie miało żadnego związku z przyszłością. Człowiek, jakim stawał się przy niej, należał do przeszłości. Był tymczasowo wskrzeszoną osobą, która posiadała kiedyś imię, osobą zdolną niegdyś do kochania i bycia kochaną. Cieniem. Wspomnieniem.

– Nic z tego, co dzieje się tutaj, nie jest prawdziwe – powiedział zboląłym głosem.

Spięła się i odniósł nagle wrażenie, że się wycofała. Zaboląło, choć nie do końca rozumiał dlaczego. Zaraz potem uświadomił sobie, że chciał, by zaprotestowała, zaprzeczyła. Na przekór wszystkiemu, co wiedział o sobie i świecie, wciąż chciał, by dziewczyna powiedziała, że także tutaj wszystko jest prawdziwe; że prawdziwe są jego uczucia. Nieświadomie żywił nadzieję na to, co niemożliwe, i trwał w tej nadziei do chwili, w której pękła niczym miazdzone żarnami nasionko.

Jakiż był głupi! Oderwał się od dziewczyny i wstał.

– Nie myśl, że to miłość. Nie dlatego wzywam cię co noc – warknął. – Jesteś dla mnie poręcznym środkiem nasennym, wielmożna Shin. Niczym więcej.

Nieustępliwe wyczerpanie nawet z tych słów uczyniło kłamstwo. Tak bardzo przywykł do porządnego snu, że teraz jedna nieprzespana noc mogła całkowicie wytrącić go z równowagi. Kiedy o tym pomyślał, opadł go nagły niepokój. Nie umiał stwierdzić, czy wzbudził go jakiś powidok złego snu, czy może coś, co usłyszał, a teraz nie potrafił sobie przypomnieć. Nie wczorajszego wieczora, kiedy dostał wiadomość o pojmaniu Zhu Yuanzhang, lecz...

– Noc ucieczki ptaków. Czy kiedy spałem, wydarzyło się coś jeszcze? Coś dziwnego? Wydawało mi się wtedy, że słyszę... – wyteńczył pamięć, coraz bardziej przekonany, że dręczy go rzeczywiste wspomnienie, nie obrazy ze snu – jakichś ludzi. Kiedy obudziłem się

rano, ciebie już nie było. A potem znalazłem... – Pamiętał, jak trafił bosą stopą na coś kleistego. Spojrzał pod siebie i zobaczył coś, co mocno nim poruszyło. – Krew.

Drgnęła i kiedy na nią spojrzeł, przepełniła go pewność, pewność wypływająca z czarnych odmętów jego duszy, w których unosiło się to, co w nim najgorsze, to, co kazało mu jak najgorzej myśleć o wszystkich innych ludziach. Zrozumiał, że ta dziewczyna coś ukrywa. Jej twarz, od rana niecodziennie blada, zbieleła niemal bez reszty. Nigdy jej takiej nie widział.

– Wielmożna Shin, co się wtedy stało?

Napór oceanu czerni zawęził mu pole widzenia, wypełnił uszy tak dokładnie, że w pierwszym momencie nie zrozumiał jej słów. Powtórzyła je po chwili, rozpaczliwie, jakby myślała, że rozmawia z istotą równie niezdolną do pojęcia tego zdania jak polny kamień.

– Jestem w ciąży.

Te trzy słowa zawisły między nimi. Bezsensowne, kołyszące się swobodnie na falach.

– To było tej nocy z ptakami. – Jego milczenie wpędziło ją w panikę. – Obudziły mnie, a potem chciałam znów zasnąć, ale zaczęło mnie boleć i okazało się, że krwawię. Kiedy wstałam, zakręciło mi się w głowie. Upadłam. Przestraszyłam się, że dzieje się coś złego, że może dojść do... Właśnie dlatego wyszłam tak wcześnie.

Mówiła dalej, przeproszała za zakłócenie mu snu. On jednak miał w głowie tylko jedną głupią myśl. Że to niemożliwe. Jakże mógł stworzyć, skoro uczynił z siebie żywioł zniszczenia? A tymczasem... to. Ogarnęło go przytłaczające wrażenie, że otaczający go niezmienny świat zaczął się zmieniać. Że stał się jak kotwica szarpana podmorskimi prądami po dnie w preludium chwili, kiedy szalejący powyżej sztorm wyrwie ją na dobre.

– Co się stało z... – Zakrztusił się.

Z dzieckiem. Z jego dzieckiem. To niemożliwe, jednak również możliwe, ponieważ coś się zmieniło.

Tłumaczyła, że krwawienie może się na wczesnym etapie zdarzyć, że już ustało, że w ocenie medyka wszystko postępuje

normalnie. Nie potrafił tego wszystkiego przyswoić. Potrzebował powietrza, lecz okazało się, że zastygł przerażony myślą o tym, jak może smakować następny oddech.

Pukanie do drzwi przstraszyło ich oboje. Z korytarza doleciał głos naczelnego eunucha:

– Czy niegodni mogą wejść, żeby przygotować wielkiego chana do dzisiejszych spotkań?

Tłumek czekającej na zewnątrz służby poderwał się w zdumieniu, gdy władca osobiście otworzył drzwi.

– Wasza Wysokość! Mieliśmy właśnie...

Przeszedł między nimi, ignorując błagania i namowy, którymi zachęcali, by pozwolił sobie usłużyć.

– Polećcie sługom wielmożnej Shin, żeby ją zabrali. – Nie miał pojęcia, dokąd idzie, nie miał pojęcia, co czuje. – Ja muszę... Muszę wyjść.

朱

– Nie pozwolił powiedzieć o niej jednego złego słowa! – wrzała ze złości cesarzowa, kiedy Zhu malowała jej brwi pędzelkiem z wielbłądziego włosia. Pod sufitem świergotały zamknięte w klatkach ptaki.

Zhu poczuła dziwne ukłucie. Przypomniała sobie panią Zhang z chwili, gdy przyglądała się ich armiom. Miała wtedy w oczach ogień i głód. Zhu była ambitna, lecz ta kobieta w pełni jej dorównywała. Dzisiaj pani Zhang stała się najpotężniejszą kobietą świata, a jednocześnie tkwiła bezradnie w złotej klatce, tocząc z inną batalię o status uzależniony od zmiennych kaprysów mężczyzny.

– Nawet jej nie ukarał? – zapytała.

– Tego odmówił w pierwszej kolejności. – Poirytowana cesarzowa drgnęła. – Kim ona jest? Lisim duchem, który urokiem odebrał mu resztki rozumu? Przecież jej ciało to ciało klaczy

rozpłodowej, nie kobiety, z którą spędza się całe dnie! Powinnam wezwać egzorcystę!

Zhu musiała błyskawicznie wziąć się w garść. Wiadomość o tym, że Ma uniknęła kary, przepełniła ją ulgą tak silną, że niewiele brakowało, by zadrżała jej ręka z pędzelkiem. Słuchając złorzeczeń pani Zhang, zwróciła myśli ku innym problemom. Jej armia zbliżała się coraz bardziej. Ona sama nadal nie dostarczyła Ma innej broni, nie wiedziała też, jak miałyby cokolwiek dostarczyć. Wszystko wskazywało na to, że Yuchun stanie pod Dadu już za dwa dni i wtedy musi dojść do zamachu. Może Ma mogłaby wybłagać u wielkiego chana jeszcze jedną szpilkę? Tym bardziej że nie jest na nią zły. Tylko jak się z nią spotkać i podsunąć ten pomysł?

Kiedy Zhu uporowała się już z brwiami, cesarzowa przywołała służkę ze szkatułką i wybrała z niej swoją najbardziej odświętną ozdobę głowy, rezygnując z tradycyjnych wiosną nefrytowych szpilek.

– Cóż to za okazja? – zagadnęła zaskoczona Zhu, upinając pierwsze delikatne łańcuszki.

– Być może straciłam kontrolę nad swoim wojskiem – rzuciła pani Zhang z goryczą – ale wciąż otrzymuję raporty o ich poczynaniach. Wielki chan nie czekał, aż armie się spotkają. Posłał niewielki oddział, który wczorajszej nocy pojmał Zhu Yuanzhang żywcem. Egzekucja została zaplanowana na dzisiejsze popołudnie. Syn niebios rozkazał go stracić zaraz po przyjeździe do miasta.

Zszokowana Zhu zbyt mocno napała na szpilkę. Ukłuta cesarzowa wrzasnęła, poderwała dłoń do ciosu, lecz rozmyśliła się i obdarzyła dziewczynę wielkodusznym uśmiechem.

– Jak widzę, to koszmarnie kalectwo odebrało ci zręczność! Ale wybaczam. Musisz być ogromnie zaskoczona. Dzisiaj nareszcie zobaczysz, jak Zhu Yuanzhang cierpi za swoje czyny.

Zhu ledwie słuchała. W jej głowie wirowały przerażone myśli. Nie chodziło jedynie o to, że Yuchun dostał się do niewoli i wieźli go właśnie do stolicy, gdzie szykowano dla niego bez wątpienia najbardziej widowiskową kaźń, jaką zdołał wymyślić wielki chan.

Skoro Mongołowie, którzy uprowadzili Yuchuna, nie zorientowali się od razu, że mają w rękach niewłaściwą osobę...

Ujrzała wszystko oczyma duszy. Yuchun, kiedy zdał sobie sprawę, że wrogowie dostali się do obozu i chcą go pojmać jako Zhu Yuanzhangą, odrąbał sobie prawą dłoń. Po to, by nie wyszli z błędu.

Ogłuszyła ją potężna fala smutku. Zalała ją i zmieszała się w jedno rozkołysane morze bólu z żalobą po śmierci Xu Da. W odróżnieniu od Zhu, która z mieczem radziła sobie znośnie, lecz nigdy w tej dziedzinie nie celowała, Yuchun był najbardziej utalentowanym szermierzem swojego pokolenia. Zhu osobiście kazała mu trenować; widziała, że dla chłopaka największą rozkoszą jest wykorzystywanie pełni potencjału ciała. Teraz poświęcił dla niej bezcenną prawą rękę – a już za kilka godzin miał złożyć ofiarę największą i oddać za nią życie.

Ale...

Błędząca we mgle bólu dziewczyna uświadomiła sobie, że przecież Yuchun nie jest nią. Wielki chan pojmał go, zakładając, że koszmarna publiczna egzekucja Zhu Yuanzhangą zada decydujący cios morale ciągnącej na Dadu armii. Że żołnierze załamią się i uciekną. Jednak to było błędne założenie. Wielki chan myślał, że ma w rękach prawdziwą Zhu, ale jej armia знаła prawdę. Wiedzieli, że ich kandydat do tronu wciąż żyje.

Gdyby Zhu pozwoliła Yuchunowi umrzeć, jej wojsko nie poszłoby w rozsypkę. Oddziały wciąż, zgodnie z planem, maszerowałyby na Dadu, a sama Zhu miałaby swoje dwa dni na zdobycie broni dla Ma. Dwa dni, które dałyby pewność, że Ma wykona swoje zadanie jak należy i bezbłędnie.

Na wcześniejszym etapie życia Zhu dokonałaby tego wyboru bez żadnych wątpliwości. Teraz się jednak zawahała. Myślała o cierpieniu nieszczęsnego Xu Da, o podarowanej jej przez Ma śmierci Jiao. Pomyślała o Yuchunie, dla którego wielki chan przyszykował z pewnością koszmarną torturę, być może rozciągniętą na wiele pełnych wrzasku i bólu dni. Czy poddany

każni chłopak nadal powiedziałby, że dokonał tego wyboru z własnej woli? Że jest to jego dar, prezent pozwalający Zhu wygrać?

Kiedy tak stała wstrząśnięta za plecami pani Zhang, w okrągłym okienku przepierzenia pojawiła się zdyszana służka.

– Cesarzowo! Dopiero co widziałam w ogrodzie wielmożną Shin!

– Czy ta informacja powinna mnie interesować? – Pani Zhang rzuciła dziewczynie kolczaste spojrzenie.

Służąca jednak wcale się nie spieszyła. Aż dygotała z tłumionych emocji.

– Wymiotowała między krzewami! – rzuciła tonem świadczącym, że jest w pełni świadoma doniosłości swoich słów.

Zhu drgnęła raz jeszcze, lecz tym razem cesarzowa tego nie odnotowała. Poderwała się tak gwałtownie, że zwisające z jej włosów perły zagrzechotały niczym grad.

– Zabierzcie mnie do niego – rzuciła głosem przeraźliwym jak armatni wystrzał.

朱

Pani Zhang wchodziła pospiesznie po schodach Pałacu Księżyca, wyłożonej lustrami pagody, strzelającej niczym róg qilina pośrodku wyspy leżącej w centrum jeziora Miasta Cesarskiego. Zhu i pozostałe służące szły w ślad za swoją panią. Wypełniająca świątynię woń kadzidła i polerowanego drewna powiązana z bólem zmęczonych wspinaczką nóg i płuc przywiodła dziewczynie na myśl lata nowicjatu. Zhu przez całe życie pogardzała nostalgią, lecz w tej chwili ogarnął ją niespodziewany smutek. Nie żałowała samego klasztoru Wuhuang, lecz jedynej drugiej osoby, która pamiętała to unicestwione miejsce. Teraz wszystkie te wspomnienia należały wyłącznie do niej, spoczywały w jej sercu niczym sutry w pustym w środku złotym posągu buddy stojącym na parterze świątyni.

Wielki chan czekał na balkonie okalającym najwyższe piętro pagody. Skupiony był na głównej południowej bramie zewnętrznego muru, tej, która miała wpuścić do miasta pojmanego Zhu Yuanzhanga.

Rozciągające się cztery piętra niżej jezioro pozbyło się już ostatnich śladów zimowej kry. Tereny łowieckie Miasta Cesarskiego stanowiły morze obsypanych białym i różowym kwieciem drzew, otoczony murem sen o bujnej zieleni, ostro kontrastujący z szarością pozostałych części Dadu i wypełniającą południowy horyzont armią. Kilka zabłąkanych płatków tańczyło wokół wykutego na kształt lotosu, strzelistego kwiatonu świątyni. Pobrzękiwały żelazne dzwony, jakimi obwieszono były wszystkie dachy pagody, ich melodyjny chór łączył się z płatkami we wspólnej próbie dotarcia do niebios.

Wielki chan odwrócił się i spojrzał na nadchodzącą panią Zhang, całkowicie nieprzejęty jej zwiastującym wściekłą burzę krokiem i spojrzeniem.

– Bądź pozdrowiona, cesarzowo i żono.

Władca był wyższy, niż wydawało się dotąd Zhu. Zwróciła na to uwagę, kiedy małżonkowie stanęli blisko siebie. Wrażenie to potęgował czarny strój, którego barwa zdawała się pochłaniać raczej, niż uwydatniać wyszyte na nim złote smoki, oraz otoczony złocistą siateczką koczek. Inny człowiek w tym ciele, stwierdziła w duchu dziewczyna, mógłby mu przydać męskiego wyrazu. Jednak Wang Baoxiang ani trochę nie był zainteresowany kreowaniem się w ten sposób. Jego zniewieściałość stanowiła wyrachowany, przemyślany argument.

– Czy to prawda? – rzuciła cesarzowa podniesionym wskutek tłumionej furii głosem. – Czy wielmożna Shin jest w ciąży?

– Wiele na to wskazuje – odparł wielki chan, unosząc sardonicznie brwi.

– Czy godzi się tak mnie traktować? Mnie, która dałam ci wszystko? Masz moją armię, moją lojalność. Dostałeś ode mnie tron!

– I jestem za to wdzięczny. Dlaczego jednak przejmujesz się losami wielmożnej Shin? Jesteś wszak cesarzową. Nigdy ci tego tytułu nie odbiorę. Czy nie tego właśnie pragnęłaś?

Pani Zhang wręczyła mu do rąk cały świat, a on w zamian dał jej dokładnie to, o co prosiła. Brak zainteresowania faktem, że zdała sobie sprawę, iż jej cel jest pustą wydmuszką, wydawał się największym z możliwych okrucieństw.

Wielki chan, ewidentnie uważając sprawę za zamkniętą, zwrócił się do sług:

– Przejdziemy teraz do Sali Wielkiej Światłości. Chciałbym udzielić Zhu Yuanzhangowi audiencji przed jego straceniem. Powinien mieć szansę zobaczyć twarz człowieka, który pokonał go w wyścigu do tronu. – Kiedy opuszczali balkon, ani on, ani żaden z jego służących nie poświęcili cesarzowej nawet jednego spojrzenia. Zhu usłyszała jeszcze skierowane do naczelnego eunucha polecenie: – Pojedź przodem i przekaż wielmożnej Shin, aby przygotowała się, żeby do mnie dołączyć. Chcę, żeby mi towarzyszyła, kiedy nareszcie położę temu kres.

W tej chwili Zhu zrozumiała, co może zrobić. Zupełnie jakby przepełniła ją eksplodująca światłość; jakby iskra spadła na stertę słomy, rozpalając jej trzewia ogniem ekscytacji. Przez cały czas zastanawiała się nad bronią, a tymczasem okazja, jakiej potrzebowała, nie zależała wcale od broni. Zależała od samej Zhu, z punktu widzenia wielkiego chana równie niewidocznej jak oglądana od strony szpica igła, zależała też od Ma: dziewczyny, której władca tak ufał i którą tak kochał, że chciał ją mieć u boku w chwili swojego ostatecznego triumfu.

Pani Zhang, porzucona na balkonie przez wielkiego chana, osunęła się na kolana niczym wzgardzona lalka. Klęczała, lejąc łzy gniewu i rozpacz. Ten moment, gdy cesarzowa zatoneła w emocjach, był dla Zhu szansą. Mogła się wymknąć i wrócić do Miasta Pałacu.

Nie zrobiła tego. Nieznane uczucie zatrzymało ją przy zapłakanej kobiecie. Pani Zhang pragnęła tak gorąco. Walczyła tak



zaciekle, lecz nie przewidziała, że pozostając w złotej klatce, nigdy nie osiągnie prawdziwego zwycięstwa.

– Zostawcie powóz – Zhu zwróciła się do pozostałych służek z władczym spojrzeniem, któremu zmieszane uległy. – Odwiozę ją, kiedy będzie gotowa.

Dziewczyna czuła płacz cesarzowej we własnym ciele, czuła go tak samo jak ból Xu Da. Nieprzyjemne doznanie, którego wolałaby nigdy nie poznać, lecz nawet nie spróbowała go odepchnąć. Wiatr przyniósł ze sobą tuman świeżych płatków, w powietrzu znowu popłynęły dźwięczne głosy dzwonów.

– Nawet gdyby na tronie zasiadł generał Zhang, również zostałabyś odsunięta na bok – powiedziała Zhu półgłosem. – Być może zrobiłby to później niż ten wielki chan, ale kiedyś z pewnością by się to stało. Wtedy gdy zdałby sobie sprawę z oczywistego faktu. Że żadna ilość herbatki na płodność nie zdoła zasiać potomka w łonie kobiety zbyt starej, żeby rodzić.

Poruszona do żywego pani Zhang poderwała głowę i spojrzała dziewczynie w oczy.

– Generał Zhang posiadał mandat – ciągnęła Zhu – ale nie wydaje mi się, że zyskał go sam z siebie. Brakowało mu ambicji. Otrzymał go wyłącznie dlatego, że to ty popchnęłaś go w tę stronę. Najbardziej w całej tej historii zasmuca mnie jedno: nawet przez moment nie pomyślałaś, że sama mogłabyś zdobyć mandat niebios. Bez przerwy wynajdywałaś sobie mężczyzn, których mogłaś wywyższyć, uważałaś, że mandat może przypaść wyłącznie mężczyźnie. Nie wierzyłaś, że mógłby być twój. O tym, że tak będzie wyglądać twój los, zdecydowałaś w momencie, gdy dobrowolnie uznałaś, że twoje miejsce jest poniżej mężczyzny. I nieważne, kim byłby ten mężczyzna.

Gdzieś tam, na równinie na południe od miasta, armia Zhu rozwijała właśnie złociste sztandary.

– Kim jesteś? – spytała, poruszając bezkrywawymi wargami, cesarzowa.

– Naprawdę nie wiesz? Już się spotkaliśmy. Proponowałam, żebym przed tobą skapitulowała, a ja odmówiłam. Wiedziałam, że ustawiając się poniżej ciebie, kobiety stojącej poniżej mężczyzny, nie odniosę prawdziwego zwycięstwa.

Pani Zhang otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Nie potrafiła tych słów wykrztusić.

Stojąca nad pokonaną rywalką Zhu poczuła wewnątrz wspaniałe uczucie powrotu do prawdziwego ja. Zalała ją ekstatyczna fala emocji wywołana odzyskanym potencjałem, odtrąceniem nieszczęścia, jakim jest bycie nikim i niczym.

– Tak, jestem. Powiedz, jak się nazywam. Powiedz to, zanim obejmę tron i nigdy już nie będziesz mogła tego imienia wypowiedzieć.

– Niemożliwe... – Głos cesarzowej brzmiał tak, jakby wypowiadając to słowo, naciągnęła jakiś mięsień. – Mandat niebios ma Zhu Yuanzhang.

– Dlaczego niemożliwe? Bo nie jestem mężczyzną? – Zhu wyciągnęła rękę i pozwoliła, by na jej dłoni zatańczył biały płomyk. – Zdobyłam mandat, dlatego że uwierzyłam, że mogę to zrobić.

Zgasiła światełko, lecz nie cofnęła ręki. Podała ją cesarzowej, chciała pomóc jej wstać.

– Pozwól, że odwrócę ofertę, jaką mi kiedyś złożyłaś. Poddaj się i przyłącz się do mnie, kiedy wstąpię na tron.

– Przyłączyć się? – rzuciła z dzikim spojrzeniem pani Zhang, która przypomniała sobie właśnie o gniewie. – Przyłączyć się do kogoś, kto nie jest ani kobietą, ani mężczyzną? Do kogoś gorszego od eunucha, gorszego dlatego, że świadomie nie zajmuje miejsca wyznaczonego mu przez same niebiosa? Człowiek nie na swoim miejscu jest zaledwie zwierzęciem! Jakże miałabyś kiedykolwiek zasłużyć na tron?

– Sama wyznaczam sobie miejsce. – Zhu spojrzała ponad mury Miasta Pałacu, tam gdzie połyskiwał klejnotami dach Sali Wielkiej Światłości. Spojrzała ku sercu świata, gdzie było jej miejsce. – A jeżeli tryby świata mi na to nie pozwolą, zmienię też świat.

Cesarzowa parsknęła śmiechem, surowym i straszliwym. Zhu przez mgnienie widziała w głębi jej oczu trwogę, ukrytą pod warstwą zaprzeczenia i wyparcia. Zaraz potem jednak strach zniknął, a pani Zhang rzuciła się na Zhu z pazurami, sycząc przy tym jak kotka.

Paznokcie cesarzowej przejechały dziewczynie przez czoło, lecz Zhu błyskawicznie wykręciła się w bok. Szaleńczy pęd pani Zhang okazał się siłą zbyt wielką dla jej małych stóp. Podbiegła niezbornie naprzód, potknęła się i zderzyła z barierką, gdzie znieruchomiała na moment, wymachując ramionami, jakby szukała w sobie determinacji pozwalającej pokonać grawitację.

Spadła.



Zhu podbiegła do balustrady i spojrzała w dół. Po piekącym czole prosto do lewego oka spływał jej szeroki strumień krwi i cały

świat widziała przez przejrzystą szkarłatną zasłonę. Wywołany widokiem wstrząs ranił ją równie głęboko jak żal. W dole na skałach, pod pięcioma dachami pagody, z których żaden nie wyciągał się tak daleko, by zatrzymać spadającą kobietę, leżało pogruchatane ciało, przypominające strzaskaną dziecięcą lalkę: nieskazitelny makijaż, maciupkie trzewiki, które spadły przy uderzeniu, skrzące się we włosach perły, tak piękne w promieniach wiosennego słońca.



Sala Wielkiej Światłości (Dadu)

**K**iedy Ma weszła do Sali Wielkiej Światłości, wielki chan zszedł z rzeźbionego w złote smoki tronu, a kiedy uklękła, ujął ją za dłonie i powiedział:

– Wstań. Cieszę się, że dotrzymasz mi towarzystwa, wielmożna Shin.

Ponieważ czuwający przed wrotami gwardziści dokładnie sprawdzili, czy nie ma przy sobie ukrytej broni, dziewczyna wiedziała, że zostanie władcę samego. Po zamknięciu drzwi wnętrze zatoneło w niemal zupełnym mroku. Księżycze latarni rzucały na posadzkę pojedyncze, wyraźnie ograniczone plamy światła. Wielki chan zerknął na ściany. W tak słabym świetle kute srebro przygasło i przypominało cynę, lecz Ma widziała w nim wyłącznie zdeformowane odbicia ich dwojga. Umiała już odczytywać nastroje władcy na tyle dobrze, że wiedziała, iż nie cierpi tego miejsca. Co takiego tu widział? Zastanowiła się nad tym i zadrżała.

– Wielki chan się cieszy? Sądziłam, że spotkam się z jego gniewem. Za...

Nie potrafiła dokończyć. Żal i wyrzuty sumienia były zbyt gęste, bolało ją od nich serce. Nie powinien był dowiedzieć się o dziecku. Gdyby nie Jiao, nigdy by do tego nie doszło. Tę tajemnicę jej ciało powinno ponieść daleko poza tę straszliwą chwilę, zabrać ją w przyszłość, która nie miałaby żadnego związku z nim.

– Nie. Nie gniewam się. Przyznam však, że wiadomość mocno mnie zaskoczyła. Już sama myśl, że mogę zostać...

Ścisnął dłonie Ma tak mocno, jakby przestraszył się, że dziewczyna za moment zniknie. Jego ręce były niesłychanie kobiece, palce miał tak kształtne i wdzięczne, że niezmiennie i nieodparcie wabiły spojrzenia Ma. Teraz jednak, kiedy zamknął jej dłonie w swoich, uderzyło ją, jak są duże. Mimowolnie przypomniała sobie pogodną, sprężystą przyjemność, jaką sprawiało jej splatanie palców z Zhu i towarzyszące temu doznanie intymnej tożsamości pasujących do siebie rozmiarem, niewielkich dłoni.

– Własnego ojca, ojca krwi, nie poznałem – zwrócił się do ich złączonych rąk. W tej chwili, gdy spoglądał w dół, jego nanreńskie rysy nie były tak wyraźne, uwidaczniał się za to kształt obdarzonych pojedynczą powieką oczu. Ma nie zauważyła, by kiedykolwiek splatał włosy w mongolskie warkoczyki, lecz teraz umiała to sobie wyobrazić. – Praktycznie rzecz ujmując, moim ojcem był książę Henanu. Przygarnął mnie, wychował, był wobec mnie wymagający jak ojciec. Nigdy nie zapomniał, że nie jestem jego prawdziwym synem, ale który mężczyzna nie miałby nadziei, że wychowane przez niego dziecko stanie się uosobieniem cnót, które on ceni, i na starość da mu powód do dumy? Ostatecznie to mój brat okazał się tym wspaniałym. Książę sądził, że gdybym tylko spróbował, udałoby się i mnie, dlatego że udało się przecież Esenowi. I dlatego mnie odtrącił.

Słudzy ogolili go tak dokładnie, że na żuchwie nie sposób było wypatrzeć choćby jednej drobinki zarostu. Naśladowane kształtem mandalę kolczyki opadły na przód i zamigotały niczym łązy z pereł i złota. Piękne, lecz męskie. Ma nosiła w sercu wspomnienie własnego ojca – wywodzącego się z ludu semu – który dawno temu

w tym samym mieście zakładał kolczyki do generalskiej zbroi. Niemniej ponieważ wszyscy zwolennicy Zhu byli nanrenami, jedynymi znanymi Ma osobami noszącymi kolczyki były kobiety. Wyrastające z czterech zachodzących na siebie kołnierzy gardło wielkiego chana kryło się w cieniu jak kwiat orchidei.

– Tak więc i ja go odtrąciłem – podjął półgłosem władca. – Jego, a także swojego brata, za to, że był taki, jakim pragnął go widzieć ojciec. Za to, że ucieleśniał wszystko, co obaj kochali i cenili. Dlatego właśnie myśl o ojcostwie... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Odrzucałem wszystko, co oni mi zachwalali, więc zrezygnowałem i z tego. – Zamilkł na krótką chwilę. – Ale potem pojawiłaś się ty...

Przeciągnął kciukiem po grzbiecie dłoni Ma. A następnie, łamiąc zdumionej dziewczynie serce, uśmiechnął się. Uśmiech jednak okazał się nietrwały: gdy górna warga dotknęła krzywego kła, władca zdał sobie sprawę z tego, co robi, i natychmiast spoważniał. Odniosła wrażenie, że się zawstydził, zupełnie jakby przyłapała go na robieniu czegoś bardzo głupiego. Reakcja była tak normalna, świadcząca o zwyczajnej ludzkiej wrażliwości, że jej serce odpowiedziało czułym, zbolałym drgnieniem.

– Uczyniłem z siebie ziarno zniszczenia i uznałem, że do niczego innego się nie nadaję. Wydawało mi się, że skoro zatopiłem świat we własnym nieszczęściu, pozbawiłem się również tego, co zawsze w sobie ceniłem: zdolności tworzenia. Nie mogłem niczego dobrego napisać, przestałem malować. A wtedy ty obdarzyłaś mnie tym prezentem, wielmożna Shin. Darem nowego pokolenia, nadzieją, że sprowadzę na świat coś innego niż cierpienie i rozpacz. Nie mogę odmienić przeszłości ani niczego, co zrobiłem. Nie napiszę historii na nowo, ale mogę zbudować nową przyszłość. Dlatego właśnie chciałem, żebyś mi tutaj towarzyszyła, w chwili końca. Dzisiaj nastanie nasz nowy początek.

W tym momencie Ma straciła nad sobą panowanie. Rozplakała się. Nie ze szczęścia, jak uznał władca, lecz dlatego, że to samo od zawsze powtarzała Zhu. To właśnie dzięki Zhu nauczyła się, że każdy nowy początek zawsze ma swoją zapowiedź w ostatnim



straszliwym czynie. Poczwała się żałośnie wdzięczna, że teraz ten czyn nie musiał już być jej czynem. Serce wciąż jej pękało, gdyż na twarzy chana malował się uśmiech – tym razem trwalszy i zaskakujący jego samego, ponieważ radość wydawała mu się czymś niemożliwym. Ma rozumiała jednak, że nawet jeżeli postanowią z Zhu sprowadzić to dziecko na świat, on nie zostanie jego ojcem. Nie otrzyma szansy ujrzenia wyobrażonej przez siebie nowej przyszłości.

Powiedział coś w języku, którego nie znała.

– Czyżbym źle wymówił? – spytał z rumieńcem wstydu, widząc malującą się na twarzy dziewczyny konsternację.

Zamiast powtarzać, uniósł jej twarz ku swojej i pocałował ją. Odwrócony porządek: pierwszy pocałunek, łagodna pieśczoła zamkniętych warg, choć ich ciała łączyły się już na odmienne sposoby. Niemniej intymność chwili poruszyła Ma do głębi. Teraz naprawdę był sobą, zupełnie inaczej, niż kiedy dokonywał prostej inwazji jej ciała. Poznała charakter jego ust: cienkich warg, które szczyrzyły się, zaciskały w gorzkiej, wywołanej okrucieństwem rozkoszy, lecz które zawierały również potencjał tego wstydlwego uśmiechu ukazującego krzywy ząb. To jego prawdziwego poczuła w ciepłym naporze ust szepczących słowa, jakich nie chciała słyszeć. Jego uczucia wypełniały niemożliwą do zasypania ziejącą między nimi przepaść, otchłań, o której istnieniu on nie miał pojęcia. Pocałunek był ciepły, lecz równocześnie martwy. Był pocałunkiem rozdierającym serce, pocałunkiem bez przyszłości. Nie miał w sobie natarczywego głodu, w jakim łączyły się usta Ma i Zhu. Brakowało w nim emocji, które pozwalały Ma w drobnych, ciekawskich wargach Zhu i szklстым posmaku jej zębów odnajdować za każdym razem więcej siebie. Nie sprawiał, że z każdą chwilą tego wzajemnego poszukiwania i odnajdowania łączyli się bardziej i dopasowując się do siebie, czuli coraz silniejszy dreszcz.

Trącił nosem miękkie włosy tuż przy jej uchu. Nawet kiedy się w niego wtuliła, nawet gdy ich twarze zbliżyły się w intymnej

wspólnocie, wielki chan był sam. Był sam wciąż i niezmiennie, ponieważ wielmożna Shin nie istniała.

– Wielki chanie!

Na jego ziemiste policzki wystąpił rumieniec, odsunął się. Nie oderwał jednak od Ma spojrzenia, nawet kiedy zawołał do czekających za drzwiami strażników.

– Macie Zhu Yuanzhanga? – spytał.

– Jeszcze nie, wielki chanie. Ale jest tu jedna ze służek wielmożnej Shin. Twierdzi, że przyniosła lek na mdłości, o który prosiła wielmożna.

Zhu musiała tu przyjść. Nadeszła niczym żywioł, niczym przeznaczenie; niczym nieuchronny początek przyszłości, tej przyszłości, której Ma pragnęła. Jednocześnie dziewczyna rozumiała, że ta sama nadciągająca przyszłość zmiecie swoją potęgą wszystko inne. Zgasi swą niszczycielską jasnością tę jedną słabiutką iskierkę, która dopiero co zamrugła w ciemności.

– Wielmożna Shin? – Syn niebios czekał, by potwierdziła.

Żal nie pozwalał jej mówić. Skinęła głową i poczuła ostatnie muśnięcie jego ręki, lekki nacisk palców rozplatających się dłoni, którym obiecywał, że to nie koniec.

– Niech wejdzie – rzucił wielki chan, siadając z powrotem na tronie.

朱

Zanim wpuścili ją do sali, gwardziści kazali Zhu upić łyk medykamentu. Odebrali jej protezę. Wiedziała, że zmierzy się z wielkim chanem, nie dysponując niczym poza własną osobą. Weszła do środka i pozwoliła oczom przywyknąć do nowych warunków. Otoczyła ją okropna ciemność, czerń jak w grobowcu lub pod ziemią. W wyzutej ze światła sali ozdobne mgielki wiosennych listków stojących w wazach gałązek straciły całą swą intensywność.

Mimo że pustkę maskowały potężne, pokryte rzeźbionymi smokami kolumny, stała między nimi tylko jedna osoba. Szerokie spódnice tradycyjnego stroju z Goryeo, jaki miała na sobie Ma, nie były już skromnie pastelowe, jak u niżej postawionej żony. Dziewczyna nosiła godny królowej granat, obrębiony szkarłatnymi wstążkami. Zupełnie jakby wielki chan polecił jej ubrać się stosownie do chwili jego triumfu. Mijając dziewczynę w drodze do tronu, Zhu zauważyła jednak, że strój to jedyny odświętny akcent postaci Ma. Twarz miała popielatą. Dłonie ukryła głęboko w sztywnym jedwabiu sukni, jakby tylko w ten sposób mogła powstrzymać ciało przed upadkiem. Na widok odciśniętego na jej twarzy nieszczęścia coś chwyciło Zhu za serce. Tak, Ma została oszczędzona, nie musiała zabić władcy własnymi rękoma, lecz wydawało się, że zdrada boli ją niemal równie dotkliwie. To już koniec, Yingzi, pomyślała do niej Zhu. Jeszcze tylko to i naprawdę będzie po wszystkim.

Zhu zatrzymała się u stóp prowadzących na tron schodów i podniosła wzrok na czytającego coś wielkiego chana. Jako służąca, nie była godna jego uwagi. Większym zainteresowaniem obdarzyłby zapewne kręcącego się w pobliżu psa. Dopiero szkliste dzwonięcie, z jakim otarły się o siebie ich mandaty, sprawiło, że spojrzał na stojącą przed nim dziewczynę. Zmarszczył czoło.

Wyczuła wzbierającą w synu niebios żądzę ukarania. Nie tylko ewidentnie wykroczyła poza swoje naturalne miejsce, lecz co gorsza, miała czelność wtargnąć do jego świadomości.

– Czekales na mnie – powiedziała.

Bezczelne pominięcie tytułu stanowiło świętokradczą sugestię, że mogą być sobie równi. Odebrał to tak, jakby splunęła mu w twarz.

– Czy śmieć oszalał, że zwraca się do wielkiego chana w ten sposób? Masz szczęście, że darzymy twoją panią sympatią, bo inaczej kazalibyśmy obdrzeć cię ze skóry! Zostaw lekarstwo i wyjdź.

Zhu wypuściła miseczkę z ręki. Naczynie odbiło się od posadzki, a jego zawartość chlusnęła i rozlała się w kałużę widoczną na

czarnych kamieniach jedynie jako refleks. Odbicie jaśniejsze, niż powinno, ponieważ nie odbijało wyłącznie nikłego światła lamp, lecz także blask licznych białych sylwetek. Kałuża przypominała otwór, przez który widać jasne niebo jakiegoś odległego miejsca. Sama miska toczyła się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie znieruchomiła u stóp szczególnie bladej postaci.



Białe łachmany Ouyanga sprawiały wrażenie tym bardziej okropne, że Zhu doskonale pamiętała, jak szczyił się niegdyś swoją wspaniałą zbroją i sztywnym, nieskazitelnym strojem pod spodem. Generał stał z pochyloną głową, splątane włosy przesłaniały mu twarz. Zhu zadrżała, przypomniała sobie krwawą złośliwość i obnażone zęby głodnych duchów i ucieszyła się, że nie widzi jego ust. W dłoni wciąż ścisnął rękojeść złamanego miecza, jakby nawet po śmierci nie mógł go wypuścić.

Ze zjawy niemym skowytom emanował ból. Właśnie to obłąkane, wściekłe, przepelnione żalobą widmo wyczuła za pierwszym razem, kiedy stanęła w tej sali. I teraz ta koszmarna istota napierała na nią niczym morski pływ, z taką siłą, że dziewczyna poczuła ochotę, by się skulić, gdyż tylko tak mogłaby uniknąć jego głodu. Zawsze dotąd czuła łączącą ją z Ouyangiem więź podobieństwa. Teraz jednak ta więź łączyła ją z czymś martwym – czymś potwornym – i groza wzbierała w niej mdlącymi falami.

Zhu rzuciła okiem na wielkiego chana w porę, by ujrzyć moment, w którym uświadomił sobie, na co patrzy bezczelna służka. Co potrafi zobaczyć.

Przeszył ją ostrym, bezpośrednim spojrzeniem. Zauważył zbyt luźny, nieskrywający ręki rękaw; niepasującą służącej śmiałość. Natychmiast, bez jednej chwili niedowierzania, zrozumiał, z kim ma do czynienia. Zapadnięte oblicze pozostało opanowane, lecz na policzkach zapłonął na mgnienie rumieniec zdumienia.

– Zhu Yuanzhang. – Każdą głoskę jej imienia wypowiedział tak precyzyjnie, jakby wypisywał je w powietrzu wyraźnymi czarnymi znakami. Jakby zapisywał treść przeznaczenia, które zawarła w wybranym dla siebie imieniu: że to ona stanie się nagrobkiem mongolskiego Cesarstwa Wielkich Yuanów, którego on stanowił ostatni istniejący element. – Czyli Jiao Yu nie kłamał. Bardzo ciekawe.

Złote smoki na tronie wiły się za wielkim chanem, otworzyły pyski, z których popłynęły obłoki zielonej pary wodnej. Ich cielska były splątane tak gęsto, że Zhu nie miała pojęcia, gdzie jedna bestia się zaczyna, a druga kończy.

– Przybywam wziąć to, co do mnie należy – obwieściła.

– Czyżby? – Zacisnął zbielełe palce na księdze. – Straże! Do mnie! – wykrzyknął nagle.

– Wielki chanie! – doleciał z zewnątrz stłumiony głos. Nikt jednak nie wpadł do środka. Łoskot bijących o masywne wrota sali pięści i mieczy przeobrażał się wewnątrz w donośne echo, jakby znaleźli się w czarnej pieczarze głęboko pod wodą.

– Wielki chanie! Otwórz!

Ma wciąż stała przy drzwiach, które chwilę temu zablokowała, zasuwając ciężką sztabę. Na oczach Zhu początkowa konsternacja wielkiego chana rozkwitła w pełną wściekłości na samego siebie pewność. Nie miała pojęcia, że we władcy jest cokolwiek jasnego, zrozumiała to dopiero teraz, gdy zgasło. Nadciągnęła czern.

– A więc Goryeo mnie zdradziło – odezwał się po długiej, straszliwej chwili. – Przyznaję, nie sądziłem, że zmienią stronę, nawet jeżeli zaproponujesz im niepodległość. Ich król to człowiek słabego charakteru, a zbyt wielu arystokratów wiezie pod patronatem Wielkich Yuanów wygodne i przyjemne życie.

– Nie całe Goryeo cię zdradziło. Tylko jedna kobieta, która chciała zobaczyć, jak umierasz.

– Jedna... Ach... – odparł. Władca nienawidził siebie coraz goręcej, Zhu odniosła wrażenie, że ta nienawiść zaraz przejmie nad nim kontrolę. Po chwili zdołał się jednak opanować. – Wielmożna Ki. Cóż, nie mogę powiedzieć, że nie miała powodu. Więc tu pobłądziłem – powiedział, po czym z wyraźnym wysiłkiem podniósł głos, zwracając się do stojącej w przeciwległym końcu sali Ma. – Jesteś wielką aktorką! Ale ja jestem jeszcze większym głupcem, skoro uwierzyłem, że to przedstawienie może być prawdziwe. Czy w ogóle pochodzisz z Goryeo? – Ledwie zapytał, przez jego twarz przemknął cień bólu. Odpowiedział sam sobie: – Oczywiście, że nie. Kiedy przemówiłem do ciebie w ich mowie, nie rozumiałaś ani słowa. Kim jesteś?

– Pozwól, że przedstawię ci swoją żonę, Ma Xiuying – podjęła Zhu. – Nie mam ci za złe, że poczułeś do niej sympatię. Jak nikt inny potrafi wydobywać z ludzi wszystko, co dobre. Poczułeś to, kiedy z nią byłeś? Czy czułeś, że stajesz się najlepszą wersją siebie? – Umilkła i wyciągnęła lewą dłoń. Ma podeszła i ją ujęła. Spoglądając na wielkiego chana, płakała tak gorzko, że zdawało się, iż cudem jeszcze tylko oddycha.

Na obliczu syna niebios znać było cierpienie tak ogromne, jakby już umierał. Po chwili podniósł się z tronu. Pobładł tak bardzo, że

dziw brał, iż ma w sobie dość krwi, by utrzymać ciało w pionie. Niemniej aura zaciekłości wciąż biła od niego czarnymi falami.

– Cóż, zatem się spotykamy. W jaki sposób zamierzasz zakończyć moje życie, Zhu Yuanzhangu? Nie masz broni. Oczekujesz, że padnę na podłogę, żebyś mogła nade mną przejść i odebrać mi tron? – Wydął usta w dzikim grymasie. – Aż tak szczodry nie jestem.

Mimo zniewieściałości wielki chan był od Zhu wyższy i cięższy. Prawdopodobnie też silniejszy. Co więcej, miał dwie zdrowe ręce. W brutalnym bezpośrednim starciu, w którym łokcie łamią nosy, palce dławią szyje, a wagę wykorzystuje się do miażdżenia, miał szansę zwyciężyć.

Zhu podeszła do ducha, który nadal stał nieruchomo pod ścianą, bezgłośnie trzymając swój złamany miecz. Emanujący ze zjawy chłód sprawił, że ciało dziewczyny zbiegło się wokół kości. Gdy jednak znalazła się na wyciągnięcie ręki od generała, poczuła coś znacznie gorszego. Mimo że nawet nie drgnął, wiedziała, że skupił na niej uwagę. Przypomniała sobie martwe, padające na pokład piratki, z których duchy wysały życie. A teraz zwróciła na siebie uwagę tej strasznej, wygłodniałej istoty, która nie była już nim, lecz odległym echem jego żądz zemsty.

W tym momencie ważyły się szale życia i śmierci. Zhu uświadomiła sobie, że trzęsie się z instynktownego strachu. Gdyby zjawa chciała, mogła ją zabić najlżejszym muśnięciem. Dziewczyna nie miała pojęcia, jak wiele, i czy w ogóle, duch pamięta z przepełnionej nienawiścią chwili, w której się rozstali.

– Generale – odezwała się ostrożnie – człowiek, który tam stoi, odebrał ci życie. Wiem, że nic nie wynagrodzi ci pozostałych nieszczęść, jakie na ciebie spadły. Nie naprawi twoich uczynków, nie odrobi wszystkiego, co straciłeś. Ale przynajmniej za własną śmierć czy pozwolisz, żebym się zemściła?

Wywołała swoją widmową rękę. Ducha dłoni, spowitego w biały ogień, który zawsze bolał, jakby płonął naprawdę. Teraz jednak, kiedy sięgnęła po miecz, czuła jedynie zimno. Broń była

koszmarnie lodowata. To zimno musiało pozbawić ją życiowej energii, zatrzymać jej serce. Odruchowe przerażenie podpowiadało, że jeśli zostanie tu zbyt długo, Ouyang podniesie głowę. Spojrzy na nią, a zaraz potem pożre swoimi ostrymi zębami...

Tłumiąc syk cofnęła się roztrzęsiona. Widmo złamanego miecza zostało jej w dłoni.

Zhu pamiętała ból i nicość momentu, w którym straciła rękę, pamiętała, jak potem sama wydobyła się na światło świadomości. Miecz Ouyanga był jego zemstą. To ostrze zabiło jego ukochanego. Lecz dla Zhu było narzędziem, które pozwoliło jej odkryć samą siebie. Do dziś miała tę stal w sobie. Jej ciało dobrze ją znało. A teraz, podobnie jak mandat odtwarzał kształt jej nieistniejącej dłoni, odtworzył również brakujący fragment miecza. Biała poświata wyciągnęła się naprzód i po chwili dziewczyna nie trzymała już widmowej klingi, ale broń odlaną z czystego światła.

– To nie jest prawdziwy miecz – rzucił wielki chan tonem, w którym dał się słyszeć strach. Wydawało się, że próbuje wybić sobie z głowy coś, co dobrze rozumiał od dawna: aby zranić, ostrze wcale nie musi być prawdziwe.

Zhu uniosła miecz. Światło było jej bronią, było nią samą, lśniło straszliwe jak samo słońce.

– Odwróć się, Yingzi. Znieś dla mnie tę jedną ostatnią rzecz. Ostatnią, która położy kres wszystkiemu – rzuciła Zhu.

Wielki chan nie uciekał. Nie było dokąd. Mógł jedynie osłonić ramieniem oczy przed zbliżającą się dziewczyną. Odslonięta skóra na grzbiecie jego dłoni i gdzieś na twarzy poczerwieniała i pokryła się bąblami. Miecz Zhu był coraz bliżej i bliżej. Światło jest nieważkie, lecz posiada moc i teraz ta siła rzuciła go na kolana. Władca zakrzyknął z bólu. Za plecami Zhu Ma szlochała, płakała tak żałośnie jak jeszcze nigdy w życiu.

Zniszczenie Chena przysporzyło Zhu specyficznej, ponurej satysfakcji. Z pewnością cieszyła się, wyobrażając sobie, co Ma zrobiła z Jiao. Wielki chan jednak mimo swojego powierzchownego okrucieństwa nie przypominał tamtych ludzi. W nieprzyjemnym



momencie oświecenia Zhu zrozumiała, że bardziej przypomina ją samą. Nie był kimś, kogo świat wyniósł na szczyt ze względu na jakąś domniemaną wartość. Gardzono nim za to, kim był. Sama myśl, że mógłby zapragnąć tronu, a co dopiero być zdolnym go zdobyć, uważana była za śmiechu wartą fantazję. Zdobył tron w akcie zemsty na tych, którzy mu go odmawiali.

Usłyszała to od Ma: że ci, którzy wręczali jej swoje dary, robili to nie po to, aby mogła zostać cesarzem, lecz aby jako cesarz mogła stać się sobą. Ponieważ wiedzieli, że Zhu rozumie, jak to jest być nikim i niczym. Bo wiedzieli, że Zhu może zmienić świat, może odprawić w przeszłość Chena i wszystkich innych ludzi uważających, że są tak wielcy, iż trzeba przed nimi klękać.

Przysuwając miecz do wielkiego chana, dziewczyna czuła koszmarny napór głodu zjawy. Duch chciał, by go zabiła. Lecz przecież duch nie jest człowiekiem obdarzonym prawdziwymi pragnieniami. To tylko echo bólu i zemsty, które chciało ujrzeć w świecie ich odbicie, ponieważ poza tymi dwoma rzeczami nie znało nic. W duchu nie ma życia, nie ma przyszłości. Duch należy do przeszłości, tak samo jak Chen.

Klęczący pod świetlistym ostrzem władca cierpiał. Nawet go jeszcze nie dotknęła, lecz już teraz płonął żywcem. Złakniony krwawej pomsty duch wykrzyknął coś bezgłośnie.

Znieruchomiała.

Wydawało się, że wraz z nią zastygło wszystko. W tej przepastnej sali, której kolumny były grubsze od pni największych drzew, Zhu wyczuła nagle drobne, wyjątkowe iskierki człowieczeństwa we wszystkich obecnych. W dyszącym, znękanym wielkim chanie, w odwróconej, wypłakującej duszę Ma i w sobie samej. Gdyby jednak zostali tak na zawsze, nie zaszłaby zmiana, nie zmieniliby się nic i nigdy.

– Musi tak być. Przykro mi – rzuciła w pustkę.

Władca drgnął, szykując się na koniec. Grzbiet prawej dłoni, którą zasłaniał twarz, nie był już po prostu pokryty bąblami, był czerwoną otwartą raną. Rękaw czarnej szaty zaczął się dymić i tlić.

Pozłacana papierowa nić, którą wyhaftowano smoki, spłonęła i po bestiach pozostał jedynie cień. Lecz Zhu nagle odwróciła się od niego i spojrzała na ducha.

– Przykro mi, generale. Wiem, czego ode mnie chcesz. Jak jednak miałabym stworzyć nowy świat, skoro jego fundamentem byłby czyn będący jedynie kontynuacją starego? Jeżeli naprawdę ma nastać nowy początek, muszę zacząć inaczej.

Wygasiła miecz i swoją prawą dłoń. Jej ręka na powrót kończyła się wąskim różowym kikutem. Była nieszkodliwa, lecz zarazem prawdziwa – była sobą, tą wersją siebie, którą wybrała.

– Żebyśmy jednak mogli rozpocząć – spojrzała na wielkiego chana – na świecie nie mogą pozostać dwa mandaty. A mój pozostać musi. Wyrzeknij się swojego.

Wydawało się, że tego nie zrobi. Nawet teraz, klęczący, drżący u jej stóp. Piers gwałtownie mu falowała. Na twarzy znać było cierpienie, lecz nie czysto fizyczne.

– Nie mogę – wychrypiał z bliską błaganiu desperacją. – Nie mogę się go wyrzec. Jakże mógłbym, skoro tylko to mam?

Ma wydała z siebie okrzyk przestachu i podbiegła naprzód. Uklękła przed władcą i ujęła dłońmi jego zdrową rękę. Gest nie był romantyczny, lecz ludzki. Chciała dodać mu otuchy, pokrzepić. Po chwili odezwała się cichym, pełnym bólu głosem:

– Ja nie byłam prawdziwa, ale twoje uczucia tak – powiedziała i Zhu odniosła wrażenie, że podsłuchuje bardzo intymną rozmowę.

Wielki chan spojrzał na Ma. Łza spłynęła po bladym kawałku policzka, ocalonym przez cień poparzonej ręki. Pocięła na trójkąt spalonej skóry na szczęce. Zhu z bolącym sercem zrozumiała. Wiedziała, jak to jest stanąć twarzą w twarz z kapitulacją. Pamiętała chwilę, kiedy patrzyła na cierpiącego Xu Da, gdy Chen kazał jej się poddać. W jednej ręce miała swoje przeznaczenie, w drugiej los Xu Da. Jej przeznaczenie było nią samą, lecz Xu Da był jej ukochanym bratem i wybierając, czuła, jakby coś rozdzierało jej duszę na pół.

Zhu zawsze była zdania, że ci, którzy wyrzekają się własnego losu, ludzie tacy jak pierwszy Zhu Chongba, po prostu nie są dość

silni, by go ponieść. Jej sił nie zabrakło. Może jednak kiedy przeznaczenie jest dla człowieka sensem i sposobem przetrwania, kiedy ktoś trzyma się go tak kurczowo jak ona, jak wielki chan i Ouyang – rezygnacja z niego wymaga jeszcze większej siły. Obserwując targanego rozterką wielkiego chana, pomyślała, że to może być najtrudniejsze wyzwanie na świecie.

Nie działało się nic. Aż nagle z władcy podniósł się cień podobny do porwanej przez wiatr pajęczyny. Zawisł na mgnienie w powietrzu, po czym zniknął bez śladu.

Wielki chan jęknął i osunął się naprzód. Podtrzymała go Ma.

Jego przeznaczenie obróciło się w nicość. Wyrzekając się go, stwierdziła w duchu Zhu, nie uczynił siebie niczym. Kiedyś zrezygnował z własnego imienia, by stać się wielkim chanem, a teraz chan zniknął. Pozostał bezimienny, klęczący człowiek, ktoś, kto mógł stać się kimkolwiek.

– Idź dalej – powiedziała z dziwną, opiekuńczą czułością, sięgającą tej wersji Zhu, która obudziła się po pojedynku z Ouyangiem i ujrzała leżący na kołdrze kikut. – Wybierz sobie nowe imię i żyj z nim tak, jak nie mogłeś żyć wcześniej, żyj, będąc prawdziwym sobą. Idź naprzód i znajdź przyszłość w świetle. – Zaraz potem podeszła do istoty, która była niegdyś Ouyangiem. Do przejścia miała zaledwie dwadzieścia kroków, lecz odniosła wrażenie, że przedziera się przez zamieć lodowych sztyletów. Ich spaczona więź mroziła krew w żyłach. – Ty również musisz zrezygnować, generale – powiedziała. – Wyrzeknij się bólu i zemsty, zostaw je w tym świecie. Pozwól sobie wszystko zakończyć.

Ponownie przywołała prawą dłoń. Kiedy wyciągnęła ją ku zjawie, ta wreszcie podniosła głowę. Zhu przez mgnienie widziała głodną, koszmarną maskę, lecz kiedy padł na nią blask, stała się na powrót piękną, bladą, straszliwą twarzą, którą tak dobrze знаła. Jego oczy nie były już jeziorami czarnej pustki, lecz oczyma człowieka. Zupełnie jakby przemawiając do niego, przywołała Ouyanga z powrotem, jego prawdziwą istotę. Spoglądał na nią z żalem i tęsknotą.

– Odszukam jego grób i pochowam was obok siebie – obiecała. – Nie mieliście potomków, lecz ja będę o was pamiętać. Podobnie jak moi potomkowie, a potem ich potomkowie. Wszyscy będziemy się za was modlić w mauzoleum, które wzniosę ku waszej czci. Wyrusz ku następnemu wcieleniu. Przeżyj je i cierp, jak powinienes. Potem przeżyj kolejne życie i jeszcze jedno, a z każdym będzie ci łatwiej. Aż wreszcie, pewnego dnia, za tysiąc lat, siła wszechświata sprawi, że raz jeszcze spotkacie się z Esen-Temurem i będziecie mogli zacząć od nowa.

Dotknęła bladego policzka, który oparzył ją doznaniem tak czystym, że nie wiedziała, czy to żar, czy mróz. Straszliwy dysonans ich więzi zniknął, łącząca ich siła na powrót stała się znajomą harmonią dwóch strun, podobnych do siebie pośród niezliczonych innych, tworzących osnowę wszechrzeczy. A mgnienie potem duch zniknął niczym dmuchawiec na wietrze. Uleciał, by odrodzić się gdzieś daleko, w nieznanej, odległej przyszłości.

Sala ziała pustką. Zhu z wolna wróciła do teraźniejszości: usłyszała dolatujące zza wrót krzyki i wrzaski.

Weszła po stopniach i na moment przystanąła, przyglądając się złotym smokom na tronie, który był tronem słońca. Jej poczucie triumfu naznaczone było smutkiem z powodu wszystkiego, co w imię tej chwili oddała i co straciła. Wszystkie te ofiary stworzyły glebę, na której miał wykiełkować nowy świat. Świat, który rosnąc, będzie mógł czerpać z zawartej w tych ofiarach miłości i użyć jej jako budulca dla siebie. Z takim fundamentem nie mógł stać się podobny do starego świata przemocy i dominacji. Będzie nowy. Będzie sobą, pomyślała z wdzięcznością.

Siedzący wciąż na posadzce mężczyzna, odziany w czarną szatę dawnego świata, spytał z bólem:

– Jak ją nazwiesz? Swoją nową epokę?

Zhu usiadła. Strój służącej krępował jej ruch, kiedy na męski sposób rozstawiła nogi, jakby zasiadała na szczycie świata. Oparła na kolanach obie ręce, dłoń i kikut.

– Będzie to epoka nowej dynastii, założonej przez cesarza Hongwu, dynastii światłości i blasku, które nie zagasną przez dziesięć tysięcy lat...

Wrota ustąpiły, żołnierze wpadli do środka i znieruchomieli zaskoczeni, widząc ją na tronie. Światło nowej dynastii rozlało się wszędzie dokoła.

– Nazwę ją Ming – powiedziała z uśmiechem Zhu.

KONIEC







COPYRIGHT © 2023 BY SHELLEY PARKER-CHAN  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2024

WYDANIE I

ISBN 978-83-67949-28-6

TYTUŁ ORYGINAŁU: He Who Drowned the World

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE  
Jung Shan Chang

PROJEKT OKŁADKI  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Przemysław Truściński

TŁUMACZENIE  
Grzegorz Komerski

REDAKCJA  
Joanna Orłowska

KOREKTA  
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
www.fabrykaslow.com.pl  
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl  
www.facebook.com/fabryka  
instagram.com/fabrykaslow





## Shelley Parker-Chan

---

Osoba autorska o azjatycko-australijskim pochodzeniu. Pracowało w dyplomacji i doradzało w sprawach związanych z rozwojem międzynarodowym. Spędziło prawie dekadę, pracując nad prawami człowieka, równością płci i prawami osób LGBTQ+ w Azji Południowo-Wschodniej. W 2017 roku otrzymało stypendium Otherwise za przyczynianie się do zmiany sposobu, w jaki myślimy o płci. Nazwane na cześć angielskiego poety romantycznego, dorastało w domu wypełnionym książkami i zostało wychowane na klasyce literatury: mitach greckich, legendach arturiańskich i chińskich opowieściach o cierpieniu oraz tragicznych romansach. Wszystkie te inspiracje doskonale wykorzystało w dylogii *Świetlisty Cesarz*.

Chociaż w dzieciństwie marzyło o zostaniu wojownikiem-mnichem lub pilotką myśliwca, zadowolilo się czarnym pasem w taekwondo i pełnym przygód wędrownym życiem. Obecnie mieszka w Melbourne w Australii, gdzie odkryło, że osobliwy zestaw nabytych umiejętności przetrwania jest całkowicie bezużyteczny.

DYLOGIA <sup>TOM</sup> 2  
ŚWIETLISTY CESARZ



nagroda  
ASTOUNDING  
2022

NAJLEPSZY  
DEBIUT



nagroda  
HUGO  
2022

FINALISTKA  
NAJLEPSZA POWIEŚĆ



nagroda  
BRITISH  
FANTASY  
AWARDS  
2022

NAJLEPSZA POWIEŚĆ  
FANTASY  
oraz  
NAJLEPSZY DEBIUT



nagroda  
LOCUS  
2022

FINALISTKA  
DEBIUT ROKU



nagroda  
DITMAR  
2021

FINALISTKA  
NAJLEPSZA POWIEŚĆ



nagroda  
AUREALIS  
AWARD  
2022

FINALISTKA  
NAJLEPSZA POWIEŚĆ  
FANTASY



nagroda  
LAMBDA  
LITERARY  
AWARD  
2022

FINALISTKA  
TRANSGENDER  
FICTION

1356  
ROK

Zmień  
świat i uczyn  
go możliwym.

Zwycięży.

Nie pomimo tego, kim jest, lecz dzięki temu. Śmiercionośna lawina zaczyna się zawsze od jednego kamyka. Dla lawiny, która zmiecie Cesarstwo Wielkich Yuanów, tym kamykiem jest Zhu Yuanzhang, Świetlisty Król. Jednak zwycięstwo jest jeszcze daleko, a droga do niego pochłonie niezliczone ofiary. W lepkiem mroku intryg, walki o władzę i wynaturzonych instynktów niczym pochodnie płoną mandaty niebios. Napędzane dzikim głodem dogonienia własnego przeznaczenia, nieskończonym gniewem lub świętym prawem zemsty, wszystkie stanowią o sile obdarowanych nimi ludzi. Ci ludzie, na podobieństwo bogów, będą musieli ostatecznie stanąć do walki, z której zwycięsko może wyjść tylko jeden. Cenę za to zwycięstwo przyjdzie mu zapłacić w życiach.

Piękny i sugestywny tekst. Przez tę historię płynie się, przewracając strony, a piękny queerowy romans sprawia, że jest ona jeszcze bardziej realna, szczerza i wiarygodna. Gorąco polecam.

**Rick Riordan**

Epicka, tragiczna i wspaniała.

**Alix E. Harrow**

Absolutnie oszałamiające...

Historia, podobnie jak bohaterowie, jest ambitna i mądra, a głębia emocji, do których Parker-Chan potrafi sięgnąć, jest zdumiewająca.

**Rebecca Roanhorse**

Imponująca pod każdym względem.

**Samantha Shannon**

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)

patroni medialni

 /fabryka

 /fabrykaslow

 lubimy czytać



Bestsellerki

